

MARY ROSENBLUM

KAMIENNY OGRÓD

Tłumaczył Marcin Krygier

Zysk i S-ka
Wydawnictwo

Tytuł oryginału

The Słom- Garden

Copyright © 1994 by Maiy Roscnhlum

All rights reserved

Copyright © 2000 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.p.a. Poznań

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki

ISBN 83-7150-794-1

Zysk i S-ka Wydawnictwo s.p.a.

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. (0-61) 853 27 51. 853 27 67. fax 852 63 26

Dział handlowy, ul. Zgoda 54. 60-122 Poznań

tel. (0-61) 864 1403, 864 1404

e-mail sklep@zysk.com.pl
nasza strona www.zysk.com.pl

Skład i łamanie

VIS, os Oiła Białego 76/88

61-251 Poznań, tel. 878 92 "U

DRUKARNIA GS Kraków, tel. (012) 65 65 902

Dla Grega

Dziękuję Sage Walker za jej wnikliwe i bezcenne słowa krytyki.

Szczególne podziękowania należą się Gregowi Abrahamowi, który stworzył poetycki głos Margarity. Jego artystyczna wizja wiele wniosła do tej książki.

Rozdział pierwszy

„Szanowny panie Tryon...” Pierwsze słowa tego listu bez przerwy chodziły Michaelowi Tryonowi po głowie, jak gdyby wyryte dłutem na korze mózgowej. „Nie zna mnie pan. Nazywam się Margarita Espinoza. Moją matką była Xia Quejaches. Jest pan moim ojcem”.

— Oczywiście że mogłabym znaleźć kogoś innego do naprawy tego Kamienia — powiedziała Chris. Jej sandały wybijały niecierpliwy rytm na rozgrzanym w słońcu chodniku Starego Taos. — Mogłabym zadzwonić do Prospera. Ale to nie jest pierwszy lepszy obelisk, Michael. To Estevan.

„Szanowny panie Tryon...”

— Prosper zna się na rzeczy. — Michael usiłował skupić uwagę na jej słowach. — Ja rzeźbię Kamienie, nie naprawiam ich — powiedział. — Wynajmij Prospera. — Na ulicach były tłumy turystów poubieranych w stroje z najnowszych i najmodniejszych kolekcji mody stylizowanej na południowy zachód. Ich entuzjazm przypominał go o ból głowy.

— To z powodu Xii Quejaches, prawda? — Chris złapała go za ramię. — To dlatego nie chcesz tego zrobić?

— Ależ nie. — A może tak? Wypędził tego upiora wiele lat temu. A przynajmniej tak sądził. Michael zatrzymał się, spoglądając z góry na Chris, jasnowłosą, brązowooką i jasnoskórą właścicielkę

galerii, tak młodą, że mogłaby... — Nie, to nie z powodu Xii — umknął przed jej niespokojnym, gniewnym spojrzeniem. — Po prostu do naprawy tego Estevana nie potrzebujesz rzeźbiarza. Xia to

dawne dzieje. — „Szanowny panie Tryon...” Ten list osaczał go. — Xia to bardzo dawne dzieje.

— Przepraszam. — Chris zaczerwieniła się. — Ale naprawdę zależy mi na tym, żebyś to był ty, Michael. Bo jesteś najlepszy. Bo Kamień Archenwald-Shena jest uszkodzony. Obeliski Estevana to arcydzieła, a Prosper to rzemieślnik, do jasnej cholery.

W jej słowach kryła się prawda, i to ona go usidliła.

— Dobrze, Chris. — Westchnął, jego ramiona ugięły się pod ciężarem suchego popołudniowego upału. — Oslucham tego Estevana. Jeśli powiem ci, że to tylko powierzchowne zniekształcenie, wezwiesz Prospera. Zgoda?

— Zgoda. — Chris wspierała się na palce i musnęła wargami jego policzek. — Dziękuję, Michael. Doceniam to.

Trudno było jej odmówić, zwłaszcza że w ostatnim czasie dostarczał jej wyłącznie moreny i kolaże. Wielkie pieniądze kryły się w obeliskach. Starając się opanować złość, która powróciła do niego z cieniów przeszłości, Michael patrzył, jak Chris szybkim krokiem podąża do swej galerii. O, tak, Xia była częścią tego, bez względu na to, co by powiedział Chris. Byliśmy sobie bliscy, Estevan i ja. Michael przełknął ślinę, czując na języku dawną gorycz. Ty to rozbiłaś, Xia. Zniszczyłaś nas. Wina leżała po jej stronie, oraz Estevana. Kiedyś winił ich oboje. Przed śmiercią Estevana.

Śmierć, pomyślał z goryczą Michael. Przynosi wybaczenie tak wielu grzechów. Obserwował przeciskających się obok niego turystów, gapiących się na gładkie, ceglane mury sklepów na Main Street, pożądliwie wlepiających wzrok w kamizelki z prawdziwej skóry, naszyjniki i pasy ciężkie od srebrnych muszli i nieoszlifowanych bryłek prawdziwych turkusów. Przyodziani w świeżo kupione tradycyjne stroje — w tym roku najmodniejsze były kowbojskie dzinsy i batystowe koszule — oblewali się potem w suchym, gorącym powietrzu. Ulice Starego Taos, własność Federalnego Biura Ochrony Zabytków, były rozgrzane do białości. Setki przepisów

regulowały tutaj wszystko, aż do najmniejszej jaszczurki wygrzewającej się na kamieniach placu. Żadnych poduszkowców, salonów wirtualnych, publicznych terminali na ulicach. W Starym Taos wciąż jeszcze dostawało się szklanek wody wraz z jedzeniem bez zamawiania jej z karty. Oczywiście nie pochodziła z miejscowego ujęcia, a ze stopionego lodu arktycznego, i płacono się za nią wraz z opłatą wjazdową. Za zezwolenie na pobyt trzeba było zapłacić jeszcze więcej, chyba że dotyczyło to znanego artysty, któremu Biuro przyznawało stypendium, by zachęcić go do osiedlenia się na stałe.

Na początku, kiedy Michael i Estevan wysiadali w patio

gospody, popijając piwo i ignorując turystów, woda i zezwolenie na pobyt nie kosztowały ani centa. A przynajmniej niewiele. To było dawno temu — wystarczająco dawno, by sprawić, że czuł się stary. Michael zatrzymał spojrzenie na efektownie umięśnionym młodzieńcu, wpatrującym się z przerażeniem i fascynacją w kamizelkę Victora Lopeza, splecioną ze skrawków koziej skóry i kamiennych paciorków. Victor posiadał artystyczną licencję na hodowlę zwierząt dla uzyskania skóry i kości.

Wnioskując ze stroju, chłopak należał do operatora wewnętrznego poziomu — syn albo kochanek. Michael przyjrzał się jego koszulce z naturalnego włókna, intarsjom \ makijażowi. Może to syn dyrektora niższego szczebla w którejś korporacji? Jego przeznaczeniem było odziedziczyć wysoką pozycję w społeczeństwie i wieść bezpieczne życie, korzystając z nieograniczonego kredytu i prywatnych świadczeń medycznych. Chcesz tę kamizelkę, pomyślał Michael, gdy chłopak zaszurał nerwowo stopami. Udajesz odrazę, lecz w rzeczywistości pragniesz poczuć na swej idealnej skórze dotyk tych pasków żywej niegdyś tkanki. Pragniesz rozkoszować się krwią i śmiercią, o której będą szeptać twemu ciału. Pragniesz pełnego zazdrości szoku, jaki wywoła na twarzach twych gości widok kamizelki z martwej kozy.

Śmierć. Ostatnio dużo szukał jej nut — w rozpaczach krewnych ofiary wypadku i łzach wdowca. Ale rozpacz nie była śmiercią. Rozpacz stanowiła płytkie ludzkie uczucie, zmaćnione rozżaleniem i gniewem. Michael potrząsnął głową, nie wiedząc, co go tak w niej

pociąga — w śmierci. „Starzejesz się”, szepnął mu do ucha cichy głos.

Nie, nie to było przyczyną jego zainteresowania. Serwisy mogły zaoferować mu jeszcze wiele lat, przez długi czas trzymać jego osobistą kostuchę na dystans. Michael spojrzał spode łba na chłopaka i przysunął się bliżej. Ta przerażona, narcystyczna żądza mogła stanowić idealną nutę dla Małego Kamienia, obelisku, nad którym ostatnio pracował. Wzruszył ramionami, a potem lekko szturchnął chłopaka w ramię i wystawił na jego posępne spojrzenie niewielką, staromodną, papierową wizytówkę.

— Byłbyś może zainteresowany pozowaniem dla mnie? — Ten chłopak zapewne nie odróżniłby obelisku od geody. — To nie jest żadna tandetna próba podrywu — dodał, gdy chłopak odskoczył jak oparzony. — Nie interesuje mnie twoje ciało, lecz dusza.

Chłopak zareagował na tę banalną kwestię skrzywieniem ust, lecz usidliła go ona i spojrzał na wizytówkę, zamiast cisnąć nią Michaelowi w twarz. Michael czekał cierpliwie, podczas gdy on obracał niewielki kartonik, wyginając go, dotykając palcami, czekając na uaktywnienie się chipu dźwiękowego lub hologramu.

— Naprawdę jesteś jednym z tych artystów od asteroid, he? —
Chłopak dał wreszcie spokój wizytówce i podniósł wzrok. — Po-
wiedz, czy te skały są naprawdę żywe? I co robi model?

Miękki akcent i cień podniecenia maskowany wystudiowaną
pozą. Najpewniej wielojęzyczna szkoła prywatna.

— To zależy chyba od tego, co rozumiesz przez życie. —
Michael rozłożył ręce. — Ty odprężasz się przy Kamieniu. Ja zadaję
kilka pytań, a Kamień wchłania część wysyłanych przez ciebie
emocji.

— Czyli jeśli ktoś potem go odsłucha, będzie wiedział, o czym
myślałem?

Czyżby cień nieufności?

— Nie, nie. — Michael postarał się, by jego uśmiech wyglądał
jak najbardziej uspokajająco. — Słuchacz jest świadom wyłącznie
złożonej harmonii: kompozycji uczuć i doznań zmysłowych pocho-
dzących od wszystkich modeli. — Chyba że tym słuchaczem jest

osoba zmysłoczuła albo inny rzeźbiarz. — Moreny wchłaniają jedy-
nie doznania zmysłowe. Obeliski przyjmują również uczucia.

— Ale zakręcone. — Chłopak zastanowił się, muskając palcami
kosztowne skórne intarsje ozdabiające jego bezwłosą czaszkę. —
Dobra, czemu nie?

Wszystko dla dreszczyku emocji. Taos nudziło go zapewne do
szpiku kości.

— Może jutro po południu? — Michael nie przestawał się
uśmiechać, kiedy unosił rękę. — Pójdiesz Le Doux Street. Moja
pracownia jest na samym końcu, przy zewnętrznym ogrodzeniu.

Chłopak skinął głową i odszedł, kołysząc wąskimi biodrami
w rytm niesłyszalnej muzyki dudniącej ze wszczepionego złącza
audio. Czy na pewno nadawał się do Małego Kamienia? Michael
westchnął, ogarnięty wątpliwościami. Wymuskani, naszpikowani
elektroniką turyści wydawali się obcy i nierzeczywiści — nieosią-
galni. Jak gdyby nie byli już całkowicie ludźmi. Może ludzkość
ewoluuje w zupełnie nowym kierunku, pomyślał Michael. Podczas
gdy on sam pozostał w tyle — czyżby o to chodziło? A, chrzanić to.
Przesunął wzrokiem po rozpalonym chodniku. Będzie trzeba poży-
czyć tę kamizelkę od Dolores — da mu ją po zamknięciu — niech
chłopak się nią pobawi, i wtedy zobaczymy.

„Pozostał w tyle...” Czy to dlatego Kamienie przestały działać? Działają, powiedział sobie Michael, tyle że nuty, które ostatnio dodawał, brzmiały cicho i płytko. To taki okres. Kurz i letni upał utrudniały mu koncentrację. Jesienią pójdzie lepiej.

Dlaczego śmierć? Dlaczego przyciągała go właśnie ta nieuchwytna nuta?

Michael przerzucił swój cienki siwy warkocz przez ramię i ruszył szybkim krokiem, jak gdyby mógł umknąć przed wątpliwościami trzepoczącymi w nieruchomym popołudniowym powietrzu. W kieszeni zaszeleścił wydruk wysłanego na poste restante listu, wywołując na jego twarzy mimowolny grymas.

„Jest pan moim ojcem. Xia powiedziała mi o tym zeszłej wiosny. Powiedziała, że było to dawno temu. To prawda. Mam dwadzieścia dwa lata...”

O, tak, dawno temu. Xia nie była w ciąży, kiedy wyjeżdżała, pomyślał Michael. A jeśli była, to z Estevanem, nie z nim. Powinien pójść odsłuchać tego Estevana. Chris się ucieszy, a potem wezwie Prospera. Przeszedł przez zakurzoną ulicę tuż przed wypełnionym turystami autobusem. Kierowca zatrąbił i posłał mu mordercze spojrzenie, ale Michael zignorował go.

Właściciel obelisku, operator sieci Archenwald-Shen, wydzierżawił wzniesioną w późnym stylu rezydencję za Fechin House. Michael wspiął się zakurzonym podjazdem — nie brukowanym i nie utwardzonym dla zachowania autentyczności. W muzeum Fechin House znajdowały się same arcydzieła, najlepsze z najlepszych: olejne i akrylowe obrazy starych mistrzów, rzeźby kinetyczne, kompozycje zapachowe, a nawet jeden z jego własnych obelisków. Pan Archenwald-Shen musi mieć niezwykle powiązania, skoro udało mu się załatwić tę umowę dzierżawy; same pieniądze by nie wystarczyły.

Na tyłach domu powitał go cienisty chłód pokrytego prawdziwą darnią trawnika i Michael otarł z twarzy lepki od kurzu pot. Kiedyś było tu chłodniej. Może Biuro przykryje Stare Taos kopułą, o ile klimat dalej będzie się pogarszał — dla zachowania pozorów autentyczności nie szczędzono żadnych wydatków.

— Pan Tryon? — Chudy mężczyzna o europejskich rysach twarzy i lśniącej czarnej skórze wystawił głowę zza drzwi studia. — To dla mnie zaszczyt. — Rozpromienił się i strzepnął niewidoczny pyłek kurzu ze swej kiepsko skrojonej tuniki z prawdziwego jedwabiu.

Jego ciemna skóra pochodziła z serwisu tkanek.

— Dobry fachowiec jest w stanie dokonać z obeliskiem cudów.
— Michael umknął przed triumfującym spojrzeniem mężczyzny, nawet nie starając się ukryć zrzęдлиwego tonu swego głosu.

Znał tego człowieka, znał jemu podobnych; zarządców światowej sieci, żyjących i ginących dla punktów — zdobytych i straconych w rywalizacji z innymi operatorami — tak finansowych jak i towarzyskich. A ta wizyta przyniesie mu punkty towarzyskie. „Owszem, moja droga. Ściągnąłem Michaela Tryona, by poprawił

mojego Estevana...” Michael zdusił nagłą falę złości na Chris. Po prostu zrób to dla niej. Nie naciskała, chociaż na obeliski czekała długa kolejka chętnych. Michael spiorunował wzrokiem drobnego zarządcę sieci, którego obwisła twarz wydawała się za duża w połączeniu z kruchym kościstym ciałem. „Władza”, krzyczała jego twarz i fałdy skóry. „Jestem tak blisko centrum, że nie muszę być śliczny i sprawny. Mogę robić to, na co mam ochotę”. Ta gładka, piękna skóra jaskrawo kontrastowała ze sflaczałym, niepozornym ciałem.

— Proszę pokazać mi Kamień — warknął Michael.

— Proszę tędy. — Mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu. — Poznałem przed laty pana Estevana — powiedział. — Wspaniały człowiek. Poprosił mnie, żebym pozował mu do jednego 7. Kamieni: obelisku. Cudowne przeżycie.

W każdym obelisku potrzeba paru cierpkich nut, pomyślał Michael, lecz zachował tę uwagę dla siebie. Znacząco wyslizgnął się spod jego zaborczych palców i podążył w ślad za Archenwald-Shenem przez nieduże, nisko sklepione pokoje rezydencji.

— Zastanawiam się nad zakupieniem obelisku do mojego biura na platformie nowojorskiej. — Zarządca posłał mu szybkie spojrzenie przez ramię. — Uważam je za pobudzające i relaksujące zarazem. Może wybiorę któryś z pańskich? — Skłonił się, zapraszając Michaela do pomieszczenia służącego jako salon. — Obawiam się, że przeoczyłem pańskie ostatnie odsłonięcie.

W ostatnim czasie nie było żadnego nowego odsłonięcia. A przynajmniej żadnego obelisku. Michael przeszedł obok niego, zastanawiając się, czy może zbyt pochopnie ocenił tego małego, śliskiego operatora. Może tunika i kontrast między skórą a ciałem były zamierzone. Jeśli tak, ten człowiek cechował się subtelnością. Michael zaczął się zastanawiać, co teraz próbował osiągnąć.

Kamień zatrzymał go zaraz za progiem, uciszając wszystkie

myśli. Wysoki prawie napięć stóp, ustawiony w starannie oświetlonym kącie, wypełniał swą obecnością całe pomieszczenie. Michael westchnął i dał się ponieść jego emanacji — nasycona zmęczeniem przyjemność zmięczenia, delikatny napór skały na uda, słodkie znużenie, doprawione czystą, potężną energią młodych oczu wpatrzonych w poranne słońce.

Kamień Drzew. Rozpoznał go natychmiast.

Michael zamknął oczy. Pomarszczona, pofałdowana twarz Estevana zarysowała się wyraźnie pod zamkniętymi powiekami. Niekiedy w pobliżu Kamienia odnosił wrażenie, że jest w stanie przebić się przez barierę czasu i dotknąć przeszłości — nie jej wspomnienia, lecz chwili miłości, znużenia, nawet samej rozpacz. Gdyby zdołał to uczynić w tej chwili, jego dłonie odnalazłyby znajome, obwisłe ramiona i, całując Estevana w oba policzki, usłyszałyby delikatny chichot. „Co za pasja, M'kile. Czuję się przy tobie stary”.

Powieki Michaela zatrzepotały i chwila umknęła bezpowrotnie. Nie byłeś stary, Estevanie. Musiał stawić czoło smutkowi, który usiłował go zadławić, smutkowi tak ostremu i gorzkiemu, jak w dniu, kiedy odebrał ten telefon. Nie byłeś dużo starszy ode mnie — jaką stratą jest nasze milczenie. Jaką okropną stratą.

Czy wartość rzeczy odrzuconych poznajemy dopiero wtedy, gdy jest już za późno? Michael otworzył oczy, przeganiając smutek, zastanawiając się, czy jego ostre krawędzie kiedykolwiek staną się gładkie i znajome. W skupieniu poszukiwał zniekształcenia, na które skarżył się mały zarządca, i skrzywił się, kiedy przeszło go piskliwe echo. Surowe, nieforemne uczucie zakłócało idealną harmonię Kamienia, zgrzytając po zakończeniach nerwów niczym zęby widelca na porcelanie. Michael położył dłoń na żyłkowanej, szarej krzywiznie powierzchni Kamienia. Była zbita, żywa, wcale nie przypominała martwej skały. Skamieniałe ciało. Tak właśnie pomyślał, kiedy pierwszy raz dotknął Kamienia — obca, zmrożona spojrzeniem Meduzy dusza dryfująca przez pustkę.

Archenwald-Shen odchrząknął.

— Nie jest uszkodzony?
Michael drgnął i cofnął rękę.

— Oczywiście, że jest uszkodzony.

— Kiedy go kupowaliśmy, agent zapewniał nas, że nie będzie żadnych zakłóceń przy odsłuchiwanu.

Był gotów wybuchnąć sprawiedliwym gniewem, tyradą pełną

grózb procesu sądowego. Michael zastanowił się przez chwilę, czy Archenwald-Shen byłby gotów zapłacić mu za zeznawanie w sądzie w charakterze biegłego. Wygiął usta.

— W Kamieniach nie dochodzi do poważniejszych zakłóceń, może je spowodować tylko rzeźbiarz specjalista. Przypadkowy kontakt nie ma większego wpływu, choć człowiek obdarzony naturalną zmysłowością może przypadkowo obudzić Kamień i przekazać mu trochę lokalnych emocji. — Nikomu nie udało się zdefiniować tej zdolności. Nie była dziedziczna, nie można było wykryć jej testami, jedynie reakcją Kamienia bądź też jej brakiem. — Jest pan może zmysłowy? — zapytał.

— Nie.

Michael poczuł raczej niż dostrzegł drobne drgnięcie ramion niskiego zarządcy. Więc to tak?

— Proszę o opuszczenie pomieszczenia na czas badań Kamienia — powiedział szorstko. — Potrzebuję całkowitej samotności.

Człowieczek zaczerwienił się, słysząc ton głosu Michaela, jego skóra pociemniała jeszcze bardziej, grdyka poruszyła się od zdławionego gniewu.

— Jak długo to potrwa? — zapytał starannie modulowanym głosem.

— Nie wiem. Pozwoli pan?

Zarządca wymaszerował sztywno, cała jego postawa obwieszczała światu stłumioną urazę. Czyżby porównywał ilość punktów zdobytych podczas najbliższego przyjęcia z bezczelnością Michaela? Zastanawiał się, czy jedno jest warte drugiego? Niech sobie idzie w cholerę. Michael wzruszył ramionami, wyrzucając go z myśli. Zamknął oczy i odetchnął wolno, koncentrując się na Kamieniu, delikatnie przesuwając dłońmi po jego drobnej, zbitej fakturze. Estevan poświęcił dwadzieścia lat na stworzenie Kamienia Drzew, komponując doskonałe chwile uczuć w symfonię ludzkiego spokoju. Któregoś słonecznego popołudnia Michael także oparł się o Kamień zbudzony dla Estevana, pozwalając, by wchłonał jego senny letarg po namiętnej miłości z Xią.

„Nie zna mnie pan. Moją matką była Xia Quejaches...”

Zdawało się, że smugi błękitu, zieleni i bursztynu wirują, zlewają się i roztapiają na powierzchni Kamienia. Pomieszczenie rozmyło się. Michael dostrzegł przelotnie latynoską twarz, chłopca, jego smutek i cienie pod oczami; poczuł chłodny dotyk kremu na opalonej skórze, zapach końskiego nawozu w gorącym popołudniowym po-

wietrze, ukłucie bólu, słodkiego i gorzkiego zarazem: „Czy muszę w niego czymś rzucić, Estevanie?” W pieśń Kamienia wpleciony był kobiecy szloch. „Czy muszę go zabić, by zrozumiał, jak bardzo go kocham?”

— Xia? — Michael gwałtownie otworzył oczy, lecz jej głos zniknął, zagłuszony zgrzytliwą dysharmonią, którą zauważył poprzednio.

Odległe krzyki poniosły się echem w jego głowie, najeżone przemocą. Michael zacisnął zęby, wybierając pojedyncze nuty brutalnego dysonansu. Zwykły słuchacz poczułby jedynie zakłócenie; on był rzeźbiarzem. Kontrolując swą złość, oddzielił hałaśliwe nuty od całości. Przekształciły się w fizyczny ból i mroczną, skreconą nić, która mogła być nienawiścią, a nawet miłością. Przez mgnienie oka w wizji Michaela zmaterializowała się twarz, męska i o przeważająco azjatyckich rysach, nieskazitelnie uformowane kości policzkowe i zielone jak trawa oczy. Byli w Starym Taos i Michael bez trudu rozpoznał kochanka Archenwald-Shena; docierały do niego plotki o ich bójkach.

Michael zdjął dłonie z ciepłej powierzchni Kamienia, oddychając zbyt szybko, był spocony i pijany gniewem. Nuty Kamienia powoli przycichły z powrotem do subtelnego szeptu. Estevan poświęcił dwadzieścia lat na stworzenie tej pieśni ludzkiej duszy. I po co? By jakiś chciwy, pokurczowaty operator sieciowy traktował ją jako jeszcze jeden antyczny grat?

Dlaczego Estevan pracował z Kamieniami? Co dla niego znaczyły? Michael uświadomił sobie nagle, że nigdy go o to nie zapytał. Siebie zresztą też nie.

Ale nie była to odpowiednia pora. Gdy Michael wypadł rozwścieczony z domu, Archenwald-Shen popędził w ślad za nim zakurczonym podjazdem.

— No i? — wysapał, zapomniawszy w tym popołudniowym skwarze o swym opanowaniu. — Nic mu nie jest?

— Kamień został uszkodzony. — Michael obrócił się do niego, dziwnie lekki, pełen słów niczym rozgrzanych gazów, które w każdej chwili mogły unieść go w powietrze albo rozsadzić, rozrywając na milion kawałków. — Naprawię go. Będę tu przychodził z modelami. — Xia pozowała do tego Kamienia. „Czy muszę w niego czymś rzucić, Estevanie?”

Nie, nie, nie mogła tego powiedzieć. Nie tak to się stało.

— Tutaj? Z jakimi modelami? Ochrona musi ich najpierw sprawdzić, a w przyszły czwartek wydajemy przyjęcie. Zdaży pan

skończyć do tego czasu?

— Niech szlag trafi pańskie przyjęcie. — Pałace, nieważkie słowa jakby unosiły go z ziemi. — To Kamień Drzew. Proszę bić swojego cholernego kochanka gdzie indziej. — Michael odwrócił się do niego plecami, pijany i oszołomiony swobodą swych słów, podczas gdy jakaś drobna część jego umysłu wrzeszczała, że zachował się jak głupiec, że operator zrezygnuje z jego usług i Kamień Drzew pozostanie na zawsze uszkodzony albo połatany przez rzemieślnika pokroju Prospera.

Ale czy miało to jakieś znaczenie? Estevan był martwy. Czy obchodziło go, kto jest teraz właścicielem jego Kamieni i co z nimi robi?

Michaela to obchodziło. Pomaszerował podjazdem pod niewidzialnym spojrzeniem ochrony. Naprawi Kamień Drzew, i do diabła z ochroną.

„Czy muszę w niego czymś rzucić?”

Ściągał go szept Xii. Ten list mógł być czarem wywołującym upiory i ten obłęd z głębi Kamienia Estevana. Nie kochałaś mnie, pomyślał Michael. Byłaś zazdrosna o Kamienie. Dobrze pamiętam. Michael wepchnął rękę do kieszeni, z wściekłością zgniatając list. Powietrze było suche i pachniało kurzem, kiedy szedł w stronę gospody Taos. O tej porze powietrze pachniało kurzem. Biuro nie pozwoliłoby, by było inaczej.

Chris wytropiła go w narożnej wnęce. Przecisnęła się między zatłoczonymi stolikami, jej krótko przycięte włosy lśniły w przytłumionym świetle niczym zabłąkany promyk popołudniowego słońca. W jej dłoni pobrzękiwały dwie butelki piwa i szklanka.

— Dziękuję. Za obejrzenie tego Estevana. — Postawiła oszronione butelki na stole i wsunęła się na ławkę naprzeciw niego.

A więc operator nie poskarżył się. Może nie chciał się przyznać, że Michael Tryon kazał mu się odpierdolić.

— De nada. — Michael sięgnął po jedną z butelek.
Ceglane ściany gospody, suszona na słońcu glina przetykana

złocistą słomą, skrywały słabe echo porannego chłodu. Żadnej klimatyzacji w gospodzie. Nic się nie zmieniło przez wszystkie te lata, jakie Michael tu spędził. Równie dobrze na patio mogła siedzieć Xia, kołysząc srebrnymi kolczykami migoczącymi na tle jej śniadej skóry i fali ciemnych włosów, śmiejąc się ze złośliwych żartów Estevana. Michael zerwał kapsel z butelki.

— Archenwald-Shen to kutas. Wiedziałaś o tym? — Pociągną z butelki i beknął. — Jakim cudem Kamień Drzew trafił w jego ręce?

— Zapłacił za niego. Owszem, kutas z niego, ale bardzo bogaty. Co cię ugryzło? — Chris przyjrzała się pustym butelkom, potem naląła bursztynowego płynu i piany do swojej przechylonej szklanki. — Chce kupić któryś z twoich obelisków, skoro już o nim mowa.

— Wspominał mi o tym. — Michael roześmiał się cierpko. — Myślę sobie, że mógł zmienić zdanie.

— Jesteś dzisiaj w podłym humorze — powiedziała sztucznie lekkim tonem, lecz w jej oczach migotał niepokój. — Ta morena, którą mi przyniosłeś, jest wspaniała. Kiedy zamykam oczy, siedzę w słońcu na brzegu Hondo. A nadciągająca burza to genialne posunięcie, Michael. Stajesz się coraz lepszy. Nie mogę się doczekać twojego następnego obelisku.

Starła się poprawić mu nastrój, dodać otuchy. Pocieszyć kurę znoszącą złote jajka... Był niesprawiedliwy. Chris przejmowała się sprzedawanymi przez siebie dziełami sztuki. Przejmowała się artystami.

— Przepraszam. — Michael odstawił piwo i westchnął. — Chyba jestem odrobinę wstawiony. Chcesz zapytać, czy Kamień Słońca jest już skończony, prawda?

— No... tak. Kupcy nie należą do ludzi cierpliwych, a ty mówiłeś, że jest już na ukończeniu.

— Bo jest. — Był „na ukończeniu” od roku, i oboje dobrze o tym wiedzieli.

Chris przechyliła głowę, tak że jej blond włosy przykryły jedno oko. Michael odwrócił wzrok, ukłuty nagłym wspomnieniem. Xia przechylała głowę w identyczny sposób. Niekiedy Chris przypominała mu Xię, choć jej jasne włosy i biała skóra stanowiły przeciwieństwo śniadości Xii. Xia utrzymywała, że pochodzi z Gwatemali i w jej żyłach płynie krew Majów z plemienia Lacandon. On sam stawałby raczej na którąś z dzielnic biedoty w Los Angeles. To te oczy, uświadomił sobie nagle Michael. Oczy Chris były brązowe i głębokie głębią bez dna niczym letnie rozlewiska Hondo. Niczym oczy Xii.

— Kamień Słońca może być gotów w przyszłym miesiącu. — Oczy Chris wyciągnęły z niego te słowa.

— Tak szybko? To cudownie.

— Powiedziałem „może”. — Michael skończył swoje piwo i skinieniem dłoni zamówił kolejne. — Nie jestem zadowolony z nuty ulgi w górnej części jego skali.

„Powiedziała, że pan o tym nie wie, że było to dawno temu...”
A więc Xia żyła? Przyzwyczał się do myśli, że umarła, tak jak Estevan. Skoro żyje, powinna mieć po czterdzieście. Nie potrafił wyobrazić sobie starzejącej się Xii; ciekawe, czy zakupiła wieczną młodość w serwisie tkanek. Wyciągnął z kieszeni zgnieciony list i rzucił go na stół.

Chris wzięła go do ręki, rozprostowała i przeczytała, a jej brwi powoli wygięły się w dwa łuki.

— Och, Michael. — Odłożyła papier tak ostrożnie, jak gdyby był zrobiony z motyli skrzydeł albo jakby miał lada moment eksplodować. — Czy to może być... prawda?

— Nie. — Michael umknął przed zbulwersowanym spojrzeniem jej ciemnych oczu. — To córka Estevana — powiedział. — Albo kogoś innego. — Margarita Espinoza. Nazwisko po ojcu?

— Jest dosyć oszczędna w słowach. — Chris ze zmarszczonym czołem raz jeszcze spojrzała na list. — Zatrzymała się do niedzieli w „Albuquerque Hilton”, he? Zamierzasz ją odwiedzić? To pewnie jakieś oszustwo, Michael. Jesteś całkiem sławny. Założę się, że nie przywiozła ze sobą swojego genoskanu.

Chris była zła. Michael zmarszczył czoło, zastanawiając się nad źródłem tej złości.

— Nie wiem, czy pojadę. Po każdej wizycie w mieście nie mogę potem przez tydzień pracować. — To miasto pożarło Estevana, przeżuło go w swych metalowych i plastikowych szczękach. Jego zmarnowany talent plamił ulice niczym stara, zakrzepła krew. — Zadzwoń do niej i powiem, że się pomyliła. — Złożył cienki arkusz wydruku. Dlaczego teraz? Dlaczego właśnie to, po tylu latach? Czego ode mnie chcesz, Xia?, zapytał bezgłośnie. Żyjesz? A może jesteś duchem przysyłającym to dziecko, by mnie nękać?

— Tak mi przykro. — Dłoń Chris zamknęła się wokół jego palców. — Tak mi przykro, że to spadło na ciebie jak grom z jasnego nieba. Nawet jeśli to oszustwo, i tak zaboli. Chcesz, żebym kazała prawnikowi galerii się tym zająć? — Jej oczy szukały jego spojrzenia. — Tak będzie lepiej. Mogę zadzwonić do niego zaraz po lunchu.

To mogłoby być najlepsze rozwiązanie. Michael zawahał się, a potem wzruszył ramionami.

— Nie, ja to załatwię. W końcu nie odgraża się, że zaciągnie mnie do sądu.

— Póki co. — Chris spojrzała chmurnie na puste butelki zaśmiecające stół. — Daj mi znać, gdybym mogła ci jakoś pomóc, dobrze? — Wysunęła się z wnęki, jej sztywne ruchy wciąż jeszcze wibrowały gniewem. — Muszę wracać do galerii. Aretha szybko się uczy, ale nadal nie potrafi odróżnić jednego Barkensona od drugiego.

A kto potrafi?, pomyślał z irytacją Michael. Wszystkie te cholerne kompozycje świetlne wyglądają jednakowo.

— Ruszaj ratować swoją asystentkę przed barkensońskim zamę-

tem. Ja popracuję nad Kamieniem Słońca — powiedział bez cienia entuzjazmu w głosie.

— Świetnie. Będę czekać. — Musnęła jego policzek i oddaliła się pospiesznie.

Wychodząc z gospody, Michael czuł się winny. Galerii Chris nie wiodło się najlepiej, chociaż urabiała sobie ręce po łokcie. Wina nie leżała wyłącznie po jej stronie, choć zdarzyło się parę błędów w ocenie potencjału lokalnych artystów. Ludzie dysponujący pieniędzmi na sztukę z upływem lat stawali się coraz bardziej konserwatywni, mniej skłonni do ryzykowania pieniędzy na nowe nazwiska. A Chris była młoda. Naprawdę młoda, nie dzięki serwisom — tak młoda jak Xia tuż po przybyciu do miasta jako performer w trupie multimedialnej.

Prawie tak młoda jak Margarita Espinoza.

Michael minął ostatni z ceglanych sklepów i skręcił na pokrytą spękanym asfaltem ścieżkę wiodącą do pracowni. Przysadzisty ceglany budynek stał zaledwie pięć metrów od zewnętrznego ogrodzenia z drucianej siatki zwieńczonej drutem kolczastym. Czerwono-czarna pieczęć Federalnego Biura Ochrony Zabytków spoglądała na suche wzgórza i wykopane przed stuleciami puste rowy irygacyjne. Żadnego wyjścia. Żadnej drogi do teraźniejszości. Przejdź do bramy, oddaj sprzęt wideo, ureguluj opłaty wjazdowe, a wtedy możesz odwiedzić Stare Taos.

— Mieszkam w jajku — powiedział na głos Michael. — Wypełnionym żółtkiem przeszłości. — W tysiącletnim jajku zagrzebanym w stercie kompostu teraźniejszości. Dwie sroki, trzepocząc wśród gałęzi, poderwały się z cienia starej topoli osłaniającej przed słońcem jego maleńką pracownię. — To ogrodzenie jest skorupką — poinformował je, lecz ptaki gapiły się na niego w milczeniu, ich zainteresowanie jajkami ograniczało się wyłącznie do tych pęknię-

tych i śmierdzących na słońcu.

Z tego skamieniałego jajka wykluło się kukułcze pisklę — zblały szept Xii z przeszłości. Kiedy wyszłochała te słowa nad Kamieniem Estevana? Kiedy?

Nie, to Margarita Espinoza była kukułczym pisklęciem. Kim ty

jestes?, zapytał cienia topoli. Moim DNA obleczonym w obce ciało? I czy po tylu latach ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Sroki odleciały z pogardliwym skrzeczeniem, a topola dalej nie odpowiadała. Rzeczywiście jestem w podłym humorze, przyznał Michael i skrzywił się na tyły pracowni, do swego ogrodu Kamieni, gdzie słońce i cień topoli pstrzyły płamami skały i ostrą trawę. Moreny ustawione były oddzielnie, pojedynczo lub w akordach przeciwstawnych nastrojów, nieduże i srebrzystoszare, drzemiące w rozpalonym żarze słońca niczym dziwaczne jaja. Obeliski stały na osobności, cienie Stonehenge, wspomnienia Wyspy Wielkanocnej, osobowości. Starzały się i dojrzewały w rytm wędrówki słońca na nieboskłonie, wchłaniając nadzieje, tęsknoty i lęki, które Michael wplatał w nie nuta po człowieczej nucie.

Michael westchnął, gdy ogarnęły go subtelne harmonie Kamieni. Spędzał tu całe godziny, wsłuchując się w uśpione Kamienie, pozwalając, by ich zmysłowe i uczuciowe rezonanse podsuwały mu nowe motywy i kontrapunkty. Teraz rzucił swą wytartą poduszkę przed Kamieniem Słońca i ukląkł powoli, skrzywieniem ust kwitując sztywność kolan, a wewnętrzny zgiełek rozpułnął się w cichym pomruku Kamieni. Łagodnie musnął gładką powierzchnię Kamienia Słońca i poczuł falę jego odpowiedzi.

Nie każdy mógł zostać rzeźbiarzem — trzeba było czegoś więcej niż tylko dotyku, by zbudzić kamień, by wpleść motywy miłości i bólu, wariacje na temat letniego upału i zmęczenia w zamyśloną pieśń Kamienia. „Wątek bierze się z modelu”, zwykł mawiać Estevan. „Osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza”. Michael zamknął oczy, wspominając podniecenie towarzyszące pierwszemu zbudzeniu moreny pod krytycznym spojrzeniem Anyi. Była jedną z pierwszych rzeźbiarek — i owszem, był teraz lepszy niż ona u szczytu kariery. Sprawiłoby jej to przyjemność, pomyślał, i zakłuło go w piersiach, gdy poczuł, jak bardzo brakuje mu jej beztroskiego usposobienia. Umarła dawno temu, zanim jeszcze uzyskał stypendium Biura. Przyjechał do Taos w letnie popołudnie, pełen nieokiełznanej energii i smutku po śmierci Anyi, wschodząca gwiazda nowej, modnej dyscypliny rzeźbiarstwa Kamieni.

W gospodzie Taos znalazł Estevana niespiesznie popijającego piwo, puste krzesło po drugiej stronie stołu jak gdyby czekało na jego przybycie.

Może tak właśnie było. Ich Kamienie nigdy nie były do siebie podobne, choć style wpływały wzajemnie na siebie. Michael oparł czoło o Kamień, obcy okruch asteroidy, meduzią duszę spragnioną żądzy, gniewu, miłości. „Burzliwe”, tak krytycy określali wczesne Kamienie Michaela. „Namiętne”. Kiedy opisywali obeliski Estevana, mówili o harmonii i skupieniu.

Harmonia. We dwójkę z Estevanem wypracowali sobie delikatną harmonię, nie byli do końca kochankami, lecz z drugiej strony więcej niż przyjaciółmi: mieszanka miłości, przyjaźni i rywalizacji. Potem zjawiła się Xia z oczami jak rzeczne rozlewiska i włosami barwy północnego nieba. Początkowo harmonia objęła całą trójkę, choć tylko Michael był jej kochankiem. Echa tamtych czasów przebijają się przez mruczenie Kamieni, błyszczące niczym złota żyła w gorącym, nieruchomym powietrzu. Ich stłumione akordy porwały go ze sobą, pomruk burzy, słodki dźwięk paznokci na rozgrzanej miłością skórze, woń deszczu w pyłe i zapach świeżo umytych włosów. Pamiętam...

Ból kolan i żar słońca wyrwały go w końcu z zamyślenia. Przysnąłem? Michael podniósł się zeszywniały. Marzyłem o Xii? Rodzący się ból głowy pulsował u nasady czaszki i Michael zamrugał, gdy oślepiły go ostatnie promienie zachodzącego słońca. Ach, Xia. W końcu nadeszła burza, a po niej nieodwołalność pustej pracowni w zimowe popołudnie, starannie zasłanego łóżka, braku jej ubrań i drobiazgów niczym krzyk wśród chłodnego półmroku.

Nigdy nie podejrzewałem, że tak się stanie. Michael skrzywił się, gdy stąpnął na obłuzowany kamień i ból szarpnął jego nogą. Tutaj, w Starym Taos, powinien być coś usłyszeć. Na pewno wszyscy wiedzieli o niej i Estevanie. Zabolało go, gdy odkrył, że odeszła. Ta wiadomość oszołomiła go. Dotarła do niego w niecałą godzinę po tym, jak przekroczyła próg domu Estevana. Nigdy bym nie zgadł, pomyślał i zamknął oczy. Co zabolało go bardziej — zdrada Xii czy Estevana? Nigdy się nie domyśliłem, że on i Xia...

— Nie jesteś moją córką
możliwe.

powiedział na głos. — To nie-

Rano Michael wyruszył na poszukiwanie Cecelii Lujan, jednej z jego stałych modelek. Znalazł ją w sklepie federalnym, pochłoniętą przyklejaniem cen na melony, na które za nic w świecie nie mogłaby sobie pozwolić przy swojej państwowej pensji, a na jej twarzy malował się pogodny smutek.

— Znowu Carl? — zapytał ją, dotykając podlewane podpowierzchniowo melony.

— Posprzeczaaliśmy się i nie wrócił wczoraj do domu po rodeo. Carl pracował w wodociągach, a po godzinach dorabiał sobie

jako „tubylec”. Przykrywał wszczepy i tatuaże makijażem i kręcił się wśród turystów ubrany w dżinsy, koszulę i buty z prawdziwej skóry.

— Zapomniałem, że to weekend rodeo. — Michael powąchał pokryty siateczkowanym wzorem kantalup i włożył go ostrożnie do wózka.

— Sama chciałabym zapomnieć. Miasto pęka w szwach, robię w nadgodzinach w hotelu i w gospodzie. — Cecelia była pełnoetatowym pracownikiem Biura; z twarzy Indianka Pueblo, z pochodzenia po części Baskijka i Meksykanka. — Nie wiem, kiedy będę miała trochę czasu dla Carla, a on zaraz pomyśli, że się wściekam, bo poszedł do Marii. — Odgarnęła czarne włosy z szerokiej twarzy, złościąc się nie na Carla, lecz z powodu nieuniknionego nieporozumienia.

Cecelia była najbardziej wyrozumiałą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, i nie wypływało to ani z potrzeby, ani z lęku. Potrafiła się solidnie zezłościć i zdrowo przyłożyć w napadzie gniewu, lecz umiała wybaczać szczerze i bezwarunkowo. Michael objął ją ramieniem, czując w nozdrzach zapach potu i kobiecego ciała.

— Masz może czas na pozowanie? Nie zajmę ci więcej niż godzinę. Dorzucę łapówkę do zwykłej stawki — dodał, gdy zaczęła kręcić przecząco głową, i wyciągnął kantalup z koszyka.

Cecelia wybuchnęła śmiechem.

— Zgoda. Carl uwielbia kantalupy, ale o dziesiątej muszę być w gospodzie.

— Nie ma sprawy. — Michael wyładował skromne zakupy oraz melona na taśmę kasy i przesunął kartą przez czytnik. Nawet Biuro nie zdołało zmusić sklepu do powrotu do kasjerów i monet.

Cecelia czekała przy wyjściu. Wziął do ręki plastikową torbę z zakupami, a melona wcisnął pod ramię.

— Kiedy zamierzasz zaprosić Chris do łóżka? — zapytała, kiedy przechodzili przez niewielki parking. — To musi być dla niej bardzo trudne, zjawienie się tej dziewczyny, dzieciaka Xii.

— Mój Boże. — Michael prawie upuścił torbę.

— Daj spokój. — Cecelia gwałtownie pokręciła głową. — Jesteśmy w Starym Taos, pamiętasz? Jej list trafił do katalogu poste

restante na pocztce, a wydruki sporządza Maria Torres. Maria ma najdłuższy język w całym mieście. Czego się spodziewałeś?

W rzeczy samej, czego?

— Czy wszyscy w Taos już wiedzą o moich sprawach? Co się tyczy Chris, jesteśmy przyjaciółmi i tyle. Jak możesz... — Pokręcił głową w lekkim oszołomieniu. — Ten list nie ma z nią nic wspólnego.

— Maria nie rozpowiada wszystkich twoich spraw. Tylko te, które interesują twoich przyjaciół. Lubię Chris. — Ciemne oczy Cecelii były zamysłone. — Może powinieneś co jakiś czas oderwać się od tych twoich kamyków, co?

Chris? Nie. No, może i czasami zachowywała się tak, jakby była zainteresowana, ale była cholernie młoda.

Cóż, miał sześćdziesiąt lat, kiedy Xia zjawiła się w mieście, a ona była wtedy po dwudziestce. Michael przełożył torbę do drugiej ręki, czując nieoczekiwane zakłopotanie. Tak, Chris zależało na nim, a on nie dopuszczał tej myśli do siebie. Co jeszcze ukrywał przed samym sobą? Nie był pewien, czy chciał się tego dowiedzieć.

— Jeśli masz być w gospodzie na dziesiątą, powinniśmy się pośpieszyć — powiedział.

Na szczęście dom Archenwald-Shena robił wrażenie opustoszałego, tak długo jak nie zwracało się uwagi na niematerialny cień ochrony. Michael zostawił zakupy i łapówkę dla Cecelii w kompletnie zmodernizowanej kuchni, czując, że lepi się od potu i jest skonany po tym krótkim marszu.

Starzał się, mimo wysiłków fachowców z serwisu tkanek. Nie cieleśnie. Może i dobiegał dziewięćdziesiątki, lecz jego ciało należało do pięćdziesięciolatka. A jednak czuł się staro. Michael zamknął na chwilę oczy, oczyszczając umysł, przygotowując się. Cecelia zdążyła już usadowić się przy Kamieniu Drzew. Pozowała dla niego wiele razy jako stabilne źródło ciepła i seksu. Oczy miała zamknięte, głowę odchyliła do tyłu i oparła o chłodną bryłę Kamienia; oddychała powoli. Nie musiał już nawet wprowadzać jej w trans. Michael przykucnął obok niej. Niektórzy młodzi rzeźbiarze podawali modelom narkotyki i stosowali sugestię wirtualną, nie dbając o to, że chemiczna mgiełka przesłaniała szczegóły końcowego rezonansu. Robili to ze względu na szybkość — by wyprodukować dojrzały obelisk w pięć lat zamiast w dwadzieścia czy trzydzieści.

Manufaktury. Michael stłumił przyływ pogardy, uspokoił się raz jeszcze. Myśl o Kamieniu Drzew... wsłuchaj się... Dotyk jego dłoni rozbudził Kamień i Michael zadrżał, czując znajome rozsze-

rzenie świadomości. Naukowcy rozprawiali o synchronizacji fal mózgowych i rezonansach rytmu alfa; Michael wiedział tylko tyle, że po rozbudzeniu Kamień stąpił się ze słuchaczem — kochankiem obcych asteroid, spijającym marzenia. Michael zamknął oczy, wyraźnie świadom obecności Cecelii, jej zmęczenia, delikatnego podrażnienia pełnego pęcherza, cichego szmeru jej uczuć.

— Opowiedz mi o Carlu — wyszeptał. — Wczoraj wieczorem zachował się jak gówniarz. Wrzeszczeliście na siebie.

— Zachował się jak świnia, narzekając, że w domu nie ma niczego do jedzenia, chociaż wiedział, że oboje przepracowaliśmy ostatnie dwadzieścia godzin. Po prostu miał chętkę na Marię, mógł po prostu to powiedzieć, ale musiał zachować się jak samiec, sam wiesz.

W jej głosie dało się wyczuć skrucę, bo sama też brała udział w ich pełnej wrzasków sprzeczce, nie gniewała się już, gierki Carla

bawiły ją i doprowadzały do rozpacz, była gotowa wybaczyć, pomóc zaleczyć rany...

Tego właśnie potrzebował Kamień Drzew.

— Wiesz, czasami straszny z niego dzieciak. Rozumiesz, wkurwia się i wrzeszczy na mnie, a tak naprawdę jest zły na siebie, bo mu wstyd, że ma ochotę na Marię. Znasz mój charakterek...

„Osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza”, powiedział Estevan. „Wątek bierze się z modelu”. Kamień Drzew spijał rozwijane nic po nici emocje Cecelii: ukrytą w sprzeczce miłość, zrozumienie Michaela, że to miłość tworzyła trwałą podstawę, dzięki której Carl i Cecelia od dwunastu lat byli razem w tym zamkniętym mikrokosmosie miasta, bez względu na to w czyich łózkach się znaleźli. Powoli wplatał te wątki miłości, zrozumienia i przebaczenia w rozdartą strukturę Kamienia Drzew. Stopniowo dysonans ucichł, poszarpane krawędzie harmonijnie się wygładziły. Twarz Carla wypełniła jego umysł, zbyt młoda i uśmiechnięta — tak Cecelia przestrzegą swego kochanka. Michael pozwolił, by zatopiła się w Kamień. Nie za głęboko... Uniósł dłoń, poczuł elektryzujące uktucie towarzyszące rozłączeniu, poczuł, jak Kamień na powrót zapada w drzemkę.

— Dziękuję, Cecelio — powiedział cicho.

— To wszystko? — Odrzuciła włosy do tyłu, podniosła się i ziewnęła. — Daj mi znać, kiedy znowu będę ci potrzebna. I dzięki za melona.

Michael słuchał cichnącego odgłosu jej kroków, trzaśnięcia drzwiami. Zmęczony tym kontaktem, na wpół przysypiając, pozwolił, by harmonie Kamienia uniosły go delikatną falą zmysłów i uczuć, powolnym rytmem przyływów i odpływów życia. Na wpół widoczne, przelotne obrazy ludzkich twarzy, bylicy, krzewów różanych i sosen przemykały przez jego mózg, niosąc ze sobą subtelne wspomnienia. Ujrzał płytką rzekę w lecie, rukiew wśród gładów. Hondo. Często chodzili tam na pikniki, on i Xia. Któregoś popołudnia znalazła tam wypolerowaną kozią czaszkę. Kozia neandertalska, tak ją nazwała i powiesiła na ścianie w pracowni. Wciąż jeszcze tam wisiała, gładka i poźółkła niczym stara kość słoniowa.

Nie mogąc się pozbyć poczucia winy, Michael uświadomił sobie, że szuka Xii w Kamieniu Drzew, przesiewa rezonanse niczym naręcze jesiennych liści w poszukiwaniu idealnego złocistego odcienia. Takich rzeczy nie wypadało robić z Kamieniem innego rzeźbiarza. Czując się jak podglądacz, zerkający przez okno twórczości Estevana, wziął się w garść, by wstać.

I nagle zjawiła się Xia, szmer obecności, który sprawił, że aż zadrżał z potrzeby wyciągnięcia dłoni i dotknięcia jej. Michael przykucnął, niezgrabnie podginając pod siebie stopy, zamierając w bezruchu.

„Bez względu na to, co robię, odpycha mnie, Estevanie, chowa się w tych swoich przeklętych kamieniach. Czy muszę w niego czymś rzucić? Czy muszę go zabić, by zrozumiał, jak bardzo go kocham?”

— Wcale tak nie było! — Wystraszony dźwiękiem własnego głosu Michael się wywrócił, uderzając kolanem o posadzkę. Wcale tak nie było. Była rozgoryczona i upierdliwa, bo jej kariera tancerki ugrzęzła na mieliźnie, podczas gdy o nim robiło się coraz głośniejsze. Żądała, by poświęcał uwagę wyłącznie jej, czepiała się go, kiedy pracował przy Kamieniach, raniła go ostrymi słowami, odpędzała od siebie.

Kłęcząc na podłodze, Michael usiłował ponownie ją odszukać, lecz jej głos zniknął, samotna ulotna nuta zatopiona w symfonii dekad. Bez cienia wstydu Michael przetrząsał rezonanse i znalazł chwilę intensywnego bólu, kiedy Estevan powiedział: „Tak, tak, możesz tu zostać, ale to zrani M'kile'a, a niczego nie rozwiąże. Dlaczego wy dwoje chcecie rozerwać mnie między sobą?”

Nie. Estevan zdradził go, zdradził ich przyjaźń. Było zupełnie inaczej. Michael wypadł z pracowni, pędząc zwirowym podjazdem, a lata krążyły wokół jego głowy niczym zeschnięte liście. Próbował je pochwycić, lecz prześlizgiwały mu się między palcami. „Ukradł mi ją. Zdradziła mnie”. Odwrócił się od ich zdrady, przelał swą nienawiść w Kamienie. „Namiętne”, ślinili się krytycy. „Burz-

liwe".

Xia opuściła Estevana już po miesiącu, wyjechała z Taos. Michael

zwolnił i zatrzymał się na chodniku, omiatany ciekawskimi spojrzeniami turystów. Zignorował ich, świadom ich zainteresowania, dezaprobaty i złośliwego rozbawienia; pewnie myśleli, że się upił, naćpał albo po prostu mu odbiło. Spocony, z uniesioną wysoko głową, poszedł w kierunku swojej pracowni. Z czasem Estevan i on znowu zostali przyjaciółmi — nie takimi jak przedtem, ale przynajmniej z ich stosunków zniknęła wrogość. Estevan próbował porozmawiać z nim o Xii, lecz w końcu dał sobie spokój. Narastało między nimi milczenie, aż wreszcie zablokowało wszystko z wyjątkiem pustej paplaniny i trywialnych słów. Czasami Michael zastanawiał się, czy może to milczenie wyгнаło Estevana do Albuquerque.

— To nie była moja wina — wyszeptał Michael. — To ty mnie skrzywdziłeś.

Krzywda. Michael wyczuł ją w zatopionej w Kamieniu Xii. Żał Estevana za ich zniszczoną przyjaźnią.

Nie, nie, to ich dzieło, ich wina. Nie moja. Dobrze pamiętam.

Kamienie też pamiętały. Meduzie ciało zamrożonych dusz. Czy można skłamać Kamieniowi? Czy Kamień może kłamać?

Aleja przecież pamiętam...

Nogi Michaela rwały się do coraz szybszego marszu, do biegu. Jak gdyby były w stanie uciec przed tymi echami. Kiedy dotarł do pracowni, jego oddech przerodził się w szybkie, płytkie sapanie. Pot spływał mu po twarzy, przyklejał kosmyki włosów do karku. Skwar zawisł w pylistym cieniu pod topolą, Kamienie wygrzewały się w milczeniu w ogrodzie. Zatrzymał się przy Małym Kamieniu, czując płytkość jego młodości. Był najmłodszym z jego obelisków. Kiedy go zaczął — cztery lata temu?

— Hej. — Z cienia topoli wyłoniła się jakaś postać. — Miałem właśnie sobie pójść.

Michael spojrzał tępo na młodego mężczyznę idącego w jego stronę.

— Pamiętasz? — Słońce migotało w intarsjach jego czaszki. — Zaprosiłeś mnie, żebym pozował do jednego z nich. — Skinieniem głowy wskazał na Kamienie.

— A, tak — powiedział niewyraźnie Michael.

— Hej, nic ci nie jest?

— Nie, nie, wszystko w porządku. — Michael odwrócił się od sztucznie idealnej twarzy chłopaka i złożył dłonie na Kamieniu Słońca. Poczłł wiecej niź ciepłł, rozgorączkowany żar, jego rezonanse wpłynęły w jego duszę: ukłucie słonego potu na wargach, ból nadgarstków zmęczonych pieleniem. Ogród Xii. Młode mięśnie Xii. Pamiętał te nuty, pamiętał to popołudnie, kiedy obudził Kamień Słońca, by spijał jej przyjemne znużenie...

Kamień Słońca pamiętał.

Kochałem cię, Xia. Kochałem cię najbardziej na świecie. Nigdy cię nie skrzywdziłem. Nie zasłużyłem na to, co mi zrobiliście... Ty i Estevan. Dlaczego nie potrafił odnaleźć tych rezonansów w Kamieniu? Musiały tam być. Przecież pamiętał...

— Co wy z tego macie? — Chłopak spojrział Michaelowi prosto w twarz. — No, to wy robicie ten towar. Jak się teraz czujesz?

— Co ja z tego mam? — Michael zaśmiał się ochryple i chłopak cofnął się o krok. — Naprawdę myślisz, że pamiętasz, co wydarzyło się wczoraj? Cały ten ból? Może wszystko zmieniamy, może przeszłość jest tylko naszym wytworem. — Chłopak wlepiął w niego zdumione spojrzenie, może nie zaznał żadnego bólu, o którym mógłby zapomnieć. — Masz. — Michael przeszedł przez ogród czterema długimi krokami i chwycił wiszącą na ganku kozią kamizelkę. — Chodź tutaj. — Chwycił chłopaka za ramię i bez zbędnej delikatności zaciągnął do Małego Kamienia. — Siadaj. — Pchnął go na ziemię obok kamienia, ciskając mu kozią kamizelkę na kolana. — Baw się nią — wydyszał. Kamień zbudził się pod jego ręką, reagując, wchłaniając bodźce. — Dotknij jej. To zwierzęca skóra, tak miękka i jędrna jak twoja własna. Ktoś zdarł ją z ciała tej kozy, wbił palce we włosie i śliskie, skrwawione błony, szarpiąc ją, ciągnąc. — Spojrział w skierowaną ku górze twarz chłopaka, oddychając pospiesznie, zaciskając pięści. — Mięśnie drgały, gdy zdzierano tę skórę, czerwone, surowe ciało zlane krwią. Może... to zwierzę jeszcze czuło — powiedział cicho. — Może jakaś część jego umysłu zachowała jeszcze świadomość, rozwrzeszczana, zatopiona wśród ciszy.

Chłopak wlepił w niego spojrzenie swych szeroko rozwartych oczu, mnąc kozią skórę w zaciśniętych garściach, pożądając krwi i bólu, pragnąc go...

— To ty jesteś tą kozą — wyszeptał Michael. — To twoja skóra oddziela się od ciała, twoja krew wsiąka w piach, nogi kopią ziemię, i umierasz, próbując uciec, próbując się wyrwać... jakie to uczucie?

— Jezu. — Różowy czubek języka chłopaka przesunął się po jego pobladłych wargach. — To... obleśne.

— Pragniesz jej. — Michael chwycił róg kamizelki i przesunął nim po policzku chłopaka powoli, zmysłowo. — Pragniesz tego bólu. Pragniesz go...

— Przestań — chłopak wyrwał się i wstał, odtrącając kamizelkę, jego twarz lśniła od potu. — Popieprzyło cię, co z ciebie za zbok, facet. — Odskoczył do tyłu przygarbiony, spięty. — Nie wiem, czego, kurwa, chcesz, ale ja w to nie wchodzę.

Michael patrzył, jak chłopak przebiega przez ogród i znika za budynkiem pracowni. Dlaczego to zrobiłem?, zastanawiał się, schylając się po kamizelkę. Jego ręce drżały, otrzepał kurz ze skóry w nagłym przyptywie wściekłości. Jakiego efektu poszukiwał? Nuty młodzieńczej, sadomasochistycznej żądzы krwi? Nawet nie wprowadził go w trans, a Mały Kamień i tak nie potrzebował podobnej nuty.

A może i tak. Zarzucił sobie kamizelkę na ramię. Krytycy nie określali już jego Kamieni mianem burzliwych. „Stonowane”. Tego słowa używali najczęściej. „Stabilne”.

Mały Kamień drzemał na słońcu, cymbały przerażenia, żądzы, lęku chłopaka pobrzmiwały w jego przytłumionej pieśni. Czy to twoja krew, Estevan? Czy to nią zbryzgałem jego powierzchnię? Co czułeś, widząc nadjeżdżający pociąg i wiedząc, że zaraz zginiesz? Co wtedy czułeś? Michael przyłapał się na tym, że pociera dłońmi o spodnie. Tak jakby były brudne — albo splamione krwią.

Kozią czy Estevana?

— Przychodzę nie w porę? Może przeszkodziłem? — Archenwald-Shen uśmiechnął się do niego z cienia ganku. — Pani Neiman

nie mogła się do pana dodzwonić przez terminal, pomyślałem więc sobie, że zajrzę do pana. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu? — Jego ton jasno dawał do zrozumienia, że jest to czysto retoryczne pytanie.
Jak długo tam stał?

— Czego pan chce? — zapytał Michael.

— Kupić jeden z pańskich obelisków. Do mojego biura. — Rozejrzał się po ogrodzie głodnym wzrokiem. — Powiedziała, że być może wkrótce będzie pan miał coś gotowego. Jestem skłonny zapłacić za niego z góry.

Kamień Słońca był gotowy. Kamień Słońca nie zmienił się

znacząco od wielu lat. Kamień Słońca to Xia sprzed zdrady, zanim odeszła. I nie chciał go utracić.

— Bardzo mi przykro. — Michael odwrócił głowę, skrzecząc ochryple niczym sroka. — Nie pracuję na zamówienie, a w tej chwili nie mam na sprzedaż żadnych obelisków.

W oczach niewysokiego zarządcy nie było widać ani śladu uśmiechu na jego twarzy.

— Przykro mi to słyszeć. Ile to już... sześć lat od pańskiej ostatniej premiery.

W rzeczywistości było to jeszcze dawniej i Michael zastanowił się nagle, czy może operator celowo się pomylił.

— Obeliski wymagają czasu — powiedział i usłyszał defensywną nutę w swym głosie.

Operator też ją wychwycił i jego uśmiech wypełnił się słodyczą i uprzejmością.

— Ostatni Kamień Dannersa wywołał nie lada sensację w Nowym Tokio — wymruczał. — Pracuje w podmorskiej kopule. Słyszałem, że uzyskuje fantastyczne harmonie z martwych koralowców. Jego najnowszy obelisk miał zaledwie siedem lat.

O, nie, ten sflaczały operator wcale nie był głupi. Wiedział, gdzie uderzyć, by sprawić ból. Michael obnażył zęby.

— Danners faszeruje swoich modeli narkotykami. Zawsze mu się spieszy.

— Krytycy go uwielbiają — uśmiechnął się Archenwald-Shen.

— „Mocny, świeży głos”, chyba tak go nazwali, o ile sobie przypominam. „Rzeźbiarz na miarę naszych czasów”.

— Przykro mi. — Michael na oślep poszukiwał spokoju, schwytany pomiędzy pieśń Xii zatopioną w Kamieniu Słońca a nowe chropowate nuty, jakie dopiero co wplótł w Mały Kamień. — Jestem... w trakcie pracy. Będzie pan musiał odejść. — W jego gniewie nie było siły, jedynie strach.

Archenwald-Shen usłyszał i to, i uśmiechnął się łagodnie.

— Proszę wracać do pracy. Szkoda, że będę musiał zadowolić się Dannersem. — Ukłonił się i oddalił ścieżką, uśmiechnięty, jak gdyby wygrał jakiś pojedynek. Może tak właśnie było. Michael odwrócił się, jego napięta skóra pod przeupoconym ubraniem robiła

wrażenie kruchej niczym wypalony żarem słońca plastik.

Żądza krwi i przerażenie chłopaka wyciągały ku niemu swe macki z Małego Kamienia. Dlaczego to zrobiłem? Michael zatrzymał się przed nim, nie dotykając jego powierzchni. Bo Mały Kamień był bez wyrazu. Bezbarwny. W tej przerażonej nucie żądzy krwi pobrzmiwała... rozpacz. „Osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza”.

Czy rzeźbiarzowi może zabraknąć duszy, Estevan? Czyjej zasoby są ograniczone? Co się stanie, jeśli pozbawione duszy ciało żyć będzie dalej? Co wtedy zostaje? Możesz mi to powiedzieć?

Dlaczego umarłeś?

Cisza. Kamienie spały, wypełniając rozgrzane powietrze echemi setki ludzkich żywotów — nutami śmiechu, zmęczonych rozmów w chłodnym mroku poranka, szeptanych chwil miłości i przyjaźni. Strzępki przeszłości dryfowały w powietrzu niczym skrawki papieru. Michael wyczuwał uśpienie Starego Taos, zamrożonego meduzim spojrzeniem Biura w nie ulegający zmianom kamień, idylliczny okrusz przeszłości. Zadrżał, słysząc w muzyce Kamienia Słońca westchnienie Xii. Ona jest prawdziwa, pomyślał. Tu, w tym ogrodzie, w tej chwili, Xia — młoda tancerka medialna, jego kochanka, Xia. Ta Xia, zatrzymana na zawsze w jego ogrodzie, nigdy go nie porzuciła, nigdy go nie opuściła. Była bardziej rzeczywista od córki czekającej na jego telefon w hotelu w Albuquerque.

„Jest pan moim ojcem”.

Potykając się o grudy spieczonej na kamień ziemi, Michael wrócił do pracowni. Kozia czaszka potyskiwała na ścianie nad kanapą. Michael zamrugał, jego oczy powoli przystosowały się do półmroku po oślepiającym blasku słońca. Lekko drżącymi dłońmi dotknął ekranu terminalu, który rozjarzył się pod jego palcami. Nie mogła być jego dzieckiem, ale przynajmniej tyle był jej winien, widmowej córce z przeszłości, która do niego nie należała.

— Albuquerque Hilton. — Na ekranie pojawiła się zbyt doskonała kobieca twarz.

Hologram. Może na świecie nie było już ludzi, jedynie dwuwymiarowe cienie uplecione z chciwości lub uporządkowanych elektronów.

— Ja... próbuję skontaktować się z Margaritą Espinozą. Nie znam numeru jej pokoju — powiedział łamiącym się głosem, pot szczypał go pod pachami. Za chwilę na ekranie pojawi się jej twarz: Margaritą Espinozą. Co ujrzy? Odbicie Xii? Estevana?

Będzie musiał zapytać ją — zapytać, czy Xia jeszcze żyje.

— Bardzo mi przykro. — Doskonała twarz kobiety wyrażała autentyczny smutek. — Pani Espinozą wymeldowała się dziś rano. Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić?

Wymeldowała się? Michael poczuł lodowaty ciężar w żołądku. „Zatrzymam się do niedzieli w Hiltonie w Albuquerque. Na wypadek gdyby chciał się pan ze mną skontaktować”. Było dopiero sobotnie popołudnie.

— Proszę pana? Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić?

— Macie jej adres? — wychrypiał Michael. — Kod osobisty?

— Bardzo mi przykro, proszę pana. Nie wolno nam wyjawiać tej informacji.

— To szczególna sytuacja.

— Bardzo mi przykro, proszę pana.

— Niech cię szlag...

Obraz rozplątał się, a Michael uderzył pięścią w ekran. Wyjechała? Jak mogła to zrobić, tak po prostu wyjechać? Jak mogła? Nawet nie wiem, gdzie mieszka, do cholery, wściekł się. Nie wiem, czy Xia żyje. Niczego nie wiem.

Nie wiem nawet, czy jest moją córką.

Oparł się o terminal, dysząc ciężko. Xia mieszkała z Estevanem zaledwie przez miesiąc, zanim wyjechała z Taos. Czy w tamto zimowe popołudnie była w ciąży?

Boję się. Michael splótł ramiona, jak gdyby powietrze ochłodziło się nagle. Dlaczego boję się tej widmowej córki? Odwrócił się plecami do terminalu i przez jakiś czas błąkał się po pracowni, biorąc do ręki przypadkowe przedmioty i odkładając je z powrotem na miejsce. Jego ręka zadrżała, strącając książkę z półki. Był odrętwiały, jak gdyby wszystkie zakończenia nerwów w jego skórze nagle obumarły. Kiedy się pochylił, by podnieść zrzuconą książkę, słowa jej tytułu rozmyły się w bezsensowną plamę atramentu. Odłożył ją starannie na miejsce. Kozia czaszka wisiała na ścianie nad półką — koza neandertalska. Echa tamtego pikniku wykorzystał w Kamieniu Słońca. Czekają teraz na niego w ogrodzie, słońce, miłość i gładź wypolerowanej kości pod palcami Xii. Były tam. Dzień wczorajszy niejako zapamiętane wspomnienie, lecz rzeczywistość. Jego ogród był pełen wczorajszych dni.

Drżącymi rękami Michael zdjął czaszkę ze ściany.

— Michael? — Chris podniosła wystraszone spojrzenie znad biurka. — Właśnie chciałam posłać wiadomość na twój terminal. Powinieneś był mnie uprzedzić, że przyślesz Kamień Słońca. Prawie zemdlałam z wrażenia, kiedy go wniesiono. Nawet nie miałam dla niego odpowiedniego miejsca.

— To była... nagła decyzja. — Michael unikał jej wzroku; nie mógł oderwać oczu od Kamienia Słońca. Ustawiła go na tle gładkiej płaszczyzny barwy kości słoniowej i pomysłowo oświetliła. — Kamienie Zimy, Mroku i Świtu także są ukończone — powiedział ciężko.

— Michael? — Chris wyszła zza biurka, w jej głosie pobrzmiwał niepokój. — Jesteś pewien? No, wiesz... myślałam, że jeszcze są niegotowe.

— Były gotowe od lat.

— Nie posyłałam Archenwald-Shena do twojej pracowni. — Chris położyła dłoń na jego ramieniu. — Proszę, uwierz mi. Kiedy mi o tym powiedział, wściekłam się i dałam mu to odczuć. Co oznacza, że zapewne odtąd będzie robił interesy z galerią Cnchlowa, ale co mi tam. Tak mi przykro, że ci się narzucał... — Jej oczy powędrowały w stronę korytarza, zatrzymując się na stojącej tam torbie. — Co to? — Jej twarz zbieleła jak kreda. — Jedziesz się z nią spotkać, prawda? Z tą... kobietą.

— Ona wyjechała. — Michael odwrócił wzrok, starając się ignorować łagodny szept Kamienia Słońca opowiadający o słońcu i Xii. — Jadę ją odszukać. Muszę się z nią spotkać, Chris. Bo jest dniem dzisiejszym, nie wczorajszym. Potrafisz to zrozumieć? — zapytał, a w jego głosie zabrzmiała błagalna nuta.

— Nie, nie rozumiem. — Głos Chris nabrał ciepłego zabarwienia. — Kiedy wrócisz? Co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

— Że... że nie wiem, kiedy wrócę.

Przez czas równy trzem uderzeniom serca, Chris po prostu patrzyła na niego.

— Xia uciekła z twego życia dwadzieścia lat temu. — Jej słowa były łagodne, szmerzące, niewiele głośniejsze od szeptu. — Nie wiesz, czy ta kobieta jest twoją córką. Nie przysłała ci swojego profilu DNA. Wystarczyło, że pstryknęła palcami, a ty wypuszczasz się na próżne poszukiwania. Michael, to głupota.

Michael tylko zamrugał, pieśń Kamienia Słońca ucichła zagłuszona łzawą nutą w głosie Chris. Nie powinienem był do tego

dopuścić, pomyślał. Powiniennem był to przerwać.

— Tu nie chodzi o Xię czy Margaritę Espinozę — powiedział łagodnym tonem. — W towarzystwie moich duchów byłem szczęśliwy. — Stare Taos było jajkiem, doskonałym i niezniszczalnym. Nigdy nic by się z niego nie wykluło, ani brzydkie kaczątko, ani sęp czy paw. Pozostałoby jałowe. — Zbyt długo tu mieszkam. — Dotknął policzka Chris, a cierpienie lśniące w jej oczach sprawiło mu ból. — Przepraszam.

— Nie przepraszaj. — Odtrąciła jego dłoń. — Nie musisz za nic przepraszać. Nie jestem w tobie zakochana, Michaelu Tryon. —

Sporunowała go wzrokiem, zaciskając wargi. — Spodziewasz się odnaleźć swoją kochankę sprzed dwudziestu lat? Myślisz, że to wciąż będzie ta sama kobieta, że po prostu wprowadzisz się do niej, zaczniesz tam, gdzie przerwałeś, i będziesz odtąd żył w jakiejś cudownej nibylandii?

Michael pokręcił głową, uciszony jej gniewem i bólem.

— Nie jedź. — Chris ścisnęła go za rękę, nie odrywając od jego twarzy swych oczu brązowych niczym letnie rozlewisko Hondo. — Michael, twoje moreny nie mają sobie równych. Dlaczego to robisz?

Miasta przerażały go. Ich scyborgizowane i wytatuowane tłumy, osieciowane i niedostępne tłamsiły go, zatapiały w otchłani ciszy i zgiełku. Pożrą go tak, jak pożarły Estevana. Michael zadygotał i podszedł do Kamienia Słońca, kładąc na nim dłoń. Ogarnął go suchy żar zmierzchu, przesycony pikantną wonią sosnowych igieł i zapowiedzią wieczornego chłodu. Chris miała rację z tymi morenami. Mógłby tu zostać. Pokochałaby go, gdyby jej pozwolił. Może nawet już się to stało.

„Kocham cię”, wyszeptła Xia z pieśni Kamienia Słońca.

Jedynie Kamienie pamiętajaprawdę. Ludzie to niedoskonałe urządzenia, a ludzka pamięć ma skłonność do zniekształcania faktów. Kim był Michael Tryon, którego pamiętała Xia...? „Czy muszę w niego czymś rzucić... ?”

— Zamknąłem się za murami przeszłości — powiedział. — Boję się z nimi rozstać. — To on był tym jajem, pomarszczonym żółtkiem w dającej poczucie bezpieczeństwa skorupie. Dannersowi wystarczyło siedem lat na ukończenie Kamienia. Krytycy za nim przepadali. Estevan znalazł śmierć, kiedy opuścił Taos. Co czekało na niego? — Mały Kamień potrzebuje wykończenia — powiedział Michael, słysząc lęk w swym głosie.

Chris także go usłyszała.

— Ale jeszcze nie teraz?

— Nie teraz. — Może nigdy. Może po przekroczeniu bramy rozsypie się w proch niczym mumia po podniesieniu szczelnej pokrywy sarkofagu. Może było już za późno. — Moja... córka uciekła przede mną — powiedział. Bała się? Bała się, że nie zadzwoni,

czy tego, że zadzwoni? Michael zarzucił torbę na ramię, czując przez śliskie płótno kanciaste krawędzie koziej czaszki. Kim jesteś, Xio, starsza o dwadzieścia lat? Kogo kochałaś? Kogo nienawidziłaś? Przerażasz mnie. Pchnęłaś ku mnie córkę, i moja skorupa pękła. Wpuściłaś do środka terazniejszość.

— Michael... — Chris odwróciła się pospiesznie. — Powodzenia — powiedziała, zwrócona do niego plecami. — Daj mi znać, gdzie się zatrzymasz, dobrze?

— Dobrze — powiedział cicho Michael. — Dzięki, Chris. — Przy odrobinie wysiłku każdego można odszukać. Nawet samego siebie? Michael wyprostował się, podniósł torbę i wyniósł swój lęk na dwór, w głąb zakurzonego, beczasowego jaja, jakim było Stare Taos. Jeśli się pospieszy, złapie popołudniowy autobus do Albuquerque.

Rozdział drugi

Autobus do Albuquerque odjeżdżał z placu przed hotelem „Stare Taos”. Michael szedł pospiesznie zakurzoną ulicą, unikając ludzkich spojrzeń, w obawie przed spotkaniem Cecelii, Carla czy innego znajomego. Czasu nie miał za wiele — zaplanował to tak, by nie stać beczynnym z torbą na placu. To było Stare Taos: na pewno wszyscy już wiedzieli, że wyjeżdża, by odszukać córkę Xii. Która również mogła być jego córką, nieważne jak bardzo pragnął temu zaprzeczyć.

I dlaczego tak bardzo chciał temu zaprzeczyć? Michael zwolnił, zerkając na swe odbicie w oknie wystawowym pełnym srebra. Ponieważ to dziecko — ta kobieta — stanowiła symbol? Symbol zarówno miłości, jak i odrzucenia? Dlaczego mi nie powiedziałaś, Xia? Mogłaś powiedzieć.

Ale czy to by cokolwiek zmieniło? Michael pokręcił głową i spojrzał niespokojnie w górę ulicy, nagle wystraszony, że mógłby spóźnić się na autobus, że wpadnie zadyszany na plac, by ujrzeć chmurę kurzu i gromadkę ciekawskich.

Gdyby się spóźnił, nie miałby dość odwagi, by czekać na następ-

ny. Miał wrażenie, jakby w murze otaczającym ten zastygły okruch czasu otworzyło się okno, umożliwiając mu skok ku wolności.

Najmniejsze zawahanie pozwoliłoby mu się zamknąć i pozostałby tu uwięziony na wieki. Wyobraźnia płatała mu głupie figle, ale przyspieszył kroku, pocąc się w blasku słońca, odpychając niczego nieświadomych turystów. Dolores wyszła ze swego sklepu, kiedy go mijał, i pomachała ręką. Poziom adrenaliny w jego krwi podniósł się gwałtownie i Michael się przygarbił, udając, że jej nie zauważył. Czuł się niczym ścigany więzień, jak gdyby wszyscy mieszkańcy Taos podążali w ślad za nim, by spotkać się na placu i zawlec go z powrotem do pracowni.

Wyszedł na plac, słysząc jedynie irytujące skrzeczenie sroki, dostrzegając wyłącznie paru turystów udających się do swoich hoteli w Albuquerque po kosztownym noclegu w Starym Taos. Żadnych tłumów. Michael zwolnił kroku, oddychając ciężko, walcząc z lekkim zawrotem głowy wywołanym pospiesznym marszem przez rozżarzone uliczki. Autobus był starym municypalnym pojazdem, zakurzonym i archaicznym, przynajmniej z zewnątrz. Element lokalnego kolorytu. Michael ustawił się w kolejce za szczupłą kobietą w fioletowym kombinezonie, która wchodziła właśnie do autobusu po wyściełanych chodnikami schodach. W drzwiach kierowca wyciągnął rękę po kartę Michaela, przesunął ją niedbale przez czytnik i oddał mu, skinąwszy przy tym głową. Znudzenie promieniowało z jego meksykańskich rysów twarzy, jedynie gdy sięgał po torbę Michaela, błysnęła tam przelotna iskierka pogardy. Wyblakły nylon torby nie pasował do kosztownych waliz ustawionych starannie w bagażniku autobusu.

Michael zastanowił się przez chwilę, czy któraś z nich kryła w swym wnętrzu kozią czaszkę. Zapewne nie. Włożył kartę do kieszeni i zanurzył się w mrocznym wnętrzu autobusu. Jonasz połykany przez wieloryba? Zerknął na półkoliste sklepienie nad swoją głową i podążył między rzędami foteli, a pot na jego skórze schłodził się natychmiast w zetknięciu z klimatyzowanym powietrzem. Zamiast staroświeckich siedzeń na dywanie ustawione były wygodne obrotowe fotele, z obu stron zaopatrzone w maleńkie stoliki. Wiek-

szość spośród nielicznych turystów zgromadziła się z przodu pojazdu; Michael opadł na fotel w tyle. Purpurowa, aksamitna tapicerka jakby zassała go do swego wnętrza, wypijając resztkę energii z ciała, tak że legł bezwładnie i nieruchomo w jej uścisku.

Przez filtrujące promienie ultrafioletowe szyby plac robił wrażenie małego i nierzeczywistego, niczym scenografia do filmu. Jaka w pewnym sensie był. Tak dobrze tu pasuję, pomyślał Michael, spoglądając w stronę ulicy prowadzącej do galerii Chris. Nikt go nie ścigał. Nikt nie wybiegł na plac, by go pochwycić i zatrzymać siłą. Może więc jednak nikt się nic zorientował. Poczuł niespodziewane ukłucie żalu. Pod warstewką szlachetnego postanowienia o wyjeździe kryło się pragnienie, by ktoś zawołał go z powrotem, i prawda ta miała gorzki smak. Gdyby Chns pobiegła w ślad za nim, dałby się

jej przekonać do pozostania. Ponieważ się bał.

Czego?, zapytał sam siebie, lecz nie znał odpowiedzi na to pytanie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. W przodzie pojazdu kierowca opadł na swój fotel i drzwi zamknęły się z sykiem. Michael zamknął oczy, a stopami wyczuł, jak autobus zbudził się do życia. Żadnego ryku silnika spalinowego: Biuro wymagało jedynie powierzchownego dostosowania się do zabytkowego otoczenia; dzięki i za to. Hotel „Taos” przesunął się za oknem i przez bolesny ułamek sekundy Michaelowi wydawało się, że widzi Xię siedzącą przy stoliku na jego dziedzińcu. Potem tamta kobieta obróciła głowę i ujrzał, że wcale jej nie przypominała, nie była nawet Meksykanką.

Hotel zniknął i zastąpiła go przesuwająca się płynnie panorama sklepów, galerii, pensjonatów. Wczoraj stanowiły część krajobrazu. Dziś, oglądane przez zniekształcającą obraz szybę autobusu, wyglądały obco.

— Witam na pokładzie, panie Tryon. — Szczupły młody człowiek o jasnych włosach spadających na ramiona zatrzymał się przy jego fotelu. — Dzisiaj jedziemy trasą turystyczną przez kanion Rio Grandę, z krótkim przystankiem na posiłek i zwiedzanie. — Na jego twarz wy płynął nieskazitelny, profesjonalny uśmiech. — Jestem Antonio, pański opiekun na czas podróży. Napije się pan czegoś zimnego? Czegoś syntetycznego dla zintensyfikowania doznań?

— Nie, dziękuję. — Michael odwrócił spojrzenie od doskonałej twarzy Antonia. Ten człowiek stanowił całkowite przeciwieństwo tamtego smarkacza. Nie był wcale pewien swojej przyszłości. Był gotów ją kupić, a cena malowała się wyraźnie na jego twarzy. Pewność stanowiła kosztowny luksus w tym świecie. Michael pomyślał nagle, że zapomniał oddać Dolores kamizelkę z koziej skóry. Może to dlatego na niego machała — by mu o tym przypomnieć, a nie by się pożegnać lub go zatrzymać.

Czy ktoś w ogóle się przejął jego wyjazdem?

Chris. Michael odchylił się w fotelu, pozwalając, by objął go niczym kołyska. Pośle jej e-maila z Albuquerque i poprosi, by zwróciła Dolores kamizelkę. I co jeszcze? Powie jej, że jeśli myślała, że go kocha, to jest w błędzie? Powiedziała, że go nie kocha. Michael 7 nagłą intensywnością zapragnął, by była to prawda. Michael Try on, którego znała, był jedynie pustą skorupą. Przełał swą duszę w Kamienie, by sięgnąć błota na dnie studni. Nie chciał, by Chris kochała tego człowieka.

Jeżeli istniało źródło mogące na nowo go napełnić, nie było go w Taos. Za oknem przesuwająca się szara pustynia, skalista i martwa, tu i ówdzie urozmaicona splątanymi resztkami starych ogrodzeń i rozpadającymi się zszarzałymi szopami, które zatapiały się z wolna

w rosnącej gdzieniedzie bylicy. Wieki irygacji pozostawiły na powierzchni ziemi rozległe, idealne kręgi białej soli. Co też rośnie na tych polach, zastanowił się Michael, zanim gleba stała się zbyt zasolona?

Autobus zwalniał, choć miękki szmer silnika nie zmienił swej nuty. Byli już prawie przy moście na Rio Grandę i kierowca chciał wyzyskać do maksimum spektakularny widok wnętrza kanionu. Obok Michaela kobieta w fiołkowym stroju popijała bezbarwny napój i wyglądała przez okno z twarzą równie znudzoną jak kierowca. Miała ciało tancerki, lecz jej oczy były stare. Miała profil odrobinię zbyt wyrazisty jak na współczesne standardy urody, wystające kości policzkowe i długi łuk twarzy. Michael domyślał się, że kości jej twarzy były naturalne, mimo skóry i mięśni prosto z serwisu, i gdy autobus wyjechał na most, zaczął się jej przyglądać.

Stłumione okrzyki zdziwienia i zachwytu wypełniły autobus, gdy reszta turystów, wspinając się na palce i wyciągając szyje, usiłowała zajrzeć w efektowną otchłań kanionu. Kobieta przechyliła głowę

o ułamek cała i niemal niezauważalnie zacisnęła usta. Potem odwróciła wzrok i skierowała go wzdłuż koryta rzeki.

Bała się. Jej starannie skrywany lęk, wysublimowany i ostry jak brzytwa, stanowiłby idealny składnik Małego Kamienia. Uzupełniłby prymitywną żądzę krwi tego chłopaka, nadałby mu bardziej wyrafinowany charakter. Nie. Z tym na razie był koniec. Michael na powrót zatopił się w opiekuńczym fotelu, podczas gdy autobus zatrzymał się w niewielkiej zatoczce po drugiej stronie mostu.

— Przygotowaliśmy dla państwa skromny poczęstunek — oznajmił przewodnik Antonio w przodzie autobusu. — Zatrzymamy się tu na godzinę, macie więc państwo dosyć czasu, by spróbować smakołyków przygotowanych przez naszych mistrzów kuchni i podziwiać widoki. Proszę pamiętać, że nagrania wideo i dotykowe podlegają drobnej opłacie...

Ciekawe, ile pobierają za wspomnienia¹, pomyślał cierpko Michael. Nie ruszył się z miejsca, podczas gdy pozostali podnieśli się

1 z hałasem wysypali z autobusu. Przez chwilę sądził, że fiołkowa kobieta także zostanie w środku, lecz ta po dłuższym wahaniu wstała i podążyła w ślad za grupką turystów ku zastawionemu stołowi stojącemu w cieniu starożytnego zadaszania. Antonio przeszedł przez autobus, zbierając śmieci i poprawiając poduszki. Uśmiechnął się serdecznie do Michaela i przycupnął na poręczu pustego fotela kobiety.

— Kelnerzy zajmą się grupą przez parę minut. Oglądałem kiedyś jedną z pańskich rzeźb. — Stracił włosy na ramiona. — W Me-

tropolitan Museum of Art.

— Kamień Powietrza — powiedział odruchowo Michael. Ten facet poszedł go obejrzyć? Michael przyjrzał mu się czujnie, na wół podejrzewając próbę podrywu. — Wypożyczony od właściciela na wystawę sztuki współczesnej.

— Nie pamiętam, jak się nazywał. Spodziewałem się dzwonów i fletów, wizji, głosów, czegoś w tym stylu. Jak po dobrych prochach.

— Antonio zmarszczył czoło. — Sprawiał, że... Sam nie wiem. Poczułem się wzburzony, jakbym chciał wyjść i coś zrobić, rozwalić coś albo co. Może stać się kimś. No, w każdym razie podobało mi się. W każdym razie? Mimo braku dzwonów i fletów? Ciesz się tym, co masz, staruszk. Michael westchnął.

— Miło mi, że ci się spodobał.

— Ale jak pan to robi? Wypełnia Kamień... no, sam nie wiem... uczuciami? No, jak pan wybiera, co odrzucić, a co przepuścić?

— Trudno streścić doświadczenie zgromadzone w ciągu całego życia w dwudziestu pięciu słowach. — Opryskliwa odpowiedź, która zdmuchnęła go z fotela. — Chyba pójdę coś przegryźć. — Wycofał się w głąb autobusu, właśnie tak, wycofał się, gdyż doskonale odczuł to ukłucie bólu. Pytanie zostało zadane szczerze. Może Antonio naprawdę stanął przed Kamieniem Powietrza i miało to dla niego jakieś znaczenie.

Może Michael właśnie to zniszczył.

Chciał go nawet przeprosić, ale w końcu wyszedł w milczeniu z autobusu, bo właśnie zachował się jak kutas i nic, cokolwiek by powiedział, nie mogło tego naprawić. Reszta pasażerów oblepiła stół pod baczynymi spojrzeniami kelnerów w garniturach. Kilku spacerowało wzdłuż krawędzi kanionu, utrwalając głębię skalnej szczeliny swymi drogimi kamerami. Kobieta w fiołkowym stroju stała przy stole, ignorując jedzenie, jej oczy utkwione były w jej tylko objawionej wizji zawieszanej na suchym, bezlitosnym niebie. Nawet nie dostrzegła Michaela, kiedy ją mijał. Rozejrzał się dookoła. Ileż godzin spędził usadowiony na krawędzi tego kanionu, zaśluchany w skowyt wiatru wśród skał? To woda wyżłobiła ten kanał, wymywając glebę, wybierając skałę, łyżeczka za łyżeczką, tona za toną. Teraz zniknęła, rzeka wyschła. Pozostała jedynie rysa w ziemi, strasząc znudzonych turystów i zmuszając drogowców do skorzystania z pomocy inżynierów. Michael wziął do ręki skrzydełko kurczaka — oczywiście nie z prawdziwego mięsa, ale całkiem wiarygodnie podrobione — i skierował się w stronę mostu.

Tu też kryło się piękno, w precyzyjnych kątach stali i warstwach

betonu. Ile godzin cichego zamyślenia i starannych obliczeń pochłoneło opracowanie samej idei tego mostu? Spróbował zawrzeć tę bezgłośną krzątanicę w Srebrnym Kamieniu, stapiając chwile tworzenia, zmęczenia, podniecenia i znoju...

Do kogo należał teraz Srebrny Kamień? Nie wiedział i zdziwił się, dlaczego nagle ma to dla niego znaczenie, skoro dotąd było mu to zawsze obojętne. „Dla kogo to robimy?” Schyliwszy się, podniósł gładki kamyk i cisnął go w głąb kanionu. Odbił się od skalnej ściany, kreśląc długą krzywą, opadając w pozornie zwolnionym tempie na wąskie dno otchłani. Ten krótkotrwały balet kamienia i grawitacji mieścił w sobie tyle elegancji. Jak by to było skoczyć z tej skalistej półki, rozpostrzeć ramiona i pomknąć przez czyste powietrze w ramiona oczekującej kochanki-śmierci? Co kryło się pod tą delikatną, nieprzeniknioną zasłoną? Przez mgnienie oka zdawało się, że powietrze drży, jak gdyby wypełniały je fale ciepła, jak gdyby niewidzialne motyle trzepotały przed Michaeliem, muskając jego policzki swymi przezroczystymi skrzydłami. Półka pochyliła się pod jego stopami, popychając go naprzód, a on wolno, bardzo wolno uniósł rękę.

— Panie Tryon.

Łagodny głos za jego plecami sprawił, że aż podskoczył. Czyjaś dłoń spoczęła delikatnie na jego ramieniu, a potem zeszywniał, czując lekkie ukłucie bólu nad prawym biodrem.

— Chcę zamienić z panem kilka słów, i owszem, na plecach czuje pan czubek noża. — Ból na moment zaostrzył się, by zaraz złągodnieć. — Chcę tylko porozmawiać, ale nie zamierzam tracić czasu na dyskusje. Może przejdziemy do mojego samochodu? — Ból zelżał o włos.

To nie mogło się dziać naprawdę. Michael bardzo wolno odwrócił głowę, mając wrażenie, że jego szyja zrobiona jest z zardzewiałych żelaznych obejm, spodziewając się ciosu nożem. Potem spojrział w zielone niczym trawa oczy człowieka o azjatyckich rysach twarzy — kochanka tamtego operatora sieciowego. Michael nie zdawał sobie sprawy, jaki był młody — może w wieku Chris. To zdumienie musiało odmalować się na jego twarzy, gdy ż chłopak się uśmiechnął. Ta drobna scena sprawiała mu wyraźną, zarozumiałą przyjemność.

Lęk Michaela wyparował w mgnieniu oka i bez śladu.

— Z przyjemnością z tobą porozmawiam — odwzajemnił uśmiech. — Ale mój autobus zaraz odjeżdża.

— Podrzucę cię do Albuquerque. — Chłopak wzruszył krzywo jednym ramieniem, wydymając wargi w cokolwiek teatralnym gry-

masie. — Mój człowiek przeniósł twoją torbę do mojego odrzutowca. Nie boisz się mnie, jestem rozczarowany.

Czyżby w tych zielonych oczach zamigotało rozbawienie — kierowane pod jego własnym, jako Michaela, adresem?

— Nie, nie boję się ciebie. — Michael przeniósł wzrok na mordercze ostrze przebijające jego koszulę i ostrożnie je odsunął. — Właśnie się zastanawiałem, czyby sobie skoczyć do kanionu.

— I dlaczego nie skoczyłeś? — W oczach chłopaka zalśniła błyskawica, która na ułamek sekundy obróciła jego oblicze w zimny lód.

— Nie wiem. — Kogo razi ta gniewna błyskawica? Archenwald-Shena? — Chodźmy już. — Michael odwrócił się plecami do noża. — Spieszę się.

Niewielki poduszkiwiec stał zaparkowany przy drodze. Musiał już tam czekać przed przyjazdem autobusu, ale Michael go wcześniej nie zauważył. Skierował się ku niemu, starając się nie oddychać kurzem, który pozostawił po sobie odjeżdżający autobus. Prywatna licencja. Oczywiście. Archenwald-Shen mógł sobie pewnie pozwolić na dowolną liczbę prywatnych pojazdów. Umundurowany mężczyzna o jasnych włosach splecionych w gruby warkocz otworzył tylne drzwi, spoglądając na Michaela beznamiętnie zza lustrzanych szkieł. W tym spojrzeniu czaiła się wrogość, nie przytłumiona okularami. Michael skinął głową, jego bliźniacze odbicia odpowiedziały tym samym, a potem wsunął się na przepastne siedzenie.

Kochanek Archenwald-Shena usiadł obok niego. Nóż zniknął bez śladu, długie włosy przykryły jego ramiona, gdy pochylał się, by zamknąć drzwi.

— Przepraszam. — Michael rozsiadł się wygodnie, zwalczając odruchowe napięcie mięśni, gdy oparcie dostosowywało się do linii jego żeber i kręgosłupa. — Nie pamiętam twojego imienia.

— A kto pamięta? — roześmiał się chłopak, lecz w jego zielonych oczach ponownie zamigotała błyskawica. — Jestem chłopcem Archenwald-Shena, zgadza się? Nie potrzebuję innego imienia.

Tak, był młody i szczupły, ubrany w jednoczęściowy czarny strój, który nadawał jego skórze barwę starej kości słoniowej. Z bliska, nie musząc już się przejmować obnażonym nożem, Michael natychmiast dostrzegł podbite oko i sińce na policzku.

— Chciałbym poznać twoje imię — powiedział. — Co cię przy nim trzyma?

— Naprawdę musisz pytać? — Chłopak odwrócił twarz, by Michael mógł się dokładniej przyjrzeć sińcom. — Miałem o tobie lepsze mniemanie. Jestem bardzo dobrze opłacany, ma się rozumieć. — Uśmiechnął się. — Czego się spodziewałeś?

— Chyba własnie tego. — Michael zmarszczył czoło; ta szybka odpowiedź odrobinę zalatywała kłamstwem, a jednak zapewne nim nie była. — Nadal chciałbym poznać twoje imię.

— Zed. — Przez jego usta przewinął się uśmiech śliski i twardy niczym diament. — Mam na imię Zed.

Tak, pomyślał Michael, w tych oczach kryje się piorun, ukryty i starannie kontrolowany. Być może któregoś dnia zerwie się z uwięzi, porazi Archenwald-Shena i usmaży go jak frytkę. A może spali samego Zeda, rozszczepiając go niczym pień drzewa w poszukiwaniu ujścia.

— Przepraszam za moje zachowanie i bardzo mi przykro, jeśli przyczyniłem się do powstania tych siniaków.

Twarz Zeda stężała.

— Wcale tego nie powiedziałem.

Skinieniem głowy wydał polecenie pilotowi gapiącemu się beznamiętnie przez szybę.

Mężczyzna sięgnął do przyrządów, w żaden sposób nie potwierdzając otrzymania rozkazu. Poduszkowiec zbudził się do życia, natychmiast wzbijając się w powietrze na swych ustawionych pionowo silnikach.

— Tak naprawdę przyczyniłeś się w dosyć znaczący sposób. — Zed z zamyślnym wyrazem twarzy spoglądał na oddalającą się

ziemię. — Zostałem obarczony winą za uszkodzenie Kamienia Drzew. Wina zazwyczaj spada na mnie. Mam to w kontrakcie. — Strzelił szczupłymi palcami, kierując ten gest pod adresem wznoszącego się odrzutowca, pilota, patrząc na Michaela spod uniesionych brwi. — Wszystko ma swoją cenę, panie Tryon. Nie jestem więźniem. Jak już mówiłem, jestem dobrze opłacany.

Michael przyglądał się Zedowi usadowionemu wygodnie na inteligentnym fotelu. Autoironia czy potrzeba szokowania bliźnich? Byli już wysoko, silniki obróciły się, skrzydła zmieniły konfigurację i odrzutowiec pomknął przed siebie. Michael odczekał, do czasu aż zelżał wywołany przyspieszeniem ucisk, a potem wychylił się do przodu.

— Co takiego chciałeś mi powiedzieć? — zapytał cicho. — Tylko to, że zostałeś pobity z mojego powodu?

— Och, tego akurat nie zamierzałem ci mówić. Sam się zapytałeś. — Zed uniósł jedną brew w kpiącym uśmiechu. — Odgryzam mu się, wiesz. Oczywiście uważam, by nie zrobić mu krzywdy, tylko daję mu odczuć, że mnie pokonał, że nie daję mu się kopać tylko dlatego, że mi za to płaci. Wzbudzam w panu niesmak, panie Tryon? Czy przeszkadza panu to, że jestem kurwą?

— A chcesz tego? — Michael wytrzymał jego ostre spojrzenie, czując, jak wypełnia go smutek. A gdyby Anya, jego nauczycielka, nie była tym, kim była? A gdyby zażądała podobnej opłaty za dotykanie Kamieni? — Wszyscy idziemy na ustępstwa. — Odetchnął powoli. — Nie do mnie należy ocena.

— Drażnienie się z tobą to żadna frajda. — Zed odwrócił się w końcu, przyglądając się bezchmurnemu niebu za szybą. — Gunner kupił Kamień Świtu do swojego biura na platformie nowojorskiej. To ja go wybrałem. Gunner płaci mi także za inwestowanie w sztukę. — Obnażył na moment zęby. — Kamień Świtu to jedno z twoich wyrazistszych dzieł, nie najlepsze, ale w ściślejszej czołówce.

Ten... smarkacz oceniał jego Kamienie.

— Wkurwia cię to, co? — Zed uśmiechnął się delikatnie. — Mogę sobie być dziwką, ale nie wolno mi krytykować twojej sztuki? A może wkurwia cię to, że mam rację?

Michael otworzył usta, by się odciąć, lecz zaraz je zamknął, czując, jak jego gniew ulatnia się bez śladu.

— Masz rację — roześmiał się, gdyż Zed podsumował go niezwykle trafnie. — Masz rację w obu sprawach. Jestem dosyć małostkowy, prawda? — Uśmiechnął się do niego krzywo. — Może powinieneś przymierzyć się do jakiegoś Kamienia. A Kamień Słońca jest znacznie bardziej wyrazisty od Kamienia Świtu.

— Czyżby? — Zed zmierzył go uważnym wzrokiem. — Sprawdzę i powiem ci, co o nim myślę. — Uniósł ramię w geście pełnym wdzięku. — Wiesz co, jakaś część mnie cię nienawidzi. Bo nigdy nie musiałeś pozwolić jakiemuś sukinsynowi, by cię skopał. Ale małostkowy nie jesteś. — Musnął dłonią wierzch kieszeni. — Niech ten melodramatyczny okrucieństwo będzie moim prezentem dla ciebie. Obraziłeś Gunnera. Byłeś dla niego nieuprzejmy. Nie zapomni ci tego.

— Mam taką nadzieję. — Michael zerknął za okno, rozpoznając rysujące się na horyzoncie wieże Albuquerque. Ten mały odrzutowiec był naprawdę szybki. — Mam nadzieję, że się tym udławi — powiedział, dziwiąc się gniewowi, jaki zabrzmiał w jego głosie.

— Jest pan aż tak nietykalny, panie Tryon? — Rozbawienie i nienawiść stopiły się w jedno w oczach Zeda. — Mam nadzieję. Bo Gunner zawsze wyrównuje rachunki, w ten sposób osiągnął swoją obecną pozycję. Nie może sobie pozwolić na to, by ci odpuścić.

Silniki obróciły się ponownie i odrzutowiec rozpoczął podejście do lądowania, kierując się wprost na miejskie lądowisko za murem kopuły. Michael przyglądał się ziemi wychodzącej im na spotkanie i myślał o swym ogrodzie smażącym się w cieniu topoli. Nagle zrozumiał, że nigdy już nie zasiądzie tam do pracy, nigdy nie zbudzi niedojrzałego głosu Małego Kamienia. Ta pewność wstrząsnęła nim, jak gdyby ktoś odsunął zasłonę okrywającą jutro i ukazał mu przelotny obraz nieuchronnej przyszłości.

— Co on może mi zrobić? — zapytał z cichą goryczą.

— Mógłbyś się zdziwić. — Głos Zeda był równie cichy.

Odrzutowiec osiadł na ziemi z lekkim wstrząsem, a pilot wyskoczył z kabiny, by otworzyć Michaelowi drzwi. Michael wysiadł i odruchowo westchnął, gdy wciągnął w płuca suche, rozpalone

powietrze. Zed pozostał w pojeździe, najwyraźniej nie zamierzając się ruszyć.

— Do widzenia — powiedział Michael, odbierając od pilota swoją torbę. — Dziękuję... za ostrzeżenie. Mam nadzieję, że osiągniesz to, czego pragniesz.

— Naprawdę wie pan, czego pragnę, panie Tryon? — Zed skłonił się w fotelu z bezbarwnym wyrazem twarzy. — Przykro mi, że nie potraktowałeś mojego ostrzeżenia poważnie. — Odwrócił głowę, pozwalając pilotowi zatrzaskać drzwi.

Pilot zgrabnie wsunął się na swoje miejsce, wymachując warkoczem, skrywając wzrok za lustrzanymi szklami okularów. Za każdym razem gdy spoglądał na Zeda, aż biła od niego napiętność. Michael dźwignął swoją torbę z ziemi, zastanawiając się, czy piorun Zeda wybierze sobie jego za cel, a może już się to stało.

Ciekawe, co zrobiłby Gunner, gdyby się dowiedział.

I ciekawe, czy wtedy cena nie stałaby się zbyt wysoka nawet dla Zeda. A jeśli tak, czy Zed umiałby się do tego przyznać? Może po przekroczeniu pewnej granicy trzeba po prostu zacisnąć zęby i przeć dalej, by udowodnić coś sobie samemu. Machnął ręką i przerzucił torbę przez ramię. Wilgotna koszula kleiła mu się do pleców, zlany potem ruszył przez lądowisko ku rzędowi jaskrawo pomalowanych automatycznych taksówek. Za nimi płatanina budynków przedmie-

ściana napierała na płytę lotniska, powstrzymywana czarnymi pasami ogrodzenia. Przed laty było to zapewne przedmieście Albuquerque albo podmiejska dzielnica mieszkalna. W miarę pogarszania się klimatu i potęgowania problemów z wodą miasto wycofało się do centrum, zapadając się do wewnątrz, w niebotyczne archologie, podczas gdy jego mniej szczęśliwi mieszkańcy dalej tłoczyli się i mnożyli na przedmieściach.

Tu i ówdzie przebijały się splechotki zieleni, znacząc miejsca, gdzie ktoś zaoszczędził dosyć racjonowanej wody, by zachować miniaturowy ogródek. Powyginane płyty plastiku i stary siding przykrywały pozbawione ścian szopy, jakie powyrastały pomiędzy brudnymi domami. Ulice i małe podwórka były puste, mieszkańcy przeczekiwali w ukryciu południową spiekotę. Po drugiej stronie

czarnego ogrodzenia jakiś berbeczak zakasał przydługawą koszulę i przykucnął pośrodku zakurzonej ulicy.

Otwierając drzwi błękitnej taksówki, Michael poczuł przelotną woń gówna. Jego żołądkiem targnęły mdłości przemieszane z głodem — przypomniał sobie nagle, że od rana nic nie jadł — wsiadł więc szybko do środka, rzucając torbę na sąsiednie siedzenie. Potem po prostu usiadł z kartą kredytową w dłoni. Dokąd? Na razie jedynie uciekał. Wcale nie zastanawiał się nad celem tej ucieczki. Teraz musiał się dokądś skierować. Musiał się zdecydować.

— Proszę włożyć kartę do czytnika albo wysiąść z taksówki — odezwał się przyjemny automatyczny głos.

Michael odruchowo przesunął kartę przez czytnik zainstalowany w obitej tapicerką desce rozdzielczej.

— Dzień dobry, panie Tryon. — Drzwi zasunęły się i zamknęły ze szcęknięciem. — Dokąd pana zawieźć?

— Do Hiltona. — Te słowa zrodziły się bez jego udziału; to w tym hotelu zatrzymała się Margarita Espinoza.

— Do Hiltona? Życzy pan sobie pokój? Mam bezpośrednie połączenie z systemem rezerwacji Hiltona.

— Tak — powiedział Michael, ponieważ musiał się gdzieś zatrzymać. Nikogo tu nie znał; od śmierci Estevana był tu zaledwie parę razy. Taksówka zgrabnie wyjechała z kolejki i przyspieszając, skierowała się ku centrum. Archologie zwieszały się nad jego głową niczym góry i Michael przyłapał się na tym, że odruchowo kuli się w fotelu, jak gdyby mogły spaść na niego, zmiążyć go tak, jak zmiążyły Estevana. Potem taksówka wyjechała na jedną z głównych arterii komunikacyjnych i zagłębiła się w cieniu miasta.

Za późno, by zawrócić. Znow dopadł go ten sam letarg, który ogarnął go w autobusie. Zza szyb taksówki szklane i ceramiczne góry wyglądały nierzeczywiście niczym kiepskie dekoracje. Ludzie byli jedynie ruchomymi cieniami. Nie był w stanie dostrzec rysów twarzy, uchwycić przeblysków smutku, nudy czy gniewu. Miał wrażenie, że stoi za grubą szklaną taflą, zaglądając do mrówczego wnętrza ludzkiej krzątaniny. Mógł patrzeć, lecz bez dotykania.

Hilton zajmował jedną ze ścian olbrzymiej archologii górującej

nad starówką. Taksówka wsunęła się w portal komunikacyjny i zatrzymała w wyłożonym dywanami lobby. Hilton był wystarczająco elitarny, by zatrudniać ludzki personel, tak więc po wyjściu z taksówki goniec w liberii wręczył Michaelowi elektroniczny klucz. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani o jotę, gdy podniósł wytartą torbę Michaela i poprowadził go do wind.

— Ja to wezmę. — Michael przerzucił torbę przez ramię, stwierdziwszy z nagłym zakłopotaniem, że nie ma przy sobie drobnych. Nigdy nie nosił ze sobą monet, w Taos były zupełnie nieprzydatne, tam nie było potrzeby dawania napiwków. Poczuł, że się czerwieni, i odwrócił wzrok, udając, że nie dostrzega niechęci i pogardy malujących się na twarzy gońca. Nieźle jak na początek. Ciekawe, co jeszcze z codziennego savoir-vivre'u udało mu się zapomnieć przez te dziesięć lat azylu za murami statycznego, niezmiennego Taos.

Jego pokój znajdował się na szóstym piętrze, jednym z tańszych, z nieszczerólnie efektownym widokiem z okna. Ściany windy były przeszklone, tak by pasażerowie mogli zajrzeć do zielonego rdzenia archologii. Z góry spływał wodospad, wlewając się do wyłożonego żwirem stawu, natleniającego i oczyszczającego krążącą w zamkniętym obiegu wodę. Tarasy obsypanych kwieciami i owocami roślin przyklejały się do ścian, zapuszczały w powietrze wąsy odnóg. Tyle zieleni naraz przyprawiło go o zawrót głowy. Jego pokój mieścił się tuż obok wind. Nie był duży — dwuosobowe łóżko, stół i dwa wyściełane krzesła zajmowały większość miejsca w głównym pomieszczeniu — z widokiem z ukosa na plac w centrum Starego Miasta. Kobiety w lokalnych strojach siedziały w cieniu odnowionych budynków, handlując ręcznie tkаныmi kocami, biżuterią, płótnem, sznurami suszonej papryki, ceramiką i indiańskimi lalkami kachina, rozłożonymi w koszach i na dywanikach. Stare Miasto także należało do Biura. Poczuł się tak, jakby Taos przyjechało do Albuquerque w ślad za nim. •

— Zastłony — po wiedział Michael. Cienkie niczym włos-żaluzje przesunęły się w rytm elektrycznego postukiwania mylaru, i zaraz zapaliły się lampy, wypełniając pokój przytłumionym światłem.

Michael rozejrzał się po pokoju, musnięciem dłoni otworzył

szufladę we wbudowanej w ścianę szafie i roześmiał się cicho, przyłapawszy się na tym, że poszukuje jakiegoś materialnego śladu groźby ze strony Archenwald-Shena. Sztyletu na poduszce? Wieńca z czarnych róż na stole? Melodramatyczny popis Zeda zaraził go mocniej, niż podejrzewał. Michael przysiadł w nogach łóżka, spoglądając na martwy ekran wideo na ścianie. Co takiego mógłby wnieść do Małego Kamienia piorun Zeda?

No, właśnie, co? Kolejną cieniutką błonę nieukierunkowanego uczucia, warstwę mułu na dnie nieruchomego jeziora? Sięgnął po torbę, rozpiął zamek i wyciągnął z niej kozią czaszkę. Wytarta kość była gładka i chłodna, przeciągnął palcami po pofałdowanej krzywiznie rogów, zanim postawił ją na stole. Puste oczodoły wpatrywały się w niego z powagą.

— Poczta — powiedział.

— Jaki adres? — zapytał system łagodnym, bezpłciowym głosem.

— Christine Neiman. Pueblo Stare Taos. List prywatny, bez wideo.

— Do Christine Neiman, pueblo Stare Taos. System gotów.

— Chris, tu Michael. Zapomniałem zwrócić Dolores pożyczoną kamizelkę. Mogłabyś to za mnie zrobić? Powinna leżeć gdzieś w pracowni. — Zawahał się i otuliło go milczenie. Powiedz coś. Ale co? Michael zwilżył wargi, szukając właściwych słów. Czy powinien powiedzieć jej, dlaczego tu przyjechał, że nie był to jedynie pościg za widmową córką, którą mógł wytropić za pośrednictwem swego terminalu w Taos? Powiedzieć, że studnia wyschła, że opuściła go muza i że to właśnie jej poszukiwał? — Dbaj o siebie, Chris — chrypnął, a słowa te zabrzmiały w jego uszach niczym skrzek sroki. Tchórzliwe słowa, skrywające się przed samymi sobą. — Odezwę się wkrótce. Koniec.

— Poczta wysłana do Christine Neiman, pueblo Stare Taos. Następny list?

— Nie. — Michael podniósł się, nieoczekiwanie przytłoczony tym sterylnym, bezosobowym pokoikiem.

Pierwotnie zamierzał rozpocząć poszukiwania Margarity Espinozy, lecz teraz wygasił tylko ekran. Zostawiła mu czytelną wiado-

mość, wyjeżdżając przedwcześnie. Kozia czaszka uśmiechała się szyderczo ze stołu. To pomieszczenie mogło być metaforą jego duszy: pustej komnaty wypełnionej schludnymi, jałowymi meblami. Zdawało się, że tuż poza zasięgiem jego wzroku powietrze migocze, jak gdyby wypełniały je roztańczone, niewidzialne owady.

Co teraz?

Zjedz coś, szepnął głos rozsądku w jego głowie. Nie jadłeś od rana; nic dziwnego, że czujesz się podłe. Michael otworzył usta, by przywołać obsługę, lecz nie potrafił zasiąść do jedzenia w sarkofagu swego pokoju. Wyszedł i zjechał windą na dół, mijając purpurowe kwiaty błyszczące wśród zielonych liści niczym krople świeżej krwi. Parter wypełniały sklepy i restauracje, żołądek Michaela pomrukiem skomentował pikantne zapachy dolatujące z indonezyjskiej knajpki. O, tak, jedzenie. Tego potrzebował najbardziej, lecz ominął restaurację i wyszedł przez służbę w upał i pył ulicy.

Ściemniało się. Gęstniejący mrok zaskoczył go całkowicie. We wnętrzu tych wież bez trudu można było zapomnieć o świecie rzeczywistym, o cyklach dnia i nocy, upału i chłodu. Gdzie mieszkał Estevan?, zainteresował się nagle. Nigdy nie pytał go o adres, a i sam Estevan nigdy go mu nie podał. Pod powierzchnią wypielęgowanej przyjaźni krył się otchłań milczenia. Obchodzili ją napalcach, bojąc się, by nie załamać jej cienkiej skorupy niczym lodowej pokrywy, by nie wpaść do kryjącej się pod nią zimnej, niezbadanej topieli.

Tak więc nigdy nie zapytał i nie wiedział.

Michael skręcał na chybił trafił, ignorując wabiąco jaskrawe hologramy pokrywające mury wież na poziomie ulicy. Ich wnętrza wyglądały identycznie, na swój sposób były równie nierealne jak Stare Taos. Być może ludzkość w swej ewolucji wykroczyła poza granice fizycznej rzeczywistości. Pozostawiając go w tyle. Ciemność gęstniała wokół niego, gdy zagłębił się w starszą dzielnicę. W tej części miasta świeciło się zaledwie kilka latarni. Lecz światło, płatanina blasków, wylewało się z drzwi barów i drogich salonów wirtualnej rozrywki, jak gdyby sklepikarze i mieszkańcy pragnęli wypalić całonocny przydział energii przed obowiązkowym zaciemnieniem. Nie czuł już głodu. Wędrując bez celu, gdzie nogi poniosą,

Michael trafił na niewielki plac, z jednej strony zamknięty torami. Wśród czarnych cieni migotały ognie, pod betonowymi pylonami napowietrznej estakady rozłożyło się targowisko.

Żonglerzy, mimowie i sztukmistrze przeciskali się wśród tłumu. Ludzie próbowali wcisnąć przechodniom jedzenie, sprzęt elektroniczny i czarnorynkowe narkotyki, wystawione na prowizorycznych straganach i kocach. Ciemność najwyraźniej nie spowalniała w tym miejscu rytmu życia, a może targowisko otwierano dopiero po zmroku. Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz spacerował po mieście po zachodzie słońca. Znajdował się już poza granicami świata turystów, w mieście przedmieść. Michael przemykał między ludźmi, przyciągając niewiele spojrzeń. W swojej przykurzonej i wymiętej tunice doskonale pasował do otoczenia, jak gdyby był jego częścią. Niegdyś tak właśnie było, zanim Anya przyjęła go pod swój dach.

Wtedy nie był mu obcy puls miasta, jego język i prawo. W poprzednim życiu. Teraz był tu obcy, obcy wszędzie poza niewidzialną skorupą jaja, którym było Stare Taos.

Na środku placu tańczył mężczyzna w dźwiękoskórze. Ciemnoszkarłatna tkanina pokrywała jego ciało od szyi w dół, połyskując srebrzystymi nitkami niczym egzotyczna, aksamitna skóra. Te metaliczne włókna przekładały każde drgnienie jego ciała na muzykę, jęczącą i pulsującą w szybko stygnącym powietrzu. Był naprawdę dobry. Michael przystanął, opierając się o jeden z pylonów maglevu, przyglądając się długim do ramion czerwonym włosom tancerza rozbłyskującym niczym płomienie przy każdym obrocie. Był za dobry na podmiejskie targowisko i Michael zdziwił się, dlaczego nie występuje w wieżach. Parę kroków od niego pomarszczona starucha nad ogniskiem ze śmieci opiekowała na patykach coś jadalnego. Michael poczuł zapach pieczonego mięsa i jego żołądek skurczył się gwałtownie. Prawdziwe mięso? Tutaj? Zastanowił się, skąd pochodziło i jak tu się znalazło, a wtedy fala mdłości przytłumiła głód. Tancerz obrócił się powolną spiralą, wygiął ciało do tyłu, wznosząc ramiona do wtóru rozdudnionych bębnow i crescendo piszczących fletów. Na moment zamarł w bezruchu na jednej nodze, podczas gdy samotny flet oplatał syk przejeżdżającego pociągu srebrzystą nutą dźwięku.

Czyjaś dłoń chwyciła z tyłu za tunikę Michaela, mocno szarpiąc.

Zatoczył się w ciemność pod estakadą, obracając się niczym tancerz, lecz bez wdzięku; poczuł, że jego ciało sztywnieje od szoku, a krzyk ginie w huku przejeżdżającego maglevu. Uderzenie pięścią w policzek przeszło go bólem, zwalając z nóg. Gdy padał, na jego siatkówce utrwalił się pojedynczy obraz: stara kobieta sięgająca po nadziany na rożen kawałek mięsa. Potem ciężki but zmiażdżył mu żebra i ten widok rozpadł się na okruchy czarnego szkła.

Dureń, dureń, dureń, wrzeszczał na niego odległy głos. Pętać się w ciemności niczym debilny turysta, akurat ty wiesz, co robisz...

— Nie mam... niczego — wystękał Michael, mając nadzieję, że uniknie kolejnego kopniaka. — Żadnej gotówki. Proszę...

Uderzył, eksplodując w jego brzuchu. Michael zgiął się, krztusząc i walcząc, by wciągnąć do rozpalonych płuc łyk powietrza. Przemoc — miejski mrok wypełniała przemoc. Ludzką duszę wypełniał mrok, jedynie mrok, nic więcej, i teraz tonął w nim. Na jego tunice zacisnęła się dłoń, podnosząc go na kolana. Michael przelotnie dostrzegł bladą twarz, jasne włosy. Pilot Zeda. Usiłował coś powiedzieć, lecz znikąd pojawiła się pięść, posyłając go z powrotem na chodnik. Krew popłynęła ciepłym strumykiem po policzku. „Dlaczego?“, chciał zapytać. Dlaczego to? Dlaczego teraz? Powiedz mi. Lecz język odmówił mu posłuszeństwa, a usta wypełniał metaliczny smak krwi.

Gdy jasnowłosy pilot kopnął go ponownie, rój niewidzialnych motyli zawirował wokół niego, wachlując trzepotliwie i osiadając na jego twarzy tysiącem dławiących oddech skrzydeł.

Rozdział trzeci

Włókł się przez opustoszały plac, uosobienie głodu, skurczony żołądek, a letargiczna ociężałość łapała go za nogi i przysiadła na ramionach. Ukryte w nim zwierzę zachowało wspomnienie jedzenia widzianego w tym miejscu i zmusiło go do przetrząśnięcia śmieci wysypujących się z kubłów. Niejadalnego. Rozczarowanie ścisnęło

mu gardło, i kurczowo chwycił się tego bólu. Ból — głód, zimno, od czasu do czasu uderzenie — pomagały odpędzić ciemność.

Zadygotał, bojąc się nawet o tym myśleć. Ciemność. Wypełniały ją głosy, które wcale nie były głosami. Niczym straszliwy, cudowny zaśpiew, pociągały go, odrywały od twardej ziemi, porywały rozkrzyczanego w pustkę. Zadrżał, wyczuwając ją tam, po drugiej stronie zasłony. Ta zasłona słońca, palącego potu, głodu, bólu niekiedy stawała się bardzo cienka.

Nie. Nie myśl o tym. Myśl o jedzeniu. W nocy będzie jedzenie. Jedzenie, pełen brzuch, krew gęsta od jedzenia — to przeganiało mroczne sny. Ludzie nie dostrzegali go, patrzyli przez niego na wyłot. Chyba że kradł jedzenie. Wtedy przeganiali go, rzucali kamieniami. Nie rozumiał, dlaczego go nie widzą, choć niekiedy jaskrawe obrazy zapalały się w jego głowie i prawie sobie przypominał... Lecz gdy sięgał ku tym pięknym obrazom, uciekały precz. Niczym motyle. Coś pomarańczowego przyciągnęło jego uwagę pośród ławicy śmieci, jaka zebrała się u podstawy pylonu maglevu. Karton soku? Pełen? Przebiegł przez rozpalony chodnik, by porwać go drapieżnym ruchem. Pusty. Zgniół go w nagłym przypiływie złości i odrzucił w bok.

— Proszę — powiedział ktoś za jego plecami. — To ci dobrze zrobi.

Słowa spadły na niego niczym uderzenia, odbijając się bólem w jego głowie. Skrzywił się i skulił w sobie, a ten gwałtowny ruch sprawił, że cały plac poruszył się wraz z nim, obracając się powoli wokół własnej osi.

— Hej, spokojnie. Lepiej usiądź.

Dłonie na ramieniu — ciemna skóra, blade kostki. Podniósł wzrok, koncentrując go na białych zębach kontrastujących z ciemną twarzą wykrzywioną w grymasie. Bez złości, jedynie grymas. Kolaną ugięty się pod nim i upadłby, gdyby te dłonie go nie podtrzyma-

ły, i tak usiadł wystarczająco gwałtownie, by zabołało. Lepki pot wystąpił mu na twarz, na moment ogarnęły go nudności. Ktoś przykucnął przed nim, osłaniając go przed rozpalonym żarem zawieszzonego nad placem słońca. Zadrżał, niemalże wyszarpnął rękę, gdy

poczuł w dłoni coś ciepłego. Kubek. Jego palce zamknęły się, zacisnęły.

— Atole — powiedział tamten. — Przyniosłem ci też burrito. Stara Mama Hernandez robi dobre jedzenie. Może to dlatego, że wszystko spryskuje wodą święconą. Kradnie ją u świętego Michała, w centrum. Co tam, na smak to nie wpływa.

Znowu słowa, roześmiane, nie gniewne, jak wtedy, gdy wykradził jedzenie — tamten śmiech bił w niego. Nie, ten śmiech był dla niego. Jak gdyby był ich wspólną własnością, jakby śmiali się obaj. Coś poruszyło się w nim, reagując ociężale na to poczucie wspólnoty, objając się o wnętrze jego czaszki. „Jestem...”

Uniósł kubek do ust, szarpany głodem, jego dłonie drżały łapczywie. Gęsta zupa była wystarczająco przestudzona, by mógł ją wypić, pochłonął ją więc jednym łykiem. „Jak zwierzę...” Nachalna myśl, wyraźna, kompletna. Jej precyzja przerzedziła mgłę zalegającą w umyśle, wzmacniając kruchą zasłonę oddzielającą go od ciemności. „Nie jestem...” Rozpaczliwie poszukiwał dalszych słów, przerażony perspektywą powrotu mgły. „Nie jestem... zwierzęciem”. Zupa jakby przenikała wprost do krwiobiegu, przesywając go oszałamiającym, narkotycznym dreszczem rozkoszy i energii. Opróżnił kubek, a plac znieruchomiał pod nim, w końcu nabierając ostrości.

— Gdzie... jestem? — wyszeptał.

— Już lepiej stary?

Ciemna skóra. Czarne oczy — okruchy nocy. Michael zamrugał, wpatrując się w twarz mężczyzny, tak blisko niego. Afrolatynos? Te słowa przybiegły do niego, najpierw puste dźwięki, lecz zaraz wypełniły się znaczeniem. Sterczący nos... jak Xii, tylko trochę. Xia... Myśli stawały się coraz składsze, przepływając delikatnie niczym piach wsypujący się do pustego dołu, zapełniający go.

Boże. Spojrzał na swoje dłonie zaciśnięte wokół kubka, dostrzegł stare blizny, brud wżarty w fałdy skóry.

— Dzięki — powiedział głosem skrzypiącym niczym nie naoliwione drzwi.

— Proszę. — Mężczyzna odpakował burrito: olbrzymią mączną

tortillę ledwie obejmującą nadzienie składające się ze smażonej cebuli i sojowego substytutu mięsa. Zapach kminku i cilantro spowodował zawrót głowy, zacisnął żołądek w ciasny węzeł.

— Mama nie używa mięsa, dobrze wie, co by dostała za swoje pieniądze, ale i tak jej towar jest doskonały. Robi najlepsze burritos w całym mies'cie. — Mężczyzna podał mu burrito, szeleszcząc papierem. — To najzwyczajniejsza w świecie łapówka, stary — uśmiechnął się, lekko przechylając głowę. — Zależy mi na twoim nazwisku. Jestem Andy Rodriguez i skądś cię znam. Ciągłe mi to chodzi po głowie, nie daję pracować za dnia. A wierz mi — roześmiał się — roboty mam po pachy, nawet kiedy nic takiego mi nie przeszkadza. — Lekko potrząsnął zawiniętym w papier burrito, rozsiewając dookoła woń cilantro. — Jedno burrito w zamian za jedno nazwisko. Zamierzam nawet zaufać ci, że powiesz prawdę. Kurde, jeśli jest znane, możemy pohandlować, nie bój się podbić stawkę. — Teraz uśmiechał się już pełną gębą, potrząsając kudłatą głową. — Postawię ci prawdziwy obiad.

— Michael. — To imię powróciło do niego gromem, lekkie niczym padający cicho śnieg. — Jestem Michael — powiedział i zadrżał.

— Hm. — Andy cofnął burrito poza zasięg jego ręki. — To mi nic nie mówi. Dorzuć nazwisko.

— Tryon — wyszeptał. — Jestem Michael Tryon. Boże, co się ze mną stało? — Skrył twarz w dłoniach. Czuł się tak, jakby budził się z koszmarne snu, jak gdyby aż do tej chwili śnił. Albo bronił się przed zaśnięciem.

— W porządku, stary. Koniec gry. Masz. — Andy wcisnął burrito w bezwładne palce Michaela, drugą dłoń położył mu ostrożnie na ramieniu. — Jedz już, dobra?

Zapach jedzenia przyciągnął całą jego uwagę, blokując wszystkie inne bodźce. Drżącymi dłońmi Michael zdarł papierowe opakowanie i odgryzł olbrzymi kawał burrito. Jego smak wypełnił go, niezrównany, bardziej satysfakcjonujący niż seks. Jedzenie nigdy mu tak nie smakowało, złożenie i cudownie, symfonią odcieni i aro-

matów przypominających któryś z Kamieni Estevana. Przełknął i zaraz z pietyzmem odgryzł kolejny kęs.

— Michael Tryon. Kurwa, naprawdę cię znam. — Andy gwizdnał przeciągle. — Poznałem cię na imprezie w jakiejś galerii parę lat temu, chociaż pewnie nawet mnie nie zauważyłeś. — Suchy śmiech.

— Byłem wtedy na terenie wroga, wolałem nie rzucać się w oczy. Ze względu na S'Wannę, choć twierdziła, że nie chce wiedzieć, kim

jestem, i może mówiła szczerze. Cała ona. — W jego głosie brzmiało zastanowienie. — To jakim cudem skończyłaś tutaj?

— Ja... nie jestem pewien. — Michael wreszcie oderwał się od burrito, spoglądając prosto w zmrużone oczy Andy'ego. — Chyba cię nie znam.

— Tak jak mówiłem. — Andy wzruszył ramionami. — Trzymałem się wtedy z dala od reflektorów. To było w Taos, na jakiejś wielkiej imprezie medialnej. Ty, S'Wanna, stado innych artystów. Wyrafinowane towarzystwo. Mnóstwo kamer. A teraz jesteś tutaj.

— Przesunął dłonią po pokrytej gęstą czupryną głowie i uśmiechnął się krzywo do Michaela. — Co więc zrobiłaś, że wylądowałaś na ulicy? Wpakowałaś się w jakiś szemrany interes na sieci?

— Ja... pobito mnie. — Palce Michaela wspięły się, by dotknąć blizny na kości policzkowej. W ślad za słowami powróciły wspomnienia: pilot Zeda. Z polecenia Archenwald-Shena? Może Zeda?

— Obudziłem się w państwowym szpitalu. — Sięgnął głębiej, szukając obrazów, odrobinę wystraszony, gdyż znalazł tam także ciemność. Chyba. — Wydaje mi się... próbowałem dotrzeć do mojego konta. — Tak, tak właśnie było. — Bez powodzenia. Ktoś chyba gmerał w moich kodach. Więc wykopali mnie, gdy tylko mogłem ustać na nogach.

Andy gwizdnął cicho, wyraźnie był pod wrażeniem.

— Masz wpływowego wroga, jeśli stać go na taki numer z siecią. Kupa kasy. Ale przecież musisz znać ludzi, którzy mogliby cię zidentyfikować. — Przechylił z zaciekawieniem głowę. — Dlaczego po prostu tego nie odkręciłaś?

— Mogłem to zrobić. — Zastanawiał się, czy zadzwonić do

Chris. Przybiegłaby mu na ratunek, podążyłaby śladem nieznanego napastnika niczym rozwścieczona lwica broniąca młodego. Musiał za tym stać Archenwald-Shen, może to on rozkazał go też pobić. Czyli ostrzeżenie Zeda było jednak prawdziwe. — Nie chciałem pomocy. — Michael wyszedł na słoneczny skwar placu, czując na spękanych wargach ciantro i kurz, pamiętając swoje rozgoryczenie, urazę i złość. — Chciałem... chciałem, by miasto mnie pożarło. — Bo jego dotychczasowe życie było nieprawdziwe. Nic nie było rzeczywiste: żył w świecie złudzeń, i może na tym polegał jego problem. — Chciałem, by miasto strawiło mnie i wysrało — powiedział wolno. — Chciałem tego doświadczyć. Wtedy może mógłbym... z tym pracować.

— Wiesz co, mówisz zupełnie jak S'Wanna. — Andy przewró-

cił oczami. — Powiedziałbym, że wszyscy wy rzeźbiarze Kamieni jesteście powaleni, ale z drugiej strony... zadaję się z jednym z jej Kamieni. — Wzruszył ramionami, jego twarz wykrzywił łobuzerski grymas. — Może to rozumiem. A może nie. Wygląda na to, że równie dobrze mogłeś już być trupem. Tak czy owak, co się tyczy tego wysrania, powinienes być usatysfakcjonowany, co?

— O, tak. Taczek by nie starczyło. — Michael wlepił wzrok w szczątki burrito, przypominając sobie o rzednącej zasłonie, o czekającej za nią ciemności. Na jakimś etapie musiał się skryć w bezpiecznym jądrze zwierzęcej świadomości, by przed nią umknąć.

Umknąć przed czym? Co do cholery się z nim stało?

— Szkoda by było stracić następnego rzeźbiarza. Co poczęłaby S'Wanna, gdyby zabrakło jej konkurencji? — Andy podniósł się z kucek. — Może wpadniesz do mnie? Weźmiesz prysznic, woda powinna już być gorąca, oporzędzisz się trochę. I żebyś nie myślał, że bawię się w samarytanina. — Na jego twarzy ponownie rozbłysnął ten sam grymas. — Zarobię dzięki temu parę punktów u S'Wanny. Twoje nazwisko powinno przyciągnąć jej uwagę, nawet jeśli mój tyłek wypadł akurat z łaski.

S'Wanna — to imię przebiło się wreszcie przez mgiełkę głodu.

— S'Wanna LeMontagne? — Michael mrugając, spojrział na szczupłego mężczyznę i pierwszy raz zauważył znoszoną zieloną

koszulę przykrywającą luźne spodnie. Miał skórę o odcień jaśniejszą od Shena, a z profilu przypominał odrobinę Xię. — Ta rzeźbiarka?

— Dokładnie tak. Dasz radę sam się podnieść?

S'Wanna LeMontagne stworzyła parę genialnych moren, jej obeliski zaś zbierały pochlebne recenzje. Michael utkwił spojrzenie w wyciągniętej dłoni tamtego, nagle świadom swej brudnej tuniki, swędzącej, nie mytej skóry. Poczul kwaśny smród własnego ciała i zmarszczył nos. A więc ten cały Andy zamierzał poprawić swoją pozycję dzięki opowieści o tym, jak to odnalazł Michaela na ulicy. Michael roześmiał się gorzko. W obecnym położeniu odrobina dumy stanowiła uczciwą cenę w zamian za prysznic. Poza tym miał już dość życia na ulicy. Bał się, że powróci ciemność, że ponownie zagna go do kryjówki niczym szczura. Zadygotał i chwycił dłoń Andy'ego, odrobinę zaskoczony tym, jak wiele pomocy potrzebował, by wstać. Ciepło palców mężczyzny stanowiło dla niego punkt oparcia, więź ze światłem i zdrowiem psychicznym.

— Dzięki — powiedział żarliwie i zrobił to szczerze.

— Spoko. — Dłoń Andy'ego podtrzymywała go profesjonalnie.

— Dasz radę iść?

— Chyba tak.

Uświadomił sobie obecność otaczającego go miasta, jak gdyby dotąd był ślepy i głuchy, jak gdyby żył w mrokach wiecznej nocy i dopiero teraz ujrzał swój pierwszy wschód słońca. Jak długo wegetował na ulicy? Uniósł rękę, by dotknąć palcem płytkiej blizny na policzku. Wystarczająco długo, by ta rana zabiłła się bez opieki lekarskiej. Początkowo liczył dni, lecz te szybko rozmyły się w nie kończący się półmrok głodu i uciezki, koszmaru czającego się na obrzeżach umysłu. Jego myśli w tamtej sterylnej, nędznej klinice wydawały się tak wyraźne. Teraz także myślał klarownie, lecz czas pomiędzy...

Pośrodku rozpościerała się przerażająca ciemność.

— Którego dziś mamy? — zapytał powoli.

— Dwudziestego szóstego września. — Andy spojrział na niego pytająco. — A co?

Dwudziestego szóstego września. Wprowadził się do hotelu pod

koniec sierpnia — dwudziestego dziewiątego albo trzydziestego, jakos tak. Minął cały miesiąc. Przypomniał sobie bolesny szok, jaki przeżył w klinice, gdy spróbował wejść na swoje konto i dowiedział się, że nie jest Michaeliem Tryonem. Pamiętał, jak postanowił się z tym pogodzić, zagłębić w miasto i przekonać się, jaką energię tam znajdzie. Od tamtej pory wszystko... się rozmywało. Michael ponownie zadygotał. Wstrząs mózgu? Jakiś przeoczony przez lekarzy uraz? Obłąd?

— Wszystko w porządku?

Zatrzymał się chwiejnie przed wejściem na peron na skraju placu. Pasażerowie przesuwali się wokół nich niczym strumień obmywający skałę, biały szum zmęczenia, pośpiechu, drobnych i wielkich bólów. Nagle wypełniło go podniecenie. Można by zawrzcć to w Kamieniu: posmak miasta, szmer krwi pulsującej w betonowych arteriach. Andy był czymś zajęty, zdierał plastik z wysterylizowanego plastra z narkotykiem.

— Nie. — Michael uniósł rękę, by go powstrzymać, lecz Andy chwycił go za nadgarstek i unieruchomił bez wysiłku.

— Odpręż się. To legalny towar, nic, co mogłoby ci zaszkodzić.

— Przycisnął zimny krążek do szyi Michaela, po czym uwolnił go.

— Sądząc z twego tętna i oddechu, mamy do wyboru albo to, albo zbieranie cię z chodnika. — Jego głos brzmiał pogodnie. — Jesteś za duży, żeby cię nosić. Jeżeli dostaniesz reakcji alergicznej, dam sobie z tym radę.

— Legalny towar, akurat. Kim ty w ogóle jesteś? Lekarzem, co?

— Zdumiony własną słabością Michael dał się ponieść złości.

— Ciepło. — Andy nie wyglądał na urażonego. — Licencjonowanym sanitariuszem, w tej okolicy to jedno i to samo. Trzymasz się już prosto? — Skinął głową w stronę kolejki. — Nie chcesz chyba skończyć jak tamten rzeźbiarz? Miasto musiałyby umieścić tu następną tablicę.

Michael spojrział na płyty peronu, syntetyczna siła sącząca się z plastra krążyła już w jego ciele, jeżąc mu włosy na karku.

— Jaki rzeźbiarz? — Jego słowa zabrzmiały bezsilnie. — O co ci chodzi?

— Estevan. Ten rzeźbiarz Kamieni. — Andy zmarszczył czoło. — Musiałeś o nim słyszeć. To chyba jedyny powód, dla którego S'Wanna kręci się w tym wysuszonym kawałku kraju. — Uniósł ramię w przeproszającym geście. — Nie bierze tego do siebie, uważa, że jesteś w porządku, ale uznała, iż Estevan był klasą dla samego siebie.

— Bo tak było — powiedział cicho Michael.

— He? — Andy zerknął na niego szybko. — Tak czy owak, S'Wanna przysłała tu kiedyś po południu. — Andy spojrział ponad ramieniem Michaela, ze ściągniętymi brwiami przypatrując się peronowi. — Stała przed ufundowaną przez miasto tablicą i ni z tego, ni z owego zaczęła płakać. Kiedy ją zapytałem, powiedziała... to dlatego, że nigdy nie będzie lepsza od niego, że umarł, zanim rozwinął się w pełni.

Umarł, zanim rozwinął się w pełni. Chyba trudno o gorsze epitafium dla artysty. A może gorzej byłoby się rozwinąć i przekonać, że nikogo to nie obchodzi? Michael odwrócił się wolno, podążając w ślad za zamyślnym spojrzeniem Andy'ego. Peron wyglądał jak najzwyczajniejsza stacja maglevu: białe płyty silikobetonu, płócienny dach pofałdowany napiętymi wybrzuszeniami, bramki i czytniki kart.

— To tutaj? — Jego głos zadrżał śladowo. — Tu zginął?

— Aha. — Andy skinął głową. — Tablica jest na drugim końcu. Chcesz ją zobaczyć?

— Nie! — Jego okrzyk zaskoczył ich obu.

Michael uciekł przed zdumionym spojrzeniem Andy'ego. Co za dziwny, gorzki zbieg okoliczności, że oszalał, że to, co się z nim stało, dokonało się w cieniu śmierci Estevana. A może nie był to znów taki wielki zbieg okoliczności; może duch Estevana ściągnął go tutaj.

— Czy to był błąd? — wyszeptał cicho. — Czy powinienem był pozostać w Taos, Estevanie? Ty powinienesz być zostać. — „Umarł, zanim rozwinął się w pełni”. Michael się zastanawiał, czy w tych ostatnich kilku sekundach, gdy pociąg gnał w jego stronę, Estevan żałował wszystkich nie dokończonych Kamieni.

Tak wyglądałoby prawdziwe piekło.

— Znałeś tego gościa. — To nie było pytanie.

— Tak. — Kolejne punkty przed spotkaniem ze S'Wanną? Michael nie dbał już o to. — Był... moim przyjacielem. — Zanim to się skończyło, zanim Xia zniszczyła ich, a może to Michael ich zniszczył? Po czyjej stronie leżała wina? Michael zwiesił głowę.

— Przykro mi, stary. — Andy delikatnym gestem dotknął jego ramienia. — Ładne miejsce na przebudzenie się z koszmaru.

— Amen — powiedział cicho Michael. — A teraz skorzystam z twojej oferty prysznicza.

Andy zaprowadził go do starego biurowca, który przerobiony został na liche mieszkania. Parter zamieniono na strzeżony parking; po minięciu okratowanych dwuskrzydłowych drzwi Andy powiódł Michaela do poobijanej karetki pokrytej wysypką zamalowanych rys i otarć. Jej wnętrze wypełniał sprzęt zaskakująco wysokiej klasy. Andy posadził go na krawędzi przymocowanego do ściany wózka, przyczepił mu do głowy i piersi elektrody, a potem wprowadził do żyły próbnik biochemiczny.

— Obsługa na koszt firmy — powiedział z uśmiechem. — Nie martw się, S'Wanna za to zapłaci.

Cokolwiek znalazł, nie zmartwiło go to zbytnio. Plaster działał już coraz słabiej, a może Michaelowi zaczynało po prostu brakować sił. Tak czy owak, po brudnych schodach wspinał się ostatkiem sił. Szyb windy ział pustką na piętrze Andy'ego, pozbawiony drzwi; płatanina kabli zwisała w sześcienną klatkę czerni. Pięć pięter. Michael zadrżał i przysunął się jak najbliżej przeciwległej ściany.

— Masz lęk wysokości?

Nie lęk. Ciemna przepaść wabiła go i Michael przypomniał sobie, jak stał na krawędzi kanionu Rio Grandę z rozłożonymi ramionami, przyciągany przezrzystym powietrzem.

— Tak bardzo fascynujemy się śmiercią — mruknął. W sztuce, religii, fizycznej przemocy miejskich zaułków. — Może dlatego, że jest taka tajemnicza.

— Ty wiesz lepiej. — Andy zerknął przez ramię, mocując się z zamkami obitych stalową siatką drzwi. — Tylko mi nie skacz. Nie na moim terenie, jasne?

— Jasne.

Michael wzruszył ramionami i wszedł za Andym do jego pokoju. Pomieszczenie wychodziło na północ i było solidnie przeszklone, bez trudu można było z niego dostrzec wieże miasta. Starą podłogę z linoleum pokrywały wyblakłe dywany, wyglądające na autentyczne antyki, lecz Andy najwyraźniej nie zamierzał przykrywać blizn w miejscach, gdzie wyburzone zostały ścianki działowe dawnych biur, by utworzyć to wielkie pomieszczenie. Pozornie przypadkowa zbieranina terminali i innych urządzeń tuliła się do małej holosceny, po podłodze wiły się węże kabli.

— Bawię się w dłubanie w sieci z wolnej stopy. — Andy skinął głową w stronę sprzętu. — Nie dotykaj. Prysznic jest tam. Ja pozbięram najświeższe plotki, zobaczę, czy dzięki tobie stanę się bardziej interesujący dla S'Wanny. — Ściągnął tunikę przez głowę, potem podszedł do maszynierii i dotknął jednego z ekranów. Nad holosceną zaczęły pulsować i wirować kolory.

Haker sieciowy? Czy w taki sposób Andy uzupełniał swoją pensję sanitariusza? Michael przeszedł do kabiny prysznicowej w rogu pomieszczenia. Pokój był skąpo umeblowany: mata na podłodze przykryta splątanymi kocami, stół. Obok kabiny stała pozbawiona siedzenia muszla i wielofunkcyjny zlew, zainstalowane na widoku publicznym. Zdezelowana szafka obok zlewu kryła w swym wnętrzu przypadkową zbieraninę porcjowanego jedzenia i kilka naczyń. Ani śladu płyty kuchennej. Prawie pusta butelka czerwonego wina stała na stole zamykającym kuchniołazienkę. Michael zerknął na etykietkę — oryginał. Drogi towar, tak samo jak dywany. Nie współgrały z oszczędnym wystrojem studia. Ale każdy człowiek miał inne priorytety.

Michael zdjął tunikę, krzywiąc się na widok plam i brudu. Stracił na wadze. Pod skórą wyraźnie rysowały się żebra, podobnie wyszczuplały i mięśnie ud. Wkrótce czekać go będzie kolejna wizyta w serwisie; z każdym rokiem wyraźniej czuł na karku oddech

swego wieku. Może któregoś dnia przestanie uciekać i da się dogonić.

Nad sceną migotały i tańczyły obrazy, pojawiając się i znikając w psychodelicznym tańcu, podczas gdy Andy przesuwiał się od ekranu do ekranu, stukając w nie, dotykając ich. Obojętność Andy'ego sprawiła, że Michael poczuł się pewniej — bezpieczniej. Może to właśnie ta pewność Andy'ego pomogła mu utrzymać upiory na dystans. Cisnął ubranie na podłogę obok kabiny i odkręcił wodę. Nie była zbyt gorąca, ale i tak jej dotyk na ciele sprawił, że poczuł się wspaniale. Umył się szybko, szorując skórę tak długo, aż zaczęła go palić, płuczac tunikę i spodnie tak dokładnie, jak tylko potrafił. Kiedy skończył, wykręcił ubranie. Lepsze były mokre i czyste niż brudne. Bóg jeden wie, gdzie się włóczył.

Andy wciąż jeszcze tkwił w swej elektronicznej jamie, gdy Michael wyszedł spod prysznica. Rozejrzał się w poszukiwaniu ręcznika — w taniej kabinie nie było suszarki na ciepłe powietrze — lecz żadnego nie znalazł. Ociekając wodą, złapał pierwszy z brzegu wystrzępiony koc z łóżka. Owinał się nim i rozwiesił swoje mokre rzeczy na kabinie.

Woda wypłukała ostatnie strzępy pajęczyny ciemności i na powrót czuł się sobą, czysty i kompletny, jak gdyby od chwili, kiedy wyszedł z hotelu z zamiarem znalezienia restauracji, minęło zaledwie parę godzin. Przycupnąwszy na skraju stołu, obserwował Andy'ego tańczącego wśród elektronicznych krajobrazów. Całe jego ciało wyrażało skupienie, na twarzy malowało się coś, co najbardziej przypominało opętanie lub trans. Sztuka, pomyślał nagle Michael. To także jest sztuka. I zadrżał na wspomnienie chwil, gdy wszystko było jak należy, gdy wplatał swoją duszę i duszę modelu w Kamień i czuł, jak ożywają pod jego dotykiem, gdy wiedział, że stworzył coś dobrego. Może dlatego to robimy, pomyślał Michael z nieoczekiwaną goryczą. Może liczy się tylko to oszołomienie, ulotny orgazm chwili, gdy powstaje coś prawdziwego. Może w głębi serc jesteśmy nałogowcami uzależnionymi od tej krótkotrwałej reakcji hormonów mózgu. I być może pewnego dnia jakiś sprytny biochemik wyizoluje to uczucie, wyhoduje je w szalce Petriego i zacznie sprzedawać na ulicy...

Pośrodku pokoju scena Andy'ego zszarzała i zgasła. Andy ziewnął i przeciągnął się, a mięśnie grały pod śniadą skórą jego ramion.

— Zrobiłeś wrażenie na S'Wannie? — zapytał Michael.

— Nie odpowiedziała w czasie rzeczywistym — westchnął Andy. — Zostawiłem jej w skrzynce parę soczystych aluzji, jeśli chce, może tu zajrzeć.

Michael wyczuł cień irytacji, również niepokój, skrywane pod tym beztroskim tonem. W tej chwili Andy dodałby jakiemuś Kamie-

niowi pożądanym posmak dysonansu.

— Przykro mi, że nie okazałem się wystarczająco atrakcyjny, by skusić S'Wannę — rzekł ponuro.

— Może jeszcze będziesz. — Andy uniósł wzrok ku sufitowi.

— Może nie ma jej w domu. Może znalazła sobie nowego kochanka i nie chciała się jeszcze do tego przyznać. Sam nie wiem. — Zmarszczył czoło, porzucając pozory bez troski. — Była zbyt kapryśna, by szukać nowej miłości. — Ewidentnie się martwił.

— Może ma problem z Kamieniem albo ogólnie z pracą. — Michael wiedział, że zabrzmiało to niezgrabnie: czytelna próba pocieszenia ze strony kogoś, kto nie miał podstaw, by coś takiego oferować.

— Tak, może o to chodzi. — Andy westchnął i zaraz się uśmiechnął. — Powie mi o tym albo i nie. Dzięki. Wywieszę twoje mokre ciuchy za okno, wyschną raz dwa.

— Dziękuję. — Michael podał mu swoje ubranie, marszcząc brwi, gdyż w trakcie ich rozmowy coś nie dawało mu spokoju, skrobiąc niczym pies w drzwi jego umysłu. — Tam na placu... — zawahał się w obawie, że zbudzi echa tamtej ciemności — powiedział coś o straceniu następnego rzeźbiarza.

— Aha. — Andy otworzył okno, by rozłożyć rzeczy Michaela na parapecie. — Naprawdę nie jesteś na bieżąco, co? — powiedział, zerkając na niego z ukosa, i Michael zastanowił się przez chwilę, jak dalece Andy uwierzył w jego opowieść. — Ireńę Yojiro skończyła ze sobą w zeszłym tygodniu. W mediach aż huczało. Żadnej porządnej wojny przez ostatni tydzień, rozdmuchali więc to niczym średniej wielkości aferę dopingową. — Mówił to ironicznym tonem, lecz

w jego oczach na moment zapalił się ten sam niepokój co poprzednio. — S'Wanna o tym także nie chciała ze mną rozmawiać. Znała Ireńę.

— Ireńę Yojiro nie żyje? — Michael nie potrafił zrozumieć znaczenia tych słów.

— Którejś nocy po prostu wyszła z domu i wypłynęła w morze. Nigdy nie znaleźli jej ciała.

Michael znał Ireńę; spotkał ją dwukrotnie. Krytycy nazywali jej Kamienie lirycznymi. Przypomnił sobie jej ciepły uśmiech i zdrzął, jego ciało pokryło się gęsią skórą, jak gdyby przez otwarte okno powiał zimny wiatr. Życie było tak kruchym tworem. Przypadkowy cios mógł strzaskać je jak kryształ. Co strzaskało go dla Ireńę Yojiro? Nagle zaczęło mu się spieszyć.

— Andy, muszę cię poprosić o dwie przysługi. Nie masz najmniejszego powodu, by się zgodzić, a ja nie mam najmniejszego prawa o nie prosić, ale i tak to zrobię. — Oblizał wargi, słysząc w głowie zegar odmierzający bezgłośnie sekundy jego kruchego życia. — Muszę wynająć poszukiwacza. Chcę, by zaczął natychmiast. Mogę skorzystać z twojego konta? Zapłacę ci, kiedy uporządkuję moje dane.

— A kogo chcesz znaleźć? — Na twarzy Andy'ego pojawiła się czujność. — Tego gościa, który spieprzył ci konto?

— Być może moją córkę. — Wytrzymał spojrzenie Andy'ego. — To dlatego tu przyjechałem. Aby ją znaleźć. Po drugie chciałbym pożyczyć trochę gotówki. Chcę wydostać z hotelu moją torbę, ale przedtem muszę uregulować rachunek.

— Burritos mogę rozdawać za darmo. Kasa i czas w sieci to coś innego. — Andy przechylił głowę. — Twoją córkę, i to być może?

— Sam jeszcze nie wiem. — Michael nie miał mu do zaoferowania niczego oprócz szczerości. — Nie wiem, czy chcę, by nią była, ale muszę się dowiedzieć. Nie jestem nawet pewien, czy ona tego chce. — Jego uśmiech zabołał. — Napisała do mnie i wyjechała. Nie wiem dokąd.

— Dlaczego?

Beznamiętne pytanie. Michael przyjrzał się jego twarzy. Co jego poszukiwania mogły znaczyć dla Andy'ego Rodrigueza?

— Ponieważ nawet jeśli nie jest moją córką, to jednak tak myśli. Chcę... żeby wiedziała, że przyjechałem do niej. — Te słowa przesycone były szczerością, wypowiedział je bez zastanowienia, zaskakując samego siebie.

Andy zmrużył oczy, wpatrując się w coś, co tylko on mógł dostrzec. Jego czoło pokryły zmarszczki.

— To coś ważnego. — Skinął gwałtownie głową. — Jestem niezły w sieci, ale znam kolesia, który bije mnie na głowę. To jego konik, a jest mi winny przysługę, siedem przysług. Nie działa legalnie, ale jest w stanie odszukać samego diabła, gdybyś miał kaprys mu za to zapłacić. Zorganizuję to, jeśli chcesz — skrzywił się. — Bunny nie lubi obcych. Jak się nazywa ta kobieta?

— Espinoza. — Michael wziął głęboki oddech. — Margarita. Mieszkała w Hiltonie... — Przerwał, starając się policzyć dni. — Jakiś tydzień przede mną — a to było chyba dwudziestego dziewię-

tego.

— Margarita Espinoza. — Andy pokiwał głową. — W Hiltonie na tydzień przed twoim przyjazdem. Nie ukrywa się chyba przed policją, co? Dla Bunny'ego to pestka. Dam mu znać wieczorem. — Obdarzył Michaela zaaferowanym uśmiechem. — Na pewno się dzisiaj zobaczymy i wprowadzę go w temat. Coś ci powiem — zerknął na zegarek na swoim nadgarstku, wiekowe nakręcane urządzenie na wytartym pasku z prawdziwej skóry — muszę uciekać. Mam dziś dyżur po południu, zbieram ciepłe ciała dla szpitala Opatrzności i paru prywatnych klinik. Poproszę Bunny'ego, by umieścił adres w ogólnodostępnym sektorze sieci, pod hasłem „Estevan”, dobra?

Estevan? Trafny wybór, pomyślał Michael, czując ukłucie rozgoroczenia.

— Dziękuję — rzekł cicho. — Doceniam to.

— Życie samo w sobie jest wystarczająco ciężkie. — Przez twarz Andy'ego przemknął krzywy uśmiech. — Czasami trzeba dać coś innym. — Wyłowił z kieszeni kartę, podał ją Michaelowi i zerk-

nął na parapet. — To powinno uwolnić twoje manele. Obawiam się, że ubranie jeszcze nie wyszło.

Andy nie miał nic przeciw pomaganiu bliźnim, ale nie zamierzał zostawić obcego człowieka w mieszkaniu wypełnionym drogim sprzętem. Michaelowi przypadł do gustu jego pragmatyzm. Oraz zegarek.

— Dziękuję — powiedział Michael, bo tylko tyle zostało do powiedzenia. Nałożył ubranie, wciąż wilgotne i pomarszczone, lecz czyste. Potem Andy wypuścił go na korytarz i zamknął za nimi imponujący zestaw zamków.

Michael podążył w ślad za Andym w stronę klatki schodowej. Musiał odszukać Margaritę. Jeśli była córką Estevana, musiał opowiedzieć jej o ojcu — o tym, jakim był człowiekiem i artystą. Zasługiwała na to, by się dowiedzieć, że przyjechał do niej, przynajmniej tyle.

A jeśli była jego córką?

Powinienem zadzwonić do Chris, pomyślał, przełykając grudę poczucia winy. Powinienem uporządkować sprawy mojego konta i spłacić Andy'ego. Ale nie chciał tego — nie przed rozmową z Margaritą. Nie dopóki nie miał pewności. Tym razem przeszedł obok szybu windy, zaglądając w ciemność, wyzywając ją, by wyciągnęła po niego swe macki. Ujrzał jedynie pustą przestrzeń i brak

światła, nic więcej.

Już mi lepiej, uznał Michael, schodząc powoli po schodach. Wciąż jestem słaby i na stromych stopniach uginają się pode mną nogi, ale czuję się lepiej.

— Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz. — Na ulicy Andy uniósł rękę z poważnym wyrazem twarzy.

— Dzięki. — Michael musnął dłoń Andy'ego i ruszył ulicą w stronę lasu wież i Hiltona. Dziwne słowa pożegnania jak na hakera-sanitariusza. „Czego szukam?“, zapytał sam siebie Michael, nie będąc pewnym odpowiedzi. Margarity? Swej muzy?

Śmierci?

Szerokim łukiem ominął plac, na którym umarł Estevan.

Portier w liberii przed drzwiami Hiltona zmierzył pogardliwym wzrokiem wymięte ubranie Michaela. Byłby z niego dobry model do Kamienia o mieście, skonstatował kwaśno Michael. Jego pogarda ustąpiła miejsca absolutnej odrazie, gdy okazało się, że Michael nie posiada ani elektronicznego klucza, ani karty identyfikacyjnej. Znikły bez śladu, nie pamiętał nawet, czyje zgubił, czy też je skradziono. Spoglądając spode łba, portier powiedział półgłosem kilka słów do komunikatora wbudowanego w srebrną bransoletę.

Ochrona pojawiła się niemalże natychmiast, tym razem pod postacią niewysokiej, napakowanej kobiety w szarym, formalnie skrojonym garniturze.

— Panie Tryon — powiedziała, kłaniając się ledwie zauważalnie, uważne spojrzenie jej błękitnych oczu omiotło go od stóp do głów — przykro mi z powodu tego nieporozumienia. — Zignorowała usiłującego coś wtrącić portiera. — Kiedy pan nie wrócił, by się wymeldować, umieściliśmy pańską torbę w sejfie. Gdyby zechciał pan ze mną pójść, zaraz ją przyniosę. — Odsunęła się na bok, wpuszczając Michaela do wnętrza hotelu.

Cóż, najwyraźniej hotel zdążył podłączyć się do jego konta, zanim ten sieciowy pirat uczynił je niedostępnym; w przeciwnym razie nie byłoby mowy o tak uprzejmym traktowaniu. Ale jak to było możliwe? Michael zawahał się na ułamek sekundy, zanim wszedł do lobby w towarzystwie kobiety z ochrony hotelu. Hilton nie powinien był przecież zamknąć jego konta wcześniej niż następnego dnia po ataku. Więc dlaczego hotelowi to się udało, skoro jego karta została odrzucona w klinice poprzedniego dnia? Kobieta poprowadziła go obok mebli z prawdziwego drewna ustawionych wokół kamiennego kominka. Ogień trząskał wesoło, emanując delikatnym ciepłem — oczywiście hologram, ale dobry. W wyłożonej tapetą ścianie rozsu-

nęły się ukryte drzwi i Michael wszedł do środka.

— Proszę usiąść, panie Tryon. — Kobieta wskazała na jedno z krzeseł zajmujących większość miejsca w ciasnym biurze. Jej biurze? Michael usiadł, przyglądając się holoscenie zamontowanej przed wygodnym fotelem. Ponad sceną tańczyła kiczowata mieszanina świateł i barw.

— Zaraz przyniosę z sejfu pańską torbę. To zajmie nie więcej niż parę minut — powiedziała i wyszła przez inne drzwi znajdujące się po drugiej stronie holosceny.

Dlaczego miał uczucie, że pod tą uprzejmą twarzą skrywa się wredna suka? Michael podniósł się i powoli przesunął do drzwi. Nigdy nie pałał szczególną sympatią do glin, a ochroniarze byli jeszcze gorsi. Ich działalność nie miała zbyt solidnych podstaw prawnych i dobrze o tym wiedzieli; nadrabiali to arogancją i bezczelnością jeszcze większą niż u gliniarzy. Ale może były to jedynie ślady dawnych uprzedzeń, pomyślał kwaśno Michael. Echa zmarnowanej młodości. Przycisnął panel drzwi. Nic.

Cóż, być może jego uprzedzenia nie były takie bezpodstawne.

Drzwi w przeciwległej ścianie rozsunęły się bezszelestnie. Kobieta z ochrony powróciła w towarzystwie innej, wysokiej i ciemnoskórej, ubranej w bladoniebieski garnitur. Mogła być kimś z administracji hotelu. Lecz jej twarz była chłodna, a za nią do pokoju weszło dwóch umundurowanych gliniarzy.

— Michael Tryon? — Wyciągnęła z kieszeni niewielki portfel i otworzyła go, pokazując błyszczącą odznakę. — Jestem porucznik Ryan z policji miejskiej Albuquerque. Chciałabym zadać panu kilka pytań.

Gliny? Bomba.

— Coś się stało? — Michael starał się panować nad swoim głosem, lecz mroczna pustka w jego umyśle nagle się poruszyła. — O co chodzi?

— Gdyby zechciał pan pójść ze mną, będziemy mogli o tym porozmawiać — powiedziała policjantka.

— Nie wydaje mi się, abym musiał z panią iść. — Michael zdławił lęk usiłujący przesączyć się do jego głosu. — Chyba że zamierza mnie pani aresztować.

— Mogę to zrobić. — Porucznik nie uśmiechnęła się. — Jeśli taka pana wola. Albo też będzie pan z nami współpracował, co zaoszczędzi nam obojgu biurokratycznej roboty.

— O czym pani mówi? — Chciał się rozzłościć, ale nie potrafił; przez ostatni miesiąc nieświadomej egzystencji mógł zrobić dosłow-

nie wszystko. A ona nie zamierzała mu powiedzieć niczego więcej, miała to wypisane na twarzy. Miał do wyboru albo tańczyć tak, jak mu każe, albo oberwać po głowie. — W porządku. — Skinął głową, poddając się, kąpiąc się bezwolnie we własnym lęku. — Pójdę z panią.

Porucznik cofnęła się, przepuszczając Michaela przodem. Umundurowani gliniarze natychmiast zajęli pozycje po obu jego bokach, poruszając się niczym dobrze wytresowane psy bojowe. O, tak, miał aż nadto materiału na genialny Kamień: hymn pochwalny na cześć mrocznej duszy miasta.

— A moja torba? — Michael obejrzał się w kierunku kobiety z ochrony. — Ktoś ukradł moją kartę. Muszę to zgłosić.

— Zajmę się tym. — Skinęła głową.

— Wkrótce odzyska pan swoją własność. — W głosie policjantki zabrzmiało zniecierpliwienie. — Chodźmy.

Ich energia popychała go niczym niewidzialna fala, gnając go przez lobby w stronę nie oznakowanego samochodu czekającego przy krawężniku. Władza, skostatował Michael. Potężna fala pływowa tego, co społeczeństwo uznało za słuszne. Jeśli się z tym nie zgadzasz, niech Bóg ma cię w swojej opiece — będziesz musiał płynąć pod prąd przyboju.

Jeden z mundurowych prowadził, drugi siedział obok niego. Porucznik usiadła z tyłu razem z Michaelem, od dwójki gliniarzy oddzielała ich gruba płyta z poliglasu.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Michael, nie spodziewając się odpowiedzi.

Zignorowała go kompletnie.

W Taos dostałby ataku furii, powiedziała, żeby go aresztowała albo przestała robić mu koło tyłka. Wyjeżdżając z Taos, coś tam zostawił — może swoją osobowość. Tutaj nie był już Michaelem Tryonem, nie miał pewności, kim właściwie jest.

Samochód, bezceremonialnie przepychający się między pieszymi i zbieraniną prywatnych pojazdów, zwolnił, zjeżdżając do krawężnika. Wieże pochylały się nad nimi z monotonną regularnością, jedna na każdą przecnicę. Stuknął zamek i otworzyły się tylne

drzwi. Michael wysiadł powoli, osłaniając oczy przed niemalże poziomymi promieniami zachodzącego słońca. Zaparkowali przed kolejnym starym budynkiem. Ten wyglądał nieco lepiej od pracowni Andy'ego, lecz wciśnięty był między dwie niebotyczne wieże niczym zapomniana młodsza siostra. Michaela zaciekało, jakim cudem przetrwał, podczas gdy jego sąsiedzi musieli ustąpić miejsca wieżom.

Ziemia między chodnikiem a drzwiami wejściowymi pokryta była żwirem i otoczkami. Betonowa fasada budynku była zadbane, a wyszukana żelazna krata zabezpieczała wejście oraz okna parteru. Policjantka wsunęła kartę do czytnika przy bramie wjazdowej i krata złożyła się do wtóru zgrzytających zawiasów. Zawieszona na ścianach kamery odprowadzały ich szklanymi obiektywów, gdy przeszli żwirową ścieżką do lobby. Michaelowi przemknęło przez głowę, że może powinni iść noga w nogę.

Cały parter stanowił jedną wielką przestrzeń. Grube białe kolumny podtrzymywały sufit, niewidoczne urządzenia dostarczały światła zielonej roślinności ogrodu. Michael wziął głęboki oddech, rozkoszując się wonią wilgotnej ziemi i kwiatów. Gdzieś w tle bulgotał i szemrał strumień wody.

— Muszę się odlać — powiedział Michael.
Policjantka spojrzała na niego z irytacją.

— Świetnie, wspaniale, tędy. — Skinieniem głowy wskazała na wypielęgnowany żywopłot obsypany białymi kwiatami.

Nie było za nim łazienki, a jedynie rząd trzech wind. We czwórkę wcisnęli się do kabiny jednej z nich. Michael przez moment poczuł ukłucie żalu, że wziął prysznic. Gierki policjantki zaczynały go już nużyć. Winda zatrzymała się na najwyższym piętrze i wyszli do niewielkiego, wyłożonego dywanem lobby. Wykładzina była nowa i czysta, jedną ze ścian zajmowało holookno, ukazujące panoramę Zatoki San Francisco i mostu Złote Wrota w całej okazałości, jeszcze sprzed trzęsienia ziemi. Jakiś artysta musiał zretuszować współczesne nagranie, by nadać mu archaiczny posmak, uznał Michael.

— Tędy. — Porucznik chwyciła Michaela pod łokieć.
Odrącił jej dłoń. Policjantka była podekscytowana, choć dobrze

nad tym panowała. Czując, jak jeżą mu się włosy na karku, Michael wszedł do pomieszczenia.

Najpierw uderzył go wystrój wnętrza, istna feeria kolorów. Ściany pokrywała panorama veldtu, ostre słońce, pasące się stada zebr i gnu. Pośrodku pomieszczenia czaił się olbrzymi tygrys i, ujrawszy go, Michael zamarł na jedno uderzenie serca, zanim zorientował się, że patrzy na hologram. W kątach pokoju rosły kolczaste krzewy —

hologramy — tak że kalejdoskopowe ściany jakby się stapiały z rzeczywistą przestrzenią. Długą sofę ustawioną obok tygrysa przykrywała skóra zebry. Michael dotknął jej, odkrył z zaskoczeniem, że jest prawdziwa, nie syntetyczna, i cofnął gwałtownie rękę. Dopiero teraz dostrzegł kobietę. Spoczywała na sofie, przykryta miękką skórą zebry, przyciskając głowę do ramienia, druga ręka zwisła bezwładnie, dotykając podłogi. Miała negroidalne rysy twarzy, skórę ciemniejszą od Andy'ego, równie ciemną jak wypolerowane drewno stolika przy sofie. Była tak ciemna, że nie sposób było dostrzec krwi, chyba żeby się uważnie przyjrzeć. Jej czerwień zdążyła zmatowieć, zaschła w rdzawy brąz zlewający się z kolorem jej skóry. Najłatwiej było ją zauważyć na podłodze, pod nieruchomą ręką, gdzie utworzyła brązową kałużę na dywanie koloru słomy.

Michael wzdrygnął się. Wyglądała jak uśpiona. Dostrzegł otwór, ślad czego? — kuli — tuż ponad lewym okiem. Stąd ta krew. I z nosa. Nagle rozpoznał ją, przypomniał sobie uprzejmą, pustą rozmowę, rozpalone słońce Taos, nudę... S'Wanna LeMontagne. Żołądek podjechał mu do gardła i Michael odwrócił się, walcząc z mdłościami.

Porucznik obserwowała go uważnie, podobnie jak obaj mundurowi.

— Zawsze staram się patrzeć na twarz podejrzanego, gdy wraca na miejsce zbrodni — powiedziała z uśmiechem, kiwając głową, jak gdyby Michael zrobił coś bardzo mądrego. — Michaelu Tryon, aresztuję cię za morderstwo S'Wanny LeMontagne.

— Co takiego? — Michael wlepił w nią zdumione spojrzenie, jak gdyby cały pokój zapadł się nagle do wewnątrz. — Ja... spotkałem ją tylko raz. Dwa lata temu, w Taos. — Potrząsnął głową, starając

się zrozumieć to, co się z nim działo. — Dlaczego miałbym ją zabijać?

— Gdzie przebywał pan minionej nocy? — Uśmiech jeszcze nie do końca zniknął z jej twarzy.

— Na... na placu. Na południe od wież. Pod... pod stacją kolejki, gdzie zginął Estevan. Ktoś musiał mnie tam widzieć — bełkotał, wstrząśnięty bliskością śmierci i skrzydłami ciemności rozwijającymi się w jego głowie. Wszystko było możliwe, nie istniały już żadne zasady, absolutnie żadne. Może rzeczywiście to zrobił. Michael poczuł, że blednie. Czemu nie? Co w ogóle pamiętał? Dlaczego by S'Wanna LeMontagne nie mogła przyciągnąć go do siebie tak jak miejsce śmierci Estevana?

Nie, nie, nie!, chciał krzyknąć, lecz zabrakło mu słów. Policjantka patrzyła na niego z oczekiwaniem malującym się otwarcie na jej

twarzy, przypominała drapieżnika przypatrującego się swej ofierze. Potem najwyraźniej dała jakiś sygnał, gdyż jeden z gliniarzy złapał go za nadgarstek, wykręcił mu rękę na plecy i zakuł w kajdanki. Miał sflaczałą skórę, do naprawienia w najtańszym nawet serwisie, i stare, nasycone goryczą oczy.

— Idziemy, mięsko z serwisu — powiedział.

— Dlaczego? — Michael miał wrażenie, że jego język zamienił się w filc, lecz mimo to zdołał zmusić go do posłuszeństwa. — Proszę mi powiedzieć... dlaczego uważacie, że to ja.

Policjantka odwróciła się do niego plecami.

— Zapomniał pan tu czegoś — rzuciła przez ramię.

— Powiedziałem, idziemy. — Gliniarz o starczej skórze położył mu dłoń między łopatkami i popchnął.

Michael poleciał do przodu, walcząc o utrzymanie równowagi. Opuszczały go resztki energii, pozostawiając pustą, rozdygotaną skorupę. Oszalałem, pomyślał, gdy gliniarze wpychali go do windy. Jestem mordercą.

Tyle że nim nie był. Jakaś jego część wiedziała o tym, chwycił się więc kurczowo tej kruchej pewności. Może i przyjął w siebie ciemność, na pewien czas ukrył się przed wszystkim, ale nikogo nie

zabił. Nie, tego nie zrobił. Ogarnęła go fala ciepła, wyprostował ramiona. Był pewien.

Starzejący się glina posłał mu złe spojrzenie. Zazdrosny? Nienawidził Michaela za to, że stać go było na serwis, na który on, ze swoją miejską pensją, nie mógł sobie pozwolić? Albo nie chciał? Michael poczuł nagły przypływ współczucia dla tego człowieka skazanego na sflaczenie, starość i nienawiść. Serwisy nie są w stanie odmłodzić twojej duszy, chciał powiedzieć, lecz wiedział, że tamten tego nie zrozumie. Dotarli do lobby i Michael, ze skutymi na plecach rękami, ostrożnie zszedł po schodach prowadzących od wyjścia, stawiając niepewnie stopy.

Porucznik obserwowała go, marszcząc brwi. Niezadowolona, stwierdził Michael i zastanowił się, co takiego uczynił, że ją zirytował. Może oczekiwała, iż padnie na kolana i przyzna się do morderstwa w przypływie wyrzutów sumienia. Pochylił głowę, cudem mieszcząc się w drzwiach samochodu, gdy ponury gliniarz beczernie wepchnął go do środka. Sam nie usiadł z przodu, podobnie jak jego towarzysz. Przez chwilę stali i rozmawiali z policjantką, potem odwrócili się i odeszli chodnikiem. Porucznik sama usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik.

Ruszyli z nagłym szarpnięciem i głowa Michaela uderzyła o zagłówek. O, tak, pani porucznik była wściekła. Albo zdenerwowana. Michael zorientował się nagle, że gdyby przymierzał ją do Kamienia, znalazłby w niej niepokój, a nie złość. Dlaczego była niespokojna? To stanowiło dla niego zagadkę. Zastanawiał się nad nią przez chwilę, niepewny, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie, dlaczego w ogóle przejmował się myślami tego trybiku w maszynierii wymiaru sprawiedliwości. Dotarcie do kolejnej komórki prawnego labiryntu zajmowało im okropnie dużo czasu. Będzie musiał zadzwonić do Chris. Michael westchnął powoli, już skulony wewnętrznie. Nie było innej rady — pora wołać o pomoc.

Chris ściągnie go z powrotem do Taos; teraz nie będzie mógł się jej sprzeciwić. I nigdy już nie znajdzie dosyć siły, by wyjechać ponownie. Samochód się zatrzymał i Michael wyjrzał przez okno,

marszcząc czoło. Wzdłuż ulicy stały rozsypujące się betonowe budynki. Śmieci pokrywały spękane, pofalowane chodniki, zbierając się w sterty w zabitych deskami podjazdach rozsypującego się magazynu. Nie wyłączając silnika, policjantka wysiadła i trzasnęła drzwiami. Michael przeniósł na nią wzrok, gdy otworzyła tylne drzwi i usiadła obok niego.

— Siedzisz po uszy w gównie, kotku. — Z westchnieniem splotła ramiona na piersi. — Zdajesz sobie w ogóle sprawę jak głęboko?

— Nie zabiłem jej.

— Oszczędź mi tego — westchnęła i przeciągnęła się z grymasem na twarzy. — Tak między nami, wierzę ci. Nie sądzę, żebyś był szczególnie dobrym aktorem, i wątpię, żebyś wiedział, co na ciebie czekało tam na górze.

— To dlaczego mnie pani aresztowała? — Michael z wysiłkiem zapanował nad swoim głosem.

— Pewnie dlatego, że mamy dosyć dowodów na to, że tam byłeś, żeby cię skazać. — Spojrzała na niego z ukosa. — Komu zależy na tym, abyś trafił do więzienia?

Archenwald-Shen. Michael potrząsnął głową, nagle sparaliżowany. Zed go ostrzegał, ale to? Za co? Małą nieuprzejmość?

— Moje hobby to sprawiedliwość. — Porucznik wpatrywała się przez gruby poliglas w puste miejsce z przodu. — Czasami nienawidzę tej pracy. Chyba muszę się odlać. — Odsunęła drzwi, wysiadła i odeszła od samochodu.

Michael utkwiał wzrok w małym czarnym dysku leżącym na wytartej tapicerce siedzenia. Elektroniczne kluczyki kajdanek. Nie śmiejąc w to wierzyć, nie mogąc uczynić niczego innego, wykręcił się w bok, macając rozpaczliwie palcami, muskając chłodny plastik dysku, gubiąc go i odnajdując... Cholernie trudno było trafić kluczem do zamka kajdanek. Pot wystąpił mu na twarz, szczypiąc i paląc w oczy. Zachwilę wróci, musi wrócić. To twoja jedyna szansa, dalej, zrób to...

Kajdanki otworzyły się tak nieoczekiwanie, że prawie stracił równowagę, choć przecież siedział. Z westchnieniem ulgi Michael

uwolnił ręce i rzucił kajdanki na podłogę. Wygramolił się z samochodu i popędził na drugą stronę ulicy. Nie biegnij!, krzyczał cichy głos w jego głowie, lecz on już dosyć się nasłuchiwał jak na jeden dzień. Kontrolę nad jego ciałem przejęła przysadka, uznająca tylko dwa wyjścia — walkę lub ucieczkę — zalewając mięśnie falą adrenaliny, blokując zdolność logicznego rozumowania nieprzewyciężoną potrzebą ucieczki. Przed nim zamajaczyła odgięta łomem płyta z plastiku, przegradzająca wejście wyłamane młotem drzwi. Michael odchylił je na bok szybkim szarpnięciem i przecisnął się przez szczelinę do środka.

Dysząc ciężko, rozejrzał się dookoła. Światło sączyło się przez brudne świetliki, wypełniając rozległe pomieszczenie szarzyzną półmroku. Szare betonowe kolumny podtrzymywały sufit, pokrywało je nieczytelne graffiti gangów. W jednym z kątów wznosiła się zapomniana sterta skrzynek z płyty pilśniowej. Niektóre były otwarte, styropianowe kulki pokrywały stos niczym zaspą starego śniegu. Serce Michaela stopniowo zwalniało rytm i w końcu mógł zerknąć ukradkiem przez szparę w drzwiach. Samochód zniknął; pozwoliła mu uciec.

Dla sprawiedliwości? Bo Archenwald-Shen zrobił go w to morderstwo? Tak powiedziała. Michael odwrócił się od drzwi, czując wewnętrzny niepokój. Coś tu było nie w porządku. Gdzieś kryła się fałszywa nuta. Ale im bardziej starał się ją uchwycić, tym dalej mu się wymykała. Odetchnął ciężko, jego kroki rozbrzmiewały stanowczo zbyt głośno na popękanej szarej posadzce. Być może właśnie zrobił największe głupstwo w swym życiu.

Prawdopodobnie, nie być może.

Nad jego głową zatrzepotał ptak, znikając w rozbitym świetliku. Gęsty półmrok i kolumny sprawiały, że pusty magazyn przywodził na myśl wnętrze katedry. Kościół jakiego boga?, zamyślił się Michael, przemykając wśród zaśnieżającego ziemię śmiecia. Czarne i czerwone zawijasy symboli gangów oplatały się wokół kolorowej karykatury deskorolkowca, pozostawionej na ścianie przez jakiegoś taggera. Adrenalina wypłukiwała się z krwiobiegu Michaela, pozostawiając

po sobie jedynie drzenie mięśni. Potrzebował jedzenia, potrzebował

spokojnego miejsca, gdzie mógłby poukładać sobie wydarzenia ostatniego miesiąca, spróbować zrozumieć, co się z nim dzieje.

Najbardziej pragnął się obudzić i przekonać, że wszystko to było jedynie snem.

Roześmiał się chrypliwie, budząc głośnie echa w magazynie. Zadzwoić do Chris? Pewnie, a gdyby mu pomogła, ryzykowałaby utratę galerii. Michael pokręcił głową i westchnął. Nie. Wsunął rękę do kieszeni tuniki i zmacał twarde kanty karty gotówkowej od Andy'ego. Andy świetnie się poczuje, kiedy się dowie, że Michael jest poszukiwany za morderstwo jego kochanki. Tak. Nie ma to jak odwdziżyć się za samarytański ratunek. Skierował się w stronę smugi słonecznego blasku, która musiała wpadać przez kolejne drzwi albo rozbite okno.

Znalazł drzwi, monstrualną bramę wjazdową dla ciężarówek obracającą się na podwieszonych pod sufitem szynach. Była w takim stanie, jakby uderzył w nią czołg, zdzierając jedno skrzydło z szyny, zawijając jej skraj niczym blachę. Michael zatrzymał się jak wryty, czując dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. W cieniu, gdzie nie sięgało przefiltrowane światło, leżała skulona postać. Człowiek. Michael dostrzegł nieogolony policzek wystający spod brudnego koca, w który był zawinięty. Oddycha? Tak, koc poruszał się w rytm wolnego oddechu. Michael przemknął obok niego na palcach, przelotnie dostrzegając wychudzoną szyję tamtego. Czerwone plamy pokrywały ją niczym wysypka czy oparzenie słoneczne, cielisty krąg narkotykowego plastra przyczepiony był jak pijawka do bruzdy tętnicy szyjnej.

Teraz wiedział już, jaki bóg tu mieszka. Michael przecisnął się przez rozbitą bramę na ostre popołudniowe słońce. Znał go aż za dobrze. Mrugając, oślepiony blaskiem Michael zastanowił się przelotnie, jakie mroczne nuty wniósłby do Kamienia przesiąknięty narkotykami, uśpiony umysł tego nędznika.

Po drugiej stronie ulicy mieściło się kilka małych sklepików. Górne piętra oblepiały prymitywne balkony i tarasy sklecone z kawałków gipsowych płyt, rur i wszystkiego innego, co akurat było pod ręką. Niektóre z nich zastawione były doniczkami i skrzynkami

z roślinami, podlewanymi wodą z czyichś beczennych racji pomocy społecznej i zapewne bronionymi przy użyciu broni dużego kalibru. Przed jednym ze sklepów przykucnęła stara kobieta sprzedająca pieczone warzywa zawinięte w tortille. Jej ciemna twarz była tak pomarszczona i pobrużdżona, że Michael nawet nie próbował zgadywać jej pochodzenia. Zwijając dla niego tortille, posłała mu uśmiech, obnażając sztuczne zęby z federalnej przychodni, potem złapała

kartę gotówkową zasuszonymi dłońmi o długich palcach przypominającymi szare pająki.

Warzywa przyprawione były taką ilością curry i pieprzu, że łzy napłynęły mu do oczu. Stał w zabitej deskami bramie, by zjeść tortille, i ocierając rękawem usta, spróbował się zastanowić. Ile czasu mu zostało, zanim gliny zaczną go szukać? Musiał jak najszybciej opuścić Albuquerque, a dysponował jedynie pieniędzmi od Andy'ego. To znacznie ograniczało jego pole manewru. Obrócił w palcach niewielką kartę, zastanawiając się, ile właściwie na niej było. Dostyc na zapłacenie rachunku w hotelu, tak powiedział Andy.

Dziennikarze rzucą się na tę sprawę jak sępy na padlinę — była wystarczająco sensacyjna, by przynieść im w sieci wiele punktów, wyeksploatują ją więc bezlitośnie. Wspomniał Chris, lecz zaraz przegnał tę myśl z głowy. Margarita Espinoza też na pewno o tym usłyszy. Przeżykając ostatni kęs, pozbył się resztek niezdecydowania. Wiedział, dokąd musi pojechać — spotkać się z nią. Miał nadzieję, że starczy mu pieniędzy, by się tam dostać. Bez względu na to, gdzie by owo „tam” było.

Wycierając palce o udo, rozejrzał się po ulicy w poszukiwaniu gliniarzy, a potem ruszył przed siebie, wypatrując jaskrawej muszli publicznego terminalu.

Rozdział czwarty

Galeria była olbrzymia, zajmowała cały kwartał, z którego pozostały jedynie zewnętrzne ściany, wzmocnione abstrakcyjnym maswerkem metalowych dźwigarów. Te wyginały się łukami i przeci-

nały w oświetlonej reflektorami przestrzeni niczym obłąkany twór tkającego stalowe nici pająka, pajęczyna escherowskich rusztowań. W niektórych miejscach zawieszono balkony niczym sceny olbrzymiego amfiteatru.

To były sceny. Margarita odchyliła głowę do tyłu, błędząc po nich wzrokiem. Na jednym balkonie rzeźby w metalu, srebrne i złowieszcze w nieokreślony sposób; dalej kompozycje barw — złożone płótna wyłożone warstwami okruczeń witraży; tam znów zapętłona chromowa helisa... W jej piersi rozwinął się niewielki kwiat podniecenia. Właściciele Yamady chełpili się swą otwartością na awangardę, lecz udostępniali miejsce tylko tym, których nazwiska były już znane w świecie sztuki.

Wargi Margarity zdrząły. Jej nazwisko trudno byłoby uznać za szczególnie popularne.

A jednak zaproponowali jej wystawę. Czy dlatego, że naprawdę uważali ją za wschodzącą gwiazdę? Przesunęła dłonią po swych

gęstych, czarnych włosach, poczucie autentycznego sukcesu nareszcie przytłumiło wątpliwości. Wschodząca gwiazda, o, tak, inaczej nie znalazłaby się w Yamadzie. Taak.

Może tym razem wątpliwości wezmą sobie urlop.

Nagle zaczęło się jej spieszyć, niecierpliwym gestem odgarnęła włosy z twarzy. Jutro wieczorem wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik. Galeria Yamada wchodziła w skład promenady Pierwszego Wtorku. Tym razem luminarze sztuki mieli przyjść do niej.

A „Kryształowa” nie była jeszcze doskonała. Jeszcze nie.

Margarita ponownie pochyliła się nad konsolą holosceny, zakaśując rękawy zbyt obszernej tuniki, przygryzając dolną wargę, podczas gdy jej palce przebiegały po rzędach przycisków. „Pęknięcie: Kryształowa” — tak zatytułowała to dzieło, trzecie z serii „Pęknięć”, której zawdzięczała tę wystawę. Zimowa pieśń duszy, kryształowa pustka ujmująca serce swym pięknem i rozpaczą, doskonałością tak dalece przerastającą prymitywną, rozgorączkowaną energię wiosny, że odnaleźć ją było można jedynie tutaj. Pieśń tego, co ludzkość odrzuciła, zwróciwszy się ku światu sieci, serwisów tkanek i odizolowanego, samowystarczalnemu życia w samotności.

Czy to wystarczy — to, czego szukała? Pustka, doskonałość, dusza. Znow te wątpliwości... Margarita odetchnęła gwałtownie, starając się wysondować własne pragnienia. Złapała klawiaturę, przerzuciła uprząż przez głowę i weszła na scenę, a kolory i kształty zbudziły się, wirując, do życia. Zimno. Zadrzała, gdy pierwszy podmuch lodowatego powietrza musnął jej nagie ramię. Śnieg pokrywał ziemię, przebity brzożami, które wyciągały zakrzywione palce chropowatych, czarnych pni ku niebu. Tu i tam, w miejscach gdzie śnieg wytopił się i zakrzepł w aksamitną gładź, prześwitywał zmarznięty grunt.

Niech stanie się to moją skórą, niech ten ziąb stanie się mój... Odczucia wciąż jeszcze nie były idealne, ale nie miała czasu na poprawki. Przygryzła wargę. Więcej kamieni? Przebiegła palcami po klawiszach, na maleńkim ekranie otworzyła menu skał, wybrała morenę polodowcową i przewinęła listę próbek. Ta będzie dobra, tylko trzeba dodać trochę śladów erozji; woda musiała toczyć ją przez długi czas, skoro znalazła się wśród tych brzoż. Powielanie, modyfikacja skały do 1.5, generacja przypadkowych kształtów. Zaczęła je rozmieszczać, zatapiając w twardej, zmarzniętej ziemi. Jeden za drugim wyłaniały się migotliwie z niebytu na scenie.

Margarita zmarszczyła czoło, gdy kamień wielkości jej pięści wolno zmaterializował się u jej stóp. Pośpiesz się. Wybrała z konsoli kamień, rozkruszyła go, pamiątkę niezliczonych cykli słońca i lodu, jego ostre krawędzie stanowiły niemą groźbę, rezonans, o, tak.

Przycisnęła klawisz z napisem „kontynuuj”. Muzyka wezbrała cichym przyływem — chłodny szmer dzwonek, który stał się dźwiękowym cieniem zimnego wiatru muskającego jej skórę. Samotny afrykański bęben uderzał gdzieś w tle, na granicy słyszalności. Peruwiański flet piszczał miękko, suchy niczym zmarznięty śnieg.

Margarita odetchnęła przez nos, wyczuwając zapach zimy. Ponownie uderzyła klawisz pauzy. Ściskając wargę zębami, wywołała menu zapachów. Arrow powtarzał jej, kiedy była jeszcze nieopierzoną uczennicą, że zapach zawsze jest najtrudniejszym elementem. Nos utrzymywał bezpośrednią łączność ze wspomnieniami. Dobrze trafisz, to będą płakać, spieprzysz, a będą się zaśmiewać w niewła-

ściwych momentach. Może odrobina żywicy, ale nie za dużo, by ludzie nie zaczęli myśleć o lesie albo o Bożym Narodzeniu...

Kurde. Sapnęła z niesmakiem. Dobra, Arrow, gdzie popełniłam błąd? Zawsze był pewien swoich umiejętności. Czasami wydawało się jej, że i o niej tak myślał. Kiedy indziej sama nie wiedziała... Margarita wzięła głęboki oddech, przebijając pospiesznie palcami. Zrobię to, jak należy, Arrow. Tylko przestań patrzeć mi na palce. Będzie dobrze.

Ale on nie patrzył jej na palce. Nie żył.

Lepiej wykorzystać zapisy z prawdziwymi bodźcami. Nie ma na to czasu. Spróbujmy tego. Przepędzając z głowy Arrowa i wątpliwości, wciągnęła do płuc wspomnienia, dzieciństwo, zimę. Tak. O, tak: mankiet wełnianej koszuli odruchowo przyciśnięty do nosa, ust. Sztywna, zimna wełna, nagły oddech, niosący ze sobą zapach i smak żywicy i potu, lasu i lodu, przyjaciela, kochanka, dziecka. Ponownie przygryzła wargę, poszukując w myślach wszystkich przedmiotów, których mógł dotknąć mankiet wełnianej koszuli w zimny dzień. Dym płonącego drewna, mydło, ślina... tak, utracone...

Odtwarzaj. Przerwij. Edytuj. Odtwarzaj. Przerwij. Odtwarzaj.

Teraz słowa — podkład tekstowy. Wykorzystała głos Katriny, jedynie nieznacznie zmodyfikowany. Traktowała to jak swego rodzaju... przeprosiny. Ponieważ Katnina poprosiła o pokazanie tego dzieła, gdy jeszcze nad nim pracowała, a Margarita powiedziała: nie. Gorzej, warknęła to „nie”, pragnąc zadać ból, gdyż ten utwór był dla niej bolesny. Przeczekując ukłucie winy, zastanowiła się nagle, czy Katrina rozpozna swój głos, czy zrozumie.

„U stóp gór, zimną jesienią przed nadejściem zimy, odwiedzasz mnie, przybywasz w grubym stroju, który nie kryje nadmiaru ciepła”.

Potem rozbrzmiały ostre wersy, wersy powolne:

Raz jeszcze trzymam cię barwą mej zimy,

Białą sumą odcieni,

Którą wkrótce wytrze ciemność roku.

Wspominaj mnie bez żalu.

Pomyślisz, że odeszłam, abstrakcyjna, martwa,

Lecz twoje ciało wie, że jestem teraz kruszejącym kamieniem
Spokojnym pod pierwszymi śniegami. t

Flet zagrał wyższe nuty, nie przybierając na głośności. Przenikliwie, lecz czysto, pomyślała Margarita. Katrina, dlaczego chcesz obserwować mnie przy pracy? Ja nie przychodzę na twoje próby taneczne...

Szliśmy tędy kiedyś, gdy oboje nosiliśmy na sobie to samo życie. Twoja dłoń była zimna, do czasu aż objęłam ją moją zimną dłonią; jedna dłoń, pięć palców; dwie dłonie, dziesięć; ciepłe okruchy, fragmenty wspólnego wspomnienia. Moja postać oblekła się w inne ciało, czas i pory roku, których nie trzeba liczyć. Twoja dłoń, teraz samotna: gdy skryjesz ją w twej drugiej dłoni, obie będą jeszcze bardziej samotne.

Nie pragnęłam zadać tego bólu tobie, zrodzonemu z żywiołów, porzuconemu na ich pastwę tak samo jak ja.

Więc przychodzę do ciebie, by rzec, że brzozy się prężą,

Chwieją i tańczą w swym kruczym śnie.

A tłusty kruk śni, syty jesieni.

Lodowiec śni o śnieżnej sytości, która dopiero nadejdzie.

To było dla Katriny, pomyślała Margarita, choć nie zaopatrzyła jeszcze tego utworu w dedykację. Zaraz to zrobi, skoro tylko dopieści ostatnie szczegóły. Margarita zamknęła oczy, nie zdejmując rozluźnionych palców z konsoli, a odmieniony, dziwny, lecz tak znajomy głos Katriny szeptał dalej:

Raz za razem przybywać będę barwą zimy, by objąć cię bez ciepła, lecz w jasności; uchwycić twe palce moimi brzozowymi palcami, dotknąć twego serca moim granitowym sercem, ukazać ci zimno, które kruszy ziemię pewniej niż żar.

Piękne słowa. Tak, jak jasna cholera. Więc skąd ten ból? Dlaczego miała wrażenie, że coś jej umyka...?

— Mar, to cudowne.

Margarita podskoczyła lekko i wcisnęła pauzę.

— Trina? — Spojrzała w półmrok po drugiej stronie holosceny.

— Co ty tu robisz?

— Już późno, dziewczyno. — Katrina wskoczyła lekko na scenę, lądując w holograficznej zaspie. — Pora się zwijać.

— Jeszcze nie skończyłam. — Margarita poklepała konsolę, pragnąc poczuć triumf, pragnąc, by te słowa, zmysłowa poezja porwała ją tak jak wtedy, gdy zakończyła pierwszą wersję „Kryształowej”. Czuła tylko zmęczenie. — Tak, chyba pora się zwijać. — Unikała spojrzenia oczu Katriny. Drobnych i wąskich. Trina wyglądała jak złotowłosa zimowy duch, przybywający, by uwieść uśpioną wiosnę. „Ukazać ci, że zimno kruszy ziemię pewniej niż żar...” Margarita potrząsnęła głową, by przegnać z niej te echa. — To tylko kolejna część „Pęknięć”. Przypadnie do gustu wszystkim, którym podobały się dwie pierwsze — powiedziała bezbarwnym głosem. — Wielka mi sprawa.

— O, tak, wielka. Może sprzedasz wszystkie trzy jakiemuś nadzianemu operatorowi sieciowemu. Nic dzisiaj nie jadłaś: na tym polega twój problem. — Katrina złapała konsolę i wyciągnęła ją z szyn wprawnym ruchem. — Zapisałaś wszystko, dziewczyno?

— Tak, dobra, wyłączaj.

Margarita się odwróciła, gdy za jej plecami śnieg rozmył się w opalizującą mgiełkę i zniknął. Zapach utrzymywał się parę sekund dłużej, zanim rozproszył go ruch powietrza. Wciąż za dużo żywicy? Powiedz coś, Arrow, pomyślała. Skoro już zamierzasz patrzeć mi na ręce i kręcić nosem, powiedz mi przynajmniej, czy utrafiłam z kombinacją zapachową.

To było nie fair. Nigdy nie kręcił nosem, nigdy nie patrzył jej na palce. Pozwalał się jej bawić, badać, czasami boleśnie upaść.

Potrząsnęła głową tak, że aż włosy rozsypały się jej na twarzy.

— Muszę tu jeszcze wrócić wieczorem. Trina, dlaczego mi nie wychodzi?

— Wychodzi ci. — Katrina odgarnęła kosmyk włosów z twarzy Margarity i objęła ją ramieniem. — Bombowo. Po prostu masz tremę.

— Gówno prawda. — Margarita odtrąciła jej rękę i sięgnęła po konsolę. — To nie ma nic wspólnego z tą cholerną premierą. Trina,

gdyby to było takie dobre, ludzie zwróciliby na to uwagę. Dotarłoby do nich. A jeśli... —A jeśli jutro nikt nawet na to nie spojrzy? Nie potrafiła wypowiedzieć tych słów na głos, nie umiała dać im aż tyle siły. — Jaki to ma sens? — wyszeptała.

— Budzi we mnie... smutek — odpowiedziała cicho Katrina.

— Sprawia, że patrzę na siebie, na ciebie...

Ale Trina wielokrotnie słyszała już Margaritę opowiadającą o swoim dziele i po prostu chciała, by Margarita poczuła się różnie, by uśmiechnęła się i przestała smęcić.

— Dzięki. — Margarita wywinęła się z jej uścisku. — Chodźmy, skoro tak ci na tym zależy.

Katrina westchnęła.

To jej westchnienie było cholernie pobłażliwe. Zupełnie jak Tfi Eleny, gdy któryś z chłopaków miał kłopoty w szkole albo z miejscowymi glinami — cichy wydech przesycony rezygnacją, bo nigdy już nie miało być lepiej, a i tak trzeba było wstać o czwartej, by zdążyć do pracy w ekipie sprzątaczy, nie było więc sensu trwonić energii na irytację. To westchnienie mówiło: „Mnie to nie obchodzi...” Margarita przygarbiła się, bo Katriny to nie obchodziło. Katrina już była gwiazdą, regularnie trafiała do mediów trzy, cztery razy w roku.

Margarita zeskoczyła ze sceny i z hukiem schowała konsolę do futerału.

— Oto robię sobie przerwę. Zadowolona? — Strząsnęła włosy z oczu, czekając, by Katrina się zezłościła, zachęcając ją do tego. — Może w ogóle sobie odpuszczę i niech to wszystko szlag trafi.

— Przyda ci się jakaś kolacja. — Katrina westchnęła i położyła Margaricie dłonie na ramionach. — Chodźmy do domu, zrobię ci masaż. Możesz tu jeszcze wrócić. — Pogłaskała Margaritę po plecach. — Dziewczyno, nic się nie stanie. „Kryształowa” jest ekstra.

Ekstra... gruda pragnienia utkwiała w gardle Margarity. Pragnienia, by jej uwierzyć, by się rozpłakać, by objąć ją i być obejmowaną, mieć pewność, że jest ekstra.

Ale nie była.

Katrina też to wiedziała. Ten cień czał się w głębi jej przezroczystości błękitnych oczu. Margarita zadrżała w kręgu ramion Katriny, pragnąc wtulić twarz w jej ramię i zapłakać. Co wcale by nie pomogło; nauczyła się tego, zanim zaczęła chodzić. Margarita powoli nabrała powietrza w płuca, czując piżmową woń skóry Katriny zmie-

szaną z nutą zdrowego potu i czymś nieprzyjemnie perfumowanym.

— Jakim cudem przyszedł tak wcześniej? Myślałam, że Argent będzie się nad wami znęcał przynajmniej do północy?

— Skończył wcześniej. — Katrina przytuliła ją, jej mięśnie tancerki napięły się pod skórą. — Znowu pogryzł się z Li. — Niechętnie uwolniła Margaritę ze swych objęć. — Prędkiej czy później Li rzuci wszystko w cholerę albo on sam ją wywali. Nie żeby to była wielka strata. — Katrina wzruszyła ramionami. — Ta solówka ją przerasta, sama zdaje sobie z tego sprawę. Argent także. Wiodłoby mu się znacznie lepiej, gdyby się tak nie upierał, żeby dawać szansę każdemu nowemu tancerzowi. — Westchnęła teatralnie. — Wszyscy dobrze wiemy, że będzie musiał pozwolić Li odejść. Nawet Li to rozumie i po prawdzie chyba by jej to nawet ulżyło. Jest wystarczająco dobra, by dostrzec, że Argent daje jej kawałki, które są dla niej za trudne. Pozostaje pytanie, czy ocknie się przed pierwszym występem, czy nie. Według najnowszych notowań szansę na to, by Li zatańczyła tę solówkę u Danja, są teraz jak pięć do trzech.

— Przewróciła oczami. — Pia mogłaby przejąć ten kawałek choćby jutro i zaraz wypadłaby lepiej od Li. Pracuje nad nim, sama widziałam, ale nikomu o tym nie powie. Cała Pia.

Margarita zmarszczyła czoło, bo Katrina zaczęła plotkować, a ona tego nie lubiła; mówiła to, co należało powiedzieć, i się zamykała.

— Coś jest nie w porządku. — Margarita spojrzała na Katrinę.

— Chodzi o nas, zgadza się?

— Nie. To zdecydowanie nie jest odpowiednia pora, by omawiać z tobą jakąkolwiek poważną sprawę. — Katrina uśmiechnęła się czujnie. — Chodźmy. Jestem głodna, a i ty z pełnym żołądkiem przynajmniej zaczniesz się zachowywać bardziej racjonalnie.

Skąd ta ostrożność? Jestem zmęczona, pomyślała Margarita. Może to dlatego. Do tego jestem suką i zasłużyłam sobie na złość Katriny. Podniosła z podłogi kurtkę, którą wcześniej tam rzuciła.

— Dobra, chodźmy coś zjeść. Fajnie, że wyrwałaś się wcześniej. — Objęła Katrinę ramieniem, starając się wygładzić zadraśnięcia ostatnich trzydziestu minut. — Masz ochotę na tajszczyznę? W tej knajpce za rogiem mają nowego kucharza. Zabójczy sos z orzeszków ziemnych.

— Poczekaj do jutra. — Katrina oparła się o nią. — Wzbudisz sensację.

— Tak, pewnie. — Wątpliwości naparły na nią ze wszystkich stron niczym duchy. A jeśli publiczności naprawdę się spodoba? „Kryształowa” wciąż nie funkcjonowała, jak należy. Wiedziałyby, gdyby tak było, cholera jasna. — Lustik wystawia swój nowy Kamień na głównym poziomie — powiedziała, zaciskając wargi. — Sama zobaczysz. Gapie poleżą prosto do niego, wypiją swoje wino i się wyniosą.

— Nie ma mowy. — Katrina ścisnęła ją za ramię, wbijając palce w jej skórę. — Jesteś niepoprawna. Ale cię obsobaczę, kiedy zaczną ustawiać się w kolejce, żeby dopchać się do „Kryształowej”. Kotku, jesteś na drugim poziomie. Współczuj tym biednym frajerom w kosodrzewinie. — Odrzuciła głowę do tyłu i się roześmiała.

Katrina była tak cholernie pewna siebie.

Margarita nigdy nie była niczego pewna. Może dlatego, że dorastanie w barrio nie niosło ze sobą niczego pewnego. Zwłaszcza kiedy zamierzało się z niego wyrwać. Należało się pogodzić jedynie z rzeczami nieuniknionymi: biedą, przemocą, w końcu śmiercią. Margarita zatrzymała się na skraju swego balkonu. Wąskie platformy z metalowej siatki wędrowały między balkonami, zawieszane na nie kończących się pętlach łańcuchów. Katrina zeskoczyła na jedną z nich, przytrzymując się niedbale łańcucha, i zniknęła w dole zasłonięta krawędzią balkonu. Tłumiąc drżenie, Margarita weszła na następną platformę, ściskając łańcuch obiema dłońmi. Platforma kołysała się pod jej ciężarem, zgrzytając i wibrując w rytm obrotów

olbrzymich zębatek pod sufitem i w podłodze. Cholernie niebezpieczne urządzenie. Tylko nie patrz w dół.

Z trudem przełknęła ślinę i spojrzała w górę, tam gdzie schody znikwały w balkonie zawieszonym nad jej holosceną, powędrowała wzrokiem w ślad za cieniami ku górze i na zewnątrz, gdzie w półmroku na samym szczycie olbrzymiej galerii kilka łańcuchów zwieszało się z poszczekujących przekładni i silników. Walcząc z nagłym zawrotem głowy, Margarita ścisnęła łańcuchy, żołądek podjechał jej do gardła, palce niemalże zeszyt wniały z wysiłku. Podłoga wyjechała jej na spotkanie. Popchnięta przerażeniem — obawą, że nie zdąży, że zjedzie w ciemność poniżej parteru, gdzie zębate koła przerobią ją na hamburgera — Margarita zeskoczyła z platformy. Stopień odjechał do tyłu, uderzając o krawędź otworu w podłodze, łańcuchy zaszczekały metalicznie.

— Ostrożnie, dziewczyno. — Katrina podtrzymała ją. — Nawet ja się tego boję. Jakiś psychiatra mógłby założyć ci chwilową blokadę lęku wysokości, tylko do końca wystawy.

— Za żadne skarby. Nikt mi nie będzie grzebał w głowie. —

Powrócił wredny nastrój, Margarita pragnęła go przepędzić, ale nie potrafiła, odwróciła się więc do Katriny plecami. — Wiesz co, będzie lepiej, jeśli zajrzysz do Argenta, może nawet się tam prześpisz. — Jej głos zadrżał odrobinę. — Inaczej będę na ciebie warczała przez całą noc.

— A warcz sobie.

Wciąż zła i wstydząca się tej złości, Margarita zatrzymała się przed nowym Kamieniem Lustika. Zajmował pół parteru, oświetlony i ustawiony ze smakiem, gwiazda inauguracyjnego wieczoru. Nawet tutaj, metr od postumentu z wypolerowanego drewna, jego rezonans ogarnął ją: światłość, nieoczekiwane uczucie nowości, jak gdyby pierwszy raz oglądała świat...

— Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak wariują na punkcie tych kamyków. — Katrina stanęła za jej plecami, prychając lekceważąco. — Wielkie rzeczy. Twoje utwory robią takie samo wrażenie.

— Wcale nie. — Margarita wyciągnęła rękę, gładząc powierzchnię Kamienia. W dotyku Kamienie nie przypominały kamienia, nie

z przypominały też żywego ciała. Były czymś pośrodku. — Ciekawe, czym one są. — Przesunęła czubkami palców po cielistej skale, jej oczy zamgliliła nagła wizja świtu zapalającego się ponad niskimi wzgórzami, podniecenie oczekiwania. — Kiedy byłam wiosną w Nowym Jorku, poszłam do Muzeum Sztuki Współczesnej. Mają jeden z Kamieni Michaela Tryona. I... słuchałam go.

— Nie mówiłaś mi o tym — powiedziała cicho Katrina. Urażona?

— A czemu miałabym ci mówić? — odparła Margarita i zaraz zacisnęła usta, bo, a jakże, powinna była o tym powiedzieć, a jednak tego nie zrobiła. — Nie... nie wiedziałam wtedy jeszcze, co o nim myśleć. To było zaraz po tym, jak Xia mi powiedziała.

— Nadal nie wiesz, co o nim myśleć.

— Ależ tak. — Margarita odsunęła się od Kamienia, jego promienny świt zgasł w jej umyśle. — To nie ma najmniejszego znaczenia. — Odwróciła wzrok. — Trina, ja... przepraszam. Za to, że jestem dzisiaj taka wredna.

— I to jak. — Katrina wzięła ją za rękę, oplatając jej palce swoimi. — Jesteś wredna i aż prosisz się, żeby cię wystawić za okno, a ja mam ochotę na sos z orzeszków ziemnych. Wyjdiesz stąd ze mną, i to natychmiast.

— Tak jest, proszę pani. — Margarita dała się doprowadzić do

drzwi. Katrina potrafiła być bardzo zdecydowana. A czasami tak opiekuńcza.

To jej ciepło czasami ją przerażało. Nie miała pojęcia dlaczego.

— Będę już grzeczna. — Trzymała dłoń Katriny w mocnym uścisku, powtarzając sobie, że dostrzeżone między nimi cienie były jedynie tremą poprzedzającą wieczór premiery, niczym więcej. — Obiecuję, Trina. Potrzebuję więcej pamięci. — Ostrożnie ominęła szerokim kręgiem grzechoczące łańcuchy schodów. — I lepszy chip procesora. Załadowanie katalogu skał zajęło mi dzisiaj całą wieczność.

— Tak szybko? — Katrina prychnęła, zdmuchując z czoła delikatne kosmyki włosów. — Dziewczyno, dopiero co rozbudowałaś swój system, pamiętasz? W przyszłym tygodniu trzeba zapłacić czynsz.

— Wiem. — Wzruszyła ramionami.

— Wrzuc część na sieć. Błahostki, no, wiesz. — Katrina zmarszczyła czoło. — To, czego nikt nie będzie chciał ukraść.

— Jasne, żeby mieli dostęp wprost do mojej pamięci stałej? Nic z tego. Przypomnij sobie, co się przydarzyło New Moon. Ten haker sprzedał na wolnym rynku cały utwór, zanim dostała choćby jedną ofertę z galerii. Za cholerę mu nie udowodni, że ją okradł.

— Będziesz musiała to jakoś znieść. — Katrina nie patrzyła na nią, gdy doszły do frontowych drzwi. — Teraz nie możemy sobie na to pozwolić.

— Muszę...

— Rita? Wychodzisz?

Ari Yiassis, menedżer Yamady. Nienawidziła, kiedy zwracano się do niej „Rita”, a on dobrze o tym wiedział. Tłumiąc rozdrażnienie, Margarita zatrzymała się przed drzwiami.

— Myślałam, że poszedłeś do domu.

— Wróciłem. — Wyłonił się z cienia, wysoki i sprawny dzięki serwisom, z uśmiechem na twarzy. — Hej, Trina, kiedy cię tu przyniosło? — Pociągnął ją za luźno spleciony warkocz.

Zawsze wodził oczyma za Katrina, lecz intymność tego gestu sprawiła, że Margarita otworzyła ze zdumienia oczy. Fałszywy krok, chłoptasiu. Uśmiechnęła się, czekając, by Katrina rozpuściła swój ostry języczek.

— Cześć, Ari. — Katrina jedynie odsunęła się pół kroku w bok, poza zasięg jego rąk. — Kawalek Mar jest fantastyczny, prawda?

— Nie najgorszy — uśmiechnął się do niej i przysunął bliżej.
— Mam nadzieję, że jutro dobrze wypadnie.

— Daj spokój. — Margarita objęła Katrinę gestem tak zaborczym i otwarcie seksualnym, jak tylko potrafiła. — Chodźmy do domu. — Zwietrzyła woń jego piżmowych perfum i zmarszczyła nos. — Wrócę tu jeszcze, więc nie zamykaj.

— Nie zamknę. — Jego uśmiech palił ją niczym szyderstwo. — Dobranoc, moje panie.

— Dobranoc, panie Yiassis. — Katrina wpasowała się pod ramię Margarity, wyprowadzając ją przez otwarte drzwi. — Napalony

skubaniec — parsknęła i przewróciła oczami na użytek Margarity.
— Jak ty z nim wytrzymujesz?

— Przetrączę mu kulasy, jeśli cię dotknie. — Margarita wtuliła głowę w ramiona, chowając się przed zimnym, pylistym wiatrem hulającym na ulicy.

— Nie zrobisz tego. Będiesz nieskazitelnie uprzejma, dziewczyno, albo odgryzę ci głowę. — Zatrzymała się tak nagle, że Margarita wpadła na nią. — Potrzebujesz tej galerii, a ten świntuch ci ją zaoferował. Nie odrzucaj więc tego dla kaprysu, słyszysz mnie? Umiem jeszcze odmawiać głośno i wyraźnie bez twojej pomocy.

— Hej, wyluzuj się, jeszcze mi mózg nie obumarł. — Margarita cofnęła się o krok, krótka chwila wspólnej beztroski przysła bezpowrotnie. — Dobrze wiem, z której strony wieje wiatr. Odpuść mi trochę, dobra? Nie przepuszczę naszego czynszu.

— Dobra, dobra, przepraszam. — Katrina zmusiła się do śmiechu. — Poradzę sobie z Arim, nie bój się. Skup się lepiej na „Kryształowej”. I nie zapomnij się uśmiechać do tych miłych, bogatych miłośników sztuki z centrum sieci, którzy od jutra będą się ślinić na samą myśl o możliwości zamówienia czegoś u ciebie.

— Pewnie. — Doszły do skrzyżowania. Margarita skręciła w lewo, w stronę restauracji, ale Katrina pociągnęła ją z powrotem.

— Coś ci powiem. — Jej twarz była blada jak kość słoniowa w tęczowym blasku holograficznej reklamy salonu VR. — Jeżeli będziemy się trzymać z dala od okolicznych szpanerskich knajp, dokupisz pamięć, a jeszcze starczy nam na czynsz.

— Bomba. — Margarita zamrugnęła zdumiona. — Naprawdę jest

mi potrzebna. Jesteś pewna, że się nie przerzucimy?

— Będzie trzeba odrobinę zacisnąć pasa. — Katrina umknęła oczami przed jej spojrzeniem. — Posłuchaj, mamy w szafce kuchennej masło orzechowe i ryżowe kluseczki. Ja dopiero zrobię zabójczy sos z orzeszków ziemnych.

— Z podrabianego śmiecia?

— Kiedy skończę, będziesz przekonana, że sama wyhodowałam te orzeszki — roześmiała się Katrina. — Chodźmy. — Pociągnęła Margaritę. — Ten gówniany wiatr nawiewa mi kurzu do oczu.

— Dobrze, dobrze!

Margarita pozwoliła Katonie zmusić się do dzikiego biegu chodnikiem, śmiejąc się bez przyczyny, na powrót były przyjaciółkami, przyciągając podejrzliwe spojrzenia mijanych par szukających rozrywki w tej dzielnicy. Lecz pod przykrywką śmiechu nadal krył się cień wątpliwości. Coś tu... nie pasowało. Może ich związek po prostu dobiegał końca. Nie, krzyknęła jakaś jej część. Lecz w głębi duszy zaczęła się zastanawiać, czy może przyniosłoby to jej... ulgę.

To bolało najbardziej.

— Poczekaj — krzyknęła, gdy Katrina puściła jej rękę i popędziła przed siebie.

Katrina wskoczyła na stojącą na chodniku rzeźbę niedźwiedzia wygarniającego pstrąga ze strumienia.

— Dziewczyno, ale jesteś wolna — zatańczyła na jednej nodze na grzbiecie niedźwiedzia, wspięła się na jego pofałdowany pysk, a potem zgrabnym saltem zeskoczyła na ziemię. Para punków w skórach po drugiej stronie ulicy skwitowała jej popis szyderczymi gwizdami i krzykami. Ukłoniła się im nisko, roześmiała się i odrzuciła głowę do tyłu. — Złap mnie, jeśli zdołasz — powiedziała i pobięła tanecznym krokiem w dół ulicy.

— Czy ty nigdy nie dorośniesz? — krzyknęła za nią Margarita. Zadyszana, roześmiana, pobięła za Katrina, powtarzając sobie, że wszystko jest w porządku, że kocha Katrinę i że to, co je łączy, nigdy się nie skończy.

Katrina dała się jej dogonić dwie przecznice dalej. Latarnie bieły dalej, wzdłuż restauracji, przytulnych salonów VR, barów, snuli się między nimi znudzeni ludzie, wystarczająco bogaci, by kupić sobie tam chwilę rozrywki. Noc wypełniała te ulice. Światło sączyło się spod drzwi i ze szczelin między okiennicami. Do wyłączenia energii pozostały jeszcze dwie godziny, lecz bary, spelunki

i liche salony nie wypuszczały na ulicę zbyt wiele światła. Zupełnie tak, jakby światło było bezcenne, jakby trzeba było je trzymać za zamkniętymi drzwiami. Ta odrobina, której udało się wymknąć, rozplywała się w ciemności niczym rozlane wino.

Margarita dogoniła Katrinę i szła obok, nie dotykając jej, uwa-

zając na inne cienie przemykające chodnikiem. Kiedy się uważało, drapieżnicy dochodzili do wniosku, że nie jest się wartym wysiłku i wybierali łatwiejszą ofiarę. Zazwyczaj. Wsunęła dłoń do kieszeni, muskając czubkami palców gładką plastikową rękojeść trzymanego tam noża. Na wszelki wypadek.

— Dzisiaj powinien być otwarty pchli targ naOak, pod estakadą. Cholera, nie cierpię upinać włosów do góry. — Katrina rozplotła swój gruby warkocz i przeciągnęła palcami przez długie włosy. — Chcesz zahaczyć o Oak i kupić parę cebulek do makaronu?

Margarita potrząsnęła przecząco głową.

— Chodźmy prosto do domu. — Już żałowała, że zgodziła się na tę przerwę. Nic innego tylko za dużo żywicy. Tylko patrzeć, jak ludzie zaczną nucić kolędy.

Katrina westchnęła, ale Margarita zignorowała ją. Dotarły do budynku, starego hotelu niedaleko kolejki. Ktoś przed laty najwyraźniej usiłował bez przekonania go podrasować, ale skończyło się na modernizacji instalacji umożliwiającej teraz przyzwoity dostęp do sieci i na przebudowie najwyższych kondygnacji. Mieszkały na czwartym piętrze, wystarczająco nisko, by uniknąć opłat za widok z okna i by nie załapać się na tamten prehistoryczny remont.

Przynajmniej winda działała i nie przypominała kilku niepewnych stopni zawieszonych na łańcuchach. Wjechały nią na swoje piętro i Margarita skrzywiła nos, czując woń starej wykładziny w holu. Zapachy nie dawały jej dzisiaj spokoju. Może ta żywica potrzebowała tylko jakiejś przeciwwagi? Śladowa ilość wilgotnej wełny? A może stajnia, odrobina smrodu amoniaku wpleciona w żywicę...

Szukała po omacku, okłamując samą siebie. W „Kryształowej” nie brakowało jakiejś trywialnej, technicznej nuty. Po prostu nie wywoływała oczekiwanej reakcji — o ile ona sama jeszcze pamiętała, co to miało być. Wraz z każdą upływającą chwilą wymykała się jej coraz bardziej.

— Równie dobrze mogłam cię tam zostawić. — Katrina przepchnęła ją przez próg. — A może szczerze chciałaś postać sobie w korytarzu ze wzrokiem utkwionym w tapetę?

— Przepraszam. — Margarita rzuciła kurtkę na stertę poduszek pod ścianą, a jej odbicie na wyłożonej lustrzanymi kaflami ścianie uczyniło to samo. Zerknęła z ukosa na Katrinę i podniosła ją. — Chyba nie potrafię się dzisiaj wyłączyć.

— Nie mów. — Katrina wyjęła jej kurtkę z dłoni, ściągnęła swoją i wepchnęła obie do szafy. — Klapnij sobie i się wyluzuj, a ja wezmę się do gotowania. — Złożyła delikatny pocałunek na policzku Margarity. — Gdybym nie wiedziała, jak będę wredna w przyszłym tygodniu, przed premierą, wściekałabym się na ciebie. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli kiedyś przytrafi się nam to jednocześnie. Pozabijamy się jak amen w pacierzu. Siadaj!

— Tak, proszę pani — odpowiedziała Margarita, lecz Katrina już zniknęła za drzwiami ich maleńkiej kuchni. Dobrze, nie walcz z tym, powiedziała sobie w duchu. Układając z poduszek przytulne gniazdko, umościła się w nim, opierając stopy o niski, politurowany stolik, który kupiła Katrinie na ostatnie urodziny. Japoński antyk, oryginał, i kosztował więcej, niż mogła znieść jej kieszeń.

Kupiła go tak czy owak. Na jesieni Trina skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Jak na tancerkę była już zaawansowana wiekowo. Kiedyś będzie mogła stworzyć własny zespół, tak jak Argent. Cholera, połowa zespołu opuściłaby go dla niej, gdyby postanowiła jutro odejść... ale nie to było powodem, dla którego tańczyła.

W kuchni Katrina śpiewała coś cicho i wesoło swoim czystym, głębokim głosem. Wiersze, pomyślała Margarita i oparła głowę o stertę poduszek. Pisze wiersze swym ciałem, a publiczność stanowi ich niezbędne dopełnienie. Margarita zamknęła oczy, poruszona nagłym przypływem miłości dla tej ognistej, wymagającej, kochającej tancerki.

„To dlaczego się jej obawiam?”

Obawiam? Otworzyła gwałtownie oczy. Skąd przyszło jej to do głowy? Terminal zabrzmiał złożonym z trzech dźwięków sygnałem, oznajmiając nadejście poczty. Ktoś oczekiwał odpowiedzi w czasie rzeczywistym. Margarita usiadła, zadowolona, że mogła zająć się czymś innym.

— W porządku, odbiorę. — Puknęła palcem w ekran. — System, kto to?

— Argent. — Katrina obdarzyła domowy system miękkim, obojnaczym głosem.

Nigdy nie dzwonił po próbie. Margarita zerknęła w stronę kuchni, skąd wciąż dochodził śpiew Katriny. Może starcie Argenta z Li

nie było jedynym zgrzytem podczas dzisiejszej próby.

— Pomówię z nim.

— Hej. — Na ekranie zmaterializowało się podłużne, zasepione oblicze Argenta. — Jak tam Kat?

Argent zawsze wyglądał na zasepionego.

— U niej wszystko w porządku. Co nowego?

— W porządku? Lepiej żeby tak nie było. — W bladych oczach Argenta zaiskrzyło. — Kiedy jej nie ma, zostawia po sobie dziurę wielkości krateru po uderzeniu bomby, i paru ludzi zawsze w nią wpada. Równie dobrze mogłem odwołać całą cholerną próbę. Jak jej żołądek?

Margarita gapiła się na niego przez ułamek sekundy, zastanawiając się, jak mogła przeoczyć początek tej dziwnej rozmowy.

— Eee, chyba lepiej .Ja... ledwie co wróciłam. — Co jest grane?

— Była... bardzo chora?

— Kiedy wychodziła w południe, wyglądała kiepsko. — Twarz Argenta, o ile to możliwe, jeszcze się wydłużyła. — Jeżeli się zatrujesz w którejś z tych spelun udających restauracje, możesz wyciągnąć kopyta. Najbliższe trzy miesiące mamy zapchane i byłoby dobrze, gdyby była z nami podczas premiery w centrum. W przeciwnym razie wszystko na śmietnik. Jesteś pewna, że nic jej nie jest?

— Tak, tak, całkowicie pewna. — Jeszcze jak. — Nie martw się, Argent. Jutro się zjawi, daję głowę. — Margarita zmusiła się do uśmiechu. — Nawet wspominała, że trochę jeszcze dziś popracuje.

— Niech o tym zapomni. Powiedz jej, że ma nie wychodzić z łóżka. — Argent westchnął. — Mam dosyć innych spraw na głowie. Tymczasem. — I zniknął.

Margarita siedziała nieruchomo przed opalizującym ekranem.

— Mar? — Katrina wślizgnęła się do pokoju. — Makaron

gotowy i wyszedł mi zabójczy sos. O ile sama mogę to ocenić — uśmiechnęła się, rozprostowując palcami spletaną złocistą grzywę. — Kto dzwonił? — Jej włosy, naładowane elektrycznością, okalały jej twarz niczym chmura złotych nici.

— Argent — wykrztusiła Margarita. — Martwił się o ciebie.

— Bo powiedziałam mu, że się źle czuję. — Wykrzywiła twarz

i szarpnęła za włosy. — Zrób to za mnie, dobrze? Sama nie widzę, a poza tym to ty ciągle mi marudzisz, żebym ich nie ścinała. Musiałam się jakoś usprawiedliwić. — Osunęła się z wdziękiem na poduszkę przed Margarita. — Boże, nie cierpię, kiedy zaczyna się czepiać Li.

Tak, jasne. Margarita ukłękła przy niej, zabierając się do opornego splotu. Włosy Katriny przesuwwały się jej między palcami niczym chłodny jedwab.

— Zrobione. — Przeczesała palcami długie włosy Katriny; warokocz ufryzował je w łagodne fale i teraz iskrzyły, łaskotały jej palce delikatnymi wyładowaniami. Coś nie dawało jej spokoju, nieuchwytna myśl, nie dająca się zdefiniować. Margarita przytuliła się do pleców Katriny, przyciskając piersi do umięśnionej twardości jej barków. Katrina westchnęła, zamykając oczy, z twarzą wzniesioną do sufitu. Kontur jej smukłej szyi był taki idealny. Margarita przesunęła palcem wzdłuż linii szczęki i długiej krzywizny szyi, czując dławienie w gardle w obliczu tej doskonałości. Zawarła ją w ostrej, czystej linii śniegu na tle nieba w „Kryształowej”...

— Kocham cię, wiesz. — Skryła twarz we włosach Katriny, wdychając ich zapach. Ta sama zbyt słodka, piżmowa woń zakręciła jej w nosie, już raz ją poczuła.

Nagle wszystko zaskoczyło w jej umyśle.

— Pachniesz jak Ari. — Wyprostowała się. — Jezu, co ci zrobił ten skurwiel? Zapędził w kąt i obmacywał?

— Przystaniesz wreszcie? — Katrina zerwała się na nogi, odrzucając włosy do tyłu. — Co cię dzisiaj naszło? Przecież tam byłaś. Czy widziałaś, żeby Yiassis zapędził mnie w jakiś kąt?

— Nie. — Margarita utkwiała w niej spojrzenie, oszołomiona tym niespodzianym wybuchem gniewu. — Hej, przepraszam, w porządku?

— Pewnie. — Katrina potarła dłońmi twarz. — Nie ma sprawy. Zarzucaj mi, co chcesz. Wygnaj mnie ze swojego życia. Twoja bezcenna sztuka nie powinna mnie obchodzić. Muszę znosić męki twórcze, kiedy coś ci nie wychodzi, ale pocieszać mi siebie nie wolno, o, nie, tylko nie to.

— Pocieszasz mnie.

— Kiedy na to pozwalasz — odwarknęła Katrina. — Posłuchaj, wróć lepiej do tej cholernej galerii. Zamierzam popracować nad moją solówką, bo jakość dla mnie też ma znaczenie. Dopiero wtedy będę naprawdę śmierdzieć.

— Hej, to nieprawda. — Margarita nie odrywała od niej spojrzenia. — Nie ma w tym za grosz prawdy.

— Czyżby? — Katrina się odwróciła, opuszczając ramiona. — Może i nie. Wiesz co, po prostu wracaj do pracy. „Kryształowa” jest dla ciebie ważna.

A Katrina? I jeśli rzeczywiście wyjdzie, wróci do galerii, czy będzie to dla nich koniec? Czy właśnie to Katrina chciała powiedzieć?

— Trina. — Margarita podniosła się niezgrabnie, przepęłniały ją poszczerbione, splątane uczucia. — Trina, posłuchaj, skończmy z tym. Zaraz to spieprzymy, dwa wspólne lata. To tylko ja i moja panika. — Czyżby? Potrząsnęła głową. — Kocham cię. Naprawdę. Nie zapominajmy o tym, dobrze?

— Jasne. — Katrina przygarbiła się i nadal unikała spojrzenia Margarity. — Pewnie rzeczywiście tak jest, i może po prostu zbyt wiele oczekuję. Nie wiem. Odłóżmy to do po premierze. — Zmusiła się do nieszczerzego śmiechu. — Chcesz spróbować tego zabójczego sosu z orzeszkami?

— Pewnie, konam z głodu. — Margarita patrzyła w zamyśleniu, jak Katrina znika za drzwiami kuchni. To koniec, pomyślała. Myślałam, że to będzie trwało wiecznie. Chciałam, żeby tak było. Chciałam, powtórzyła bezgłośnie. Cholera jasna, chciałam!

Ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — Margarita spojrzała spode łba na wbudowany w drzwi ekran judasza. Czyżby ktoś z zespołu postanowił zajrzeć do podobno chorej Katriny?

Z mgły pikseli wyłoniła się twarz mężczyzny i Margarita przeknęła nerwowo ślinę, czując nagłą suchość w gardle. Jego siwe włosy, splecione w cienki warkocz, spadały na plecy; wydawało się, że jego szare oczy są utkwione w jej twarzy. I tak właśnie było, gdyż zauważył kamerę wideo nad drzwiami i patrzył prosto w nią.

— Szukam Margarity Espinozy — powiedział. — Ja... to ważne.

— Kto to jest? — Katrina zatrzymała się w progu kuchni, trzymając w każdej dłoni miskę pełną parującego makaronu. — Nie znam go.

— Ja go znam. — Przez ciało Margarity przebiegały na przemian fale zimna i gorąca. Kiedyś ściągnęła jego holo z jakiejś reklamówki w sieci, ale na nim wyglądał młodziej. — To Michael Tryon.

— Co takiego? — Oczy Katriny rozszerzyły się. — Jakim cudem tu trafił? Myślałam, że się rozmyśliłaś. Co teraz? Mar? — W jej głosie brzmiała niepewność. — Chcesz, żebym go przepędziła?

— Nie — odpowiedziała beznamiętnie Margarita. — Rozlewasz sos.

Katrina spojrzała gniewnie na brązowe plamy na drewnianej podłodze i westchnęła.

— Tego właśnie nam było trzeba. Pójdę po gąbkę. — Odwróciła się na pięcie i zniknęła w kuchni, pozostawiając za sobą ścieg kropel.

Robiła wrażenie zdenerwowanej. Na ekranie Michael Tryon obejrzał się przez ramię i znowu spojrzał do kamery.

— Jest tam kto?

Nagły gniew rozmroził zeszywniałe mięśnie w ciele Margarity.

— Proszę wejść — powiedziała, przeganiając nagłą falę przerażenia zbudzoną szczęknięciem zamka.

Wszedł szybko do środka, zamykając za sobą drzwi. Potem stanął nieruchomo. Zrobił to niezgrabnie, jak gdyby zaraz za progiem obrócił się w kamień. Nie odrywał oczu od jej twarzy i wydawał się jeszcze bledszy pod opalenizną.

— Margarita.

To nie było pytanie. Margarita zadarła lekko głowę, zastanawia-

jąc się, co też ujrzał w jej twarzy, że był tego tak pewien. Może to tylko jej południowy typ urody. Może tylko tego szukał. Pierdolić konwenanse. Gniew rozgrzewał ją niczym brandy, kojąc świeże rany kłótni z Katriną.

— Panie Tryon, skąd pan się tu wziął? Jak się pan dowiedział, gdzie mieszkam?

Zamrugnął i cofnął się o pół kroku.

— Ja... poprosiłem kogoś, by znalazł twój adres w sieci. Przepaszam. Ale musiałem cię odszukać. Jest coś... o czym muszę ci powiedzieć. I musiałem... cię zobaczyć. Spotkać się z tobą. Przekonać się, czy jesteś... moja. Czy Estevana. Nie mówię tego, jak należy, prawda?

— Mar, łap go. — Katrina wyskoczyła przed nią, chwytając rzeźbiarza pod ramię w chwili, gdy ten nagle się zatoczył. — Proszę

usiąść. Tutaj.

Margarita stała zeszyta wniata, podczas gdy tamci upadli płataniną kończyn na poduszki.

— Wezwij pogotowie. — Katrina posłała Margaricie groźne spojrzenie. — Rusz się.

— Nie, proszę. — Tryon usiadł z wysiłkiem, był teraz blady jak ściana. — Przepraszam. Chyba nic od wczoraj nie jadłem. Po prostu. .. zakręciło mi się w głowie. Zaraz mi przejdzie.

Katrina warknęła coś niezrozumiale.

— Przyniesź mu szklankę soku pomarańczowego, Mar. Jeszcze trochę zostało w lodówce. — Uwolniła się od jego ciężaru i wyprostowała. — No, dalej — ponagliła ją. — Pośpiesz się.

Wciąż oszołomiona Margarita wyszła do kuchni. Niezdarnie naląła jasnego soku do szklanki w białe i zielone paski, po czym wróciła do pokoju.

— Proszę. — Podąła ją Tryonowi. — Przykro mi, że się pan źle czuje. — Nagle dotarło do niej, jaki był wychudzony. Drżącymi rękami wziął od niej szklankę, rozlewając trochę soku. Jego zaśląbnięcie pozbawiło jej gniew uzasadnienia, a bez tego czuła się zagubiona, na próżno szukając odpowiednich słów. — Co takiego chciał mi pan powiedzieć? — Te słowa na pewno nie były odpowiednie, ale jedynie na tyle było ją stać.

— Mar, daj mu dojść do siebie.

— Nie. — Tryon potrząsnął głową. — Nie szkodzi. Próbowałem skontaktować się z tobą w Hiltonie, wiesz? — Spojrzał na nią, zaciskając dłonie wokół szklanki, jak gdyby chciał ukryć ich słabość.

— Już cię tam nie było. Nie... słyszałaś o mnie w wiadomościach, prawda? Myślałem, że do tej pory wszyscy będą już o mnie wiedzieć

— powiedział z goryczą. — Nie sądziłem, że mnie wpuścisz.

— O czym pan mówi? — Katrina delikatnie odebrała mu pustą szklankę. — Przyniosę panu jeszcze.

— Dziękuję. — Poczekał, aż wróciła z kuchni z sokiem, potem opróżnił szklankę czterema długimi łykami. — To naprawdę pomaga, dziękuję — uśmiechnął się do Katriny, jego uśmiech był ciepły, pełen życia. — Margarita, muszę być z tobą szczerzy. — Jego oczy, jasnoszare, koloru zachmurzonego nieba, skierowały się ku niej. — Jeśli Xia była w ciąży, kiedy odeszła, nic o tym nie wiedzia-

łem. Kiedy dostałem twój list, pomyślałem, że możesz być córką Estevana. Nie miałem pojęcia o twoim istnieniu. Xia nigdy się ze mną nie skontaktowała. Musiałem ci to powiedzieć. Musisz wiedzieć, że kochałem Xię. — Jego głos zadrżał ledwie słyszalnie. — Kochałem ją bardziej, niż to sobie uświadamiałem. Kiedy to zrozumiałem, było już za późno. — Odwrócił wzrok. — Było o wiele za późno.

— Nie próbował pan się z nią skontaktować? — Katrina wpatrywała się w pustą szklanke, jak gdyby na dnie zobaczyła coś fascynującego. — I o co chodzi z tymi wiadomościami?

— Nigdy nie próbowałem jej odnaleźć. Powtarzałem sobie, że to ona ode mnie odeszła, że taki był jej wybór. Może... nie miałem racji. — Tryon zwiesił głowę. — Rozesłano za mną list gończy — powiedział cicho. — Jestem poszukiwany za zabójstwo innej rzeźbiarki.

— Kurwa — wyrwało się Margaricie, zanim zdążyła zapanować nad swymi ustami. Piękne dzięki, pragnęła wyrzeshzczeć. Nie zapraszałam cię tutaj. Dlaczego się tu przy wlokłeś, by zwalić swoje śmieci na moim progu?

— Panie Tryon, muszę zawiadomić policję. — Katrina wstała, na jej twarzy malował się autentyczny żal. — Nie może pan tego zrobić Margaricie.

— Oczywiście. — Podniósł głowę i spojrzał Margaricie w oczy. — Nie zabiłem jej — powiedział cicho. — To prawda. Wrobiono mnie. Policja pewnie nadal szuka mnie w Nowym Meksyku. A może już wiedzą, że jestem w San Francisco. Nieważne, nie przyjechałem tu, by sprawiać wam kłopoty. — Podniósł się i skinął głową w stronę Katriny czekającej przed ekranem terminalu. — Już wychodzę. Prawdę mówiąc, i tak zamierzałem się poddać po wizycie tutaj. Zabawa w chowanego nie bardzo mi wychodzi.

— Nie. — Margarita nabrała powietrza w płuca, dziwiąc się, że nagle stało się takie rzadkie. — Zostań. Chociaż na tę jedną noc. — Posłała przepaszające spojrzenie Katrinie.

Która nie zamierzała przejść nad tym do porządku dziennego.

— Odbiło ci? — wybuchnęła, wspierając się zaciśniętymi pięściami o biodra. — Jeśli jest niewinny, niech się podda i wszystko wyjaśni. Chcesz trafić do więzienia w charakterze współniczki czy co? Dziewczyno, twoją wystawę w galerii diabli wezmą.

— To mój wybór. — Margarita wytrzymała wściekłe spojrzenie Katriny, niepewna dlaczego tego chce, lecz pewna, że chce tego. — Jeśli nie chcesz ryzykować, przenocuj u Jeannette albo Pii. Powiedz

im, że zrobiłam się upierdliwa nie do wytrzymania.

— Co jest absolutną prawdą — wycedziła Katrina przez zaciśnięte zęby. — Och, Mar... — głos nagle się jej załamał i obróciła się do nich plecami. — Dobrze, już dobrze, to twoja impreza. Ty decydujesz, jak sobie z tym poradzisz — w jej głosie zabrzmiało nieoczekiwane drżenie. — Mam tylko nadzieję, że obie nie będziemy tego żałować. — Postawiła szklankę na stoliku i zniknęła w sypialni. Ciche pstryknięcie zamykających się drzwi zaskoczyło ich tak bardzo, że aż podskoczyli.

Znowu łyż? Margarita postąpiła krok w stronę sypialni i zatrzymała się, rozdarta między tymi zamkniętymi drzwiami a milczącą obecnością Michaela Tryona.

— Przepraszam. — Stał o własnych siłach, wciąż blady, ale przynajmniej się nie chwiał. — Mówiła coś... o wystawie w galerii. Ja... — przerwał, kręcąc głową. — Jesteś artystką?

Co takiego dostrzegała w jego twarzy?

— Owszem, jestem. — Margarita odwróciła wzrok. — Nic równie na topie jak Kamienie. — Nie starała się ukrywać goryczy w swym głosie. — Bawię się holorzeźbą: słowa, muzyka, stymulacja zmysłów. O ile akurat stać mnie na sprzęt.

— Nie wiedziałem — wykrztusił pospiesznie, nieledwie zadyuszany. — Zanim pójdę, czy Xia żyje? — Zawiesił spojrzenie na jej ustach. — Możesz mi powiedzieć, gdzie ona jest?

— Ja... nie wiem, gdzie teraz mieszka — powiedziała Margarita. Czyżby dostrzegała boleść w tych szarych oczach? — Zjawia się co rok czy dwa. Nie układa nam się najlepiej. — Ładnie powiedziane. — Usiądźże wreszcie. — Uciekła przed jego wzrokiem. — Powiedziałam już, że możesz zostać. Skoro już i tak zezłościłam Katrinę, mógłbyś przynajmniej skorzystać z zaproszenia. Okolice pewnie odbiega nieco od twoich standardów. Miałeś cholerne szczęście, że jakiś pener nie rozebrał cię po drodze do gołej skóry. — Wzięła głęboki oddech, znowu zakręciło się jej w głowie. — Jeśli zjawia się tu mundurki, po prostu udamy, że nie powiedziałeś nam o żadnym morderstwie, jasne? Szczerość nigdy nie była moją ulubioną cechą charakteru. — Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie ściągnie im na głowy całej masy gliniarzy. Za gliniarzami także nie przepadała.

— Dziękuję — przechwycił jej spojrzenie i już nie puścił. — Nie krytykuj szczerości. Czasami tylko ona może cię uratować.

Na moment jego oczy zamieniły się w okna ukazujące krajobraz złożony z nie kończących się cieni. „U stóp gór, zimną jesienią przed

nadejściem zimy, odwiedzasz mnie", zabrzmiało w jej głowie echo prawie obcego głosu Katriny... „przybywasz w grubym stroju, który nie kryje nadmiaru ciepła". Potem jego twarz na powrót nabrała ostrości i Margarita zadygotała. Niski poziom cukru we krwi, powie-
działa do siebie w myślach. Nic więcej. To tylko stary człowiek, aja
jestem po prostu głodna.

— Musisz coś zjeść, i ja też. — Zamrugła, jej oczy wypełniły się nagle gorącymi, niespodziewanymi łzami. — Mamy makaron. Z zabójczym sosem z orzeszków. — Otarła twarz rękawem i wyszła do kuchni, by nałożyć mu makaronu, zastanawiając się, co właściwie oplakuje.

Miała przecucie, że się tego dowie, i to cholernie szybko.

Rozdział piąty

Rozpuszczał się w ciemności, rozszerzając się nieustannie, tak że Słońce skurczyło się do świetlnego punktu, nieskończenie małego. Był wieczny, miliardem dusz, miliardem westchnień, radości, miłości, nienawiści, lęków. Musiał jedynie zerwać ostatnią więź, by stać się...

...kompletnym.

Kobieca twarz, ciemnowłosa, oczy pełne wyrzutu.

Xia?

Usiadł z wysiłkiem, oślepiiony światłem i kształtem pozbawionym znaczenia, wciąż boleśnie tęskniąc za tamtą wieczną ciemnością. Ciemnowłosa kobieta przykucnęła przy nim, żaden sen, twarz o szeroko otwartych oczach okolona spletanymi włosami.

— Xia! — Uniósł rozdygotaną rękę do jej twarzy.

— Obudź się. — Cofnęła pospiesznie głowę. — To tylko sen. Nie Xia. Pamięć powróciła przyptywem, pokój nabrał ostrości,

materiał poduszek rzeczywistości.

Margarita. Jego córka. Spędził tę noc na jej podłodze. Michael odetchnął, wciąż jeszcze rozedrgany, przyciskając dłonie do oczu, by przegnać ostatnie czarne cienie. Jego córka. Zdecydowałaś się wreszcie?, zapytał sam siebie i nie znalazł odpowiedzi.

— Wszystko w porządku? — Przyglądała mu się czujnie. — Chcesz kawy, herbaty? Chyba przyśniło ci się coś złego.

— Napiłbym się kawy, jeśli macie. — Powstał, znajdując w swym

ciele więcej siły, niż się spodziewał. — Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

— Nie spałam. — Wycofała się do kuchni.

Właśnie tak, wycofała. Mógłby ją wykorzystać, by dodać wyraźną, czystą nutę napięcia do któregoś z Kamieni. Michael rozejrzał się po niewielkim pokoju, starając się przepędzić mroczne echo koszmaru. Nie, nie koszmaru. Nie czuł strachu; przepelniało go raczej wszechobecne podekscytowanie.

Co pewnie przerażało go bardziej, niż gdyby robił w gacie ze strachu. Przeciągnął się ostrożnie. Skąd brały się te sny — pozostałości okresu nieprzytomnej wędrówki? Coś, co usiłowało się wyrwać z otchłani podświadomości? Niewątpliwie. Przy drzwiach sypialni leżał zestaw ciężarków. Domyślał się, że należały do Margarity. pamiętał jej szerokie barki i wymodelowane mięśnie ramion.

Pochylił się, wyrwał sztangę i zaraz ją odłożył. Ciężka. Porzucane poduszki, stół i ciężarki składały się na całe umeblowanie pokoju. Choć było tego niewiele, i tak robiły wrażenie nieładu, jak gdyby pusta podłoga stanowiła zwykły wystrój tego pomieszczenia. Pozbawione okien ściany pod sam sufit pokrywały lustra. Michael widział, jak jego odbicie prostuje się i spogląda w stronę kuchennych drzwi. Wyglądał jak kupa gówna. Marszcząc czoło, obciągnął wymiętą i poplamioną tunikę, świadom drzwi ziejących otworem niczym wylot jaskini.

Wycofała się, o tak. Michael pociągnął za warkocz, krzywiąc twarz. A on bał się pójść za nią. Przerzucając warkocz przez ramię wkroczył do kuchni. Niejedna szafa byłaby od niej większa; zapewne kiedyś była tu szafa. Margarita wspierała się biodrem o wąski stół, wpatrując się w zamyśleniu w szumiącą mikrofalówkę.

— Zaraz się zagotuje. — Szybkim ruchem głowy wskazała dwa kubki ustawione na stole. — Rozpuszczalna. Innej nie mamy.

— A kogo stać na mieloną? Nie mnie. — Michael podniósł jeden z kubków i odwrócił go. Ręczna robota, ceramika powleczone warstwami opalizującego błękitu. Ciekawe, czy jej współlokatorka była garncarką.

Margarita nie przypominała Xii. Miała podobny odcień skóry, lecz jej twarz była bardziej pociągła. Wystające kości policzkowe pogłębiały oczy, modelując jej twarz w niemalże surowe płaszczy-

zny. Była wyższa od Xii, odrobinę wyższa od niego samego, a do tego w doskonałej kondycji fizycznej, jej wytrenowane mięśnie pozbawione były choćby grama tłuszczu. Michael starannie odstawił kubek, zastanawiając się, skąd brała się ta nagła pewność. Bo była

artystką? Wzruszył ramionami, nieoczekiwanie świadom ciszy wypełniającej kuchnię niczym wata, napierającej na niego, dławiącej słowa.

— Mam nadzieję, że twoja współlokatorka nie jest na ciebie zbyt wściekła. — Nieudolne słowa. Skrzywił się. — Wczoraj nie dosłyszałem, jak ma na imię.

— Katrina. — Margarita zerknęła na niego szybko z ukosa. — Wścieka się, ale damy sobie radę. — Kuchenka zadzwoniła i Margarita otworzyła drzwiczki. — Zawsze sobie dajemy.

Te trzy słowa niosły ze sobą nieoczekiwaną głębię. Czyli stanowiły parę. Przypatrywał się, gdy Margarita nalewała do kubków wrzątek ze szklanego dzbanka. Potem wyspała łyżeczką ciemne kryształki kawy i podała mu jeden z kubków.

Kawa była za mocna i gorzka. Tani syntetyk. Pociągnął łyk z nieruchomą twarzą.

— To dzieło Katriny? — Dotknął aksamitnej krzywizny kubka.

— Nie. — Margarita upiła trochę swojej kawy, unikając jego wzroku. — Jednej z jej przyjaciółek. Trinajest gwiazdą miejscowego zespołu tanecznego. Występują w eleganckich barach muzycznych, czasami trafiają do wiadomości.

Wyczuł w tych słowach intensywną dumę, ale i ból.

— Xia była fantastyczną tancerką. — Spojrzał w czarną toń swojej kawy i ujrzał Xię na scenie, przekładającą dźwięk na ruch. — Jej zespół wykonywał utwory multimedialne: instrumenty, hologramy, taniec. Xia była jego duszą. — Podniósł wzrok i ujrzał, że Margarita wpatruje się w niego. Kawa skąpy wała powoli z jej kubka, jak gdyby drgnęła jej ręka i płyn przelał się przez brzeg naczynia.

— Nie wiedziałam, że Xia tańczyła. — Opuściła wzrok, spoglądając na brązowe plamy pokrywające przód jej koszuli. — Nigdy o tym nie wspominała.

Coś musiało nią wstrząsnąć; tylko co?

— Ja... nawet nie wiem, jak żyłyście. Ona i ty. — Imię Xii wypełniło napięciem przestrzeń między nimi. — Nie wiem, gdzie mieszkałyście.

— Nigdy nie mieszkałam z Xią. — Margarita gwałtownie odstawiła kubek. — Zostawiła mnie u swojej siostry w Los Angeles. Odwiedzała mnie mniej więcej raz do roku. Tfa Elena zawsze się na nią odrobinę wściekała. Chyba nie chciała jeszcze jednego dzieciaka.

Miała już dwójkę własnych i dwie prace. Xia miała przysyłać jej pieniądze. Na moje utrzymanie. Nie zawsze o tym pamiętała. — Sięgnęła po kubek, pijąc w skupieniu.

A więc Margarita dorastała jako ciężar dla rodziny. Dźwięczało to w jej głosie, nawet jeśli nie zamierzała tego powiedzieć otwarcie. Michael westchnął, doceniając jej milczenie.

— Czy to dlatego nosisz nazwisko Espinoza?

— Tfa Elena musiała mnie adoptować, żeby uzyskać zasiłek z pomocy społecznej. — Margarita poruszyła się niespokojnie. — Xia nigdy jej nie powiedziała, kim był mój ojciec. Pamiętam, że kłóciły się na ten temat, kiedy myślały, że już śpimy. Pewnie Tfa chciała, by Xia zażądała od niego... od ciebie pieniędzy. — Zmieszła się nagle. — Nie wiem... dlaczego mi powiedziała. Nie prosiłam jej o to — oznajmiła pośpiesznie.

Bolesne przejście od bezosobowego „niego” do „ciebie”. Jakiego ojca wyobrażała sobie w dzieciństwie? Jakie gwiazdy czy sławy obsadzała w tej roli? Z drugiego pokoju dobiegł szept wideo; najwyraźniej Katrina także już nie spała.

Margarita też to usłyszała.

— Muszę iść do galerii. — Zerknęła na zegar kuchenki z wyrazem niemalże paniki na twarzy. — Kurde, już późno. Stonowanie tej cholernej żywicy zajmie mi cały ranek. Już sobie idziesz, prawda? — Jej oczy spoglądały na niego wyzywająco.

Oczekiwała, że wyjdzie, czy chciała tego?

— Aha. — Michael spojrział jej prosto w oczy i spostrzegł nagle, że były identyczne jak u Xii. — Aha, już sobie idę. — Przełknął nieoczekiwaną grudę w gardle. — Dzięki, że mnie przenocowałaś. Jeżeli będziesz kiedyś w potrzebie... Jeśli będziesz chciała się skon-

taktować... — Nie ułatwiała mu tego, nie okazywała nawet cienia reakcji. — Zgłoś się do Neiman Gallery w Taos w Nowym Meksyku — dokończył nieudolnie. — Chris poda ci mój aktualny adres. — O ile jej go zostawi. I jeśli ta ostrożna, niezależna kobieta będzie chciała się z nim jeszcze raz spotkać.

Wzruszyła ramionami, unikając jego spojrzenia, i prześlizgnęła się obok niego, uważając, by go nie dotknąć. Może ta wizyta była błędem, ale musiał jej to wszystko powiedzieć. Na dobre i na złe. Może jednak nie robiło to najmniejszej różnicy. Michael skrzywił się, westchnął i podążył w ślad za Margaritą do pokoju. Katrina stała przed terminalem i wpatrywała się w ekran, a na jej twarzy ostro rysował się niepokój.

— Trafił pan do wiadomości, panie Tryon.

— Proszę, mów mi Michael. — Spojrzał na ekran. Włączyła jakiś popularny program informacyjny, seksowna, młoda spikerka nałożona była na nieruchome zdjęcie profilu Michaela.

— Policja nadal poszukuje słynnego rzeźbiarza Kamieni Michaela Tryona w związku z samobójstwem rzeźbiarki S'Wanny LeMontagne. — Spikerka pochyliła się do przodu, kiwając konspiracyjnie głową. — Według naszych informatorów, policja pragnie też przesłuchać go w związku z wczorajszą śmiercią rzeźbiarza Andre Lustika. Jak na razie jego zgon również uważany jest za samobójstwo.

— Lustik? — Margaritą aż podskoczyła. — Wystawia Kamień w galerii.

— Lustik skończył ze sobą? — Michael wlepił wzrok w ekran, w głowie miał kompletny chaos. Znał Andre, rozmawiali przez sieć. Ostatniego lata przyjechał do Taos w odwiedziny do Michaela. Był spokojny tak jak jego Kamienie. Delikatny. Może odrobinę zbyt delikatny. Krytycy uważali jego Kamienie za bierne, a wcale takie nie były.

— To już trzeci — powiedział cicho.

— Uważają śmierć S'Wanny LeMontagne za samobójstwo. — Katrina zerknęła na niego z enigmatycznym wyrazem twarzy. — Chyba nie myślą, że ją zabiłeś.

— Zginęło trzech rzeźbiarzy. Popełnili samobójstwo. — Na ekranie migają szablonowe ujęcia pustego mieszkania S'Wanny; realizator najwięcej uwagi poświęcał skrwawionej skórze zebry. — Najpierw Irenę Yojiro, potem S'Wanna LeMontagne, a teraz Andre. Co jest grane, do cholery?

Margarita patrzyła na niego zatroskanym wzrokiem.

— Muszę uciekać. Mam dzisiaj, kurwa, otwarcie wystawy. — Pognała do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

— Chyba nie powinieneś być tu przyjeżdżać — na twarzy Katriny malował się smutek. — Margarita zdążyła już się pogodzić z myślą o tobie, tak mi się przynajmniej wydaje. Teraz... sama nie wiem. — Odwróciła twarz, lecz Michael zdążył dostrzec na niej cierpienie. — Nie wiem, co sprawia jej ból. Ale myślę, że jesteś jego częścią. Mam nadzieję, że sobie z tym poradzi.

Miłość, ból — czy one zawsze muszą iść ze sobą w parze?

Michael dotknął jej ramienia.

— Kochasz ją — powiedział.

— Kocham. — Twarz Katriny emanowała smutkiem i zrozumieniem. — Nie wiem, czy to cokolwiek zmienia. Chyba powinieneś już odejść.

— Uważasz, że to właściwe rozwiązanie? — pytał ją o opinię, a ona usłyszała to, szybkim skinieniem głowy wyrażając uznanie dla jego szczerości.

— Nie jestem pewna, jakie rozwiązanie jest tu właściwe — powiedziała wolno, prawie z wahaniem, zdradzał ją jedynie drgający w kąciu ust mięsień. — Ale uważam, że powinieneś odejść.

— Odejdę — westchnął Michael, nagle zmęczony, nowo odkryta energia wyciekała powoli z jego ciała. — Jak powiedziałem wczoraj, musiałem ją odnaleźć, powiedzieć... to, co powiedziałem. I zrobiłem to. — Spojrzał w złociste oczy Katriny. — Kochasz ją. Cieszę się z tego. I przepraszam za zamieszanie.

Ktoś zastukał do drzwi.

Katrina jęknęła rozpaczliwie i odwróciła się.

— System, kto to?

— Eee... cześć. — Mężczyzna za drzwiami nie spostrzegł ka-

mery i zwracał się do głośnika w drzwiach. — Ja... szukam Michaela Tryona. Jestem jego przyjacielem.

Andy Rodriguez. Michael wlepił oczy w rudowłosego muzyka, czując, że jego żołądek zaciska się w twarde guz. Kochanek S'Wanny. Tutaj.

Dlaczego? I jak?

— Zaczekaj — krzyknął Michael, lecz Katrina zdążyła już otworzyć drzwi. Michael stał jak sparaliżowany, spoglądając poprzez żalosne dwa metry pustej przestrzeni oddzielające go od Andy'ego. — Nie zabiłem jej — powiedział ochryple.

— Wiem, stary. — Andy przechylił głowę z dziwnym wyrazem twarzy. — Nigdy tak nie myślałem. Muszę z tobą porozmawiać — minął przerażoną Katrinę i zamknął drzwi.

— Kim ty, u licha, jesteś? — Margarita stanęła w drzwiach sypialni ubrana w wyblakłą zieloną tunikę i złote trykoty. — O co tu

chodzi?

— Jestem Andy Rodriguez. — Ściągnął z ramienia torbę, rzucił ją na podłogę u swoich stóp i uśmiechnął się do niej. — Zazwyczaj jeżdżę karetką. Margarita Espinoza, zgadza się?

— Tak. — Przyjrzała mu się uważnie. — Więc skąd się tu wzięłeś?

— Mój kumpel wyciągnął twój adres z sieci, pomyślałem sobie, że może znajdę tu Michaela. Cholernie mu zależało na odwiedzeniu ciebie. — Uniesieniem brwi odpowiedział na zachmurzone spojrzenie Margarity i odwrócił się do Michaela. — Wiesz co, możesz sobie być rozchwytywanym artystą, ale i tak jesteś głupi — powiedział śmiertelnie poważnym tonem. — Wiem, że nie zabiłeś S'Wanny. Dlaczego dałeś nogę?

— Ja... — Michael odwrócił wzrok, paliły go policzki. — Mieli dowody na to, że... byłem w jej mieszkaniu. Ktoś musiał mnie zrobić i... chyba spanikowałem.

Andy odchrząknął z niesmakiem.

— Z jakiej dziury tyś się wygrzebał, co? W takich sprawach decydują jajogłowi, nie mundurowi. Dowodów nie da się sfalszować. Nie tyle, by miało to jakiegokolwiek znaczenie — prychnął. —

Kiedy faceci z laboratorium skończą z pokojem S'Wanny, będą wiedzieli, kto tam był w przeciągu ostatniego miesiąca i kto ją zabił. Co oznacza, że gdybyś siedział spokojnie w pace, byłbyś' absolutnie kryty.

— Świetnie. — W piersi Michaela zbudził się gniew, gdyż dopiero co spędził na ucieczce trzy upiorne dni, każde spojrzenie kierowane w jego stronę niesło z sobą, w jego wyobraźni, błysk rozpoznania i potępienie. — No to jestem głupi, jasne? Jeśli nie ja, to kto ją zabił?

— Sama się zabiła — powiedział beznamiętnie Andy. — Obawiałem się, że to zrobi. Miałem nadzieję, że uda mi się jej pomóc, ale mi nie pozwalała. Nie chciała nawet ze mną rozmawiać.

Och.

— Tak mi przykro. — Michael już wyciągał rękę, by położyć mu ją na ramieniu, ale się powstrzymał. — Słowa bez pokrycia — westchnął.

— Mi też jest przykro, ile by to było warte — powiedział szorstko Andy. — Dwóch rzeźbiarzy w tydzień — jego głos zabar-

wiony był goryczą. — Nie jesteście szczególnie odporni, co?

— Trzech. — Michael wbił wzrok w ścianę, szukając wizji w jej płaskiej bieli. — Trzech rzeźbiarzy w tydzień. Andre Lustik zabił się ostatniej nocy.

— Trzech? — Andy zmrużył oczy. — To już lekka przesada. Jesteś pewien?

— Zbieg okoliczności. — Katrina zmarszczyła brwi, lecz jej słowom brakowało pewności.

— To żaden zbieg okoliczności. — Michael popatrzył na nich. — Nie sądzę, by to były samobójstwa.

— Czemu nie? — Łagodny głos Andy'ego sprawił, że Michaelowi zjeżyły się włosy na karku. Ten człowiek nie zawahałby się przed użyciem przemocy.

Michael wytrzymał jego spojrzenie.

— Znam Andre. Nie popełnił samobójstwa. Irenę Yojiro też była ulepiona z innej gliny. A S'Wanna?

Twarz Andy'ego stężała.

— Dwa miesiące temu tylko bym się roześmiał, gdybyś powiedział mi, że S'Wanna mogłaby z sobą skończyć. Wiesz, była taka napalona. Robiła to, co chciała, i czerpała z tego przyjemność. Byliśmy szczęśliwi. — Rozprostował dłoń i ostrożnie zacisnął ją w pięść. — Potem nagle zaczęła stawać się... ponura. Rozkojarzona. — Utkwił wzrok w zbiegających kostkach. — Kto ich zabił?

— Nie wiem. — Michael odwrócił się w bok. — Ale znam Hawka Dannersa. — Skrzywił się; on i Hawk nigdy za sobą szczególnie nie przepadali. — Mieszka tutaj. I jeszcze żyje. Myślę, że chciałbym z nim porozmawiać. Może on coś wie.

— Ten facet ma rację, laboratorium oczyści cię z zarzutów. — Margarita otworzyła szafkę i podniosła z podłogi kurtkę. — Zgłoś się na policję i odkręć wszystko.

— Nie mogę — powiedział, czując na sobie ich spojrzenia niczym wytknięte palce. — W końcu uciekałem przed policją. Będzie trzeba rozplatać mnóstwo biurokratycznego bałaganu i nie sądzę, by komukolwiek zależało na robieniu mi uprzejmości i załatwieniu tego w miarę szybko. — W tym momencie Andy wydał z siebie obraźliwy dźwięk. — Ktoś morduje rzeźbiarzy — dodał cicho. — Nie zamierzam siedzieć w celi, licząc godziny i czekając, by przyszedł po mnie.

— Ten Danners może być dobrym punktem zaczepienia. — Andy sprawiał wrażenie zamyślonego. — O ile masz chociaż odrobinę słuszności.

— Wielkie dzięki — odparł zgryźliwym tonem Michael.

— Pójdę z tobą do Dannersa. — Twarz Andy'ego zamieniła się w maskę z rzeźbionego drewna. — Jeśli masz rację... jeśli... — Przerwał i wziął głęboki oddech. — Ktoś musi zapłacić za S' Wanę. I to dużo.

— Nie mam nic przeciwko towarzystwu — powiedział cicho Michael i odwrócił się do Margarity. — Jeszcze raz dziękuję, że pozwoliłaś mi zostać i wysłuchałaś mnie. — Jakie bezpłciowe, sterylne, nieodwołalne słowa. Zacisnął zęby, ogarnięty nagłym pragnieniem, by ją objąć, potrząsnąć, pocałować.

— Jasne. Eee... cieszę się, że cię poznałam. — Umknęła spojrzeń przed jego wzrokiem. — Już mnie tu nie ma. — Zrzuciła sobie kurtkę na ramię i otworzyła drzwi. — Do zobaczenia.

— Zegnaj. — Znów ta nieodwołalność.

— Michael? — Zatrzymała się, dłonią obejmując framugę drzwi, ścięgną jej szyi napięły się, gdy spojrzała za siebie przez ramię. — Uwierzyłam ci wczoraj. Kiedy powiedziałeś, że tego nie zrobisz.

I już jej nie było, wykładzina na korytarzu stłumiła odgłos kroków. Michael westchnął i zgarbił się. Nie można się cofnąć w czasie i naprawić przeszłości, nieważne jakbyś się starał.

— Idziemy. — Ukłonił się przed Katriną, która stała nieruchoma i milcząca, a smutek kładł się cieniem na jej twarzy. Smutek po kim?, prawie że zapytał. — Przepraszam, że się tak narzuciłem.

— Może za mało się narzucałeś. — W oczach Katriny płonął niepokój. — Możesz tu wrócić, jeśli chcesz. Myślę, że ona wciąż tu będzie.

Jaka rezygnacja w tym jednym zdaniu. I zrozumienie. Michael ukłonił się, odwrócił w miejscu i wyszedł. Andy czekał na korytarzu.

— Więc w czym przeszkodziłem? — Skinął głową w stronę drzwi, gdy te zatrasnęły się z hukiem.

— Nie wiem. — Dlaczego przed chwilą pomyślał, że Margarity mogła mieć z nim cokolwiek wspólnego? „Uwierzyłam ci”, po-

wiedziała. Michael z głośnym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc.

— No, dobra. — Andy przerzucił sobie torbę przez ramię i odgarnął włosy z twarzy. — Chodźmy zadzwonić do tego Dannersa.

— Aha. — Michael ruszył korytarzem w stronę windy. — Potrzebny mi jest publiczny terminal.

— Wynająłem pokój w hotelu. — Andy przesunął dłonią po drzwiach windy. — Złapię Bunny'ego, a on przełączy cię do Dannersa. Chyba że wolisz zajrzeć na najbliższy komisariat i skończyć z tym bałaganem? — Uniósł pytająco brwi. — To była dobra rada.

— Nie. — Michael oparł się o ścianę, gdy winda rozplaszczyła mu żołądek na przeponie. Był bez śniadania i jeszcze nie całkiem

"

doszedł do siebie po przeżyciach ostatnich dni. Przełknął ślinę i wyszedł za Andym do brudnego lobby. — Jeszcze nie pora na gliny. — Zatrzymaliby go na przesłuchanie i... zginąłby. Pewność w tym względzie prawie go przerażała, jak gdyby śmierć osobiście wyszeptowała mu przyszłe zdarzenia do ucha. — Jakim cudem zjawiłeś się tu dzisiaj? I dlaczego chcesz mi pomóc?

Andy zatrzymał się i odwrócił do niego.

— Pojawiłem się, bo przez jakiś czas w wiadomościach mówili, że zabiłeś S'Wannę. Powiedziałeś mi, że trafiały ci się zaniki świadomości. Pomyślałem, że będziesz się oskarżał o to morderstwo, nawet kiedy zmienili zdanie i uznali to za samobójstwo. — Niczego nie można było wyczytać z jego twarzy. — S'Wanna nie chciałaby, żebyś myślał, że masz na rękach jej krew.

— Dzięki.

— Och, ja też dostanę coś w zamian. — Andy nie uśmiechał się. — Będę na miejscu, kiedy ten ktoś zjawi się, by wykończyć ciebie albo tego Dannersa. Mój hotel jest parę przecznic na północ. — Zarzucił sobie torbę na ramię i uśmiechnął się blade do Michaela. — W lepszej okolicy.

Michael poszedł za nim, ciesząc się w duchu, że Andy nie jest jego wrogiem.

Haker sieciowy Bunny miał na ekranie wygląd wielkiego królika o różowych oczach rodem z komiksu. Zgiął jedno miękkie ucho, by postukać się z namysłem w policzek.

— Potrzebujecie tego gościa Dannersa i nie chcecie, żeby ktoś was namierzył, tak?

— Zgadza się. — Andy pokiwał głową. — Jak najszybciej, zgoda? Będę ci dłużny.

— Sam mogłeś to zrobić, więc owszem, wisisz mi. Jesteśmy kwita. — Bunny poruszył wąsami. — Umowa stoi?

— Stoi. — Andy wyrócił oczy ku sufitowi. — Wyjdiesz dzięki temu na plus. Jak szybko dasz radę nas wprowadzić?

Uszy Bunny'ego splotły się w kokardkę.

— Zobaczmy... — Jego obraz zamarł na dłuższą chwilę, a potem uszy rozplatały się samodzielnie. — Łatwizna. — Zmarszczył nos i prychnął. — Ma elegancki prywatny adres, ale głównie wie o zabezpieczeniach. Szkoda kredytu, kochanie. — Zamachał trójpalczastą łapą. — Jesteście w jego systemie.

Michael spojrzął ponad ramieniem Andy'ego. Hotelowy ekran nie był sprzętem czysto użytkowym i zajmował większą część ściany. Jedynie najbardziej snobistyczne hotele oferowały holosceny w pokojach gościnnych. Na wielkim ekranie Bunny rozpuszczał się wolno, spływając niczym roztopione lody w dół ekranu. Rozdzielczość była na tyle dobra, że Michael podświadomie oczekiwał, by biała maź zaczęła ściekać po ścianie pod ekranem.

— Dobrze mieć takiego kumpla — powiedział.

— O, tak, ale jest wystarczająco bystry, by drogo się cenić, jeśli uzna, że ujdzie to mu na sucho. Ten numer był dosyć kosztowny, ale chłopak bawi się neurobłyskaczami. — Andy wzruszył ramionami. — Wkrótce znów będzie mi coś winny.

Neurobłyskacze? Michael spojrzął na Andy'ego z ukosa. Nielegalne neuroprzekazniki wprowadzane bezpośrednio do kory mózgowej za pośrednictwem wszczepów mogły wyrządzić wiele szkody. Andy przyglądał się mu z krzywym uśmiechem.

— Nie handluję tym świństwem, jeśli o tym sobie pomyślałeś. Jedynie wyciągam go, kiedy zapędzi się za głęboko. — Wskazał na ekran. — Teraz ty tu rządzisz. Ja nie znam tego gościa.

Nie ma co oczekiwać przeprosin od tego faceta. Michael podniósł wzrok i znalazł się na wprost rafy koralowej. Obok przemknęła ławica żółtych i czarnych ryb, skręcając jednocześnie z niesamowitą koordynacją. Szkarłatna ośmiornica pełzła powoli i galaretowato przez kępę szarozielonych koralowców, nieopodal krą-

żył leniwie srebrzystoszary rekin, obracając ciężką głową na boki. W półmroku migotały rzędy stożkowatych zębów i Michael zadrżał.

— Kto tam? — Nagle pojawił się Hawk Danners, stojący na koralowej półce. — Włącz swoją cholerną kamerę albo się wynoś.

Fajna nakładka.

— System, wizja. — Michael miał nadzieję, że Bunny zapewnił im także łącze wideo. Najwyraźniej tak, gdyż Danners pokiwał swoją kudłatą głową.

Ze swymi gęstymi włosami i masywnymi barkami przypominał Michaelowi niedźwiedzia. Miał wąskie biodra i koślawe nogi, zbyt krótkie i chude jak na tak potężne cielsko. Krążyły plotki, że jego ciało pochodziło z serwisu i że wybrał je celowo.

— Czes'ć, Hawk.

— Mike. Niech mnie diabli. — Danners obnażył krzywe, żółte zęby w szerokim uśmiechu. — Słyszałem, że gliny chcą ci się dobrać do dupska. Co się stało? S'Wannapodkradłaci zamówienie? A może cię zdradzała?

— Nie zamordowałem jej. Co sam doskonale wiesz, o ile oglądałeś ostatnio wiadomości. — Michael starannie panował nad emocjami. — Słyszałeś o Irenę Yojiro i Andre?

— No i co z tego? — Danners wzruszył ramionami. — Lustik zawsze był mięczakiem.

Michael policzył w myślach do dziesięciu, zastanawiając się, czy było warto. Niech się ten kutas przekona na własnej skórze i w cholerę z nim.

Ale Danners mieszkał tutaj, w San Francisco — a przynajmniej niedaleko lądu — i żaden inny rzeźbiarz nie był równie łatwo dostępny. Poza nim. Ponadto Danners raczej by go nie wydał glinom. Dochowanie tej tajemnicy polechtałoby ego tego bandyty. Michael westchnął i zarzucił przynętę.

— Wiem coś, czego ty nie wiesz, Hawk. Na temat tych rzekomych samobójstw. Zaproś mnie do siebie, to ci powiem.

— Co takiego? Chcesz, żebym łamał prawo i zadawał się ze ściganym przestępcą? — Brwi Dannersa utworzyły dwa krzaczaste łuki. — Jestem wstrząśnięty.

Wyczuwając skrywaną pod tą pozą ciekawość, Michael się u-

śmiechnął.

— Nie ma sprawy. Porozmawiam z Jeranną.

— Sprzeda cię w mgnieniu oka. — Danners odrzucił głowę do tyłu i podrapał się pod brodą. — Taak, może pozwolę ci wpaść. Dla rozrywki. Mam teraz prawie przerwę między projektami, mogę więc poświęcić ci trochę czasu.

Tylko nie wyświadczaj mi żadnej łaski, nie powiedział Michael.

— Świetnie — odparł obojętnie. Gdyby Danners wiedział, jak bardzo mu na tym zależy, odkładałby tę cholerną wizytę przez miesiąc. — Jeśli znajdziemy wolną chwilę. Jak się do ciebie puka?

— Rano wyślę moją łódź do przystani w Zatoce — ziewnął znacząco. — Jestem teraz poza domem, ale wrócę na czas. Pytaj strażników o łódź Dannersa, jeśli zdecydujesz się przyjechać.

Ekran zgasł.

— A więc tak wygląda niesławny Hawk Danners? — Andy stał przy wielkim oknie, jedynym w całym pokoju, z rękoma splecionymi na plecach. — S'Wanna powiedziała kiedyś, że jego dusza jest zbyt mała na jego ciało.

— Ja bym tak tego nie ujął, nie mam aż tak dobrego serca. — Gdy Andy chichotał, Michael przeciągnął się i skrzywił, kiedy zgrzytnęły kręgi w jego szyi. — Tylko nie daj mu się podpuścić do bójk. Z tego co słyszałem, ma biostymulowane mięśnie.

Andy uśmiechnął się i upadł na łóżko.

— I co teraz?

— Zaczekamy do jutra. — Michael zastanawiał się, czy Danners rzeczywiście wyjechał z miasta, czy też bawi się z nim, żeby się rozerwać. — Wtedy złożymy wizytę panu Dannersowi o zbyt małej duszy. — Michael podszedł do małego stolika pod oknem, zrobionego z plastiku o fakturze imitującej drewno. Andy zostawił na nim stertę zapakowanych kanapek i torebek z sokiem. — Mogę się poczęstować?

Andy skinął głową, nie otwierając oczu.

— Po to je kupiłem. Wiesz, nasza ostatnia kłótnia z S'Wanną była taka trywialna. Zupełnie jakby potrzebowała pretekstu. Stawała się coraz posepniejsza, zamykała się w sobie, ale nie chciała mi powiedzieć dlaczego. Nie jestem pewien, czy sama wiedziała.

A gdyby Andy dalej z nią był, czy żyłaby teraz? Michael wziął kanapkę i zerwał hermetyczną owijkę. Miał wrażenie, że jego towa-

rżysz zadaje sobie na okrągło to samo pytanie i jest gotów zadawać je do końca życia.

— Nigdy nie powiedziałeś mi, komu tak bardzo podpadłeś, że zadał sobie aż tyle trudu, żeby cię zrobić'. — Andy obrócił się na bok i podniósł na łokciu. — To cholernie kosztowne świństwo. Gliniarze się cenią.

— Jest operatorem wewnętrznego poziomu w światowej sieci.
— Michael ściągnął plastikowe opakowanie i wgrzyzł się w kanapkę z salami, które zapewne nie miało w sobie ani krztyny mięsa i smakowało pieprzem. Do tego wiekowa sałata i pomidor. Smakowała tak, jakby ostatni rok spędziła na półce sklepowej. Michael przełknął pospiesznie odgryziony kęs. — Nazywa się Gunner Archenwald-Shen.

Andy gwizdnął cicho i usiadł.

— Archenwald-Shen, he? Wszystko robisz z takim rozmachem? Jak udało ci się go ukłuć?

— Znasz go? — zapytał Michael z pełnymi ustami. — Uważam, że to kutas, i chyba dałem mu to odczuć. — Przełknął, sięgając po sok. — To chyba był zły pomysł. — Wbił słomkę w torebkę i opróżnił ją do ostatniej kropli.

— Nie znam go, ale o nim słyszałem. — Andy splótł ramiona wokół podkurczonych kolan i zmarszczył czoło. — Jeśli pracujesz w sieci, musisz o nim słyszeć. Zjawia się w podupadających małych państewkach i wymachuje zdesperowanym rządom przed nosem lukratywnymi kontraktami przemysłowymi. Załatwia sobie wszelkiego rodzaju ulgi w dzierżawie ziemi, utylizacji odpadów i tak dalej, do tego dochodzi jeszcze tania siła robocza. Jak tylko nasyci rynek, zwija interes. Żadnych inwestycji kapitałowych, wszystko bierze w leasing. Czasami takie państwo wychodzi na tym dobrze, a czasami nie. Krążą plotki, że niekiedy sam jest źródłem pierwotnych kłopotów. — Andy potrząsnął głową. — Potrzebujesz anioła stróża.

— Zachował się obleśnie, a ja po chamsku. A co niby miałem zrobić? — Michael zgniótł opakowanie po kanapce i pustą torebkę w zgrabną kulkę. — Płaszczyc się? Całować go po butach?

— To nie byłby taki zły pomysł — odparł poważnym tonem Andy.

Michael wrzucił śmieci do zsypu.

— Gdyby zjawił się nagle i chciał cię kupić, zrobiłbyś to?
Płaszczyłbyś się przed nim?

— Gdyby było warto. — Andy wzruszył ramionami. — Gdybym musiał. To ci przeszkadza? Że sprzedajesz swoje dzieła nieznanym? S'Wannie to czasami przeszkadzało.

— Kiedyś mi nie przeszkadzało. — To dlaczego nie sprzedał Kamienia Słońca? Michael wyglądał przez okno na ulicę. Była pora lunchu i szerokimi chodnikami przelewały się tłumy zaaferowanych przechodniów. Kolorowe parasole przeciwsłoneczne gromadziły się wokół sprzedawców przekąsek niczym niewielkie, ruchome ogrody. — Ale to chyba nie jest cała prawda. Nagle zacząłem zadawać sobie pytania. Dlaczego rzeźbię Kamienie? Dla kogo to robię? Dla bogatych dupków pokroju Archenwalda-Shena? By mógł go postawić w sterylnym pokoju i słuchać dla zabicia nudy? Nie wiem. — A Kamień Słońca stanowił okrucieństwo przeszłości: była w nim Xia, miłość, lato. Zatrzymał go, a terazniejszość ominęła go w swoim pędzie. Michael westchnął i skinął głową w stronę ekranu. — Myślisz, że twój kumpel Bunny zostawił nam otwarte łącze?

— Spróbuj, to się przekonasz. Najpierw uruchom królika.

— System, uruchom królika. — Michael wstrzymał oddech, niepewny, czy naprawdę chce, by próba połączenia się powiodła. Ekran zamigotał i opustoszał, jedynie w lewym dolnym rogu falowała para maleńkich, białych króliczych uszu.

— Połączyłeś się — powiedział Andy.
Czas wreszcie to zrobić.

— Połączenie z galerią Christine Neiman, Taos, Nowy Meksyk, prywatna rozmowa z Chris — powiedział jednym tchem Michael. Jeśli jej nie zastanie, będzie mógł przynajmniej zostawić wiadomość.

Ekran zamigotał i pojawiła się na nim Chris.

— Mój Boże, Michael. Gdzieś ty był, i gdzie, u licha, teraz jesteś? Nic ci nie jest? Co się dzieje?

Robiła wrażenie bardzo zatroskanej.

— Spokojnie, Chris. — Ręce aż go świerzbiły, by zanurzyć je w ekranie, objąć ją i pocieszyć. — U mnie wszystko w porządku. Naprawdę.

— Nie wyglądasz w porządku. — Jej twarz się powiększyła, jak gdyby pochyliła się do przodu. — Michael, co to za wariactwo z tym morderstwem? Była tu policja, szukali ciebie. Wiem, że tego nie

zrobięś. Nie mógłbyś.

— I nie zrobiłem. Chris... siedzę po uszy w kłopotach.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem. — Teraz zaczęła się złościć, zacisnęła usta. — Na miłość boską, wracaj do Taos. Ted robi w prawie handlowym, ale zna paru dobrych gości od kryminalnego. Poradzimy sobie z tym, Michael.

Czyżby mimo całego jej gniewu dostrzegła łzy? Och, Chris, czyżbyś naprawdę się we mnie zakochała? Jak to się mogło stać? Była w wieku Margarity.

— To bardziej skomplikowane niż zwykłe oskarżenie o morderstwo — powiedział łagodnym tonem. — Chris, nie mogę się zgłosić na policję i nie mogę tego teraz wytłumaczyć. To zbyt skomplikowane. — A do tego nie miał żadnych dowodów na poparcie swoich przeczuć, co natychmiast by mu wytknęła. — Opowiem ci wszystko, skoro tylko będę mógł. Nie martw się o mnie, dobrze?

— Mam się nie martwić o ciebie? — Głos Chris wzniósł się o kolejną oktawę. — Pewnie, nie ma sprawy, będę sobie odkurzała rzeźby i zapomnę o tobie. — Jej głos zadrżał. — Jezu, Michael, ty samolubny sukinsynu.

Ekran zgasł.

— Kobiety dziwnie na ciebie reagują — powiedział Andy z łóżka, przeciągając słowa. — Pewnie ciężko ci się z którąś umówić, co?

— Ha, ha. — Michael odwrócił się od ekranu i oparł czoło o szybę. Nie prosiłem cię, żebyś się mną przejmowała, powiedział do niej bez słów. Nie wiedziałem. Chyba po prostu nie żyłem w czasie terazniejszym. Blask słońca oślepił go i w dole ulica drżała, jak gdyby powietrze wypełniały niewidzialne motyle.

Michael zaczął pocierać oczy, dopóki czerwień nie oplotła czer-

ni, uderzony nagłym olśnieniem, że gdyby tylko sięgnął, przebił się przez tę niewidzialną zasłonę, dotknąłby...

— Hej, nic ci nie jest?

— Nie... chyba nie. — Michael wyprostował się i zadrżał, kątem oka widząc niesamowite obrazy. — Ostatnimi czasy miewam dziwne sny. Koszmary. — Powoli wypuścił powietrze z płuc, nie chcąc zauważyć podejrzliwości na twarzy Andy'ego. — Może naprawdę mi odbija? — Zmusił się do śmiechu, lecz zabrzmiał słabo i nieprzekonująco. — Może tamta utrata świadomości była jedynie

początkiem?

— Czujesz, że zaczyna ci odbijać? — Andy spuścił nogi na podłogę, nie odrywając wzroku od twarzy Michaela.

— Nie. — Michael wzruszył ramionami. — Ale jeśli wiesz, że jesteś szalony, tak naprawdę nie jesteś, zgadza się? Tak brzmi ten truizm?

— Ty mi powiedz. — Andy wstał i zaczął krążyć niespokojnie po pokoju. — Może powinieneś posłuchać swoich przyjaciółek. Udzieliły ci dobrej rady.

— Myślałem, że zależy ci na dopadnięciu zabójcy S'Wanny.

— Bo zależy. — Spojrzał na niego z namysłem i powątpiewaniem. — O ile taki istnieje.

Michael raz jeszcze potarł oczy, nie mogąc go za to winić.

— Jutro zamierzam odwiedzić Dannersa. Możesz się ze mną zabrać albo nie, decyzja należy do ciebie.

— Och, przejadę się z tobą. — Andy rzucił się na łóżko i skrył twarz w poduszce. — Na wypadek gdybyś jednak nie był szalony.

— Dzięki. — Michael usiadł przy stoliku, rozsiadając się wygodnie na krześle. Był taki zmęczony. W mroku zalegającym pod jego powiekami dalej tańczyły ciemne motyle. Co się stanie, jeśli je wpuści, przyjmie w siebie tę wieczną ciemność? Nie zamknął oczu. — Chyba obejrzę sobie film.

Jedyną odpowiedzią Andy'ego było ciche pochrapywanie.

Rozdział szósty

Tłum przybyły w Pierwszy Wtorek do galerii krążył po niej niczym egzotyczne, kolorowe ryby w akwarium. Z cieni na skraju piętra Margarita obserwowała kościstą kobietę, która wspięła się na platformę „Kryształowej”. Miała skomplikowany wszczep z włókna szklanego: zielono-szkarłatnego gekona, który krętym zwojem biegł znad jej lewej piersi, przez szyję, aż na policzek. Obróciła się do swojego towarzysza.

— Zimno. Powinnam była zabrać kurtkę.

Mężczyzna strącił pyłek kurzu ze swojego garnituru z szarego jedwabiu i wzruszył ramionami.

— Ciekawe technicznie, ale bez wyrazu. Widziałaś już nową

kompozycję Chianiniego?

— Mnie się podoba. — Zeszła z platformy, sącząc wino z trzymanego w dłoni kieliszka. — Nigdy nie potrafiłam się oprzeć widokowi śniegu. Niech ci będzie, pójdę z tobą obejrzyć tego Chianiniego. — Wzięła mężczyznę w szarym garniturze pod ramię i we dwójkę ruszyli dalej.

Margarita oparła się o ścianę, ból pulsował tępo w zakamarkach jej umysłu. Syпки, śnieżny pisk andyjskiego fletu połąskotał ją w ucho. Raz jeszcze trzymam cię barwą mej zimy, wyszeptał głos obcej Triny. Przyłapała się na liczeniu, ilu ludzi pozostało na platformie do końca utworu — niewielu. Margarita zamknęła oczy. W końcu zmusiła się, by przestać, lecz miała przecucie, że ta liczba nadal czaiła się gdzieś w kąci podświadomości. Którejś chwili w ciągu tej nocy wyskoczy ze swojej kryjówki, wieszcząc klęskę.

Kobieta z gekonem i jej towarzysz zjechali obok Margarity, opuszczając się na łańcuchach z górnej platformy — najwyraźniej mieli już dosyć Chianiniego. Teraz przeniosą się do następnej galerii, wypiją więcej wina, będą wskazywać palcami i wydawać opinie, może nawet ukradkiem ziewać, gdy nikt nie będzie patrzył. A może właśnie ziewać, gdy patrzeć będzie właściwa osoba.

Czy ona coś poczuła, ta kobieta z gekonem? Czy w ogóle się wsłuchiwała? Margarita spozjrzała na pusty kieliszek w swej dłoni,

nagle odczuwając ochotę, by trzasnąć nim o podłogę z metalowej siatki. Nie zrobiłam tego dla ciebie, pomyślała ponuro. I zaraz: no to dla kogo to zrobiłam, cholera jasna?

Dla siebie? W takim razie po co wystawiać, po co się tak starać? Może nie dla kobiety z gekonem; może nie pocila się, płakała, szarpała nad „Kryształową” akurat dla niej?

Pragnęła dotrzeć do... kogoś.

Coś przez to powiedziała. Być może. A może i nie. Może wszystko to składało się tylko na pozy i taktyczne zagrywki — inną odmianę próby sił, całkiem zbliżoną do gier, na jakich jej kuzynostwo spędzało czas w slumsach. Delikatna nóżka kieliszka skruszyła się między jej palcami. Biorąc z sykiem oddech, Margania pochyliła się i ukryła go w plamie cienia rzucanej przez najbliższy dźwigar. Krew skapywała z rozciętego palca, zaczęła więc go ssać, a wtedy jej usta wypełnił miedziany smak krwi.

Kiedy stwarzała „Kryształową”, coś w niej było. Coś miało znaczenie.

Na platformę wspiął się jakiś mężczyzna i teraz obracał się

powoli z przechyloną głową, wyglądał na zatopionego w myślach. Pozostał tam nieruchomo aż do wybrzmienia ostatniego dźwięku fletu.

Co ujrzałeś? Margarita zacisnęła pięści. Co to dla ciebie znaczy? Ukazałam ci samotność? Poruszyłam cię? Podejdz do niego, powiedziała w myślach głosem Katriny. Zagadaj. Uśmiechnij się. Bądź miła, bo może szuka czegoś do biura, domku w górach albo sypialni.

Gówny ją obchodziło, czy szukał czegoś do biura. Stała nieruchoma i bezpieczna w ciemności, podczas gdy on rozglądał się dookoła i sprawdzał coś w małym elektronicznym katalogu. Odszedł, a ona dalej wpatrywała się w poruszające się nieprzerwanie łańcuchy, czekając na przybycie kolejnego znudzonego ciała. Nie powinna była tu przychodzić; powinna była wyjść, wrócić do domu i wziąć prysznic albo się upić. Lecz na myśl o zjeździe na łańcuchach na oczach tuzina znudzonych miłośników sztuki panika ścisnęła jej pierś żelazną obręczą.

Raz jeszcze spojrzała w dół przez siatkę, szukając na niższej

kondygnacji drobnej, jasnowłosej postaci. Katrina powiedziała, że zajrzy, nawet jeśli Argent będzie chciał pracować do późna. Margarita przełknęła grudę niepokoju. Pierwszy Wtorek dobiegał końca; tłum zaczynał już rzednąć. Niepokój ciążył jej kamieniem na żołądku, przyprawiając o mdłości. Argent zachowywał się dzisiaj jak kutas, powtarzała sobie. To wszystko. Dowiedział się, że Katrina celowo opuściła wczorajszą próbę i zrobił niezmierną awanturę. Jasne. Ale jakaś jej część szeptała: „A jeśli się na ciebie wściekła, a jeśli odejdziesz...” i w jej wnętrzu rozwarła się nagła otchłań, pełna ciemności i bolesnej pustki.

I wtedy Katrina nagle była przy niej, schodząc z łańcucha, jak gdyby zmaterializowała się tuż poniżej platformy, rozglądając się, marszcząc czoło. Nie dostrzegła skrytej w cieniu Margarity. Margarita zamarła w bezruchu, podczas gdy Katrina wspięła się na holoscenę z „Kryształową”. Nie widziała jej ukończonych; Margarita jej nie pozwalała. Zapiszczał flet, wiatr poderwał śnieg białymi smugami lodowych kryształków. Zbłąkany powiew chłodu musnął skórę Margarity i wtedy uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech ze wzrokiem utkwionym w twarzy Katriny. Powoli wypuściła powietrze z płuc, rozcierając pokryte gęsią skórą ramiona. Na scenie Katrina obróciła się powolnym piruetem z odchyloną do tyłu głową, jej złociste włosy spletały się poniżej karku. Jej oczy oglądały jakąś wizję w śniegu, jej twarz była rozmarzona, łagodna.

„Ukazać ci zimno, które kruszy ziemię pewniej niż żar...”

Umilkła ostatnia rozedrgana nuta fletu. Ramiona Katriny poruszyły się nieznacznie, jak gdyby westchnęła, i opuściła głowę, skrywając twarz za zasłoną włosów.

Margarita wyszła ostrożnie z cienia.

— Mar? — Katrina odwróciła się na pięcie.

Na jej twarzy lśniły łzy. Bo utwór był dobry, a może dlatego, że wiedziała, co Margarita chciała osiągnąć, i widziała, czego w nim zabrakło? Katrina była cholernie szczera. Margarita odwróciła wzrok, bojąc się spojrzeć jej w oczy, gdy schodziła z holosceny.

— Hej, kochanie, spokojnie. — Katrina pogładziła napięte mięśnie grzbietu Margarity dłonią delikatną i kojącą. — Mar, to jest...

cudowne. Naprawdę. — Jej głos promieniał. Przesadnie? Odsunęła Margarity o cal i ujęła jej twarz w dłonie, przechylając tak, by móc popatrzeć jej prosto w oczy. — Mar, było aż tak źle?

— Aż tak. — Margarita wykręciła się, zwracając wzrok ku iskrom stłuczonego szkła na skraju platformy. — Gównu się tym przejmują. Nic ich to nie obchodzi. Nawet nie usiłują usłyszeć, co się w tym kryje. Dla nich to jest ładne. — Jej głos złamał się niczym szklana nóżka, rozsypując na okruchy o ostrych krawędziach. — Nie to jest moim celem.

— Naprawdę?
Margańta poderwała głowę.

— Od czegoś musisz zacząć. Zwrócić na siebie uwagę. Wrobić sobie markę. — Katrina oparła ręce na barkach Margarity, z jej twarzy emanowało współczucie. — „Kryształowa” robi wrażenie. Ludzie zwrócą na ciebie uwagę. Usłyszą, co pragniesz im przekazać.

— Czyżby? — Margarita odwróciła się od niej. — Albo zaczną szukać gdzie indziej, bo nie dam im tego, czego oczekują. Może... po prostu nie potrafię. — I może to właśnie gryzło Arrowa pod sam koniec. Wierzył w jej talent i... pomylił się. Czy tu miał swe źródło ten ból? Odchyliła głowę do tyłu, pragnąc wykrzyczeć te słowa pod sklepienie. Zostawiłeś mnie, żebym sama do tego doszła? Że nie potrafię?

Katrina chwyciła Margarity za rękę, zwyciężając w szybkiej szarpaninie, gdy Margarita próbowała się oswobodzić.

— Cokolwiek sobie pomyślałeś, to nieprawda — syknęła cicho przez zęby. — Co ty sobie zrobiłeś w rękę? Na miłość boską...

— Skaleczyłam się.

— Pewnie. — Na twarzy Katriny malował się niepokój. — Gotowa do wyjścia? Dzisiaj chyba za wiele do „Kryształowej” nie

dodasz.

— Aha, gotowa. To bez znaczenia, czy tu jestem, czy mnie nie ma. — Margarita wyrwała rękę i wepchnęła ją do kieszeni, plamiąc tunikę krwią. I co z tego. Czy coś w ogóle miało jeszcze jakieś znaczenie?

— Jesteś w fatalnej formie. — Katrina dotknęła jej twarzy,

ignorując gwałtowny ruch głowy. — Wytrzymaj jeszcze tylko raz te schody, a po drodze do domu zajrzemy do sklepu. Zafundujemy sobie butelkę czerwonego wina. Z prawdziwej winnicy, a jeśli jutro obie będziemy miały kaca, tym gorzej dla nas.

— Nie stać nas na prawdziwe wino. Jesteśmy splukane, pamiętasz? — Gniew rozbrzmiewający w jej głosie sprawił, że Margaritą aż się skrzywiła, ale nic na to nie mogła poradzić. Dlaczego złości się na Katrinę? Akurat ona zupełnie na to nie zasłużyła. — Syntetyk nam wystarczy — gniew uparcie szarpał jej wnętrze.

— Syntetyk to gówno, kupujemy prawdziwe wino, nieważne, czy nas na nie stać. — Katrina weszła na ruchome stopnie i spłynęła w dół. — Dziś świętujemy. Pospiesz się.

Może gniew wypływał z tej otchłani, tej okropnej, bezdennej pustki, która pragnęła ją pochłonąć w cieniu. Potrzeba bywa niebezpieczna. Potrzeba czyni człowieka słabym. A przez chwilę potrzebowała Katriny.

— Już idę. — Margaritą chwyciła za łańcuchy i weszła na stopień, ściskając metalowe ogniwa i ten jeden raz mając gdzieś, czy spadnie.

Parter opustoszał już prawie całkowicie. Większość widzów przeniosła się do innych galerii albo wróciła do domów. Kamień Lustika lśnił na swym piedestale, skąpany w rozproszonym świetle. Jego rzeźbiarz odebrał sobie życie. Margaritą zawałała się i powoli podeszła do niego. Lustik nie żył, a jego Kamień dalej tu stał, wyśpiewując swe wspomnienia, chwile świtu, miłości, nadziei. Czy sztuka była jedynie lękiem przed śmiertelnością przekutym w światło, kamień lub barwę? Dotknęła Kamienia i zadrżała, zalana łagodnymi zapachami i jasnymi fakturami wschodu słońca. Nowojorski Kamień Tryona krył w swym wnętrzu burzę. Porwał ją, zassał cyklonem czystych, rozpalonych uczuć: gniewu, triumfu i determinacji, poruszył subtelną nutą lęku. Wypełnił ją poczuciem niewyobrażalnej potęgi, tak że powoli rozpostarła ramiona, rozprostowując palce, na w pół oczekując, że lada moment z ich czubków wytrysną błyskawice. Na kilka chwil przestała być Margaritą Espinozą, stała się częścią Kamienia, spiralnym jądrem cyklonu uczuć.

Nie było w tym lęku przed śmiercią. A „Kryształowa”? Margarita opuściła rękę i odsunęła się od Kamienia Lustika.

— Jest lepszy — powiedziała.

— Kto? — zapytała zza jej pleców Katrina.

— Michael Tryon. — Nie mogła się zdobyć na to, by powiedzieć „mój ojciec”, nawet nie chciała. — Jego Kamień był lepszy od tego. Ciekawe, czy naprawdę jestem jego dzieckiem.

— Mogłaś się dowiedzieć. — Katrina ostrożnie położyła dłoń na jej ramieniu. — Czy to ma jakieś znaczenie?

— Ja... nie wiem.

Katrina westchnęła z roztargnieniem.

— Widziałaś dzisiaj Yiassisa?

— Nie, nie widziałam go, i dzięki Bogu za to. Obawiałam się, że przez cały wieczór będzie mi sapał za plecami. — Spojrzała na Katrinę z ukosa. — A bo co?

— Ja... myślałam, że może zachowywał się jak kutas. — Katrina zmarszczyła nos, gdy rozwarły się przed nimi główne drzwi. — Myślałam, że to dlatego jesteś trochę przygnębiona.

Margarita zastanowiła się szybko, ile z niepewności w zachowaniu Triny płynęło z jej wrednych odżywek, i przełknęła odruchowo ślinę, ukłuta poczuciem winy.

— W ogóle go tu nie było. Cud nad cudami. Posłuchaj, przepraszam cię. Za moje nastroje.

— Hej, masz do tego prawo. Trzymaj łapy z dala od swoich włosów! — Katrina odtrąciła z kłaśnięciem dłoń Margarity, po czym poprawiła jej grzywkę. — Albo ogolę cię na łyso i będziesz mogła zrobić sobie tatuaż. Wyglądasz jak owczarek podhalański.

Katrina ukrywała coś pod tym matczynym tonem. Ogarnięta wyrzutami sumienia i bolesną falą miłości, Margarita objęła Katrinę.

— Nabrałam ochoty na to wino. — Pocałowała ją i splotła palce z palcami Katriny, pragnąc jakoś jej to zrekompensować. Napady irytacji. Huśtawkę nastrojów. — Jak poszła próba?

— Nieźle. — Katrina zrobiła zabawną minę. — I lepiej niż wczoraj. Coś ją gryzło. Jutro, obiecała sobie w duchu Margarita. Zapytaj

ją o to jutro rano. Dziś się upij, rozerwij, zapomnij o słabości „Kryształowej”, o znudzonych widzach, o duchu Arrowa — o wszystkim. Dzisiaj po prostu będą ze sobą. Ona i Katrina.

Wstąpiły do sklepu z winami wystarczająco oddalonego od szpacherskich wież, by nie odstraszać klientów cenami, lecz wystarczająco bliskiego, by handlować towarem dobrej jakości. Katrina przewróciła oczami, gdy Margarita postawiła na ladzie butelkę taniego, syntetycznego wina tuż obok wybranego przez nią kalifornijskiego zinfandela. Ale nie powiedziała ani słowa. Jedna butelka i tak by nie wystarczyła. Nie dzisiaj.

W mieszkaniu było ciemno. Margarita stała przez chwilę w progu, nasłuchując echa wizyty Michaela Tryona. Po co tu przyjechał?, pytała sama siebie. Tylko po to, by powiedzieć jej, że kochał Xie, ale nie próbował jej odszukać? Tylko po to, by powiedzieć, że nie miał pojęcia o jej istnieniu? A co ty do niego czułaś, Xia?, wyszeptwała cicho Margarita, wsłuchując się w ciszę. Xia niczego jej nie powiedziała, tyle tylko, że było to bardzo dawno temu. Kochała go? Margarita nie potrafiła tego zrobić — wyobrazić sobie Xii i Michaela razem.

— Hej, dziewczyno. Obudź się. — Katrina przepchnęła się obok niej. — System, światła.

Margarita zamrugnęła, gdy ciemność odeszła w niebyt. Poduszki, stół, ciężarki; znajome przedmioty przegnały obecność Michaela Tryona, odeszły ją z powrotem w przeszłość, gdzie było jej miejsce. Margarita zamknęła drzwi i zrzuciła buty. Przeszłość stanowiło biuro zagubionych listów, pomyślała i westchnęła.

— Ciekawe, czemu trzymała to w tajemnicy. No, wiesz, tożsamość mojego ojca.

— Mówimy o Xii? — Katrina spojrzała na nią czujnym wzrokiem. — Może czuła, że twoja ciotka będzie naciskać na nią, żeby wydostać od niego alimenty. Może myślała, że wtedy zjawi się i odbierze jej ciebie. Zapytaj ją, kiedy się znowu pojawi. — Rzuciła się na stertę poduszek. — Miałyśmy świętować, a to nie jest najodpowiedniejszy temat na świętowanie. — Skrzyżowała ramiona

i przyszpiliła Margaritę płomiennym spojrzeniem. — Za karę otwierasz wino. Tylko proszę to dobre, i żeby mój kieliszek był pełny.

— Tak jest, jasnie pani. — Margarita wyszła do kuchni z butelką pod każdą pachą.

— W szafce są paluszki. Przynies je przy okazji, dobra?

— Dobra.

Korkociągu nie było na zwykłym miejscu. Znalazła go w końcu w szparze między stołem a ścianą. W towarzystwie dużej ilości kurzu i okruchów. Faj. Wydostała go stamtąd i wkręciła w korek syntetycznego wina. Pachniało przyjemnie, bogatą, dębową wonią, z orzeźwiającą, kwaskową nutą. Syntetyk nigdy nie smakował jak prawdziwe wino, nieważne jak bardzo chemicy starali się powielić wszystkie te złożone molekuly. Brudne talerze z wczoraj wciąż zalegały w zlewie, lecz Margarita zignorowała je, ściągnęła z półki dwa kieliszki i wcisnęła sobie pod ramię paczkę cienkich paluszków.

Chrzanić te znudzone, bezmózgie krowy, które snuły się dziś po galerii niczym po pastwisku. „Kryształowa” była dobra, a jej następne produkcje będą jeszcze lepsze.

Wybiję się, Arrow. Tylko poczekaj, a zobaczysz.

Odpowiedziała jej cisza zakłócana jedynie szumem lodówki. Przez chwilę poczuła obecność jego ducha, stojącego tuż obok niej, usiłującego coś jej powiedzieć.

Tylko dlaczego był smutny? Margarita chwyciła butelkę i uciekła. Ekran terminalu gasł powoli.

— Nie słyszałam sygnału — powiedziała. Była zbyt zajęta nasłuchiwaniami duchów. — Kto to był?

— Oczywiście Argent. — Katrina była zaczerwieniona i rozzłoszczona. — Pewnie po moim wyjściu wzięli się z Li za łby. — Podniosła się. — Niech ich szlag trafi. Będę musiała to odkręcić.

— Nie ma mowy. — Margarita odsunęła się, pobrzękując kieliszkami. — Nie dzisiaj. Myślałam, że Pia aż się rwie, żeby pobawić się w gołąbka pokoju.

— Tak, tak, ale tak się zamieszało... — Katrina precyzyjnie się obok niej i zniknęła w sypialni.

— Trina? — Margarita postawiła kieliszki na politurze. — Co

się dzieje? — Paluszki wypadły jej na podłogę, rozsypując się dookoła. — Cholera. — Postawiła butelkę z hukiem obok kieliszków i zgarnęła paluszki obiema rękami, urażona, bo miały przecież świętować, spędzić razem parę szczęśliwych chwil, zapomnieć o tym, że zachowywała się jak wiedźma. — To ty wyciągnęłaś mnie z galerii, żeby to oblać. — Znów ten gniew, kurde, mogłabyś wreszcie przestać. — Chcę spędzić trochę czasu tylko z tobą.

— Co się stało z moim bursztynowym wisiorkiem? — zawołała

Katrina z sypialni. — Tym, który dostałam ostatniej zimy?

— Ja nic na ten temat nie wiem. — Margarita cisnęła paluszki na stolik. — Czy ty musisz matkować całemu światu? — Gniew zwyciężył, nadając ostrości jej głosowi. — Był w misie na kredensie. Razem z twoimi spinkami do włosów i całą resztą.

— Nie ma go tam. — Katrina stanęła w progu, ściskając dłońmi framugę drzwi. — Cholera jasna, Mar, gdzie on się podział?

— Powiedziałam, że nie wiem. — Gniew Margarity zelżał, gdy ujrzała, że Katrinajest zdenerwowana, autentycznie zdenerwowana. — A co on ma wspólnego z Argentem i Li?

— Nic, nieważne, to długa historia. — Katrina odgarnęła krnąbrne włosy z twarzy. — Muszę pójść... do studia. I wszystko uporządkować — powiedziała, ruszając do wyjścia. — To nie potrwa długo.

— Trina, zaczekaj. — Drzwi trzasnęły, gdy Margarita podnosiła się pospiesznie. Trina się bała. To właśnie usłyszała w jej głosie: lęk. Zapomniawszy o gniewie, szarpnięciem otworzyła drzwi i wybiegła bosą na korytarz. — Trina! — Był pusty, winda z łoskotem zjeżdżała na poziom ulicy. Cholera. Margarita wróciła do mieszkania i zatrzasnęła drzwi.

Bajkę o Argencie i Li mogła sobie darować. Coś było nie tak. Margarita oparła stopę o kant stolika i zaczęła wciągać buty. Coś było nie tak już od jakiegoś czasu. Drobne zdarzenia zaczęły nagle przyciągać jej uwagę niczym plamy oleju z zatopionego statku — niewyjaśnione nieobecności, nietypowe dla Katriny rozdrażnienie. W poniedziałek Argent twierdził, że Katrina zwolniła się z próby w południe i wróciła do domu. Ale w galerii zjawiła się późno.

Zawsze mówiła Margaricie, gdzie była i co robiła, choćby było to coś bardzo prozaicznego. Czasami doprowadzała tym Margaritę do szału.

Ani słowem nie wspominała o tym, by poszła gdzieś w poniedziałkowy wieczór. Powinnam była to zauważyć, pomyślała z goryczą. Powinnam była uważać. Ale była zbyt zajęta przy „Kryształowej”. Światła zamrugały: pięć minut do wyciemnienia. Kiedy się odwracała, potrąciła nogą butelkę. Sięgnęła po nią, lecz nie uchroniła jej przed upadkiem. Wino zbryzgało poduszki, zbierając się w kałużę na podłodze. Margarita podniosła butelkę i postawiła ją z powrotem na stole. Rozlane wino wyglądało zupełnie jak krew. Świeża krew. Margarita zadrzała. Powinnam była uważać, pomyślała, ale tego nie zrobiłam. Zagrzebałam się w „Kryształowej”, zanurzyłam się w lepkim morzu wątpliwości. Wróc — w morzu użalania się nad sobą.

Światła zgasty. Przeklinając w duchu, Margarita po omacku przeszła do kuchni, gdzie z szuflady przy zlewie wygrzebała latarkę. Żółta plama światła przesunęła się po ścianie i suficie, potem otworzyła drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Na korytarzu nocne lampy, wyspy na morzu ciemności, oświetlały wyblakłą wykładzinę słabym, żółtym blaskiem. Za późno na windę. Wybiegła na schody i popędziła pięć pięter w dół, chwytając się poręczy na każdym zakręcie, by nie tracić prędkości.

W lobby oczywiście nie było ani śladu Katriny. Na dworze zerwał się wiatr, dmuchał kanionem ulicy, gnając kurz i śmieci chodnikami, podrywając w powietrze tnący boleśnie piach. W tej okolicy po wyciemnieniu niewiele się zmieniało. Margarita zmrużyła zażawione oczy, przepatrując mroczną ulicę w poszukiwaniu drobnej sylwetki Katriny. Miała dość czasu, by zniknąć za rogiem. Margarita wepchnęła dłonie do kieszeni tuniki i ruszyła przed siebie, nieledwie biegnąc. Idź do studia, powtarzała w myślach. Jeśli to ma coś wspólnego z Argentem, tam ją znajdziesz. Mieszkał nad studiem w nędznym, ciasnym, dwupokojowym mieszkaniu.

Jeśli to ma cokolwiek wspólnego z Argentem. Teraz nie była już tego taka pewna. Pod warstwą gniewu zaczął w niej wzbierać strach. Margarita zadygotała i pochyliła głowę, by choć trochę osłonić się

przed wiatrem. Ogarnął ją zimowy chłód, zupełnie jakby zamiast października był co najmniej środek grudnia. Wiatr wciskał się za kołnierz tuniki, wsuwał lodowate palce między jej piersi. Margarita zacisnęła zęby, by nimi nie szczekać. Na następnej przecznicy mieściła się galeria. W środku nadal paliło się światło; na wieczór otwarcia wystawy musieli wykupić całonocne zwolnienie od wyciemnienia. Helisy pokrywające frontową ścianę budynku pętliły się niczym wstęgi Móbiosa roziskrzonymi liniami szumiących neonówek. O tej porze powinna już być zamknięta, może Ari w porywie zaborczości wrócił na ostatnią kontrolę, by dotykać i chełpić się wystawionymi dziełami, jakby należały do niego, były częścią jego prywatnej kolekcji.

Mogła stąd zadzwonić do studia. Jeśli Argent tam jest, rozpozna jej kod i odbierze. Powie, że Katriną niego była. A jeśli nie... Nie warto na zapas się martwić. Obejmując się ramionami, przygarbiona dla osłony przed wiatrem, Margarita przebiegła przez pustą ulicę. Frontowe drzwi nie zareagowały na jej dłoń przyciśniętą do płytki zamka. Syknęła przez zęby i skoczyła za róg, do drzwi dla obsługi. Te otworzyły się przed nią bezgłośnie. A więc Ari jeszcze tu był. Margarita zamknęła za sobą drzwi i kciukiem wyłączyła latarkę. Większość światła była pogaszona, choć Kamień Lustika nadal lśnił w snopie łagodnego blasku reflektorów. Platforma „Kryształowej” była ledwie dostrzegalna w zalegającym wewnątrz galerii mroku, cień jej konturów rysował się niewyraźnie dzięki pomarańczowemu blaskowi światełek konsoli.

Łańcuchy wciąż przesuwały się niezmordowanie nie kończącymi się pętłami. Wydawały się teraz głośniejsze, wypełniały olbrzymią salę szczękiem jak gdyby zgrzytających w ciemnościach metalowych zębów. Margarita przyłapała się na tym, że ustawicznie ogląda się za siebie i stąpa właściwie na czubkach palców. Potrząsnęła głową, zebrало się jej na śmiech z samej siebie. Publiczny terminal znajdował się w korytarzu przed biurem Ariego. Ruszyła w jego stronę, gdy na posadzce załomotały nagle głośnie kroki. Biegające kroki? Z mroku wyłoniła się jakaś postać i popędziła wprost na nią.

Margarita zdążyła poderwać ramię w górę obronnym gestem, gdy tamten człowiek wpadł na nią. Postać krzyknęła przenikliwie i niekontrolowanie, gdy Margarita zatoczyła się do tyłu, potem odskoczyła gwałtownie, w zbłąkanym promieniu światła odbitym od Kamienia Lustika błysnęły złociste włosy.

— Trina! — Marganta chwyciła ją za rękę. — Trina, to ja!

Przez krótką chwilę Katrina walczyła, by wyrwać się z jej uchwytu. Marganta czuła pod palcami napięte, rozdygotane mięśnie. Potem rzuciła się na nią roztrzęsiona, obejmując ją tak mocno, że aż zatrzeszczały zębra.

— Trina, na Boga, co się stało? — Margarita przytrzymała ją, myśląc jednocześnie o Arim, gotowa zabić go za to i niech szlag trafi wystawę. — Trina? — Pocałowała ją w czoło, zgarnęła jej włosy z twarzy, wystraszona, bo nigdy dotąd nie widziała jeszcze Katriny w takim stanie. — Już dobrze — wyszeptwała. — Jestem przy tobie.

— Nie jest dobrze. — Katrina odepchnęła ją nagle. — On nie żyje. Ari. Wszędzie pełno krwi.

— O, kurde.

— Co on zrobił, Trina? — zapytała szeptem, gdyż tafla nocy rozprysnęła się niczym szkło, zasypując je deszczem zabójczych okruchów. — Powiedz mi.

— Ja go nie zabiłam — wzdrygnęła się Katrina. — Boże, Mar, co ci przyszło do głowy?

— Ja... nic mi nie przyszło. — Margarita ponownie chwyciła ją za rękę. — Trina, powiedz mi, co się stało.

Katrina bez słowa wyszarpnęła rękę, obróciła się w miejscu i ruszyła na zaplecze galerii. Margarita powoli podążyła za nią, dostrzegając sztywność i niepewność kroków Katriny. Katriny z zasady nie poruszała się sztywno, przechodziła przez każdą chwilę

z płynnością wody. Teraz zachowywała się tak, jakby coś się... rozbiło. Margarita podbiegła do niej i złapała jej dłoń, tym razem nie zwalniając uścisku. Podeszły do jednego z łańcuchów i Trina zatrzymała się nagle, metr od otworu w podłodze, w którym zniknęły łańcuchy, by obrócić się na swym kole i ruszyć w kolejną wędrówkę ku górze.

— Już zaglądałam — wyszeptała. — Nie żyje.

Margarita wzięła bezgłośny oddech, gdyż teraz i ona to dostrzegła: czarne smugi i plamy krwi na grzechoczących łańcuchach, ledwie widoczne w świetle reflektorów Kamienia. Krew czerniała też na kilku stopniach. Przysunęła się do otworu, krok po kroku, nogi miała sztywne, jakby były wyciosane z drewna. Na dole zamocowana była blokada zabezpieczająca. Gdyby ktoś wpadł do środka, cała maszynaria zatrzymałaby się w mgnieniu oka. Ari wszystko dokładnie jej objaśnił przed pierwszą jazdą tymi cholernymi schodami, jak gdyby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Po upadku z wysokości trzech pięter niewielkie znaczenie miało to, że zabezpieczenia chroniły człowieka przed wпадnięciem do wnętrza tej piekielnej maszynarii.

Dla Ariego wszakże miało to znaczenie. Odbite światło rozjaśniało przestrzeń pod posadzką, jak gdyby ktoś celowo skupił je na nim, jak gdyby stanowił jeszcze jeden eksponat: makabryczne przedstawienie ludzkiej kruchości i śmierci. Leżał pod kołem zębatym, pod siatką zabezpieczającą, rozciągnięty na betonowej podłodze. Poskręcany, odmieniony. Uszkodzony. Oko funkcjonuje jak aparat fotograficzny, wystarczy jedna nanosekunda, by obraz utrwalił się, zbyt szybko, by umysł mógł powiedzieć nie i zignorować go. Margarita cofnęła się pospiesznie, koncentrując uwagę na ogólnych zarysach, nie chcąc wiedzieć, jak łańcuch i koło pozbawiły go życia. Ale i tak szczegóły znajdowały się już w jej głowie. Prędzej czy później je ujrzy.

— O, kurwa — zamknęła oczy. — Co tu się, cholera, stało? Wezwałaś gliny?

— Nie. — Katrina rozejrzała się z wyrazem oszołomienia na twarzy. — Powinam była, nie? Przepraszam.

— Psiakrew, ochrona powinna była to zauważyć. — Margarita spojrzała wściekle na najbliższe oko kamery. — Co tu się dzieje? — Coś. — Chodź, Trina. — Objęła Katrinę ramieniem. — Musimy kogoś zawiadomić.

Były tam same, w prywatnym wszechświecie cieni, krwi i szoku. Teraz płaska, lśniąca rzeczywistość ekranu terminalu na ścianie wdarła się do niego wraz z całym zewnętrznym światem.

— Łącze ogólne, służby ratunkowe, policja — warknęła Mar-

garita.

— Łączy ogólne. — Ekran zapłonął intensywnym błękitem. — Policja.

— Mówi Margarita Espinoza z galerii Yamada. Był wypadek, zginął człowiek.

— Proszę włożyć kartę identyfikacyjną dla potwierdzenia autentyczności.

Margarita sztywnymi palcami wybrała z kieszeni kartę i przesunęła ją przez czytnik.

— Dziękujemy, pani Espinoza. Zespół interwencyjny jest już w drodze.

Rzeczywistość trzymała je w swych szponach, brutalna i nieunikniona. Margarita wzięła głęboki oddech, pragnąc zasłonić uszy, przegnać pytania szalejące w jej głowie.

— Ty go znalazłaś? — zapytała szeptem. — Będą chcieli to wiedzieć, gliny i w ogóle. Trina? — Potrzeba uzyskania odpowiedzi zacisnęła jej palce na ramieniu Katriny, gdy ta spróbowała się wyszarpnąć. — Co się dzieje? To Ari do ciebie dzwonił, prawda? Nie Argent. Dlaczego tu przyjechałaś? — Potrząsnęła Katriną, jej głowa skoczyła gwałtownie do przodu. — Dlaczego, Trina?

— Przestań. — Katrina chwyciła Margaritę za nadgarstki i uwolniła się z jej uchwytu. — Tak, już nie żył, kiedy go znalazłam. Naprawdę pomyślałaś, że go zabiłam, Mar?

Gorycz brzmiąca w jej głosie sprawiła, że Margarita aż się skrzywiła.

— Nie. — Opuściła bezradnie ręce. — Nie pomyślałam tak. I dalej nie myślę. Ale co ty tu robisz? Proszę... — Głos się jej załamał. — Powiedz mi, Trina?

Katrina odwróciła wzrok.

— Poprosił mnie, żebym coś dla niego przechowała. Ten naszyjnik. Ale to nie był zwykły naszyjnik, w środku miał ukrytą kapsułę pamięci. Nie wiem, co w niej było. — Zadrżała, opuszczając bezsilnie głowę. — Zadzwoił dzisiaj, masz rację. Chciał, żebym go zwróciła, był... zdenerwowany. Chciał, żebym przyniosła go do

galerii. Kiedy... nie mogłam go znaleźć, przysłałam mu to powie-

dzieć. Nie mogłam zadzwonić, ty tam byłaś. Drzwi były otwarte, nie mogłam go znaleźć. Przyglądałam się Kamieniowi, kiedy... kiedy zwróciłam uwagę na łańcuchy. Krew. To wszystko. — Nie podniosła głowy, nie spojrzała na Margaritę.

— Dlaczego? — wyszeptała Margarita. — Co było w tej kapsule? Jakież kompromitujące materiały? Dlaczego to dla niego zrobiłaś?

I wtedy wszystkie fragmenty układanki wsunęły się na swoje miejsca. Nieoczekiwanie, niczym pięść zaciskająca się wokół jej żeber, do momentu aż pękły, połamały się, przebiły serce.

— Byłaś jego kochanką, prawda? — zapytała matowym głosem. — Dlatego twoje włosy pachniały jego wodą kolońską, dlatego we wtorek nie widziałam, jak wchodzisz. Już tam byłaś, zgadza się? W jego biurze? Trina, dlaczego? — Odwróciła twarz, walcząc o łyk powietrza. — Dlaczego, kurwa, nic nie powiedziałaś?

— Jasne. — Głos Katriny był cichy i przesycony goryczą. — A ty byś powiedziała, dalej, dziewczyno, zabaw się, tak?

— Nie wiem. Po prostu nie wiem. — Margarita okręciła się w miejscu i oparła czoło o twardą i chłodną ścianę. Ari? Boże ty mój, Ari? Co by odpowiedziała Katrinie? Były razem dwa lata, od dnia gdy Katrina zatrzymała się przed jej nieskomplikowaną holograficzną rzeźbą w brudnym pasażu handlowym, gdzie rozstawiła swoją przenośną holoscenę.

Katrina siedziała na ziemi, obserwując ją bez słów. Zazwyczaj takie gapienie się doprowadzało Margaritę do szału, lecz ta niewysoka, muskularna kobieta przyglądała się jej ze skupieniem, które zbudziło w niej nagły przyływ sił twórczych. Kiedy wreszcie skończyła, wyczerpana i połowicznie usatysfakcjonowana, Katrina zaprosiła ją na kolację, pomogła zanieść nieporęczną holoscenę do mieszkania. Jadły prawdziwy ser z czerstwym chlebem, siedząc na poduszkach na podłodze, i rozmawiały o sztuce i życiu, penetrując nieoczekiwane i cudowne związki między holorzeźbą, poezją i tańcem do bladego świtu. Spędziła tamtą noc w łóżku Katriny. Dwa tygodnie później, kiedy nadeszła pora płacenia czynszu za zapyziały pokój w suterenie, Mćfrgarita po prostu przeprowadziła się do niej.

Dwa lata to niezbyt wiele czasu. Miała wrażenie, że to zaledwie pierwsza faza wieczności. Margarita zacisnęła powieki, siłą woli powstrzymując łzy.

Drzwi wejściowe rozwarły się ze szmerem.

— Policja — zawołał męski głos. — Jest tu kto?

Nie było łez. Margarita wyprostowała się z oczyma suchymi,

choć piekącymi.

— Tu jesteśmy — odkrzyknęła.

Dwóch umundurowanych policjantów stojących w progu spoj-
rzało w ich stronę i jeden z nich podszedł do nich ostrożnie.

— Ktoś zgłaszał wypadek.

Gliniarze zawsze odnosili się do ludzi z wrogością. Margarita
zastanawiała się kiedyś, czy stawali się tacy wraz z latami służby,
czy też był to jeden z wymogów stawianych przed rekrutami.

— Tutaj — powiedziała i zaprowadziła go do rozświetlonego
Kamienia Lustika i zbryzganych krwią łańcuchów. Ani razu nie
spojrzała na Katrinę.

Policjanci byli uprzejmi na swój oficjalny, odrobinę podejrzliwy
sposób. Zjawilo się ich więcej, razem z pogotowiem i ludźmi, którzy
wyglądali na lekarzy, a zapewne pracowali w policyjnym laborato-
rium. Margarita siedziała po turecku na podłodze, oparta plecami

o ścianę, obserwując szalejący wokół niej kontrolowany chaos, re-
jestrując obrazy, dźwięki i zapachy niczym kamera, lecz nie prze-
twarzając ich. Gliniarze wzięli ją na pierwszy ogień; teraz prze-
słuchiwali Katrinę. Trzymali je osobno. Zawsze tak postępowali,
zakładali, że świadkowie zawsze próbują uzgodnić zeznania, wspól-
ne alibi. Byli nieufni, lecz tym razem uprzejmie nieufni, gdyż tu

1 teraz była kimś, nic jeszcze jednym umorusanym dzieciakiem
z bardo.

Nienawidziła gliniarzy.

Opowiedziała im wszystko, co się wydarzyło, każdy szczegół
tkwił w jej pamięci z surrealistyczną wyrazistością. Nie wspomniała
o naszyjniku ani kapsule. Nie kłamała, nie wiedziała, czy było

o czym kłamać, ale nie powiedziała im niczego. Niczego nie wie-
działa. Tylko tyle, że Katrina była kochanką Ariego.

Dlaczego?

Na próżno czekała na odpowiedź. Oparła głowę o ścianę, krzą-
tanina wokół otworu w podłodze zapisywała się gdzieś w zakamar-
kach jej pamięci krótkotrwałej. Jeśli zapełni umysł obrazami, nie
będzie musiała myśleć. Jasnowłosa gliniarz, ewidentnie dowódca,
dał znak dwójce sanitariuszy, którzy zapakowali ciało Ariego do
plastikowego worka i wyciągali je spod podłogi. Gdy zahaczyło
o nieruchome łańcuchy, te zakotływały się, uderzając o siebie. Stęka-

jąc, położyli worek na nosze, obchodząc się z nim niczym z brudną bielizną. Tyle warte jest życie, nadzieje, wątpliwości, przyszłość... Sanitariusze umocowali worek pasami, mieli znudzone, beznamietne twarze, a potem wyszli. Wózek podjechał ku górze i potoczył się posłusznie za nimi.

Dlaczego, Katrina? Ponieważ... Nie myśl o „ponieważ”, po prostu nie myśl.

— Margarita Espinoza? — Jasnowłosy gliniarz stał przed nią, spoglądał w dół z zaintrygowaną miną. — Może pani iść, jeśli pani chce. — Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać, lecz nie robił wrażenia obrazonego, gdy ją zignorowała. — Później możemy jeszcze mieć do pani parę pytań, ale póki co skończyliśmy.

Przedstawił się jej, lecz jego nazwisko natychmiast uleciało jej z głowy.

— To był wypadek? — A co innego mogło to być?

— Chłopcy z laboratorium to ustalą. — Jego uprzejmy uśmiech wyglądał jak odlany z plastiku. — Ale pani jest wolna.

— Co z Katrina? — Wymówienie jej imienia na głos przyszło jej z trudem.

— Także jest wolna. — Zerknął w stronę biura Ariego. — Chyba nawet już wyszła.

To dobrze, pomyślała, lecz ucisk w klatce piersiowej przeczył jej słowom.

— Dziękuję. — Margarita na moment zamknęła oczy. Kamień pogłaskał ją cieniem wschodzącego słońca, nadzieją wzbierającą

w młodym sercu... Odsunęła się krok dalej od jego postumentu. — Czyli to już wszystko?

— Tak. — Gliniarz zaczął podejrzliwie marszczyć czoło. — Na pewno dobrze się pani czuje? Może odwiedzić panią do domu, pani Espinoza?

— Nie, nie, dziękuję. — Odwróciła się pospiesznie. — Nic mi nie jest, dziękuję. — W galerii zjawiała się filigranowa asystentka Ariego, Delia, i teraz przebiegała z miejsca na miejsce, zaglądając wszystkim przez ramię.

Przechodząc przez główną salę, Margarita unikała jej, trzymając się cienia. Gliniarze wyłączyli jedynie ten łańcuch, który zabił Ariego; chwyciła pętlę prowadzącą na platformę „Kryształowej” i unios-

ła się w górę ze wzrokiem utkwionym w ścianie. W dole nikt najwyraźniej nie zauważył jej wjazdu. Albo nie obchodziło ich to.

— „Pęknięcie”, pełna moc. Uruchom. — Wstąpiła na scenę, gdy wokół niej zima zbudziła się migotliwie do życia. „U stóp gór, zimną jesienią przed nadejściem zimy, odwiedzasz mnie...”, wyszeptał głos nie całkiem należący do Katriny.

Jestem dobra. Margarita zamknęła oczy i wzięła powolny oddech, smakując wilgotną wełnę po zimowym spacerze, pot, dym płonącego drewna, lód. Zimowy spacer, przelotna wspólnota utraty i miłości, zimowej duszy pękniętej tak jak nasza. Portret samotności, lodowa skorupa, która może pęknąć pod wprawą dłońią.

— Jestem dobra — wyszeptała. Jestem, prawda, Arrow? Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

— Mar?

Głos Katriny. Margarita podskoczyła, otwierając gwałtownie oczy.

— Powiedział, że wyszłaś. — Zeszła ze sceny niezgrabnie, tam gdzie Katrina zawsze stawiała pewne kroki. — Ten glina. Nic usłyszałam cię.

— Przez te łańcuchy nie sposób niczego usłyszeć — powiedziała lekkim tonem, lecz jej twarz była napięta, niemalże pergaminowa. Stała przy łańcuchach, jak gdyby dopiero co zeszła ze schodów.

— Odsuń się od krawędzi — prychnęła Margarita, przed oczami

zamajaczył jej tamten plastikowy worek, obwisły i bezwładny. — Dlaczego Ari? — Nie chciała o to zapytać, teraz było już za późno, by powstrzymać te słowa, lecz jej ręka poderwała się lekko, jak gdyby mogła pochwycić ją w locie, porwać ją w powietrzu niczym ptaka.

— Lubiłam go. — Katrina odwróciła wzrok. Kłamiąc. Była zbyt uczciwa, by kłamać bez powodu.

— Posłuchaj, wiem, że to zabolalo. — Katrina utkwiała spojrzenie w swych splecionych dłoniach. — Mar, to było coś chwilowego. Sama nie wiem, jakiś kaprys czy co. Może... zwątpiłam w siebie. Cholera jasna, kocham cię. — W końcu podniosła głowę. — Ktoś go zabił, Mar. Z powodu tego wisiora i teraz się boję, Mar. Chcę to naprawić. Jakoś. Proszę.

Naprawdę była wystraszona, ale kłamała o Arim. Margarita zamknęła oczy, pragnęła przytulić ją i zapewnić, że wszystko będzie

dobrze, pragnęła uderzyć ją w twarz. Bo Margarita wierzyła w to — w ich miłość. Kiedyś wierzyła.

I... potrzebowała Katriny. Skręcała się ze wstydu, nie potrafiąc zaprzeczyć tej prawdzie.

— Ari zaproponował mi tę wystawę — powiedziała cicho Margarita. — Przedtem wystawiałam w trzeciorzędnych galeriach. — Otworzyła oczy, wypełnił ją chłód, ścinając jej serce lodem. — Yamada nie szuka artystów w suterrenach. Mogą sobie pozwolić na zbieranie śmietanki z samego wierzchu.

Głowa Katriny drgnęła niedostrzegalnie, jak gdyby chciała odwrócić wzrok i powstrzymała się w ostatniej chwili.

— Czy Ari... dał mi tę wystawę, żebyś wzięła go do łóżka?

— Nie! Jesteś tu, bo jesteś dobra, Mar.

Katrina nie umiała kłamać, jej twarz zdradziła ją w mgnieniu oka. Nie, pragnęła krzyknąć na nią Margarita. Powiedz, że kłamiesz. Powiedz, że się mylę.

— Ty dziwko. — Głos jej zadrżał. — O, tak, jestem dobra, ciągle mi to powtarzasz. Wystarczająco dobra na Yamadę, tak? Pewnie, tak długo jak będziesz opłacać na plecach moje wpisowe. Dobrze, że wybrałam sobie na kochankę śliczną tancereczkę, co?

— Mar? — Katrina zrobiła pół kroku do przodu. — Zechcesz wreszcie mnie wysłuchać?

— Wysłuchać czego? — Margarita obróciła się, uderzyła pięściami w scenę „Kryształowej”. — Wysłuchać czego? Kolejnego kłamstwa? Takiego jak to, że jestem taka dobra? Że tak bardzo mnie kochasz? Wynoś się stąd, ty kurwo!

Twaz Katriny zbieleła. Przez długą chwilę stała nieruchomo, potem się odwróciła, chwyciła za szczękający łańcuch i powoli zniknęła w dole.

Margarita zamknęła oczy i opadła na kolana na metalową siatkę „Twoja dłoń, teraz samotna”, wyszeptał głos o cień inny od Katriny do wtóru błędzącej nuty andyjskiego fletu. „Gdy skryjesz ją w twej drugiej dłoni, obie będą jeszcze bardziej samotne”.

— Zamknij się. „Pęknięcie”, wyłącz. — Spóźniony podmuch śniegu i wilgotnej wełny musnął jej policzek, gdy holoscena wyłączyła się nagle. Margarita skryła twarz w ramionach, zatopiona w milczeniu ponad gliniarzami, cieniami i Kamieniem.

Rozdział siódmy

Margarita zbudziła się nagle, mrugając w bladym świetle, gardło bolało ją od wyplakanych we śnie łez. Przez moment cienie ułożyły się w twarz Katriny, lecz wizja rozmyła się prawie natychmiast. Głowa bolała ją od powstrzymywanych łez, gdy próbowała zorientować się w swym położeniu wśród obcych cieni. Płótno... pod nią sofa. A, tak. Z cieni uformowały się znajome kształty. Leżała na sofie Delii; udało się jej ubłagać zastępczynię Ariego, by pozwoliła jej tu przenocować. Bo nie mogła wrócić do domu. Margarita usiadła zeszywniała, jako że sofa nie była dla niej wystarczająco długa i musiała spać zwinięta.

I śniła o Katrinie. Powrócił gruzłowaty ból w gardle, nie pozwalając, by zastąpił go gniew. Nie pamiętała samego snu, lecz pozostało po nim druzgoczące uczucie straty, opuszczenia.

Katrina, jak mogłaś to uczynić?

Z miłości. Wściekłość minionej nocy obróciła się w jej piersi w popiół, zimny i cuchnący. Zbiłabym się sama, powiedziała w ciemność Margarita, lecz cienie skwitowały to kpina. Katrina tak nie mys'lała.

— Biuro, światła. — Podniosła się sprężyście z sofy, mrugając w jaskrawym blasku. — Biuro, godzina?

— Pięta czterdzieści pięć — wyśpiewało biuro Delii.

Te słowa zbudziły drzenie w jej kolanach, drzenie wyływające z braku snu. Margarita usiadła z powrotem na sofie, chowając twarz w dłoniach. Wczoraj Delia znalazła ją siedzącą na mrocznej scenie „Kryształowej”, gdy zamykała galerię. Z własnej inicjatywy zrobiła jej kubek gorącej czekolady, zaproponowała proszki i masaż pleców, obie oferty zostały przez Margaritę pospiesznie odrzucone. Była pełna chytrych domysłów, tak że Marganta miała ochotę na nią nakrzyczeć, oraz pogodnego, przepełnionego nadzieją oczekiwania, co kazało ostatecznie Margaricie odstąpić od swego pierwotnego zamiaru. Noc spędziła w biurze i jeśli Delia uznała, że to coś znaczy, myliła się.

Marganta krążyła po pokoju, niczego nie dotykając, uwięziona przez wczesną godzinę, odległe mieszkanie i Katrinę, która na pewno leżała rozwalona na łóżku, zajmując je całe, tak jak było zawsze, gdy kładła się spać przed Margarita.

Raz jeszcze usiadła przygarbiona, podpierając głowę rękami. Miłość wiązała się z tak cholernym bólem, pomyślała ponuro. Ostatniej nocy Delia krążyła wokół gliniarzy, podchwytyjąc każde zasłyszane słowo; potem wysypała nagromadzone perełki przed Marga-

rita. Kamery nie zarejestrowały żadnego intruza, bo Ari — albo ktoś inny — wyłączył je od wewnątrz. Był ciężko zmasakrowany, do ekspertów należało ustalenie przyczyn, dla których system zabezpieczający nie zatrzymał koła w chwili jego upadku.

Delia uważała, że gliniarze nie uznali tego za wypadek.

Margarita także.

Senny ból powrócił, tak że zadrżała nagle, choć w pomieszczeniu było ciepło, wręcz nieprzyjemnie ciepło. Ari poprosił Katrinę, by przechowała kapsułę. Ktoś pragnął ją zdobyć i zabił go, gdy jej od

niego nie otrzymał. A jeśli ten ktoś dowie się, że teraz mają Katrina? Albo i nie ma? I gdzie właściwie teraz jest, do cholery? Za toaletką? Na dywanie?

Na pewno nie. Katrina zawsze umiała znaleźć wszystkie gubione przez Margaritę drobiazgi — wiedziała, gdzie ich szukać. Gdyby tam była, znalazłaby ją. Margarita zamknęła oczy, starając sobie przypomnieć, gdzie ostatni raz widziała ten przekłety wisiołek. Pamiętała dzień, gdy Katrina przyniosła go do domu; zwrócił jej uwagę, bo był duży i krzykliwy, a Katrina nigdy nie nosiła biżuterii. Prezent, tak powiedziała Katrina. Od Argenta. Zażartowała nawet, że to dobrze, że nie będzie wymagał od niej, by nosiła go podczas tańca.

Prezent, akurat. Margarita westchnęła, przypominając sobie, że Katrina była odrobinę zanadto wesoła, nieco nerwowa, a potem zastanowiła się, czy naprawdę to pamięta, a może to wyobraźnia podsuwa jej te obrazy, korzystając z dokładnej znajomości późniejszych wydarzeń. To było późną wiosną, zaledwie parę tygodni przed pojawieniem się Xii.

Xia. Margarita szeroko otworzyła oczy. Katrina wyszła do studia, bo nigdy nie ćwiczyła przy obcych. Tak więc Margarita i Xia zostały same w mieszkaniu, a Margarita była wtedy zamknięta w sobie, walcząc z chybotliwym gniewem, bo właśnie zaczęła „Kryształową” i chciała nad nią pracować. Bo Xia powiedziała jej, że Michael Tryon jest jej ojcem. Xia przetrząsnęła całe mieszkanie, dotykając wszystkiego, wtykając nos w każdy zakamarek, jak zawsze, jak gdyby mogła zapełnić mierzoną w miesiącach pustkę od swej ostatniej wizyty, wchodząc w fizyczny kontakt z wszystkimi składnikami życia Margarity. Znalazła też ten wisiołek w misce Katriny.

„Michael podarował mi bursztynowy naszyjnik”, powiedziała, unosząc wisiołek Katriny do światła. „Dzieło kogoś z jego przyjaciół — maleńkie krople skamieniałej żywicy nanizane na nic, każda bryłowata i unikalna. Był brzydki, a zarazem wspaniały, a jego centralnym elementem był okruch jednego z jego Kamieni. Zgubiłam go”. Jej pobrużdżona czasem twarz wygładziła się w nierealnie

młodzieńczy sposób. „Pewne sprawy przebiegają przez nasze życie, a my nie mamy nad nimi kontroli, nieważne, co się nam wydaje.

Uwielbiałam ten naszyjnik. Stanowił przypadkowy kawałek jego duszy, być może jedyny, z jakim Michael był gotów się rozstać”.

To wspomnienie drażniło Margaritę. Wtedy Michael Tryon był jedynie obco brzmiącym nazwiskiem, poplątanym węzłem zaskoczenia i złości. „Przypadkowy kawałek jego duszy...” Margarita pokręciła głową, przeganiając z niej Michaela. A jeśli to Xia zabrała ten wisior? Margarita wpatrywała się w biurko Delii niewidzącym wzrokiem. Xia czasami to robiła — zabierała różne przedmioty z jej mieszkania. Zawsze należały do Margarity: butelka wina, jedna z koszul. Była autentycznie wściekła o tę koszulę. „To jej sposób na zabranie ze sobą kawałka ciebie”, uspokajała ją Katrina. „Sama niewiele jej dajesz”.

Dokładnie tak. I nic nie jestem jej dłużna. Margarita zgarbiła ramiona. A jeśli Xia zabrała wisior i sprzedała go? A jeśli go zgubiła? A jeśli człowiek, który wrzucił Ariego Yiassisa w kruszące szczęki maszinerii, wiedział, że Ari dał go Katrinie? Margarita zerwała się na równe nogi, nagle wystraszona, pełna lęku o Katrinę. A jeśli ktoś czekał na nią w ich mieszkaniu? Bez tchu obiegła biurko i uruchomiła terminal Delii.

— Połączenie z Katriną Luomą, pilna wiadomość.

— Łączę — odparł terminal kobiecym, matowym głosem z południowym akcentem. — Bez odpowiedzi, kochana. Chcesz zostawić wiadomość?

— Nie... tak, tak, chcę. — Margarita wzięła szybki oddech, zastanawiając się, gdzie podziało się powietrze z tego pomieszczenia. — Trina, zostań w domu, do czasu aż się zjawię. Koniec. — Otworzyła drzwi, zanim ekran zdążył szernieć, i pobiegła przez ciemną galerię, a jej kroki niosły się echem w głębokiej ciszy.

Ktoś przynajmniej wyłączył te cholerne łańcuchy. Kamień Lustika nie był już oświetlony. Gdy szybkim ruchem dłoni otwierała drzwi, pochwyciła najblidszy szept jego porannej nadziei. Nadziei na co, artysto?, pomyślała ze złością. Ty zarzuciłeś nadzieję, pamiętasz? Wybiegła przez otwierające się drzwi na ciemną ulicę szarzącą zapowiedzią nadciągającego świtu. Budynek między galerią a mieszkaniem zlały się w rozmazaną smugę, nie wiedziała, czy ko-

goś mija, nie obchodziło jej to. Niezdarnie wepchnęła kartę w szczelinę przy głównym wejściu do ich budynku, syknęła przez zęby, gdy stary, zdezelowany czytnik wypluł kartę z niesmakiem. Przy którejś

z kolei próbie przyjął ją wreszcie i odblokował zamek. Margarita wpadła do środka, kierując się ku schodom, choć wyciemnienie już się skończyło. Popędziła po stopniach w górę, jej kroki łomotały na klatce schodowej niczym pomruk burzy. W bezbarwnym blasku rzędów reflektorów nie sposób było odróżnić dnia od nocy. Margarita pięła się wytrwale, oszołomiona nagłą myślą, że cofnęła się do dnia wczorajszego, że lada moment wpadnie na siebie samą pędzącą w ślad za Katriną.

Gdyby tak się stało, miałyby czas na cofnięcie wskazówek zegara? A może utraciła Trinę, zanim jeszcze postawiła nogę na schodach? Żal wypełniał ją, gdy wypadła chwiejnie na swoje piętro. Drzwi klatki schodowej także nie przyjęły jej karty, jak gdyby budynek próbował ją powstrzymać, zniechęcić. Dysząc ciężko, z włosami przylepionymi do spoconego czoła, Margarita włożyła ją ponownie, przesuwając ciężkie drzwi, skoro tylko szczęknął otwierany zamek. Kilka metrów do ich drzwi... chwyciła się framugi, nogi ugiwały się pod nią, otworzyły i wpadła do środka z sercem bijącym niespokojnie, jak gdyby grał na nim obłąkany perkusista.

Czerwień plamiła podłogę. Nie krew — rozlane wino z ostatniej nocy. Łapiąc otwartymi ustami oddech, Margarita oparła się o ścianę. Na wpół opróżniona butelka wina pochwyciła pierwszy nieśmiały promień porannego słońca, zamieniając go w iskry szmaragdowego ognia w swym smukłym wnętrzu. Nie tknięte kieliszki stały na stoliku tam, gdzie je postawiła, obok stosu paluszków. Czy to naprawdę wydarzyło się ostatniej nocy? Margarita rozejrzała się powoli, zdezorientowana, jak gdyby pokój uległ subtelnej przemianie. A może to ona się zmieniła.

— Trina? — Jej imię zabrzmiało blado i niepewnie. — Trina? — Drzwi do sypialni były uchylone, Margarita otworzyła je pospiesznie.

Wytarty koc przykrywał starannie poduszki. Żadnego nieładu, żadnego śladu czyjejś obecności, czy to Katriny, czy też złodzieja szukającego bursztynu. Jak otepiała, Margarita wyciągnęła szufladę

toaletki, w jej piersi narastał nowy lęk — że Katrina w ogóle nie dotarła do domu minionej nocy.

Cóż, ona sama też. Kiepska pociecha.

Margarita zajrzała do szuflady Katriny, zmuszając się do sporządzenia w pamięci listy inwentarzowej bielizny osobistej, poskładanych koszul, zwiniętych rajstop. Paru rzeczy brakowało: zielonej koszuli i czarnych rajstop — tych grubych. Czując lekką ulgę, Margarita pospiesznie przeszła do łazienki. Szczoteczka Katriny także zniknęła. Tak. Margarita wróciła do salonu i przycupnęła na skraju stolika. Czyli wróciła do domu, a potem znowu wyszła.

Była cała.

Ale gdzie? Pochyliła się i puknięciem palca obudziła ekran terminalu.

— Dom, połączenie z Argentem Zeladio, wiadomość osobista, pilna.

— Łączę.

Ekran terminalu zamigotał i przejaśnił się wolno, ukazując śniadą, posępną twarz Argenta. Był wymiętoszony, jak gdyby dopiero co się zbudził albo nawet w ogóle się nie kładł.

— Margarita — powiedział bez entuzjazmu w głosie. Jak gdyby się spodziewał, że zadzwoni.

— Jest u ciebie? — Serce podeszło Margaricie do gardła. — Kontaktowała się z tobą?

— Tak, jest tutaj — przytaknął, z każdą sekundą wyglądając na bardziej zmęczonego i ponurego. — Nie zamierzam pozwolić ci z nią rozmawiać.

— Pierdolę to. — Margarita zacisnęła pięści. — Zawołaj ją.

— Jeśli wpadniesz w histerię — westchnął — rozłączę cię. Decyzja należy do ciebie, kotku.

Ciebie też pierdolę. Ale nie powiedziała tego na głos i z wysiłkiem zapanowała nad emocjami.

— Ta sytuacja cię przerasta, jasne? — Panowała nad głosem, nawet spróbowała uśmiechnąć się zgryźliwie. Bez powodzenia. — Muszę z nią porozmawiać i to zaraz.

— Przykro mi. — Argent potrząsnął głową. — Możesz się

rozłączyć albo posłuchać tego, co mam ci do powiedzenia. Na twoim miejscu bym posłuchał, ale to nie mój problem. Margarita zamknęła oczy, po chwili otworzyła je.

— Trina jest w niebezpieczeństwie. Nie żartuję i nie chcę o tym rozmawiać na publicznym kanale, jasne? Muszę cię odwiedzić. — Spodziewała się uniesionych brwi i sceptycyzmu, lecz jedyną reakcją było zrezygnowane skinięcie głową.

— Opowiedziała mi. — Argent nie uśmiechał się. — Opowiedziała mi wszystko.

Wszystko to, o czym nie wspomniała Margaricie? Margarita zdławiła cisnącą się na usta zgryźliwą uwagę, z wysiłkiem przełknęła jadowite słowa.

— Policja zajmuje się tą sprawą. — Argent westchnął ponownie. — Katrina nie jest podejrzana, ale Ari został zamordowany. Margarita? — Argent zawahał się, zasznurował wargi. — Sprawiasz jej wczoraj wiele bólu.

— Ja? — Margarita wciągnęła z wściekłością powietrze do płuc. — Ja sprawiam jej ból? No, jasne, pewnie tak, pewnie to ja powinienam przeproszać za... — Przerwała w pół słowa, bo raz już to wszystko powiedziała i czuła się po tym jak gówno, a teraz to uczucie jeszcze się spotęgowało.

— Nie twierdę, że i ona ciebie nie skrzywdziła. Myślę, że obie potrzebujecie trochę wolnej przestrzeni wokół siebie. Musicie się zastanowić, co dla siebie nawzajem znaczą, co zostało wczoraj zniszczone i czy będziecie w stanie to naprawić. Wtedy nadejdzie pora na rozmowę. Nie teraz.

— Piękne dzięki, doktorze Zeladio. — Margarita nasyciła swe słowa sarkazmem, lecz nie potrafiła zamaskować nim drżenia głosu. Katrina poskarżyła się Argentowi, szukała pociechy u niego.

Nazwałaś ją kurwą. Margarita z wysiłkiem zapanowała nad mięśniami twarzy, by Argent nie zorientował się, o czym myśli. Powiedziałaś to. Nigdy nie cofniesz tych słów. Oczywiście że poszła do Argenta...

Byłoby jej łatwiej, gdyby się na nią pieklił.

— Posłuchaj, powiedz jej... — Co? Że wszystko znów jest

w porządku? No, dobrze, kupiłaś mi dupą miejsce w galerii. Bo nie wierzyłaś we mnie? Katrina, myślałam, że akurat ty wierzysz. Może nikt inny, ale przynajmniej ty... — Jeśli chce wrócić do mieszkania, wyjeżdżam na jakiś czas. Nie będę więc się jej plątać pod nogami.

— Rzuciła te słowa w stronę ekranu, twarde jak kamienie, niepewna, w kogo są wymierzone: Argenta czy Katrinę, która zapewne przysłuchiwała się ich rozmowie. — Do zobaczenia.

— Poczekaj. — Argent zmierzył ją piorunującym spojrzeniem.

— Nie podoba mi się to, że tkwię w samym środku tego gówna. Robię to dlatego, że Katrina bardzo wiele dla mnie znaczy, jako przyjaciółka i jako zabójcza tancerka. I widzę, jak ze sobą zrywacie w sytuacji, kiedy wcale nie musi do tego dojść. Nie chcę, żeby do tego doszło, ale jeśli same się z tym nie uporacie, tak właśnie się

stanie. Jeśli wam zależy, popracujcie nad tym.

Ekran zgasł. Margarita wpatrywała się w powidok rozzłoszczonej twarzy Argenta falujący na tle ściany pokoju. Nigdy nie widziała, by Argent złościł się poza studium. Tam jego złość stanowiła narzędzie, używany z wprawą skalpel, którym cyzelował grę tancerza w stronę ideału.

Tym razem nie bardzo panował nad złością. I mylił się. Powrót do dnia wczorajszego był niemożliwy, a przynajmniej ona nie potrafiła dostrzec żadnej drogi, która by tam prowadziła. Margarita stwierdziła, że wpatruje się w blat stolika, we własne zniekształcone odbicie w głębi lśniącego lakieru. Matczyna, kochająca tancerka Katrina. Margarita westchnęła ciężko. Xia musiała wspomnieć, że była tancerką, może kiedy Margarita była jeszcze mała. Albo Ti'a Elena powiedziała coś na ten temat. Niewątpliwie. A ona to zapomniała, upchnęła wraz ze wszystkimi innymi okruchami informacji, które słyszy się w dzieciństwie, a które nic dla człowieka nie znaczą.

A potem, po latach, zakochała się w tancerce, kochającej, matczynej kobiecie stanowiącej przeciwieństwo Xii Quejaches. Czy to dlatego? Margarita spoglądała na wykrzywione odbicie swej twarzy. Czy to dlatego wylądowała w łóżku Katriny przed dwoma laty? Miała prawie dwadzieścia lat, była tak pewna siebie i swego talentu.

Czego potrzebowałaś, Margarito Espinoza? Kochanki? A może matki?

Margarita uniosła głowę, zmęczenie i napięcie przebijały jej ciało igłami wędrującego chaotycznie bólu. Musiała odnaleźć Xię. Może nadal miała jeszcze wisior, który oznaczałby bezpieczeństwo Katriny. Bez względu na ślepą pewność, z jaką Argent ufał glinom, Margarita nie podzielała jego wiary.

Poza tym musiała spojrzeć matce w oczy i przekonać się, czy ujrzy w nich Katrinę. A jeśli tak? Margarita kręciła głową tak długo, aż niesforne kosmyki zaczęły smagać ją po policzkach. Jak, do cholery, miała odszukać Xię — od czego miała zacząć? Xia dopiero co się tu pokazała, przywiozła ze sobą opowieści o nowym mieście, nowej trasie przez pchle targi i centra handlowe, gdzie przepowiadała ludziom przyszłość w stylu będącym skrzyżowaniem sztuki z oszustwem, nie mającym wiele wspólnego z magią. Xia cyganka. Xia widmo. Równie dobrze mogła szukać wiatru w polu, psiakrew.

Ale Michael Tryon ją odszukał. Margarita znieruchomiała. Tak, ale ją nietrudno było znaleźć. I zamierzał szukać Xii. Była gotowa dać za to głowę — mało tego, zamierzała to zrobić.

Może nawet ryzykując życie Katriny.

Nie chciała mieć więcej do czynienia z Michaelem Tryonem.

Jego obecność w ich mieszkaniu wywołała trzęsienie ziemi, poruszając z fundamentów sprawy, które uważała za pewne i stabilne. I może teraz nie będzie go łatwiej znaleźć od Xii. Może jego przyjaciel będzie wiedział, gdzie jest. Jak on się nazywał? Ze zmarszczonym czołem Margarita sięgnęła po paluszką. Andy coś tam... Andy... Rodriguez? Tak, to brzmiało właściwie. On nie miał powodów, by się ukrywać; od niego powinna zacząć. Stare ciasto rozsypało się jej między zębami, rozpadając na okruchy o ostrych krawędziach. Przełknęła je, zrobiła sobie kubek rozpuszczalnej kawy i zjadła jeszcze dwa paluszki, jednocześnie łącząc się z okolicznymi hotelami.

Znaleźć Rodrigueza było łatwo — zatrzymał się w hotelu zaledwie parę przecznic od jej mieszkania. Jak gdyby czekali na to, by zaczęła go szukać. Margarita skrzywiła się, wygasiała ekran i spakowała parę rzeczy do torby. Potem zgarnęła okruchy ze stolika,

wyczyściła płamę po winie, umyła i pochowała naczynia. Tak by Katrina nie musiała tego robić. Stojąc w drzwiach, ostatni raz omiotła mieszkanie spojrzeniem.

Wyglądało bezbarwnie i nierzeczywiście, niczym zdjęcie ze starego albumu. Wspomnienie przeszłości. Czy mogła odgiąć róg tego zdjęcia, by znaleźć tam posmarowany klejem karton? Marganta obróciła się na pięcie i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

— Hej, tam! Halo!
Michael podskoczył.

— Przepraszam, Andy. — Odwrócił się od okna, cień migreny pulsował mu u nasady czaszki. — Co mówiłeś?

— Myślę sobie, że moglibyśmy już powoli ruszyć w stronę przystani. — Andy uniósł brew. — Jeszcze godzina i będziemy musieli zapłacić za kolejną dobę. Ja wolałbym tego uniknąć. Wszystko w porządku? — Zmrużył oczy. — Zachowujesz się trochę dziwnie.

— Wiem. — Michael znowu popatrzył za okno, na rozświetloną słońcem ulicę. — W mojej głowie jest ta... zasłona. A może nie w mojej głowie, ale istnieje. Tam po drugiej stronie coś jest. Mógłbym wyciągnąć rękę, odsunąć ją i spojrzeć. Tylko że się tego boję. — Bo tam mogłaby czekać jedynie bezkresna noc i nic więcej? A może bo tam mogłoby być... wszystko?

Zerknął na Andy'ego i zaczerwienił się.

— Tak, pewnie mi trochę odbija.

— To całkiem prawdopodobne — powiedział Andy, przeciągając samogłoski. — Nie wykluczałbym tego.

— Cóż, przynajmniej jesteś szczery. — Michael uśmiechnął się do niego półgębkiem, lecz zaraz spoważniał. — Czasami nie wydaje mi się, żebym to ja był po drugiej stronie tej zasłony, to znaczy mój obłąd. Wydaje mi się, że to... ktoś inny. Czy dostrzegasz w tym jakiś sens?

— Nie.

— Ani ja. — Michael stłumił westchnienie, bo prawie uwierzył w to wyjaśnienie. Gdyby nie to uczucie odmienności. Gdybym to był ja, zorientowałbym się, pomyślał. Czyżby? Może na tym polegał

obłąd, stawanie się prawdziwie obcym dla samego siebie. Uniósł gwałtownie ramiona do góry, potem opuścił je. — Chodźmy odwiedzić pana Hawka Dannersa. Może on zdoła trochę to rozjaśnić.

— Może — odparł bez przekonania w głosie Andy. Terminal zadzwonił, na ekranie pojawił się symbol telefonu

w czerwonej obwódce — połączenie w czasie rzeczywistym. Michael zmarszczył się i odsunął poza zasięg kamery, podczas gdy Andy sięgnął do ekranu. Gliny? Stłumił wzbierający gwałtownie niepokój. Dlaczego gliny miałyby podejrzewać, że zadaje się z kochankiem S'Wanny? Zmrużył powieki, gdy na ekranie pojawiła się kobieca twarz. Margarita.

— Panie Rodriguez, szukam... Michaela Tryona. Czy wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

— Eee... — Andy posłał pytające spojrzenie w stronę Michaela. — Może wejdzie pani na górę? — zaproponował, widząc, że Michael kiwa twierdząco głową.

Twarz Margarity zakrzepła w maskę czujności i Michael niemalże wyskoczył przed kamerę, by ją uspokoić. Ale nie zrobił tego, bo musiał porozmawiać z Dannersem, a gliny mogły monitorować rozmowy Andy'ego. Być może. Tak więc stał nieruchomo, wstrzymując oddech.

— Dobrze. — Na ekranie Margarita skinęła szybko głową. — Który pokój?

— Osiemset czwarty. Po wyjściu z windy proszę skrócić w prawo. — Andy uśmiechnął się do niej i zsalutował kpiąco. — Do zobaczenia za parę minut. — Przewróceniem oczu pozdrowił pusty ekran i wyszczerzył się do Michaela. — Wypuściłeś na wolność całkiem udany fragment DNA. Ale mnie nie musi się obawiać, nie

z tymi ramionami. No, chyba że wystosuje zaproszenie na perfumowanym papierze.

Dlaczego go odszukała? Michael przyłapał się na wpatrywaniu w drzwi i zmusił się do spojrzenia w bok.

— Wiesz co, ona wcale ciebie nie przypomina. — Andy uniósł jedną brew. — Z wyjątkiem nosa. Może szczęki. Prezentuje się znacznie lepiej od ciebie.

Zbity z tropu Michael sapnął i dokładnie w tej samej chwili ktoś zastukał do drzwi.

Na ekranie pojawiła się twarz Margarity. Wpatrywała się w drzwi, naścienna kamera pokazywała jej twarz z profilu. Robiła wrażenie spiętej. Cóż, on sam tak właśnie się czuł. Michael wziął powolny oddech, a Andy otworzył drzwi.

Weszła do pokoju, całą uwagę poświęcając Andy'emu, jeszcze go nie dostrzegając. Wyglądała kiepsko. Cienie zalegały jej pod oczami, jak gdyby nie spała ostatniej nocy, miała wymizerowaną twarz.

— Margarita?

Drgnęła na dźwięk jego głosu, obróciła gwałtownie głowę, otwierając szeroko oczy.

— Nie... nie wiedziałam, że tu jesteś.

— Nadal staram się nikomu nie rzucić w oczy. — Przyglądał się jej twarzy, myśląc, że mógł ją wykorzystać, by dodać mroczną nutę bolesnego żalu do któregoś z Kamieni. — Nawet jeśli gliny chcą tylko mnie przesłuchać, i tak nielecho mi się oberwie za tamtą ucieczkę. Margarita? — Wyciągnął ku niej rękę, poruszony cierpieniem malującym się na jej twarzy. — Co się stało? — Odsunęła się, gdy ją dotknął, cofnął więc rękę. — Co się dzieje? — zapytał łagodnym tonem.

— Nic. To znaczy... — Przez jej twarz przebiegł skurcz, zastygając w nieruchomą maskę. — To długa historia, jasne? Chciałam cię odszukać, by zapytać, czy już odnalazłeś Xię. Wiesz, gdzie teraz jest?

O, tak, działo się coś złego. Bardzo złego.

— Nie. Przykro mi. Nawet nie zacząłem jej szukać.

— Kurwa. — Opuściła głowę, krótko obcięte włosy opadły i ukryły jej wyraz twarzy.

Andy odchrząknął.

— Nie chciałbym wam przerywać, ale mieliśmy się właśnie wymeldować. Może dokończylibyście tę rozmowę w lobby czy co?

— Dokąd idziecie? — Margarita podniosła szybko głowę, w jej zwężonych oczach zalegał mrok.

Może nie uwierzyła w to, co powiedział o Xii.

— Odwiedzić rzeźbiarza Hawka Dannersa — odparł Michael.

— W związku z tymi... samobójstwami. A potem zacznę szukać Xii.

— Oczy Margarity zalsniły na dźwięk jej imienia. — Może wybierzesz się z nami? — zapytał pospiesznie. Nagle się wystraszył, że straci ją z oczu. Gdyby tak się stało, pomyślał w chwili strasznej, przelotnej pewności, zniknie tak jak przed nią Xia. — Nie sądzę, by Danners miał coś przeciw temu — dodał, choć wcale nie miał takiej pewności. Wstrzymał oddech, spodziewając się, że Margarita zjeży się i odmówi, lecz ona, ku jego zdziwieniu, pokiwała głową.

— Czemu nie — powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała taka gorycz, że Andy skwitował to uniesieniem brwi.

— Lepiej zadzwoń do Katriny. — Tym razem nie zapomniał jej imienia. — Hawk jest... odludkiem. Nie mamy żadnej gwarancji, że udostępni nam wyjście na zewnątrz w swojej kopule.

— Nie muszę dzwonić. — Umknęła przed nim wzrokiem. — Nie martw się o to.

Teraz rozpoznał ten ton; do ilu Kamieni dodawał go w przeszłości? Utrata i miłość — stanowiły nieodłączną część każdego człowieka. Jak gdyby jedno nie mogło istnieć bez drugiego... Nie umiemy kochać, pomyślał Michael, przesyty nagłym smutkiem. Może na tym polegał następny krok w ewolucji człowieka: umiejętność kochania i przyjmowania miłości.

— Twoje towarzystwo będzie dla mnie przyjemnością — powiedział cicho i tym razem nie próbował jej dotknąć.

— Nie ma sprawy. — Jej usta zadrżały, a potem przeszła obok niego, wychodząc na korytarz.

Andy z przesadną ekspresją udał, że wzdycha ciężko, i przesu-

nął kartą przez czytnik obok ekranu, by zapłacić za pokój. Michael uznał, że podziela tę opinię, podążając w ślad za nim na korytarz. Margarita czekała na nich oparta o ścianę, z ramionami splecionymi na piersiach. Na ich widok wyprostowała się, spoglądając Michaelowi prosto w twarz, i podała mu papierową kopertę.

— Odebrałam to po drodze. Uznałam, że lepiej będzie wyjaśnić wszystko do końca.

Skonsternowany Michael wziął kopertę do ręki. Była opatrzona certyfikatem laboratorium. Rozerwał ją kciukiem, drąc papier i krusząc grudki kleju. Schowana w niej złożona kopia oficjalnego dokumentu również zaopatrzona była w pieczęcie i notarialne poświadczenia — analiza ludzkiego DNA. Sporządzona dla Margarity Theresy Espinozy.

— Nie musiałaś robić tego akurat dziś rano — powiedział, gdyż słowa grzęzły mu w gardle i tylko te zdołały wyrwać się na wolność. A potem — Xia powiedziała mi kiedyś, że jej matka miała na imię Theresa. Twierdziła, że to brzydkie imię.

— Nadała mi je Tfa Elena. — Te ciemne oczy spoglądały na niego wyzywająco. — Kiedy mnie adoptowała. Zrobiłam sobie to badanie w zeszłym roku latem. Zabrałam wyniki do Albuquerque, bo zakładałam, że będziesz chciał je obejrzeć. A potem... — Wzruszyła ramionami. — Zmieniłam zdanie.

Chris chciała, żeby zażądał tego dokumentu. Michael bardzo starannie złożył cienki papier i wsunął go do kieszeni tuniki.

— Dlaczego zmieniłaś zdanie? — zapytał cicho.

Andy ściągnął windę i czekał na nich zniecierpliwiony, przytrzymując drzwi.

Margarita wzruszyła ramionami i weszła do kabiny.

— Uznałam, że to nie ma znaczenia — powiedziała przez ramię. — Ty dostarczyłeś swojego DNA^{to} wszystko. O ile w ogóle tak było. Cokolwiek było między Xią i tobą, nigdy nie miało nic wspólnego ze mną. Czemu miałabym się ciebie czepiać?

Choć raz w jej głosie nie było wrogości. Była autentycznie zakłopotana. To bolało. Michael wsiadł do windy w ślad za nią, jego pierś ścisnęła imadło bólu. Miała rację. Jakie znaczenie miało to, że powstała z chwili nieświadomej namiętności? Jakie prawo to mu dawało? Jakiegokolwiek? Żadne? Czemu miałaby się go czepiać? Andy gwizdał cicho przez zęby, wpatrując się w lustrzany sufit zjeżdżającej w dół windy. Margarita stała sztywno, wbijając wzrok

w drzwi, starannie panując nad sobą. Myślałem o niej jako o mojej, stwierdził Michael i skrzywił się. Nie była jego. Chyba że sama o tym zdecyduje. A ona nie zdecydowała — jeszcze. Może nigdy. Dopiero co mu to powiedziała.

Chciał, by zdecydowała. Pragnął, by była jego. Wstrząśnięty tym nagłym objawieniem, Michael powoli odwrócił dłonie, przyglądając się wyżłobionym na nich liniom. Odpowiadały wielu latom, bez względu na młodzieńczą skórę, którą zawdzięczał serwisom i zabiegom. Czy to jego własna śmiertelność nie dawała mu spokoju? Szmer kroków śmierci skradającej się za jego plecami — czy to właśnie czekało po drugiej stronie zasłony?

Nasze dzieci zawsze dźwigają brzemień naszej śmiertelności, pomyślał Michael. Pochylił głowę, gdy winda zwolniła i zatrzymała się cicho. Czasami było to nieuczciwie wielkie brzemień. Może nawet w większości przypadków. Może zawsze. Z westchnieniem zanurzył się w pogodnym, sztucznym świetle wyłożonego dywanami lobby. To nie jego brzemień spoczywało na jej barkach, pomyślał, wychodząc z hotelu. Nawet gdyby chciała je przyjąć.

Na zewnątrz Andy zatrzymał taksówkę. Wpakowali się do środka i Michael wylądował przyciśnięty do Margarity. Wciąż była sztywna, a jej mięśnie twarde i napięte, podczas gdy taksówka przemykała zygzakiem przez zatłoczone ulice. Czego symbolem jestem w twoich oczach?, chciał ją zapytać. Porzucenie? Czy byłem przez wszystkie te lata ośrodkiem twego gniewu? Andy wyglądał przez okno. Stara się zostawić nas samych, domyślił się Michael. Na wypadek gdybyśmy chcieli porozmawiać. Nie miał nic do powiedzenia, a może wszystko, lecz wewnątrz taksówki zmuszało do milczenia. Zastygło wokół nich niczym martwa woda, tak że jedynym słyszalnym dźwiękiem był szmer klimatyzacji.

— Przystań Bayside. — Niski, starszawy taksówkarz zahamował przy bramie ze stalowej siatki, wbudowanej w pełen gracji kamienny mur. Przyglądał się im uważnie z przechyloną głową.

Jego chuda szyja i wąski nos przywodziły Michaelowi na myśl ptaka, może drozda, nasłuchującego odgłosów przesuwanego się w ziemi robaka. Jego skóra była ciemna niczym stara podeszwa, jak

gdyby spędził większość życia na słońcu i wietrze. Michaela naszła nagła ochota, by zapytać go, czy ma dzieci. Co one dla ciebie znaczą? Co w nich widzisz? Swoją nieśmiertelność? Zatrzasnął drzwi taksówki i odwrócił się do niej plecami.

— Czasami wydaje mi się, że jesteśmy jedynie nośnikami naszego DNA — powiedział w zamyśleniu. — Kultura, sztuka, miłość, wojna: to wszystko jest wtórne, przypadek bez większego znaczenia.

Andy zerknął na niego.

— Coś w tym może być, wiesz? — Jego głos zabarwiła ironia.

— I jest to cholernie przygnębiająca myśl.

Margarita posłała Michaelowi szybkie, dosyć zaskoczone spojrzenie, oddalając się w ślad za nimi od taksówki. Jakie znaczenie miały dla niej te słowa?, zastanowił się. Zatrzymał się wprost przed ekranem wbudowanym w mur przy ohydnej bramie. Kamienie nie były prawdziwe; podróbki wysokiej jakości wykonane z silikobetonu. Poranne słońce migotało w okruchach szkła i metalu zatopionych niczym kły w szczycie muru, cienki, czarny drut biegł wzdłuż jego wewnętrznej krawędzi. Pod napięciem? A więc jeśli nie pochlastasz się na szkle, zawsze możesz się usmażyć?

— Życie jest tanie — mruknęła Margarita. Stała obok niego i powiodła wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem. — Przynajmniej w porównaniu z ceną łodzi. — Spojrzała mu prosto w oczy i zaraz odwróciła wzrok. — Po co tu przyjechaliśmy?

Michael skrzywił się, wyczuwając nutę goryczy w jej słowach.

— Hawk Danners obiecał, że przyśle po nas swoją łódź. Pracuje w podmorskiej kopule w głębi zatoki, za Alcatraz. — Uniósł dłoń, by dotknąć matowej powierzchni ekranu.

Ten rozjaśnił się niezwłocznie i jasnowłosy młodzieniec, zbyt doskonały, by był prawdziwy, powitał ich uśmiechem.

— Witajcie na przystani Bayside — powiedział radośnie. — Jesteście na terenie prywatnym. Proszę włożyć kartę dla uzyskania dostępu.

— Jestem Michael Tryon, gość Hawka Dannersa. Elektroniczny uśmiech młodzieńca zamarł na dwa uderzenia serca, podczas gdy komputer przeszukiwał swoją bazę danych. Czyżby

Danners zagrał sobie z nimi po chamsku?, zastanowił się Michael. Zabawił się w prywatną grę?

— Zapraszam do środka. — Stalowa brama zaczęła się otwierać z łoskotem. — Łódź pana Dannersa stoi na pochylni numer 37A, molo C. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, proszę dotknąć dowolnego ekranu. Życzę udanej wizyty. — Twarz zniknęła z ekranu.

Przystań była olbrzymia, kosztownie wyposażona, wymodelowana na kształt japońskiego żwirowego ogrodu. Dróżki wyłożone były prawdziwym kamieniem, między nimi na równych stosach leżały wyrzucone przez morze kawałki zszarzałego drewna. Znaki zaprowadziły ich na molo C; pochylnia 37A znajdowała się przy

końcu pływającego pomostu. Michael szedł wolno, czując się niepewnie, bo pod stopami miał kołyszący się wolno dok. Oddychał powoli, rozkoszując się wilgotnym piaskiem przybrzeża, przygotowanym ostrą wonią paliwa, świeżej farby i odległym zapachem smażonej cebuli. Na pochylni Dannersa stał ścigacz; na garbie łodzi podwodnej leżała wygodnie drobna kobieta ubrana wyłącznie w wyblakły, zielony dół od bikini. Na ich widok usiadła, ignorując nagość swych piersi i ostre wierzganie ścigacza. Bez pośpiechu przyjrzała się im po kolei uważnym wzrokiem, mierząc ich od stóp do głów.

— Ty jesteś Tryon? — zapytała w końcu Michaela.

— Tak. — Skinął głową, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, by zneutralizować ruchy doku. Rysy twarzy miała europejskie, lecz jej skóra była czarna od słońca. Niemalże białe włosy splecione były w setki spiętych paciorkami warkoczyków, które zadźwięzwały i zagrzechotały, gdy się podniosła. — Nabawisz się raka skóry od tego słońca. — Wskazał ruchem głowy niebo.

— A kto cię pytał? — Wzruszyła ramionami i z luku ścigacza wyciągnęła koszulę. — Wskakujcie na pokład. Uwaga na głowy przy wsiadaniu, to nie jest rejs wycieczkowy po zatoce. — Zagłębiła się w luku i zniknęła we wnętrzu łodzi.

Andy posłał Michaelowi rozbawione spojrzenie, potem zasalutował mu kpiarsko i wgramolił się po drabince przymocowanej do burty ścigacza. Michael spozjrzał za nim ze zmarszczonym czołem,

zaniepokojony bez powodu. Wzruszył nerwowo ramionami i cofnął się, puszczając Margaritę przodem. Wspięła się powoli, kostki jej dłoni zbieleły, kiedy ścisnęła metalowe szczeble, beznamiętnie przetrzuciła nogi przez krawędź luku. Michael wspiął się za nią, ścisnęło go trochę w żołądku, gdy ścigacz opadał i unosił się pod nim. Świetnie. Wziął szybki oddech, a jego ciało oblał lepki pot. Łapiąc się krawędzi luku, zsunął się po wewnętrznej drabince, starając się ignorować skoki horyzontu.

Andy przytrzymał go, gdy wycofał się tyłem na pokład.

— Dosyć tu ciasno. — Wskazał ruchem głowy bliźniacze fotele wypełniające większość przestrzeni pasażerskiej. — Nie wygląda na to, by urządzał tu wiele imprez.

Michael spozjrzał przed siebie, z konieczności skulony.

— Chyba zaraz zrobi mi się niedobrze.

Opalona kobieta usadowiona przed konsolą sterowniczą posłała mu szybkie, zirytowane spojrzenie.

— O, nie, nie tutaj. — Sięgnęła do miniaturowej szafki. — Przyjmij to, siadaj i powstrzymaj to. — Rzuciła mu coś i zaczęła nakładać sięgające po łokcie wirtualne rękawice. — Kiedy się zanurzymy, uspokoi się.

Michael złapał w powietrzu rzucony mu przedmiot — plaster medyczny zapakowany w plastik. Z wdzięcznością ściągnął opakowanie, marszcząc nos, gdy poczuł ostry zapach nośnika. Plaster zaswędziało przelotnie, gdy przykleił go na wysokości tętnicy szyjnej, potem rozgrzał się.

Margarita musnęła dłonią jego ramię.

— Dasz sobie radę?

— Mam nadzieję. — Lekarstwo już zdążyło złagodzić najgorsze objawy nudności. Andy, siedzący w jednym z foteli, przypatrywał się uważnie kobiecie pilotującej ścigacza.

— Usiądź. — Michael wskazał jej wolne miejsce. — Chyba będzie mi lepiej na podłodze. — Usiadł niezgrabnie, opierając się plecami o kadłub, podczas gdy kobieta odpaliła silniki ścigacza. Ich szum wypełnił wnętrze łodzi, przeniknął w głąb jego ciała i kości, łagodząc nękające go dolegliwości. Sterniczka rozłożyła ręce w re-

kawicach, a ścigacz odsunął się od doku, by zaraz zanurzyć się, kiedy je opuściła. Pstryknięcie palcami włączyło zamocowane na kadłubie reflektory i żółte światło rozjaśniło gęstniejący mrok. Przechyliła dłoń w bok, a ścigacz wykonał płynny skręt.

Grała na ścigaczu niczym na instrumencie, tańcząc wraz z łodzią. I miała rację co do ruchu. Michael patrzył jej ponad ramieniem, oddychając z ulgą, gdy ustało kołysanie fal. Ławica srebrnych ryb rozproszyła się w panice, gdy ścigacz wpłynął w jej środek, a szara smuga na skraju kręgu światła mogła być rekinem.

Olbrzymi garb nadbrzeża przesunął się obok łodzi, przy powierzchni pokryty grubą warstwą brązowych małży. Korallowce kołysały pierzastymi pomarańczowymi wachlarzami pomiędzy małżami, pomarańczowa rozgwiazda wielkości talerza uniosła jedno ramię, jak gdyby machając w stronę ścigacza. Lecz to twarz Margarity przyciągnęła wzrok Michaela. Pochyliła się w swym fotelu, oddychając wolno, wyglądała na wniebowziętą. Co takiego widziała? Michael oplótł rękoma kolana i oparł podbródek o przedramię. Jakie znaczenie odkrywała w pomarańczowych korallowcach? Jakie wizje destylowała z rozświetlonych pasm wodorostów i poruszeń wystraszonych ryb?

— Jesteśmy obcy, tu na dole. O grubość kadłuba od śmierci. —

Zamknął na moment oczy, czując pot swego strachu, ledwie zauważalne napięcie Andy'ego, znudzenie sterniczki. A Margarita? Otworzył się tak, jakby była Kamieniem, poczuł... podniecenie? Przypomniawszy sobie, jak się czuł, pracując nad Kamieniem Lata czy Kamieniem Powietrza. Poczucie siły? To o to chodziło? Potrząsnął głową, szukając tamtego uczucia, próbując je wskrzesić. Wymykało mu się tak, jak ryby wymykały się snopom reflektorów ścigacza, pozostawiając oczom jedynie błysk srebrzystych płetw i rybokształtny powidok. Kiedyś tak właśnie się czułem, pomyślał Michael. Zanim to stało się dla mnie jedynie zajęciem.

Zanim zabrakło mi duszy, Estevanie?

— Co widzisz? — zapytał Margaritę i tylko ją. — Co to dla ciebie znaczy?

Odwróciła się, jej oczy lśniły, wargi rozchyliły się.

Potem opuściła powieki, czujność opadła na jej twarz niczym maska.

— To coś... odmiennego. Nigdy dotąd nie przebywałam pod wodą.

Unik. Prawie mu powiedziała. Michael zwalczył bolesny skurcz. Potrzebowałem tego, byś powiedziała mi, co czujesz, przypomniawszy mi o tym, powiedział bez słów. Nie wiem, czy umiem jeszcze tak odczuwać.

A jeśli to były samobójstwa? Michael zadrżał. Straciłeś równowagę na krawędzi peronu, Estevanie? To naprawdę był wypadek? Ostrożnie oparł czoło o ramiona, przez ciemność wplecioną w czerwoną pajęczynę pod powiekami prześlizgiwały się obrazy. A jeśli dusza stanowiła skończoną wartość? Co pozostawało po wylaniu ostatnich szumowin duszy?

Ciemność?

Dotyk na jego ramieniu przepłoszył myśli. Uniósł głowę i ujrzał przed sobą twarz Margarity.

— Nic ci nie jest? — W jej oczach nadal lśniła ta sama wizja. Wizja, którą nie chciała się podzielić, może... coś, czego nie potrafił już pojąć.

— Chyba tak. — Roztarł swe nagie ramiona, czując pod palcami gęsią skórę. — Ale nie jestem pewien.

— Nie mówisz o chorobie morskiej, prawda? — Jej spojrzenie

nie chciało go uwolnić. — Jesteś chory? Umierasz może? To dlatego szukałeś Xii i mnie?

Umieram? Zmarszczył czoło, wychwytyjąc w jej głosie wyzywający ton, który wszakże przykrywał inną nutę — odległy, cichy głos dziecka.

— Wszyscy umieramy, nieprawdaż? Ale nie, to żadna odpowiedź. — Posłał jej krzywy uśmiech. — Nie przypuszczam, bym umierał w szybszym tempie niż inni. — Przegnał wspomnienie swych mrocznych koszmarów w najgłębsze zakamarki umysłu. O-błąd stanowił pewną formę śmierci. — Nie jestem pewien, dlaczego cię odszukałem — powiedział powoli. — Chyba dlatego, że dzięki tobie dostrzegłem, jak zamieram w bezruchu. Staję się jeszcze jed-

nym Kamieniem. — Uciekł wzrokiem przed jej milczeniem, by spojrzeć na galaktykę migoczących plamek tańczącą w świetle reflektora. — Pozwoliłem światu, by omijał mnie w swym biegu. Ukrywałem się w moim ogrodzie, przyciskając do piersi wypucowane, zadbane wspomnienia niczym wystraszonego dzieciaka. — Westchnął głośno. — Przerażasz mnie — przyznał. — Zburzyłaś moje znajome, bezpieczne mury swoim listem. Wpuściłaś do środka słońce. — Wskazał głową na iluminator, gdzie przefiltrowane, niebieskozielone światło zastąpiło ostry blask reflektorów. — Chyba jesteśmy na miejscu.

Ścigacz wynurzył się pianie srebrzystych pęcherzyków powietrza i rozszczępionego światła. Przez iluminator Michael dostrzegł falujące wolno wstęgi wodorostów i molo z plastikowej siatki. Podniósł się powoli, chwytając się drabinki, gdy nagły zawrót głowy poruszył pokładem pod jego stopami.

— Te prochy czasami potrafią człowieka ogłupić — powiedziała sterniczka i na powrót zajęła się ściąganiem rękawic. — Lepsze to niż wyrzucanie własnych flaków.

— Dasz radę się wspinać? — Margarita chwyciła go za ramię nad łokciem, wspierając go masą swego ciała.

— Chyba tak. — Potrząsnął głową, lecz osiągnął tyle, że wnętrze ścigacza zaczęło dziwacznie falować. Wspiął się ostrożnie, sprawdzając każdy uchwyt przed przesunięciem dłoni, świadom bliskości postępującej tuż za nim Margarity.

Ścigacz uderzał delikatnie o widziane wcześniej przez iluminator molo. Zszedł na nie, z ulgą witając jego stabilność; nieważne, że narkotyk poradził sobie z nudnościami. Wynurzyli się w niewielkiej, przykrytej kopułą komnacie, niewiele większej od ścigacza. Powietrze było tu chłodne, przesycone zapachem morza i szmerem wody. Ściany były przezroczyste, półmrok płycizny nad ich głowami lśnił

odbiciami ścigacza i ich samych. Margarita zeskoczyła lekko na molo i Michael przyjął jej dłoń, wdzięczny za pewny uścisk, nieco zaskoczony jej nagłą troską. Andy schodził z łodzi parę kroków za nimi z torbą przewieszoną przez ramię, twarzą nieprzeniknioną i zamyśloną.

— A więc jednak przyjechałeś. — Zza ich pleców zadudnił głos Hawka Dannersa.

Wszyscy obrócili się, zaskoczeni jego natężeniem. Michael na mgnienie oka wgapiał się w puste molo, potem obrócił się szybko z powrotem, w chwili gdy Danners wyłaniał się z drzwi ukrytych w ścianie kopuły kilka metrów dalej.

— Przepraszam, nie umiem się temu oprzeć. — Z szerokim uśmiechem ruszył w ich stronę niezgrabnym, kulejącym krokiem, pasującym do jego nieproporcjonalnego ciała. — Ale nie pozwoliłem ci na zabranie bagażu. Co to za jeden? — Kiwnął głową w stronę Andy'ego, jakby ten był uwiązany na smyczy psem.

— Andy Rodriguez, poznaj Hawka Dannersa — powiedział gładko Michael. Nie zapomniał o zagrywkach Dannersa. — Andy jest częścią opowieści, którą zamierzałem się z tobą podzielić. — I chuj z tobą, Hawk. Michael nie przestawał się uśmiechać. Jeśli Dannersowi udało się ciebie rozzłościć, wygrywał, a ty przegrywałeś.

— Jej obecności nie musisz tłumaczyć. — Ignorując Andy'ego, Danners zrobił szybki krok naprzód i ujął Margaritę pod brodę. — Jak możesz znosić takiego starego capa jak on, kotku? Nawet kiedy był młodszy, można było trafić o wiele lepiej.

Michael spał się, jakaś część jego umysłu oczekiwała, że Margarita poczęstuje go zaraz kopniakiem w jaja. Był zły na siebie, że nie przyszło mu do głowy, by ostrzec ją przed Dannersem. Lecz ona nie odsunęła się, nie odezwała ani słowem. Jedyne spoglądała na niego z łagodnym niesmakiem, jak gdyby odwróciła kamień, by znaleźć pod nim kłębowisko tłustych, bladoszarych larw. Nieźle, choć Danners zapewne był wystarczająco wrażliwy, by wyczuć ukryty pod tą pozą gniew.

— Hawk, pozwól, że ci przedstawię moją córkę, Margaritę Espinozę. — „Moją córkę”, nigdy przedtem nie powiedział tego na głos.

— Córkę, he? — Danners puścił ją wreszcie. — Urody to po tobie nie odziedziczyła. — Jeśli nawet był rozczarowany czy zirytowany brakiem reakcji z jej strony, nie dał tego po sobie poznać. —

Prawdę powiedziawszy, zastaliście mnie przy pracy. Możecie się

rozpakować. — W końcu zechciał zauważyć obecność Andy'ego i skinął lekko głową w jego stronę. — Pokażę wam pokój gościnny. Nie spodziewałem się, że przywieziesz gości, a to nie jest hotel. — Posłał Michaelowi szybkie, zgryźliwe spojrzenie. — Będziecie mieli okazję pobić się o prawo do łóżka.

— W porządku. — Michael skinął głową.

— Jeśli chcesz, możesz się przypatrywać sesji. Kto wie, może nauczysz się czegoś nowego. — Danners wyszczerzył zęby wyzywająco. Niewidzialna rękawica uderzyła z brzękiem o podłogę.

— Nie mogę się doczekać. — Michael odwzajemnił jego uśmiech. To gra dla dwóch osób, Hawk.

— Bomba. — Grube palce Hawka Dannersa zacisnęły się na przedramieniu Michaela, delikatne, lecz mocne niczym ze stali. — Wy dwoje, cześć mieszkalna jest za tymi drzwiami. — Wskazał im kierunek brodą. — Podupczcie se albo zróbcie sobie coś do jedzenia, wszystko jedno. Byleście nam nie przeszkadzali. Zajrzemy do was później. — Obdarował Michaela krzywym, zapalczywym uśmiechem. — Moja pracownia jest na samym dnie. Chodźmy.

Rozdział ósmy

Podmorska pracownia Dannersa zbudowana była z grona poliglasowych kul zakotwiczonych tuż za rafą Alcatraz. Rafa, utworzona przez zmutowane, szybko rosnące koralowce stanowiące plagę Zachodniego Wybrzeża, zaczynała już blokować wyjście z zatoki. Przez przezroczystą ścianę pękata ryba przyglądała się Michaelowi z odległości niecałego metra, jej wydłużony pysk otwierał się i zamykał rytmicznie, ukazując setki drobnych, białych zębów. Idąc za Dannersem krótką, harmonijkową rurą łączącą hangar ścigacza z następną bańką, Michael przyłapał się na tym, że musi świadomie przypominać sobie o konieczności oddychania, jak gdyby jego ciało dało się oszukać i sądziło, że znalazł się w wodzie.

— A jeśli któraś ze ścian pęknie? — Michael zmusił się do

nabrania głębokiego oddechu, walcząc z nagłą sztywnością klatki piersiowej.

— Zostanie dosyć powietrza powyżej poziomu pęknięcia. — Danners wzruszył ramionami. — Jest też mnóstwo luków awaryjnych. Nie jesteśmy szczególnie głęboko, nawet ty dałbyś pewnie radę wypłynąć na powierzchnię. Przy odrobinie szczęścia. Tak boisz się śmierci? — Zerknął z ukosa na Michaela i uśmiechnął się. — Działa ci na nerwy, co? To całe morze. To nie jest nasze miejsce, twoje ciało wie o tym, nawet jeśli głowa pojmuje, że nic ci nie grozi. — Wszedł do pracowni, zamaszystym gestem zapraszając Michaela

do środka. — Witaj w świecie szepczących koralowców.

Pracownia była większa od hangaru ścigacza, krzywizny przezroczystych ścian wtapiały się w podłogę pokrytą pastelowymi dywanami, seledynowymi, szarymi i brązowymi. Tak doskonale zlewały się z rafą, że zdawały się nie istnieć.

— Wykorzystuję denną część każdej bańki jako magazyny — wyjaśnił Danners. — Jedzenie, woda, zapasowe akumulatory: doskonały balast. Mój komputer przepompowuje wodę morską do tymczasowych zbiorników, by zapewnić całej konstrukcji zerową pławność.

Michael minął Dannersa, prawie go nie słuchając. Korale wznosiły się wokół kuli poskręcanyimi iglicami, jak gdyby obrastały bańkę, by któregoś dnia przykryć ją wapiennym całunem. W pracowni nie było sztucznego oświetlenia, jedynie słaby blask spływający z odległego srebrzystego sklepienia, gdzie powietrze stykało się z wodą. Obok nich przepłynęła ławica ryb, zawracając z idealną synchronizacją, by umknąć doskonale prostym kursem. Pomarańczowy morski ślimak długości jego ręki przesunął się falującym ruchem po niewidocznej krzywiznie ściany, jego język rozpląszczał się i kurczył w niewielkim kręgu jego pyska, zdrapując z kuli glony. Delikatne, pierzaste wyrostki zwieszały się z jego grzbietu niczym osobliwe porosty o konturach obrysowanych purpurą. Za koralowcami wstęgi wodorostów kołysały się poruszane niewidocznymi prądami, wśród nich poruszył się większych rozmiarów cień. Rekin? Rzadka orka? Michael zmrużył oczy, lecz ukradkowe poruszenie

ustało. Blade ukwiały rozkładały swe mięsiste bukiety, krucha krewetka wspinała się na swych pajęczych odnóżach po martwym koralowcu. Jej ciało było kryształowo przezroczyste, przepasane ciemną czerwienią, zamachała Michaelowi długimi czułkami przed twarzą, jakby zaskoczona. Wtedy pękata ryba, którą widział już wcześniej, zanurkowała, by przegryźć krewetkę w pół szybkim szarpnięciem swej tępo ściętej głowy. Połknęła zdobycz i odpłynęła, machając swym potężnym ogonem.

Michael odprowadził ją wzrokiem, oszołomiony tą ulotną chwilą przemocy, wyczuwając ją dookoła siebie: setkę śmierci, tysiąc maleńkich dramatów rozgrywających się w ciemności, miniaturowe kataklizmy przerażenia i bólu, zdławione i przyćmione miarowym przyptywem zaspokojonego głodu. Po drugiej stronie szklanej tafli maleńki koral umierał w swym kamiennym kielichu. Milion maleńkich tragedii, milion triumfów. Stapiały się w jedno, energia żywiąca się energią, zataczająca pełne koło, by powrócić do punktu wyjścia. A ten wąż połykający własny ogon, ten krąg, suma wszystkich tych istnień i śmierci składała się na... wieczność. Tak wielką. Tak dalece większą od wszystkiego, co jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, a jednak... połączoną w jedność. Dotykami. Jesteśmy tacy samotni.

Michael przełknął ślinę, znajdując się w nagłym uścisku osamotnienia. Dobry Boże, być tak odłączonym...

Odwrócił się powoli, a jego ciało pokryła gęsia skórka, choć w pomieszczeniu było wystarczająco ciepło. To stąd wypływały te uczucia: na środku posadzki stał Kamień, ustawiony na piedestale z posrebrzanych kawałków drewna. Jego palce zadrżały, poruszając się samoistnie, jak gdyby pragnęły dotknąć jego srebrzystoszarej powierzchni. Śpiewał o życiu i śmierci. O wieczności i samotności, a siła tej pieśni niemalże powaliła go na kolana.

— Ja... nie znam żadnego z twoich najnowszych Kamieni. — Michael oblizał zaschnięte wargi.

— Tworzę je wszystkie tutaj. — Danners oparł się o ścianę, splatając dłonie na plecach. — Ludzie reagują na morze. — Spoglądał na swój Kamień z pobrużdżonym czołem. — Przywożę modela na dół nocą, uśpionych, kładę ich do łóżka, póki jest jesz-

cze ciemno. Potem zasiadam do Kamienia i czekam, by obudzili się w świetle. — Podniósł wzrok i musnął krzywizną ściany między nimi.

Cienkie niczym włos pęknięcie przecinało ją jak zygzak błyskawicy. Pod dotykiem Dannersa krople morskiej wody zaczęły pęcznieć na całej jego długości. Powiększały się powoli, zlewając ze sobą, aż w końcu pojedyncza kropla zbiegła po zakrzywieniu ściany, pozostawiając po sobie lśniący szlak niczym łąza. Michael zadrżał, a Danners uśmiechnął się.

— O, tak — powiedział. — Wpuść tu morze, wystarczy jedna kropla, i wszystko staje się realne. Te ściany gównem teraz znaczą. Są popękane. Nie są w stanie cię ochronić, i wtedy nagle stajesz twarzą w twarz z naszą matką. Przed nią nie ukryjesz swych uczuć. — Delikatnie pogładził krzywizną Kamienia, zmysłowo, jak gdyby pieścił udo kochanki. — To umieszczam w Kamieniu pierwsze. — Przetarł dłonią wilgotne pęknięcie i woda natychmiast przestała się przesączać.

— Jestem... pod wrażeniem. — Michael odwrócił wzrok, pozwalając, by jego spojrzenie zatoneło w szarozielonej, pozbawionej horyzontu dali. Duchowość, pomyślał. To właśnie wyczuwał poza zamkniętą w krąg pieśnią wieczności. Głębokie, rozległe uczucie... boskości? Ta konkluzja wstrząsnęła nim, trudno było pogodzić ją z chamstwem Dannersa, plotkami o jego zwyczajach, celowo zniekształconym ciałem. Zmusił się do spojrzenia Dannersowi prosto w oczy. — Jesteś bardzo dobry.

— W twoich ustach to wielki komplement. — Danners nie uśmiechnął się. — Szczerść stanowi luksusowy towar, prawda?

— A skromność? — Michael zasnuował wargi.

— Dlaczego miałbym być skromny w twojej obecności? — Danners wzruszył ramionami, jedną dłonią nadal pieszcząc Kamień.
— Kiedyś byłeś lepszy ode mnie; nigdy nie potrafiłem osiągnąć energii i złożoności, jakie kryły się w twoich wczesnych dziełach. Może z powrotem znajdziesz natchnienie i któregoś dnia znowu mnie prześcigniesz. Nie dbam o to. Nadal będę zarabiał dosyć, by móc kupować nowe Kamienie. — W splątanym gąszczu jego brody

błysnęła biel zębów. — Jesteś wkurwiony. Nie zwykłem marnować energii na uprzejme dyrdymały.

— To prawda. — Michael odwrócił się od Kamienia. „Kiedyś...” Czy to zagubionego natchnienia poszukiwał? Czy odnalezienie go było w ogóle możliwe?

— Więc co to za tajemnica z tymi samobójstwami? No i owszem, gliny oficjalnie traktują śmierć S'Wanny jako samobójstwo, na wypadek gdybyś nie zwracał uwagi na wiadomości — uśmiechnął się szeroko do Michaela. — Mógłbyś mi też powiedzieć, jak się w to wplątałeś. Nie sądziłem, że byłeś w typie S'Wanny.

— Andy był jej kochankiem. — Michael unikał wzroku Dannersa. — Mógłbyś trochę sobie przy nim odpuścić, może być zdolny i chętny do tego, by ci przyłożyć. A tak nawiasem mówiąc, to nie były samobójstwa.

— Jeśli chce spróbować, nie widzę przeszkód — powiedział roztargnionym głosem Danners. — W takim razie co? Wypadki?

W jego głosie brakowało zwykłego u niego szyderstwa. Michael się odwrócił i ujrzał, jak przygląda się Kamieniowi ze zmarszczoną twarzą.

— Myślę, że morderstwa. I nie dysponuję żadnymi dowodami. Danners chrząknął, wepchnął swe grube pięści w kieszenie tuniki

i prześlizgnął się po dywanach, by utkwic wzrok w ciemności.

— Mógłbym powiedzieć, że to jedno wielkie gówno, paranoja, jeden z tych zbiegów okoliczności, które nie pasują do statystyki, do czasu aż weźmie się za punkt wyjścia przedział czasu rzędu trzech tysięcy lat. — Zmrużył oczy i zmarszczył czoło, jego gęste brwi zbiegły się nad sterczącym nosem. — Sam nie wiem. Od tygodnia mam wrażenie, jakby coś się tam czało. Nie rekin. Jakby... nagle nie patrzę na zatokę. Patrzę w ciemność i mam takie niesamowite uczucie, jak gdyby Berkeleyy zniknęło. Nie ma Embarcadero. Jakbym... .. zaglądał w wieczność. I, kurwa, facet, czasami mam ochotę wy-

płynąć tam i... utonąć w tym. — Zaśmiał się urywanym, chrapliwym śmiechem. — Uznałbym to za efekt niewłaściwej mieszanki rozrywkowych prochów, gdyby nie tamte trupy. — Obrócił się nagle, przesywając Michaela palącym wzrokiem. — Co jeszcze wiesz?

— Nic. — Michael uciekł przed jego spojrzeniem. Wieczność. Owszem, ciemność zalegająca w jego głowie sprawiała takie wrażenie. — Miewam ostatnio koszmarnie sny. Dziwaczne. Są raczej

-nieprzyjemne.

— Co z tego? Sny cię nie zabijają. — Danners machnął dłonią niczym siekierą. — A więc przyjechałeś tutaj, by zasięgnąć mojej opinii, tak? — Uniósł jedną brew. — A może planowałeś pokręcić się w pobliżu i przekonać, czy może ktoś zjawi się, by mnie zamordować?

— Coś w tym stylu — przyznał Michael.

— Co mi tam. Mnie to nie przeszkadza. Może wywalę twoją małą świtę do zatoki, jeśli mnie wkurzą. Razem z córeczką, o ile to naprawdę jest twoja córka. — Posłał Michaelowi obleśne spojrzenie. — W co raczej wątpię. Nie lubisz mnie za bardzo, co?

— Masz z tym problem? — Michael obnażył zęby w uśmiechu.

— A jak myślisz? — roześmiał się Danners. — Wiesz, ile kosztuje to ciało? — Uderzył się pięścią w klatkę piersiową. — Ale to wypadkowa nastawienia, nie uważasz?

— Dlaczego faszerujesz modeli narkotykami? — Michael raz jeszcze okrążył Kamień, drżąc od głębi jego rezonansu, pragnąc go dotknąć, zbudzić.

— Skuteczny skrót. — Wzruszył ramionami. — Może produkowałbym lepszy towar, gdybym nawarstwiał go przez piętnaście lat zamiast sześciu czy siedmiu, ale co mi tam, jest wystarczająco dobry.

— Prochy zniekształcają stany emocjonalne modeli.

— Często wykorzystuję morze — odparł Danners lodowatym tonem. — Wyczuwasz tam jakąś klarowność, Mike? Nie krępuj się, masz tyle czasu, ile zapragniesz. Moja droga zawsze prowadzi do następnego Kamienia.

W jego głosie brzmiała niespokojna nuta, głód. Czego szukał? Czegoś, czego miał nigdy nie znaleźć? Ile Kamieni ukończył? Ten był dobry. Nie, więcej niż dobry. Michael westchnął, dostrzegając przy drzwiach przykryte zasłoną kontury kolejnego Kamienia. Za nim, za ścianą kopuły, węgorz wysunął głowę z plamy czerni,

rozwierając uzębione szczęki. Ta czerń przyciągała go, szarpiąc za serce kościstymi palcami. Michael oparł rozczapierzone dłonie

O chłodny poliglas, ogarnięty namiętym pragnieniem zanurzenia się w tej czerni, wślizgnięcia się niczym larwa ku jej rozżętnionemu sercu, nasycenia się nim, by pęknąć z przesyty. To właśnie miał na myśli Danners. Michael potrząsnął głową, sięgając po płótno przykrywające Kamień. To on był źródłem tych wrażeń.

— Nie dotykaj!

Michael pospiesznie cofnął rękę. Ręcznie tkany materiał zsunął się na podłogę, układając się fałdami wokół smukłej, spłaszczonej elipsy Kamienia. Był poprzetykany srebrnymi żyłkami, zdawało się, że plamy zieleni i bursztynu rozpalają się i gasną na jego szorstkiej powierzchni. Michael zacisnął dłonie w pięści i wepchnął je do kieszeni, a mroczna nuta szumiała w nim, wyśpiewując syreni śpiew w jego krwi.

— To dziewiczy Kamień. — Danners przecisnął się obok niego, by podnieść zasłonę z podłogi. — Jutro wieczorem przyjeżdża model

1 nie chcę mieć na nim odcisków palców Michaela Tryona, Bóg zapłać — wyszczerzył się dziko i zarzucił zasłonę na Kamień.

Michael potrząsnął głową, czuł się zdrętwiały i odrobinę oszołomiony, jak gdyby zbudził się ze snu. Czyli tamta mroczna nuta dobiegała z ukończonego Kamienia? Czyżby się pomylił? Może nowy Kamień podchwycił tę jedną nutę jego rezonansu, wzmacniając ją przypadkiem na bliską odległość? Spojrzał z ukosa na tępą, szpetną twarz Dannersa. Wplótł w ten Kamień cholernie posępną nutę; pewnie ukrył ją głęboko, by zaskakiwała i powalała na kolana niczego się nie spodziewających słuchaczy.

Taka tania zagrywka nie pasowała do wielkości tego, co poczuł, i jego szacunek dla Dannersa odrobinę zmalął.

— Poszukam Andy'ego i Margarity — powiedział.

— Proszę bardzo. — Danners wpatrywał się w zamyśleniu w ukończony Kamień. — Mam jeszcze parę szczegółów do wypolerowania. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, znajdź sobie. Tylko nie skacz mi po głowie.

— Jasne. — Michael odwrócił się. Owa zagrzebana w głębi Kamienia ciemność nie była potrzebna, czegoś takiego można się

spodziewać po jakimś praktykancie. Pochylił się, by wejść do łącznika, odczuwając nagłe ukłucie rozczarowania. Ten Kamień był taki

dobry. Z tym jednym wyjątkiem.

— Raczej spartańskie warunki jak na kogoś, kogo stać na zbudowanie tego miejsca. — Margarita oparła dłonie na biodrach, rozglądając się po bąblowatym pomieszczeniu, do którego weszli.

Jego podłogę pokrywał dywan o wzorze tak dobranym, by zlewał się z szarzielonymi plamami koralowca. Niewielka holoscena, zapewne stanowiąca sieciowy terminal Dannersa, oraz samotny fotel i zbieranina poduszek w kolorze morza stanowiły całe wyposażenie. O, tak, można było to sobie bez trudu wyobrazić. Margarita uśmiechnęła się szyderczo. Danners rozparty niczym król na tronie i wielbiący go dworzanie u jego stóp. Pierdolić to. Kopnęła jedną z poduszek. Postoję. Ponad jej głową powoli przepływała ławica małych, żółtych rybek. Nieoczekiwanie w sam jej środek wbiło się coś szarego i olbrzymiego. Rybki rozpierzchły się na boki niczym eksplodujący szrapnel, znikając w półmroku. Jeśli to szare stworzenie coś upolowało, wszystko stało się zbyt szybko, by mogła to zobaczyć. Jej wnętrzościami targnął skurcz podniecenia, szept żądzę krwi, jak gdyby to ona była tam, po drugiej stronie, wpadając w bezbronną ławicę, obnażając zęby, sięgając...

Z wysiłkiem oderwała wzrok od niebieskozielonej głębi i poszła do niewielkiej ścianki kuchennej. Mikrofalówka, zmywarka, barek z ciepłymi napojami i drinkami; żadnego alkoholu, tylko soki i woda. Kosztowne preferencje kulinarne. Przewinęła spis zawartości lodówki wyświetlony na małym ekranie wbudowanym w drzwi. Same naturalne produkty, owoce i warzywa? Mogła się założyć, że nie znalazłaby tu niczego wyhodowanego w zbiorniku ani wyprodukowanego z aromatyzowanej pasty smakowej. Żadnego mięsa, nawet ryby. Hmmm. Pstryknęła czubkami palców w ekranik, wygaszając go. Zdążyła już sobie wyobrazić Hawka Dannersa wgryzającego się w olbrzymi płat mięsa, krwisty sok ściekający po jego szpetnym podbródku.

— To chyba nasza sypialnia. — Andy zajrzał ostrożnie do kolejnego harmonijkowego tunelu o przezroczystych ścianach. — Wiesz co, miałem właśnie zaproponować coś w stylu naszego gospodarza-brzydala.—Wzruszył ramionami i roześmiał się. — Tylko że to miejsce przyprawia mnie o dreszcze. Szkoda.

— Jeżeli próbujesz się przymówić o szybki numer, odpierdol się. — Margarita ponownie zatraciła się w bezmiarze wód poza kopułą. Ile by dała za możliwość zamieszkania w tym miejscu...

— Michael powiedział, że... tu na dole od śmierci oddziela nas jedynie grubość ściany. — Andy przełknął ślinę. — Naprawdę to czuję. — Roześmiał się z wysiłkiem i bez przekonania. — Nigdy nie podejrzewałem siebie o taką fobię.

Był naprawdę wystraszony. Margarita posłała mu spłoszone spojrzenie, gdy rura korytarza zafalowała łagodnie pod jej ciężarem. Zaciskał pięści tak mocno, że aż zbieleły, oddychał ciężko, jak po przebiegnięciu sporego dystansu.

— Hej, odpręż się. Jeśli coś miałyby puścić, już dawno by się to stało. Poza tym — skinęła głową ku górze — stąd widać powierzchnię. Nie umiesz pływać?

— Nie. Nie wydaje się, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. — Andy niepewnie wszedł do korytarza i po pierwszym kroku poblądł, gdy rura ugięła się pod jego ciężarem. — Cholera jasna, to równie przyjemne jak choroba morska twojego ojca.

Przecisnął się obok Margarity, stawiając nogi tak, jakby szedł po linie przeciągniętej ponad Wielkim Kanionem, opierając się rozczapierzonymi dłońmi o ściany. Nieprzytomny ze strachu. Margarita usiłowała wzbudzić w sobie współczucie, ale nie bardzo jej to wychodziło. Czego tu się w dole bać? Po obu stronach korytarza wyrastały wieżycy koralowców rojące się od rybek. Przyklekła, wpatrując się w matową, pomarańczową krawędź ukwiału oddaloną o zaledwie parę cali od jej twarzy. Mięsiste czułki falowały z wolna, po omacku poszukując nieostrożnych pływaków, gotowe, by spażyć, schwytać i pożreć. Margarita uśmiechnęła się, gdy po koralowcu przetruchtał maleńki krab pokryty miedzianymi i białymi prążkami. Ściany korytarza przygarniały ją opiekuńczo, otulały. Wzięła

powolny oddech, czując w płucach morskie prądy, opływające ją tak, jak woda opływała głód ukwiału.

— Chyba się poddam. — Głos Andy'ego wyrwał Margaritę z zamyślenia.

Obróciła gniewnie głowę. Andy siedział na olbrzymim łóżku w pomieszczeniu na końcu korytarza, jego twarz była blada, wręcz zielona w przefiltrowanym przez morze świetle.

— Dam odpocząć nadnerczom. Może kiedy się zbudzę, poczuje się lepiej. Jeśli nie potrafisz zwyciężyć swojej biochemii, wykorzystaj ją. — Andy zanurzył rękę w swojej torbie. — Powiedz Michaelowi, że jestem gotów iść tam, gdzie tylko zapagnie. Wystarczy mną solidnie potrząsnąć, żebym się zbudził. — Wyciągnął rękę z torby i zabrał się do ściągania białego plastiku z plastra z narkotykiem. — Dobranoc. — Przykleił plaster na tętnicy szyjnej, rzucił torbę na podłogę i padł twarzą na łóżko.

Robił wrażenie bardziej rozszoszczonego własną niemocą niż wystraszonego. Margarita zostawiła go na pastwę chemii i wróciła do głównego pomieszczenia. Było zbyt wielkie, zapchane meblami. Gryzło się z morzem. Uparta tęsknota, jakby pragnienie, ponaglała

ją do czynu, przeszła więc na drugą stronę pomieszczenia. Odbiegały z niego trzy korytarze. Wybrała pierwszy z brzegu, lodowate drzenie przebiegło jej wzdłuż kręgosłupa, gdy morze zamknęło się wokół niej. Nie napierało na nią tak, jak zapewne robiło z Andym. Ciśnienie przepływało przez nią, ściskając atomy ciała, zgniatając być może ją samą, tak że w końcu stała się jednością z morzem i cienistym półmrokiem, kolory językiem, a morski przybój falował w rytm uderzeń jej serca.

Korytarz prowadził do niewielkiej kuli osadzonej w objęciach kamiennych palców koralowca. Nie było w niej żadnych sprzętów, panował tu mrok. W miejscu dywanu podłogę pokrywały poduszki i grube piernaty, tak że zmuszona była bardzo ostrożnie wyszukiwać drogę, jakby kroczyła po powierzchni samej rafy. Koniec spaceru? Opadła na kolana, zapadając się w pierzastą miękkość, walcząc z pokusą zwinięcia się do snu, lecz wciąż szarpana tamtym niepokojem. Jej spojrzenie przyciągnął jakiś otwór — kolejny korytarz? Ten

był niewielki, częściowo ukryty za stertą poduszek. W jego wnętrzu musiałyby poruszać się na czworakach.

Odepchnęła poduszki na bok i wsunęła głowę do środka. Jakiś przełaz dla techników? Na myśl o urządzeniach mechanicznych zamarła na moment, przypominając sobie łańcuchy i zmasakrowane ciało Ariego. Ale przecież zobaczy je wystarczająco wcześniej i zawsze będzie mogła się wycofać. Wczołgała się do tunelu, a w jej sercu wzbierało płynące z niewiadomego źródła podniecenie. Czyżby robiło się ciemniej? Tak, schodziła coraz niżej i korytarz zaczął się zwązać. Chłodny plastik ocierał się teraz o jej ramiona i plecy, jakby prac na nią, spychając ją w głąb monsturalnej metafory narodzin. Oddychając szybko, Margarita położyła się na brzuch, a jej skóra napięła się pod wpływem pieszczoty morza. Błękitny półmrok wsączał się w nią i wkrótce płynęła, oddychała wodą, zapadając się w głąb koralowców, skąd miała się wyłonić, by wyprostować płetwy i odpłynąć...

Półmrok zgęstniał, przeradzając się niemalże w absolutną ciemność. Nad jej głową łuki koralowców nieledwie stykały się ze sobą, zamykając ją w swej żywej, wapiennej garści. A!ejajestem rybą, nie jesteście w stanie mnie zmiażdżyć. Margarita ślizgała się dalej, powietrze było wilgotne i ciężkie od wody, przyprawiając ją o zawroty głowy. Umieram?, zapytała samą siebie. W ciemności poruszały się jakieś kształty, witając ją. Umierając ku czemuś, ku życiu może? Tak, z życia w śmierć, w życie bez kresu, zamkniętą pętlę, węża pożerającego własny ogon. Woda naciskała na nią, kojąc ją swoim uściskiem, tak jak koił ją uścisk ramion Katriny, bezinteresowny, akceptujący. I nagle, boleśnie, Margarita zatęskniła za nią. Chcę, żebyś tu była, pomyślała. Muszę ci o tym opowiedzieć.

Turkusowe światło przebiło się przez ołowiane cienie i nagle

stwierdziła, że pnie się ku górze. Ku wiośnie? Margarita znieruchomiała, wykręcając się niezgrabnie w rozszerzającym się tunelu, dysząc lekko w gęstym od chłodu powietrzu. Katrina wciąż tu była, pozostała w tyle, wśród cieni. I było już za późno, by zawrócić. Nie mogła się cofnąć, pozostawało jej jedynie iść naprzód, w jutro. Czy czekasz tam na mnie, Katrino? Gdzieś, w jednym z jutrzejszych dni?

Przełykając kamienną grudę, jaka uformowała się jej w gardle, popęzła dalej. Błękitne światło przybierało na intensywności, wkrótce tunel powiększył się na tyle, że była w stanie się podnieść.

Stała przed kolejnymi drzwiami. W głowie Margarity rozbrzmiała nagle pieśń, głos morza, głos syreni, wyśpiewujący nutę, która przyprawiają o dreszcze. Pochwycona, pojmana przez tę pieśń zerwała się do biegu, potykając się lekko na falującej podłodze, pieśń wypełniała jej głowę, przybierając na sile niczym chór będący jednym głosem i milionem dźwięków zarazem, wypełniając ją i przelewając się jaskrawymi falami wizji.

Wpadła do kolejnej kuli i westchnęła głośno, gdy czyjaś dłoń osadziła ją w miejscu. Ostrze noża dotknęło jej gardła, lodowate i przesycone groźbą.

— Ani ruchu — syknął głos w jej uchu.

Kulę wypełniały kamienie, wyśpiewując tuzin cichych kontrapunktów. Chłodna stała na gardle. Kamienna pieśń w jej duszy. Margarita wchłonęła to wszystko w jednym, wszechogarniającym mgnieniu oka. Stała na skomplikowanych postumentach z posrebrzanego drewna i czegoś, co wyglądało na starą kość. Jedyne światło w pomieszczeniu przesączało się przez grubą warstwę wody, mieszając się z łagodnym blaskiem fosforyzujących gąbek porastających ścianę kuli otwartą i dziwnie regularną koronką. Czy to właśnie były Kamienie Dannersa? Jego prywatna galeria, ukryta tutaj, w mrocznych objęciach morza? Margarita wzięła powolny oddech i oderwała uwagę od Kamieni, przesuwając wzrokiem wzdłuż ramienia dzierżącego przystawioną do jej gardła broń.

Należało do mężczyzny o czarnych włosach i zielonych oczach. Był półkrewi Azjata, jej rówieśnikiem, może odrobinę młodszym, i śmiał się z niej. Szyderczo. To ostrze było teatralnym gestem — grą — i było tu boleśnie nie na miejscu. A on sam nie umiał się posługiwać nożem, to dało się zauważyć na pierwszy rzut oka. Pieśń Kamieni uniosła ją, mieszając się z gorącą falą gniewu, potęgując ją, wsączając ją w jej kości. Cofnęła się nieznacznie, udając przestrah; mężczyzna uśmiechnął się szeroko, z satysfakcją obserwując strach malujący się na jej twarzy.

Brzegiem dłoni odtrąciła jego ramię w bok, odrzucając ostrze od gardła. Zanim zdążył zareagować, chwyciła go za nadgarstek,

wykręcając mocno. Ostrze zadźwięczało na podłodze, mężczyzna krzyknął, przyklękając na jedno kolano, by uchronić nadgarstek przed złamaniem. Okręcając się w miejscu, wygięła mu ramię na plecy i rzuciła go twarzą na drewniane deski. Spróbuj tego, kotku. Uklękła obok i unieruchomiła go, wykorzystując jego wykręconą rękę, a potem delikatnie wygięła ją ku swej piersi.

— O kurwa. — Szarpnął się w jej uchwycie, stęknął i znieruchomiał. — Nie złam mi jej! — wykrztusił w kierunku podłogi głosem stłumionym i zniekształconym przez ból.

— Ojej, wystraszyłeś mnie. — Nie zwolniła uchwytu ani odrobiny.

— A ty mnie, ty suko. Hej, już dobrze — stęknął ponownie, gdy Margarita delikatnie wzmocniła nacisk. — Przepraszam.

— Jesteś pewien?

— Aha. Tak, już dobrze? Złóż ze mnie!

Powoli odsunęła jego ramię, ale nie zwolniła uchwytu, za to przesunęła palcami po jego szczupłych plecach.

— Fajne mięśnie, brzydkie maniery.

Poklepała go lekko po pośladkach, puściła jego nadgarstek i wstała, ustawiając się w gotowości, podczas gdy mężczyzna złapał upuszczony nóż i poderwał się na nogi. Zachowałaś się jak klasyczny macho, zostawiając mu nóż, skarciła się w duchu. Kuzyni stłukliby ją za coś takiego, ale co tam, czasami trzeba sobie pozwolić na subtelną aluzję.

Mężczyzna mierzył ją przez krótką chwilę rozwścieczonym wzrokiem, a potem schował broń do pochwy i ukrył ją pod tuniką. Była uszyta z materiału wysokiej jakości — krzykliwe kolory, skrojona na wymiar tak, by podkreślić wszystkie zalety jego gibkiego, śniadego ciała.

— Wiesz co, pracujesz nożem jak pokraka. — Wykrzywiła wargi, a gniew nadal śpiewał w niej, wtórując pieśni Kamieni. — To niebezpieczna zabawka, kotku. Weź parę lekcji, zanim ktoś ci obetnie jajka.

— Pierdol się, suko.

Uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

Jego oczy się zaszklily i zaraz rozjarzył się w nich zielony płomień. Mięśnie Margarity same z siebie rozluźniły się i przygoto-

wały do walki, odczytując z jego mimiki nadciągający atak. Lecz mężczyzna, zamiast rzucić się na nią, odwrócił spojrzenie i wybuchnął śmiechem.

— Tak się kończy zaczepianie lepszych ode mnie. — Ukłonił się ironicznie. — Ale i tak suka z ciebie. I trzymaj łapy z daleka — uśmiechnął się szeroko. — Chyba że naprawdę pragniesz mieć do czynienia z Archenwald-Shenem.

Z Archenwald-Shenem?

— Jesteś za młody. — Nawet najlepsze serwisy nie potrafiły przywrócić prawdziwej młodości.

— Owszem, jestem młody. — Jego uśmiech stał się lodowaty.
— Gunner lubi takich.

Czyli był chłopakiem Archenwald-Shena? Margarita odwróciła oczy. Dwa dni temu skwitowałyby to zapewne pogardliwym prychnięciem. Teraz... Nie zapłaciłam nawet własnego rachunku, pomyślała gorzko. Bawiłam się w bycie ponad to, udawanie, że reguły gry mnie nie dotyczą. Tak więc to Katrina zapłaciła za nią.

Kto tu ma większe prawo do pogardliwego prychniania?

— Rozejm? Koniec z szarpaniną?

Wygrałby i wiedział o tym. Triumfujący uśmieszek nie pojawił się na jego twarzy, ale i tak go tam dostrzegą. Spojrzała na wyciągniętą w jej stronę dłoń, pragnąc raz jeszcze rzucić go na podłogę, tym razem złamać mu nadgarstek. Na kogo ty się wściekasz, dziewczyno? Gdzie leży prawda, hę?

— Niech będzie rozejm. — Zignorowała wyciągniętą rękę, co zaowocowało jeszcze szerszym uśmiechem tamtego.

— Jestem Zed. — Przechylił głowę tak, że długie czarne włosy opadły mu na ramię. — Jesteś twardsza, niż na to wyglądasz. Gdzie się tego nauczyłaś? I jakim cudem wylądowałaś w prywatnym królestwie Dannersa? Zdecydowanie nie jesteś w jego typie, choć w sumie nie miałbym nic przeciwko temu, by popatrzeć, jak tego próbuje.

— Masz cholerną rację, że nie jestem w jego typie. — Spojrzała ponad jego ramieniem, ku surowym Kamieniom, pieszczona przez nie, nie potrafiąc się im oprzeć. Były dziełem Dannersa. Potrząsnęła głową, nie potrafiąc tego poukładać w logiczną całość. — Wychowałam się w L.A. Moi kuzyni byli twardzi. Dopuszczając do tego, by któryś z członków rodziny oberwał po głowie, straciliby punkty, więc postarali się jak jasna cholera, żebym nie kosztowała ich nawet jednego. Przyjechałam tu z Michaeliem Tryonem.

— Z nim? Jakim cudem przygruchał sobie taką klaczkę? — Zed odsunął się o krok, uśmiechając się złośliwie.

— Nie przygruchał mnie sobie. — Wzruszyła ramionami, by dać mu do zrozumienia, że uważa go za niewartego wysiłku. — Jestem jego córką. — Nie: „Jest moim ojcem”, tylko: „Jestem jego córką”. Czy była w tym jakaś różnica, i dlaczego?

Brwi Zeda uformowały się w wąskie łuki.

— Świat jest mały. Szkoda, że on sam też nie jest twardszy, niż na to wygląda.

— W przeciwieństwie do ciebie? — Obnażyła zęby w szyderczym uśmiechu.

— Zejdź ze mnie. — Spojrzał na nią czujnym wzrokiem. — Staram się być miły, jasne? — Skłonił się kpiarsko w jej kierunku.

— Danners nie zaprasza na dół każdego, choć podejrzewam, że ty wślizgnęłaś się tutaj tylnymi drzwiami. Niezła sztuczka, nawiasem mówiąc. Nie dla mnie, nie lubię ciasnoty. Wolę twarde gruntu pod nogami. — Wykrzywił się i delikatnie poklepał najbliższy Kamień.

— Chodź, pokażę ci resztę wewnętrznego sanktuarium. Skoro już tu jesteś. — Raz jeszcze poklepał Kamień i odwrócił się.

Ta niedbała poza właściciela przy wiodła jej na myśl zachowanie Anego w galerii, zupełnie jakby te Kamienie należały do niego. A gdyby ich zapragnął, zapewne tak by się też stało. O ile rzeczywiście był własnością Archenwald-Shena. Podążyła za nim następnym korytarzem, obserwując jego ruchy. Tak, Zed należał do niego, wraz ze swym wypieszczonym, pięknym ciałem, pełnym dystynkcji i wstydu. A nóż był jedynie pozą; istniało tyle rodzajów skuteczniejszej broni ręcznej, od głuszków po karabiny żyłkowe. Maniak na

punkcie stali?, zastanowiła się. Wyzwanie rzucone śmierci, a może zaproszenie. Zmarszczyła czoło, przypominając sobie, jaki ogień zapłonął w jego oczach, kiedy go spoliczkowała.

Może wszyscy do kogoś należymy, bez względu na to, czy jesteśmy gotowi się do tego przyznać. I może jakąś częścią nas samych pragniemy do kogoś należeć, bez względu na to, czy jesteśmy gotowi się do tego przyznać. Przeszył ją nagły spazm bólu. Katrina. Nie chciałam, żebyś zapłaciła za mnie wpisowe.

— A co ty tu robisz? — zapytała.

— Przyjechałem po odbiór zamówienia. Czyli Tryon też tu jest?

— Zed dotarł do końca korytarza i zatrzymał się, by spojrzeć na nią, uśmiechając się z udaną niewinnością. — Ciekawe. Szkoda, że nie ma żadnych Kamieni do sprzedania. Danners jest na topie, ale nie ma najmniejszego pojęcia o cierpieniu. W przeciwieństwie do twojego ojca.

Twojego ojca. Margarita skrzywiła się, ale zdawało się, że Zed tego nie zauważył. Ocierał się plecami o ścianę korytarza niczym kot.

— Doskonale odczytuje ludzi ten twój ojciec. Pewnie musi, by robić z Kamieniami to, co z nimi robi.

Ten — ten gówniarz podziwiał go. Michaela. Margarita odwróciła się, nie była jeszcze gotowa, by nazywać go ojcem, gniew zacisnął się w pięść w jej żołądku, przemieszany ze zbyt wieloma innymi uczuciami, by brać się do rozplątywania ich. Czy to cierpienie wplatał w swoje Kamienie? Margarita skierowała spojrzenie na błękitną wodę i szare cienie odległych koralowców, przypomniawszy sobie cichy szept tamtego Kamienia w Nowym Jorku. Tak, czuła wtedy cierpienie przetykane miłością, nadzieją, rozpaczą i... współczuciem. Akceptacją. Czy o to chodziło? O akceptację bólu, bo stanowił składnik wszystkiego, część życia równie nieodzowną jak miłość? Pokręciła głową.

— Wszyscy muszą umieć odczytywać ludzi — powiedziała. — To właśnie jest niezbędne do rzeźbienia Kamieni.

— Danners nie odczytuje ludzi. — Zed wzruszył ramionami. — Po prostu wykorzystuje ich na swój sposób. Myślę, że odczytuje

samego siebie. Twój ojciec osiąga czegoś autentycznego. Wiesz, nie ma sensu tego robić, jeśli nie potrafisz tchnąć w to autentyczności, nawet jeśli są z tego duże pieniądze.

— Ładnie to sobie obmyśliłeś. — Ponownie zaczęła w niej wzbierać chęć do bitki i musiała się wysilić, by zapanować nad sobą.

— Ale z ciebie autorytet.

— Wcale nie. — Wzruszył ramionami, marszcząc czoło, jak gdyby żałował tego, co powiedział. — Tryon powinien być trochę ostrożniejszy, jeśli chodzi o nadeptywanie innym ludziom na odciski. A przynajmniej niewłaściwym ludziom. Mogłabyś mu to powiedzieć.

Coś przemknęło przez jego twarz, cień zbyt ulotny, by zdołała go zidentyfikować.

— A komu nadepnął na odcisk? — zapytała odruchowo Mar-

garita.

— Gunnerowi autentycznie zależało na Kamieniu twojego ojca.

— Zed posłał jej enigmatyczne spojrzenie. — Twój ojciec odmówił mu w niezbyt parlamentarny sposób. Hej, popatrz tylko na to. — Odwrócił się do niej plecami i zanurkował przez drzwi.

Margarita podążyła za nim powoli, przyglądając się podejrzliwie źrenicy wejścia, która zapewne zamknęłaby się szczelnie w przypadku przebicia któregoś z łączników. Potem zajrzała do środka i zatrzymała się jak wryta, wciągając szybko powietrze przez zęby. Na środku pustej sfery zamontowana była holoscena, skąpana w zielonkawym półmroku, z wygaszoną, martwą konsolą.

— Modelujesz? — Zed przypatrywał się jej uważnie.

— Modeluję, generuję obrazy, piszę... — Generatory graficzne Sulemana, telestymulatory Nilssona. Jej scena nie była ani w połowie tak dobra, i dałaby sobie za nią uciąć rękę.

— Danners zabawia się tu czasami — uśmiechnął się przebiegle. — Przyglądałem się wczoraj wieczorem. Seks, gołe ciała, piasek. Aż zgrzyta w zębach. A co ciebie rusza? Założę się, że coś innego.

Podeszła do sceny, stawiając ostrożnie stopy, jak gdyby poliglas był krystalicznie cienki, jakby nieuważny krok mógł zgnieść go

w miriady okruchów. Wędrowała wzrokiem po modułach programowania ewolucyjnego — najnowszy model — i syntetyzatorze Prendergasta. Na moment zniecierliła Dannersa za to, że używał tego sprzętu, by sobie podupczyć, by się zabawić. A jednocześnie pokochała go — bo wiedział, co dobre, i umiał to zdobyć. Wstrzymując oddech, dotknęła konsoli. Natychmiast zbudziła się do życia, wywołując w jej kościach i zębach to nieokreślone buczenie, którego Katrina, jak sama twierdziła, nie potrafiła poczuć.

Gdyby tylko Katrina mogła to zobaczyć.

Wyciągnęła konsolę z obudowy, nie dbając o to, że Danners mógłby tu wejść i wyrzucić ją przez najbliższą śluzę, i przymocowała do szyi mikrofon krtaniowy. Prawie nie dotykając stopami podłogi, wpłynęła na scenę, potem się pochyliła, by sprawdzić wzmocnienie, i wywołała listę inwentarzową na Sulemanie. Prawie same obiekty morskie — ale niespodzianka. Interfejsy sieciowe. Wykrzywiła się. Co mu tam, to była zabawka, żaden haker nie znalazłby w niej niczego wartościowego. Przesunęła dłonią po klawiaturze, wywołując z nicości kasztanowe i ciemnozielonkawe koralowce. Wystarczy tych koralowców. Usunęła je i w ich miejsce przywołała ciemność:

ciemność nocy wzbogaconą samym cieniem fal, poruszających ma-
leńkimi, świetlistymi plamkami żyłatek w rytm niewidocznego przy-
boju. Woń morza, stony wiatr, lecz stonowany, wzbogacony nutą
rozkładu, czegoś martwego leżącego na plaży, czekającego na przy-
pływ. Muśnięcie, śladowa ilość mirry dla dodania głębi...

— Hej, wróć później.

W głosie Zeda brzmiał... smutek?

— Możesz zostać — wymruczała. Lepiej zastąpić mirrę jaśmi-
nem. — To nic mojego.

Żadnej odpowiedzi. Mrugając, podniosła głowę i rozejrzała się.
Nie było go. W samotności, wyzwolona, zamknęła oczy. Ciemność.
Przywołała z pamięci wędrowkę ciasnym przejściem pod koralow-
cami, nieoczekiwane wrażenie narodzin albo śmierci. I twarz Katri-
ny nakładającą się na tę ciemność. Jej policzki zwilgotniały. Płacząc,
pomyślała Margarita i otworzyła oczy. Za Katrina? Odpowiedź
skrywała się gdzieś tutaj; należało tylko ją znaleźć. Przywołała

katalog tekstowy i przygryzła wargę. Tekst stanowił najtrudniejszy
element, prawdziwą walkę. Wymagał czasu, duszy, natchnienia
i wielkiego wysiłku, by każde słowo komponowało się z resztą
utworu. Później. Marszcząc brwi, sięgnęła po dźwięk, przytłumiony,
niepowstrzymany marsz fal wygrywany na obojach i ciche, głębokie
pulsowanie bębna.

Ocean daje mi skrzela i płetwy,
lecz najcieplejsze fale skuł chłód...

Nic z tego. Niezły tekst, ale tracił wyrazistość w głębi tego
mrocznego morza. Skubiąc wargę, dostrzegła cień poruszenia za
sceną. Zed? Zmrużyła oczy. A może Danners zamierzający wyrzu-
cić ją stąd na zbity pysk?

— Skomponowałaś to teraz? — Michael Tryon wyłonił się
z cieni, opierając się łokciami o krawędź sceny.

O, cholera, tylko tego brakuje, by i w tym był dobry.

— Aha. — Margarita spojrzała na jego twarz zwróconą w jej
stronę. — Składanka z prefabrykatów. Tak sobie dłubię.

— Nieźle ci wychodzi — stwierdził cicho. — Mogę się przy-
glądać?

Tak. Nie powiedziała tego, zmagając się z nagłym przybojem u-
czuć. Co takiego dostrzegła w jego twarzy? Zaciekawienie? Czujność?
Dumę? Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

— Zapraszam do zabawy. — Wskazała głową w kierunku pomocniczej konsoli, słysząc wyzwanie w swoim głosie. — Nie pracuję przy publiczności.

Michael też usłyszał to wyzwanie i powoli skinął głową.

— Z przyjemnością. — Wgramolił się na scenę. — Nigdy nie byłem w tym szczególnie dobry. — Uruchomił dotykem swoją konsolę, przestawiając ją na tryb współpracy. — Ostatnie słowo należy do ciebie.

Przestawiła kciukiem swoją konsolę na tryb współpracy i wzięła szybki oddech, widząc, że otoczenie nagle się zmienia. Wiele czasu mu to nie zabrało. Zdusiła ukłucie irytacji, gdy przybój przybrał na

sile, stając się sztormową falą, mieszając mroczne chmury fosforyzującego planktonu. Palce Margarity zawisły nad klawiaturą, lecz zaraz wzruszyła ramionami, pochylając się odruchowo, kiedy dwie olbrzymie fale zderzyły się nad ich głowami, zalewając ich potokami świetlistego planktonu. W porządku, to nie było złe, mogła się na to zgodzić. Skasowała jaśmin i wybrała woń mokrego piasku wzbogaconą ledwie wyczuwalną siarczaną nutą. Michael skinął głową i dotknął klawiszy.

Ocean daje mi skrzela i płetwy.

Jego głos, choć młodszy, odrobinę wyższy i bardziej bezpłciowy. Co teraz? Margarita zagryzła usta ze wszystkich sił.

Lecz najcieplejsze fale skuł chłód,

bo morze jest czasem bardziej niż miejscem...

— Ładne — powiedział cicho Michael. — Zimne. Podoba mi się.

— Nie zimne. — Margarita potrząsnęła głową. — Za bardzo przypomina „Kryształową”, utwór, który właśnie skończyłam.

— Głębokie?

— Tak! — Głębokie; to było właściwe określenie, tego poszukiwała w swej ciemności. Nie nocy, nie zimna, ale głębi. Przebiegła palcami po klawiaturach, miała do wyboru kilkanaście katalogów, i pod ich stopami rozwarła się nicość. Zieleń poszarzała, potem ściemniała do intensywnego półmroku, by stać się czernią, absolutną czernią otchłani. Niska, tułacza nuta towarzyszyła im w wędrówce, tętniący szept obecności. Podkład dźwiękowy Michaela. Niezły, choć odrobinę zbyt oszczędny. Co teraz? Rozgwieździła

czarną otchłań konstelacją bladych mątów ciągnących za sobą chmury
światlistego atramentu. Ławica maleńkich, błyszczących rybek
przemknęła obok niej niczym pędząca przez kosmos galaktyka
i Michael się uśmiechnął.

Odpowiedziała uśmiechem i obsypała ciemność plamami meduz,

kielichami soczystej purpury splecionymi z przezroczystej tkanki,
wieńczącymi zwoje opalizujących macek. Posłała jedną z nich nad
niego i wybuchnęła śmiechem, gdy uchylił się przed ciągnącymi się
za nią czułkami. Michael pokazał jej zęby w uśmiechu i usadowił na
jej ramieniu purpurowego skorupiaka.

Tak, byli na właściwym tropie: głębia i miażdżące ciśnienie,
miejsce, w którym życie emanowało własnym blaskiem. Dotknęła
klawiatury. Obniżając o jeden próg barwę swojego głosu, odtworzy-
ła tekst wypowiedziany w duecie:

Ocean daje mi skrzela i płetwy,

lecz najcieplejsze fale skuł chłód...

bo morze jest czasem bardziej niż miejscem.

Miejscem wypełnionym minionymi dniami błakającymi się ni-
czym meduzy w otchłani — miejscem na dotyk kochanki, na utra-
coną młodość? Dzień wczorajszy odszedł, tak jak Katrina, zakryty
murami czasu i lęku, i... Cholera jasna! Utknęła.

A wtedy prowadzenie przejął głos Michaela, z początku niepewny.

Wśród prądów jak zastygłe sprężyny zegarów,
Spływam ku przeszłości i dziecięcym mitom,
O liniach wyżłobionych w mule, dziś kamieniu.

Przerwał.

Pomyliwszy ruch w górę z powodzeniem,

Opadam ku memu pierwszemu ja,

Szybki jak tętno powietrza, ciśnieniem jeno krwi w żyłach.

Margarita w milczeniu oparła dłonie na klawiaturze. Pomyliwszy
ruch w górę z powodzeniem... Czyli on też przyglądał się sobie?
Michael Tryon, legenda wśród rzeźbiarzy? Opadam ku memu pierw-
szemu ja... Margarita przełknęła ślinę. Kogo szukałeś, Michaelu
Tryon, gdy zastukałeś do moich drzwi? Siebie? Mnie? A może

czegoś, co jest częścią nas obojga, i żadnego z nas, i może wcale nie

istnieje? Łzy znów szukały w niej ujścia i przejęta kontrolę nad kanałem wejścia, rozszoszczona, pragnąc zostawić go w tyle, wyprzedzić. Poszukując gniewu, wywabiła go z konsoli, wzmacniając oktawami dźwięk, pokonując niemożliwe odległości na granicy słyszalności; dodała woń morza, cień feromonów, żądzę na przemian budzonej i zaspokajanej. Jej gniew falował, zabarwiając otchłań fioletem i indygo, warstwami samotności i niewypowiedzianego cierpienia. Okruchy pełnego spektrum pojawiały się, rozpryskiwały w miniaturowych eksplozjach i w mgnieniu oka zapadały się na powrót w czerni przeszłości, utracone na zawsze. Nareszcie odnalazła odpowiednie słowa.

Te głębie zapisują lęk w świeżej kości,
ciemność uczy ciało luminescencji —
dotyk pełnego morza mroczny i subtelny —
tu zmysły wyostrzają się poza zasięgiem czasu,
a obraz kryje się w oku, nie w świetle.

Przez jedno uderzenie serca cisza. Drugie. Trzecie. Powoli pochyliła się, by odłożyć klawiaturę, a otaczająca ją głębia zaczęła gasnąć.

— Margarita — wyszeptał Michael. Wyciągnął do niej rękę, jego oczy błyszczały w przytłumionym, podmorskim s'wietle. — Jesteś bardzo dobra.

Uniosła swoją rękę, przekraczając oddzielający ich metr przestrzeni. Ich palce się dotknęły, dłoń przesunęła po dłoni.

— Naprawdę jesteś dobra.

Głos Zeda oderwał ich od siebie, gdy jednoczesne zaskoczenie zmusiło ich do odwrócenia się. Zed opierał się o przezroczystą ścianę z dłońmi splecionymi na plecach.

— Chyba dobrze się bawiliście — uśmiechnął się głupio. — Przepraszam, jeśli przeszkodziłem.

Ale mimo głupiego uśmiechu i umyślnie drażniącego tonu, w jego oczach czaił się smutek.

— Zed? — Michael utkwiał w nim wzrok, zaciskając pięści. — Co ty tu robisz?

— Odbieram zamówienie. — Wzruszył zgrabnie ramionami. — Szef kupił od Dannersa, skoro ty nie chciałeś mu niczego sprzedać. To gówna w porównaniu z twoimi. — Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Ostrzegalem cię, Tryon. Gunner się dowie, że tu byłeś, i będzie ode mnie oczekiwał, że powiem mu, dlaczego. Jeszcze z tobą nie skończył, i wyładuje swoją złość na tobie. Albo na mnie.

— Obnażył zęby w uśmiechu. — Chyba jest zepsuty. Ja także. A przynajmniej na tyle, by dawać Gunnerowi to, czego chce. Tak jak ci powiedziałem w Taos. — Wyprostował się, wciskając ręce w kieszenie tuniki. — Niech więc pan uważa, panie Tryon. — Na sekundę skierował spojrzenie swych czarnych oczu na Margaritę, a potem odwrócił się do nich plecami i niemalże wybiegł z pomieszczenia.

Margarita miała niepokojące wrażenie, że był świadkiem ich improwizacji od początku do końca. I że płakał w jej trakcie.

— Nie wiedziałem, że znasz Zeda — powiedział cicho Michael.

— Dopiero co go spotkałam. — Spojrzała w bok. Michael stał przygarbiony, dalej zaciskając pięści. Zły? Może był wystarczająco duży i pewny siebie, by odczuwać złość. Może. — Gunner Archewald-Shen rządzi światem. A przynajmniej tak mu się wydaje. Cholera, może to nawet prawda. — Nie umiała przegnać gorzkości ze swego głosu. — Jeśli chcesz, by gliniarze dali ci spokój, bądź miły dla pana Gunnera, a on kupi ich dla ciebie.

— Sugerujesz, bym mu się podstawił? — Nie potrafiła niczego odczytać z jego twarzy.

— Aha. — Zeskoczyła ze sceny i odłożyła klawiaturę na stojak.

— To właśnie sugeruję. — A czemu by i nie ty? Czemu tylko Katrina? — O kurwa — wyszeptwała.

Michael dotknął jej ramienia.

— Przykro mi z powodu tego, co wydarzyło się między tobą a Katriną.

— A co ty o tym wiesz? — Okręciła się w miejscu, odtrącając jego dłoń. — Nie wiesz niczego!

— Wiem, że cierpisz — westchnął. — Wiem, jak to jest.

— Naprawdę. — Chciała, by zabrzmiało to zjadliwie, lecz udało jej się jedynie zawrzeć w tych słowach swój smutek. — Chodzi ci o Xię?

— Nie tylko o nią.

Spojrzała mu w oczy, dostrzegając ból ukryty pod współczuciem, dostrzegając lata niczym warstwy starych liści pod drzewami. Tyle lat. Tyle śmiechu, tyle łez. „Cierpienie”. Tak powiedział Zed, opisując Kamienie Michaela. Czy cierpisz, Michaelu Tryon?

— Kim jesteś? — zapytała cicho. — „Mój ojciec”. Co to znaczy?

— Nie wiem, co to znaczy — odpowiedział, wytrzymując jej spojrzenie. — Chyba właśnie to usiłuję zrozumieć. Chciałem przez to powiedzieć, że jesteś bardzo dobra. A ja jestem... dumny. — Zrobił dziwną minę, niezupełnie uśmiech, ale prawie. — Zabrzmiało protekcjonalnie, prawda? Mogłem powiedzieć, że jestem pod wrażeniem, ale to nieprawda. Jestem... dumny.

W jego głosie brzmiała niezwykła niepewność, wręcz zakłopotanie. Nie jesteś tym Michaelem Tryonem, legendarnym rzeźbiarzem, którego sobie wyobrażałam, pomyślała, nie wypowiadając tego na głos. A więc czy w rzeczywistości okazał się większy czy mniejszy niż w jej wyobraźni?

— Andy spał, kiedy do niego zająrzałem — powiedział Michael.
— Chciałem z nim porozmawiać. Mamy zostawić Dannersa w spokoju, do czasu aż skończy pracować.

— Andy strzelił sobie parę plastrów. Chyba przez jakiś czas nie powinienes go budzić — westchnęła. — Głodna jestem.

— Nie ma się co dziwić. Jest późno, a nie przypominam sobie, by zaproszono nas na obiad.

Rzeczywiście było późno. Margarita zorientowała się nagle, że musi wyteżać wzrok, by dostrzec twarz Michaela. Na górze musi się robić ciemno. Tu w dole półmrok szybko gęstniał, przechodząc w ciemność. Margarita spojrzała przez poliglas w głąb mrocznej wody i zadrzała.

— Chyba pora na kolację.

— Może Danners już skończył. Może Andy się zbudził. — Palce

Michaela zadrzały, jak gdyby chciał ją dotknąć, lecz zdusił w sobie to pragnienie.

— Dzięki za pomoc przy tekście. Zawsze... mam problemy ze słowami. — Ujęła go za rękę. — Chyba wybrałam najdłuższą drogę, żeby tu trafić — uśmiechnęła się do niego z nieoczekiwaną, niewiarogodną nieśmiałością. — Znasz krótszą drogę z powrotem?

— Aha — odwzajemnił jej uśmiech. — Znam.

Rozdział dziewiąty

Michael zaprowadził ją do centralnej kuli szerokimi, łatwymi do przejścia korytarzami. Morze pograżyło się w mrokach nocy, lecz

włókna zatopione w ścianach korytarzy wypełniały je łagodnym blaskiem. Margarita zastanowiła się przez moment, czy tunel pod koralowcami także był oświetlony. Rzeczywiście wybrała sobie kuchenne wejście, ciekawe, dlaczego Danners je tam umieścił. Przećnięcie swego cielska tym wąskim przejściem musiało być dla niego szczególnie trudne. Zed przyznał się, że nie potrafiłby odbyć tej podróży kanałem rodnym przez ciemność i rafę. Zerknęła z ukosa na Michaela, zastanawiając się, co on by na to powiedział.

Jego oczy lśniły wewnętrznym skupieniem, czoło zmarszczyło się odrobinę. Nie odzywali się do siebie ani słowem, odkąd opuścili pomieszczenie z holosceną, lecz otulające ich milczenie było dziwnie przytulne, łączyło raczej, niż odgradzało. Margarita badała w myślach jego naturę. Między nimi zalegało wiele nie wypowiedzianych słów — dwadzieścia dwa lata. Niektóre z nich być może miały jeszcze zostać powiedziane; inne na zawsze miały już pozostać martwe, dzieci niezaistniałej przeszłości. Westchnęła, a wtedy Michael spojrział na nią w końcu, uśmiechając się lekko, choć jego oczy wciąż przykrywał cień postrzeganej przez niego wizji.

— Kiepskie ze mnie towarzystwo — powiedział. — Dziękuję, że pozwoliłaś mi dzielić ze sobą tę holoturę.

— Sprawilo mi to przyjemność — odparła. I to była prawda. Świetnie się bawiła. — Gdzie się nauczyłaś pracy na scenie?

— Znałem kiedyś kobietę, która robiła holotury — uśmiechnął się do swych wspomnień. — Tarot lubiła improwizować z partnerem i nie tolerowała niezguły przy klawiaturze. Brakowało mi jej, kiedy wyjechała z Taos.

Dawna kochanka?

— Tarot?

— Tarot Delgadio. Wystawia od czasu do czasu. Też jest niezła.

— O, tak, jest dobra. — Margarita potknęła się o jedno z łagodnych wyrzusek korytarza. Tarot Delgadio była najlepsza, czołowe galerie, najnowocześniejszy sprzęt. A jej styl... Potrząsnęła głową odrobinę oszołomiona. „Też jest niezła”. Też, czyli także. Michael właśnie porównał ją do Tarot, od niechcenia i bez zastanowienia. Śmiechu warte, a powiedział to tylko dlatego, że tak naprawdę nie znał się na holoturze.

Ale i tak zrobiło jej się przyjemnie. Bardziej, niż mogłaby się spodziewać.

— Dzięki — wyszeptała.

— Nie ma za co. — W jego głosie zabrzmiała niepewność, jakby nie bardzo wiedział, za co mu dziękuje.

Margarita obejrzała się przez ramię w stronę galerii kryjącej syreni chór Kamieni.

— To taki dupek. — Przesunęła dłonią przez włosy, odrzucając grzywkę z czoła. — Jakim cudem taki dupek może być tak dobry?

— To samo pytanie i mi przyszło do głowy — przyznał Michael, uśmiechając się złośliwie. — Przez ostatnie parę lat nie zwracałem szczególnej uwagi na jego Kamienie. Używa narkotyków, by przyspieszyć tworzenie, dlatego więc go ignorowałem. Chyba zachowywałem się odrobinę świętoszkowato. — Śladowa kpina z samego siebie zabarwiła jego uśmiech. — Już mi to minęło.

— W galerii Zed powiedział jedną rzecz. Powiedział, że Danners wykorzystuje ludzi, że zawiera w Kamieniach samego siebie. Powiedział, że ty odczytujesz ludzi, że Danners nie rozumie... — Przerwała w pół zdania, dostrzegając, iż nagle zeszywniał. Ojej. Cytat z niewłaściwego klasyka? Próba odwzajemnienia komplementu nie bardzo się jej udała. Margarita skrzywiła się. — Andy się

zbudził — zauważyła szczęśliwa, że może zmienić temat. Doszli do centralnego pomieszczenia i ujrzeni go siedzącego na fotelu.

— Myślałem już, że się potopiliście. — Andy przyjrzał się im, jego twarz nadal lśniła od narkotyku i snu. — Po ciemku nie jest tu tak źle. Dasz radę wszystko załatwić i zabrać nas stąd przed świtem?

— Skrzywił się. — Moja duma nieco ucierpiała.

— Przykro mi, że nie czujesz się tutaj dobrze. — Michael wszedł do pomieszczenia i zawahał się, niemal niedostrzegalnie napinając ramiona. — Cześć, Zed. Hawk już się pojawił?

— Nie. — Zed, krzątający się w aneksie kuchennym, posłał w ich stronę zdawkowe spojrzenie. — Czasami pracuje przez całą noc. Ja bawię się w szefa kuchni. A raczej mikrofalówki.

— Cieszy mnie, że ktoś wie, gdzie jest jedzenie. — Andy przekrzywił głowę, szybkim spojrzeniem taksując Zeda od stóp do głów. — Widzę, że okolica nie jest ci obca, co? Często tu bywasz, czy po prostu jesteś taki śmiały z natury?

— Owszem, często tu bywam. Masz z tym problem? — Zed obrócił się bokiem do niego, wsuwając dłoń do kieszeni. Jego spojrzenie przeskoczyło z twarzy Andy'ego na Margaritę, a potem wyciągnął dłoń z powrotem. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Hej, jadę tam, gdzie mi każą. Jestem grzecznym chłopcem na posyłki — powiedział, odwracając się do nich plecami.

— Ja w każdym razie umieram z głodu. — Margarita padła na poduszkę i posłała Andy'emu przesłodzony uśmiech. Zed wygrał tę rundę, kowboju. — Cieszę się, że ktoś dokopał się do jedzenia.

Zed bez słów mrugnął do niej kącikiem oka.
Andy odchrząknął i spojrzał na Michaela.

— No i co? Masz to, czego chciałeś?

— Muszę tu trochę zostać. — Michael usiadł na sąsiedniej poduszce, kolana zaczynały go boleć. — Hawk uważa, że coś się na niego czai. A może po prostu popada w paranoję — westchnął, jak nigdy dotąd czując na barkach ciężar swego prawdziwego wieku. — Lepiej wracaj na powierzchnię, jeśli źle się tu czujesz.

— Może będę musiał. — Andy zmarszczył czoło i zaraz posłał Zedowi szybkie, mordercze spojrzenie. — Bez względu na to,

jak bardzo ta kapitulacja umysłu przed potęgą fizjologii rani moją dumę.

Zed uśmiechnął się złośliwie, ale powstrzymał się od komentarza.

— Ale nie uważam tego za dobry pomysł. — Andy spojrzał Michaelowi prosto w oczy. — Jeśli ktoś na was poluje, wy rzeźbiarze nie osiągacie szczególnie imponujących wyników w sztuce przetrwania. Poza tym, jeśli zabójca S'Wanny ma się tu zjawić, chciałbym przy tym być.

Powiedział to niemalże niedbałym tonem. Lecz błysk w jego oczach zaniepokoił Michaela. Było w nim coś mrocznego, narastająca obsesja, wypełniająca jego serce posępnym cieniem. Pragnienie zemsty? A może samej śmierci? Michael przymknął na moment oczy, niewidzialne motyle zatrzepotały w jego głowie, kusząc go, obiecując wieczność...

Prawie słyszał tę ciemność niczym niską, pulsującą nutę poniżej granicy słyszalności. Niczym mroczną pieśń przeplatającą się przez Kamień Dannersa. Jaka to była moc. Napiął mięśnie, pamiętając, jak bardzo pragnął rozbić szkło, zanurkować w ten mrok, by odnaleźć jego bezświatlne serce.

Nigdy nie udało mu się zawrzeć podobnej mocy w swoich Kamieniach, nieważne, co Hawk miał o tym do powiedzenia.

— Gotowe. — Zed odwrócił się od blatu, trzymając oburącz załadowaną szczerze tacę. — To tylko ser i owoce. I chleb. —

Postawił ją na niskim stoliku przy ścianie, tuż poza zasięgiem Andy'ego.

Andy powoli się przechylił, nakładając sobie na talerz kawałek sera i kilka żółtych winogron.

— Pilnujesz wyniku? — Zed mrugnął do Margarity.

— Remis. — Nie uciekła przed jego szyderczym spojrzeniem, wahając się między śmiechem a irytacją jako najodpowiedniejszą reakcją na to ich przeciąganie liny.

Michael nabrał dla siebie owoców i kawałek kruszącego się chleba.

— Posłałeś swojego pilota, by mnie skopał? — Spojrzał na Zeda.

r

— O czym ty mówisz? — Oczy Zeda zwęziły się, lecz wcześniej Michael zdążył dostrzec ognik migoczący w ich głębi.

— Myślę, że dobrze wiesz, a przynajmniej się domyśliłeś.

— Raoul był zbyt porywczy. — Zed z obliczoną na pokaz starannością odwrócił się, stawiając na stoliku talerz z kluskami. — Dlatego go zwolniłem. Nie, niczego mu nie rozkazałem. — Jego ramiona zadrżały ledwie dostrzegalnie. — Raoul winił cię za... incydent z tamtym Estevanem. Mówiłem mu, że to nie była twoja wina. Przykro mi, jeśli spotkała cię przez to jakaś krzywda.

— Spotkała. — I nie po prostu krzywda, a upadek w otchłań bez dna. A może ten czarny loch, do którego wpadł, nie miał nic wspólnego z pięściami Raoula. Może one jedynie otworzyły drzwi. Michael westchnął, świadom nagle uważnego spojrzenia Margarity, dostrzegając cienie w oczach Zeda.

— Zwolniłem go zaraz po tym, jak ciebie wysadziłem. — Zed spoglądał w wymiar ukryty przed spojrzeniem Michaela. — Nie... nie przyjął tego zbyt dobrze. Ale był porządnym facetem. Nie należy następować Gunnerowi na odciski.

Tak, Michael był pewien, że wzrok go nie mylił. Niekiedy za bezpieczeństwo trzeba było zapłacić cholerną cenę. A czym ja płaciłem, zastanowił się gorzko. Moją twórczością? Czy tyle właśnie jest warte tworzenie dobrych moren i siedzenie w przytulnym, bezpiecznym Taos? Czy to właśnie przywołało ciemność?

Nie. Uniósł głowę, słysząc tamtą mroczną nutę, czując jej przy-

ciąganie. Ta ciemność pochodziła spoza niego. Był tego pewien — prawie. Michael poczuł lodowaty dotyk na karku. Ta sama pieśń pochłonęła go po południu w pracowni Dannersa. Lód rozrastał się w jego wnętrzu, pokrywając skórę zgrubieniami. Nie jedynie podobna — ta sama. A jeśli nie była dziełem Dannersa? Żaden Kamień nie posiadał podobnego zasięgu. Gdzie się znajdowało źródło tej mrocznej nuty?

— Michael?

Zorientował się, że stoi. Margarita wpatrywała się w niego, zmarszczka niepokoju zarysowała się na jej czole.

— Muszę zamienić parę słów z Hawkiem. Zaraz wracam.

— Jeśli powiedział, że mamy mu nie przeszkadzać, tak właśnie ma być. — Zed oparł się biodrem o blat, przyglądając się mu z pofalowanym czołem. — Co cię gryzie, stary?

— Michael? — Andy spoglądał na niego spod na wpół opuszczonych powiek. — Wyglądasz trochę jak wtedy, kiedy się poznaliśmy. Michael, nic ci nie jest?

Pragnął, żeby przestali się tak na niego gapić.

— Hawk chyba jednak wie, kogo szukamy.
Andy podniósł się powoli.

— No to chodźmy go zapytać.

— Stąd do brzegu jest spory kawałek — powiedział w powietrzu Zed.

— Coś jest nie w porządku. — Margarita poderwała się ze swojej poduszki, nie odrywając spojrzenia od twarzy Michaela. — Ale co?

— Nic. — Ruszył w stronę korytarza wiodącego do pracowni Dannersa. — Muszę zapytać go o jedną rzecz.

Nazwę, określenie na tę potworną ciemność. Ktoś pozostawił ją na tamym Kamieniu niczym odcisk palca, wystarczająco potężną, by odcisnęła swe piętno na nich wszystkich. Ale co ona miała wspólnego ze S'Wanną, Yojiro czy Andre Lustikiem?

Chyba że zatopiła ich wszystkich tak jak jego. Co by było, gdyby Andy go z niej nie wyłowił?

To szaleństwo. Nikt nie umiałby zrobić czegoś takiego...

Michael pragnął zerwać się do biegu, lecz zmusił się do zwolnienia kroku. Podłoga sprężynowała pod jego stopami, wybijając go z rytmu. Obejrzał się za siebie i przekonał, że idą za nim, nawet Zed. Świetnie. Danners będzie w siódmym niebie, bez dwóch zdań. Zatrzymał się przed wejściem do pracowni. Było zamknięte, zablokowane zwieraczem z przezroczystego plastiku. Za nim studio spowiadał mrok, rozjaśniany jedynie upiornym blaskiem fosforyzujących gąbek obrastających kulę w kilku miejscach. Michael utkwiał wzrok w drzwiach, nie dostrzegając niczego, co przypominałoby zamek czy panel sterowniczy.

— Sezamie, otwórz się — powiedział zza jego pleców Zed.

Drzwi rozsunęły się wolno, chowając się w ścianach. Celowa metafora czy przypadek? Michael wkroczył do pracowni i zamarł w miejscu, słysząc w uszach łomot krwi.

Mroczna pieśń zalała go, pieszcząc twarz upiornymi palcami, wyśpiewując zapomnienie, śmierć, przestrzeń za murami śmierci, przestrzeń osiągalną jedynie przez śmierć. Poza progiem śmierci... życia... nieśmiertelności. Pieśń zwijała się niczym niewidzialne palce na jego twarzy, wślizgiwała do głowy przez oczy, nozdrza, usta, uszy, zatapiała długie paznokcie w miękkiej, szarej tkance mózgu. Powoli ciągnęła go ku sobie, obok Kamienia krzyczącego głosem Dannersa — jak mógł pomyśleć, że ta moc biła z tej zniszczonej ruiny? Michael zatrzymał się niezdarnie. Hawk poszedł tą drogą przed nim. Jego obwisłe, puste ciało spoczywało na podłodze, rozplaszczone twarzą ku ziemi. Jego głowa zwrócona była ku przeciwległej ścianie, krew rozlewała się ciemną kałużą na podłodze, falując niczym połyskliwa plama oleju na mrocznym morzu. Michael przestąpił ponad nim, zahaczając palcem o sztywną, zimną nogę.

Dalej stał dziewiczy Kamień. Zasłona leżała w nieładzie u jego stóp. Zieleń i srebro migotały w jego wnętrzu, pulsując niczym bijące serce. Wyciągał ku niemu swe długie, szponiaste palce tęsknoty, miłości i cierpienia, pieszcząc go.

— Michael! — Margarita weszła do środka tuż za nim, lecz wydawało się, że on jej nie słyszy. Zatrzymała się, czując, jak na ramiona występuje jej gęsia skórka. Tyle tu napięcia, niczym przed nadciągającą burzą, ciężkiego jak ziemia na świeżym grobie. Wzięła zdławiony oddech, dusząc się, zgmiotana tym odczuciem, pomniejszana przez nie. Jej palce się wygięły, drżąc pragnieniem wygrzebania się na powierzchnię, ucieczki.

— Margarita? — Dłoń Zeda zacisnęła się na jej ramieniu z wystarczającą siłą, by sprawić ból. — Otrząśnij się z tego.

Zamrugła i zadrżała, koncentrując spojrzenie na zacienionej

sylwetce Kamienia. Nie, ta ohydna ciemność nie pochodziła z niego.

Andy precyzyjnie się obok niej, szarawe poruszenie w upiornym blasku.

Nagle znieruchomiał i przykląkł.

— To Danners. Nie żyje.

— Kurwa. — Zed zeszywniał, obracając głowę, przeszukując mroki.

Za plecami Andy'ego Michael stał przed kolejnym Kamieniem. Margarita zrobiła jeden krok w jego stronę, czując, jak jej wnętrzności zamieniają się w płynną breję.

— Nie — powiedział Zed ochryple. — Nie dotykaj go.

Tak. Znalazła je. Źródło. Mroczna pieśń uderzała w nią, niesłychalna, wgryzając się w jej zęby, wykręcając jej kości w ciele, tak że zapragnęła krzyżeć. Michael uniósł ręce, poruszając się wolno, jakby we śnie. Wydawało się jej, że Kamień jeszcze rośnie, sięgając ku niemu milionem utkanych z cienia rąk.

— Nie! — Te słowa same wyrwały się jej z ust. — Michael, nie!
— Ruszyła ku niemu, lecz ciemność oplotła ją i powstrzymała.

Zed przemknął obok, odtrącając ją brutalnie na bok. Przeskoczył przez rozciągnięte na podłodze ciało Dannersa, obok zadartej ku górze twarzy Andy'ego, i uderzył z rozpędu w Michaela. Razem polecili w bok, wpadając na ścianę z takim impetem, że cała kula aż zadrżała.

— Światło! — ryknął Zed. — Cholera jasna, światło!
Ściany kuli rozjarzyły się opalizującym blaskiem, czyniąc morze

nieprzejrzystym, zmywając cienie potokami ciepłego światła. Zed i Michael leżeli spleceni pod ścianą. Nagle uwolniona z krępującego jej ruchy uroku, Margarita podbiegła do nich. Krew plamiła twarz Zeda i tunikę Michaela; Margarita jęknęła, ale zaraz uświadomiła sobie, że pochodziła z podłogi, z gęstniejącej kałuży mającej swe źródło w rozchlastanym gardle Dannersa.

— Mój Boże. — Głos jej drżał, gdy klękła przy Zedzie. — Co się stało? Żyje? — Dotknęła szyi Michaela i odetchnęła szybko z ulgą, wyczuwając pod palcami rytmiczne pulsowanie krwi. — Żyje.

— Chyba stracił przytomność. — Zed wyplątał się jakoś i przypnął pod ścianą. — Kiedy mu przyłożyłem. Poczułaś to?

Robił wrażenie oszołomionego i Margarita zastanowiła się przez ułamek sekundy, co można było odczytać z jej twarzy.

— Poczułam. Michael? — Dotknęła jego twarzy, poklepała go lekko po policzku. Żadnej reakcji. W przyptywie zaniepokojenia uniosła jego powiekę, by ujrzeć błysk bieli. — Może uderzył się w głowę. Zdażył dotknąć Kamienia? — Chwyliła Zeda za ramię, szarpnięta nagłym lękiem.

— Nie. — Zed pokręcił przecząco głową, przyglądając się czujnie Kamieniowi. — Już przygasa.

— To ten Kamień — wyszeptała i podniosła głowę, gdy Andy przykląkł obok nich.

— Danners jest martwy — powiedział z obojętnością zawodowca. — Wygląda na to, że poderżnął sobie gardło. W każdym razie w dłoni trzyma nóż. — Przeniósł spojrzenie na Zeda.

Zed zacisnął usta. Wsunął dłoń pod tunikę i wyćwiczonym ruchem nadgarstka wyciągnął stalowe ostrze.

— Mój jest tutaj. — Delikatnie obrócił jego ostrze w stronę lewego oka Andy'ego. — Świeżutki i czysty.

— Prawdę mówiąc, niczego nie sugerowałem. — Głos Andy'ego był wręcz łagodny. — Po prostu jesteś odrobinę blady. Dobrze się czujesz?

— Doskonale — warknął Zed.

Rzeczywiście był blady. Za jego plecami Danners spoczywał w kałuży własnej krwi. Margarita widywała już takie sceny w barrio: ów pozbawiony elegancji, niezgrabny bezruch śmierci. Zawsze to nią wstrząsało — tak cienka linia oddzielała życie od śmierci. Margarita odtrąciła ostrze Zeda na bok, posyłając Andy'emu wściekłe spojrzenie.

— Pomóż mi wyciągnąć Michaela z tego szoku. Zabrałeś ze sobą lekarstwa?

— Jestem na wakacjach. — Z beznamiętnie poważną twarzą Andy przykucnął przy Michaelu, złapał go za ramię i zarzucił sobie na plecy. Stękając, dźwignął się na nogi i ruszył do drzwi.

Andy był silny, mimo szczupłej budowy ciała. Margarita poszła za nim, ostrożnie omijając Kamień. Mroczna muzyka przycichła.

Zed miał rację. Obejrzała się i zobaczyła, że stoi przed Kamieniem ze szklistym, nie widzącym wyrazem twarzy.

— Chodź już. — Chwyliła go za nadgarstek. — Żadne z nas nie powinno tu zostawać.

— Nie bój się, już po wszystkim — powiedział niewyraźnym głosem. Zamrugał, nagle koncentrując spojrzenie na jej twarzy. — Chyba powinniśmy obudzić twojego ojca. Natychmiast. On nie uderzył się w głowę.

— Nie ma sprawy, zgoda, ale dlaczego? — Odetchnęła z ulgą, gdy wyszli na korytarz, a Zed zamknął za nimi drzwi. — Co się tam stało? — zapytała zdławionym głosem.

— Ty mi powiedz. — Zed popchnął ją w głąb korytarza. — Może to była jakaś pułapka? — Wzruszył ramionami. — Coś, co poraziło Dannersa tak mocno, że zabił się, by to przerwać?

A Michael? Margarita pospieszyła korytarzem do centralnego modułu, a stamtąd do sypialni. Michael leżał na wodnym łóżku w podciągniętej pod pachy tunice. Andy przyklejał niewielkie czujniki do jego szyi i piersi.

— Wszystko wydaje się w normie — powiedział, wpatrując się w trzymany w dłoni monitor. — Owszem, zawsze zabieram go ze sobą. Według mnie to nie jest jego krew. Nie dostrzegam żadnych sińców, które mogłyby wskazywać, że ogłuszył się, wpadając na ścianę. — Zaczął odczepiać czujniki od skóry Michaela, krzywiąc się na widok krwawych plam na swych dłoniach i ubraniu. — Pójdę się ogarnąć. Przepluczę sobie tunikę, chyba że pranie też robisz. — Uniósł jedną brew w stronę Zeda.

— Pierdol się. — Zed prześlizgnął się obok niego, jego twarz wciąż pokrywała bledość. — Co z nim? — zapytał Margaritę.

— Nie wiem. — Lęk narastał w niej, nadymając się niczym balon. Przysiadła na ramie łóżka, wzbudzając fale, które przebiegły przez materac, poruszając łagodnie Michaela. To przywiodło jej na myśl ciało, które widziała pewnej nocy z kuzynami na ulicy: mężczyznę unoszącego się na wodach portu Los Angeles, kołyszącego się pod pomostem w wianuszkach szumowin i śmiecia. — Michael? — Chwyliła go za ramię. — Michael, obudź się!

Bała się o niego. Zaledwie parę dni upłynęło, odkąd zastukał do jej drzwi i wszedł do środka, by osunąć się na ich poduszki. Była zła. Rozgoryczona. A teraz... bała się. Nie chciała się bać, nie chciała, by coś dla niej znaczył.

— Michael? — Uderzyła go lekko w policzek, powtarzając sobie w myślach, że Michael nic dla niej nie znaczy, nie ma z nią nic wspólnego. Kłamstwo. — Obudź się — powiedziała i uderzyła

mocniej. — Obudź się!

„Obudź się...”

Słowa dryfowały nieskończenie przez ciemność otulającą Michaela, falując, obracając się, opadając niczym liście ku ciasnemu kącikowi, w którym znalazł schronienie. „Obudź się...” Głos Margarity? Przywołujący go? Chciał jej powiedzieć, by go zostawiła w spokoju, lecz tu, w dole, nie było miejsca na słowa, jedynie miejsce dla niego.

„Michael...?”

Jej głos szarpał go, pociągał, holował ku górze, ku tamtej niebezpiecznej ciemności. Opierał się mu, bo tam była...

...wiedza.

...poznanie.

...zrozumienie.

Wijąc się, walczył, by ją wygłuszyć, raz jeszcze zagrzebać się i ukryć, ponieważ nie chciał wiedzieć.

— Cholera jasna, zbudź się!

Łzy? Nad nim? Nie. Nie powinna nad nim płakać. Jego usta uformowały słowa, a ich ruch wyrwał go z kryjówki, wywłócił z otchłani niczym jedno ze świetlistych stworzeń, którymi zaludnili holoscenę. I jakimś sposobem... ominął ciemność. Zakotwiczony jej głosem, wymknął się jej. Z westchnieniem rozwarł powieki.

Jej twarz oddalona była od niego o kilka centymetrów. Tak bardzo przypominała Xię. Łzy wezbrały nagłą falą w jego piersi, dławiąc gardło. „Tak bym chciał...” Na wpół ukształtowane słowa odleciały w nicość.

— Już... dobrze — wyszeptał.

— Nie, wcale nie. Wystraszyłeś mnie do nieprzytomności. — Wyprostowała się, chwytając go za rękę i ściskając mocno. — Nic ci nie jest? — Potrząsnęła głową i sapnęła z irytacją. — Michael, co się tam stało?

Co takiego wyczuwał pod tą powierzchowną irytacją? „Tak bym chciał...” Czego takiego chciał? Michael zamknął oczy, był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać. Przeszłość pozostawała poza jego zasięgiem, odległa o dwadzieścia dwa lata. Był pusty, próżny, sam worek obwisłej skóry, wyspany do czysta i odrzucony na

śmietnik.

— Michael? — Zaciśnęła palce wokół jego dłoni, wbijając paznokcie tak mocno, że aż się skrzywił.

— Jestem tutaj. — Otworzył oczy, dziwiąc się ciężarowi swych powiek.

— Co się tam stało? — Nie puszczała jego dłoni. — Danners nie żyje. Odebrał sobie życie.

Nie żyje. Ano tak, nie żyje. To oczywiste.

— To ten Kamień. — Zed pochylił się nad nim, spoglądając ponad ramieniem Margarity. Na jego szarej twarzy rysowało się napięcie. — To on go zabił.

— Tak — wyszeptał Michael. Rozpoznał cienie w oczach Zeda, ślady tamtej ciemności. — Ty też? — wyszeptał.

— Wszyscy chyba to poczuliśmy. — Margarita posłała Zedowi szybkie, karcące spojrzenie. — Co to było? Przeraziło mnie.

Z jej tonu Michael poznał, ile ją kosztowało przyznanie się do tego.

— Tak, to ten Kamień — westchnął i zadrżał, przypominając sobie, jak jego mroczna pieśń sięgnęła ku niemu, by go spętać. A jeśli nadal kryła się w jego wnętrzu, na samym dnie, przyczajona? — Nie wiem, co to jest — jego głos zadrżał. Usiadł z wysiłkiem, gdyż materac chybotął się pod nim, a żołądek wysyłał ostrzegawcze sygnały. — Jakiś... rezonans. Myślałem, że pochodzi od któregoś modelu, ale myliłem się. Żaden człowiek nie ma w sobie... czegoś takiego.

— Może narkotyk na powierzchni Kamienia? — Do pomieszczenia wszedł obnażony do pasa Andy, marszcząc brwi. — Szybko działająca trucizna przenikająca przez skórę, która doprowadziła Dannersa do utraty zmysłów czy ataku manii samobójczej?

Zed prychnął obelżywie.

— Margarita i ja usłyszeliśmy to. To nie była trucizna.

— Ja niczego nie słyszałem.

— To nie był fizyczny dźwięk. Słyszałaś to? — Michael spojrzał na Margaritę, zdjęty nowym lękiem.

— „Słyszałam” nie jest właściwym określeniem. Poczułam to

w ten sam sposób. Poczułam... Kamień. — Spojrzała z ukosa na Zeda. — Był... potężny. Ale zaraz ucichł.

I dzięki Bogu, pomyślał Michael.

— To coś kryło się w tym nowym Kamieniu, tym, nad którym Hawk jeszcze nie zaczął pracować. Poczułem go dziś po południu. — Zadrżał, czując nagły chłód. — Kiedy dotykam Kamień, budzę go. Nie do końca, ale wywołuję reakcję. Nie potrafię tego powstrzymać; jestem do nich tak dostrojony, że dzieje się to automatycznie. Tak więc Hawk nie chciał, żebym go dotykał. Sądzę, że to on go zbudził. I wtedy rezonans, który został w nim umieszczony... — Zawahał się, zabrakło mu słów. — Nie pamiętam. — Spojrzał poza siebie, dostrzegając ich odbicia w poliglasie, zatapiając spojrzenie w mrocznym morzu, czując pozostałość tamtej pieśni w swym wnętrzu niczym skrzep zastygłej krwi. Czekającą na niego. — Prawie zrozumiałem, czym jest to, co sprawiło, że się zabił. Prawie to pojąłem — wyszeptał. — Nie pamiętam. Myślę, że... gdybyś zbudził Kamień zawierający kompletny rezonans, odebrałbyś sobie życie. Musiałbyś. — Powietrze zamigotało, jak gdyby niewidoczne motyle zatrzepotały nad łóżkiem, unosząc się nad jego twarzą. Ścisnął dłoń Margarity, koncentrując się na ciepłym dotyku jej ciała, przeganiając to potworne lśnienie. — Nie wiem, co to jest — wyszeptał. — Nie pochodzi... z ludzkiego modelu.

Zed odchrząknął cicho, lecz gdy Michael spojrzał na niego, ujrzał, jak odwraca twarz w bok.

— Mówisz o dotyku, a to oznacza, że wedle mnie głównym

podejrzany może być jakiś związek chemiczny. Niskocząsteczkowe peptydy są w stanie naprawdę pomieścić człowiekowi w głowie. — Andy wspierał się o ścianę z rękami splecionymi na piersi. — A co powiecie na jakąś elektroniczną częstotliwość, dostrojoną tak, by doprowadzić kogoś do obłądu?

— Nie czuleś tego. — Margarita zmarszczyła czoło nie z wątpiewaniem, a jedynie zastanawiając się głęboko. — W przeciwieństwie do mnie i Zeda. Więc to coś, co nie każdy jest w stanie poczuć.

Poczuła to, bo była jego córką. A Zed? Michael spojrzał na niego. O, tak, ciemność solidnie nim wstrząsnęła, może jeszcze mocniej niż Margarita.

— Zed, co czujesz, kiedy stoisz przy Kamieniu?

Zed zmarszczył brwi, uciekając oczami przed jego spojrzeniem.

— Jestem zmysłoczuły, jeśli o to pytasz. Trzymam ręce z daleka

od Kamieni, jakie kupuję dla Gunnera.

Michael westchnął, przypominając sobie, jak się czuł, gdy pierwszy raz zbliżył się do Kamienia. Wślizgnął się do zabezpieczonej śluzy na tyłach pracowni Anyi, miał dziewiętnaście lat, był jeszcze gówniarzem, bez celu w życiu. Wyprawiała wykończony Kamień do jakiejś galerii i wystawiła go do śluzy, na wpół zapakowany do skrzyni. Jego szara powierzchnia lśniła tysiącem ulotnych barw w zamglonym blasku poranka. Kamień nie interesował go; miał nadzieję na znalezienie jakiegoś cennego drobiazgu, który mógłby ściągnąć i sprzedać na pchlim targu.

Kamień sięgnął po niego i usidlił go. Tysiąc cichych głosów zaśpiewało do niego, przywołując go tak długo, aż podszedł do niego, by położyć dłonie na gładkochropawej powierzchni, przypominającej w dotyku jednocześnie kamień i ciało. Wtedy wessał go, rozpuszczając na tysiąc chwil spokoju, cierpienia, miłości, zatapiając w kalejdoskopie letnich wieczorów i szarych zimowych poranków, oplatając tysiącem ludzkich szeptów, nie dając mu uciec, gdy Anya zjawiała się i przyłapała go. Nie dbał o nic, zanurzony w bogatej, cudownej pieśni Kamienia.

Odciągnęła go, potem zawlokła oszołomionego i bezradnego do

pracowni, by nakarmić go świeżymi ciastkami i herbatą. Potem wezwała gliniarzy i kazała go aresztować. A po krótkim elektronicznym procesie i wyroku skazującym go na trzy lata pracy społecznej złożyła ofertę na jego kontrakt i wykupiła go od państwa. „Wypaczyłeś tamten Kamień”, powiedziała mu w dniu, kiedy furgonetka dostarczyła go pod jej drzwi w elektronicznej obroży na szyi. „Jesteś mi za niego dłużny”. Przez następne trzy lata uczyła go rzeźbić Kamienie. A do tego urabiał sobie ręce po pachy, prowadząc za nią gospodarstwo i biegając na posyłki. Kiedy obroża została wreszcie rozbrojona i mogli ją zdjąć, porąbała ją na kawałki kuchennym tasakiem, a potem splukala je do zlewu w wybuchu wściekłości.

Nigdy nie potrafił zrozumieć powodu tej wściekłości, a ona nigdy jej nie wytłumaczyła.

Gdyby dziś zginął, czy Anya byłaby rozczarowana?

Michael westchnął, nagle i intensywnie odczuwając jej brak.

— Mogłeś być rzeźbiarzem — powiedział do Zeda. Dlaczego „mogłeś”? Zed doskonale usłyszał czas przeszły w tym zdaniu i zasznurował wargi.

— Musisz być ostrożny — wyszeptał Michael. — Ty także, Margarita.

— Zawsze jestem ostrożny. — Zed przerzucił włosy przez ramię.

— Zaparzę herbatę. — Wyszedł pospiesznie, nadal przygarbiony. Zły. Michael odprowadził go wzrokiem, zastanawiając się dla-
czego.

— S'Wanna zawsze powtarzała, że pracując z bandą szajbusów, można stworzyć autentycznie straszny Kamień. — Andy wziął głę-
boki oddech, na moment odsłaniając się, ukazując swój ból. — Jesteś
pewien, że to nic w tym stylu, co? Posłuchaj, skoro ten... rezonans
nie został wzbudzony elektronicznie, skoro jego źródłem nie jest
czyjś ulubiony psychol uwieczniony w Kamieniu, to co wy, ludziska,
odbieracie? Jakies pomysły?

— Na razie nie — odpowiedział przytłumionym głosem Michael.
Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, czując przelotny zawrót głowy.

— Andy? — zawahał się. — Czy S'Wanna kupowała ostatnio jakieś
Kamienie?

— Zamawiała jeden. — Zmrużył nagle oczy. — Tuż przed tą
kłótnią, po której mnie wykopała. Nie wiem, czy zdążono go dostar-
czyć przed jej śmiercią.

A Lustik? Albo Irenę Yojiro? Michael podniósł się, podszedł do
śliskiej krzywizny ściany i wsparł się czołem o chłodny poliglas. Nie
miał jak tego sprawdzić, chyba żeby oddał się w ręce policji i uprzej-
mie zapytał.

Też kupili nowe Kamienie — był gotów się o to założyć. Może
właśnie to czynił. A stawką mogło być jego życie... i nie tylko jego.

— A jeśli wszystkie są zaopatrzone w pułapki? — Utkwił spoj-
rzenie w czarnej wodzie, dostrzegając odległe błyski poruszających
się światła. — Ich sprzedażą zajmuje się niezależnie od siebie kilka
przedsiębiorstw. Cholera jasna, kto w to uwierzy? — Zacisnął dłoń
w pięść i rąbnął nią w ścianę. Kamień Dannersa był cholernie dobry.
A teraz jego twórca był martwy. S'Wanna mogła któregoś dnia stać
się jedną z najlepszych w branży. — Niech ich szlag — wyszeptał.

— Ktokolwiek za tym stoi, niech ich szlag trafi.

— Amen — zakończyła za niego Margarita cichym, lodowatym
głosem.

— Wszystkie Kamienie pochodzą z jednego źródła. — Zed stał
w drzwiach, w jednej ręce trzymał parujący czajnik, w drugiej kubki.

— Trafiają do detalistów, ale wydobywa je jedna jedyna kompania.
To bardzo starannie zabezpieczony monopol. — Jego zęby błysnęły

białą, gdy stawiał czajnik na nocnym stoliku.

— No i czekamy na puentę. — Andy wziął do ręki kubek i nalał do niego bursztynowej herbaty. — Kto jest jej właścicielem?

— Do skażenia mogło dojść na szczeblu sprzedaży detalicznej.

— Zed zignorował go, koncentrując uwagę na Michaelu. Ten pokręcił przecząco głową.

— Kamienie są zbyt kobylaste, by przerzucać je z miejsca na miejsce. I nie dopuszcza się do nich zbyt wielu ludzi na wypadek trafienia na zmysłoczułego tragarza na jakimś placu przeładunkowym. — Skinął Zedowi głową. — Yojiro pracowała na Manhattanie. Lustik tkwił na Antarktydzie, w zamkniętym rezerwacie przyrody. Ich Kamienie na pewno pochodziły od różnych sprzedawców. —

A handlowcy prześwietlali swoich pracowników pod kątem ewentualnej zmysłowości, która mogłaby przypadkowo zbudzić dziewiczy Kamień, tak więc mroczny rezonans pozostałby niewykryty.

— W grę wchodzi tylko pierwotny dostawca — powiedział cicho.

— Vildorn BeltMining. — Spojrzenie Zeda stwardniało nagle.

— Oficjalnie to ta sama niewielka, niezależna firma, do której od zawsze należały prawa górnicze w tej części Pasa, w której odkryto Kamienie, ale to tylko przykrywką dla prawdziwego właściciela.

— A kto nim jest? — Michael przechwycił matowe spojrzenie Zeda i zgadł odpowiedź, zanim jeszcze ją usłyszał.

— Gunner Archenwald-Shen.

— Czemu mnie to nie dziwi? — Wykrzywił się Andy. — Ładną pętelkę tu mamy, Tryon. Gdzie się pojawisz, napotkasz wyszczerzoną mordkę Archenwald-Shena. Co teraz zrobisz? Zastukasz do jego drzwi z wiadomością, że ktoś gmera przy jego Kamieniach? Myślisz, że będzie chciał cię wysłuchać?

— Nie wierzysz mi, prawda? — zapytał powoli Michael.

— Względem czego? — Andy zatopił spojrzenie w trzymanym oburącz kubku. — S'Wanna nie odebrała sobie życia tylko dlatego, że dotknęła jakiegoś tam skażonego Kamienia. Przechodziła takie załamania, zanim jeszcze go zamówiła. A kiedy mnie wywaliła za drzwi, nawet go jeszcze nie dostarczono. — Odstawił herbatę gwałtownym gestem. — Myślałem, że może masz rację, podejrzewając, że ktoś się za tym kryje. Teraz nie jestem już tego taki pewien. — Westchnął ciężko. — Więc chyba nie, nie wierzę ci. Cholera —

roześmiał się urywanie. — Nawet nie wiem, do czego zmierzasz. Nie jestem pewien, czy sam to wiesz.

— Powiedział, że ten rezonans nie był dziełem człowieka — oznajmił Zed w stronę sufitu. — Nie powiedział, że jakiś kutas nie mógł go tam umieścić, skądkolwiek by pochodził.

— Nie jestem pewien — odparł Michael, zanim Andy zdążył coś powiedzieć. Potarł oczy, pod czaszką zaczynał pulsować mu ból.

— Mogę się kompletnie mylić. — Ale się nie mylił. Niemalże utonął w tej ciemności w Albuquerque, i tę samą nutę, ten sam dręczący głos usłyszał w pracowni Dannersa. — Ciekawe, czy mógłbym

odwiedzić Vildorn BeltMining bez zwracania na siebie szczególnej uwagi.

— Beznadziejna sprawa. — Zed pokręcił głową tak energicznie, że jego twarz zniknęła pod chmurą włosów. — Ludzi na platformach głównie obchodzi, czy gliniarze z powierzchni na ciebie polują, ale za to masz tam zero prywatności. Platformy to prywatne terytorium Gunnera. Tam słyszy wszystko, co tylko pragnie usłyszeć. Jeśli się ciebie nie spodziewa, będzie o tobie wiedział w przeciągu dnia. W przeciwnym razie wystarczy mu dziesięć minut.

— Mam nadzieję, że się mnie nie spodziewa.

— Naprawdę do ciebie nie dociera—powiedział Zed z nieskończoną cierpliwością w głosie, jak gdyby rozmawiał z upośledzonym dzieckiem. — W ciągu jednego dnia nie można dotrzeć do rejonu wydobywczego. Może w tydzień, jeśli masz odpowiednie kontakty. Górnicy ładują Kamienie do modułów transportowych i zrzucają je studnią grawitacyjną na orbitę towarową. Wyrzutnia strąca moduły do oceanu, gdzie następuje przechwycenie ładunku. Platformy nie biorą w tym procesie żadnego udziału.

— Skąd ty to wiesz?

Nagły chłód ściał twarz Zeda.

— Gunner wynajął mnie do zarządzania kluczowymi inwestycjami i doglądania peryferyjnych. Jestem w tym dobry, choć nie musisz mi wierzyć. — Nawet nie spojrzął na Andy'ego. — Wydobywaniu Kamieni poświęca szczególnie dużo uwagi. To kopalnia pieniędzy, a jej nabycie stanowiło... osobisty sukces.

Michael poczuł, że się rumieni. Tak łatwo było wyciągnąć pochopne wnioski, zarzucić maskę na czyjąś twarz i zaprzestać poszukiwania skrytej pod nią prawdziwej osobowości. A już sądził, że jego to nie dotyczy.

— Przepraszam — powiedział cicho.

— Mógłbym zorganizować ci podróż do rejonu wydobywczego. I to krócej niż w ciągu dwudziestu czterech godzin. Pamiętaj, że jestem chłopcem Archenwald-Shena. — Gorycz zabarwiła głos Zeda. — Mogę się dostać, gdzie mi tylko przyjdzie ochota, tak szybko, jak tylko muszę. To moja oferta.

— Dlaczego? — Michael odwzajemnił jego spojrzenie, mając wrażenie, jakby spoglądał ponad krawędzią urwiska w toń bezdennego, zielonego morza. — W odpowiednim momencie wszystko wychłapiesz, prawda?

— Czyżby? — Zed przybrał afektowaną pozę, szarpnięciem głowy odrzucając włosy na plecy. — A może nie doceniasz moich uroków?

Andy chrząknął zniesmaczony.

— Teraz powinniśmy raczej poświęcić odrobinę uwagi faktowi, że mamy tutaj martwego rzeźbiarza — burknął. — Jakieś inteligentne propozycje co teraz powinniśmy zrobić?

— Aha. — Margarita utkwiała wzrok w czajniku. Danners leżał kilkanaście metrów od nich, martwy, w kałuży krwi. Nie sięgnęła po kubek. — Chyba pora na powrót do rzeczywistości. I mam nadzieję, że któryś z panów bystrzaków zdążył już wszystko rozpracować, bo ja nie mam najmniejszego pojęcia, co począć, cholera jasna. Zawiadomcie mnie, kiedy coś wymyślicie. — Wzięła kubek do ręki i wyslizgnęła się z pomieszczenia.

Coś ją gryzło. Michael odprowadził ją wzrokiem, pragnąc przywołać z powrotem, lecz zawahał się w ostatniej chwili. Może po prostu nie chciała się w to mieszać i próbowała znaleźć właściwe słowa, by mu to powiedzieć. Andy ponownie wydał odgłos świadczący o jego zniesmaczeniu i poszedł w ślady Margarity. By zastanowić się nad następnym posunięciem? Michael miał taką nadzieję. Był zbyt zmęczony, by choćby próbować. Usiadł z westchnieniem na pokrytej dywanami podłodze, opierając się plecami o oszklony ocean.

— Proszę. — Zed podał mu kubek letniej herbaty. — Chyba ci się to przyda.

— Dzięki. — Jego ramiona pokryły się gęsią skórą, w miarę jak powolny chłód morza przesączał się przez poliglasową ścianę. W tym, co poczuł, można było się zatracić. Albo odnaleźć. Znaleźć... coś.

— Przywołuje cię, prawda? — Zed odezwał się tak cicho, że

Michael ledwie go usłyszał. — Ta ciemność kryje się w nas, nie tylko

w tym Kamieniu. Spoczywa zagrzebana głęboko w jakiejś jamie, do której wszyscy boimy się zajrzeć, chociaż pragniemy. O, tak, tak bardzo pragniemy tam zajrzeć, może wrzucić parę kamyczków, posłuchać, jak uderzają o dno, wyteżając wzrok, na wypadek gdyby coś się tam poruszyło. Ale nie śmiemy tego dotknąć. Boimy się kontaktu. — Pstryknął dwukrotnie palcami, gasząc światła w pomieszczeniu, wpuszczając do niego mrok morza. Konstelacje żywych światełek skrzyły się wśród pustki, wypełniając kulę bladym, niesamowitym blaskiem. — Ten głos nawołuje właśnie stamtąd. — Jego szept dobiegał znikąd i zewsząd zarazem. — Może czekał tam przez cały ten czas, tylko my po prostu go nie słyszeliśmy. Teraz go słyszysz. Ty też, prawda? Ty także pragniesz go dotknąć.

— Tak — wyszeptał Michael. To dlatego lecimy na Vildorn, pomyślał, i zrozumiał, że nie mógłby uczynić niczego innego, być może podobnie jak Zed. Gdyż byli przywoływani i, owszem, pragnął go dotknąć. Potrzebował tego dotyku. — Mogłeś być cholernie dobrym rzeźbiarzem — powiedział cicho. „Mogłeś być”. Znowu czas przeszły, nieświadomie i nieuniknienie. — Zed? — Cisza. Michael wyteżał słuch, lecz słyszał jedynie przytłumiony szmer powietrza w systemie wentylacyjnym.

Powoli dźwignął się na nogi, przytłoczony ciężarem przypominającym żal. Żal za kim? Dannersem, martwym w swej pracowni, który już nigdy nie wyrzeźbi następnego Kamienia?

A może za Zedem, który nigdy nie wyrzeźbi żadnego?

Ławica mątów, upstrzonych fosforyzującymi plamkami, przemknęła wzdłuż ściany. Michael wyprostował się, otoczony tętniącą życiem morską nocą. Pora na zaplanowanie swojej rzeczywistości, postanowienie, dokąd teraz się udać, z kim i jak. Nie musiał się spieszyć. Powoli podążył wzdłuż niewidocznej ściany w stronę wyjścia.

Ten mroczny głos zaczeka na niego.

Rozdział dziesiąty

Margarita zwinęła się w jednym z foteli Dannersa, czując wewnętrzny chłód, choć w kopule panowała wiosenna temperatura. Plamki krwi, już nabierające rdzawobrazowego koloru, pstrzyły przód jej tuniki. W jej życiu było już tak wiele krwi. Opuszczając barrio, zamierzała pozostawić ją za sobą, lecz może było to coś uniwersalnego. Przemoc. Śmierć. Część ludzkiej psychiki. Zamknęła oczy, a wtedy w jej głowie rozwinęła się „Kryształowa”. Niezła, ale być może zbyt subtelna. Może powinna bić nią ludzi po oczach: zajrzyj do środka, koleś, spójrz w głąb tej studni. Hej, kotku, tam

w środku ktoś czai się z odłamkiem kości, gotów zadać śmiertelny cios. Spójrz w tę twarz, zobacz tę żądzę krwi, głód bólu i krwi. Jej palce drżały, wystukując polecenia na udzie. Taak, woń miedzi niczym krwi, doprawiona starym mięsem. Mosiężne słońce, ostre cienie. Cienie, które po bliższym przyjrzeniu okazują się otworami.

Jesteśmy ciemnością. Zaglądamy przerażeni w głąb tej studni, by znaleźć na jej dnie nasze własne twarze...

Do pomieszczenia wszedł Zed, niosąc czajnik i brudne kubki.

— Wiesz co, chyba powinniśmy porozmawiać — odezwał się Andy, przeciągając poszczególne wyrazy. — Za ścianą mamy trupa.

Margarita przyglądała się Zedowi, który w milczeniu wstawiał naczynia do zmywarki.

— Zadzwon po gliniarzy — zasugerowała.

— No, tak. — Andy zmierzył ją uważnym wzrokiem. — Prędzej czy później będziemy musieli pomyśleć i o tym.

— Opuść sobie to „prędzej czy później”. — Posłała mu wściekłe spojrzenie. — A co innego nam pozostało?

— Najpierw Tryon i ja musimy stąd zniknąć. — Zed rzucił się na stertę poduszek i przymknął oczy. — Potem róbcie, co chcecie.

— W żadnym wypadku. — Margarita przeniosła spojrzenie na niego. — Michael i bez tego ma dosyć kłopotów. Nie zabił Dannersa. Dlaczego miałby uciekać?

— Jesteś pewna, że tego nie zrobił? — zapytał Andy cichym, przenikliwie lodowatym głosem.

Drżąc lekko, spojrzała mu w oczy. Zimne jak stal. Nieustępliwe.

— Tak. — Słowa same znalazły sobie drogę z jej gardła na zewnątrz.

— To dobrze. — Odwrócił głowę, wyraz jego twarzy znamionował głęboki niepokój. — Myślę, że Danners naprawdę popełnił samobójstwo. Tak samo jak S'Wanna.

— A więc tym razem badania laboratoryjne oczyszczą go z podejrzeń i będzie mógł skończyć z ucieczką przed gliniarzami. — Mój Boże, pomyślała Margarita, tłumiąc kulawy chichot. Proszę, proszę, teraz to ja proponuję wezwanie policji. Kuzyni nieźle by ją za to stłukli. — Poszukam terminalu. — Podniosła się z fotela.

— Lepiej tego nie rób. — Zed nawet nie otworzył oczu. Margarita spojrzała na niego wyczekująco. Nie patrzył w jej stronę, równie dobrze mógł być pogrążony we śnie. Śmieć.

— A to dlaczego? — wypluła z siebie.

— Bo ostatnim razem to Gunner opłacił tango twojego ojca z siłami porządku społecznego. Mówiłem mu, że Gunner jeszcze z nim nie skończył. W oczekiwaniu na wyniki badań wylądował w więzieniu, bez możliwości wyjścia za kaucją, bo raz już uciekł z policyjnego samochodu. A wtedy, jeśli Gunner wpadnie w zły nastrój, będzie go miał pod ręką, by sobie ulżyć. — Zed mrugnął do niej, na jego twarz wypłynął drapieżny uśmiech. — Gunner bywa brutalny.

— Skąd wiesz? — warknęła Margarita.

— To ja wszystko zorganizowałem — uśmiechnął się. — Mówiłem ci. Zajmuję się jego kluczowymi interesami.

— Wiesz co, chyba powinnam była złamać ci ten nadgarstek.

— Zapewne tak. — Zed wyszczerzył się jeszcze szerzej. — Ale tego nie zrobiłaś, a teraz twój zdrowy rozsądek ci na to nie pozwoli.

— Zed i ja musimy wyjechać przed przybyciem policji. — W drzwiach stał Michael, błądy i bardzo zmęczony na twarzy.

— Michael, nie możesz tego zrobić. — Margarita zerwała się na równe nogi. — Nie słyszałeś, co on powiedział? — Spiorunowała wzrokiem wciąż uśmiechniętego Zeda. — To jego robota. To on zorganizował aresztowanie ciebie, to przed jego knowaniami ucie-

kałeś, kiedy zjawiłeś się w naszym mieszkaniu. — Nie tak, nie w „naszym” mieszkaniu. Już nie. To nagłe, gorzkie zrozumienie szarpnęło ją, zdławiło głos w krtani.

— Nie złość się na mnie, Margarita. — Michael wpatrywał się w nią nieodgadnionym wzrokiem. — Jeśli nie podążę za tym aż do źródła, skończę jak Hawk. Tym razem niewiele brakowało. Rozpoczynając pracę nad każdym nowym Kamieniem, będę zagrożony.

W takim razie skończ z tym. Otworzyła usta, by to powiedzieć, lecz tylko zamknęła je bez słów. „Skończ z tym”. Co by się stało, gdyby Katrina powiedziała do niej coś takiego podczas któregoś ze szczególnie trudnych dni? Nigdy tego nie zrobiła. Jeśli nawet o tym myślała, zbyt dobrze to przed nią ukrywała.

— Ja... przepraszam. — Michael uciekł wzrokiem w bok. — Chciałem spędzić z tobą więcej czasu.

Czyli wierzył w to, że tak czy owak skończy jak Danners.

— Możesz zabrać się z nami. — Zed przekrzywił głowę w jej kierunku. — W kupie weselej.

Jasne. Margarita odwróciła się plecami do nich obu.

— Róbcie, co chcecie, mnie to nie obchodzi.

Andy wyglądał tak, jakby chciał się odezwać, a ona nie miała ochoty tego słuchać. Wymknęła się na korytarz prowadzący do galerii, krąg światła przesunął się o krok przed nią, w miarę jak system wykrywał jej obecność i uruchamiał oświetlenie. Do diabła z Michaeliem Tryonem. Do diabła z nim i jego włożeniem z butami w jej życie. Wszystko było już poukładane — jeden plemnik, któremu się poszczęściło, nie miał najmniejszego znaczenia, żadnego wpływu na to, czym ani kim była. Chciała móc powiedzieć sobie, że nadal pozostaje to bez znaczenia, ale coś wydarzyło się na tamtej holoscenie.

Gdyby zdecydowała się towarzyszyć mu w szaleńczej wyprawie, cholera wie dokąd, porzuciłaby Katrinę. Na zawsze, wyszeptał głos w jej głowie.

Ale skąd można było wiedzieć cokolwiek o „na zawsze”. „Na zawsze” było frazą bez znaczenia, niezobowiązującą obietnicą, re-

zerwowaną na bardziej udane randki. Katrina nigdy jej tego nie obiecywała.

Ani o to nie prosiła.

Coś się zmieniło. Między nią a Michaeliem. Między nią a Katri-
ną? Margarita skręciła w lewą odnogę korytarza i znalazła się w niewielkim, wypełnionym poduszkami pomieszczeniu, w którym odkryła wylot biegnącego pod koralowcami tunelu.

Teraz ział czernią zza poduszek, krąg zdumienia obejmujący gardło ciemności. „Prosisz mnie, bym dokonała wyboru”, wyszeptała Margarita. „A ja nie potrafię”. W dodatku tak naprawdę nie miała żadnego wyboru. Pochyliła głowę, łyzy napierały gorącym przypływem na powieki. Nic nie miało znaczenia, oprócz tamtego tańca świateł, dźwięków i zapachów. Ani nikt. Pozwól im odejść, obojgu, oddaj się swojej sztuce, bo tylko ona się liczy, może tylko ona istnieje. Jest potencjalnie wszystkim. Może ta studnia bez dna, to źródło, jest samotnością...

Ktoś dotknął jej ramienia i obróciła się ze zdławionym okrzykiem.

— Nie chciałem cię wystraszyć. — Dłoń Michaela spoczęła łagodnie na jej ramieniu. — Poduszki tłumią kroki. Nie oczekuję od ciebie żadnego wyboru.

Jego głos był przesycony cholernie głębokim smutkiem. Chciała się na niego rozzłościć, wkurwić się za to, że manipuluje nią, wykorzystując swój ból, ale złość nie przychodziła. I nie manipulował nią. On także cierpiał. Zamknęła oczy, przypominając sobie jego słowa z holosceny. Ich głosy splecione w duecie, intymną harmonię tonu i treści. Modulowaną wspólnymi genami? I co to, do cholery, miało znaczyć? Też jesteś samotny?, prawie zapytała. Czy to stąd biorą się twoje Kamienie? Czy taką właśnie cenę trzeba za to zapłacić?

Wzięła rozdygotany oddech, szukając w jego twarzy śladów siebie samej. Ale nawet gdyby tam były, nie dopuściłaby ich do swojej świadomości.

— Pojechałabym z tobą. Naprawdę bym pojechała, ale Katrina ma kłopoty. — Przełknęła odruchowo, przypominając sobie bryzgi krzepnącej krwi na lśniących, metalowych łańcuchach. — Nie wiem, co mogę zrobić. Nie wiem, czy coś w ogóle mogę zrobić, ale, cholera

jasna, nie mogę tak po prostu odpuścić. Katrina i ja... — Spojrzała mu w twarz, nagle dostrzegając w niej obcego człowieka, mężczyznę, którego właściwie zupełnie nie знаła.

— Jesteście kochankami — dokończył za nią, jakby to było coś oczywistego. — Kochasz ją. Co to za kłopoty?

— Ja... — Łzy zaskoczyły ją, piekąc w oczy, przelewając się na policzki, gdy zawzięcie próbowała je powstrzymać. Wziął ją w ramiona i przez moment stawiała opór, zaciskając pięści, napinając mięśnie. — Nie wiem. — Słowa wyrwały się z niej nieproszone. — Ale jeden człowiek już zginął, a... — A Katrina nie wierzyła w nią na tyle, by pozwolić jej na samodzielny podbój świata. Świadomość tego faktu przyniosła ze sobą rozpacz, straszliwą i absolutną. Może jedynymi ludźmi, którzy mogą naprawdę cię skrzywdzić, są ci, których prawdziwie kochasz. Pierwszy szloch wydarł się z jej gardła, przesywając ciało spazmem bólu.

Nie starczyło jej energii na odepchnięcie Michaela, ukryła więc twarz w jego ramieniu, ramieniu obcego człowieka, więcej i zarazem mniej niż obcego. Płacz sprawiał jej ból. Kamiennie twarde i kanciasty, pozostawiał na niej sińce. Może prawdziwą wartość jakiejś rzeczy poznawało się dopiero po jej zniszczeniu. Targający nią szloch przycichł po chwili, przechodząc z wolna w urywane spazmy i rozedrganą słabość, wślizgującą się w kolana i grożącą ich ugięciem. W końcu z dygotem zaczerpnęła powietrza w płuca. Wspierała

się o Michaela, przyciskając twarz do jego ramienia, nadal zamknięta w jego objęciach, ciepłych i niosących ulgę. Bezskutecznie spróbowała się uwolnić.

— Tak mi przykro. — Nie puścił jej; przyciskał policzek do jej włosów, szepcząc łagodnie wprost do jej ucha. — Chciałbym, by wszystko potoczyło się inaczej. Szkoda, że Xia mi nie powiedziała. Szkoda, że odeszła. — W jego cichym śmiechu iskrzyło cierpienie. — Sam nie wiem. Może coś by z tego jednak wyszło. Gdy oglądamy się za siebie, naprawa przeszłych błędów wydaje się taka prosta. Może Xia miała rację. — Poglądził ją delikatnie po plecach. — Może byłbym do dupy jako ojciec. Może na zawsze zniechęciłbym cię do sztuki. W tamtym czasie byłem niezłym egoistą. — Znow roześmiał

się w ten sam sposób. — Tak myślę, że zmieniłem się dopiero parę tygodni temu. Dopiero duch Estevana mnie obudził.

— Kochałeś ją? — wyszeptła Margarita. — Xie? To było autentyczne?

Z korytarza dobiegło pogwizdywanie. Michael nie odpowiedział, lecz nadal trzymał Margaritę w ramionach, gdy pojawił się Zed. W cieniach zalegających za holosceną potrafił poruszać się tak bezszelestnie. Jego gwizdanie brzmiało sztucznie i Margaricie przyszło nagle do głowy, że być może stał na korytarzu, kiedy ona płakała, a potem wycofał się ukradkiem, by powrócić z hałasem. Gniew zbudził się, przygasł i ucichł. Jakie to miało znaczenie?

Na twarzy Zeda brakowało zwykłego, przemądrzałego uśmiešku.

— Andy siedzi przed terminalem i dzwoni po gliniarzy. — Zerknął na Margaritę, a potem przeniósł spojrzenie na Michaela. — Pora na nas.

— Aha. — Ramię Michaela napięło się na moment wokół niej.

— Pewnie tak. — W jego oczach odbijała się przeżywana teraz męka. — Chcę zostać. Muszę jechać, Margarita.

— Wiem. — Nic innego nie mogła powiedzieć.

— Z którą galerią współpracujesz? — Trzymał ją za rękę, gdy szli korytarzem za Zedem. — Gdybym chciał cię odszukać.

— Z Yamadą. — Ta nazwa pozostawiła goryczkę na jej języku.

— Przynajmniej na razie.

— Gunner jest właścicielem Yamady. — Zed obejrzał się przez ramię z zamyśloną twarzą. — To jeszcze jedna z jego kluczowych

inwestycji.

— Archenwald-Shen jest właścicielem prawie wszystkiego, co?

— wykrzywił się Michael.

— Mniej więcej. — Zed strzelił palcami. — Espinoza. „Kryształowa: Pęknięcie”. — Obdarzył ją szybkim, enigmatycznym spojrzeniem. — Powinienem być sobie skojarzyć.

Może rzeczywiście prowadził wszystkie interesy Archenwald-Shena. Zerknęła w jego stronę. Przynajmniej miał dobrą pamięć.

— Ari Yiassis mnie wprowadził. — Goryczka przesączyła się w jej słowa. — Dlatego nie wiem, jak długo u nich zostanę.

— „Kryształowa” mi się podobała. Powinienem był rozpoznać twój styl na scenie. — Wzruszył ramionami, szarpnął krótko głową. — Pewnie to dlatego stało się inaczej, że byliście tam razem.

Wszedł w „Kryształową”? Zatopiła spojrzenie w czarnym strumieniu jego włosów, szczupłych ramionach, niepewna swych odczuć w tym względzie. Jej opinia na temat tego śmiecia rozsypywała się na drobne kawałki.

— Zastanawiałem się, czy pokazać to Gunnerowi — ciągnął dalej Zed. — Mógłby być zainteresowany.

— Za jaką cenę? — zapytała, czując wokół palców tężejący uścisk Michaela.

— Gdyby w grę wchodziła jakaś cena, powiedziałbym ci bez ogródek. I byłaby ona bardzo słona, panienko. Za niektóre rzeczy pobieram prowizję, za inne nie. — Obejrzał się na nią, urażony i dumny zarazem. — Gunner nie przepada za holoturą, nawet jeśli jest naprawdę dobra.

Margarita się zaczerwieniła, nieoczekiwanie i kompletnie zawstydzona.

— Przepraszam cię, Zed.

Zatrzymał się tak nagle, że niemalże wpadła na niego. Potem obrócił się do niej, zamiatając włosami, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Dziękuję. — Znów odwrócił się do niej plecami i ruszył zwawo przed siebie. — Strata Ariego nie była szczególnie dotkliwa, wedle mnie, oczywiście. Nie lubiłem towaru, który wystawiał, ale sprzedawał się dobrze.

Chłodne epitafium, choć sam zmarły był dupkiem.

— Kto go zabił? — Margarita uświadomiła sobie, iż w pewnym stopniu oczekiwała, że Zed to wie, i zadrżała. O, nie, ten człowiek nie był tym, za kogo go brała — na sprzedaż za najwyższą wylicytowaną cenę. Mógł sprzedać jakąś część siebie, ale to on zdecydował jaką. I co zatrzyma dla siebie.

Zed najwyraźniej nie poczuł się dotknięty jej pytaniem, jak gdyby było całkowicie stosowne.

— Nie wiem, kto go zabił. Podejrzewam, że Gunner chciałby się tego dowiedzieć. To nie powinno być trudne. — Znow błysnął drapieżny uśmiech. — Facet straszliwie to spieprzył.

— Zed... — przerwała, wyczuwając nagle skupienie uwagi Michaela, zduszając zalewającą ją falę nadziei. — Ktokolwiek zabił Ariego Yiassisa, może teraz szukać mojej przyjaciółki, Katriny Luomy. Przechowywała dla niego jakieś dane. Nie wiedziała, że to coś ważnego; wyświadczała mu przysługę. — Przysługę będącą częścią opłaty za platformę na pierwszym piętrze, bo sam jej tyłek nie wystarczył. Margarita gwałtownie nabrała powietrza w płuca. — Gdyby Archenwald-Shen posłał kogoś... by ją obserwował, mógłby złapać zabójcę Ariego.

— Obserwował, co? Jakie dane? — Zed zwolnił, gdy przed nimi pojawił się wylot korytarza.

— Nie wiem. Myślę, że Katrina także tego nie wie. Może jedynie zabójca wie. — Dotarli do hangaru ścigacza. Woń morza otuliła ich wilgocią, gdy zstąpili na stalową siatkę. Sterniczka siedziała na zamkniętym luku ścigacza, trzymając na kolanach przenośny czytnik. — Dane ukryte były w naszyjniku, który... ukradziono. — Nie ma sensu podawać mu imienia Xii. — Zniknął, ale kto w to uwierzy?

— Dobre pytanie. — Beznamiętne spojrzenie Zeda przesunęło się z Margarity na Michaela. — Gotowa? — zawołał do sterniczki.

Ta skinęła twierdząco głową i podniosła się, balansując lekko na pancерzu ścigacza.

— To znowu ty. — Wskazała podbródkiem na Michaela. Złapał w locie rzucony mu plaster z narkotykiem. Najwyraźniej nie miała pojęcia, że coś się stało, i była gotowa

wykonywać polecenia Zeda.

— Zed? — Margarita zaczekała, by obrócić się ku niej. —
Powtórzysz Shenowi, co ci powiedziałam? O Katrinie Luomie?

— Ty mnie prosisz? — Zrobił jeden duży krok w jej stronę. —
Mnie? — powtórzył miękko.

— Tak. — Wytrzymała jego spojrzenie, walcząc z pragnieniem
skierowania wzroku gdzie indziej. Zielony ogień tlił się w otchłani

jego oczu, czuła ciepło bijące od skóry, jak gdyby gdzieś w jego
wnętrzu kryło się rozżarzone palenisko. — Proszę cię.

— To ci dopiero odmiana sytuacji — powiedział jedwabistym
głosem. — Jestem odrobinę zaskoczony.

Błady siniak na policzku, ślad po jej uderzeniu, był wyraźnie
widoczny. Nie, to był stary siniec, i to nie jeden, pożółkły, prawie
niewidoczny na śniadej skórze.

— Chcesz mnie uderzyć? — zapytała cicho. — Twoja kolej?
A może wolisz, żebym padła na kolana i błagała? — Z trudem
przełknęła ślinę. — Zrobię to. — Tyle była winna Katrinie. Była jej
winna znacznie więcej.

— Zed? — Michael położył mu dłoń na ramieniu.
Ignorując Michaela, Zed nie odrywał spojrzenia od twarzy Mar-
garity.

— Kusząca oferta. — Na jego twarz powoli wypląnął łagodny
uśmiech, gasnąc gwałtownie. — Przykro mi, ale nie poproszę go, by
uratował twoją kochankę. Owszem, za taką przysługę należałoby
zapłacić, ale cena byłaby poza twoim zasięgiem. — Uśmiech powró-
cił, tym razem twardy niczym rzeźbiona maska. — Wiesz co? Sama
go poproś. Załatwię ci pięć minut z nim, a to cholernie cenny prezent.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, teraz skutej arktycznym chłó-
dem. Margarita odwróciła wzrok i zadrżała, zastanawiając się nagle,
jak dalece nie doceniła Zeda.

— Przyjmę go. — Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.
— Dziękuję.

— Nie ma za co — wyszczerzył się. — Suka. — Odwrócił się
do Michaela. — Ruszajmy, naprawdę musimy już się zmywać.

— A co z Andym? — Michael ociągał się ze zmarszczonym
czołem. — Policja nieźle go przycisnie.

— Sam tego chciał. I jest czysty — uśmiechnął się szeroko do Michaela. — Kazał ci powiedzieć, że jesteś jego dłużnikiem. Nie wiem, czego sobie zażyczy w zamian. Może twojego pierwородnego syna. — Wykrzywił się kpiarsko w stronę Margarity. — Teraz chodźmy, zanim zjawią się gliny.

Pospiesznie ruszyli do ścigacza. Sterniczka siedziała już przy

konsoli, silniki zaszumiały cicho, gdy wchodzili na pokład. Najwyraźniej Zed zdążył już wydać jej odpowiednie rozkazy, gdyż zamknęła włącznik zaraz po ich wejściu i zagłębiła ścigacz w mroczną wodę. Poza żółtym stożkiem światła reflektorów woda była czarna jak atrament. Michael oparł się o wyściełany fotel obok Margarity, trzymając ją za rękę. Na jego pogodnej twarzy malowała się spokojna rezygnacja, która sprawiała, że pragnęła szarpnąć nim, krzyknąć na niego, uczynić coś, co skruszyłoby ten porcelanowy bezruch.

Zed siedział naprzeciwko ze swym zwykłym przebiegłym uśmiechem na ustach, obserwując ich. Margarita odwróciła głowę, zaciskając wargi i nic nie mówiąc. Zastanawiała się, czy Michael wiedział, dokąd dokładnie zmierzali, ale postanowiła, że prędzej szlag ją trafi, niż miałyby zapytać Zeda. Czy ta gonitwa po omacku pomoże Katrinie? A może Katrina jednak ucierpi, nawet zginie? A Margarity przy niej nie będzie. Powoli zacisnęła pięść, wbijając paznokcie w dłoń. Wybrała dobrze czy źle? Nie ma jak się tego dowiedzieć, pozostaje rzucić kości i się modlić. Ale do kogo?, zapytała gorzko w myślach. Utkwiła spojrzenie w karku sterniczki, przykrytym jasnymi włosami, przyglądając się Katrinie tańczącej na scenie jej wyobraźni. Katrina stawiała się częścią muzyki, sumą jej duszy stworzoną z krzywizn i płaszczyzn mięśni oraz kości. Wtedy przedstawiało się słyszeć muzykę; widziało się tańczącą Katrinę, amuzyka była częścią was obojga...

Kocham cię, wykrzyzczała, uwięziona w klatce milczenia i bólu. Kiedy ostatni raz powiedziała to Katrinie?

Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Michael delikatnie ścisnął jej dłoń, na jego twarzy malowało się współczucie. No, tak, był w końcu rzeźbiarzem. Potrafił wyczuć jej cierpienie. Margarita odetchnęła powoli, przypominając sobie ich duet na holoscenie. Pewnego dnia wykorzystała to mroczne morze, dodała do niego śliską nutę zaczerpniętą od Zeda i wypaczony rezonans tamtego Kamienia, i znalazła słowa harmonizujące z całością.

Dla ciebie, Katrino, ponieważ kocham cię i się boję. Czego się boję? Spróbowała pochwycić ten lęk, odnaleźć jego źródło, lecz bezskutecznie.

— Wyglądasz na zmęczoną. — Michael objął ją ramieniem. —

Oprzyj się o mnie i spróbuj zasnąć.

Nie potrafiła teraz spać, ale oparła się o niego, bo tego pragnęła, marząc, by podróż już się skończyła, by rozpoczął się następny etap tej szaleńczej, być może beзуżytecznej wędrówki, odliczając w myślach upływające sekundy, gdyż obecność Zeda zmuszała ją do milczenia, a nie miała niczego innego do roboty. Za szybami reflektory rozświetlały błękitną wodę i dryfujące w niej meduzy, lśniąco niczym niewielkie księżyce.

Dotarcie do celu zajęło im niemal trzy godziny. Margarita przysnęła w końcu, by zbudzić się, gdy wibracje silników subtelnie zmieniły swe brzmienie, zwalniając biegu. Głowa Michaela dotykała jej, spał z twarzą rozpozgodzoną i spokojną w przytłumionym świetle. Zed czuwał, zwinięty w fotelu jak kot.

— Jesteśmy na miejscu. — Uśmiechnął się, obnażając zęby. — Skoro nie zamierzasz się spytać, gdzie to jest, będę miły i sam ci powiem. Wybieramy się na platformę nowojorską. Władze będą nas szukać na listach pasażerów połączeń publicznych, a to dlatego, że gliny nie myślą. — Odrobinę wygiął usta. — Kiedy złączą kontrolować prywatne loty, o ile będzie im się chciało, my będziemy już na platformie. Między górą a dołem ustawicznie dochodzi do tarć. — Zed uśmiechnął się ponownie. — Ci z góry niechętnie pomagają gliniarzom. I dlatego Gunner ma przytulny kącik także na górze. Lubi platformy.

— A co ty lubisz?

— Uczciwość — prychnął szyderczo, wzruszając jednym ramieniem. — Zazwyczaj lubię to, co Gunner każe mi lubić — dodał lekkim tonem. — Za to mi płaci.

Znowu zgrywał smarkacza. Może nie do końca była to tylko gra. Margarita spojrzała na niego spod przymrużonych powiek i dostrzegła lśnienie w jego oczach, ten zagrzebany głęboko płomień.

Ścigacz wynurzył się, woda spływała po iluminatorach wodospadem pęcherzyków, ustępując miejsca złotemu światłu. Pokład zaczął kołysać się łagodnie pod ich stopami.

— Koniec trasy — oznajmiła sterniczka, odzywając się pierwszy raz od chwili wyruszenia.

Michael zbudził się gwałtownie, otwierając szeroko oczy, z twarzą wilgotną od potu.

— Wszystko w porządku? — Margarita dotknęła jego ramienia.

— Miałem sen. — Zamrugał w jej stronę, jak gdyby zapomniał,

kim była. — To był sen — powtórzył ochryple. Jego wzrok nabrał nagle ostrości, Michael potrząsnął szybko głową. — Te sny są takie same jak tamten Kamień. Ten sam... głos.

Nie mówił do niej, wpatrywał się z napięciem w bliżej nieokreśloną przestrzeń między nimi.

— Może po prostu ciągle to pamiętasz. — Zed podniósł się i spojrzął na niego spode łba. — Śni ci się odnalezienie Dannersa.

— Nie. — Michael powoli pokręcił głową, jego oczy przywozdiły na myśl ścigane zwierzę. — To się zaczęło przed kilkoma tygodniami, w Albuquerque, zaraz po moim wyjeździe z Taos. — Odetchnął świszcząco i podniósł się niepewnie z fotela.

— W takim razie, co to jest? — Margarita chwyciła go za rękę, zastanawiając się, czy może Andy miał rację, mówiąc, że Michael ściga duchy. Jego palce były niczym utoczone z lodu. — Skoro to coś więcej niż tylko Kamień Dannersa.

— To chyba jakiś głos. — Spojrzął na Zeda, jakby szukał wsparcia. — Ktoś... coś... usiłuje coś przekazać, mi, a może każdemu, kto potrafi go usłyszeć.

— Dlaczego? — Margarita przegnała z głowy obraz twarzy Andy'ego. — Nieważne. — Sterniczka otworzyła właz, sięgnęła więc ku drabinie. — Wiem, co poczułam w tamtej pracowni. Jeśli to próba nawiązania łączności, ten ktoś wybrał sobie ciekawy sposób, nie ma co.

Na to Michael nie znalazł już odpowiedzi. Zed także nie; nie odezwał się ani słowem. Margarita wysunęła głowę przez właz i zamrugała gwałtownie, nagle skąpana w strumieniach żółtego światła. Znajdowali się w jakimś hangarze. Inne ścigacze kołysały się na swoich pochylniach, pod ścianami stały przeróżne urządzenia. Ol-

brzymie kable zwieszały się z biegnących pod sufitem szyn. Zeszła z ostatniego stopnia drabinki na pomost z plastikowej siatki i podała rękę Michaelowi, który niezgrabnie trzymał się metalowych szczebli. Złapał ją, obejmując nadgarstek z płynącą z lęku siłą, i ostrożnie zstąpił na pomost. Margarita przyglądała się Zedowi, zsuwającemu się zgrabnie po drabinie, i dostrzegła sterniczkę. Nie powiedziała do niego ani słowa, ale z jej zachowania emanował szacunek. Zeskoczył lekko na pomost.

— To stacja odbioru zrzutów frachtowych. — Gestem ręki ogarnął całą obszerną halę. — Holowniki przejmują zrzucone moduły i przywożą je tutaj. — Kiwając na nich dłonią, ruszył żwawym tempem w kierunku przeciwnego końca hangaru. — Zabierzemy się promem dostawczym, który startuje za dwie godziny.

Imię Archenwald-Shena otwierało wszystkie drzwi i smarowało wszystkie kółka. To właśnie kupił sobie Zed w zamian za udaną chłopięcość: władzę. Ziewnęła, nagle czując piasek pod powiekami, ból zmęczenia w mięśniach. Michael zaczął zostawać w tyle, zwolniła więc, żeby dotrzymać mu towarzystwa.

Michael uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem.

— To była długa noc. — Miał sińce pod oczami, w ostrym świetle jego skóra wydawała się szara. — Jestem po prostu zmęczony — mówił dalej, jak gdyby odebrał jej zaniepokojenie. — Jestem za stary na imprezy do bladego świtu.

— A ile masz...? — Ugryzła się w język i oblała rumieńcem.

— Lat? — dokończył za nią. — Osiemdziesiąt jeden. Serwisy tkanek doskonale się spisują, jeśli chodzi o konserwację ludzkiego ciała. — Uśmiechnął się ze smutkiem, spoglądając na ścigacze kołyszące się na swoich pochylniach. — Czasami się zastanawiam, czy to jedynie nasze ciała się zużywają. Rzeźbię Kamienie od sześćdziesięciu trzech lat — westchnął przeciągle. — Może okazałem się bardziej długowieczny od mojego talentu.

Arrow miał 136 lat, kiedy umarł.

— Ten Kamień w Nowym Jorku, ten, który pojechałam obejrzeć, był fantastyczny. Był jak... — Margarita się zawahała, poszukując odpowiednich słów. — Jakbym otrzymała możliwość wejrzenia

nia w dusze wszystkich ludzi na tej planecie jednocześnie, i zrozumiałam. — Zatrzymała się na środku pomostu. — Jak możesz mówić, że coś podobnego może umrzeć.

— Ukończyłem pracę nad Srebrnym Kamieniem dziesięć lat temu. — Począł, aż do niego dołączy, a potem pomaszerował obok niej z opuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w siatkę pod swymi stopami. — Kiedy mnie odszukałaś, wciąż jeszcze nie ukończyłem niczego nowego — wykrzywił się. — No, tak naprawdę to ukończyłem, tyle że nie chciałem się przyznać sam przed sobą, że są gotowe. Bałem się je utracić. — W końcu uniósł rękę. — Bałem się, że nie znajdę niczego, co mogłoby zająć ich miejsce.

Czy Arrow też kiedyś czuł ten lęk? Że może mu zabraknąć talentu? Jeśli tak, nie podzielił się nim z Margaritą. Może by to uczynił, gdyby mu na to pozwoliła. Może tego właśnie potrzebował. Nie chciałam, by wątpił, pomyślała Margarita i przeszył ją ostry ból. Chciałam, by był Bogiem, tak by mógł mnie ocenić.

— A znalazłeś? — wyszeptwała.

— Tak i nie. — Oczy Michaela zaszyły jakby mgiełką cierpienia.
— Tamte Kamienie były ukończone, lecz tylko dlatego ponieważ niczego więcej nie mogłem do nich dodać, a przynajmniej nie to, czego potrzebowały. Nie były ukończone.

Doszli do końca pomostu. Tu świeciło się zaledwie kilka lamp. Margaritą omiotła spojrzeniem chodnik biegnący wzdłuż ściany budynku, z której niczym zrzucone skóry zwisały skafandry zaopatrzone w hełmy. Ani śladu Zeda. Między skafandrami dostrzegła niewielkie, szare drzwiczki, zastanawiając się, czy zniknął za nimi.

— Kiedy Xia mi powiedziała... byłam wściekła. — Dotknęła grubego, pomarańczowego materiału najbliższego skafandra. — Byłam zazdrosna. — Hełm stuknął cicho o ścianę, pospiesznie cofnęła więc rękę. — Ty miałeś wszystko. Byłeś najlepszy, sławny. Nie musiałeś więcej pracować. A ja... — Przechyliła głowę, poszukując właściwych słów. — Zaczynałam od hologramów i poezji na przenośnej scenie rozstawianej w pasażach handlowych. To, czym się zajmuję, nie mieści się w pasażu. Musi być zainstalowane w ga-

lerii, gdzie jest dosyć miejsca na sprzęt i okablowanie. A do galerii można trafić tylko wtedy, gdy ludziom podoba się to, co robisz. Jestem dobra — wyszeptwała. — Wiem, że jestem dobra. — Ale czy była wystarczająco dobra, by robić to, na co ma ochotę, i nie stracić miejsca w galerii? Wystarczająco dobra, by móc pójść na całość?

Katrina tak nie uważała.

Margarita zamknęła oczy, zaciskając powieki tak długo, aż czerwone światło pokryło je swoją pajęczyną.

— Jestem dobra — szepnęła.

— Jesteś. O ile moja opinia jest cokolwiek warta. — Michael odgarnął włosy z jej twarzy. — Jaka w tym ironia; debiutanci nie mogą sobie pozwolić na zbyt wielkie ryzyko, a kiedy już wyrobisz sobie markę, jesteś na to zbyt przerażony. Nie trać wiary w to, co robisz, Margarita. — Głos mu zadrżał. — Czasami tylko to mamy i wydaje się, że to doprawdy niewiele. Ale kiedy ją utracisz, utracisz wszystko.

— Miałeś kiedyś wątpliwości? — Nie potrafiła ukryć gorczy w swym głosie. — No, wiesz, autentyczne wątpliwości, że nigdy ci się nie uda, że twoje Kamienie będą do dupy i nikt się nimi nie zainteresuje? Materiały, które znalazłam, kiedy zaczęłam się dowiadywać, wskazywałyby, że od razu trafiłeś na sam szczyt, praktycznie od chwili, kiedy pierwszy raz dotknąłeś Kamienia.

— Propaganda przygotowana przez galerię. A dziennikarze dopowiedzieli wszystko, co galeria zdecydowała się przemilczeć. Ciekawe, gdzie się podział Zed. — Michael westchnął i oparł się o jeden z pomarańczowych skafandrów, a wtedy jego oprzyrządowanie zadźwięczało cicho niczym nie zestrojone dzwonki. — Miałem szczęście. Jedna z rzeźbiarek przyjęła mnie do terminu. Uwierzyła we mnie — uśmiechnął się do swoich wspomnień. — Co nie oznacza, że nie gnała mnie do roboty czy nie zmywała mi głowy, kiedy uważała, że zaczynam się obijać albo korzystać ze skrótów. — Uśmiech przygasł, do oczu zakradły się cienie. — Wątpliwości pojawiły się znacznie później.

— Arrow wierzył we mnie. — Margarita pochyliła głowę. Nie miał szczególnej ochoty przyjmować jeszcze jednej uczennicy, ale

ostatecznie ustąpił. Nauczył ją stapienia holoobrazów z zapachem, muzyką i słowami, by stworzyć kompletny poemat. — Już nie żyje. — Zaprowadził ją na skraj dobrej sztuki, a potem umarł. Odebrała to jak zdradę, pogwałcenie niepisanej obietnicy, i nieważne, że Arrow był już stary, że wcale nie zamierzał umierać. Pragnął czegoś od niej. Nigdy mi nie mówiłeś czego, rozłościła się w milczeniu. Nigdy nie powiedziałaś.

Może dlatego że ona nie chciała, by to powiedział, bała się go wysłuchać. Jak gdyby nie chciała dzielić z nim zwątpienia. Może Arrow odczytał ten lęk i zdecydował się dać jej to, o co prosiła.

Michael przypominał jej Arrowa. To spostrzeżenie uderzyło ją jak obuchem, tak mocno, że aż zadrżała. Nie chodziło o wygląd. Podobieństwo brało się z czegoś głębszego: języka gestów, nastawienia. Czegoś.

— Co się stało?

— Nic. — Nie chciała widzieć Arrowa w Michaelu, nie chciała, by znaczył dla niej tak wiele. — Zastanawiam się po prostu, gdzie zniknął Zed. — Rozejrzała się po rozległym, mrocznym wnętrzu hangaru. — Nie ufam mu.

— A ja tak. — Michael pokiwał głową. — Myślę, że jego też to przyzywa: to samo, co mnie. Jest obdarzony wielką zmyślnością. Nic dziwnego, że tamten Estevan się wypaczył — dodał cicho. — Zapewne przypadkowo go zbudził.

Margarita pokręciła rozpaczliwie głową.

— Co cię przyzywa? Mówiłeś o rezonansie ukrytym w Kamieniu, jakimś skażeniu. Ja właśnie to poczułam, a przynajmniej tak mi się wydawało.

— Nie chcę ci tego tłumaczyć. — Rozpostarł palce i utkwiał wzrok w swojej dłoni. — To brzemień nie jest twoje, należy do mnie.

— Och, jaki jesteś szlachetny. — Margarita zacisnęła pięści w nagłym przyplýwie furii. — Najpierw mówisz mi, że jestem twoją córką, że żałujesz, że nie mogłeś się pobawić w tatusia, a potem mówisz mi, żebym się odpierdoliła. Nie ma sprawy, Michaelu Tryon. Zachowaj dla siebie swoje tajemnice. Ja sobie podrepczę za tobą, grzeczna i cicha. A kiedy jakiś potwór wyskoczy z cieni i połknie cię

jednym kęsem, wrócę sobie do domu i zacznę pracować nad następnym poematem. Pierdol się, Michaelu Tryon.

— Krzyczysz — zauważył.

Zszokowany wyraz jego twarzy sprawił, że prawie zachichotała. Zwalczyła tę chęć, usłyszawszy w tym śmiechu nutę hysterii.

— Przepraszam. — Teraz wyglądał na speszonego. — Nie zamierzałem cię odtrącać; po prostu... niczego nie jestem już pewien. Nie chciałem, aby i ciebie to dotknęło.

— Co?

— Bóg? Szatan? Obcy? Duchy? — Zwiesił ramiona. — Przez jakiś czas myślałem, że to duchy. Może duch Estevana. A może to jednak szatan. — Spojrzał na nią, uśmiechając się blado. — A może jestem szalony, a Zed jakimś cudem dzieli ze mną to szaleństwo. Nie wiem, Margarito, naprawdę nie wiem.

— Ja też to z wami dzieliłam. Tę ciemność. — Odwróciła od niego twarz. — Będziesz szukał tak długo, aż ją znajdziesz, prawda? Sam, bo nie chcesz niczyjej pomocy. — Złapała za staromodną klamkę i kopnęła zamknięte drzwi.

— A ty prosisz czasami innych o pomoc, Margarita?

— Tak. — Opuściła bezradnie ręce. — W hangarze.

— Prosiłaś Zeda, by pomógł Katrinie — odparł nieubłaganym tonem. — Nie prosiłaś o nic dla siebie.

— Czym jest dla ciebie ta gonitwa za widmami? Rozgrzeszeniem, zgadza się? Z wątpliwości związanych z twoją pracą? A może próbą samobójstwa przybraną w piórka poczucia obowiązku?

Wzdrygnął się, jak gdyby go uderzyła. Margarita odwróciła się do niego plecami, jej gniew nagle przygasł, pozostawiając po sobie lepki wstyd. Splamiła ręce jego krwią, lecz tylko dzięki temu, że włożył jej nóż do ręki.

— Posłuchaj, zapomnijmy o tym. Przepraszam. — Wzięła płytki oddech, czując się tak, jakby żebra zaciskały się wokół jej płuc, wyduszając z nich powietrze. — Jestem zmęczona, a Zed miał rację; jestem wredną suką. — Przełknęła ślinę, nie patrząc na niego. — Wydaje mi się, że ta mała ładaczniczka wystawiła nas rufą do wiatru.

Szczękniętą otwierany zamek. Oboje zeszywnieli, gdy drzwi od-

sunęły się w bok. Do środka zajrzał niewysoki mężczyzna w roboczym kombinezonie, o szerokiej, ciemnej twarzy i purpurowych włosach. Światłoprzewodliwy tatuaż migotał na jego lewym policzku: jaskrawopurpurowe oko, które, jak się zdawało, wpatrywało się w Margaritę.

— Zapraszam do promu — powiedział z teksańskim akcentem.
— Zechcecie pójść ze mną.

Jego słowa brzmiały uprzejmie, lecz stanowiły rozkaz, nie zaproszenie. Skinęła głową, Michael również — bo co innego im pozostało? — i podążyli przez drzwi w ślad za mężczyzną. Chłód zaraz wziął ich w swe objęcia i Margarita zadrżała, przewiana poranną bryzą. Nad ich głowami gwiazdy skrzyły niebo niczym diamentowe okruchy. Niebo wydaje się takie odległe, tak wielkie i otwarte w porównaniu z wszechobecnością podmorskiego wszechświata. Ich przewodnik szedł szybkim krokiem, zmuszając ich do pośpiechu. W przodzie reflektory oświetlały przysadzisty, podłużny kształt promu przycupniętego na swej platformie. Dalej sylwetki w kombinezonach krzątały się przy otwartym luku ładowni promu, prześlizgując się pomiędzy jeżdżącymi dookoła wózkami towarowymi, odgrywając jakby wystudiowany balet planowanego chaosu.

Jak przystało na regularny lot zaopatrzeniowy, proste schody prowadziły do luku pasażerskiego. U ich podnóża stał Zed, rozmawiając z mężczyzną w mundurze, na którego rękawie połyskiwała odznaka pilota. Margarita ujrzała, że pilot posłusznie kiwa głową w odpowiedzi na coś, co powiedział Zed. Stał sztywno wyprostowany, wyraźnie nie podobało mu się to, co słyszał. A może nie podobało mu się to, że słyszał to z ust Zeda.

Zed się odwrócił i pomachał w ich stronę.

— Ale się wleciecie — powitał ich szerokim uśmiechem, gdy dotarli do schodni. — Nie miałem ochoty na was czekać. Pozostali pasażerowie powinni wkrótce się zjawić, i zaraz potem startujemy. Udało mi się przyspieszyć start.

A więc to dlatego pilot wyglądał na wściekłego?
Zed zapędził ich do wnętrza promu niemalże tanecznymi gestami, jego napięte ciało skrzyło się od energii. Co go tak rozpałiło?,

I

zastanawiała się z przekąsem Margarita. Jego oczy lśniły, jak gdyby trawiła go gorączka. Tłumiąc westchnienie, zastanawiając się, czy może popełnia właśnie największą, najkosztowniejszą pomyłkę w swym życiu, przeszła w ślad za nim przez próg. Wnętrze urządzone było spartańsko — znajdowali się na pokładzie rejsowego transportowca, nie statku turystycznego. Kadłub wystarczająco szeroki, by pomieścić cztery fotele, po dwa z każdej strony przejścia, ciasne kajuty, wszystko zaprojektowane tak, by przewieźć jak największą ilość pasażerów z jak najmniejszym uszczerbkiem dla pojemności ładowni. W kadłubie nie było żadnych okien i Margarita podziękowała za to Bogu. Wybrała miejsce pod ścianą i nie zdziwiła się zbytnio, gdy Michael nie usiadł obok niej. On i Zed niemalże stykali się głowami po drugiej stronie przejścia. Chrząnąć ich i tę cholerną kruczają. Przeniosła się na wewnętrzny fotel.

— Co robimy po przybyciu na miejsce? — Przechyliła się przez niewielkie przejście. — I co się wtedy stanie?

— Znajdę dla nas transport na Vildorn. — Zed obrócił jedno oko w jej stronę, nie do końca włączając ją do rozmowy.

— A co z moimi pięcioma minutami z twoim szefem? — Posłała mu zabójcze spojrzenie, zachęcając go bez słów, by odwrócił wzrok.

— Później. — Jego ton wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że nie będzie teraz o tym rozmawiał.

Margarita zacisnęła zęby, zduszając słowa, którymi chciała go poczęstować. Wciąż jeszcze rewanżował się jej za szarpaninę w galerii Dannersa. Ile jeszcze była mu dłużna? Pewnie dużo. Margarita zerknęła w stronę wyjścia, pragnąc wysiąść z tego cholernego promu, chrząnąć obietnice, które zapewne były gównem warte.

Ale niekoniecznie. „Uczciwość”, odpowiedział jej na pytanie o to, co lubi. To słowo zabrzmiało szczerze. Jego obietnica mogła uratować życie Katriny. Dlatego zapłaci rachunek wystawiony przez Zeda. Margarita oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Nie chodziło tylko o Katrinę, lecz i o Michaela. Powiedziała, że nie potrafi wybrać, lecz być może właśnie to robiła. Czy postępuję słusznie?, zapytała w myślach samą siebie. A może uciekam od ciebie, Trina, używając majaku ojca jako wymówki?

— Chcecie śniadanie?

Nowy głos sprawił, że szybko otworzyła oczy. W przejściu stał chudy mężczyzna w kombinezonie, w jednej dłoni trzymał termos, w drugiej plastikową tackę. Na tacce piętrzył się stos zawiniętych w fo-

lię drożdżówek, jednorazowe kubki i pakowane próżniowo jabłka.

— Przyniosłem z kafejki. — Poczęstował ją z uśmiechem na twarzy.

— Dzięki.

Sięgnęła po drożdżówkę, a wtedy żołądek głośnym pomrukiem przypomniał jej o swoim kiepskim stanie. Wzięła więc jeszcze jedną, do tego kubek kawy. Kawa okazała się tak słaba, że można było pomylić ją z mocną herbatą, i letnia. Pociągnęła ostrożny łyk, skrzywiła się i zaczęła odwijać drożdżówkę.

— Ta kawa jest zimna. — Zed odstawił kubek na tacę. — Przynieś świeżą.

Powiedział to z niedbałą i celową opryskliwością. „Jesteś ode mnie zależny. Nie muszę cię zauważać ani tracić na ciebie energii”. Mężczyzna się zaczerwienił.

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Pospiesz się. — Gdy tamten szedł między fotelami z termosem w ręce, Zed nawet na niego nie spojrział.

Margarita przechwyciła wrogie spojrzenie, jakie posłał Zedowi z progu. Zed miał w rękach władzę, to spojrzenie musiało więc z natury rzeczy być bardzo ostrożne. Zerknęła na Zeda, przekonana, że nie uszło ono jego uwadze, i dostrzegła w jego oczach coś jakby błysk satysfakcji. Ta niewielka demonstracja siły wyraźnie mu się spodobała. Facet z tacą mógł sobie pomarzyć o wylaniu kawy Zedowi na kolana, ale nie śmiałyby tego uczynić, w przeciwnym razie straciłby pracę. Bardzo proste rozumowanie.

Tylko że nie była to prawdziwa władza. Przesunęła się z powrotem na swe dawne miejsce i oparła o kadłub promu. Władzę miał Gunner Archenwald-Shen. To Shen — jego niewidzialna obecność — sprawiła, że ten człowiek popędził do kafeterii po świeżą kawę. Zed posługiwał się tą władzą niczym pożyczonym samochodem. Zerknęła z ukosa na eleganckie linie jego profilu. Zed dobrze wie-

dział, co jest grane. Był na to zbyt bystry i wiedział też, jaka byłaby jego pozycja, gdyby Archenwald-Shen się go pozbył. I może ta wiedza gryzła go bezgłośnie, i to dlatego wbijał swój słowny sztylet we wszystkich, którzy także uczestniczyli w tej grze.

A i nawet władza samego Shena — czyż nie zasadzała się na umiejętności kontrolowania, manipulacji i niszczenia innych? Może jedyną prawdziwą potęgą była moc tworzenia. I może Zed także to rozumiał. Ale władzę Shena można było kupić. Miała swoją cenę.

Zed nagle się odwrócił, jak gdyby wypowiedziała swe myśli na głos. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się zetknęły; potem uciekł przed jej wzrokiem i zaczął odpakowywać swoją drożdżówkę.

Margarita poczuła nagle i niespodziewanie ukłucie współczucia. Jego potęga była złudzeniem, i on dobrze o tym wiedział. A jej? Oparła się w fotelu, nie tkniętą drożdżówkę odłożyła na sąsiednie siedzenie i zamknęła oczy. Czy potrafiła tworzyć? A może bawiła się iluzjami, oszukując samą siebie, wmawiając sobie, że jest dobra, ukrywając swą nagość pod płaszczem z etykietą „artystka”?

Co sprawiało, że w niczym nie była lepsza od Zeda.

Nie otwierała oczu, gdy ten sam ponury mężczyzna przyniósł Zedowi świeżą kawę, a na pokład zaczęli wchodzić pozostali pasażerowie. Udawała dalej podczas nieprzyjemnego, nicującego startu, odwróciwszy się twarzą do ściany. Wreszcie gdy sękata pięść przyspieszenia wypuściła ją ze swych paluchów, udawanie przeszło w prawdziwy sen.

Rozdział jedenasty

Przelot promem na platformę nowojorską był długi i męczący. Margarita obudziła się zbyt wcześnie, nękana sygnałami ostrzegawczymi wysyłanymi przez żołądek. Starając się zignorować nudności, skuliła się w fotelu, czekając na koniec swoich męczarni. Po drugiej stronie przejścia Zed zgrywał ważniaka, docinając załodze tak długo, że ich wrogość wypełniła kabinę pasażerską niczym smród palącej się izolacji.

Pozostali pasażerowie, kilku pracowników powracających z urlopów, trzymali się razem. Zachowanie Zeda odizolowało ich od nich równie skutecznie jak szczególnie zakaźna odmiana żółtaczk. Może to Zed był przyczyną jej nudności. Załoga na pewno dysponowała środkami mogącymi przynieść jej ulgę, lecz teraz wszyscy troje traktowani byli równie chłodno, mogła więc o nich zapomnieć.

— Dokujemy za jakieś pół godziny. — Szczupły młody mężczyzna przeszedł między fotelami z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

— Dzięki. — Bez trudu dostrzegła, że jego uśmiech nabiera kolorów, gdy przystanął, by pogawędzić z jednym z pozostałych pasażerów.

— Hej. — Michael przysiadł się do niej. — Nie próbowałem cię ignorować. Próbowałem zrozumieć, co właściwie odbiera Zed, a potem zasnął... — przerwał w pół zdania i wzruszył ramionami. — Ja... cieszę się, że lecisz z nami. — Poprawił się niespokojnie

w miękkim fotelu. — Chciałem, żebyś była tego świadoma. I chcę także, abyś wiedziała, że twoja sprawa z Archenwald-Shenem ma absolutne pierwszeństwo, bez względu na priorytety Zeda. — Ujął ją za rękę gestem niezgrabnym i pełnym wahania. — Katrina jest ważna. Także i dla mnie, bo tyją kochasz. Załatwimy to w pierwszej kolejności, zanim wyruszę w moją zwariowaną podróż. Słowo.

Znowu myślał o śmierci. Margarita spojrzała na swoją dłoń zamkniętą w uścisku jego palców.

— Sama nie wiem, kto jest teraz dla mnie ważny. Może nikt. — Uwolniła rękę. — Może nikt nie może być dla mnie ważny. Może tak właśnie to działa. — Czyżby? Chciała go o to zapytać. Czy taka jest cena, jaką przychodzi nam zapłacić za to, czym się zajmujemy: samotność? Kochałeś Xię? Kochałeś kogokolwiek? Potrafiłeś kogoś pokochać? — Jeśli uda mi się porozmawiać z Shenem, niczego więcej nie będę w stanie zrobić. — Jej słowa zabrzmiały tak zimno, a przecież wcale tego nie chciała. A może właśnie chciała. — Dzięki za to, że przejmujesz się Katriną — powiedziała niezręcznie i odwróciła głowę. Jeśli w jego oczach kryła się miłość, nie chciała jej zobaczyć. A może się obawiała, że jej tam nie ujrzy?

A niby czemu, i w ogóle dlaczego miałoby ją to obchodzić? Była dla niego bardziej obca niż Andy.

Każda miłość, jaką mógłby odczuwać, byłaby złudzeniem.

— Nie musisz się o mnie martwić — powiedziała. — Dam sobie radę sama.

— No, jeśli mógłbym w czymś... — nie dokończył.

— Przepraszam. — Chudy mężczyzna przeszedł żwawo przez kabinę. — Musicie państwo zapiąć pasy. Zaraz dokujemy. — W jego uprzejmych słowach pobrzmiwała wroga nuta.

— Oczywiście — westchnął Michael. — Może porozmawiamy później. — Musnął jej ramię i wrócił na swoje miejsce.

Zadała mu ból. Jak? Margarita mocno zaciągnęła parciane pasy. Nie chciała sprawić mu bólu.

A może właśnie chciała. Bo on pragnął umrzeć.

„Opadam ku memu pierwszemu ja, szybki jak tętno powietrza...”

Zagryzła wargi, przypominając sobie magię ich wspólnej holo-tury. Michael opadał ku śmierci, nie życiu. Ból, który niósł ze sobą posmak żałoby, przebiegł przez jej ciało. To jego wybór. Margarita

wściekłym szarpnięciem zaciągnęła pasy. Wyłącznie jego.

Na zewnątrz coś załomotało o kadłub.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił męski głos z tylnej części promu. — Witaj, domku.

Ktoś zaklaskał.

Kontrola celna stanowiła cenne doświadczenie. Przy pierwszym kontakcie celnicy — sami mieszkańcy platformy — byli oziębli, by nie powiedzieć opryskliwi. Margarita rozejrzała się po ciasnym, jałowym pomieszczeniu, do którego ich zagnano, i ten nieprzyjemnie znajomy widok wywołał skurcz żołądka. Ściany i sufit pomalowane były nieapetycznie pastelową zieloną farbą, zupełnie jak w lokalnym ośrodku dla trudnej młodzieży z czasów jej dzieciństwa. Przybrudzonej podłogi nie przykrywała żadna wykładzina. Czysto funkcjonalne krzesła. Zgarbiła ramiona, zmęczona i spochmurniała.

O, tak, dobrze znała takie miejsca — znała tych zarozumiałych gówniarzy w mundurach. Powracali do niej stare odruchy, wyniesiona z barrio reakcja na mundur i władzę. Całkowicie nie na miejscu, ale była zbyt zmęczona, by z tym walczyć. Oparła się o ścianę — wygłaszając tym samym dobitnie swoją opinię o bez nadziejnych krzesłach — dobrze wiedząc, co się teraz stanie. Ludzie z dołu nie byli tu szczególnie popularni. Tak więc chłopcy w mundurach każą im czekać bez końca, aż wreszcie ktoś do nich przyjdzie, by z głupim uśmiechem zadać im całą serię pytań będących w praktyce wulgarnymi komentarzami dotyczącymi ich ubrania, preferencji seksualnych, wszystko jedno czego. A wtedy ona się wścieknie i odszczeknie się im tak jak wtedy, gdy patrol zabierał ją z ulicy za nieprzestrzeganie godziny policyjnej albo przekroczenie perymetru bez karty zatrudnienia. I narobi sobie, a może im wszystkim, kłopotów.

Co było nieskończenie głupie, lecz była zanadto zmęczona, by tego uniknąć, a poza tym gównu ją to obchodziło. Michael miałby się z pyszna, pomyślała gorzko. Chcesz wiedzieć, jaka jestem naprawdę, co? Może za parę minut się przekonasz. Pochyliła głowę, wpatrując się w drzwi palącym spojrzeniem, gdy do pomieszczenia wszedł niski, żylasty urzędnik o śnieżnobiałych włosach.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się i machnął szybko dłonią.

— Jesteście wolni. Potrzebujecie transportu?

Australijski akcent, a może lokalna osobliwość? Margarita przeknęła zdumienie, spod gruzów wrogości wyłoniło się zmieszanie. Czyżby wszystko się jej jednak pomyliło?

— Sam nie jestem pewien co do tego transportu. — Michael zerknął kątem oka na Zeda. — Eee, mógłby pan polecić nam coś przyzwoitego na parę dni?

Zed trzymał się na uboczu, nie włączając się do rozmowy. Margarita dostrzegła nagle, że celnik niezwykle starannie unika spoglądania w jego stronę. Jakby był niewidzialny.

Celowo? Celnik już wyprowadzał ich z pokoju, zasypując Michaela lawiną nazw hoteli, zachowując się wręcz uniżenie. Chłopcy w mundurach nigdy się tak nie zachowywali. A przynajmniej nie w stosun-

ku do niej — i pewnie także nie w stosunku do bandy wymiętych ziemniaków bez bagażu i jasnego celu podróży. Margarita pozostała nieco w tyle, obserwując, jak celnik ignoruje Zeda. Niewidzialność wymagała wielkiej władzy. Pożyczony samochód Zeda był doprawdy imponujący.

A jego cena?

Margarita podejrzewała, że byłaby w stanie zgadnąć. Wzruszyła tylko ramionami, przechodząc w ślad za Michaeliem i niewidzialnym Zedem przez automatyczne drzwi do centralnej części portu. Był równie surowy i zniechęcający jak poczekalnia urzędu celnego. Tanie, sztywne krzesła zebrane były w wysepki na oceanie pustki, odbijając jaskrawy blask reflektorów. Głosy, kroki i szmer maszyn niosły się echem pod przepastny strop. Pomosty z metalowej siatki krzyżowały się nad ich głowami, przywodząc jej na myśl galerię. Nisko zawieszzone wózki towarowe przesuwały się zarówno po podłodze, jak i górą, obładowane stertami skrzyń i workami z towarem. Ludzie przychodzili i wychodzili, w większości ubrani w szorty i koszule. Kolory płonęły krzykliwie w przytłumionym świetle: neonowy pomarańcz, jaskrawa czerwień, cytrynowa zieleń, srebro. Margarita aż zamrugała gwałtownie, kiedy obok niej przemknęła jakaś kobieta. Miała gęste włosy, odsłaniające maswerki światłowodów zatopionych w jej czaszce. Ubrana była w jaskrawożółte szorty i zielonkawo-niebieską suknię z trójkątnym dekoltem. Spojrzała nie widzącym wzrokiem na Margaritę i Michaela, natomiast Zeda pozdrowiła nieznacznym uniesieniem podbródka.

Na oczach Margarity Zed odpowiedział podobnym gestem. O, tak, zachowywał się teraz inaczej. Podobnie jak reszta ludzi, a przynajmniej ci, którzy wyglądali na tutejszych. Nie wiedziała zbyt wiele o platformach, jedynie to, że były gronami modułów spiętymi w jedną całość w nie znany jej sposób, pełnymi dochodowych fabryk i dziwnych ludzi, którzy nie interesowali się zbyt sztuką dołu. Margarita usunęła się z drogi mężczyźnie w jadowicie różowym stroju, który najwyraźniej gotów był przejść po niej. No, łak, kij ci w tyłek, kochanieńki. Ciekawe, co by się stało, gdyby poczęstowała

kóregoś z tych dupków sójką pod zebro. Żaden z nich nie wyglądał na siłacza. Do tego w większości byli też niżsi od niej.

Zed prowadził ich szeroką ulicą. Było na niej tłoczno od ludzi, idących pieszo i prowadzących powolne, nieduże wózki transportowe, które wiozły skrzynie, plastikowe beczki oraz zapchane ludźmi ławki. I znowu te krzykliwe kolory. Margarita zamrugła, na wpół spodziewając się ujrzeć pod powiekami kolorowe plamy. Czy owo zamięłowanie do jaskrawych barw stanowiło reakcję na życie w tym sztucznym środowisku? Wzdłuż ulicy wznosiły się domy, maleńkie, otoczone paskami wolnej przestrzeni szerokości jakichś dwóch stóp. Budynki przypominały kiepskie reprodukcje rodem ze śródziemnomorskich katalogów turystycznych: białe stiuki ścian, framugi okienne pociągnięte błękitem, czerwone pelargonie w chwiejnych skrzynkach okiennych. Margarita spojrzała na łuk ściany zastępującej niebo i przygarbiła się, a jej myśli krążyły wokół meteorów, dziur w powłoce i całkowitej, kompletnej próżni po drugiej stronie tego krucho naskórka.

Tak, pomyśl sobie o tym. To miejsce było bardziej obce od morza; imitowało powietrze, słońce i ziemię namalowane na wewnętrznej powierzchni skorupki jajka. Złudzenie zamknięte w szklanym pęczeryku, śmierć zaprzeczona nawałnicą barw... Margarita utkwiała spojrzenie w drzwiach oznaczonych jaskrawą turkusową plamą. Po obu stronach tego korytarza pełno było drzwi — cały świat drzwi wiodących w prywatne zakątki. Tu w górze trzeba tak wiele ukrywać. Swoje lęki, świadomość bliskiego sąsiedztwa śmierci. A my to dostrzegamy, my, ziemniaki, pomyślała. Widzimy, że chowacie się przed nami za niezrozumiałym językiem, za anonimowymi drzwiami.

— Zagubiona? — Zed obejrzał się na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. — Ten piktogram oznacza łaźnię publiczną. Zielony trójkąt to symbol publicznego łącza sieciowego. Nie zamierzamy stawać na głowie, by ułatwić wam, ziemniakom, życie.

— My? — Uniosła jedną brew, starając się, by zabrzmiało to zjadliwie.

— Mój dom jest wszędzie — uśmiechnął się jedwabiście. — Mów mi kameleon.

Nie odpowiedziała mu. Jej niepokój bawił go, a to ją wkurwiało. Nie znała tutejszych praw, a to ją martwiło. „Zawsze poznaj lokalne prawa” — tak brzmiała lekcja przetrwania numero uno. A ona nie znała miejscowych zasad, co uzależniało ją od Zeda, podczas gdy z zasady nie cierpiała być zależna od kogokolwiek.

— Ile jeszcze do tego hotelu? — warknęła.

— Już blisko. Następny plac. — Mrugnął do niej i przyspieszył kroku, by zrównać się z Michaeliem.

Który wyglądał na całkowicie spokojnego. Margarita została jeszcze bardziej w tyle, zła na nich za to, że sprawiali wrażenie doskonale wiedzących, co robią. W przeciwieństwie do niej. Tu na górze niczego nie była pewna. W przodzie korytarz otwierał się na ulicę. W górze migotało błękitne niebo, upstrzone kłębiastymi chmurami, pieszczone promieniami popołudniowego słońca. Po klaustrofobicznych korytarzach portu Margarita gotowa była uwierzyć, że wróciła na Ziemię. Zatrzymała się, zadzierając twarz ku górze, by poczuć na niej ciepło słońca. Lekki wiaterek, pachnący rozgrzaną ziemią i trawą, potargał jej włosy. Żonkile i tulipany kwitły na zadbanych klombach oplecionych starannie wytyczonymi żwirowymi ścieżkami. Ze staroświeckiej parkowej ławki pokiwał do niej wiewiórczy ogon, którego właściciel zajęty był fistaszkiem. W oddali dzieci szalały na zielonej trawie na swoich rowerach.

To nie mogło być...

I oczywiście nie było.

Margarita pochyliła się, by przesunąć ręką po żonkilach. Jej palce przeszły przez jaskrawe płatki, choć żwir pod jej stopami był namacalnie rzeczywisty. Ławka także, ale już uciekająca przed nią wiewiórka nie. Sama też umiałaby przyprawić powietrze zapachem wiosny. Łatwizna. Park stanowił kawał solidnej roboty. Usiadła na ławce, przyglądając się melanżowi holotury i rzeczywistości. Scena z rowerami w parku robiła wrażenie zbyt dwuwymiarowej; za dużo płaskiej projekcji, za mało głębi. Ale kwiaty zrobione były z klasą, zrandomizowane jak się patrzy. Mieszance zapachowej wiatru też nie mogła niczego zarzucić.

Wzięła głęboki oddech, czując, jak robi jej się trochę lżej na sercu. Czyżby odrobina feromonu w koktajlu kwiatów i ciepłej ziemi? Tak by złudzenie wiosny było doskonałe? Podniosła się z uśmiechem. Taak, ktokolwiek był za to odpowiedzialny, znał się na doborze zapachów.

Michael i Zed zniknęli. Z dłońmi na biodrach Margarita rozejrzała się po placu. Mnóstwo spacerujących par, niewielka grupa zajęta wspólnym obiadem na innej ławce... Cholera. Obracając się, mrużąc powieki w sztucznym wiosennym słońcu, zwróciła uwagę na jakiś ruch. Kobieta. Margarita osłoniła dłonią oczy. Latynoska, starsza, o dziwnie znajomym chodzie. Margarita utkwiała badawcze spojrzenie w jej plecach przykrytych błękitną tuniką zachodzącą na karmazynowe trykoty. Szare włosy splecione w warkocz... Rozpoznała ją, zanim jeszcze tamta kobieta odwróciła głowę.

Xia! Tutaj? Na platformie? A czemu by nie? Czemu by nie tutaj, zamiast, dajmy na to, w Paryżu czy Sao Paulo?

— Xia! — Margarita pospieszyła za nią, podrywając się do biegu, gdy Xia zniknęła za rogiem. — Xia, zaczekaj! — Ludzie patrzyli na nią, obrażeni i zirytowani, gdy przebiegała obok nich. Margarita skręciła w kolejną ulicę. Gdzie...?

Xia zniknęła. Cholera, cholera, cholera. Margarita zadyszana zwolniła kroku, ignorując kierowane ku niej spojrzenia. Musiała gdzieś tu być. W tym korytarzu było mnóstwo sklepów, ubrania, wyszukane jedzenie i świeże kwiaty zapełniały małe okna wystawowe. Margarita wyteżyła wzrok, przyglądając się przez szkło idealnie uformowanym główkom sałaty ułożonym w zgrabny stos między doskonałymi pomidorami a purpurową oberżyną wielkości palca. Nie była w stanie dostrzec wnętrza sklepu.

— Mój Boże, Rita. Nie uczyli cię, że na platformie nie biega się po korytarzach? I że nie wypada przyciskać nosa do szyby niczym jakiś zgłodniały dzieciak? Tak się nie robi, a przynajmniej nie powinno się robić.

Margarita aż podskoczyła i obróciła się w miejscu.

— Xia!

— Skąd to zdziwienie? — Matka oparła dłonie na swych wąskich biodrach, przez ramię miała przewieszoną torbę. — W końcu biegłaś za mną, zgadza się?

— Co ty tu robisz?

— Szłam do domu. Za chwilę znowu będę szła do domu. — Przechyliła głowę i przyjrzała się Margaricie, w jej oczach migotało rozbawienie. — Idziesz?

— Ja... — Margarita obejrzała się w stronę parku. Michael będzie jej szukał.

Ale jeśli Xia miała wisiorek, nie potrzebowała już wstawiennictwa Zeda, by dostać się do Archenwald-Shena. Mogła po prostu odebrać go i zawieźć Katrinie następnym promem. Odwróciła się i ujrzała, że Xia jest już dobre kilkanaście metrów od niej, że idzie niedbale przed siebie, nie oglądając się.

Niech ją szlag.

— Zaczekaj! — Margarita zerwała się do biegu, lecz zaraz wyhamowała i zaczęła iść szybkim krokiem. — Zaczekaj chwilecz-

kę. — Złapała ją za rękę. — Ukradłaś wisiołek Katriny.

Xia się obróciła, odtrącając przedramieniem dłoń Margarity i odpychając ją do tyłu.

— Nigdy więcej mnie tak nie chwytaj. — W jej oczach błysnął ogień. — O jakim wisioruku ty mówisz?

Spętana wściekłość czająca się w jej spojrzeniu przywodziła na myśl biały płomień spawarki. Margarita wzięła głęboki oddech, zapanowując nad własnym gniewem.

— Bursztynowy. Zabrałaś go podczas ostatniej wizyty.

— Czyżby? — W jej głosie brzmiało skupienie, nie złość. — Być może, chociaż chyba bym wcześniej zapytała, gdyby należał do Katriny. Cóż, chodź ze mną, jeśli chcesz porozmawiać. — Uniosła jedną brew i podjęła przerwana wędrówkę. — Sorrel dziś gotuje, nie zamierzam więc się spóźnić. Lepszy z niego kucharz niż kochanek, ale ode mnie tego nie usłyszysz — posłała Margarity roztańczone spojrzenie kąciakiem oka. — A więc ty tu jesteś, a twoja tancerka nie?

Och, wszystkie te warstwy znaczeń przykryte tak niewinnymi słowami.

— Zgadza się. — I jak się domyśliła? Margarita zaczerwieniła

się. — Ten wisiołek jest mi potrzebny. — A jeśli Xiago nie wzięła? Jeśli zabrał go ktoś inny, jeśli zginął albo Xia go sprzedała? Co wtedy? Dopiero co zgubiła Zeda, swoje jedyne dojście do Archenwald-Shena.

— Och, wzięłam go sobie. — Xia przełożyła torbę na drugie ramię i westchnęła. — Myślałam, że jest twój, nie Katriny. Nie był w jej stylu. Powinnaś mieć tyle rozumu, żeby nie puszczać mnie samopas w swoim mieszkaniu, jestem kompletnie nieodpowiedzialna. Zapytaj Sorrela. — Zerknęła na Margarity z ukosa. — Nie wystawiasz tutaj swoich holotur. Nie mów, że przeleciałaś taki kawał drogi tylko po to, by odebrać ten wisiołek?

— Ja... — Margarita zawahała się, zdecydowana nie mówić Xii niczego więcej na ten temat. Spojrzała zirytowana na wystawę wypełnioną kolorowymi koszulkami bez rękawów. — Przyjechałam tu z Michaeliem Tryonem — rzuciła to nazwisko między nie niczym rękawicę. — Pamiętasz go, Xia? Mojego ojca?

— Michael? Tutaj? — Xia zatrzymała się i spojrzała uważnie na córkę. — Chcesz powiedzieć, że ktoś zdołał oderwać go od cholernych Kamieni? Bogowie, kimkolwiek onajest, a może to on?, jestem pod wrażeniem. — Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu, kos-

myk szarych włosów spłynął jej na ramię.

Był to szczęśliwy śmiech. Nie, nie do końca. Ale przynajmniej nie gorzki. Nie gniewny.

Czy powodował nią gniew, kiedy powiedziała Margaricie, że Michael jest jej ojcem? Margarita usiłowała sobie przypomnieć, lecz pamiętała jedynie własne oszołomione milczenie, grzechot nagle ciśniętego nazwiska, osoby, w mrocznej próżni jej wnętrza.

„Twój ojciec nazywa się Michael Tryon”.

Nazwisko: ognisko dla uczuć, które szalały w niej w dzieciństwie niczym niepokorny wichur. Był obcym człowiekiem, choć nie do końca. Jego twarz pojawiała się w mediach. Podobnie jak jego biografia. Lecz nadal pozostawał obcy. A teraz? Margarita zamrugała, uświadamiając sobie, że Xia przygląda się jej twarzy z uniesioną brwią, z bladym uśmiechem błakającym się na jej wargach. Zarumieniła się.

— Sorrel nie jest szczególnie cierpliwy. — Xia kiwnęła głową.
— Jeśli się wściekniesz, przestanie gotować. — Podciągnęła wyżej torbę. — Potem możesz mi smęcić o Michaelu Tryonie. I opowiedzieć, komu udało się wcisnąć między niego a jego Kamienie. Tę opowieść chciałabym usłyszeć. — Odwróciła się do niej plecami i ruszyła dziarskim krokiem w głąb korytarza.

Jak gdyby nie obchodziło jej, czy Margarita pójdzie za nią. Co zapewne było prawdą. Dlaczego coś miałyby się zmienić między nimi?, zastanowiła się z goryczą Margarita. Obejrzała się raz jeszcze, nie dostrzegając ani Michaela, ani Zeda. Wzruszyła ramionami, niepokojna, zirytowana, pragnąc z tym skończyć i wrócić do Katriny.

— Kurwa — powiedziała na głos i pobiegnęła za nią, ignorując grzecznych, statecznych, wrogich tubylców.

Michael osłonił oczy przed sztucznym blaskiem południowego słońca. Ani śladu Margarity. Dzieciaki jeździły na rowerach po polu świeżo skoszonej trawy, mała dziewczynka usiłowała zmusić do lotu pomarańczowy latawiec. Hologramy? Michael dotknął listew oparcia parkowej ławki, z ulgą witając jej twardą powierzchnię. Nie wszystko. Raz jeszcze omiół wzrokiem plac, przepatrując powolny, poobiedni tłum.

— Widzisz ją? — Zed zdołał dopchnąć się do niego.

— Nie. Musiała skręcić w inny korytarz. Była tuż za nami — a on trzymał się od niej na dystans, bo wydawała się rozdrażniona.

Michael poczuł narastający niepokój. — Jakim cudem mogła się zgubić? — W tym miejscu brutalne przestępstwa miały nie istnieć. Czyli co, po prostu sobie poszła?

— Posłuchaj, chciałbym już być w tym hotelu. — Zed spiorunował wzrokiem kobietę w jaskrawożółtym stroju i o włosach tej samej barwy, która uśmiechała się do niego. Ta wzruszyła ramionami i posłała mu całusa. — Jeśli Margarita chce sobie pozwiedzać okolicę, jej sprawa. Nie mamy czasu jej szukać. — Odwrócił głowę od kobiety w żółci, szarpiąc w bok podbródkiem. — Chodźmy.

Czas. Tak, czas był teraz bezcenny. Michael czuł to w kłębku

napięcia spoczywającym między łopatkami. Czas naglił. Potrzeba pośpiechu tańczyła w powietrzu niczym fale gorąca. Fale gorąca. Niewidzialne motyle.

— Zed. — Michael ścisnął go za ramię. — Co widzisz?

— Gdzie? — Zed odtrącił go. — Co?

Powietrze było tylko powietrzem, łagodnym i pachnącym wiosną, wypełnionym słonecznym blaskiem i niesioną z wiatrem cichą muzyką. Co takiego widziałem?, zapytał sam siebie Michael. Może nic, ale miał wrażenie, że niewidzialny palec zmarszczył sam czas, był władny pofałdować go bez ostrzeżenia, zgnieść wczoraj, dziś i jutro w jeden zwitek, tak by stykały się ze sobą. Szalona wizja. Potrząsnął głową i westchnął. Może sam był szalony, a te samobójstwa były zwyczajnymi samobójstwami — reakcją na stres wywołany u artysty pracą w medium, którego tak naprawdę nikt nie pojmował.

Ale nadal to słyszał — coś go przywoływało, głos, muzyka, ciemność. Michael spojrzął z boku na Zeda, jego wyciosany z kamienia profil. Taak, on też to słyszał. A więc było rzeczywiste. Nie było produktem szalonego umysłu, ale czymś.

Może i dobrze się stało, że zgubili Margaritę.

— Chodźmy — westchnął Michael. — Jak myślisz, kiedy będziemy mogli wyruszyć do rejonu wydobycia Kamieni?

— Nie wiem. — Zed rozejrzał się dookoła, znowu się garbiąc. — Teraz chciałbym zniknąć już z ulicy. Nigdy nie wiadomo, kto ci się przygląda.

— Na przykład twój szef?

— No. — Twarz Zeda była nieprzenikniona. — Pozostał nam dzień, może trochę więcej. Przekonamy się.

— Dlaczego ty to robisz? — Michael rozejrzał się po placu, nigdzie nie dostrzegając Margarity. — Dlaczego ryzykujesz wszystko, co masz?

— Może jestem tym już zmęczony? — Zed poczęstował go piekącym spojrzeniem. — Może znudziły mi się przywileje. Może mam ochotę przekroczyć parę granic, by się przekonać, jak daleko mogę się posunąć.

— To o to chodzi? — zapytał cicho Michael.

— W pracowni Dannersa... sam nie wiem. — Zed utkwiał wzrok w chodniku, marszcząc czoło. — Ten głos czy pieśń, zwij to, jak chcesz, był taki potężny. Wydaje mi się, że... jest częścią wszystkiego. Miałem wrażenie, że... gdybym znalazł drogę do środka... też stałbym się częścią wszystkiego. Ciebie, skał, starego kochanego Andy'ego... — roześmiał się. — Byłby w siódmym niebie, nie? Wiesz co, bardzo by mi się to podobało.

— Boskość — powiedział cicho Michael. — Tyle że nie wydaje mi się, aby to było to. Może musieliśmy tak właśnie to nazwać. — Czy Danners też tego pragnął? I jedyna droga, jaką znalazł, wiodła przez śmierć? — Bądź ostrożny.

— Już to mówiłeś. Mam dość bycia ostrożnym. — Zed odwrócił się bez ostrzeżenia. — To tutaj.

Białe okiennice sprawiały, że hotel wyglądał niczym śliczny wiejski domek. Tulipany w czerwone i białe prążki kołysały się za niskim płotem, przemieszane z kępami błękitnych kwiatów na długich łodygach — wyłącznie hologramy. Sam płot natomiast był prawdziwy. Michael wykrzywił usta. W porównaniu z dziełami Margarity ten ogródek wyglądał niczym obrazek z sieciowej reklamy.

W ślad za Zedem wszedł po schodach ze sztucznego kamienia do niewielkiego lobby. Obfitość wiejskich elementów dekoracyjnych przypominała o klaustrofobie: kraciaste obrusy, krezowana tapicerka, białe porcelanowe kaczki. Holograficzne płomienie tańczyły na kominku ze sztucznej cegły. Przygaszone światło w połączeniu z otoczeniem natychmiast przypawiły Michaela o ból głowy. Posłał Zedowi krzywe spojrzenie, podczas gdy ten pochylił się nad ekranem wbudowanym w staroświeckie biurko.

— Samoobsługa. — Zed skwitował grymas Michaela wzniesieniem brwi i wzruszył ramionami. — Dyskrecja. W pokoju będzie na nas czekał obiad. Idź, uśmiechnij się do lustra, żeby system ochronny skojarzył cię z zamkiem w drzwiach. I przestań robić taką minę, jakbyś miał się zaraz porzygać. — Obnażył zęby w uśmiechu. — Nienawidzę tego wiejskiego gówna, ale zapewnia prywatność, dale-

ko posuniętą prywatność. Do tego dostaniesz własną łazienkę. To

jedno z niewielu miejsc na platformie nowojorskiej wyposażonych w osobne łazienki dla gości. Nie zwykłem się dzielić łazienką absolutnie z nikim.

— Nawet mnie cieszy, że nie tak wygląda twój ideał elegancji.

.— Michael odwzajemnił się mu lustrzanym uśmiechem, a potem zajrzał w lustro w ozdobnej, złotej ramie, zawieszona nad ciężkim kredensem z ciemnego drewna. Na politurze stały dzbanek i miska z porcelany. Odlewane wzory żłobiły krawędź miski, warstwa kurzu pokrywała białą krzywizną uchwytu. Przyjrzał się swojemu odbiciu, lekkim skrzywieniem ust kwitując ciemne kręgi pod oczami, wystające kości policzkowe, jak gdyby wypłukane spod warstw ciała. O, tak, był zmęczony. I stary.

— Idziemy. — Zed kręcił się przy drzwiach ze szklanych rombów oprawionych w drewno. — Prywatność zaczyna się w pokoju, nie w lobby.

Zachowywał się nerwowo — czyżby bał się swojego szefa?

Michael zaczął się zastanawiać, jak dalece nie docenił Archenwald-Shena. Ze zmarszczonym czołem otworzył drzwi i puszczając Zeda przodem, przeszedł po grubym dywanie pod kolejne drzwi, tym razem białe. Ściany pokrywała kwiecista tapeta. Jeszcze jeden element wiejskiego kolorytu, pomyślał Michael, zaglądając w beznamiętne oko umieszczonej ponad drzwiami kamery, i naprawdę zwymiotuje.

Szczęknął zamek i Zed otworzył drzwi. Chłód. Woń jedzenia.

Kurczak? Michael powąchał chciwie, nagła fala głodu ścisnęła mu trzewia. Ostatnia drożdżówka wydawała się teraz zamierzchną przeszłością. W pokoju zastali dwa zasłane łóżka, tapetę o innym, choć równie przesłodzonym wzorze, następny sztuczny kominek, szafkę i drzwi, prowadzące zapewne do prywatnej łazienki Zeda. Stół z nawiązką równoważył wszystkie grzechy pokoju: nakryty białym obrusem, dźwigał na swoim blacie pieczonego kurczaka — prawdziwego?, czy to możliwe? — tacę z owocami, koszyk pełen chleba i butelkowane piwo w plastikowym kubku z lodem. W drugim koszyku leżały złożone serwetki, śnieżnobiałe i pachnące. Srebrne sztucce. Porcelanowe talerze. Wszedł do pokoju, wpadając na Zeda, który natychmiast zeszyt wniął.

— Coś nie tak? — Za plecami Michaela drzwi zamknęły się samoczynnie, zgrzytnął zamek.

— Nie zamawiałem tego.

— No to ktoś w kuchni się pomylił. — Michael przepchnął się obok niego, pożądamy jedynie jedzenia, a nie zbędnych komplikacji, Bóg zapłać. — Zed? Obaj reagujemy na to, co odbieramy. Wpadasz

w paranoję.

— W rzeczywistości to wcale nie jest paranoja. — Głos, lekko nosowy tenor, przywołał woń kurzu i letniej spiekoty.

Z łazienki wyszedł Gunner Archenwald-Shen, odziany jedynie w owinięty wokół bioder ręcznik.

— Cześć, Michael — uśmiechnął się promiennie, prawie trzepocząc obwisłą skórą podbródka. — Jak miło z twojej strony wpaść tu do mnie w gości. — Teraz skierował uśmiech w stronę Zeda. — Jak zwykle spisałeś się nienagannie. Naprawdę uczciwie pracujesz na swoje wynagrodzenie, wiesz? Nie mogę się ciebie nachwalić, Zed. — Wygiął kąciaki ust w grymas zatroskania. — Czasami gryzę się tym, że nie potrafię ci tego należycie okazać.

— Okazujesz mi to wystarczająco, Gunner — powiedział matowym tonem Zed.

Zdrada? Michael odwrócił się wolno. Zed wyglądał na rozluźnionego, stał z wyszukaną grzecznością, uśmiechając się uprzejmie. Pułapka?, pomyślał z goryczą Michael. Czyżby wszystko było jedynie długim ciągiem obręczy trzymany przez Zeda — ucieczka z kopuły, obietnica lotu na Vildorn — tak by Gunner mógł sobie wygodnie usiąść i popatrzeć, jak przez nie skacze?

Ponad tym uśmiechem oczy Zeda migotały niczym okruchy potłuczonego szkła.

Michael pospiesznie odwrócił wzrok. Może Zed jednak nie wykonywał rozkazów. Kto tu kogo zdradził? Michael dałby głowę, że Zed był teraz zbyt spięty na pozowanie do Kamienia; ten uśmiech był jedynie przykrywką. Michael spojrzał w uśmiechnięte oczy operatora.

— To ty zorganizowałeś moje aresztowanie? Przekupiłeś kogoś,

by podrzucił do mieszkania S'Wanny dowody świadczące przeciw mnie?

— Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. — Archenwald-Shen nie marnował energii na grę pozorów. — Usiądź, Michael — wskazał mu jedno z wyściełanych krzeseł. — Poczęstuj się kurczakiem. Jabłka są z importu, zostały wyhodowane w naturalny sposób, żaden miejscowy hydroponiczny produkt na przetworzonym ludzkim gównie. Oprócz piwa mam także sok, ale, jeśli dobrze pamiętam, ty preferujesz piwo. — Z rozmyślną powolnością pozwolił ręcznikowi opaść na podłogę i skrył się na powrót w łazience. Jego bezcielesny głos wpłynął do pokoju. — Nałóż Michaelowi, Zed. Sam też coś zjedz.

Zed zabrał się do krojenia kurczaka długim srebrnym nożem. Z beznamiętną twarzą podniósł blade pasmo mięsa z piersi i położył je na talerzu.

— Przestań — skrzywił się Michael.

Zed wziął do ręki bułkę, umieścił ją starannie obok mięsa i sięgnął po kawałek jakiegoś żółtego owocu.

— Zed? — Michael złapał go za nadgarstek. Mięśnie tak napięte, że powinny brzęczeć, twarz tak gładka, że aż przerażająca. — Daj spokój — powiedział cicho. — Jak bardzo podpadliśmy?

Na twarzy Zeda zadrgał pojedynczy mięsień.

— My? — Delikatnie uwolnił nadgarstek z uchwytu Michaela, potem przeniósł owoc widelcem na talerz i podał go Michaelowi. — Wolisz piwo czy wodę?

— Och, Zed ani trochę nie podpadł. — Archenwald-Shen powrócił z łazienki, ubrany w elegancki w swej prostocie kombinezon. — Uprzedza moje najdrobniejsze potrzeby, nawet kiedy sądzi, że działa z własnej woli. I chyba jednak nie okazuję ci tego tak, jak należy. — Od niechcenia objął Zeda ramieniem.

A on wcale nie zareagował. Archenwald-Shen uśmiechnął się subtelnie, podczas gdy Zed otwierał butelkę z piwem. Lecz pod tą pozą pulsowała przemoc, jeżąc Michaelowi włosy nagłowie, budząc w nim ochotę, by krzyknąć czy rzucić swoim talerzem o podłogę —

II

byle tylko przerwać to napięcie. Dominacja. Niewielki pokaz tego, że może osiąść każdego, a może tego, co oznacza bycie czyjąś własnością. Zastanawiając się, jak Archenwald-Shen zamierza się zemścić za jego opryskliwość, Michael przyjął podaną mu przez Zeda butelkę. Takie właśnie piwo pijał w Taos. Pierwszy łyk wstrząsnął nim, przeniósł go przez rozciągniętą w tygodnie przeszłość do drewnianego stolika w hotelu Taos, zaniepokojonej twarzy Chris ponad blatem. „Czy Kamień Słońca jest już ukończony?“, zapytała go. A on jej odpowiedział, że jest na ukończeniu.

A teraz znała już prawdę. Michael pochylił głowę, spoglądając przez brązową szyjkę na śmietankową pianę. Kamień Słońca był skończony. Nie ukończony, a skończony. Tak jak pozostałe. Masz je wszystkie, pomyślał z goryczą. Ja też jestem skończony. Dotąd sobie tego nie uświadamiałem, ale to prawda. Przechylił butelkę i się napił.

Rzeźbiarzowi może zabraknąć duszy.

— To naprawdę miły, przytulny kącik. Ale niezupełnie w twoim stylu, Zed. — Archenwald-Shen nałożył sobie kawałek kurczaka i zaczął go delikatnie skubać. — Twój kierowca, Raoul, zwykł się tu zatrzymywać. Trochę tu zbyt drogo jak na jego pensję, ale każdy z nas miewa swoje słabostki. — Wyciągnął rękę po butelkę gazowanej wody mineralnej, otworzoną dla niego przez Zeda. — Szkoda, że go zwolniłeś. Osobiście uważałem go za bardzo dobrego pracownika. A co jest twoją ulubioną słabostką, Zed? — uśmiechnął się, jego oczy błyszczały, drogi materiał tuniki opinał się na jego okrągłym brzuchu. — Nigdy cię o to nie pytałem.

— Nie mam skłonności do błahych rozrywek, Gunner. — Zed uśmiechnął się, rozglądając się po pokoju, jak gdyby szukał kryjówek. — Powinieneś już o tym wiedzieć.

— Ależ wiem. — Na mgnienie oka uśmiechnięta maska Archenwald-Shena spadła, odsłaniając bezwzględne oblicze pożłobione uczuciami. Maskę powróciła na miejsce zbyt szybko, by Michael zdążył je zidentyfikować, a Archenwald-Shen niedbałym gestem sięgnął po kawałek jabłka.

— O ile nie zależy ci szczególnie na tym lokalu, chciałbym

zaprosić cię do siebie — uśmiechnął się promiennie do Michaela. — Właśnie kupiłem dwa twoje obeliski. — Wsunął plasterk jabłka do ust i pogryzł go niespiesznie. — Mimo że nie zechciałeś przyjąć mojego zamówienia. Rzeczywiście jesteś lepszy od Dannersa. Jego Kamienie może i są mocniejsze, ale brakuje im głębi i złożoności. Twojej subtelności wyrazu. — Sięgnął po następny kawałek jabłka.

— Kamień Świtu jest szczególnie piękny. Pełen energii płynącej z głębi ziemi.

Michael odwrócił wzrok, marszcząc brwi. Ta ocena Kamieni Dannersa i jego była... wnikliwa. Nagle przyszło mu do głowy, że być może Zed nie był jedynym człowiekiem, którego ostatnio błędnie ocenił.

— Danners nie żyje — powiedział, wyczuwając raczej niż dostrzegając trwającą ułamek sekundy reakcję Zeda na te słowa. — Poderżnął sobie gardło.

Twarz Archenwald-Shena pozostała obojętna, choć miarowy ruch jego szczęk zgubił na chwilę rytm.

Milczenie się przeciągało, działając Michaelowi na nerwy. Operator wsunął do ust następny kawałek jabłka, nie spuszczać wzroku z twarzy Michaela. Czekał, by się odezwał. Bezdźwięczny nacisk

robił swoje. Michael zwalczył narastającą w jego wnętrzu potrzebę nerwowego przestąpienia z nogi na nogę, świadom cichego rozbarwienia Zeda.

— Nie wierzę, by popełnił samobójstwo. — W tym małym, zatłoczonym meblami pokoju jego słowa zabrzmiały zbyt głośno.

— Myślę... jestem przekonany... to Kamień go zabił. Myślę, że S'Wanna LeMontagne, Irenę Yojiro i Andre Lustik odebrali sobie życie, bo pracowali nad nowymi Kamieniami. Coś zostało w nich umieszczone. Jakiś... przymus — nie obłąd, a w każdym razie nie tylko mój. Michael oblizwał wargi, zmagając się z milczeniem operatora, usiłując zawrzeć w słowach odczuwaną przez siebie ciemność. Boskość, tak powiedział Zedowi. Ale dla tego człowieka to określenie nie miałooby sensu. — Ja coś... poczułem.

— Doprawdy? — Wreszcie jakieś słowa, bezbarwne i bez ogródek. Spojrzenie Archenwald-Shena skierowało się ku Zedowi, za-

trzymało na nim na chwilę i podążyło dalej, odmalowało się w nim zastanowienie. — A co to ma wspólnego ze mną?

— Vildorn BeltMining. Uważam, że do skażenia dochodzi z tej strony. Dlatego tu przyleciałem. Żeby się przekonać — czy tylko mu się wydawało, czy Zed wzdrygnął się nieznacznie? Michael spojrzał na niego, lecz gładka twarz Zeda równie dobrze mogła być utoczona z porcelany.

Archenwald-Shen pochylił się ku niemu z uprzejmym wyrazem twarzy, obejmując dłońmi kolana.

— Ależ z ciebie altruista, Michaelu Tryon. Przelecieć taką drogę tylko po to, by ochronić niewinnych rzeźbiarzy. Wiesz co, nie pomyślałbym, że byłbyś zdolny do czegoś takiego.

Michael się zaczerwienił.

— Nie jestem altruistą. Nigdy nim nie byłem, a skoro zapewne masz dostęp do najdrobniejszych szczegółów z mojego życia, jesteś tego świadom. Mógłbym dalej zajmować się własnymi sprawami, może wywołać trochę zamieszania w mediach przez dzień czy dwa. „Zatrute Kamienie zabijają rzeźbiarzy” — uśmiechnął się krzywo. — Większość ludzi uznałaby to zapewne za atak paniki u starzejącego się rzeźbiarza, może nawet pomyśleliby, że to jednak ja zabiłem S'Wannę i teraz usiłuję ratować skórę. Ale już to poczułem, to, co zostało ukryte w Kamieniach. Prędzej czy później odbiorę sobie życie. — Spojrzał w zimne otchłanie oczu Archenwald-Shena, czując, jak oddech wyslizguje się z jego płuc, puls uderza miarowo, materiał muska skórę. Życie to taka cenna rzecz. Lecz ciemność także śpiewała w jego krwi, w mięśniach, rezonując w kościach.

Przywołując go, i może nie istniał sposób na uniknięcie końca, bez względu na to, co by zrobił. — Chcę wiedzieć dlaczego — wyszeptał.

Archenwald-Shen podniósł głowę, opierając gruby podbródek na splecionych dłoniach.

— Wiedzieć, dlaczego umierasz.—Zatopił spojrzenie w dostępnej tylko jemu wizji. — Wiedzieć, że istnieje przyczyna... to jestem w stanie zrozumieć. — Powoli pokiwał głową. — To zgadza się z tym, co można wyczytać z Kamienia Świtu.

Nieoczekiwane słowa. Nieoczekiwanie głębokie. Michael przez krótką chwilę wytrzymał spojrzenie jego bladych oczu, potem odwrócił wzrok.

— Pozwolisz mi zbadać wydobywane Kamienie? Powinienem być w stanie stwierdzić, gdzie i kiedy... wprowadzany jest ten... rezonans.

— Być może. — Archenwald-Shen przechylił głowę, jego uśmiech stwardniał. — A może nie. Może wydam cię konsulowi dołu, żeby cię deportowano. Może policja chciałaby porozmawiać z tobą o śmierci Dannersa?

Operator nie wierzył mu. Potrafił uszanować pragnienie spojrzenia w twarz swemu zabójcy, ale odrzucał teorię Michaela dotyczącą Kamieni. Może miał rację. Michaelowi zrobiło się słabo, gdy uśmiech Archenwald-Shena znów stał się nieskazitelnie uprzejmy. Zamierzał doprowadzić do końca proces wymierzania Michaelowi kary za jego chamskie zachowanie w Taos. Zamierzał pomachać Michaelowi przed nosem dostępem do Kamieni i przekonać się, jak wysoko będzie gotów podskoczyć.

Jak wysoko jesteś gotów podskoczyć, Michaelu Tryon?

— O ile ta sceneria... hmmm... nie przypadła ci szczególnie do serca — Archenwald-Shen niedbałym ruchem palca wskazał na przesadnie wyposażony pokój — wolałbym, żebyś skorzystał z mojej gościny. Utrzymuję tutaj całkiem przyjemną enklawę, za pozwoleniem. Twoje towarzystwo sprawiłoby mi przyjemność.

A gdyby nie skorzystał, konsul w ciągu godziny znajdzie na biurku jego nazwisko i adres? Posunięcie numer jeden w rozgrywce. Michael poprawnie odczytał podtekst i westchnął, czując, że zmęczenie zalewa go na powrót wysoką falą.

— Oczywiście. — Wzruszył ramionami, zastanawiając się, jak długa i skomplikowana partia go czeka. — Z rozkoszą.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony — zaszemrał Shen. Jego spojrzenie przesunęło się i zatrzymało na Zedzie. — Te przenosiny ci odpowiadają, mam nadzieję? Chyba w niczym nie... hmmm... przeszkodziłem?

— Oczywiście że nie. — Zed sięgnął po nietknięty talerz

Michaela i odstawił go na wózek. — Możemy wyjść, kiedy tylko zechcesz.

Archenwald-Shen skinął głową i dźwignął się na nogi.

— Cieszę się, że wróciłeś. — Kiwnął głową w stronę Zeda.

— Twój asystent nie ma takiej wprawy w manipulowaniu liczbami jak ty. Kilka spraw wymaga twojej niezwłocznej uwagi. Samochód czeka na dole. — Na powrót skierował swoją uwagę na Michaela.

— Pozwoliłem sobie to zorganizować z góry. — W drodze ku drzwiom zatrzymał się, cmokając subtelnie. — Wiesz co, Zed, powinieneś spróbować rzeźbienia Kamieni. Myślę, że byłbyś w tym niezły.

Na mgnienie oka Zed zrobił się biały jak ściana. Natychmiast doszedł do siebie i na jego usta wypłynął powolny, leniwy uśmiech; zdradzał go jedynie błady rumieniec.

— To po prostu nie było w moim stylu. — Zerknął w kierunku łazienki, wzruszył ramionami i podążył do drzwi. — Przyprowadzę taksówkę, dobra? — Przemknął obok Archenwald-Shena.

Wychodząc, zdążył jeszcze posłać Michaelowi szybkie, popękane spojrzenie.

— Miewa swoje humory. — Archenwald-Shen położył swe grube palce na ramieniu Michaela. — Ale jest naprawdę dobry w tym, co robi. Inwestycja w jego wykształcenie zwróciła mi się z nawiązką. Pójdziemy już? Nie mogę się doczekać wyłączności na twoje towarzystwo w ciągu najbliższych dni. — Uśmiechnął się szeroko, zamieniając się na chwilę w odrobinę prostackiego, ambitnego, pustogłowego operatora, jakim się wydawał w Taos.

Michaelowi przyszło na myśl, że Archenwald-Shen już wtedy mógł się z nim rozmyślnie bawić. Czując, że palą go policzki, odwrócił głowę. Przez otwarte drzwi widział wnętrze łazienki. Panował w niej kompletny bałagan: mokre ręczniki zaścielały podłogę i zwisały z kabiny prysznicowej. Czarne włosy pokrywały białą umywalkę, wypełnioną po krawędź wodą z mydlinami.

Michael poszukał wzrokiem Zeda, lecz korytarz był pusty. Idąc

przed operatorem do taksówki, zastanawiał się, czy prowadzone przez niego poszukiwania są tego warte. Może lepiej byłoby oddać

się w ręce ziemskiego konsula, dać się odesłać na dół, by rozplatać biurokratyczny bałagan, jaki tam na niego czekał. Niech się stanie. Niech ciemność go porwie, bo kogo obchodzi, kto się za nią kryje? Sam będzie trupem albo wariatem i będzie mu to zwisało. Wtedy nic nie będzie już miało najmniejszego znaczenia, zgadza się?

Margarita wciąż się liczyła. Jej pamięć o nim.

Poza tym, pomyślał, wychodząc na słońce, może zdoła coś zrobić dla jej kochanki. Było to ledwie możliwe. A więc nie wycofa się z gry.

Zed otworzył przed nimi drzwi taksówki, potem sam usiadł z przodu, nie odzywając się ani słowem. Ani razu nie odpowiedział na pytające spojrzenie Michaela. Gdy niewielki automatyczny pojazd mknął przed siebie, Michael oparł się o piankowy fotel, zastanawiając się ze znużeniem, co takiego uczynił, że rozwścieczył Zeda, i czego zażąda Gunner Archenwald-Shen w zamian za bilet na Vildorn.

Zapewne dużo.

Rozdział dwunasty

Sorrel stanowił pewne zaskoczenie. Był niewysoki i żyłasty niczym ziemniak, w jego żyłach płynęła mieszanka krwi polinezyjskiej i indiańskiej z niewielką domieszką europejskiej, a twarz boleśnie przywodziła Margaricie na myśl Arrowa. Ten sam genotyp. Senne spojrzenie i powolna mowa nie zrobiły na niej najlepszego wrażenia. Miał ciemniejszą skórę niż ona, co sprawiało, że jego jasne oczy lśniły wręcz nienaturalnie ponad wysokimi kośćmi policzkowymi. Zasufladkowała go jako miłe zwierzątko domowe: dobry kucharz, zadowolający kochanek, zbyt ograniczony, by sprawiać kłopoty. Zwinięta na poduszce w jego maleńkim mieszkanku przyglądała się mu, jak wrzuca pokrojone warzywa do elektrycznego woka. Ściana za jego plecami była zarazem ścianą modułu, przezroczystą, delikatną skórą oddzielającą ją od próżni. Mnóstwo gwiazd migotało wśród czerni. Nie przypominało to nocnego nieba na

Ziemi; ziemskie niebo miało głębię. Tu na górze człowiek dostrzegął, że między nim a tymi punktami światła nie było niczego. I to ciągnęło się w nieskończoność. Margarita przełknęła ślinę i zamknęła oczy, czując nagły zawrót głowy. Kiedy rozwarła powieki, ściana miała przyjemny pastelowy, niebieski kolor.

— Ten widok zwykle przerasta nowych. — Sorrel zebrał garść czegoś jasnoczerwonego i warzywnego, wrzucając wąskie paski do

woka. — Ja tam lubię kosmos za oknem. Mogę oglądać skały zrzucone z Pasa. To fajny widok, gdy holowniki gonią za nimi. Ale dzisiaj nie ma co liczyć na duży ruch. — Kolejna garść czerwonych pasków zaskwierczała w gorącym naczyniu.

— Jest jeszcze fajniej, kiedy spudłują. — Rozciągnięta na drugiej poduszce Xia ziewnęła donośnie. — Mam nadzieję, że już kończysz. — Wyciągnęła nogę, zaczepiając Sorrela gołymi palcami.

— Głodna jestem.

— Zawsze jesteś głodna. — Sorrel przesunął się odrobinę, opierając się lekko na jej stopie. — Jeżeli będziesz mnie rozpraszać, przypalę jedzenie.

Xia się roześmiała i cofnęła nogę.

— Czyli tak, Rita. Jednak pojednałaś się z Michaelem. — Uniosła w milczącym toaście niewielki kieliszek wypełniony miejscową brandy, potem posłała Margaricie spojrzenie sponad krawędzi szkła.

— Jestem zaskoczona.

— To nie ja. — Margarita powąchała swego nietkniętego drinka, marszcząc nos w zetknięciu z jego ostrą wonią. — To on mnie odszukał. — Co było niemalże prawdą. — Dlaczego mu nie powiedziałeś?

— A niby czemu? — Xia uniosła brew. — Przyczynił się do tego w całkowicie przypadkowy sposób. Oboje myśleliśmy, że mój implant działa, jak należy — roześmiała się cicho. — Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć jego twarzy, Rita. Gdyby spojrzenia mogły zabijać. .. Ciesz się, że nie zdecydowałam się na zabieg.

— No, wielkie dzięki. Zamiast tego zostawiłaś mnie Tli Elenie na progu. — Ręce jej drżały. Odstawiła kieliszek, by nie rozlać jego zawartości, ulegając naporowi słów gromadzących się w jej gardle.

— Dlaczego nie zdecydowałaś się na zabieg? — zapytała cicho. —

Dlaczego, do jasnej cholery, mnie urodziłaś?

— Taka jesteś nieszczęśliwa, że wolałabyś się nie urodzić? — zapytała Xia z kamienną twarzą. — Życie nie ma wielkiej wartości, może tak naprawdę nikt z nas nie jest potrzebny na tym głównianym świecie. A ja dobrze wiedziałam, że kiepska będzie ze mnie matka. Och, zastanawiałam się nad tym, kochanie — uniosła brew. — Myślę, że urodziłam cię, ponieważ byłaś córką Michaela. Pewna szalona część mnie pragnęła mimo wszystko zachować jakąś jego część. On nie chciał mi niczego dać, sama więc sobie to wzięłam.

Margarita zamrugnęła, szukając słów, złości, lecz znajdując jedynie milczenie.

— O, tak, kochałam go. — Xia potrząsnęła głową, cienie wypełniły jej oczy. — Gdyby mnie wpuścił do swego świata, zostałabym z nim. Na zawsze, tak sobie mówiłam, bo „na zawsze” miało wtedy jeszcze jakieś znaczenie. Lecz on nie był w stanie mnie pokochać, nie był w stanie pokochać niczego oprócz swoich Kamieni. W końcu i tak zaczęłoby mnie to nużyć — roześmiała się miękko. — „Na zawsze” nie jest w moim stylu. Nic zatrzymuję się na długo w jednym miejscu czy z daną osobą, tylko bym więc go skrzywdziła. Ale na krótką metę byłoby przyjemnie — wreszcie spojrzała na Margaritę, uśmiechając się blado. — Więc kto to osiągnął? Kogo pokochał mocniej niż swoje Kamienie?

— Nie... nie wiem. — Złość minęła i nie powróciła jej na ratunek. — Nie wiem, kogo kocha; nie wiem, czy w ogóle ktoś go obchodzi. Jest w tym podobny do ciebie, prawda? — Podniosła się sztywno z podłogi, zaciskając pięści. — Po prostu oddaj mi ten wisiołek. Zaraz zejść ci z oczu. Chyba obie mamy już siebie dosyć.

— Zawsze się na mnie złościś — roześmiała się Xia. — Kiedy tylko cię odwiedzam, całymi godzinami obchodzisz tę swoją złość na czubkach palców, jakby była wielkim śpiącym psem, jakby miała się zerwać i cię pogryźć. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie kopniesz tego sukinsyna, żeby się przekonać, co się wtedy stanie, ale ty nieustannie tylko się przemykasz ukradkiem. Wyjeżdżam więc, bo to nudne przedstawienie. — Wzruszyła ramionami szybkim,

gwałtownym gestem. — Zezłość się porządnie, Rita. Nienawidź mnie, jeśli tego chcesz, ale zrób coś z tym. Nieważne, i tak mnie nie słuchasz. — Xia westchnęła, przechyliła głowę i osuszyła swój kieliszek. — To, że mam macicę i mogę zająć w ciążę, nie oznacza automatycznie, że muszę potem tego dzieciaka wychować. Ja przynajmniej jestem świadoma swoich ograniczeń. — Obliznęła wargi, z żalem zaglądając do kieliszka. — Elena jest dobrą matką, a więzy krwi wiele znaczą dla mojej siostrzyczki. Wiem, że traktowała cię tak, jakbyś była jej dzieckiem.

— O, tak. — Margarita pochyliła się i podniosła kieliszek, dłoni już jej nie drżała, a jedynie zbieleła, zaciskając się na szkle.

— Myślisz, że ja bym się lepiej spisała?

Cichy, przenikliwie lodowaty głos Xii sparaliżował ją. Margarita spojrzała z ukosa w oczy matki i uciekła przed czającymi się w nich dawnymi cieniami. Mrocznymi, niekiedy nawet odpychającymi.

— W porządku. — Wzięła głęboki oddech. — Czyli życie nieźle

dało ci w kość, mi także, może tak właśnie jest z większością ludzi, zgoda? Czyli obie jesteśmy dorosłe i to wszystko?

— To ty chciałaś rozmawiać. — Xia pozostawała niewzruszona.

— Nie ja.

Żadnej szansy na zwycięstwo. Kolejne sprytne słowa Xii, jak zawsze. Margarita wypuściła powietrze z płuc, spojrzała wściekle na swój kieliszek i pociągnęła solidny łyk palącej, cierpkiej brandy. I się zakrztusiła.

Zgięła się w pół, kaszląc, oczy zaszyły jej łzami, pierś paliła żywym ogniem. Poczuła, jak ktoś wyjmuje jej kieliszek z dłoni i klepie ją po plecach. Delikatnie. Pocieszająco.

— Popij to. Woda ci pomoże.

Głos Sorrela. Słowa otuchy Sorrela. Margarita po omacku zamknęła palce wokół kubka, który wcisnął jej w dłoń, i napiła się chłodnej wody. Rzeczywiście pomogła. Powoli spazmy ustały i była w stanie się wyprostować, otrzeć rękawem usta.

— Nasza brandy to ostry towar. — Sorrel postawił woka na niewielkim stoliku. — Za pierwszym razem powinno się do niego zabierać z ostrożnością.

Nie mów. Margarita rozejrzała się, lecz Xia zniknęła.

— Zeszła do piekarni na sąsiedniej ulicy. Mają tam dobre chapati. — Sorrel ostatni raz zamieszał starannie zieloną i czerwoną zawartość woka, a potem odwrócił się w jej stronę. — I myślę też, że chciała się przejść, bo zalazłaś jej za skórę, a to niezłe osiągnięcie: ja próbuję od lat i jak na razie nie udało mi się znaleźć żadnej szczeliny w jej pancerzu — roześmiał się łagodnie. — Mówiła prawdę o tej swojej niechęci do dłuższych związków. Znam ją od dawna. Kiedy tu jest, ma się wrażenie, że to potrwa wiecznie, ale tak nie jest. Nigdy tak nie jest. Ale wraca. — Wyciągnął z szafki talerze i sztućce, by nakryć stół.

— Porzuciła mnie — wychrypiała Margarita. — Poznałam ją, kiedy miałam pięć lat. Pięć lat!

— Kupa czasu dla dzieciaka. — Sorrel postawił przy woku plastikową butelkę wina i omiół całąść krytycznym spojrzeniem. — Xia jest jak ćma. Gna za płomieniem, tyle że chyba sama nie wie, jak on wygląda — westchnął. — Kiedy go znajdzie, spłonie, i będzie to cholernie jasny błysk. — Obrócił butelkę o parę milimetrów, by etykieta była lepiej widoczna. — O, tak, rozjaśni nocne niebo jak słońce — powiedział cicho. — Jak supernowa.

Kochał ją. Margarita uciekła wzrokiem przed smutkiem na jego twarzy, i wtedy do mieszkania weszła Xia.

— Chapati. — Uniosła plastikową torbę. — Smakują jak wypieczone z prawdziwej mielonej pszenicy, a nie hydroponicznych komórek. Nie wiem, jak to robią, ale robią to dobrze. Nie dajmy więc czekać twojemu dziełu, Sorrel.

— Wszystko gotowe. — Sorrel pocałował ją lekko w policzek, odbierając od niej torbę.

Margarita dostrzegła czułość zawartą w tym pocałunku, pokrytą rezygnacją. Ponieważ Xia wkrótce ruszy dalej i tak już miało być. A co czuła Katrina, co myślała o niej, o nich? Przerazenie ogarnęło Margaritę. Naprawdę tego nie wiedziała.

Nigdy nie pragnęła wiedzieć.

Usmażone warzywa smakowały całkiem nieźle, wymieszane z warzywnymi kostkami proteinowymi, lekko przyprawione curry

i wyszukаныmi słodkimi przyprawami, których Margarita nie potrafiła zidentyfikować. Była głodna, a Sorrel przypatrywał się jej podczas posiłku z nieskrywaną aprobatą. Skoro lubił gotować, lubił też patrzeć, jak ludzie jedzą jego potrawy. Xia jadła łapczywie, zgarniając warzywa kawałkami chleba, zlizując sos z palców, od czasu do czasu wsuwając Sorrelowi do ust co smakowitsze kąski.

Tej łapczywości było odrobinę za dużo jak dla Margarity. Miała nieprzyjemne wrażenie, że Xia o tym wie i bawi ją to.

— Było wspaniałe — powiedziała Sorrelowi, odstawiając talerz na blat. — Umierałam z głodu.

Sorrel pokiwał głową, wyjął jej talerz z dłoni i wsunął go do zmywarki.

— Chyba zmyję się do „Earthlighta” na piwo. — Wstawił resztę naczyń w uchwyty. — Do zobaczenia później. — Mrugnął do Xii i wymaszerował z mieszkania.

Zrobił to, by dać im trochę czasu na osobności, i czuł się przy tym na tyle pewnie, by tego nie ukrywać. Margarita skinęła głową, gdy zamykał za sobą drzwi, czując do niego sympatię za ten gest.

— Miły facet — powiedziała, nie patrząc na Xię.

— Owszem. — Xia wybrała ostatnie resztki z woka. — To teraz opowiedz mi o tym cudownym wisioru, tak cennym, że przyleciałaś aż tutaj, aby go odzyskać.

Och.

— Już ci powiedziałam...

— Tak, tak, pomyślałaś sobie, że skoro już tu jesteś i bawisz się w turystkę w towarzystwie Michaela, to poprosisz o jego zwrot — Xia na powrót zwinęła się na swojej poduszce, opierając głowę na ręce. — Nie umiesz kłamać, Rita. Z twoją szczerą, gniewną twarzą nie marzyłabym o oszukaniu kogokolwiek — roześmiała się. — Chyba że weźmiesz sobie korepetycje z języka gestów. No więc? — Usiadła, podwijając nogi w pozycji lotosu. — Co to za dane? Jakaś smakowita informacja na sprzedaż na rynku sieci, a może szantaż? — Zasznurowała wargi i mrugnęła do niej. — Uważałam twoją seksowną tancerkę za na wskroś uczciwą. A może to twój skarb?

— Dane? — Margarita z wysiłkiem zamknęła usta, czując, że

ciepło rozlewa się jej na twarzy. — O czym ty mówisz? — Ale z wyrazu twarzy Xii poznała, że jest już za późno. — Och, kurwa. — Uderzyła pięścią w stolik. — Przystaniesz wreszcie bawić się ze mną w te swoje gierki? Tylko ten jeden raz? Cholera jasna! — Zacisnęła mocno wargi, wstrząśnięta łatwością, z jaką znów znalazła się o krok od wybuchnięcia płaczem. Za nic w świecie. Nie w obecności Xii.

— A co innego mogłoby w nim być? Sprytny schowek na mikrosferę. Wewnętrzna struktura bursztynu zamaskowałaby miejsce nacięcia; jedynie skaner byłby w stanie coś wykryć. — Xia westchnęła. — Nie bawię się w gierki, Rita. A przynajmniej nie z tobą. Może pewnego dnia to zrozumiesz. A może i nie. Czyli twoja tancerka ma kłopoty, tak? — powiedziała żywo, kiwając głową. — Uważam, że powinnaś mi o tym opowiedzieć. Mam w tych sprawach większe doświadczenie od ciebie.

Raz jeszcze w jej oczach przelotnie zamigotała ciemność. Margarita przygryzła wargę, wbijając wzrok w pastelową ścianę zakrywającą nieskończoną pustkę po drugiej stronie. Nie ufam jej, pomyślała. A komu ufasz? Katrinie. Komu jeszcze? Margarita powoli wypuściła powietrze z ust, wewnątrz i zewnątrz pusta.

— Nie wiem, co zawiera ta kapsuła. — Przełknęła ślinę, serce zaczęło bić szybciej, zakręciło jej się w głowie, jak gdyby stała na krawędzi. Czego? Urwiska? Jeszcze jeden krok i może się przekona, może zacznie spadać. — Menedżer mojej galerii dał ją Katrinie na przechowanie. Trochę później ktoś go zabił. Cholera, nawet nie wiem, czy ten przeklęty wisiołek ma z tym coś wspólnego, ale... — Zawahała się, potrząsając głową. — Boję się — wyszeptowała. — O Katrinę. — Ukryła twarz w dłoniach, sparaliżowana niewyobrażalną potęgą tego lęku, zastanawiając się, gdzie się dotąd ukrywał,

jak ona mogła się ukrywać przed nim. — Muszę do niej zadzwonić — odetchnęła głęboko, cała rozdygotana. — Muszę się upewnić, że nic jej nie jest — och, tak, och, błagam Cię, dobry Boże. — W tej chwili.

— Mogę cię zaprowadzić do publicznego terminalu. — Xia wzruszyła ramionami. — To żaden problem. — Przesunęła długim

palcem po ustach, potem odrzuciła niesforny kosmyk z twarzy. — Istnieje tylko jeden sposób na poznanie wartości twojego skarbu. Przejrzanie jego zawartości.

— Jak? — zapytała głucho Margarita. — Przecież będzie zabezpieczony.

— Jakość zabezpieczenia zależy od ceny, jaką jesteś skłonna za nie zapłacić — prychnęła Xia. — A mnie stać na najlepszą — uśmiechnęła się, obnażając czubki zębów. — A przynajmniej na jedną z najlepszych. Miejmy nadzieję, że twój tajemniczy instalator nie mógł sobie pozwolić na opłacenie kogoś jeszcze lepszego. — Pokiwała z uśmiechem głową. — Chyba powinniśmy zajrzeć do Sorrela, do „Earthlighta”. Wieczorami można tam złapać Lizę.

— Lizę?

— Ma talent do kodów. Napuścimy ją na twoją łamigłówkę. — Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej złocistą łąkę zawieszoną na delikatnym łańcuszku.

Margarita wyciągnęła rękę.

— Nie tak szybko. — Xia cofnęła dłoń. — Chyba powinnam na razie to zatrzymać — uśmiechnęła się z rozbawieniem. — Wiesz co, słusznie mi nie ufasz. Nie winie cię za to.

Margarita niemalże spróbowała wyrwać jej wisiołek z palców, lecz zdołała się opanować.

— Na pewno masz rację. — Zacisnęła wargi i postarała się, by wzruszenie ramion zawierało w sobie jak najwięcej nonszalancji. Suka. — To ty masz dostęp do tej hakerki, nie ja.

— I owszem. — Xia mrugnęła do niej, przerzucając warkocz przez ramię. — A tak przy okazji, niezła samokontrola. Może jeszcze się nauczysz robić pokerową twarz. Może. — Wybuchnęła śmiechem i wsunęła wisiołek do kieszeni. — Chodźmy złapać Lizę, zanim upoluje jakąś atrakcyjną górę mięśni na noc.

— Naprawdę jesteś wrednym babskiem.

— A czy kiedykolwiek temu zaprzeczałam? — Xia raz jeszcze się roześmiała i wyszła na korytarz.

„Earthlight” był popularnym, choć niedużym lokalem. Jego sufit stanowiła przezroczysta łata zewnętrznego pancerza, wewnątrz zaś wypełniały poduszki i niskie stoliki. Większość z nich zajmowały usadowione wygodnie pary i niewielkie grupki ludzi zajętych rozmową, pićciem i rozrywkami. Ponad dwoma niewielkimi scenami migotały hologramy: w jednym kącie pornos, w drugim zaś chyba wrestling, choć było w nim równie wiele seksu. Żaden nie cieszył się szczególnie dużym zainteresowaniem.

Margarita odwróciła wzrok od jęczących ciał na scenie porno. Poza niewidzialną granicą między powietrzem a próżnią, wśród rozgwieżdżonej czerni wisiała Ziemia. Wielka, niebieska i biała, zdawało się, że przytłacza wszystko swymi rozmiarami. Margarita cofnęła się o krok, w gardle napuchła jej nieprzyjemna gruda, nagle poczuła straszliwą tęsknotę. Chcę do domu, pomyślała. Jakiego domu? Nawet dom Tfi Eleny robił na niej wrażenie tymczasowego przystanku — miejsca, w którym mieszkała z braku czegoś lepszego.

Odrywając wzrok od niebiesko-białego widoku, rozejrzała się po zatłoczonym pomieszczeniu. Sorrel siedział przy okrągłym stoliku pod ścianą. Margarita podeszła w ślad za Xią do jego stolika, brodząc w niemalże materialnym morzu muzyki i rozmów. Pary tańczyły na błyszczącym parkiecie, wijąc się w rytm monotonnej, pulsującej nuty, przebijającej się przez wszechobecny zgiełk. Za jej plecami na scenie porno kobieta z zadyszczanym krzykiem osiągnęła orgazm. Ktoś zaklaskał.

— Fajnie, że wpadłyście. — Sorrel przesunął się, by zrobić miejsce dla Margarity. — Dopiero co nadleciała skała. Ale się holowniki wyroiły.

— Widziałeś Lizę? — Xia uśmiechnęła się na poduszce.

— Tańczy. — Sorrel skinął głową w stronę parkietu. — Poluje.

— I jak jej idzie z krokami? — Xia przechyliła głowę.

— Trochę lepiej. Jesteś dobrą nauczycielką, ale obawiam się, że osiągnęła już granicę swoich możliwości. — Sorrel przeciągnął się szybko, sięgając po swoją pustą szklanę. — Chcesz brandy?

Xia potaknęła i skierowała pytające spojrzenie na Margaritę, lecz ta potrząsnęła przecząco głową.

— Liza ma świetne ciało, ale rusza się jak nastolatka — powiedziała Xia z pobłażaniem w głosie, lecz jej uśmiech dawał do

zrozumienia coś zupełnie innego. — Ale towarzysko spisuje się bez zarzutu.

Margarita rozejrzała się po parkiecie, czując nagły niepokój przemieszany z potrzebą pośpiechu. Chciała już mieć to za sobą, odczytać tę cholerną kapsułę i wrócić do domu. Do Katriny, która być może stanowiła jedyny dom, jaki kiedykolwiek będzie miała. Nie rozumiałam tego, pomyślała Margarita. Może nadal tego nie rozumiem. Westchnęła, a gdy Xia zamachała ręką, podniosła wzrok. Wysoka, szczupła kobieta o krótko ostrzyżonych blond włosach przepychała się z czujnym wdziękiem przez tłum w ich kierunku. Nożownicza, pomyślała Margarita. W każdym razie ruszała się tak samo, na jej twarzy malował się ten sam zaczepny wyraz.

— Hejki, Zee. — Kobieta padła na poduszkę, podwijając nogi tak, by móc się zerwać z miejsca w mgnieniu oka. — Szkoda, że wcześniej cię tu nie było. Taki jeden ziemniak popisował się w tańcu. Uważał się za ósmy cud świata. Zdmuchnęłabyś go z parkietu. — Zastanowiła się przez moment, lekko wykrzywiając usta.

— Do tego jeszcze uważa się za ósmy cud świata w łóżku. Przekonamy się.

Xia przewróciła oczami.

— Zanim się do tego zabierzesz, mam dla ciebie robotę. Zainteresowana?

— Może. — Omiotła Margaritę szybkim, twardym spojrzeniem.

— A cena?

Xia zrobiła zamyśloną minę.

— Cóż, nie powiedziałabym, żeby to wyrównywało nasze rachunki, ale dług zostanie poważnie zredukowany.

Liza chrząknęła z niesmakiem.

— Rób, jak uważasz. — Xia uśmiechnęła się do wracającego od baru Sorrela i odebrała od niego pełen kieliszek.

— O co chodzi? — Liza oparła się łokciami o stół ze złym wyrazem twarzy. — Miałam inne plany na ten wieczór.

— Bez pośpiechu. Na przyszły tydzień albo jak ci wygodnie. —

Xia zignorowała niemy protest Margarity. — Chcę się dowiedzieć, co zawiera pewna kapsuła.

— Tylko tyle? — Liza pogardliwie uniosła brew.

— Zapytaj mnie ponownie, kiedy już złamiesz zabezpieczenia.

— Xia pobłażliwie pociągnęła łyk brandy. — O ile dasz radę.

— Pierdolenie. — Jej złość zogniskowała się na Margaricie. —

Nikt nie jest na tyle dobry, by mnie powstrzymać.

Xia napiła się ponownie.

— No, dawaj tę cholerną kapsułę. — Liza niemalże podetknęła

jej pod nos otwartą dłoń. — I tak nie mam niczego szczególnie ważnego do roboty.

Xia bez słowa położyła na jej dłoni bursztynowy wisiołek. Margarita chciała coś powiedzieć, lecz ostre spojrzenie Xii skutecznie ją uciszyło. W porządku, były na terenie Xii. A przebywając na cudzym terenie, zwłaszcza kiedy nie znało się obowiązujących zasad, należało się zachowywać zgodnie z poleceniami. Przynajmniej przez jakiś czas. Dopóki nie poznało się lokalnych praw. A do tego naprawdę chciała wiedzieć, co zawiera ta kapsuła. Margarita przykleiła sobie na twarz neutralny uśmiech i patrzyła bez ruchu, jak Liza niedbale chowa wisiołek do kieszeni.

— To ten bystrzak. — Liza wskazała głową bladokórego rudzielca zmierzającego na parkiet. — Dam Dino piątaka za odpalenie synchotronu i będziesz mogła mu pokazać, jak to się robi. — Płynnym ruchem podniosła się z poduszki i mrugnęła do Xii. — Założę się, że w łóżku też jest do niczego. Przekonamy się.

Xia spojrzała na parkiet, przechylając głowę, i uśmiechnęła się, gdy muzyka zmieniła rytm. Potem wstała, już dostosowując się całym ciałem do melodii. Taak, Xia była tancerką. Podobnie jak Katrina. Margarita patrzyła, jak Xia prześlizguje się między stolikami. Jej ruchy były płynne i opanowane; ostentacyjnie wyzywające i prowokujące. Spojrzenia zaczęły się kierować w jej stronę, pociągając za sobą kolejne.

Umiała wiele osiągnąć krótkim spacerem przez zatłoczone pomieszczenie, przyznała niechętnie Margarita. Może nawet więcej od Katriny, która przeistaczała się w tancerkę dopiero po wyjściu na

parkiet. Margarita podniosła się powoli, czując na sobie wzrok Sorrela, i zaczęła się przeciskać bliżej parkietu. Teraz lepiej słyszała muzykę, skomplikowaną, cholernie trudną synkopę — złośliwe zagranie Lizy wobec rudzielca. Przebywający na parkiecie ludzie wracali do stolików, by przeczekać nazbyt wymagający utwór. Ale nie ten gość. Pozostał na samym środku sali, mniej więcej nadszając za rytmem.

Margarita przedostała się pod ścianę i oparła się o jej chłodną gładź. Na parkiecie Xia uniosła ręce, jej ciało podchwyciło basowe pulsowanie, zamieniając je w jej puls, jej tętno. Katrina też tak potrafiła, jak gdyby otwierając sobie żyły i pozwalając, by muzyka przepływała przez jej ciało niczym krew. Jej oczy przybierały wtedy szklisty wyraz, jakby widziały Boga albo muzykę. Kiedy Xia zaczęła tańczyć, jej oczy stały się dokładnie takie same. Podjęła tętno basu, oplótła wokół niego jasność, utworzyła kontrapunkt z ciała i ruchu, linii, kształtów i poruszeń. Aż do chwili, w której muzyka i ciało stapiały się w jedno i żaden z widzów nie umiał już sobie wyobrazić muzyki bez tańca ani tańca w ciszy.

Katrina potrafiła to osiągnąć. Xii niemalże się udało. Niemalże. Widoczne były drobne niedociągnięcia, zachwiania, gdy mięśnie i kości nie były w stanie zmusić się do niezbędnego wysiłku, gdy wbrew jej intencjom muzyka wykraczała poza ciało.

Xia była stara. Dobra, niewiarygodnie dobra, lecz stara. Jak na tancerkę. Margarita odwróciła oczy z zaciśniętym gardłem. Być może kiedyś była lepsza od Katriny. Teraz była prawie równie dobra, lecz nie całkiem. Nieoczekiwanie dla samej siebie Margarita zaczęła się zastanawiać, kiedy Xia pierwszy raz zrozumiała, że nie jest już tak dobra jak poprzedniego dnia. I co to dla niej oznaczało. Pewnego dnia — nieprędko, lecz nieuniknienie — ten dzień nadejdzie i dla Katriny.

Ja mogę tworzyć bez końca. Margarita oparła się głową o ścianę rozdzielającą atmosferę od próżni, życie od lodowatej, kataklizmicznej śmierci. Aż do chwili, w której zawiedzie mózg, a wtedy zapewne będzie jej już wszystko jedno. W przypadku Katriny było inaczej. Talent przetrwa upadek możliwości. Taniec jest taki śmiertelny,

pomyślała z goryczą Margarita. Można wykonać zapis holograficzny, ale to już nie to samo. „Wykonanie na żywo jest niezbędne”, powiedziała którejś nocy Katrina, kiedy obie troszeczkę sobie podpiły. „To prowadzi do symbiozy widowni z tancerzami, oddychającej, ożywionej wymiany doznań. Nie sposób tego zarejestrować. W pojedynkę nie można tego osiągnąć”.

Śmiertelny. Holotury Margarity nie wymagały jej obecności, by oddziaływać na widza; będą istniały długo po tym, jak ona sama obróci się w pył. Taak. Jej usta zadrżały. O ile kogoś będzie to wtedy jeszcze obchodziło. Na parkiecie Xia tańczyła dalej — krew, kość i śmiertelna dusza muzyki. Na moment jej oczy spoczęły na Margaricie, nie widzące, wypełnione ogniem, zapatrzone w siebie. A potem powirowała dalej, teraz tańcząc już solo; nawet rudowłosy dupek się poddał.

Margarita wróciła do stolika w chwili, gdy muzyka i taniec Xii dobiegły końca. Na sali rozległy się pojedyncze oklaski i Margarita

poczuła ukłucie bólu. Óma, tak nazwał ją Sorrel. Gnająca za nieznanym płomieniem. Taak, dostrzegła to na jej twarzy. Dlaczego Katrina tańczyła? Co to dla niej znaczyło? Margarita nigdy jej o to nie spytała. Opadła na swoją poduszkę i oparła łokcie o porysowany plastikowy blat.

— Masz teraz ochotę na brandy? — zapytał cicho Sorrel. Margarita podniosła wzrok i ujrzała na jego twarzy współczucie.

— Taak. — Pokiwała głową. — Dzięki.

Pojawiła się zarumieniona Xia, jej skóra lśniła od potu.

— Wody — zawołała ze śmiechem. — Sorrel już po nią pobiegł, niech mu to Bóg wynagrodzi.

Kiedyś musiała być niewiarygodna.

— Byłaś naprawdę dobra — powiedziała Margarita i skrzywiła się, słysząc w swym głosie skrępowanie.

Xia uniosła brew.

— Czyli: całkiem nieźle jak na emerytkę? Dobrze przetłumaczyłam?

Margarita spróbowała się nie zaczerwienić, ale zupełnie jej się to nie udało.

— Taak, owszem, jestem w tym dobra. — Spojrzenie Xii uwięziło Margaritę, nie pozwalając jej się wyrwać. — Dawniej byłam lepsza. Zapewne kiedyś będę gorsza. Tańczę. Lubię tańczyć. Pierdol się, córeczko. — Obróciła głowę, gdy Sorrel postawił na stoliku trzy szklanki, i sięgnęła po największą. — Dzięki, kochanie. — Musnęła jego nadgarstek. Potem wypłała połowę zawartości łąpczywymi, spragnionymi haustami. — Gotów wracać do domu?

— A chcesz? — Sorrel zerknął niepewnie na Margaritę.

— Tak, chcę. — Xia skończyła swoją wodę i podniosła się, chwytając go za rękę. — Idziesz z nami, Rita?

— Za chwileczkę. — Margarita dotknęła krawędzi swojego kieliszka, nie podnosząc oczu. — Znam drogę.

„Pierdol się, córeczko”. Margarita wypłała połowę swojej brandy jednym łykiem, ciesząc się jej palącą surowością. Czowała się upokorzona i nie miała pojęcia dlaczego. I to doprowadzało ją do wściekłości. Na parkiecie rudzielec znowu tańczył, wywijając tyłkiem, kartonowa sylwetka w blasku słońca odbitym od błękitno-białej

powierzchni Ziemi. Daj Xii i Sorrelowi trochę czasu, powiedziała sobie w duchu. Niech mają trochę prywatności, zanim wrócisz do mieszkania. Aczkolwiek miała przecucie, że Xia miała prywatność w głębokim poważaniu.

Być może, ale prędzej ją szlag trafi, niż spędzi pół nocy, przysłuchując się, jak się kochają. Margarita dokończyła brandy i poszła po następną.

Nie upiła się — a przynajmniej tylko umiarkowanie. Kolejna zasada: nie upijaj się na obcym terenie. Ale wypiła dosyć, by znieczulić część wyrwijających się na powierzchnię uczuć. Uczuć dotyczących Katriny i Xii. Uczuć, którym nie chciała stawiać czoła teraz, a być może wcale. Michael Tryon też tam był, jeszcze jedna twarz w chórze. Kiedy barman zaproponował jej narkoplaster, przez chwilę odczuwała zaskakująco silną pokusę.

Ale znajdowała się na obcym terenie, a bezsilne oszołomienie fundowane przez plaster nigdy nie przypadało jej do gustu.

Pora iść, powiedziała sobie w duchu i zrezygnowała z ostatniego drinka. Bar był równie pełen jak wcześniej, lecz twarze gości się zmieniły, były odrobinę bledsze i upiorne w blasku Ziemi. Zupełnie jakby tu na górze nie było dnia ani nocy, jak gdyby ludzie żyli swoim własnym, niezależnym rytmem. Może tak właśnie było; Margarita nie знаła tego świata i nie pragnęła go poznać. Ostrożnie prześlizgnęła się między zatłoczonymi stolikami. Rudowłosy tancerz zniknął, na parkiecie zastąpiło go cztery czy pięć niepewnie się poruszających par. Koniec z solówkami. Koniec ze szpanowaniem.

Xia była kiedyś świetną tancerką. Nie. Policzki paliły Margaritę. Nadal była świetną tancerką. To „pierdol się” było w pełni zasłużone. Może nietrwałość stanowiła nieodzowną część tej sztuki. Margarita zastanawiała się nad tym po wyjściu z „Earthlighta”. Może terazniejszość stanowiła o unikalności każdego tańca. Tancerz przekładał muzykę na żyjącą chwilę siły, potu i słabości — tu i teraz. Może to po części stanowiło klucz do Katriny; terazniejszość znaczyła dla niej więcej od przyszłości. Tak więc zapłaciła Ariemu Yiassisowi, bo miejsce w galerii dostępne było teraz, nie dlatego, że wątpiła w talent Margarity. Dlatego, że kochała Margaritę i żyła chwilą, a nie dla przyszłości.

Może Liza złamała zabezpieczenia kapsuły. Margarita zatrzymała się na skrzyżowaniu ogarnięta nagłą niepewnością. Korytarz był pusty, tak więc być może ludzie na górze także stosowali się do swego rytmu dnia i nocy. Ze zmarszczonym czołem rozejrzała się na boki. Jej stopy chciały poprowadzić ją w lewo, lecz ten korytarz wyglądał nieodpowiednio. Nagle za jej plecami rozległy się kroki, przytłumione, choć szybkie, jak gdyby biegnący starał się nie

robić niepotrzebnego hałasu. Kierowały się w jej stronę. Margarita okręciła się w miejscu, wyćwiczonym ruchem unosząc rękę i przykucając. Coś uderzyło ją boleśnie, na ułamek sekundy rozbijając wzrok i świadomość na jaskrawe okruchy. Zatoczyła się do tyłu, jęknęła, gdy ściana korytarza uderzyła ją bezlitośnie w plecy, i osunęła się bezwładnie na podłogę. Palce przesunęły się po jej ciele, szarpiąc tunikę. Materiał rozdarł się z suchym trzaskiem. Wzrok już

powracał, chaos uformował się w rozmazaną twarz. Dłonie dotknęły jej szyi, bezceremonialnie przesunęły się po piersiach.

Nic z tego, sukinsynu. Zbierając powracające siły, Margarita poderwała się gwałtownie, palcami mierząc w oczy, kolaniem uderzając w krocze napastnika. Napór raptownie zelżał i podniosła się chwiejnie, przytrzymując się dłonią ściany. Przed nią kulił się niewysoki, śniady mężczyzna, w ręce trzymał krótką laskę, jedno oko już zaczynało mu puchnąć. Obnażając zęby, ruszył w jej stronę, lecz nagle się zatrzymał, rzucając szybkie spojrzenie w głąb bocznego korytarza. Warknął coś stłumionym głosem, wepchnął laskę do kieszeni, odwrócił się i uciekł. Margarita pobiegła parę kroków za nim, lecz zatrzymała się, gdy korytarz zaczął umykać jej spod stóp. O-o. Za szybko. Zamykając oczy, oparła się o ścianę.

— Margarita! — głos Xii. — Co tu się dzieje, do jasnej cholery? Nic ci nie jest?

Margarita zamrugła, gdy Xia pojawiła się obok niej.

— Chyba... chyba nie. — Dotknęła ramienia, lecz nie poczuła niczego, jedynie wspomnienie paralizującego ciosu. — Użył głuszaka — niewłaściwie ustawionego, skoro nie straciła przytomności. — Fajnych bandytów tu macie. — Wyprostowała się, siły wracały jej szybko. — Czy gwałcenie na korytarzu to taki lokalny zwyczaj?

— Nie. — Xia zmarszczyła brwi, kiedy minęła ich spacerująca para. — A o to chodziło?

— Nie... nie wiem. — Margarita dotknęła rozdartej kieszeni tuniki, przypominając sobie brutalny, bezceremonialny dotyk na szyi. — Może. A może czegoś szukał. Na przykład wisiorka. — Chłód rozszedł się po jej ciele, promieniując z okolic żołądka. — Muszę zadzwonić do Katriny. — Przecisnęła się obok Xii, rozglądając się na boki. — Cholera, gdzie tu jest najbliższy publiczny terminal?

— Uspokój się. — Palce Xii zacisnęły się na jej ramieniu tak mocno, że aż zabolalo. — Znajdziemy terminal i upewnimy się, że twoja tancerka jest bezpieczna. A potem wrócimy do mieszkania i porozmawiamy. Liza dzwoniła. To dlatego poszłam cię szukać.

— Co się stało? — Margarita wydłużyła krok, by nadążyć za

Xią. czując się gamoniowato i niezdarnie w porównaniu z pozornie niespiesznymi, płynnymi ruchami Xii. — Zwolnijże na chwilę. Chyba że mam za tobą biec. Co ci powiedziała?

— Nic. — Xia szła teraz odrobinę wolniej. — Przez publiczne łącze nie chciała niczego mówić. To raczej sposób, w jaki nic mi nie powiedziała, sprawił, że postanowiłam cię znaleźć. Masz w swoich rękach prawdziwy skarb — Xia posłała Margaricie ostre spojrzenie kątem oka. — A może o tym wiedziałas? Może umiesz być znacznie subtelniejsza, niż myślałam? Może naprawdę zacznym już niedołączyć.

— Nie. — Margarita nieomal wpadła na Xię, gdy ta zatrzymała się przed drzwiami w ścianie korytarza. — Nie wiedziałam, cholera jasna. Katrina także nie wiedziała. — Przeklęty Ari! Przeklęta Katrina, że też dała mu się tak wykorzystać. Nie, sama była sobie winna; niczego nie rozumiała, nie rozmawiała z Katriną o swojej holoturze, o tym, jak się rozwija...

Za późno na żale.

Margarita dotknęła zamka i weszła przez otwierające się drzwi. Wnętrze pomieszczenia podzielone było przezroczystymi panelami na kabiny. W niektórych z nich ludzie rozmawiali bezdźwięcznie z hologramami, pozornie zamknięci w czterech ścianach. Całość sprawiała wrażenie labiryntu i Margarita zawahała się, zbita z tropu.

— Spójrz na podłogę — mruknęła Xia.

Spod drzwi wybiegała błękitna linia, rozgałęziając się niczym konary drzewa i prowadząc do poszczególnych kabin. Poszła wzdłuż niej, mijając kobietę rozmawiającą z ożywieniem z hologramem mężczyzny o jaskrawo zielonych włosach. Czwarta z kolei kabina była wolna. Weszła do niej i zaraz poczuła watę w uszach, efekt działania pola wygłuszającego. Przed sobą ujrzała pustą holoscenę.

— Połączenie — powiedziała Margarita, krzywiąc się na dźwięk swego rozedrganego głosu. — Argent Zeladio. — Przez moment miała w głowie pustkę, zanim przypomniała sobie litery i cyfry jego adresu.

— Proszę podać swój kod osobisty — zażądał chłodny, bezpłciowy głos.

Tu na górze nie zawracali sobie głowy bajeranckimi interfejsami. Margarita wyrecytowała swój kod, zdając sobie sprawę z tego, że oczy kamer obserwują ją uważnie, porównując niuanse jej języka gestów z zapisanym wzorem. Dalej, dalej. Zacisnęła pięść, walcząc

z chęcią uderzenia w nieskazitelnie przezroczystą ścianę. Ciekawe kto czyści te wszystkie ściany?

Opalizujące światło zamigotało ponad sceną, błysnęło błękitem, potem przeszło kolejno w seledyn, granat, i żółć, zanim ostatecznie zszarzało do bieli. Pojawił się Argent, wyostrzony obraz jego głowy i ramion — obraz rozpuszczał się w nicość tuż nad talią. W mieszkaniu miał jedynie ekran terminalu, nie holoscenę.

— Margarita. — Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie. — Zastanawiałem się, kiedy znowu zadzwonisz.

— U Katriny wszystko w porządku? — Margarita wzięła szybki oddech, zastanawiając się mimowolnie, dlaczego wydaje się, że w kabinie jest duszno. — Nie muszę z nią rozmawiać, chcę tylko wiedzieć, czy nic jej nie jest.

— Mnie o to nie pytaj. — Argent spiorunował ją wzrokiem. — Kiedy wyjeżdżała, nic jej nie było.

— Kiedy wyjeżdżała? — Och, nie. — Jak mogłeś jej na to pozwolić, Argent? Cholera. Skąd wiesz, że naprawdę wyjechała? A może ją porwano. — I zabito, skoro już powiedziała, co się stało z wisiorkiem? To dlatego została napadnięta na korytarzu. — Ty draniu!

— Draniu! — Argent oblał się rumieńcem. — To ty mnie posłuchaj, ty zapatrzona w siebie tak zwana artystko. Przez ciebie straciłem moją najlepszą tancerkę i mogę się jedynie domyślać, ile przez ciebie straciła Katrina. Zapewne dużo. Jeśli zamierzasz jeszcze kogoś zwymyślać, proponowałbym, żebyś wpierw uważnie przyjrzała się sobie. Owszem, zdaję sobie sprawę, że Katrina ma kłopoty, podobnie jak ona sama. I to zapewne dlatego wyjechała, nie chcąc nikogo w to mieszać. A może, tylko może, czuje się odrobinę rozbita. Piękne dzięki, koleżanko Espinoza. I owszem, wyjechała, bo sam podwiozłem ją do maglevu, i nie, nie wiem dokąd. — Twarz Argenta była lodowata, bez cienia współczucia. — Nie odzujesz jej, Mar-

earita. Ani ja. Może się z tobą skontaktuje, a może nie. Osobiście nie uważam, byś na to zasługiwała.

— Kij ci w dupę — wycedziła Margarita, lecz Argent zdążył się już rozłączyć. Światło zamigotało i zgasło nad pustą sceną.

Wyjechała. Katrina wyjechała, była bezpieczna albo martwa, a ona nie wiedziała, która z tych dwóch możliwości była prawdziwa. Może nigdy się tego nie dowie. Margarita wypadła z kabiny, potykając się na durnej błękitnej linii, jak gdyby była trójwymiarową przeszkodą, a nie tylko farbą na podłodze. Xia, czekająca na nią przy wyjściu, uniosła brew na jej widok.

— Liza czeka na nas. — Lekko dotknęła ramienia Margarity czułym gestem. — Przykro mi. — Klepnęła dłonią drzwi i wyszła na korytarz.

Margarita poszła za nią, nieoczekiwanie pocieszona jej dotykiem i brakiem pytań.

Liza rzeczywiście czekała już na nie, przyczajona na rogu stolika, bębniąc niecierpliwie stopą niczym kot ogonem. Sorrela nigdzie nie było. Położył się?, pomyślała Margarita. Było późno, lecz sama nie czuła się zmęczona; była spięta, wypełniała ją niespokojna energia.

— Nie mam go przy sobie — powiedziała Liza, zanim jeszcze drzwi zdążyły się za nimi zamknąć. — Jeszcze nie skończyłam. Co o nim wiecie?

— Jest bardzo wartościowy. — Margarita wzruszyła ramionami, odrobinę zirytowana oskarżycielskim tonem Lizy. — Myślałam, że to ty jesteś tu hakerem.

Spojrzenie Lizy zapiekło ją niczym smagnięcie batem. Kobieta ostentacyjnie zwróciła się do Xii:

— Ten numer to robota na pełen etat. A tego nie robię za darmo. W przybliżeniu? Wezmę trzydzieści procent z tego, co na tym zarobimy, a podejrzewam, że zarobimy cholernie dużo.

— Co więc tam jest? — warknęła Margarita.—Zacznijmy od tego.

— Trzydzieści procent — powtórzyła Xia zamyślonym tonem w stronę sufitu. — To może sfinansować niewielką robotę.

— Zgadza się. — Liza zeskoczyła ze stolika i zaczęła się kręcić po pokoju. — Zewnętrzna warstwa jest łatwa. Chyba nawet wiem, kto ją robił, a przynajmniej wygląda znajomo. Dwubitowy haker, wystarczająco dobry, by nie umrzeć z głodu, ale nie nadający się do dużych numerów. A to jest duży numer. Mówimy o sieciowych kodach dostępu i potężnych zabezpieczeniach samej kapsuły. Tylne drzwiczki do uprzywilejowanych obszarów. Nitka prowadząca do czyjegóż prywatnego labiryntu, czyli, w mojej skromnej opinii, cholernie gorący towar. — Oparła dłonie o blat, podskakując lekko na czubkach stóp. — Naprawdę gorący. Ale rozgryzienie go będzie wymagało żmudnej pracy.

— Niech to szlag. — Margarita spojrzała na nią ponad stołem. — Zanim zaczniemy rozmawiać o zyskach, chcę otrzymać parę odpowiedzi. Chcę wiedzieć, kto za tym stoi, i to zaraz. Nie chodzi mi o pieniądze, jasne?

Liza powoli się odsunęła i spojrzała na milczącą Xię.

— Co to za dziecko? Nie możemy kazać jej iść spać?

— Dane należą do niej, Liza. — Xia wzruszyła ramionami. — Jej kochanka tkwi w tym po uszy, odpuść jej więc trochę, dobra? Też byłaś kiedyś młoda.

— Nie ja. — Liza łypnęła okiem na Margaritę. — Przenigdy. Margarita otworzyła usta tylko po to, by zaraz je zamknąć.

— Już lepiej. — Liza skinęła głową. — Tylko nie zapomnij, że jestem ci potrzebna, kotku. Chcę widzieć, że o tym pamiętasz.

— Dobrze, proszę pani. — Margarita obnażyła zęby w uśmiechu. Bo Katrirra była gdzieś tam, sama, a ona rzeczywiście potrzebowała tej dziwki. — Będę pamiętać, słowo. — I kij ci w dupę.

— Dokładnie. — Rozbawienie Lizy wskazywało wyraźnie, że nie miała trudności z odczytaniem wszystkich podtekstów. — Ten geszefciarz musiał trafić przypadkiem na ten gadżet, nie przypuszczam, by było go stać na pokonanie zabezpieczeń. Zajmie mi to dzień lub dwa. — Wyprostowała się, znów spoglądając na Xię. — Zgadzasz się? Trzy równe udziały w tym, co zarobimy? A ty dostaniesz swoje nazwiska, skoro tylko się do nich dokopię. — Posłała Margaricie kwaśne spojrzenie.

— Dla mnie w porządku. — Xia robiła wrażenie zamyślanej. — Uważaj na siebie, Liza. Ktoś tutaj wie, że Rita miała to w ręce.

— Zawsze uważam. — Liza wzruszyła ramionami. — Dam wam znać, co zламаłam, kiedy to zrobię. — Zatrzymała się w progu, by mrugnąć w stronę Margarity. — Zdradzę ci jedno nazwisko dla zaostrzenia apetytu i podsunę sugestię co do tego drugiego. Geszefciarz to taki dupek, niejaki Yiassis. Detalista o grubych paluchach.

Ari. Margarita wypuściła powietrze z płuc z głośnym westchnieniem. Też mi niespodzianka.

— Chyba wiem też, kim jest nasz Minotaur, ale to może jednak nie być w jego stylu. — Oparła się dłonią o drzwi, marszcząc czoło. — Ale słyszałam, że coś się wokół niego dzieje. Nie przyszedł na popołudniowego tenisa, a to mu się nigdy nie zdarza. Do tego jego gówniarz przywiózł ze sobą jakiegoś gościa. Wszystko cichaczem. Może to tylko zbieg okoliczności, a może i nie. Część odcisków palców na tym pliku pasowałaby do jego chłopca. — Obnażyła zęby w uśmiechu. — Ciąg dalszy nastąpi. — Pacnęła dłonią w zamek.

Gówniarz? Który przywiózł ze sobą gościa?

— O kim mówisz? — rzuciła za nią Margarita. — Zaczekaj. Liza obejrzała się przez ramię, zanim drzwi się zamknęły, ponownie się uśmiechając.

— O Gunnerze Archenwald-Shenie. Sile, która wprawia w ruch platformę. A może i Ziemię, kto wie?

Drzwi się zasunęły, szmerząc cicho. Archenwald-Shen. Margarita utkwiała wzrok w matowej płycie, a w jej głowie panował kompletny chaos. Może Liza się myliła i to nie był Shen. A może się nie myliła. Shen był właścicielem galerii. A Zed przywiózł ze sobą... gościa?

A więc jego zabawa w wyciąganie pomocnej dłoni być może była właśnie zabawą. Czego Archenwald-Shen mógł chcieć od Michaela? Przebiegł ją nagły dreszcz. A może to na niej mu zależało, może jakoś się dowiedział, że wisiołek Ariego wylądował u niej? I, dobry Boże, jak się tego dowiedział? Czy sądził, że Michael Tryon dostarczy mu ją owiniętą w kolorowy papier?

A gdyby musiała wybierać? Między Michaeliem a Katrzną?

Kurwa.

Margarita ruszyła w stronę drzwi i stęknęła głośno, gdy Xia osadziła ją w miejscu.

— Gdzie ty się wybierasz? — Jej spojrzenie było lodowato zimne.

— Znaleźć Michaela. — Margarita spróbowała się wyrwać. — I dowiedzieć się, co tu jest, kurwa, grane.

— Jesteś moją córką, aja nie jestem głupia. Michael Tryon także nie jest głupi, chociaż jest durniem. — Twarz Xi i pozostawała zawzięta. — Co oznacza, że prawdopodobnie ty także nie jesteś głupia. A to byłoby niezwykle głupie posunięcie. Platforma należy do Shena. Liza nie żartowała. Zamknij się. — Poczekała, by Margarita zamknęła usta. — Damy Lizie czas na znalezienie klucza do zaryglowanych na cztery spusty frontowych drzwi pana Archenwald-Shena i wtedy, dopiero wtedy do nich zapukamy. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Jesteś tu obca. Jeśli nie zrobimy tego po mojemu, spotka cię coś złego, i to nie tylko ciebie. Na przykład twoją tancerkę, o ile jeszcze żyje.

Margarita się wzdrygnęła. Ale bezlitosna szczerłość tej oceny sytuacji przemówiła do niej. „O ile jeszcze żyje...”

— Dlaczego? — Margarita spojrzała matce w oczy. — Dlaczego mi pomagasz?

— Bo Liza uważa, że można na tym zarobić, a mi zawsze brakuje pieniędzy. — Przez jej spojrzenie przemknął cień. — I ponieważ kogoś kochasz, tak jak ja przed laty. Chyba jestem na tyle sentymentalna, by uważać, że warto to ratować.

— Dobrze. — Margarita roztarła sobie ramię w miejscu, gdzie zmiażdżył je uścisk Xii. — Zrobię to po twojemu. — Do czasu. — Więc co dalej? Co teraz robimy?

— Idziemy spać. — Xia odwróciła się w stronę pogrążonej w ciemności sypialni. — Możesz się położyć na poduszkach. — Zniknęła w drugim pokoju.

Margarita przez długą chwilę wpatrywała się w mroczny prostokąt drzwi, walcząc z wściekłością, szukając słów, gestów. Bezowocnie.

— Gówno — wyszeptała cicho i zaczęła układać poduszki.

Rozdział trzynasty

Gunner Archenwald-Shen utrzymywał na platformie olbrzymie apartamenty na swoje potrzeby. Michael spacerował słabo oświetlonym, wyłożonym dywanami korytarzem, doceniając odległość między swoimi ramionami a ścianami. W tych pomieszczeniach nie mieściło się uczucia ciasnoty, które budziło w nim śladową klaustrofobię od chwili przybycia na górę. Bardzo kosztowny luksus.

Dotknął dłonią ściany, ciesząc się lekko chropowatą powierzchnią ręcznie nakładanej farby. Nawet on, ignorant w sprawach życia na platformie, rozumiał, że przestrzeń na górze musiała być niezwykle droga. I wszystkie te puste, obszerne pokoje stanowiły swoistą deklarację, tak samo jak gościnne pokoje Fechin House w Taos. „Uznaję tylko to, co najlepsze”. Michael przesunął spojrzeniem po zamkniętych drzwiach, domyślając się, że prowadzą do sypialni. Od chwili przyjazdu wczoraj po południu ani razu nie widział Zeda. Zed wykręcił się nawałem obowiązków, lecz w jego podstępnych oczach czaił się niepokój. Shen po prostu zniknął, nie dbając o zachowanie pozorów. Jeśli gdzieś tu byli, zapewne kryli się za któryś miś z tych zamkniętych drzwi. Michael zapukał delikatnie do najbliższych, wiedząc, że postępuje nieuprzejmie, i wcale się tym nie przejmując, zirytowany brakiem zainteresowania ze strony gospodarza.

Nie, nie do końca zirytowany. Powędrował dalej, stukając do kolejnych drzwi. Cisza zalegająca w tym korytarzu miała w sobie coś niesamowitego. Niczym w mieście widmie zagubionym gdzieś w pustynnym sercu odludzia. Spędził kiedyś cały tydzień pod namiotem w jednym z tych opuszczonych miasteczek, przysłuchując się drobnym odgłosom wiatru, przesypującego się piasku i głosom

wyschniętych, rozpadających się budynków. Te głosy składały się na potężniejszą ciszę — uczucie nieobecności, jak wtedy mu się wydawało. To samo uczucie nieobecności wypełniało te pomieszczenia. Dotarł do drzwi na końcu korytarza i lekko musnął zamek. Ku jego zdziwieniu odsunęły się w bok.

— Zed? — Michael zerknął do środka i zaraz sapnął szybko. Na

błyszczących postumentach stały trzy Kamienie, podkreślone grą światła i otaczającą je pustką, migocząc cieniami barw.

Pył i lato... kobiecy śmiech. Michael zamknął oczy. Radość i przyjemne zmęczenie... błysk czarnych włosów szarpanych lekką bryzą... piaszczysta pustynna gleba między palcami...

Kamień Świtu.

Krok po kroku Michael przeszedł przez pomieszczenie, by na koniec zatrzymać się przed jego wysokim, smukłym kształtem. Symfonia słońca, miłości i ludzkiego ciepła. Zamknął oczy i położył dłonie na powierzchni Kamienia, budząc go, pozwalając, by rezonanse przykryły go niczym nieruchoma woda: twarze, chwile wyciszenia, spokoju i miłości. Rozgrzewał się pod jego palcami, żywe, ożywione ciało, wypełnione wspomnieniami przeszłości. Jego spleciony kobierzec pamięci pochwycił go niegdyś jak sieć, pozwolił zapomnieć o teraźniejszości.

Teraz kryła się w nim nuta nostalgii. Margarita poszarpała tę sieć swymi oczyma, oczyma Xii, swoim gniewem i nieufną, urażoną dumą. I swoją sztuką. Wreszcie zdołał zerwać z przeszłością. Dzięki niej. Michael westchnął i otworzył oczy, zdejmując ręce z powierzchni Kamienia, pozwalając mu zapaść z powrotem w drzemkę. Przeszłość odeszła. Nieuchwytna już na zawsze. Kochałem cię, Xia. Michael dotknął Kamienia Świtu jednym palcem. Kochałem cię, tylko nie potrafiłem ci tego powiedzieć. Nie, nawet nie to. Nie umiałem się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Wmówiłem sobie, że nie wolno mi było skierować tej energii na coś innego niż Kamienie.

Miłość do Xii nie odbierała Kamieniom tej energii. Jeszcze jej dodawała. Kiedy to zrozumiał, było już o wiele za późno.

Michael się skrzywił, westchnął i odwrócił od Kamienia Świtu. Dwa pozostałe nie były jego dziełami. Wyciągnął rękę w stronę bliższego z nich, lecz się zawahał. Niebezpieczny? Zmarszczył czoło, badając jego nuty. Nie, nie znajdował w nim najmniejszego śladu obcego rezonansu. Stylu także nie rozpoznał. Przymykając oczy, przesunął palcami po przysadzistej krzywiznie Kamienia, nie budząc go do końca. Obrazy czerwonego blasku ogniska na tle

mrocznej ciemności, przelotny ból, kurczowy oddech szarpiący klatką piersiową, ostre kamienie pod bosymi stopami... Pęd, pomyślał Michael. To było jego główną ideą, splecioną z subtelnymi harmoniami. Michael odetchnął powoli, przed jego oczyma migotała wizja nagich ramion, opalonych i delikatnie umięśnionych, czarnych włosów, zachód słońca zalewający pomarańczowe niebo krwistą czerwienią, fale miotające oszlifowanymi i połamanymi muszlami na czarnym piasku...

Obrazy nie do końca się zazębiały. Wkradał się między nie ledwie uchwytny dysonans, przypominający pęknięcia w doskonałej porcelanowej wazie. Rzeźbiarz nie osiągnął zamierzonego celu...

O włos. Och, tak, o włos, a gdyby mu się udało, gdyby te obrazy

1 rezonanse połączyły się w jedno, zwałyby słuchacza z nóg. Michael odwrócił się plecami do Kamienia, zaciskając pięści i oddychając ciężko.

To nie był geniusz.

Ale tak niewiele mu brakowało.

Styl nie był mu obcy, tak mu się przynajmniej wydawało. Drażniło go to niczym bolący ząb, to nie mógł być ktoś nowy. Michael pochylił się, szukając na postumencie znaku, podpisu, nazwiska. Kogoś utalentowanego. O, kurde, więcej niż utalentowanego. Michael potarł oczy, powieki paliły go tak, jakby miał się rozpłakać, ale nie miał żadnego powodu do płaczu. Może tylko to, że ten cholerny rzeźbiarz był dobry — albo mógł być dobry, mógł być naprawdę niesamowity. Jeszcze nie teraz, lecz w przyszłości. Wystarczyło opanować te dysonanse, pomyślał Michael. Zmusz je, by pracowały dla ciebie, a wtedy osiągniesz to, co ja bym chciał, co ja próbuję osiągnąć, i kim, do cholery, jest ten człowiek?

Michael ponownie dotknął Kamienia, jednocześnie boleśnie rażony i oczarowany. Pragnął powiedzieć mu... jej. Że te Kamienie są dobre.

— Na wypadek, gdybyś o tym nie wiedział — wyszeptał cicho.

— Popatrzcie tylko. — W głosie Archenwald-Shena pobrzmiwała nutka rozbawienia. — Ależ z ciebie ranny ptaszek.

Michael odwrócił się od Kamieni powoli, niechętnie.

— Panie Archenwald-Shen. — Ukłonił się rozmyślnie sztywno całą górną połową ciała.

— Och, przestań. — Operator uśmiechnął się szeroko, odsłania-

jąc idealne, zapewne wszczepione zęby. — Nie jeź się tak na mój widok. Cenię sobie twoje reakcje, wiesz? Twoja sztuka coś dla ciebie znaczy, a jednak ją sprzedajesz — wszedł do pokoju. Miał na sobie szatę z prawdziwego jedwabiu, spiętą pasem na wydatnym brzuchu.

— Nie czujesz się aby odrobinę dziwką, panie Tryon, wielki artysto? Nie leżysz czasami bezsenną nocą, zastanawiając się, czy wystarczająco dużo kasujesz za te kawałki swojej duszy? Nie ciekawi cię czasem, czy dogrzebiesz się kiedyś do dna, czy w studni zabraknie wody? — Uśmiechnął się ponownie, cywilizowanym, skromnym uśmiechem, który odsłonił zaledwie czubki białych, równych zębów.

Michael zacisnął usta i odwrócił wzrok. Jak wpadł na to pytanie? Było niebezpiecznie celne i z trudem udało mu się zapanować nad mimiką.

— Więcej uwagi poświęcam temu, co próbuję osiągnąć. — Michael zerknął w bok, w stronę szemrzących dysonansów wypaczonych, potężnych Kamieni. — Kto je wyrzeźbił?

— Och... pewien uczeń. — Archenwald-Shen machnął lekceważąco ręką. — Jak sądzę, to jego pierwsze samodzielne dzieła. Straciłem go z oczu. Jeśli nawet wystawia, żaden z jego Kamieni nie przypadł Zedowi do gustu na tyle, by go kupić. Ufam ocenie Zeda.

— Chyba żartujesz. — Pierwsze próbki i od razu takie dobre?

— Kim jest ten facet?

— Nikim. — Shen z uśmiechem ujął Michaela za łokieć. — Zechcesz zjeść ze mną śniadanie? Sprowadziłem łososia z Nowej Szkocji, z oceanicznej farmy, ma się rozumieć. Z certyfikatem czystości.

— Nie, dziękuję. — Michael wymknął się z jego uchwytu, lecz zaraz przypomniał sobie o Margaricie i położeniu jej kochanki. — Po namyśle chyba jednak skorzystam z zaproszenia. — Przywołał na twarz neutralny uśmiech. Te Kamienie wyszły spod ręki ucznia?

— A jak się nazywa? — Pozwolił się wyprowadzić z pokoju, poddając się dotykowi tak zarozumiałemu i zaborczemu niczym

uścisk kochanki. — Nie mogę uwierzyć, że go nie znam. — Wmieszłał do swego głosu niedbałą, nonszalancką nutkę, podejrzewając, że w ten sposób wyciągnie z niego więcej i szybciej. — Chyba jestem zazdrosny. — To powinno zaowocować natychmiastowym wymieniem nazwiska, pomyślał.

Archenwald-Shen z uśmiechem skubnął się w ucho.

— Obiecaj mi swój następny Kamień, a podam ci jego nazwisko. Prędzej padnę trupem.

— Gunner? — Michael użył jego imienia, mając nadzieję, że go obrazi, lecz jedyną reakcją był tylko jeszcze szerszy uśmiech. — Musimy porozmawiać o Vildorn BeltMining i skażonych Kamieniach.

— To ty chcesz o tym rozmawiać. To ty twierdzisz, że Kamienie są skażone. Ja osobiście jestem więcej niż zadowolony z dochodów, jakie przynosi mi ta licencja — operator otworzył jedne z drzwi, które nie ustąpiły pod dotykiem Michaela, ukazując pokrytą dywanem podłogę zastawioną niskimi stolikami i stertą porozrzucanych po całym pokoju poduszek. Przeszklone drzwi wychodziły na wypielęgnowany zielony trawnik i staw, na odległym wzgórzu połyskiwały marmurowe ruiny. — Proszę, poczęstuj się. — Archenwald-Shen wskazał na antyczny kredens ustawiony pod ścianą. — Nigdy nie rozmawiam o interesach przed śniadaniem.

Podejmij jego grę, pomyślał Michael. Drzwi wyjściowe nie były zamknięte. Mógł wyjść na korytarz, zatrzymać taksówkę i złapać najbliższy prom do domu.

Skinąwszy głową, podszedł do bufetu. Tam odkrył, że w rzeczywistości była to ścianka kuchenna zaprojektowana tak, by wyglądała jak mebel. Faktura drewna wyglądała na tyle rzeczywiście, że oszukałaby niewprawne oko. Dobra robota. Ze zmarszczonym czołem przyjrzał się tacy pełnej przezroczyście różowego łososia i sięgnął po talerz. Jeśli nawet nie był porcelanowy, on nie mógł tego stwierdzić. Nałożył pół bułki, ominął szerokim łukiem miskę z topionym serem i przybrał cienkie plasterki ryby kawałkiem pomidora i cebulą. Ktoś mówił mu kiedyś, że warzywa na platformach były tańsze niż w dole dzięki opracowanej w kosmosie technologii hydroponicznej.

Pomidor bił na głowę wszystkie okazy, które zdarzyło mu się oglądać na dole. Nalał sobie kawy, która pachniała tak, jakby zaparzone ją z autentycznych ziaren, zaniósł talerz i kubek do jednego z niskich stolików i usadowił się na poduszkach. Za drzwiami z ołowiowego szkła pawie spacerowały po trawniku, zamiatając idealną trawę swymi tęczowymi ogonami. Niezła holotura — naścienna projekcja o zaskakującej głębi. Lepsza od tej w parku, uznał Michael. Gorsza od dzieł Margarity, ale niewiele. Dostrzegł kolejne białe ruiny i marmurowe kolumny, w ich cieniu zamajaczył cień posągu. Wyglądały znajomo. Jakaś grecka świątynia?

Na pewno już nie istniejąca. Michael wziął do ręki bułkę, ugryzł słonawą rybę i słodkiego pomidora. Grecja przeszła przez zbyt wiele wojen w latach terroru. Wiele skarbów ludzkiej kultury istniało jedynie jako komputerowe hologramy i wirtualne. Podobnie jak skarby środowiska naturalnego. Michael oparł się łokciem o stół, zatrzy-

mując spojrzenie na tych odległych, połyskujących kawałkach marmuru. Przed wiekami czciliśmy boskość pracą własnych rąk. Potem spróbowaliśmy wszystko obrócić wniwecz. Katedry, obrazy, las tropikalny — tyle piękna zniknęło pod falą przemocy, która przetoczyła się przez świat.

Na tym polegało sedno pracy Margarity. Michael odłożył nadgryzioną bułkę, po jego ciele rozlewało się ciepło. Sięgała w przeszłość, do świata lasów i górskich łąk, który oszedł lub zmienił się w zetknięciu z technologią. Nie była to też kwestia nostalgii. Spoglądała na rzeczy minione i unosiła je niczym zwierciadło odbijające terażniejszość. A jej widownia widziała samą siebie przez obiektyw dnia przeszłego. Tyle mocy kryło się w tych wypaczonych Kamieniach, w dziełach Margarity. Artyści pozwalali ludzkości na wejście w głąb jej duszy, pomyślał Michael, i wypełniło go podniecenie, rozlewając się niczym źródłana woda. Tym właśnie może być sztuka: oknem otwierającym się na nasze wnętrze, na nasze najgłębsze, najlepiej ukryte zakamarki. I, taak, on też miał w tym udział. Może nie tak wielki, jak by chciał, ale zawsze. Nawet jeśli ciemność go pochwyti, tego mu nie odbierze.

— Jesteś zamyślony. — Archenwald-Shen usiadł obok niego, stawiając na stole swój talerz. — Mała depresja?

— Nie. — Michael sięgnął po bułkę i odgryzł kawałek. — Kiedyś myślałem, że jesteśmy jedynie opakowaniem dla DNA, narzędziem jego powielania. Może pojmowałem to na opak. Może nasze DNA stanowi uosobienie tęsknoty wszechświata za sztuką, miłością, wojną, kulturą — uśmiechnął się do bułki. — Zamierzam polecieć na Vildorn. Zamierzam posłuchać nowych Kamieni, dowiedzieć się, dlaczego doszło do tych zgonów. Przydałaby mi się twoja pomoc. Związek między surowymi Kamieniami i tymi samobójstwami wkrótce zwróci czyjąś uwagę. To obróci w perzynę twój monopol. — Włożył do ust ostatni kawałek bułki, przeżuł i połknął.

— Jeśli nie chcesz mi pomóc, zrobię to sam.

— Czyżby? — Archenwald-Shen napił się kawy z zamyślonym wyrazem twarzy. — Naiwny jesteś, ziemniaku. Czy rozpoznanie twarzy zabójcy jest dla ciebie aż tak ważne? Co jesteś gotów zaoferować w zamian? Jaka jest twoja cena?

Michael pociągnął łyk swojej kawy, by zamaskować zaskoczenie. Archenwald-Shen uwierzył w jego opowieść o kryjącej się w Kamieniach ciemności. Wczoraj jeszcze było inaczej, co więc doprowadziło do tej nieoczekiwanej zmiany?

— Nie znam mojej ceny — powiedział, wstrząśnięty prawdziwością własnych słów. — Nie chodzi tylko o to, by... się dowiedzieć, co mnie zabija. — Wytrzymał zadumane spojrzenie operatora. —

Jeden z tych Kamieni może zabić ucznia takiego jak ten, który wyrzeźbił twoje Kamienie. I wtedy ten nigdy się już nie zrealizuje.

— A to ma dla ciebie znaczenie? — Archenwald-Shen owinał dzwonko ryby wokół kawałka cebuli i zaczął je delikatnie pogryzać.

— Jaki śliczny przykład poświęcenia. Wiesz, ludzie codziennie giną na tysiąc głupich sposobów. Umierają na atak serca, wpadają pod maglev. — Wytarł palce w chusteczkę. — Może ten twój uratowany rzeźbiarz znudzi się i przestawi na hodowlę ryb.

— Może. — Michael odsunął swój pusty talerz i wstał. — Jeśli jeden z tych Kamieni go zabije, pewnie nigdy się tego nie dowiemy,

nie? Pomożesz mi dostać się na Vildorn? Zdecydowałeś się, jakiej ceny zażadasz?

Archenwald-Shen podniósł powoli głowę, w jego oczach zalśnił chłód.

— Rozważyłem to. — Nie uśmiechał się. — Nie sędzę, byś miał cokolwiek, czego bym szczególnie pragnął. Więc nie, nie sędzę, bym pozwolił ci na lot na Vildorn. Nie żebym miał coś wspólnego z tym przedsięwzięciem, nawiasem mówiąc. Możesz zajrzeć do dowolnego publicznego banku danych. Nie ja jestem właścicielem tego przedsiębiorstwa. — Obnażył w uśmiechu same czubki zębów. — Zed oczywiście mylił się w kwestii mojego osobistego zaangażowania w tę działalność. Nawet on popełnia czasami błędy. Ale nigdy dwukrotnie te same. Uczy się zdumiewająco szybko.

Chłód w jego głosie przyprawił Michaela o dreszcze. Zed wspominał, że prawa własności Archenwald-Shena do Vildorn były starannie pogmatwane. Może narobił Zedowi kłopotów. Może to było źródłem tego nerwowego ruchu, kiedy Michael wspomniał wczoraj o tej kompanii górniczej. I może Zed zasłużył sobie na to, gdyż w końcu to on zorganizował Michaelowi zderzenie czołowe z wymiarem sprawiedliwości.

— Wiedziałaś, że Zed mnie tu wiezie? — Michael uważnie przyjrzał się twarzy Shena. — Czy tylko wykonywał rozkazy?

— Czy tylko? — Uśmiech operatora nie sięgnął jego oczu. — Sam zdecyduj. Albo zapytaj go osobiście. Ale chyba powinieneś potraktować jego odpowiedź z odrobiną sceptycyzmu. Zed bardzo umiejętnie kłamie, niezależnie od tego, czy dostaje za to pieniądze. Ma to we krwi i jest bardzo uzdolniony.

Michael dostrzegł ślad emocji w jego lodowatym spojrzeniu, lecz zniknął on zbyt szybko, by dał się zidentyfikować. Ukłonił się mu chłodno.

— To pewnie nie ma znaczenia, czy Zed wykonywał twoje rozkazy, czy nie. Bo prędzej czy później i tak bym tu trafił. Dziękuję za śniadanie, ale chyba poszukam sobie innej kwatery. — Wybacz, Margarito. Michael zwalczył wyrzuty sumienia i ruszył do wyjścia. Nie mogłem niczego zrobić dla Katriny; gdybym wspomniał jej imię,

tylko bym pogorszył jej położenie. Zawahał się przy drzwiach, lecz milczenie Archenwald-Shena popchnęło go równie skutecznie jak silna dłoń.

Z westchnieniem dał się wypchnąć za drzwi, na korytarz, i upiorna cisza znów owinęła się wokół niego, gęsta i dławiąca. Poszedł powoli korytarzem, zastanawiając się intensywnie nad następnym posunięciem. Boleśnie brakowało mu pomysłów. Bez wskazówek Zeda będzie musiał tracić cenny czas, szukając na ślepo transportu w rejon wydobywania Kamieni. Bez wskazówek Zeda zdany będzie na łaskę miejscowej niechęci do ludzi z dołu. Jeśli Archenwald-Shen rozpuści wiadomość o tym, że Michael jest persona non grata, może mu być naprawdę ciężko. Michael zdążył już dostrzec potęgę władzy, jaką posługiwał się Zed; Archenwald-Shen niewątpliwie miał tu bardzo dużo do powiedzenia.

Lecz zawsze trafiał się ktoś, kto, za odpowiednią zapłatą, zgadzał się na odegranie roli wolnego strzelca. W końcu znajdzie chętnego przewoźnika. I co pocnie, skoro już tam, cholera, dotrze? Zabije człowieka czy ludzi odpowiedzialnych za tę morderczą pieśń gołymi rękami? Michael na moment zamknął oczy, przypominając sobie mroczną moc Dannersa, liryczną poezję ludzkiej duszy Lustika, ewolucję S'Wanny ku wielkości. I tego wypaczonego ucznia, który pewnego dnia być może stanie przed następnym Kamieniem i wyrzeźbi go, jak należy. Taak, jeśli będzie trzeba, zabije... bo to miało znaczenie. Obraz zamglili mu się przed oczami, poruszenia zamieszły ciemnością pod powiekami, wypełniając go mroczną pieśnią jak w pracowni Dannersa, tyle że znacznie potężniejszą. Znowu motyle skrzydła, dotyk delikatnych dłoni na twarzy, przyciągających go ku sobie. Uwolnij się, nalegał odległy głos. Uwolnij się, a zrozumiesz.

Nie! Michael uformował to słowo, niepewny, czy wypowiedział je na głos. Ogarniał go bezwład, nogi się pod nim uginały, w zwolnionym tempie zaczął wywracać się na dywan. Wyprostuj się! Wstrząsnął ramionami, zagubiony w ciemności i blasku, jego ciało dzieliło się na atomy azotu, tlenu, wodoru, dzieliło się na miliony okruchów życia, wieczności. Uderzył głową o drzwi. Ten drobny,

namacalny ból wstrząsnął nim i rozwartą dłonią wczepił się w twardą powierzchnię, koncentrując się na wyprostowanych palcach, zimnie drzwi. Trzymaj się tego, bo upadniesz... w ciemność.

Wieczność.

Drzwi otwały się z sykiem, Michael stracił równowagę i wpadł do środka. Adrenalina przepłynęła przez jego ciało, przepędzając ciemność, chemiczną falą lęku przed upadkiem. Uderzył kolanami o podłogę na wpół oślepiony nagłym światłem, ból ostrym kolcem wraził mu się w lędźwie, serce łomotało w uszach. „Przestań”, wyszeptał. Tym razem w pobliżu nie było Kamienia, tym razem ciemność nadeszła zewsząd — i znikąd. Wypłynęła z jego wnętrza. Zed miał rację. Zamrugnął, starając się skupić wzrok, i stwierdził, że kłęczący przy niewielkiej holoscenie. Podłoga wykonana była z prawdziwego drewna: atlasowe kwadraty łagodnego beżu i karmazynu układały się w zygzak ceglatego wzoru. Tu i ówdzie przykrywały je ręcznie tkane chodniki. Michael powoli uniósł głowę.

Przy niewielkim stoliku stał fotel — wygodne siedzisko obite miękkim zamszem. Ściany obwieszane były obrazami: akwarele miejskich ulic i spieszących się przechodniów pod parasolami w dwudziestowiecznych strojach. Po drugiej stronie pokoju wisiało jaskrawe płótno jakiegoś abstrakcjonisty. Oryginały? Michael roześmiał się nerwowo. Nigdy by się nie domyślił, że operator interesował się sztuką starszą niż pochodzącą z wieku dwudziestego pierwszego. To nie było teraz modne.

Ta straszliwa, znajoma ciemność niemalże go dopadła. Michael zamknął na moment oczy, potem otworzył je szybko, ogarnięty nagłym lękiem. Co by uczynił? Kręciłby się po królestwie Archenwald-Shena, do czasu aż znalazłby kuchenny nóż i poderznął sobie gardło jak Danners? Wszedł do służy i wyszedł w próżnię? Tym razem niemalże dał się przekonać. I może — może to go właśnie uratowało. Może gdyby się opierał, dotarłby do niego wyłącznie ból. Bo ból znamy najlepiej, pomyślał z przeraźliwą jasnością. Ból i izolację. Tak więc samotność i cierpienie uderzyłyby go niczym sprzężenie zwrotne i być może zabiłyby się, by to powstrzymać. Może tak właśnie zginął Danners.

Teraz rozumiem. Michael zadrżał i pozbierał się niezdarnie z podłogi. I nagle spostrzegł, że znajduje się w sypialni. Łóżko stało pod przeciwległą ścianą; do momentu gdy się podniósł, stół i fotel skutecznie mu je zasłaniały. Nad nim wisiały następne obrazy, w większości surrealistyczne pejzaże miejskie. Nie zwrócił na nie większej uwagi, gdyż na zmiętej pościeli leżał Zed, ubrany jedynie w obcisłe czarne spodnie. Jego rozpuszczone włosy przykrywały śniade ramiona i twarz. Spał. Michael się zaczerwienił, odruchowo zakłopotany wtargnięciem na czyjś prywatny teren. Ale czy rzeczywiście spał? Ruszając do drzwi, Michael się zawahał. Zed także odpowiedział na mroczną pieśń. A jeśli pochwyciła i jego? Czymkolwiek by była. Powoli podszedł do krawędzi łóżka, obawiając się tego, co mógłby zobaczyć, pamiętając szkliste, puste oczy Dannersa.

Krew. Michael wstrzymał oddech. Plamiła białą narzutę pod twarzą Zeda, rdzawa i krzepnąca.

— Zed! — Michael złapał go za ramię, palce plątały mu się w jego długich włosach. — Zed, nic ci nie jest?

— He? — Zed uciekł przed jego dotykiem w tej samej chwili, w której umysł Michaela odnotował pod palcami ciepłe ciało. — Kto tu jest? — Zerknął na Michaela zza zmierzwionej zasłony włosów, potem podźwignął się na łokciu. — Co ty tu robisz? — zapytał niewyraźnie.

— Ja... — Michael uciekł spojrzeniem w bok, przetykając ślinę odruchowo. Nawet przesłonięte włosami, obrażenia Zeda nie wyglądały najlepiej. Opuchlizna praktycznie zasłaniała jedno oko, twarz pokrywały ciemniejące sińce. Robota Shena? — Zobaczyłem krew na pościeli. Pomyślałem...

— Hej, to nic niezwykłego. — Głos Zeda był przesycony gorzkim szyderstwem, lecz zabrzmiał nadspodziewanie świeżo. — Normalne zabawy. Dostałem krwotoku z nosa. — Usiadł i odgarnął włosy za ramiona, a jego twarz zniekształcił grymas bólu. — Tak naprawdę tym razem było inaczej niż zwykle. — Dotknął wargi, obmacał zakrzepłą krew i skrzywił się. — Gunner zazwyczaj unika zewnętrznych obrażeń. Jest bardziej opanowany, niż mógłbyś przypuszczać. To mój nakaz eksmisji. — Łypnął na Michaela zdrowym

okiem. — Trzymałem stopę w drzwiach, kiedy bawiliśmy się z nim w ciuciubabkę. Lepiej bym zrobił, po prostu mu się urywając. Chyba mniej by się na mnie wściekł, a już na pewno trudniej by mu było mnie dopaść.

— To moja wina, prawda? — Michael odetchnął powoli. — Bo wspominałem o Vildorn przy... twoim szefie.

— To moja wina, że w ogóle cokolwiek ci powiedziałem. — Dźwigając się sztywno z łóżka, Zed przekuśtykał obok Michaela i zniknął za następnymi drzwiami. — Na ogół bywam rozsądniejszy. Może sam sobie wręczyłem ten nakaz eksmisji.

Woda zaszumiła w umywalce. Podczas obmywania poobijanej twarzy Zed wydał z siebie cichy, opanowany okrzyk bólu. Michael oparł się o ścianę przy drzwiach, zostawiając Zedowi trochę prywatności.

— Przepraszam — powiedział, przekrzykując strumień wody. — Tak bardzo się starałem go przekonać, by mnie wysłuchał, że przestałem logicznie myśleć. Powinieneś być mi powiedzieć, czego nie należało mu mówić. Najlepiej jednosylabowymi słowami.

— Tak, tak, następnym razem pewnie tak zrobię. — Zed wyłonił się z łazienki, ostrożnie osuszając twarz ręcznikiem. — Wyjeżdżasz. Nasze wspólne interesy chyba dobiegły już końca.

Szydercze, płytkie słowa. Pod tą błyskotliwą powierzchnią czał się ból niczym błotnista głębia.

— Musimy się jeszcze dowiedzieć, co się dzieje. — Michael wytrzymał cierpkie spojrzenie Zeda, z wysiłkiem powstrzymując się przed odwróceniem oczu. — Lecę na Vildorn. Jakoś tam dotrę. Przed chwilą to coś niemalże mnie dopadło. Tu, na korytarzu. Ciebie też może dopaść.

— Może nie jestem aż tak czuły jak ty. — Zed przepchnął się obok niego, otworzył szafkę i wyjął z niej tunikę. — Może jest mi to obojętne. Nie myślę, aby Gunner zdecydował, czy już ze mną skończył. — Stanął w miejscu z tuniką w dłoni i zamyślił się na moment. — Nigdy dotąd nie puściły mu przy mnie nerwy. Tak naprawdę. Zawsze tylko udawał, ale tym razem tak nie było. Nie wiem dlaczego. — Dostrzegł pytające spojrzenie Michaela i zmusił

się do szyderczego uśmiechu. — Wiesz co, chyba bardziej go to irytuje niż fakt, że pozwoliłem człowiekowi z zewnątrz wmieszać się w jego interesy. Mówię o utracie kontroli nad sobą. Tego mi prawdopodobnie nigdy nie wybaczy. — Wzruszył ramionami. — Hej, pożarcie przez twojego upiora może być lepszym wyjściem.

— Dlaczego od niego wcześniej nie odszedłeś?

— Czyżbym wyczuwał niesmak w tych słowach, panie Tryon?

— Zed naciągnął tunikę przez głowę. — Już ci to wyjaśniłem w Taos. Podobało mi się to, co otrzymuję w zamian, a jeśli jestem gotów zapłacić taką cenę, to już moja sprawa.

— Jest to dla ciebie aż tyle warte? — Michael się odwrócił, gdyż ta sytuacja rzeczywiście napawała go lekkim niesmakiem, co zapewne odbijało się na jego twarzy. — To jego władza i pieniądze, nie twoje. Pieniądze są dla ciebie takie ważne? Dałbyś sobie radę sam.

— Jasne. Słuchaj, kiedyś wiedziałem, czego oczekuję od życia.

— Zed wygładził fałdę na tunice, zamyślony wyraz jego twarzy zniekształcały ciemniejące sińce. — Czy zdarzyło ci się zbudzić któregoś dnia, dokładnie wiedząc, co ma dla ciebie znaczenie? Kim chcesz być? — Wzruszył ramionami. — Ze mną właśnie tak było. I przekonałem się, że nie jestem w stanie tego osiągnąć. Mogę sobie tego pragnąć, ile chcę — powiedział cicho. — Ale nie potrafię tego osiągnąć. Nie w taki sposób, jak bym chciał. Wiesz co, tobie pierw-

szemu udało się to ze mnie wyciągnąć — na jego twarzy znowu zagościł uśmiech, szeroki i przesycony goryczą. — Jest pan utalentowany, panie Tryon. Albo upierdliwie uparty. Hej, władza i pieniądze stanowią całkiem przyzwoity wybór, nawet jeśli zajmują dopiero drugie miejsce na liście życzeń i nie należą do mnie.

I nagle Michael wszystko zrozumiał.

— To ty wyrzeźbiłeś te dwa Kamienie — wyszeptał.

— Nie! — Zed drgnął gwałtownie.

— Właśnie że tak. Wiedziałem, że jest w nich coś znajomego. Myślałem, że już kiedyś widziałem któryś z nich, ale to nie to. One są tobą. Stąd to znajome wrażenie. „Osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza...” Są dobre.

— Nie bardzo. — Zed uciekł wzrokiem w inną stronę. — Taka dłubanina. Nie wiem, czemu Gunner się ich nie pozbył. Pewnie myśli, że w ten sposób mnie rani, ale to nieprawda. — Uniósł jedno ramię i zaraz je opuścił. — Owszem, to ja je wyrzeźbiłem, teraz już wiesz. Traktowałem to jak zabawę i przekonałem się, że żaden ze mnie rzeźbiarz.

— Właśnie że tak. — Michael wyciągnął ku niemu rękę, lecz zaraz ją cofnął, widząc zawziętość na twarzy Zeda. — Nie są doskonałe, ale wystarczająco dobre. Nie rozumiesz? Cholera jasna. Tkwią w tobie olbrzymie możliwości.

— Pierdolić możliwości — wycedził półgłosem Zed. — Nie umiesz sobie odpuścić, co? Będziesz się czepiał bez końca, bo jesteś przekonany, że wiesz wszystko, zgadza się, Tryon? — Spojrzał Michaelowi w oczy, jego wzrok był pełen cienia, pełen ognia odległych, zagrzebanych w popiele węgli. — Jesteś tak pewien, że każdy może to robić, wystarczy tylko twoja decyzja, co? Trochę wprawy, jak przy grze na pianinie? Jasne, umiem rzeźbić. Umieję budzić Kamienie. Potrafię umieścić w ich wnętrzu żądzę, ból czy przytłumioną obojętność modelu. A potem cofam się i wiesz, co otrzymuję? Siebie — jego głos przeszedł teraz w szept. — To wszystko. Jestem jak Danners, tylko gorszy. Jasne, korzystam z modeli, ale Kamienie zawsze odbijają mnie. I nie opowiadaj mi, jak to z czasem nauczę się robić to, jak należy, bo nauka nie ma żadnego znaczenia, Tryon, a ty nie jesteś Bogiem. Nie wiesz tego, w przeciwieństwie do mnie. Już dawno temu spojrzałem prawdzie w oczy. Zdobyłeś się kiedyś na to? Wiesz, jak bardzo to boli? — Odwrócił się plecami do Michaela i zaczął się cesać. — Powodzenia w polowaniu na duchy. Ale nie licz na to, że dostaniesz się na Vildorn na własną rękę. Gunner trzyma tu wszystko znacznie krócej, niż sobie wyobrażasz. Obserwowanie, jak próbujesz wyżebrać miejsce na statku, na pewno sprawi mu przyjemność.

— Zed? — powiedział niepewnym głosem Michael. Chciał wyrzyczeć, że wszystko jest tak, jak należy, że w tych Kamieniach kryje się talent, czystej wody talent. Potrafisz to robić. Jesteś w stanie sprawić, by nuty połączyły się w harmonijne brzmienie. — Jesteśmy

ostatecznymi wyzyskiwaczami — powiedział w końcu. — Wykorzystujemy samych siebie, nasze dusze, w bezlitosny sposób. Estevan mi to powiedział i miał rację. Żeby to robić, trzeba sięgnąć do własnego wnętrza i wypruć z siebie flaki, a to boli jak jasna cholera. — „Osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza”. — Być może nie potrafisz się zmusić do takiej bezwzględności.

Stojący z odwróconą twarzą Zed mógł równie dobrze być wyciosany z granitu.

Michael westchnął, zwieszając ramiona.

— Posłuchaj, przepraszam. Za wiele rzeczy. Znasz siebie, a ja nie, ale... — Potrząsnął głową, wiedząc, że nie znajdzie słów, by to poprawnie wyrazić. — To dobre Kamienie.

Michael odwrócił się plecami do milczącego Zeda i wyszedł z pokoju. Gdy drzwi zaczęły się za nim zamykać, uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, czekając na jakąś reakcję, jakieś słowo, które zatrzymałoby go w progu, kazało mu się cofnąć.

Drzwi zasunęły się, wydając cichy dźwięk. Czemu się tym przejmuję?, zapytał się w duchu Michael, stojąc na cichym, wyłożonym dywanami korytarzu. Co z tego, że Zed nie chce albo nie potrafi rzeźbić? To jego wybór.

Ale się tym przejmował. Bo rzeźbiarstwo było ważne — jego efekty, jego przesłanie.

Być może musiało tak być. Przynajmniej dla Michaela.

A czy było ważne dla innych? Tak jak on by tego chciał? Może. A może nie, może żył złudzeniami, ukrywał się przed szarą rzeczywistością, przed świadomością, że to, czym się zajmował, nie różniło się od pracy programisty gier wirtualnych.

Michael powędrował korytarzem ze spuszczoną głową. Nie wyczuwał teraz tamtej ciemności, ale hej — roześmiał się urwanym, gorzkim śmiechem — czy w ogóle by ją teraz zauważył?

— Czym jesteś? — Zatrzymał się przed drzwiami swojej sypialni, spoglądając na nieskazitelny sufit. — Kim jesteś? Duchem, jak powiedział Zed? Wytworem mojego uszkodzonego mózgu?

Może wciągnął Zeda we własne obłąkańcze majaki, ponieważ Zed był zmysłoczuły i przypadkiem ich fale mózgowe miały zbliżo-

ne częstotliwości. Wszystko postrzegamy za pośrednictwem zmysłów. Nie dysponujemy obiektywnym sposobem poznawania rzeczywistości. Może jest tylko naszym własnym wytworem. Michael utkwiał spojrzenie w zamkniętych drzwiach. Niczego tu ze sobą nie przyniósł, w pokoju czekała na niego jedynie pomięta pościel. Tym mógł się zająć Gunner. Odwrócił się i wrócił do przesadnie wystrojonego salonu.

Pora pokręcić się po barach w porcie i przekonać, czy będzie w stanie zorganizować sobie jakiś środek transportu. W najgorszym razie Archenwald-Shen będzie miał swoją rozrywkę.

Ale jeśli mrok czający się w Kamieniach nie wypływał z jego obłądu, nie był też nutą pozostawioną w ich wnętrzu przez jakiegoś zwichrowanego rzeźbiarza. Michael ponownie uniósł wzrok ku górze, zastanawiając się, jak dalece może zaufać swoim niepewnym, ludzkim zmysłom. Ta ciemność miała swe źródło w kimś. Wtedy, na korytarzu, wyczuł olbrzymią, niepojętą obecność.

Co zapewne było jeszcze bardziej przerażającą ewentualnością niż to, że mogła wypływać z niego. Może ludzkość nie była tak samotna, jak się powszechnie uważało. Michael roześmiał się cicho, klepnął dłońią w zamek i wyszedł na ulicę.

Rozdział czternasty

Sorrel towarzyszył jej w drodze przez zatłoczone dzienne ulice. Margarita zmuszała się do zwolnienia kroku, zaciskając niecierpliwie zęby, gdy Sorrel, jak się zdawało, jeszcze bardziej zwalniał. Xia zamierzała jej towarzyszyć, lecz w ostatniej chwili Sorrel zaferował się, że ją zastąpi. A Xia ustąpiła bez cienia sprzeciwu.

Xia nigdy nie ustępowała, lecz Margarita nie potrafiła się domyśleć, na czym polegała jej gra tym razem. Spostrzegła, że Sorrel znów zostaje w tyle, i zatrzymała się, tłumiąc rozdrażnienie, przed wystawą sklepową wypełnioną wypiekami. Niech tę Xię cholera weźmie za to, że pozwoliła temu facetowi bawić się w przewodnika.

— Szybka jesteś. — Sorrel dogonił ją wreszcie i obdarzył sen-

nym, przepraszającym uśmiechem. — Wybacz, jeśli idę za wolno. Nigdy nie umiałem się spieszyć.

Zapewne ratowało go tylko to, że dobrze gotował. Margarita zacisnęła wargi, modląc się, by szpanerska siedziba Archenwald-Shena nie była zbyt daleko. Sorrel dostrzegł jej minę i ponownie się uśmiechnął.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział, skręcając w przeczynicę. — Po drugiej stronie parku Hawkinsa.

Park Hawkinsa okazał się parkiem rozrywki wirtualnej utworzonym ze sztucznych zwirowych ścieżek i holograficznego ogrodu pełnego srebrzystych kul wielkości samochodu. Klient kupował bilet, zasiadał w odpowiednio wymodelowanym fotelu we wnętrzu kuli, zakładał gogle i rękawice, a potem rozpoczynał odlotową podróż. Grupki kilkuletnich dzieciaków kręciły się wokół kul, chichocząc i obserwując szalejących dorosłych i starszych nastolatków. Margarita z nieoczekiwaną ostrością przypomniała sobie dzieci z barńo kręcące się po pchlich targach, starannie i dokładnie śledzące ruchy granic i transakcji gangów.

Jaką magię można było znaleźć w tym sterylnym, kruchym bąblu życia? Margarita zatrzymała spojrzenie na ciemnowłosej Azjatce kreślącej skomplikowane wzory na trawiastej ziemi. Rytuał podświadomości zamieniony w zabawę? Jacy bogowie i szatani władali tą przestrzenią pod krzywizną nieba, będącą jedynie skórą oddzielającą próżnię od powietrza, życie od śmierci? Jakie przesłanie niosłaby ta sceneria zamieniona w holoturę? Zapach metalu i lodu, odrobina ciepła przywodząca na myśl nocną pościel w zimnym pokoju... Scena wypełniona światłem i czarnymi cieniami, pod stalowym niebem. Słońce niczym plażowa piłka, obwiedzione nieruchomymi językami ognia. Rośliny? Margarita zerknęła na parę wychodzącą niepewnie z wnętrza kuli. Ewentualnie porosty. Miękka, ułożona warstwami tkanka, kryjąca umiejętność przetrwania w najgorszych warunkach.

Dreszcz podniecenia przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa. Arrow, poczekaj, aż to zobaczysz. O, tak, to zagra i sprawi, że ludzie spacerujący pod tamtym błękitnym niebem poczują się nagle cholernie nieswojo.

Sorrel odchrząknął i wskazał głową na drugą stronę parku.

— To tam, tamten ogród.

Margarita zamrugnęła, oblewając się rumieńcem.

— Przepraszam, zamyśliłam się.

— Tak mi się też wydawało. — Jego senny uśmiech rozciągnął się jeszcze szerzej, gdy poprowadził ją przez park.

Domy po tej stronie parku wyglądały bardzo bliskowschodnio. Ozdobne mury z cegły i stiuku skrywały fasady budynków przed wzrokiem przechodniów. Cegła oczywiście nie była autentyczna, ale sprawiała takie wrażenie.

— Uchodźcy z Syrii albo Jordanii. — Sorrel nawet na nią nie spojrzał. — Mieli dosyć pieniędzy i rozsądku, by tu uciec, zanim Wojna Turystyczna zamieniła Bliski Wschód w pustynię. Wiesz, kiedy tu trochę pomieszkas, stajesz się inny. Nie jesteś już częścią dołu i zdajesz sobie z tego sprawę. Nie możesz wrócić, bo tam byłbyś dla wszystkich obcy — mówił cicho, jak gdyby rozmyślał na głos. — Więc zostajesz. I pracujesz za tyle, ile kompania jest skłonna ci zapłacić, bo nie masz wielkiego wyboru, a poza tym wszyscy są w podobnej sytuacji. Nie mają do czego wracać, nawet po tylu latach. — Przeszył ją szybkim spojrzeniem. — Tu na górze nikt nie lubi ziemniaków: mają nieskończenie więcej możliwości i nie potrafią tego docenić.

A więc nie miałeś wielkiego wyboru. Czy to właśnie chciał powiedzieć? Margarita spojrzała na maleńki meczet na końcu ulicy. Jego kopała lśniła miedzianym blaskiem w jaskrawych promieniach sztucznego słońca. Zza ozdobnego, kratowego muru dobiegał dziecięcy śmiech, Margarita dostrzegła ciemną twarz spoglądającą w jej stronę. Dziewczynka, ciemnooka i poważna. Zniknęła, gdy Margarita uniosła rękę, by do niej pomachać.

Jak to osiągnąć — odtworzyć to wszechobecne uczucie ograniczenia? Posmak klaustrofobii? Stalowe ściany pochylające się nad głową? Złożone dłonie, będące w stanie uwięzić, zgnieść lub łagodnie ukołysać? Dziedziniec domu Archenwald-Shena otaczał wysoki żywopłot. Prawdziwy żywopłot; Margarita dotknęła kruchych, lśniących liści. Furta z kutego żelaza zamykała przejście wśród

starannie przyciętych krzewów. Sam dom zbudowany był z białego stiuku, okiennice przesłaniały jego wąskie okna. Niezwykle etniczny. Margarita pchnęła furtkę. Nic się nie wydarzyło. Pręty sprawiały wrażenie wykonanych z prawdziwego żelaza, były połyskujące i zimne w dotyku. Uniosła głowę.

— Margarita Espinoza do Gunnera Archenwald-Shena — powiedziała głośno i wyraźnie do mikrofonów, niewątpliwie skierowanych w jej stronę. — Jestem umówiona na spotkanie — niepotrzebnie to powiedziała; tylko zdradziła się ze swoim niepokojem. Jego system musiał wiedzieć, że jest umówiona.

Dzięki kluczykowi Lizy. „Wspomnij o Procenium Productions”, powiedziała Liza. „Na pewno cię zaprosi”. I miała rację.

W pewnym sensie. Bo mimo wcześniejszego elektronicznego zaproszenia od ostrożnego Archenwald-Shena furtka ani drgnęła. Sorrel zajęty był obserwacją dwóch wyrostków bawiących się na ulicy piłką, jego twarz miała marzycielski wyraz. Nie był szczególnie pomocny. Margarita sapnęła wściekle, złapała za pręty i szarpnęła. Ku jej zdumieniu furtka wyrwała się z jej uchwytu i odbiła w tył, uderzając o żywopłot i odsłaniając równą betonową ścieżkę

obsypaną liśćmi i kawałkami roślin. A jednak nie była z żelaza; była na to stanowczo zbyt lekka.

— Chyba możemy już wejść — powiedział łagodnym tonem Sorrel.

Też mi odkrycie. Margarita wmaszerowała do środka, walcząc z gniewem. A więc Shen zamierzał się z nią bawić. Świetnie. Wspaniale. Kiedy dotarła do drzwi, wzięła głęboki oddech, tłumiąc w sobie ten gniew. To nie była odpowiednia chwila na jeden z jej wybuchów wściekłości. Mogła przez to utracić Katrinę.

O ile jeszcze żyła.

Niemalże absolutna pewność tej utraty zmroziła ją, w mgnieniu oka obracając złość w zimny popiół. Zadarła twarz ku oku kamery nad drzwiami.

— Jestem — powiedziała. — Margarita Espinoza. Mogę wejść? Drzwi otworzyły się do wewnątrz, zawiasy zazgrzytały, jak

gdyby ich miejsce było w wiekowym domu w Damaszku lub Bag-

dadzie. Chociaż oba te miasta już od dawna nie istniały. Mieszkańcy platform byli niechętnie nastawieni do wszystkiego, co pochodziło z dołu, a zarazem starannie pielęgnowali własną kopię ziemskiej cywilizacji. Miłość przemieszana z nienawiścią? Pragnienie przemieszane z odrzuceniem? To należy oddać dysonansem, może stosując instrumenty dęte i perkusję... Margarita weszła do środka, mrużąc oczy w słabym świetle, i zatrzymała się nagle, gdy rozpoznała mężczyznę wychodzącego jej na powitanie.

— Zed? — Jego twarz była opuchnięta i okropna, pokryta sińcami. Ciekawe, komu się naraził. — Nie spodziewałam się ciebie.

— Gunner gra w tenisa, jak zawsze o tej porze. — Bezczelny uśmiech wypłynął na zniekształcone wargi. — Mamy pół godziny

— odwrócił się do niej plecami i skręcił do wyłożonego dywanami salonu.

— Poczekaj no. — Margarita poszła za nim, stanęła w progu i oparła się o otynkowaną ścianę. Sorrel wszedł do środka, zanim drzwi zamknęły się automatycznie, i stał teraz pośrodku holu, robiąc wrażenie zagubionego. Margarita westchnęła z irytacją. Rzeźbione drewniane parawany, poduszki i wzorzyste dywany wypełniające wielkie pomieszczenie również wykonane były na arabską modłę.

— Przyszłam rozmówić się z Archenwald-Shenem, nie z tobą — warknęła. — Z nim się umawiałam. Co to ma znaczyć, że gra

w tenisa? Gdzie jest Michael ? — Wbiła wściekłe spojrzenie w plecy Zeda. — Co ty znowu knujesz, Zed?

— Nie rozmawiałaś z szefem. On nie odbiera nie zapowiedzianych połączeń. Ja się tym zajmuję, to należy do moich obowiązków, kotku. — Przysiadł na poduszce z frędzlami.

Poruszał się sztywno, brakowało mu zwykłego wdzięku. O, tak, ktoś solidnie się nad nim napracował. Czyżby odszczeknął się niewłaściwemu człowiekowi?

— Myślałam, że rozmawiam z Shenem — powiedziała, panując nad nerwami. — Jego twarz też wykorzystujesz, hę? Nie tylko władzę?

Spojrzał na nią, zachowując pod opuchlizną enigmatyczny wyraz twarzy.

— Zgadza się. Jak powiedziałem, to należy do moich obowiązków.

— Fajnie. — Margarita usiadła na poduszce naprzeciw niego. i— Posiedzę tu, do czasu gdy wróci, a wtedy porozmawiam z Shenem z krwi i kości. Tego nie jesteś w stanie zrobić, prawda?

— Wiesz co, ty robisz dobre holotury. Ja obsługuję sieć za Gunnera. — Spojrzał na nią oczyma nieprzeniknionymi niczym oszlifowane kamienie. — Trzyma mnie przy sobie, bo jestem w tym dobry. Równie dobry jak ty w swojej branży. Może nawet lepszy. Przyszłaś tu, bo zdobyłaś tajne informacje, które zamierzasz wymienić na bezpieczeństwo twojej tancerki. Jeśli wspomnisz mu o Proce-nium Productions, schrzaniś cały interes. A on zapewne każe cię zabić. Bo nie będzie wiedział, z kim jesteś powiązana, a Gunner nigdy nie ryzykuje. Właśnie w ten sposób zaszedł tak daleko: nie podejmując niepotrzebnego ryzyka. To mój prezent dla ciebie, Margarito Espinoza. — To prawda? Margarita zadygotała, uciekając przed jego spojrzeniem. Umiał tak przekonująco kłamać, ale nie sądziła, że teraz kłamał. Nie tym razem.

— Skąd ta darmowa rada? — zapytała z goryczą. — I dlaczego powinnam uwierzyć w choćby jedno twoje słowo?

— Nie musisz. — Wzruszył ramionami, a potem oparł się łokciem o niski stolik. — Rób, co chcesz. Ale ten twój drobiazg... zaintrygował mnie.

— Doprawdy? — Najpierw Liza i jej enigmatyczne uwagi o tym, jaką wartość mają dane zawarte w tym cholernym wisiorku, a teraz znów to. Miała już dosyć niezrozumiałych wskazówek, dosyć bycia traktowaną jak niewykształcona gówniara. — Rozmawiaj ze

mną po ludzku albo się zamknij — wycedziła przez zęby. — Chcesz czegoś, co znajduje się w moim posiadaniu, więc powiedz mi, co będziesz z tego miał.

— Nie jestem tego pewien. — Zed wyprostował się czujnie. — Właśnie wylądowałem gołym tyłkiem na śmietniku, nie daj się zwieść pozorom. Nikt nie miał prawa dostać się do tego, o czym mi powiedziałaś. Z czego wynika, że udało ci się zdobyć klucz do bardzo wielu drzwi. Kiedy go obejrzę, może dzięki niemu uda mi się

na powrót wkraść w łaski Gunnera. A może nie — dodał miękko. — Może będę musiał się zadowolić smakiem zemsty. Skórka może się okazać warta wyprawki.

Płomień zamigotał i wygasł w jego oczach, jak gdyby ktoś na moment uchylił drzwiczki pieca. Tak, Zed może być niebezpiecznym przeciwnikiem, o ile uzna, że nie zależy mu już na całości własnej skóry. Bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Ciekawe, czy Archenwald-Shen zdawał sobie z tego sprawę. Wzięła szybki oddech.

— Możesz obejrzyć to, czym dysponujemy — a jeśli Liza będzie narzekać, jej problem. Margarita tym razem nie uciekła spojrzeniem w bok. — Muszę się dowiedzieć, kto poszukuje tych danych, to zapewne ta sama osoba, która zabiła Arieego Yiassisa. Być może ta sama, która napadła mnie wczoraj wieczorem na ulicy. Muszę mieć pewność, że zostawią Katrinę w spokoju. Taka jest cena za te informacje. Bezpieczeństwo Katriny. A nie mam pojęcia, gdzie teraz przebywa, będzie to więc odrobinę trudne. — Albo już było za późno i cała ta kotłowanina traciła wszelki sens. — Zagwarantuj mi to, a będziesz mógł zrobić z tymi danymi, co ci się spodoba. — A jeśli tobie, Lizo, albo Xii ten układ nie przypadnie do gustu, mówi się trudno. Margarita wzięła głęboki oddech. — Umowa stoi, Zed?

— Będziesz musiała mi zaufać, ale sama już zdajesz sobie z tego sprawę. — W oczach Zeda ponownie zamigotał ukryty w popiele żar. — Dlaczego akceptujesz to ryzyko?

— Bo jesteś bezwzględny. Oraz uczciwy.

— Uczciwy? — Zed uniósł brew i obdarzył ją krzywym uśmiechem. — Nie przypominam sobie, by ktoś przed tobą tak mnie określił. /

W jego grymasie kryło się wiele goryczy.

— Ale to prawda, zgadza się? — zapytała cicho. Kolejny błysk ognia.

— Tak. — Zed nie uciekł przed jej spojrzeniem. — Jestem

bardzo uczciwy. Odszukam twoją kochankę. I rozprawię się z osobą, która ją prześladowa. Chcesz, żebym ją zabił, jeśli twoja kochanka już nie żyje?

Powiedział to tak beznamiętnie.

— Tak. — Spojrzała w jego mroczne oczy i odpowiedziała głosem tak samo zdawkowym i tak samo przesyconym śmiercią. — Tak.

Oko za oko. Gorąca fala zbudziła się niczym pożądanie między jej udami i przepłynęła wolno w górę ciała. Ząb za ząb... Stworzyliśmy naszych bogów na własne podobieństwo, pomyślała Margarita. Ładne mi podobieństwo. Będzie musiała to dodać do planowanej holotury — bo ów mściwy Bóg i tutaj miał swój dom. Podniosła się sztywno z poduszki.

— Pójdę po wisiołek. Znajoma hakerka Xii pracuje nad włamaniem się do jego plików, ale kiepsko jej to idzie. To jej się nie spodoba, ale gównu mnie to obchodzi.

— Złamanie zabezpieczeń nie powinno być dla mnie wielkim problemem. — Zed spojrzał na nią z dołu i obnażył zęby w uśmiechu. — Opowiedz mi o tym napadzie.

— Ktoś ogłuszył mnie wczoraj wieczorem na ulicy. — Margarita odruchowo potarła ramię. — Chyba szukał wisiora, ale niekoniecznie.

— Jak wyglądał?

— Mocno zbudowany. — Zmarszczyła się, starając się przypomnieć sobie więcej szczegółów. — Ciemne włosy, śniada skóra, chyba człowiek z dołu. Był zbyt twardy na mieszkańca platformy.

Zed roześmiał się cichym, cierpkim śmiechem.

— To nie był Thomas. Założę się, że któryś z jego służnych kuzynów. Rodzinka jak się patrzy. Dlatego Gunner zdecydował się na samotnika, kiedy mnie zatrudnił. — Roześmiał się ponownie, spostrzegając dezorientację na twarzy Margarity. — Thomas Ariades. Mój poprzednik. Och, nie, nie jestem pierwszym chłopcem Gunnera. Taki stary nie jestem, kotku. — Błysnął do niej zębami. — Thomas był zręczny, może nawet odrobinę lepszy ode mnie. — Zastanawiał się przez moment w milczeniu, a potem wzruszył ramionami. — A może i nie. Ale, jak sama zauważyłaś, staram się być uczciwy. Gunner to ceni. Thomas był odrobinę... zachłanny. Był wystarczająco dobry, by zwinąć kilka fantów za plecami Gunnera,

a Gunner jest bardzo czuły na punkcie swojego ego. Nie lubi, kiedy

pracownicy dają mu odczuć, że są od niego mądrzejsi. Wynajmuje ich w tym celu, spodziewa się tego po nich, ale wymaga dyskrecji i umiaru. Tak więc Thomas wylądował na ulicy. Najwyraźniej na pożegnanie wziął ze sobą parę rzeczy. To on załatwił Yiassisowi tę pracę, nawiasem mówiąc. Może też byli spokrewnieni, tego nie wiem. — Wzruszył ramionami. — Jeśli Thomas zabezpieczał te pliki, powinienem bez trudu złamać blokady. Kiedy przejąłem jego obowiązki, dużo się nauczyłem na temat jego sposobów działania w sieci. — Podniósł się, przeciągnął i lekko skrzywił. — Zadzwoń do mnie — powiedział, odprowadzając ją do drzwi. — Jak już mówiłem, wszystkie rozmowy przechodzą przeze mnie. Tylko się pośpiesz, dobrze?

— Dobrze. — Margarita zawahała się. Uśmiechał się ciepło i szczerze, jego twarz stanowiła słownikową ilustrację cywilizowanej uprzejmości. Lecz w mrocznych zielonych głębiach jego oczu nadal można było dostrzec błysk ognia, żar węgla na palenisku. — Pospiesz się. — Zostawiając go za sobą, wyszła do foyer.

Sorrel opierał się o ścianę przy drzwiach, wbijając wzrok w sufit.

— Fajne płytki. — Wydał wargi. — Robione na zamówienie?

— Aha. — Zed przyjrzał się mozaice na suficie i zerknął na Sorrela bez najmniejszego zainteresowania. — Artysta z górnej półki.

— Tak myślałem. — Sorrel precyzyjnie przesuwających się drzwi. — Bardzo ładne. — Poczekał na Margaritę, a potem poszedł przodem, by przytrzymać dla niej furtkę.

Jezu. Wyszła szybkim krokiem, nie czekając na niego. Teraz chciała już tylko wrócić do mieszkania Xii, zabrać wisiorek i dostarczyć go Zedowi. Ile czasu zajmie mu odnalezienie Katriny? O ile to w ogóle możliwe.

— Niech sobie Xia myśli, co chce; ja uważam, że pod tą złością masz w sobie mnóstwo zdrowego rozsądku. — Sorrel dogonił ją pośpiesznie i zrównał się z nią. — Zaufałaś Zedowi. — Wydał wargi. — Ja bym tego nie zrobił, ale zakładam, że znasz go lepiej niż ja.

Gdzieś zniknęło jego lekceważące, niedbałe zachowanie. Mar-

garita zerknęła na niego kątem oka, dostrzegając na jego twarzy błysk rozbawienia.

— Aha. — Zmarszczyła czoło, niepewna, czy jest w stanie to uzasadnić, czy chce to uzasadniać, i czy w ogóle istnieje jakieś uzasadnienie. Może było w tym więcej desperacji niż zaufania. — Chyba musiałam mu zaufać.

— Jasne. — Sorrel skinął głową. — Czyli uwierzmy, że gość, który cię wczoraj zahaczył, nie pracował dla niego ani dla Shena. Hmmm. — Na jego twarzy znów zagościła wieśniacza senność i zaraz zboczył w stronę straganu z gorącymi bułkami, przyglądając się im zgłodniałym wzrokiem.

Dziwny facet. Nie była pewna, czy udawał głupiego, czy też był najnormalniej w świecie głupi i jedynie zdarzały mu się przebłycki geniuszu dezorientujące postronnych obserwatorów. Może powinna zapytać Xię. Margarita obejrzała się przez ramię, lecz nigdzie go nie dostrzegła; nie było go przy straganie ani w ogóle na ulicy. Szeroka ulica — ulica, nie alejka — tętniła życiem. Straganiarze handlowali jedzeniem z wózków, smukła kobieta tańczyła do wtóru bębna. Margarita nie zauważyła przed nią miseczki na monety, w ogóle nie przypomniała sobie, by na platformie była w użyciu gotówka. Ciekawe, jak zbierała pieniądze za swój występ. A może tańczyła publicznie wyłącznie dla zabawy?

Margarita ostatni raz rozejrzała się wokół i dała sobie spokój z szukaniem Sorrela. Wielka strata. Ruszyła środkiem ulicy, nie ustępując drogi nikomu, ignorując kierowane w jej stronę złe spojrzenia. Nie, nie znam tutejszych zasad, odpowiadała na nie w milczeniu. I nie dbam o to. Dotarła do skrzyżowania z ulicą, która zaprowadziłaby ją do mieszkania Xii. Drogę zamykała jej bariera z przezroczystego plastiku. Margarita skręciła w stronę usytuowanej z boku ulicy bramki dla pieszych. Drzwi otwały się przed nią, powiało zza nich wilgotnym, pachnącym ziemią powietrzem. Drugie drzwi tworzyły swego rodzaju służę, gdy się otwały, zapach wilgotnej ziemi przybrał na intensywności.

Margarita trafiła na jedną z farm. Oddychała płytko, dając czas powonieniu na przystosowanie się do wyrazistych zapachów wypeł-

niających wilgotne powietrze. Obfitość bujnej zieleni wstrząsnęła nią, jej oczy zdążyły się już przyzwyczaić do sterylnych ulic. Po obu stronach szerokiego chodnika z drucianej siatki, przebiegającego przez farmę, owoce i warzywa rosnące w wypełnionych mieszanką nawozową rynnach unosiły swe liście ku słońcu. Pomidory wysuwały swe liście aż na ścieżkę, kobieta zbierająca intensywnie czerwone owoce podniosła głowę i pomachała do Margarity. Trochę dalej sztuczne podmuchy wiatru kołysały łagodnie kukurydzą.

Wszystkie rośliny były genetycznie udoskonalone, każda ich część była jadalna, pełna witamin, protein i innych niezbędnych elementów. Bardzo wydajne rozwiązanie. Zupełnie inaczej niż na chaotycznej, przypadkowej, zdezorganizowanej Ziemi. Tu wszystko miało swój cel. Margarita odrobinę przyspieszyła kroku, ogarnięta nagłą klaustrofobią, oddychanie wilgotnym powietrzem zaczęło sprawiać jej trudność. W tej części farmy rosły bananowce. Zamy-

kały ścieżkę w swym gąszczu, ich szerokie, wilgotne liście zwieszały się na wysokości jej głowy, ocierały się o ramiona, przenosząc swoją wilgoć na jej tunikę. Gęste kiście zielonych bananów niemal dotykały ziemi. Wokoło panowała niesamowita cisza. Nie zauważyła tego wcześniej, lecz teraz słyszała jedynie odgłos swoich kroków na ścieżce, skapującą wodę i cichy szelest liści bananowców.

Nagle ta cisza zaczęła nabierać niesamowitości. Margarita jeszcze przyspieszyła. Uspokój się, skarciła się w myślach. To tylko rośliny, nic więcej. Zachowywała się jak małe dziecko uciekające przed upiorami czającymi się w mroku. Jej przyrodni bracia byli by mucho wściekli. Uśmiechając się mimowolnie, zwolniła kroku. W przodzie inna ścieżka przecinała tę, na której się znajdowała. Wózek wypełniony zwiniętymi wężami i najprzeróżniejszymi narzędziami stał dokładnie na środku skrzyżowania. Niedbalstwo. Starając się nie otrzeć o mokre liście, Margarita precyzyjnie się obok niego. W mroku zalegającym wśród drzew poruszył się jakiś kształt. Margarita zareagowała odruchowo, lecz zdążyła jedynie wziąć szybki oddech, gdy czyjeś dłonie chwyciły ją za ramiona i szarpnęły do tyłu.

Usiłując utrzymać równowagę, potknęła się i przeleciała przez

ścieżkę. Zahaczyła palcem stopy o siatkę i upadła na kolano, boleśnie ocierając sobie dłonie i w ostatniej chwili unikając wpadnięcia twarzą w wodę u podnóży bananowców. Czując pieczenie skóry, spodziewając się w każdej chwili ciosu głuszaka, poderwała się z ziemi i przykucnęła.

Ani śladu napastnika. Zamiast niego, z cienia bananowca po drugiej stronie skrzyżowania wyłoniła się znajoma postać. Sorrel.

— Co to, cholera, miało być? — Margarita przeszła go złym wzrokiem, nie wiedząc, czy ma uciekać, czy go zdzielić.

— Przepraszam. — Sorrel uśmiechnął się ciepło. — Gdybym dał ci szansę, pewnie byś mi przyłożyła. — Spojrzał w błotnistą ciemność za bananowcami. — Tak sobie pomyślałem, że zaatakuje cię gdzieś tutaj. O ile dasz mu sposobność do tego. Dlatego zaprowadziłem cię do Shena tą drogą.

— Co takiego? — Margarita odsunęła się ostrożnie, obserwując go czujnie i pocierając piekącymi dłońmi o spodnie. — Po czyjej ty jesteś stronie, co?

— Po swojej — odpowiedział, robiąc sympatyczną minę. — Ale dzieciakowi Xii zawsze pomogę w opałach, o ile nie będzie mnie to zbyt wiele kosztowało.

— Dzięki.—Margarita odprężyła się odrobinę. Nie była gotowa

całkowicie mu zaufać. Jeszcze nie. Rozmasowując wykręcony przez Sorrela łokieć, wciąż nie spuszczać z niego wzroku, posłała szybkie spojrzenie między pnie bananowców. Jej wczorajszy napastnik leżał wciśnięty między korzenie. Rozpoznała jego oliwkową cerę i profil.

— Nie rób tego — powiedział Sorrel, gdy się pochyliła, by go dotknąć. — Nie żyje.

Nie żyje? Margarita wyprostowała się wolno, rzeczywistość barrio w jednej sekundzie nadała temu cienistemu, osłoniętemu liśćmi pomieszczeniu nowe, przenikliwie zimne zabarwienie.

— Gra pozorów. — Spojrzała wprost w senne oczy Sorrela, uśmiechając się do niego blado. — Na pchlim targu zaraz bym cię rozpoznała: jednego z tych powolnych, nieszkodliwych gości, zbyt głupich, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie, czekających tylko na frajera, który by im zaufał. Powiesz mi teraz, co tu się dzieje?

— No, wiesz, nie ma nic złego w tym, że ludzie cię nie doceniają.

— Sorrel rozłożył ramiona z szerokim uśmiechem. — Rano odniosłem wrażenie, że ten gość nas śledzi. Na publicznej przestrzeni nie ma co liczyć na odrobinę samotności, poprowadziłem go więc tędy. Przyleciał z dołu, zupełnie nie znał terenu. Uznałem, że skorzysta z tej sposobności. Dobrze go sobie obejrzałem w jednym z okien wystawowych i dostrzegłem, że ma przy sobie to. — Wyciągnął w jej stronę zaciśniętą pięść, potem wyprostował palce. Na jego dłoni spoczywała małeńka rurka. — Strzykawka — wsunął ją do kieszeni. — Zapewne jakaś broń biologiczna. Nie lubię tego świństwa.

Margarita zadrżała, dostrzegając w jego oczach nowe, zimne lśnienie. O, nie, za nic w świecie nie chciała być zmuszona do walki z tym facetem. Bóg zapłać, nie skorzystam.

— Gdyby miał przy sobie coś innego, nie musiałbym go zabijać.

— Sorrel ściągnął z dłoni przezroczyste, ściśle przylegające do skóry rękawiczki. — Chodźmy już stąd.

— Zaczekaj no. — Margarita upewniła się, że ścieżka nadal jest pusta, napięcie usztywniło jej plecy. — Ten facet jest martwy.

— Aha. — Sorrel schował rękawiczki do kieszeni, uśmiechnął się łagodnie i wziął ją pod ramię. — Widzisz, sprawy porządkowe nie są tutaj szczególnie palącym problemem. Nasze społeczeństwo opiera się na zgodzie ogółu obywateli, czego wy, ziemniacy, nie jesteście w stanie tak naprawdę pojąć. Może to dlatego, że wszyscy siedzimy razem w tej blaszance. Do tego istnieje jeszcze lokalna sieć, swego rodzaju emanacja woli społeczności. Wszyscy patrzymy sobie nawzajem na ręce, nawet kiedy sikamy. Co potrafi w parę dni

doprowadzić imigrantów z dołu do szaleństwa — zachichotał. — Ludzie będą dyskutować o tym zabójstwie. Jeśli powszechna opinia będzie taka, że morderca powinien zostać ukarany za śmierć tego gościa, wielu ludzi przypomni sobie, że szliśmy tędy o tej porze. Ale to był ziemniak — uśmiechnął się do niej delikatnie. — Nie mamy o was szczególnie wysokiego mniemania. Jeśli ten koleś rzeczywiście był nikim, tak jak przypuszczam, ludzie stwierdzą: „A kogo to obchodzi”. Nie zostawiłem aż tylu śladów, by miejscowa policja była zmuszona zrobić coś, na co nie będzie miała ochoty.

Margarita ponownie zadrżała.

— Chyba nie chcę tu mieszkać na stałe.

— Chyba nie. — Tym razem Sorrel się nie uśmiechnął.

— Czy Xia... — Margarita się zaczerwieniła, bo nieświadomie zastanawiała się na głos i o mały włos zapytała: „Czy Xia wie, jaki jesteś naprawdę?”.

— Xia tu pasuje. — Uśmiech złagodził wyraz twarzy Sorrela.

— Nie jest częścią tego świata, ale pojmuje go i nie przeszkadza jej to. Co się tyczy ciebie... — Spowaźniał. — Powinnaś załatwić swój interes z chłopakiem Shena i zniknąć z platformy. Jeśli Shen jest w to zamieszany i postanowi cię wyautować, już nie żyjesz.

Teraz Margarita już rozumiała, dlaczego Xia ustąpiła, gdy Sorrel zaoferował jej swoje towarzystwo tego ranka. Szła w milczeniu, zaciskając wargi.

— Muszę dostarczyć Zedowi ten wisiołek. Sądzi, że da radę złamać zabezpieczenia.

— Lize szlag trafi. — Sorrel pokiwał głową. — Łatwo się przywiązuje do przedmiotów. Ale zajmę się nią.

To nie była oferta, lecz stwierdzenie. Nie, ten człowiek nie był tymczasowym kochankiem tolerowanym przez Xię ze względu na swe talenty kulinarne. Margarita pomyliła się co do niego tak samo jak co do Zeda. I Katriny. Westchnęła ciężko, zastanawiając się, czy w ogóle potrafiła dostrzegać prawdziwe twarze innych ludzi. Wzdrygnęła się, gdy Sorrel chwycił ją za ramię, lecz jego gest był przesycony ciepłem i przyniósł zaskakujące wsparcie.

— Dzięki — powiedziała szczerze, rozumiejąc nagle, co takiego Xia widziała w tym mężczyźnie. Siłę, o, tak, przerażającą siłę. Ale i wyrozumiałość. Westchnęła ponownie, gdy doszli do końca farmy, gdzie rosło coś liściastego i wysokiego. Pchnęła drzwi śluzy i wyszła na suche, chłodne powietrze, jej nagie ramiona pokryły się na chwilę gęsią skórą.

Znajdowali się na ulicy prowadzącej do holoparku, w którym spotkała Xię. Margarita zauważyła, że żonkile już prawie przekwitły. A wiatr niósł ze sobą bardziej letni zapach, woń schnącej na słońcu skoszzonej twarzy. Udany szczegół — ten artysta miał ewidentny dar

do zapachów. Ciekawe, jakie znaczenie dla ludzkiej duszy miała zmiana pór roku? Może pewnego dnia ziemniacy i ludzie z platform wyewoluują w dwa odrębne gatunki. Na ławce siedział wygodnie rozparty mężczyzna, wyciągając rękę w stronę holograficznej wie-
wiórki. Michael. Odwrócił głowę, jak gdyby, rozpoznawszy go, wykrzyknęła jego imię.

— Margarita! — Podniósł się szybko. — Gdzie się podziewa-
łaś? — Dostrzegając Sorrela, skinął głową w jego stronę. — Dzień
dobry. — Podał mu rękę z niepewną miną. — Jestem Michael Tryon.

Margarita była ciekawa, co Sorrel mógł sobie pomyśleć, spoty-
kając dawną miłość Xii, lecz ten z niczym się nie zdradził.

— Co się stało? — zapytała Michaela. — Myślałam, że jesteś
już w drodze do pasa asteroid.

— Narobiłem Zedowi kłopotów u jego szefa. — Michael opuścił
ramiona. — To pokrzyżowało nam plany. Właśnie idę do portu, by
znaleźć dla siebie jakiś niezależny środek transportu. Zed nie sądzi,
że mi się uda.

Kiepsko wyglądał, jak gdyby starzał się w przyspieszonym tem-
pie. Teraz znów, niezwykle boleśnie, przypominał jej Arrowa. Ból
przeszył jej pierś, ostry i przenikliwy, gniewne ukłucie... poczucia
zdrady. Zdrady? Intensywność tego uczucia wstrząsnęła nią, wypeł-
niając ją nagłym wstydem. Arrow jej nie zdradził, on umarł.

Odebrała jego śmierć jak zdradę. Ponieważ tak bardzo go potrze-
bowała. Margarita opuściła głowę, walcząc z palącymi łzami. Byłam
na ciebie taka wściekła, Arrow. Ponieważ zważyłam w siebie, a ty
byłeś jedyną osobą, która mogła mi powiedzieć, że się mylę. Albo
nie. Czy cena nie okazała się zbyt wysoka, Arrow? Cały ten ból?
Cierpienie, jakiego przysporzyłam Katrinie i innym?

Ty mogłeś mi odpowiedzieć na te pytania, aleja nie zapytałam.

A teraz być może już nigdy nie będę tego pewna.

Michael także jej nie zdradził. Margarita westchnęła powoli
i dotknęła ramienia Michaela.

— Wszystko w porządku?

— Nie bardzo. — Zmusił się do uśmiechu i niepewnie sięgnął ku jej dłoni. — Powiniennem zabrać się do szukania transportu. Nie

wiem, czy Zed będzie w stanie załatwić ci spotkanie z Archenwald-Shenem. Przykro mi, że nie mogłem pomóc Katrinie.

— Już się tym zajmę. — W pewnym sensie. Nie ma potrzeby wspominać o człowieku martwym i nasiąkającym wodą wśród bananowców kilkaset jardów od nich. Margania zacisnęła kurczowo palce wokół dłoni Michaela. — Wróc ze mną do mieszkania Xii, proszę. — Nie umiała ukryć nalegania w swoim głosie. — Może ona zna kogoś, kto będzie mógł przewieźć cię na Pas.

— Co się stało? — Spojrzenie Michaela spoczęło na jej twarzy.

— Masz kłopoty?

— Zawsze mam kłopoty. — Gorzkie słowa, przyprawione prawdą. Zerknęła szybko na Sorrela, lecz niczego nie wyczytała z jego puste, uprzejmej miny. Cholera. — No, chodź.

— Jesteś pewna, że Xia będzie chciała mnie widzieć? — Michael spojrzął na Sorrela, a z jego twarzy łatwo było odczytać dręczące go myśli. — Prawdę powiedziawszy, sam nie wiem, czy ja chcę się z nią spotkać. Naprawdę muszę zacząć szukać przewoźnika.

Zamierzał sobie pójść.

— Nie. — Ostry ton Margarity sprawił, że Michael aż zamrugał.

— Cholera jasna, wmaszerowałaś w moje życie i porzuciłaś wszystko na boki. Idziesz ze mną, bo sama nie wiem, czy jeszcze cię kiedyś zobaczę, i jesteś mi to winien, Michaelu Tryon. Słyszysz?

„Jesteś mi to winien...” Margarita pokręciła głową, w której nagle jej zaszumiało, niepewna, skąd wzięły się te słowa.

— Idę, idę. — Spojrzenie Michaela spoczywało na jej twarzy, pełne cieni i uczuć, których nie potrafiła zidentyfikować. Sięgnął po jej dłoń. — Tyle czasu jeszcze mam — powiedział cicho. — Tylko odrobinę się boję. Podejrzewam, że Xia pokaże mi odbicie Michaela Tryona, jakiego znała. Nie jestem pewien, czy chcę spotykać tamtego człowieka. Nie jestem pewien, czy chcę spojrzeć mu w twarz.

O, tak, Michael przypominał jej Arrowa Frome. Arrow mógł powiedzieć coś podobnego. Trzymał delikatnie jej dłoń, gotów w każdej chwili ją puścić. Nie wyszarpnęła jej.

— Byłam na ciebie zła — powiedziała, gdy ruszyli przez park.

— Przez całe życie, ale zwłaszcza wtedy, gdy się dowiedziałam, kim jesteś. Byłeś tym, kim zawsze pragnęłam być. A ty... nie było ciebie przy mnie, kiedy byłam dzieckiem. — Opuszczenie. Zdrada. I nigdy nie dopuściła Katriny zbyt blisko, tak by mniej zabolęło, kiedy odejdzie.

Czy sama stworzyłam swoje opuszczenie, Arrow? Swoją zdradę?

To także mógłby jej powiedzieć. Gdyby mu pozwoliła.

Nagle spostrzegła, że Sorrel raz jeszcze zniknął gdzieś bez słowa. By zorganizować następną zasadzkę? I po czyjej stronie on był naprawdę? Margarita omiotła wzrokiem zatłoczoną ulicę i wzruszyła ramionami. Prędzej czy później się dowie.

— Tędy — powiedziała do Michaela i roześmiała się. — Xia zapewne już na nas czeka.

Michael spojrział na nią dziwnie, lecz nie zamierzała mu tego wyjaśniać, a on nie chciał o nic pytać.

Kiedy weszli do mieszkania, Xia leżała zwinięta na jednej z poduszek. Kołysała trzymanym w palcach wisiorkiem tak, by odbijał światło lampy, głęboko zamyślona.

— Liza nie miała zbyt wiele szczęścia z tym cackiem — powiedziała, zanim jeszcze zamknęły się za nimi drzwi. — Zostawiła je tu, zanim poszła do pracy. — Odwróciła głowę w ich stronę i dopiero teraz zauważyła Michaela. — Cześć. — Jej oczy odrobinę się rozszerzyły. Podniosła się z gracją, wsuwając wisior do kieszeni tuniki. — Michael? — uśmiechnęła się lekko. — Jak się miewasz? — Wyciągnęła do niego rękę. — Tyle czasu minęło.

— Prawda? — Ruszył sztywno w jej stronę, jak gdyby obawiał się jej dotknąć. — Ja... przepraszam, Xia. Za to, jak cię traktowałem. Tak długo chciałem ci to powiedzieć.

— Naprawdę? — Roześmiała się, odrzucając lekko głowę w tył, jej siwy warkocz zakołysał się między łopatkami. — Byliśmy, kim byliśmy. Nie mogliśmy być inni, Michael. — Zerknęła na Margaritę, uśmiechając się samymi kącikami ust. — Byłam ciekawa, czy dasz radę oderwać go od Kamieni. Pomyślałam sobie, że przynajmniej spróbuję.

Margarita poczuła, jak szczęka opada jej w zdumieniu, ale nie potrafiła się opanować. Michael też wyglądał na nieco zirytowanego.

— Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego znacznie wcześniej — mruknęła. Spojrzała w rozbawione oczy matki, w jej wnętrzu zaczęła się budzić złość, oblewając policzki rumieńcem. — Sprawy mogły przybrać zupełnie inny obrót.

— Tak uważasz? — Xia uniosła brew. — Nie, Rito. Co by to dało? Dalej byłabyś moim dzieckiem, choć miałam dosyć rozsądku, by trzymać się od ciebie z daleka. Michael nadal siedziałby zagrzebany wśród Kamieni. — Kiwnęła głową w jego kierunku. — Chwila nie była odpowiednia. Nie byłam pewna, czy w ogóle kiedykolwiek nadejdzie. — Na jej twarzy odmalowało się zamyślenie. — O mały włos, a bym ci nie powiedziała. Ale zobaczyłam, jak poważnie traktujesz swoje holotury. Na tyle poważnie, by ukrywać się w nich przed Katriną. Przypominałaś mi twojego ojca. Uznałam więc, że nadeszła pora, byś go poznała, dostrzegła w nim samą siebie, a może nie — uśmiechnęła się do Michaela. — Jest do ciebie podobna, chociaż nie odziedziczyła po tobie rysów twarzy.

— Owszem — odparł Michael ochryple, choć oczy miał suche.

— Wiem, że już za późno na gdybanie, ale chcę, abyś wiedziała, że bardzo cię kochałem.

— Wiem. — Uśmiech rozjaśnił jej twarz niczym blask słońca.

— A ja kochałam ciebie, Michaelu Tryon, tylko że ty bardziej kochałeś swoje Kamienie. A ja jestem zaborcza. Lubię być na pierwszym miejscu. — Gwałtownym ruchem zamknęła jego dłoń w swoich. — Nic nie trwa wiecznie. — Przycisnęła jego dłoń do policzka, nie spuszczając wzroku z Margarity. — Pamiętaj o tym, Rita. Każda chwila jest bezcenna, bo trwa tylko mgnienie oka. Niektóre zdołasz zapisać w swoich holoturach, ale reszta zginie bezpowrotnie.

— Xia... brakowało mi ciebie. — Michael zacisnął palce wokół jej dłoni. — Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, jak bardzo. Chciałbym na nowo cię poznać.

— Naprawdę? — Potrząsnęła głową. — Nie jestem już tą kobietą, którą kochałeś. Ale myślę, że będziesz chciał znaleźć ją we mnie.

Zbyt długo zajmowałeś się Kamieniami, Michaelu Tryon. Łapiesz okruchy duszy i zamieniasz je w coś niezmiennego, statycznego. Nie na tym polega życie, to wzrost i zmiana. Ja żyję.

— Ja chyba też. W końcu. — Michael westchnął i uwolnił dłoń z jej uchwytu. — Może masz rację. Nie jestem pewien, czy zdołałbym nie szukać w tobie tamtej Xii, którą kochałem. Nie jestem pewien, czy pozwoliłbym sobie poznać ciebie.

Drzwi otwały się i do pomieszczenia wmaszerował Sorrel.

— Hej. — Podszedł do ścianki kuchennej i nalał sobie wody. — Wskoczyłem na chwilę na sieć. Jakiś ziemniak został skasowany na farmie Brightside. — Napił się łąpczywie i zaraz napełnił ponownie szklankę. — Wygląda na to, że był mięśniakiem na usługach operatora średniego kalibru. Z dyskusji wynika, że to niewielka strata i nie nasza sprawa. Trochę to jeszcze potrwa, zanim wszystko ucichnie. Na mój nos mniej więcej do wieczora.

Sorrel powiedział to wszystko na jej użytek. Margarita także wzięła sobie wody, poruszona tym, jak szybko społeczność platformy reagowała na nowe wydarzenia. Jego opowieść o ciągłym patrzeniu sobie na ręce nie była bajeczką dla niedoświadczonych turystów. Nagle do głowy przysła jej analogia z ulem. Jeden fałszywy ruch mógł wywołać reakcję całego roju.

Przestrzeń pozaziemską zamieszkiwali obcy. Spojrzała na Xię znad krawędzi szklanki, zastanawiając się, jak ona to wytrzymuje. Nic dziwnego, że mieszkańcy platform nie przepadali za ziemskimi artystami. Nie wiem już nawet, czy mówimy tym samym językiem, pomyślała Margarita, czując, że budzi się w niej dreszcz. To właśnie musi się znaleźć w jej holoturze: to uczucie obcości.

Publiczka Pierwszego Wtorku zapewne potraktuje to z odrazą.

— Chyba powinniśmy pozwolić chłopakowi Archenwald-She-
na na złamanie kodu — powiedział Sorrel.

— Dlaczego? — Xia uniosła głowę. — Jest gorszy od Lizy.

— Zna ten kod. — Sorrel wstawił szklankę do zmywarki. — Po drodze do domu ktoś próbował zabić Margaritę. Czas ucieka.

Xia i Michael utkwili w niej spojrzenia. Xia patrzyła na nią spod zmrużonych powiek, na jej twarzy malowało się zastanowienie. Michael wyglądał na wstrząśniętego. I zaniepokojonego.

— Nie jestem pewien, czy to odpowiednie miejsce na rozbijanie naszego skarbczyka. — Sorrel sięgnął do kieszeni Xii i wyciągnął z niej wisiołek, całując ją lekko w czubek głowy. — Są miejsca o znacznie zdrowszym klimacie — zakotysał łzą skamieniałej żywicy, zaciskając wargi. — Liza dobrze się spisała przy wyjmowaniu kości. Prawie nie zostawiła śladu.

— Przełożyła ją na standardową dyskietkę. — Xia podała mu przezroczysty plastikowy krążek. Mógł pomieścić w swym wnętrzu jedną kapsułę pamięci albo i sto, pasował też do każdego czytnika.

— Przed drzwiami stoi Zed — zaśpiewał system. — Chce wejść. Zed, tutaj? Margarita poczuła, że skóra między jej łopatkami

nagle się napina.

— Nie mówiłam mu, gdzie się zatrzymałam — powiedziała pośpiesznie.

— Nieważne. — Sorrel nie wyglądał na zaniepokojonego. — Mógł się bez trudu dowiedzieć.

Znów odezwały się odruchy wyniesione z barrio — nie należało nikomu podawać swojego adresu. Margarita westchnęła przeciągle, gdy do pokoju wszedł Zed. Na ramieniu dźwigał torbę, poruszał się szybko, nerwowo, rozglądając się na boki, jak gdyby spodziewał się znaleźć poukry wanych za meblami ludzi. Michael spojrzał na niego, marszcząc czoło.

— Co się stało? — zapytał.

— Michael. — Jeśli nawet jego obecność była dla Zeda niespodzianką, nie pokazał tego po sobie. — Nic ci nie wyszło w porcie, co?

— Jeszcze nie próbowałem.

Zed nie odpowiedział, ukłonił się szybko Xii i Sorrelowi, a potem zwrócił się bezpośrednio do Margarity.

— Gunner musiał podsłuchiwać naszą rozmowę. Nie mam pewności, ale odkryłem pewne niezgodności w rejestrach zabezpieczeń. Oprócz mnie jedynie Gunner ma do nich dostęp, choć nigdy z tego

nie korzysta — zmarszczył się, odrzucając na plecy swoje długie włosy. — To bardzo zły znak, że Gunner tak nas podsłuchiwał. I że jak na razie nie zareagował. Uważam, że musimy jak najszybciej opuścić platformę. Razem z danymi. Czy ten trup na farmie Brightside ma coś wspólnego z tobą? — Spojrzał uważnie, choć z powątpiewaniem, na Sorrela i zwrócił wzrok z powrotem na Margarity. — Czas i miejsce by się zgadzały.

— Owszem, ma coś wspólnego ze mną. To ten sam człowiek, który mnie wcześniej ogłuszył. Tym razem planował mnie zabić. — Margarita podeszła do Sorrela i sięgnęła po dyskietkę spoczywającą w jego dłoni. Ku jej zdziwieniu oddał ją bez słowa.

Nie potrafiła zinterpretować wyrazu twarzy Sorrela. Kiedy ten facet nie chciał, żebyś wiedziała, co myśli, po prostu nie wiedziałas, i tyle.

— To te dane? — Zed nie potrafił ukryć podniecenia brzmiącego w jego głosie. — Daj mi je — powiedział, wyciągając rękę.

Wszyscy przyglądali się im: Xia, Sorrel, Michael. Margarita wolnym ruchem położyła dyskietkę najego rozwartej dłoni. Z błyszczącymi oczami wyciągnął z torby kanciasty przenośny terminal.

— To system zamknięty, bez bezpośredniego dostępu do sieci. Stuprocentowo bezpieczny. — Wsunął dyskietkę do czytnika i włączył ekran muśnięciem palców. Z zachmurzoną twarzą oparł się o stół, garbiąc się nad małym, lśniącym hologramem, który zmateriałizował się nad urządzeniem.

Margarita dostrzegła barwy, kształty, kilka niezrozumiałych słów. Zed dotykał obrazu to tu, to tam, potem przesunął dwoma palcami przez hologram.

— Tak. — W jego głosie brzmiała starannie kontrolowana nuta triumfu. — To Thomas, bez dwóch zdań. Uważał się za wielkiego bystrzaka w sieci, lepszego ode mnie, ma się rozumieć. W niektórych sprawach był ode mnie lepszy, ale nie w tym, kotku. — Dźgnął obraz wyprostowanym palcem, a ten zgasł. — Zorientowanie się, co tu właściwie mamy, zajmie mi trochę czasu — zwracał się wyłącznie do Margarity, jak gdyby wszyscy inni po prostu zdematerializowali się, gdy on dobierał się do danych. — Sądząc z tego, co się dzieje,

to coś dużego. Lepiej by było poorientować się gdzieś indziej. I to szybko.

— Liza wybebeszyłaby cię za te słowa — powiedziała lekkim tonem Xia, lecz w jej czujnym spojrzeniu krył się chłód.

Margarita zerknęła na Zeda, który tylko wzruszył ramionami; lajwyraźniej niewiele go to obeszło.

Ją w każdym razie to obchodziło. Skończyła już z niedocenianiem innych. Odwróciła się do Sorrela, który przechwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się delikatnie.

— Zajmę się Lizą.

— Szukasz wyzwania dla urozmaicenia życia? — Xia przewróciła oczami. — Sam chciałeś. Za wysokie progi na moje nogi.

Sorrel wzruszył ramionami.

— Gdzie więc zamierzasz się zamelinować? — Spojrzał na Zeda. — Masz na myśli jakieś określone miejsce?

Zrzucił teraz z twarzy swoją maskę wieśniaka. Zed posłał mu

szybkie, zaniepokojone spojrzenie znad torby, do której chował swój terminal.

— Chyba na dole. Jestem w stanie zakopać się naprawdę głęboko w Nowym Jorku lub Dallas. Lepiej w Dallas, Gunner nie ma tam żadnych interesów.

— A co powiesz na pas asteroid? — podsunął Michael.

— Zapomnij o tym. — Margarita spiorunowała go wzrokiem, bo sama nie miała już nic do powiedzenia, musiała się trzymać Zeda i tych danych, musiała wyciągnąć Katrinę z tego cienia. — Nie mógłbyś odpuścić sobie tej szaleńczej pogoni za śmiercią? Nie mógłbyś po prostu dać sobie z tym spokoju? Och, nieważne. — Potarła oczy, ogarnięta nagłym zmęczeniem przenikającym ją do szpiku kości. — Wiem, że nie możesz. To twoje życie. Dobrze, już milczę, ale... szkoda, że nie możesz polecieć z nami na Ziemię.

— Prawdę powiedziawszy, według mnie Michael ma rację. — Sorrel uniósł brew. — Prześlizgnięcie się statkiem na dół tak, by nikt tego nie zauważył, to bardzo trudna sztuka. Jasne, możesz wykupić sobie okno, zapłacić odpowiednim ludziom za nagły atak ślepoty, ale nie zapominajcie, że to Gunner Archenwald-Shen będzie wam

deptał po piętach. Musicie bardzo uważać, komu płacie, bo w przeciwnym razie Shen dowie się, gdzie i kiedy wylądowaliście, w chwili gdy zgasną silniki waszego statku. Natomiast w drugą stronę macie do wyboru mnóstwo możliwości. — Wzruszył ramionami. — Nikt się tym szczególnie nie przejmuje. Tylko przyloty przyciągają uwagę. Sorrel wiedział, co mówi. Margarita nagle się zorientowała, że musiał być wolnym strzelcem, była gotowa założyć się o swoją następną holoturę. Zapuszczał się na swoim statku w głąb pasa, zrzucał asteroidy na nieuczęszczane orbity i sprzedawał je górnikom, którzy wybierali z nich rudę i przewozili na Ziemię, unikając opłat celnych tak na platformie, jak i na planecie. Dochodowy interes, o ile nie straciło się przy nim życia. Zarówno rządy platform, jak i ziemskie miały wielką ochotę na udział w bogactwach znajdujących w Pasie.

— Świetnie. — Michael pokiwał z entuzjazmem głową. — Nadal do rozwiązania pozostała kwestia transportu. A może znasz kogoś odpowiedniego?

— Sam nas przewieziesz? — Margarita błysnęła zębami w uśmiechu. — To właśnie chcesz nam powiedzieć, zgadza się? — A dzięki temu będzie mogła przypilnować tego, co znajduje się w plikach Katriny. — Nic się nie bój — powiedziała z podpatrzoną u niego senną nonszalancją. — Już nigdy więcej cię nie zlekceważę.

Sorrel skinął głową z rozbawionym uśmiechem.

— Owszem, przewiozę was. Za siedemdziesiąt pięć procent wartości tego, co znajdziecie w tych danych. Liza będzie oczekiwać swojej działki i nawet ja nie odważyłbym się wystawić jej do wiatru.
— Rozbawienie zniknęło z jego twarzy. — Umowa stoi?

Gdyby się zgodzili, nie mogliby już się wycofać. Margarita miała przeczucie, że zrywanie umowy z tym człowiekiem byłoby doprawdy kiepskim pomysłem. Zerknęła na Zeda, który patrzył na Sorrela wściekłym wzrokiem, ale zapewne zaakceptowałby ten układ. Michaelowi było wszystko jedno. Jego twarz lśniła podnieceniem. Podeszła do niego tak, by musiał spojrzeć jej prosto w oczy.

— Co spodziewasz się tam znaleźć?

— Kogoś. — Jego oczy wypełniał dziwny blask. — Ten ktoś

usiłuje mi coś powiedzieć, ale ja nie znam jego języka. Może to właśnie usiłował zrobić z Lustikiem, Dannersem i pozostałymi: porozumieć się.

— Obcego? — Margarita w ostatniej chwili zdusiła wzbierający w niej śmiech. — To chcesz mi powiedzieć. Że słyszysz w głowie głosy obcych? Ten wcześniejszy pomysł z obłędem bardziej mi się podobał. — Wszystko sprowadzało się do jednego: zmierzał ku śmierci, tak jak przed nim Arrow.

„Jestem zmęczony”, powiedział do niej wkrótce przed końcem.
„Żyję już długo i przeszedłem wiele zmian. Na tym polega życie, prawda? Wzrost i zmiana. Chyba już nie potrafię się zmieniać”.

Dopiero co Xia powiedziała coś podobnego o zmianie. Margarita spłotła mocno ramiona. Że zmiana oznacza życie.

— Zgoda, Sorrel. Przewieziesz nas? Chyba powinniśmy ruszać, skoro Gunner Archen wald-Shen zamierza dobrać się nam do tyłków, zgadza się?

— Zgadza się. — Sorrel uśmiechnął się do niej sennie. — Powiedzcie, kiedy będziecie gotowi.

Rozdział piętnasty

Statek Sorrela cumował w hangarze niedaleko mieszkania. Margarita trzymała się odrobinę w tyle, puszczając całą trójkę przodem. Gdzie mogła teraz być Katrina? Nie, nie myśl o tym. Przymknęła na moment oczy. Obrazów, które przychodziły jej do głowy, nie chciała oglądać. Mijali magazyny, funkcjonalne, sterylne budynki zaprojek-

towane z myślą o maksymalnej pojemności przy minimalnym zużyciu bezcennej przestrzeni. Margarita zgarbiła się odruchowo, czując się nieswojo. Poza jedną farmą, nigdzie nie widziała tu prawdziwych roślin. Hologramy i owszem. Lecz ulica pod jej stopami była sterylna i szara, ani śladu śmieci. Żadnych chwastów w pęknięciach nawierzchni. Nawet w najmłodszych miastach chwasty znajdowały dla siebie dosyć miejsca między płytami chodnika, dusząc doniczkowe rośliny ustawione na schodach wejściowych i parapetach.

Dla niej to otoczenie było sterylne, lecz przecież pochodziła z dołu. Może tu na górze najważniejszy był porządek. Kontrola. Utrata kontroli nad otoczeniem oznaczała śmierć.

Utrata kontroli nad swoim życiem oznaczała śmierć. Prawo barrio. Może te dwa miejsca tak bardzo się nie różniły. Zawrzyj to w holoturze. Margarita zadrżała i o mały włos wpadłaby na Michaela, który zwolnił kroku, by na nią zaczekać.

— Dobrze się czujesz? — Wyglądał na zatroskanego.

— To miejsce działa mi na nerwy. — Zadarła głowę, przyglądając się pozbawionej okien fasadzie mijanego budynku.

— Jest zupełnie inne, prawda? — Pokiwał głową. — Ludzkość ewoluuje tu w całkowicie odrębny gatunek. Wkrótce nasze drogi rozejdą się bezpowrotnie.

— Dokładnie tak... wcale nie ma różnicy. — Margarita przygarbiła ramiona. — Pod niektórymi względami czuję się jak w barrio. Myślę, że dałabym sobie tu radę. Gdybym zdołała się nauczyć języka.

Michael przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy.

— Tak, wiem, jak to dziwacznie brzmi. — Wzruszyła ramionami, odrobinę zirytowana tym, że jej nie zrozumiał.

— Nie, to wcale nie brzmi tak dziwacznie — odparł bez uśmiechu. — Uważam, że jesteś jeszcze lepsza, niż podejrzewałem. — Uniósł głowę, pokiwał nią do swoich myśli i odszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Doszli do końca ulicy, gdzie dwa przejścia dla pieszych mieściły między sobą wielką rampę załadunkową. Sorrel i Zed już na nich czekali: Zed wiercił się jak kot, Sorrel znów udawał wieśniaka, przyglądając się im spod na wpół spuszczonej powiek. Margarita odsunęła się od Michaela, gdy jedno z drzwi się otwarły, wypuszczając parę w identycznych, kusych strojach koloru świeżej zieleni, o identycznych światłowodowych wszczepach na pokrytych gęstą czupryną czaszkach.

Żadna z tutejszych barw nie była naturalnego pochodzenia, uświadomiła sobie nagle Margarita. Wszystkie jaskrawe ubrania, pastele ścian, posadzek i mebli — nie przychodziło jej na myśl żadne

zwierzę ani roślina o podobnym ubarwieniu. Uważacie siebie za odmiennych od nas, co? Skierowała wzrok na mijającą ją kobietę, otrzymując w odpowiedzi bliźniacze wrogie spojrzenia i niechętne wzruszenia ramion. Ale jesteście tacy sami, nawet jeśli nie chcecie tego dostrzec.

Dla mieszkańców platform jej wymarzona holotura byłaby równie nie do zaakceptowania jak dla ziemskiej premierowej publiczności. Margarita przeszła przez drzwi w ślad za Michaelem, Zedem i Sorrelem, czując, że pulsuje w niej podniecenie. Bańki powietrza opadające wśród bezkresnej, lodowatej nocy, wypełnione dziecięcą magią, rozszepstanymi duchami i jaskrawymi kolorami. Obraz nabierał kształtów w jej wyobraźni, podkreślany fletem i perkusją, odległym szmerem altówek. Weszli do kolejnej śluzy; drzwi otwarły się przed nimi i Margarita odruchowo zamrugła. Olbrzymia przestrzeń, ostre światło. Kilka niewielkich, kanciastych statków stało w ciasnym szeregu. Tu nie musiały być smukłe i ptasiokształtne: skrzydła i aerodynamiczne kształty dyktowane były wymaganiami stawianymi przez atmosferę. Naszą naturę kształtuje środowisko, w którym żyjemy, pomyślała Margarita, spiesząc za Sorrelem między brzydkimi obcymi statkami.

— Większość z nich należy do kompanii frachtowych. — Sorrel maszerował wielkimi susami, z miękkim uśmiechem odgrywając rolę przewodnika. — Służą do przechwytywania zrzutów asteroid i przewożenia skał do wyrzutni, która strąca je na planetę. Dają sobie radę z obsługą wielkich ładunków, ale nie są zbyt szybkie — szarpnięciem głowy wskazał pęk trójpalczastych metalowych pazurów spoczywających we wgłębieniu kadłuba jednego z nich. — Co lepsi łowcy asteroid są na tyle dobrzy w te klocki, że potrafiliby rozwiązać ci tym sznurowadła.

— Tacy jak ty, Sorrel? — Margarita uniosła brew, odczuwając nagłą pokusę podpuszczenia go, zmuszenia do pokazania rekinich zębów. — Umiałbyś rozwiązać komuś sznurowadła?

— Nigdy nie spotkałem w przestrzeni kogoś w sznurowanych butach. — Uśmiechnął się, robiąc zdumioną minę. — Jeśli kiedyś spotkam, na pewno spróbuję. — Zatrzymał się przy niewielkim

stalowobłkitnym pojeździe, dotykając zamka śluzy. — Tym dolecimy do pasa w przywoitym czasie. Moduł napędowy Esmee, zwrotny, nie za duży. Rozgoście się. Przywołam holownik, który przetoczy nas na pozycję startową.

Wielkie drzwi towarowe w burcie statku otworzyły się niczym rozkładające się skrzydło. Margarita dostrzegła w środku trap, który wszakże się nie opuścił. Sorrel wskoczył lekko do ładowni i zaraz w jej suficie zapłonęły lampy. Zed bez trudu wspiał się za nim i podał rękę Michaelowi. Margarita dotknęła jaskrawo niebieskiej farby pokrywającej pasami burtę statku. Odbijała światło, bezdenna i intensywna. Przedtem wydawało się jej, że statek Sorrela jest nowy, lecz z bliska mogła dostrzec wgniecenia i zadrapania zdradzające jego prawdziwy wiek. A więc Sorrel dbał o jego wygląd. To jej nie zdziwiło. Margarita wgramoliła się na pokład, jej kroki poniosły się echem przez pustą ładownię.

Michael i Zed zaglądali przez otwarte drzwi do maleńkiej sterowni. Dołączyła do nich. Ujrzała co najwyżej nieapetyczne wybrzuszenie w dziobowej części baryłkowatego statku: pojedynczy fotel, konsola, kask i rękawice VR. Żadnych iluminatorów. Niczego, co przypominałoby ekran.

— Jak widzisz, co jest na zewnątrz? Tylko VR?
Sorrel skwitował to pytanie uniesieniem brwi.

— Aha. — Zabrzmiało to odrobinę pogardliwie, jak gdyby powiedziała coś niewyobrażalnie głupiego. — Kelly? — powiedział,

— SR232 prosi o holownik pod wyrzutnię.

— Się robi. — Czysty chłopięcy głos zabrzmiał wyraźnie w niewielkim pomieszczeniu. — Już w drodze, szefie.

— Kelly? — Michael wziął do ręki kask VR, przyjrzał mu się ze zmarszczonym czołem i odłożył na miejsce.

— Komputer pokładowy. — Sorrel wsunął się na fotel i zaczął nakładać rękawice. — W przestrzeni trzeba czasami z kimś pogadać

— wzruszył ramionami, nałożył kask i machnął dłonią jak nożem. Za ich plecami drzwi ładowni zamknęły się ze świstem. Chwilę

później głośny metaliczny trzask poniósł się przez kadłub statku.

— Siadajcie. — Palce Sorrela przebiegały po niewidzialnym

pulpicie sterowniczym. — Trafiliśmy na lukę w ruchu. Właśnie słyszeliście, że doczepił się holownik.

Pod ich stopami pokład skoczył nagle w bok. Margarita zachwiała się lekko, lecz Michael zdążył złapać ją za rękę. Poruszali się, zapewne byli teraz holowani pod wyrzutnię.

— Usiądźcie. — Zed wyciągnął ze ściany składane siedzenie

i zabrał się do zapinania pasów. — W przeciwnym razie w chwili startu zwali was z nóg. Nie jesteśmy na promie pasażerskim. — Z jego głosu można było wywnioskować, że nie robił tego pierwszy raz.

Margarita odkryła, że cztery składane siedzenia wbudowane były bezpośrednio w grodzie. Rozłożyła jedno z nich i przypięła się między Zedem a Michaeliem. Nie zauważyła, by statek był wyposażony w koła, holownik musiał więc ich jakoś podnieść. Przed jej oczyma pojawił się obraz olbrzymiego stalowego kraba trzymającego błękitno-srebrzysty statek w gigantycznych kleszczach. W jej gardle zbudził się chichot, lecz zdławiła go. To tylko nerwy, pomyślała, usłyszeliby to w jej śmiechu. Chciała to widzieć, choć niczego by to nie zmieniło, choć Sorrel dysponował setką oczu rozlokowanych na całej powierzchni kadłuba. Chciała wiedzieć, co się znajduje na zewnątrz.

— Klaustrofobia? — Michael delikatnie szturchnął ją w kolano.

— Nie sądzę. — Margarita spojrzała na niego z ukosa. Spostrzegawczości nie można mu było odmówić. — Po prostu nie lubię podróżować po omacku. v

— Człowiek czuje się wtedy taki bezradny, prawda? — Z rozmarzonym wyrazem twarzy oparł głowę o kadłub. — To coś już wie, że jestem w drodze. Cokolwiek to jest. Wyczuwam, że wie. Czeka na mnie.

— Przyprawiasz mnie o dreszcze. — Zrobiła złą minę i odsunęła się parę cali w bok. — A ty? — Spojrzała z irytacją na Zeda. — Też słyszysz głosy obcych? W ogóle coś słyszysz?

— Słyszę to, co słyszę. — Zed utkwiał wzrok w przeciwległej ścianie, podczas gdy statek skakał pod nimi. — Obcy? Czemu nie? — W końcu spojrzał na nią. — Może to głos Boga, Margarito

Espinoza. Przemawiający do mnie, a nie do ciebie. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

Nabijał się z niej... chyba. W jego oczach migotało odbite światło i Margarita odwróciła wzrok. Może się jednak nie nabijał. Nie znam się na ludziach, pomyślała. Porozumiewam się z nimi za pomocą przystawek. Może gdyby była bardziej wyczulona na wewnętrzne krajobrazy, Katrina i ona byłyby w stanie się porozumieć.

Taak. Może.

Statek zatrzymał się z nagłym szarpnięciem.

— Przygotujcie się. — Oznajmił pogodnym tonem Kelly. —

Macie jakieś pół minuty do startu. Będzie nieprzyjemnie. A potem odpali Esmee i będzie jeszcze gorzej.

Zdażyła zniechęcić ten młodzieńczy głos. Margarita skuliła się, naśladując Zeda. Michael także wziął z niego przykład. Bez ostrzeżenia statek zadrżał niczym dygoczący pies. Potem skoczył do przodu. Choć była niemalże zwinięta w kłębek, i tak oderwało ją od ściany, do której przyciskała plecy, a pasy wpiły się boleśnie w jej ciało. Usłyszała zdumione sapnięcie Michaela, lecz nie była w stanie odwrócić głowy. Ułamek sekundy później przyspieszenie nadane przez wyrzutnię raptownie zelżało i uderzyła plecami o ścianę. „A!” Potarła obolały kręgosłup. Michael też robił wrażenie odrobinę wstrząśniętego. Zed uśmiechał się szeroko. Jakżeby inaczej.

— Jeśli nie jesteś spięta, łatwiej to przetrwać. — Zed mrugnął do niej. — To nawet fajne, wiesz?

Statek obracał się wokół własnej osi. Margarita odkryła nagle, że leży na wznak, tracąc na wadze w miarę jak statek wytracał przyspieszenie.

— Przygotujcie się — prychnął z głośnika komputer. — Raz, dwa, trzy...

Nacisk. Wyduszający powietrze z płuc, zgniatający serce, wciskający je w żołądek, w miednicę. W końcu zelżał. Margarita stęknęła, przerażona wysiłkiem, jakiego wymagało oddychanie. Mdłości zalegały jej kamieniem na żołądku, lepki pot wystąpił na skórę.

— Koniec zabawy, szanowni państwo. — Głos komputera pokładowego zabrzmiał tak, jakby na jego nie istniejącej twarzy ma-

wał się rozbawiony uśmiech. — Możecie się przespacerować albo pokimać, co tylko chcecie. Droga do Vildorn zajmie nam pięć godzin, nawet po niedawnym podrasowaniu. Tylko nie szalejcie, przybraliście trochę na wadze.

Głos przemądrzałego nastolatka. Margarita podniosła się, skrzywiła, boleśnie czując każdy centymetr poobijanych pleców, wystraszona swoim ciężkim, niezgrabnym ciałem. Dlaczego ktoś miałby przypisać swojemu komputerowi głos smarkacza? Samo przyspieszenie było wystarczająco nieprzyjemne. Przeszła przez pustą ładownię, wyczerpana nawet tym niewielkim wysiłkiem, zastanawiając się, czy to uczucie pozostanie z nią przez całe pięć godzin? Co Sorrel mógł przemycać przez swoje sownice opłacane dziury w strefach bezpieczeństwa? Rudę? Produkty zerograwitacyjnych fabryk? Obłożone były najwyższymi cłami, więc i zyski z tego procederu były najwyższe. Może go o to zapyta. A może nie. Zerknęła w stronę zamkniętych drzwi sterowni. Jeszcze nie знаła praw obowiązujących na pokładzie, nie wiedziała, jak daleko mogła się posunąć.

— Znudzona? — Podszedł do niej Zed, jakimś sposobem poruszając się w pozornie naturalny sposób. — Dochodziły mnie plotki, że Sorrel ma niezły statek. Wygląda na to, że były prawdziwe — przesunął palcem po płytkim wgłębieniu w miękkiej wyściółce ściany. — Słyszałem też, że niezłe mu się powodzi.

Margarita wzruszyła ramionami.

— Naprawdę słyszysz głos Boga, Zed? — Uniosła brwi, pragnąc, by po prostu zostawił ją i poszedł sobie, bo ważyła ze sto kilogramów i czuła się fatalnie. — Co do ciebie mówi?

— Naprawdę jesteś ciekawa, czy po prostu starasz się być upierdliwa? — Utkwił spojrzenie swych zielonych oczu w jej twarzy.

— Staram się być upierdliwa. — Margarita zarumieniła się, bo miała już u niego spory dług. — Przepraszam. Co więc właściwie słyszysz?

— Nie wiem. — Spowaźniał. — Może Boga. Może obcych twojego ojca. Może nareszcie udało mi się zwariować na wesoło i tylko was sobie wyobrażam — przyglądał się jej twarzy, unosząc jeden kącik ust w szyderczym półuśmiechu. — Ta ostatnia ewentu-

alność byłaby najłatwiejsza do zaakceptowania. Kurde, fajnie by było tak naprawdę zwariować. — Zanurzył rękę w kieszeni. — Nie prosiłaś o to, ale chyba pozwolę ci to zatrzymać.

Margarita spojrzała na kapsułę, którą położył na jej otwartej dłoni.

— Co jest w środku? — Zaciśnęła palce wokół niej i schowała ją na samo dno kieszeni. — Ty to wiesz, prawda? A przynajmniej podejrzewasz.

— Domyślam się. — Zed skinął głową z poważną miną. — Zapewne w znacznym stopniu trafnie. Gunner to dziwny facet. — Jego spojrzenie stało się nieobecne, spochmurniało. — Przy wielu sieciowych interesach nie stosuje szczególnie szczelnych zabezpieczeń. Wystarczają, by zatrzymać wieśniaków, ale nie są niezawodne. Zupełnie jakby nie przejmował się tym, że najlepsi hakerzy mogą je złamać. Oczywiście nie oznacza to, że jest skłonny tolerować ewentualne akty piractwa. — Przez jego usta przewinął się blady, niewesoły uśmiech. — Gunner nie zwykł marnować czasu na kontakty z policją. Wynajmuje oddział karny, i dany haker drugi raz już mu w drogę nie wejdzie. Tak właśnie do niego trafiłem. — Teraz już uśmiechał się szyderczo. — Przyłapał mnie na dłubaniu w swoich plikach i wytropił. Zanim zdążyłem powiedzieć „kurwa”, do drzwi już stukali faceci o byczych karkach. Kiedy mnie do niego zaciąg-

nełi, myślałem, że już jest po mnie. A tymczasem on wręczył mi kontrakt, wypełniony i czekający tylko na mój podpis. Niezbyt korzystny, ale czując na plecach oddech dwóch byczków, uznałem, że jakoś to przeżyję. — Wzruszył ramionami. — Odbiłem to sobie inaczej. Mogłem trafić gorzej.

Margarita przyjrzała się jego napuchniętej twarzy, rozcięciom pokrytym strupami, i uniosła brwi.

Zed ponownie wzruszył ramionami, wykrzywając usta.

— Mniejsza z tym. W zeszłym roku dosyć przypadkowo trafiłem na pewien śliczny przekręt jego autorstwa. A tam zapewne znajdują się dowody. — Wskazał głową na kieszeń jej tuniki. — Pozwala najlepszym hakerom na wtargnięcie do swojego systemu. Ale nie dlatego, że nie stać go na wynajęcie ludzi, którzy mogliby

temu przeciwdziałać. Myślę, że chce, by im się powiodło. Podejrzewam, że wśród swoich plików poukrywał haczyki, których nawet najlepszy kowboj sieciowy nie odkryje bez starannych poszukiwań. I owszem, poszukują, ale znajdują jedynie odpowiednio skomplikowane haczyki spreparowane na ich użytek, sądzą więc, że załatwili wszystkie zabezpieczenia. Ale się mylą. — Zed zaśmiał się cicho.

— Tak więc robią swoje i wytańcowują na zewnątrz, poklepując się nawzajem po plecach, dumni ze swej zręczności i sprytu. Tylko że ciągną za sobą żyłkę, o której istnieniu nie wiedzą. — Tym razem obnażył zęby w szerokim uśmiechu. — No to włamują się do czyichś innych zasobów. Czasami zostają namierzeni, a czasami nie, ale żyłka trzyma mocno. A po jakimś czasie Gunner ześlizguje się po niej wprost do złamanych już plików. — Zed pokręcił głową. — Wszyscy ci kowboje stanowią armię darmowych pomocników Gunnera, i nawet o tym nie wiedzą — uśmiechnął się głupio. — Założę się, że drań ma wejścia do systemów połowy operatorów. Nic dziwnego, że na każdym interesie wychodzi najlepiej.

— A ty podziwiasz go za to.

— Nie jesteś zachwycona, co? — Zed uniosł brwi. — Owszem, podziwiam go za to. Jest dobry. Jest sprytniejszy od innych rekinów, wystarczająco sprytny, by zdobyć to, czego chce, i nie posunąć się za daleko. Nie ulega chciwości tak jak Thomas. I owszem, czasami zdrowo od niego oberwałem. — Zed odrzucił włosy na plecy. — Kiedy podpisywałem kontrakt, wiedziałem, jaką cenę przyjdzie mi zapłacić. Powiedział to bardzo wyraźnie. — W jego głosie brzmiała zimna nuta. — Mogłem się zadowolić czymś mniejszym, jakąś iłubanią w kodach, dobrą pensją, ograniczoną możliwością awansu. Miałem zaledwie dwadzieścia lat, państwowe wykształcenie z sieci i dyplom najlepszego sieciowego uniwersytetu, na jaki było mnie stać, nie miałem więc szczególnie imponujących referencji.

Bez odpowiednich dojsć nie mógłbym marzyć o niczym więcej niż średni szczebel sieci. Średni szczebel mnie nie zadowalał. Jeśli już mam coś robić, chcę być w tym najlepszy. — Oczy mu zalśniły.

— Dobrze wiedziałem, czego chciałem od Gunnera Archenwald-Shena. Chciałem się nauczyć postępować tak jak Gunner. Tylko nie

myśl, że władza uderzyła mi do głowy. Nawet nie myśl, że lubię przebierać się w cudze piórka — zniżył głos do szeptu. — To na umiejętnościach mi zależy i zrobię wszystko, co trzeba, by być dobry. Zamierzam być najlepszy. Albo nikim.

Pasja. Margarita odwróciła wzrok od jego napiętej twarzy.

— Ja... więc co jest w tych plikach? — skrzywiła się, słysząc sztuczne brzmienie swego głosu. — Dlaczego Shenowi tak bardzo na nich zależy?

— Zapewne zawierają dowody istnienia jego żyłek — odpowiedział Zed z cierpliwą rezygnacją, jak gdyby rozmawiał z dzieckiem. — Gdyby po sieci rozniosło się, że w taki sposób załatwia swoje interesy, wszyscy zaczęliby szukać tych żyłek. I znaleźliby je, bo znaleźć można wszystko, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. A wtedy jego dobra passa dobiegłaby końca. I przez jakiś czas wszyscy patrzyliby mu na ręce, musiałyby więc grać według zasad. Co mogłoby kosztować go dużo pieniędzy i pod wieloma postaciami. Gunner nienawidzi tracić pieniędzy. — Zed wzruszył ramionami. — Myślę, że Ari grzebał w paru miejscach na zlecenie Thomasa. Pewnie stąd kopia tych danych znalazła się w jego posiadaniu. Thomas zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli Gunner dowie się o tym, może szukać sobie miejsca na cmentarzu. Musi być cholernie zdesperowany.

Kolejny powód, by podejrzewać, że Katrina już nie żyje. Piękne dzięki, Zed. Margarita oparła czoło o chłodną, gładką ścianę. Pieniądze, pomyślała z goryczą. Pieniądze, czyli tak naprawdę władza, albo ich brak decydują o wszystkim i o wszystkich. Kształtują nawet środowisko, które z kolei być może formuje ludzką duszę. Źródło wszelkiego zła — tak chyba nazywali je fundamentaliści. Jestem podobna do Zeda, pomyślała, i było to gorzkie wyznanie. Chciała być dobra, ale gdy pierwszy raz ujrzała holoturę Arrowa Frome, dostrzegła w niej i pieniądze. Nie były najważniejszym motywem, ale stanowiły nieodłączny element sztuki. Drogę ucieczki z barrio, drzwi do świata, który w dzieciństwie był dla niej zamknięty.

Arrow wiedział o tym, choć bardzo starała się odgrywać rolę natchnionej artystki. Którejś nocy zjawił się nieoczekiwanie w pracowni, kiedy wprowadzała poprawki do już ukończonego dzieła,

gdyż operator średniego szczebla powiedział, że od tego uzależnia jego ewentualny zakup. Stała wtedy, wijąc się w duchu, czekając, by

Arrow podsumował jej postępowanie, bo pierwotnie ten utwór był naprawdę dobry.

„Nie jesteś kurwą”, powiedział, przeglądając zmiany. „Chyba że będziesz to robić wyłącznie dla pieniędzy”.

Tylko tyle powiedział, nie rozwijał swojej oceny. Zarobiła wtedy dużo pieniędzy, mogła sobie za nie kupić używany generator zapachów Brunnera.

Teraz zamierzała ponownie spojrzeć na barrio, na platformę, i znaleźć dosyć podobieństw, by wykrzywić usta wszystkich znużonych miłośników premier. Cóż za odmiana, Arrow. Spodziewałaś się tego? Margarita roześmiała się cicho i otworzyła oczy. Obok Zeda stał Michael z niepewną miną.

— Sorrel pokazał mi kran. — Jego oczy były pełne pytań. — Jest też trochę jedzenia, jeśli jesteś głodna: jakieś wysokokaloryczne batony. Chyba powinnaś usiąść. Nie jestem lekarzem, ale lot w przeciążeniu na pewno nie wpływa dobrze na serce.

— Zgadza się. To dlatego nie spotyka się starych przemytników. Między innymi. — Zed wzruszył ramionami. — Jeśli masz ochotę, jedz żelazne porcje. Ja zamierzam poprzestać na wodzie. Nie musisz mi pokazywać kranu. — Minął Michaela, nadal poruszając się tak, jak gdyby przyspieszenie go nie dotyczyło.

— Tak mi się wydaje, że ten chłopak wszędzie doskonale się orientuje. — Michael z zaciśniętymi wargami odprowadził go wzrokiem. Potem odwrócił się do Margarity. — Wyglądasz na zdenerwowaną.

— Wspominałam. — Spojrzała na niego z ukosa. — Nie wiem, dlaczego przypominasz mi Arrowa. Miał ciemną skórę tak jak ja. Wcale nie jesteś do niego podobny, tylko stary jak on. — Natychmiast zaczęły ją palić policzki. — Przepraszam, nie chciałam, by to tak zabrzmiało.

— Nie zabrzmiało — mruknął cicho Michael. Dziwnie się jej przyglądał, jego twarz przykrywał cień. Margarita opuściła wzrok, zatrzymując go na swych splecionych dłoniach.

— Może chodzi o twoje podejście do... pracy. Ile ona dla ciebie znaczy. Sama nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Może to dlatego byłam na ciebie taka wściekła. To znaczy, teraz już nie jestem. Chyba złościłam się przede wszystkim na Arrowa.

— Nie tylko, na mnie także. — Michael dotknął jej ramienia. — On umarł i zostawił cię samą, a mnie nigdy przy tobie nie było.

— Być może. Może to tylko to, myślałam, że sztuka znaczy dla niego coś innego niż dla mnie. Nigdy nie powiedział mi, na czym polega ta różnica, a ja myślałam, że... był mną rozczarowany. Bo nie rozumiałam. — Zamrugała szybko, suche oczy piekły ją boleśnie. — Myliłam się.

— Uważam, że masz olbrzymi talent i wspaniale wnętrze. — Michael przykrył jej palce swoją dłonią. — Zależy mi, żebyś o tym wiedziała, na wypadek gdybym nie powrócił z tej wyprawy. Że wierzę w to, co potrafisz osiągnąć. I że cię kocham.

— Nie jestem w stanie powiedzieć ci tego samego — wyszeptała Margarita. Odwróciła się do niego plecami, czuła na sercu ciężar wysysający z niej wszystkie siły. — Nie, skoro zamierzasz tam zginąć. Nie chcę tego od ciebie słyszeć.

— Nie myślę, by to coś chciało mnie zabić. — Michael objął ją ramieniem i przyciągnął delikatnie do siebie. — Chwilami niemalże to widzę. Jak niewidzialne motyle czy fale ciepła. Nie jestem pewien, czy rzeczywiście to widzę. Może tylko w ten sposób mój umysł potrafi zinterpretować to, co się dzieje.

— To czemu kogoś o tym nie powiadomisz, skoro jesteś taki pewien, że to jakiś rodzaj pierwszego kontaktu? — Musiała ostro się nagiąć, by w ogóle dopuścić tę ewentualność; starego braku zaufania do gliniarzy i władz wyniesionego z barrio nigdy nie udało jej się do końca pozbyć. — Czemu musisz to robić osobiście?

— A kto mi uwierzy? — zapytał łagodnie Michael. — Poza tym nie sądzę, bym miał tę możliwość. — Zmarszczył się na widok czegoś, co tylko on sam był w stanie dostrzec. — Wydaje mi się, że jeśli zawrócę albo choćby zacznę się nad tym zastanawiać, ta... istota, rzecz, nieważne... po prostu przyjdzie do mnie — roześmiał się cicho. — Sam nie wiem, może Zed ma rację, może to głos Boga.

Nie wygląda mi na to, ale nie jestem pewien, czy rozpoznałbym Boga, gdyby nas sobie przedstawiono — westchnął. — Sporządziłem testament. — Dotknął delikatnie jej twarzy, smutek skapywał mu z palców. — Jeśli... coś się stanie, dostaniesz wszystko. Pieniądze z jeszcze nie sprzedanych Kamieni. Miejsce w Taos. Zapewne warte więcej od Kamieni. — W jego uśmiechu pojawił się cień goryczy. — To niewiele, ale przez jakiś czas będziesz mogła pracować w spokoju. Będziesz mogła odrzucić każdą ofertę galerii, która ci się nie spodoba.

— Ja? — Margarita wzięła szybki oddech, czując się tak, jak gdyby ktoś walnął ją pięścią w żołądek. — No wiesz, przecież nawet nie sprawdziłeś wydruku genoskanu, który ci dałam. Cholera jasna. Jesteś taki pewien, że umrzesz. — Kiedyś była wściekła, teraz czuła jedynie smutek. — Przykro mi — powiedziała cicho. — Chciałabym

jeszcze kiedyś... zrobić z tobą wspólną holoturę. To było... —
Chciała powiedzieć „fajne”, ale to nie było właściwe słowo. To
dzielenie przeżyć było czymś więcej niż tylko fajnym doświadcze-
niem. — To było dobre — wyszeptwała.

— Naprawdę jesteś moją córką. — Zamknął ją w ramionach
i gdy przytuliła twarz do jego piersi, zaczął gładzić po włosach. —
Nie muszę sprawdzać genoskanu. Mi też jest przykro. Że nie pozna-
liśmy się wcześniej. — Pocałował ją delikatnie w czoło. — Jesteś
bardzo dobra — powiedział. — Masz przed sobą długie życie,
możesz robić to, czego pragniesz. Tylko nie przestawaj się rozwijać.
Nie pozwól sobie zastygnąć w miejscu. Ja popełniłem ten błąd.
Wtedy zacząłem naprawdę umierać.

— Nie przestanę. — Margarita wyprostowała się gwałtownie,
a Michael wypuścił ją z objęć.

Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie, czekając, by to drugie
odezwało się pierwsze. Lecz nie pozostało już nic do powiedzenia.
Naprawdę nic.

— Opowiesz mi o swoim... dojrzwaniu? — w końcu odezwał
się niezręcznie Michael. — Opowiesz mi o Arrowie Frome? Chciał-
bym się czegoś o nim dowiedzieć.

— Nie. — Margarita spojrzała mu prosto w oczy, szukając

przyczyn tak szybkiej i zdecydowanej odmowy. — Nie teraz. Nie
potrafisz naprawdę... mnie poznać. Nie teraz, kiedy myślisz tylko
o tym, że wkrótce umrzesz. — Ponownie zerknęła na niego, dostrze-
gając ból na jego twarzy, czując go w swoim wnętrzu i nie wiedząc,
skąd się tam wziął, dlaczego wywołuje takie cierpienie. — Jeśli po
tym wszystkim będzie jeszcze czas — powiedziała ochryple —
wtedy ci opowiem.

Nie odpowiedział jej, gdy powlokła swe przyciężkie ciało z po-
wrotem na miejsce i zapięła pasy. Zed przyjrzał się im, ale milczał.
Ich oczy spotkały się na chwilę. Współczucie? Odwrócił głowę zbyt
szybko, by mogła być pewna. Westchnęła i oparła głowę o ścianę,
oczekując na przybycie na Yildorn.

Rozdział szesnasty

— Jesteśmy na miejscu. — Głos Kelly'ego, wesoły i lekko
podekscytowany, sprawił, że Margarita aż podskoczyła. Odrobinę
przysypiała, zmęczona własnym ciężarem, obserwując Michaela,
gdyż nie umiała przegnać natrętnego lęku. Wierzyła w jego obcy
głos, i jej przekonania nie miały tu nic do powiedzenia.

— Na miejscu czyli gdzie? — zapytała komputer, nie zwracając

się bezpośrednio do niego, nie oczekując odpowiedzi. — Widzę jedynie ściany.

— To wetknij głowę za drzwi. — Głos Kelly'ego zawierał tyle jadowitej pogardy, ile znaleźć w sobie mógł jedynie czternastolatek w odpowiedzi na głupie pytanie dorosłego. — Nie montujemy ekranów w ładowni, szanowna pani.

Gówniarz, pomyślała Margarita. Nienawidziła komputerów wyposażonych w cwane osobowości. Afektacja. Głupia afektacja. Podniosła się i przeciągnęła, zaskoczona powrotem do normalnej wagi ciała — może była teraz nawet odrobinę lżejsza. Michael bez słów posłał jej szkliste, zaaferowane spojrzenie. Zed siedział skulony nad swoim przenośnym terminalem i nawet nie podniósł głowy. Cieką-

we, czy już złamał zabezpieczenia. Z westchnieniem otworzyła drzwi do miniaturowej sterowni. I jęknęła.

Żadnych ścian. Ze wszystkich stron ziała otwarta przestrzeń obsypana lodowymi ognikami gwiazd. Dookoła unosiły się kawałki skał, masywne i martwe. W tym miejscu nie było góry ani dołu, jedynie twarde lśnienie odległych słońc, tak różne od migotania gwiazd na nocnym ziemskim niebie. Margarita chwyciła się krawędzi drzwi, szarpana nagłym strachem. Gdyby je puściła, jej upadek nie miałby końca.

— Kurwa! — Skoncentrowała wzrok na Sorrelu, postaci bez twarzy pod hełmem VR; jego fotel pozornie wisiał w próżni.

— Ciesz się, że komputer kompensuje nasz ruch obrotowy. — Uśmiech zabarwił jego głos.—Myślałem, że chcesz zobaczyć, gdzie jesteśmy.

O, tak, do tego faceta smarkaty głos komputera pasował jak ulał.

— Dzięki — wycedziła przez zęby. Bardzo dobry hologram. Precyzyjna kompensacja zniekształceń powierzchni i krzywizn. Ciekawe, czy ta kosztowna dokładność była konieczna, czy stanowiła jedynie kwestię ego, podobnie jak jaskrawa świeża farba na ka-
dłubie.

— Pusto tutaj. — Michael wcisnął się w drzwi obok niej, na jego twarzy malowało się kontrolowane podniecenie. — Oczekiwałem... sam nie wiem. Może większej liczby skał.

— Nie tutaj. Jesteśmy na skraju Pasa, i to z samego brzegu. — Sorrel wyciągnął dłoń w rękawicy i poruszył palcami. — To dlatego Vildorn załatwił sobie tak korzystną licencję. Nikt inny nie był na tyle głupi, by pomyśleć, że z tego przedsięwzięcia można wyciągnąć jakiegokolwiek zyski. Wielki błąd. — Wzruszył ramionami.

— To gdzie on jest? — Margarita rozejrzała się dookoła, już mniej obawiając się upadku, chociaż nie zamierzała puszczać solidnej framugi drzwi. — No, wiesz, Vildorn. Centrala. Siedziba firmy. Coś w tym rodzaju.

Sorrel i jego komputer prychnęli zgodnie.

— Wynoszenie materiałów w te rejony dużo kosztuje. Zabierasz

sam najpotrzebniejszy sprzęt i zrzucasz skały przetwórniom. Załogi wydobywcze nie wiodą tu szczególnie luksusowego życia, możesz mi wierzyć. Aby się tu zatrudnić, trzeba mieć nie po kolei w głowie

— wskazał w lewo, nieco poniżej dzioba statku. — Tam jest ich biuro, za tą wielką asteroidą.

Spojrzała we wskazanym kierunku, lecz ujrzała jedynie pękatą bryłę skały unoszącą się w nieokreślonej odległości. I wtedy dostrzegła coś małego i czarnego. Statek? Przypominał zgniecioną puszkę. Nieoczekiwanie jej oczy przystosowały się do nietypowego otoczenia, i nagle zmiana perspektywy przyprawiła ją o zawrót głowy. To był statek. Ta skała była wielka i znacznie bardziej oddalona od nich, niż przypuszczała.

— To wszystko? Tylko ten statek? — Michael zerknął ponad jej ramieniem.

— Statek baza. Vildorn używa kilku małych holowników do zbierania skał. Niewiele wiesz o tym aspekcie tego interesu, co? — Sorrel odwrócił swoją ślepą, skrytą pod kaskiem twarz w kierunku Michaela. — Z tego, co słyszałem, po prostu unoszą się w przestrzeni. Te twoje Kamienie. Gdy załoga wydobywcza jakiś przechwyci, przyczepia mu identyfikator, rejestruje go i zrzuca w studnię grawitacyjną. Tam Kamień zostaje przechwycony, zapakowany w pianę i posłany na dół w kapsule.

— Dużo wiesz o wydobywaniu Kamieni — zauważył cicho Michael.

— No, cóż. — Sorrel uniósł obie ręce w geście znaczącym mniej więcej „a boja wiem”.

— Podejrzewam, że niektóre z tych Kamieni gubią się po drodze

— powiedział Michael, rozmyślając na głos. — Stąd na Ziemię długa droga.

— Zdarza się. — Sorrel przesunął dłonią, dotykając niewidzialnej ikony. — Mnie o to nie pytaj.

Zawołowane ostrzeżenie. Słyszając je, Margari ta posłała Michaelowi szybkie spojrzenie kątem oka. Michael pokiwał głową i mrugnął do niej — on także nie miał problemów z jego odczytaniem.

— Więc jak, zapukamy do drzwi? — zapytał Sorrela.

— Muszę z nimi porozmawiać. — Zed precyzyjnie się między nimi, odsuwając ramię Margarity. — Tutaj nie wchodzi się do ogródka i dzwoni do drzwi. To dlatego Sorrel zatrzymał się tutaj, poza ich zasięgiem. — Ściągnął wargi, obnażając zęby. — Otwórz kanał łączności.

Margarita spodziewała się, że Sorrel wytarga Zeda za uszy, lecz on tylko chrząknął, przebiegając palcami po wirtualnym pulpicie kontrolnym.

— Gotowe — powiedział potulnie. — Możesz mówić.

— Hej tam, Vildorn. — Zed oparł się o niewidzialną ścianę sterowni ze wzrokiem utkwionym w odległym czarnym statku. — Tu Zed. Szef przysłał mnie z prezentem dla was. Wyłączycie wasze zabawki, żebyśmy mogli przycumować?

Cisza.

— Może nie usłyszeli — powiedział Michael.

Napięcie brzmiące w jego głosie zaniepokoiło Margaritę. Była w nim jakaś ostra kruchość przywodząca na myśl cienką tafłę naprężonego szkła na krawędzi pęknięcia. Miał dziwną twarz, jak gdyby skóra przemieniała się w porcelanę.

— Usłyszeli. — Sorrel splótł ramiona i oparł się wygodnie w fotelu. — Sprawdzają wszystko tam i z powrotem. Głos Zeda, skan wizualny, sygnał mojego statku. Nie będą ryzykować. Nie robi się tego, jeśli licencja przynosi zyski. Znaczną część dochodów włożyli w artylerię dużego kalibru. Po prostu zaczekamy na zaproszenie.

Zniecierpliwiony Michael chrząknął cicho.

— Michael? — Margarita dotknęła jego ramienia, lecz nie oczekiwała się odpowiedzi.

— Sorrel? — nie wiadomo skąd dobiegł cichy głos. — Odkąd to zajmujesz się przewozami pasażerskimi? Tracisz formę?

— Przewozami pasażerskimi? — Sorrel roześmiał się cicho. — Kiedy słońce zgaśnie, kotku, dobrze o tym wiesz. Jak ci leci, Tonik? Dawno cię nie widziałem na dole.

— Brakuje nam ludzi. Zostaliśmy tylko Juniper i ja, nie mamy więc zbyt wiele wolnego czasu. Juniper jest na polowaniu na Kamienie. Dobra. — Beztroski ton zniknął z głosu kobiety. — Możesz

wprowadzić ulubionego księgowego Shena na pokład. Twoje dane są w porządku.

Margarita zerknęła na Zeda, lecz docinek kobiety nie wywołał żadnej zauważalnej reakcji. Być może tutaj rzeczywiście wszyscy znali wszystkich. Miała uczucie, że, bez względu na przyjacielski ton pogawędki, gdyby Sorrel wykonał niewłaściwe posunięcie lub gdyby nie było z nimi Zeda, ta cała Tonik rozwaliby ich na kawałki. Przyjemne miejsce. Może nawet gorsze od barrio. A może po prostu inne. Zmarszczyła czoło, gdy Sorrel gestem dłoni uruchomił silniki.

— Musimy się dostosować do ich momentu obrotowego — poinformował ją. — Przypnijcie się. Jeśli macie puścić pawia, nie róbcie tego tutaj.

— Dzięki. — Margarita się skrzywiła. Ruch sprawił, że nieskończona panorama stała się nagle znacznie trudniejsza do zniesienia i jej żołądek wywrócił się na drugą stronę. Pospieszenie wycofała się do przytulnej, bezpiecznej ładowni, dziękując teraz w duchu za brak iluminatorów w kadłubie.

Manewr nie zabrał Sorrelowi wiele czasu. Głośne szczęknięcie zaskoczyło ją. Chwilę później rozległa się seria skrzypnięć i zgrzytliwy syk. Normalne dźwięki? Zerknęła na Zeda i Michaela, nadal opartych o drzwi, towarzyszących Sorrelowi w obserwacji przestrzeni. Nie wyglądali na szczególnie zaniepokojonych. To zapewne dobry znak. Światło zamigotało, silniki ucichły. Margarita dotknęła ściany. Przedtem nie zauważyła delikatnej wibracji wywołanej pracą silników, ale jej brak odczuła natychmiast. Gdy ruszyła się z siedzenia, zatoczyła się lekko. Góra i dół wciąż były na swoich miejscach, lecz czuła się dziwnie — za silna, może za lekka. Podskoczyła na próbę i prawie rąbnęła głową w sufit. Kurwa. Szybko doszła do siebie, czując się głupio, gdy Michael wsunął głowę do ładowni.

— Jesteśmy na miejscu. — Wyciągnął rękę w jej stronę. — Wyjdziemy przez służbę na dziobie.

— Skąd u ciebie tyle podniecenia, skoro sądzisz, że znajdziesz tu śmierć? — W jej słowach nie było ognia; gniew pozostawiła już za sobą. — Michael, co to dla ciebie znaczy?

— Nie wiem — uśmiechnął się miękko. — Przyciągnęło mnie

tutaj z Albuquerque. Czasami trzeba zapomnieć o ostrożności i po prostu skoczyć naprzód.

— Z krawędzi urwiska? Tak, dobrze, koniec kazania. — Margarita szybko ścisnęła jego dłoń, prześlizgując się obok niego, zbijając kolczaste uczucia w kłębek ukryty głęboko w jej wnętrzu. Później się nimi zajmie. Dzięki Bogu ściany były na powrót nieprzezroczyste, koniec z holograficzną nieskończonością. W suficie, ponad pustym fotelem Sorrela pojawił się otwór, z którego w dół spłynęła drabinka o kwadratowych szczeblach. Margarita poczuła woń brudnych skarpetek i zmarszczyła nos. — Jeśli o mnie chodzi, lubię się przed skokiem upewnić, że mam skrzydła. — Zadarła głowę, w słabym świetle dostrzegając brudne ściany i drzwi z metalowych płyt.

— A skąd wiesz, że je masz, zanim spróbujesz polecieć? Kiedyś byłem gotów się przekonać. — Michael wskazał głową drabinę. — Sorrel poszedł tędy.

Dobra, skacz sobie i niech to diabli. Margarita chwyciła za szczebel i szybko wspięła się do niewielkiego, ciasnego pomieszczenia. Michael podążył za nią, popychając ją od dołu.

Ale mu spieszo na spotkanie tych obcych. I śmierci.

— Może to rodzaj pokuty — powiedział cicho. — Estevan miał rację, że osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza, a mi zabrakło duszy. Wina leżała wyłącznie po mojej stronie. Bałem się przyszłości, zbyt usilnie trzymałem się więc dnia dzisiejszego, aż ten stał się przeszłością. Przestałem się rozwijać. Zamieniłem się w kamień, w moim własnym ogrodzie. Może w ten sposób z powrotem stanę się człowiekiem z krwi i kości.

Być może martwym człowiekiem z krwi i kości. Margarita nagle zadrżała, bo Zed czekał na nich w śluzie wraz z Sorrelem, a jego twarz przykrywał ten sam cień, który krył się w spojrzeniu Michaela.

— Chodźmy. — Zed odgarnął włosy z twarzy. — Czekają na nas, by zamknąć śluzę.

— Już idziemy. — Chwytając oburącz za krawędź włazu, Michael lekko podciągnął się w górę i do środka pomieszczenia.

Margarita się cofnęła, uderzając łopatkami o ścianę. Jakieś zło-

żonę w harmonijkę tworzywo połączyło statek Sorrela z klapą śluzy w statku bazie górników. Jedyne cienka warstwa molekuł oddzielała ją od zamrożonej śmierci. Margarita sapnęła chrapliwie, strach przed uduszeniem sparaliżował ją nagle, gdy źrenica włazu w podłodze zamknęła się z piskliwym jękiem. Świetnie. Sądząc z odgłosów, urządzenie było w idealnym stanie. Ale na rejteradę było już za późno. Wcisnęła się między Zeda i Sorrela, wdzięczna im za dotyk

ciepłego ludzkiego ciała. Zabrzęczał dzwonek. Dobrze, że nie było z nimi Andy'ego. Mimo ścisku zdołała się uśmiechnąć. Rozkleiłby się tutaj do końca. Zapaliła się zielona lampka, dzwonek odezwał się ponownie. Gdy rozsunała się jedna ze ścian, pstryknęło jej w uszach.

— Prosty sprzęt—mruknął Sorrel. —Musi mieć ze sto lat. Mam nadzieję, że robili ostatnio kontrolę uszczelnień.

Nie to chciała usłyszeć; ciekawe, czy powiedział to specjalnie na jej użytek? Margarita wzięła głęboki oddech i prawie zwymiotowała. W wąskim korytarzu za służą smród brudnych skarpetek był przytłaczający, dochodził do niego jeszcze zapach jedzenia. Powietrze, wilgotne i ciepłe, oblepiało jej twarz i nagie ramiona, sprawiało wrażenie brudnego. Niewątpliwie tak właśnie pachniało. Margarita niepewnie wyszła ze służy na korytarz. Zwykły krok niemalże pchnął ją na ścianę i potknęła się, niezdarnie łapiąc równowagę.

— Uważaj — powiedział obcy, kobiecy głos zza jej pleców. — Jeżeli będziesz za bardzo używać swoich ziemskich mięśni, poobijasz się o sufit.

Margarita odwróciła się i w drzwiach na końcu korytarza ujrzała niską, chudą kobietę, opierającą dłonie na biodrach. Jej gładka, ogolona czaszka wytatuowana była czerwonymi i purpurowymi zawijasami, ciemne oczy i śniady, ostry profil odrobinę przypominały Margaricie Xię. Oraz ją samą. Ale wyglądała... nienormalnie. W subtelny, niepokojący sposób.

— Tonik. — Zed precyzyjnie się obok Margarity i lekko uklonił.
— To Michael Tryon, rzeźbiarz Kamieni, i Margarita Espinoza, jego asystentka. Odkryliśmy skażone kamienie w naszych transportach. Tryon ma znaleźć źródło tego skażenia.

Zgrabny tekst— wypowiedziany z dużą pewnością siebie, towarzyszyła mu mimika mówiąca „ja tu rządzę”, zdecydowana, lecz bez zwykłej arogancji. Hmm. Może jednak część jego smarkatych zagrań stanowiła jedynie pozę? Może zwracał uwagę na to, kto i jak na nią reagował? Margarita zaczęła się zastanawiać nad tym, co to mówiło o głębi i subtelności Zeda. Bardzo wiele, o ile to była prawda.

— Co ty, kurwa, opowiadasz o skażeniu? — Kobieta pociemniała na twarzy i ruszyła korytarzem, ruchem głowy dając im do zrozumienia, że mają iść za nią. — Wiesz, że na wszystkich twoich bajeranckich testach dostajemy okrągłe zero, zawsze tak jest. Nie wciskaj mi tu tekstów o skażeniu. — Wprowadziła ich do ciasnego, zagraconego pomieszczenia.

Przed przestarzałym pulpitem sterowniczym stały dwa fotele, na ścianie był olbrzymi ekran. Żadnych nowoczesnych gadżetów na

tym statku, o nie. Resztę miejsca zajmował stół z ławkami po bokach, terminal, szafka i niewielka siłownia, która, jak się zdawało, spełniała przede wszystkim funkcję suszarki. Opakowania po jedzeniu zaśmiecały podłogę, smród był jeszcze gorszy niż na korytarzu. Margarita zwalczyła falę mdłości.

Zgarniając ze stołu poobijany czytnik i brudną tunikę, Tonik przycupnęła na jego rogu.

— Nikt nie dotyka tych kamyczków, do czasu aż wylądują w studni. Przyleciałeś na próżno, Tryon.

Tonik ignorowała Zeda i Margaritę, jak gdyby byli niewidzialni. Jeśli mieszkańcy platform nie mieli zbyt wysokiej opinii o ziemniakach, to rezydenci Pasa ewidentnie mieli jeszcze bardziej za nic przybyszów z głębi studni grawitacyjnej. Margarita ze zmarszczonym czołem przyjrzała się kobiecie: miękkie mięśnie, a i to niezbyt rozwinięte. Do tego ptasie kości, zbyt długie i wąskie jak na człowieka. Może stąd pochodziło to wrażenie nienormalności. Żaden człowiek nie był równie delikatnie zbudowany. Ciekawe, czy Tonik urodziła się tutaj, czy wzrastała w tym środowisku?

— Jakie są wasze procedury dotyczące obchodzenia się z Kamieniami? — Michael stał przed Tonik wystarczająco blisko, by było to nieuprzejme. — Jak poznajecie, że znaleźliście nowy Kamień?

— Na tym polega twój interes? — Tonik obejrzała go sobie szybko od stóp do głów i zadrzała, cofając się tak daleko, jak tylko pozwolił jej stół. — Nie przypominają niczego innego. Od razu można je poznać — potrząsnęła wytatuowaną głową. — Ale przenosimy je na pokład i wykonujemy analizę spektralną. Wyniki są jedyne w swoim rodzaju, możesz mi wierzyć. Kiedy już mamy je na pokładzie, prześwietlamy je i zaopatrujemy w identyfikatory, na wypadek gdyby któryś... się zagubił. Niekiedy zbaczają z trasy podczas zrzutu—przeszyła Sorrela ostrym spojrzeniem. — Czasami uda się je odnaleźć, a czasami nie. Za te, których nie przechwycą holowniki, nie dostajemy ani grosza.

— Nie moja wina, że kiepsko celujecie — mruknął Sorrel do sufitu.

— Skocz se w studnię, platformiaku. — Oczy Tonik zatrzymały się kolejno na ich twarzach, kobieta rozchyliła wargi, pokazując pożółkłe zęby.

Przeginasz, pomyślała Margarita, zaniepokojona tym, że Michael jakby tego nie dostrzegł. Albo się tym przejmował. Głównym źródłem smrodu była sama Tonik. Jak często mogła się kąpać — raz w roku? Margarita przesunęła się do Zeda i dotknęła jego ramienia.

— Co udało ci się odkryć podczas podróży? W tych danych?

— To, co ci powiedziałem. — Robił wrażenie znużonego.

— To ma być twoja zemsta, nie zapominaj o tym. — Pochyliła się bliżej, syczący szept nie do końca zamaskował przenikający ją lęk. W ładowni statku udało mu się złamać zabezpieczenia kapsuły, lecz nie miała pojęcia, czy pozostawił jej jakiegokolwiek wskazówki, furtki, cokolwiek. Nagle dotarło do niej, że Zed czekał na śmierć. Zdawał sobie z tego sprawę. Ona także. Śmierć, to ona sprawiała, że na tym statku tak ciężko się oddychało. A dla Zeda i Michaela było już za późno na odwrót. — Muszę mieć coś, co mogłabym wykorzystać, Zed. — Ścisnęła go, mając przed oczyma wizję nieuchronnej katastrofy, która wypełniła ją zwierzęcym strachem. — Zed? Będę umiała to znaleźć? Coś, co dałoby mi dojście do twojego szefa?

— W kapsule tego nie ma. — Wzruszył ramionami, odsuwając

się od niej. — Musisz ściągnąć dowody z sieci. Kapsuła zawiera wyłącznie wyjściowe współrzędne. Kiedy wejdziesz na sieć...

„Nie wejdiesz na sieć”, chciała krzyknąć Margarita. „Zamierzasz popełnić tutaj samobójstwo”.

— Macie jakieś Kamienie na pokładzie? — pytał Michael. Był rozgorączkowany, podniecony, zupełnie niepodobny do siebie. Coś się tu działo, i to stanowczo za szybko. Margarita usiłowała złapać oddech, teraz ledwie zauważając wszechobecny smród, zastanawiając się, czy w powietrzu jest dosyć tlenu. Przed oczyma stanęła jej nagle wizja całej trójki ześlizgującej się wykrzywającą się gwałtownie rynną, teraz nie było już odwrotu, najmniejszej szansy na zatrzymanie się. Co czekało na nich na dnie? Ciemność czaiła się na peryferiach jej wzroku, znikając, gdy tylko próbowała spojrzeć prosto na nią. „Mdleję?”, roztrzęsiona zapytała w myślach samą siebie.

Też to wyczuwam, pomyślała, nagle panikując. Tak jak w pracowni Dannersa, tylko że tam napotkała ciemność, tak głęboką i mroczną, że można było w niej utonąć. Teraz odbierała ją jako świetliste, zapierające dech w piersiach podniecenie, wypełniające korytarze, rozmazujące ludzi i ściany w bezsensowne wzory.

W którym również można było utonąć, tak jak tonęli Michael i Zed. Panika przyniosła szybki zastrzyk adrenaliny do krwiobiegu, zwężając naczynia krwionośne i przyspieszając tętno. Odruch gotowości do walki albo ucieczki. Prymitywny. Użyteczny. Cienie na peryferiach wzroku bladły, wypłukiwane wzrostem adrenaliny. Korytarz powrócił do pierwotnej ostrości.

— Taak. — Oczy Tonik lśniły podejrzeniem. — Juniper dopiero

co zrzucił jednego. Nie jest za duży, ale załapie się na obelisk. Mówię ci, nikt go jeszcze nie dotykał, nie znajdziesz więc niczego, czego w nim wcześniej nie było. Ale możesz sobie popatrzeć. — Ruchem podbródka wskazała na dwuskrzydłowe drzwi. — Jeśli chcesz. Polećcie sobie potem? Bez ociągania?

— Nie! — Margarita zignorowała nagłe zwężenie oczu Sorrela. — Michael, posłuchaj mnie. — Chwyliła go za ramię, wbijając paznokcie głęboko w skórę. — Nie chcesz tego. To coś pochodzi z zewnątrz, tak jak w pracowni Dannersa. Zginiesz. Zabije cię tak

jak Dannersa. — Coś. Istnienie, nawarstwiony rezonans, wyczuwała to niczym milion woltów elektryczności trzaskające w zerwanym kablu, czekające na kogoś, kto go dotknie. — Michael, nie rób tego. Nie robisz tego z własnej woli.

— Właśnie że tak. — Odtrącił ją z pozorną delikatnością, lecz siłą ukryta w tym zwodniczym geście sprawiła, że zatoczyła się do tyłu.

— Też to czuję. — Jej głos stawał się bardziej piskliwy, głośniejszy, chciała się uspokoić, mówić racjonalnie, ale nie miała na to siły, nie umiała nad sobą zapanować. Sorrel i Tonik wgapiali się w nią, lecz wyglądali dwuwymiarowo i nierealnie, jak gdyby gruba szklana płyta odgradzała ją od korytarza. — Czuję to, słyszysz? — złapała Michaela za przód tuniki, ponownie oddychając płytko, nie potrafiąc nabrać w płuca dość powietrza. — Walcz z tym, Michael, po prostu walcz.

Zed wyszedł na korytarz i dotknął dłonią zamka drzwi wskazanych przez Tonik. Wewnątrz kryła się ciemność, równie ciemna jak w pracowni Dannersa. Szybkim krokiem wszedł do środka. Michael usiłował podążyć za nim, lecz Margarita uczepiła się go, syrenia pieśń pulsowała w jej głowie, grożąc eksplozją. „Michael”, krzyknął ktoś i z lekkim zaskoczeniem zorientowała się, że ten odległy głos należy do niej. Zapaliło się światło i przelotnie ujrzała Kamień osadzony na podłożu z postrzępionej, brudnej piany.

Michael odepchnął ją, gwałtowność tego pchnięcia oderwała ją od niego i cisnęła w tył. Gdyby Sorrel jej nie złapał, niechybnie by upadła. Zamknął ją w ramionach, przyciskając jej ręce do boków.

— Puszczaj, świni! — Uderzyła go łokciem, niemalże się uwalniając.

Potem uderzyła go ponownie, lecz tym razem poczuła palce zaciskające się na jej ramieniu tuż nad łokciem. Margarita jęknęła, gdy jaskrawy, oślepiający ból przebiegł wzdłuż ramienia, wybuchając błyskawicą w jej głowie.

— Nie ruszaj się — wysyczał jej do ucha Sorrel.

Dokładnie na tyle pozwalały jej mięśnie. Oblała się lodowatym

potem, pomieszczenie odpłynęło w jaskrawą dal. W oddali Michael wszedł do magazynu kryjącego w swym wnętrzu Kamień.

— Nie — wyszeptała przez ból. — Nie wpuszczajcie go... do środka.

— To jego wybór — odpowiedział nieskazitelnym tonem Sorrel. — Nie twój.

— Sukinsyn — wyszeptała Margarita, przygotowując się na jeszcze gorszy ból. Nie nadszedł. Na korytarzu drzwi zamknęły się z sykiem za Michaeliem, Zedem i ich Kamieniem. Sorrel odrobinę rozluźnił palce. Margarita zamknęła oczy, wysiłkiem woli opanowując drżenie.

— Gdybyśmy wszyscy tam weszli, wszystkich nas dotknie to, co się tam może wydarzyć — wytłumaczył cierpliwie Sorrel. — Teraz, być może, zostanie nas przynajmniej troje. Wystarczy, by posprzątać.

— Nie jesteś moją matką. — Margarita spróbowała się poruszyć, lecz zaraz zastygła w miejscu, gdy jego nieubłagane palce zacisnęły się o ułamek centymetra. — Co cię obchodzi to, że chcę to zobaczyć na własne oczy? — zapytała gorzko. — Skąd to specjalne traktowanie?

— Twoja śmierć sprawiłaby przykrość Xii.

— Sram na to. Aaa, przestań. — Margarita zamknęła oczy, wciągając stęchłe powietrze do płuc.

— Może Xia po prostu znała swoje ograniczenia, Margarita. Może postąpiła najlepiej, jak mogła, oddając cię na wychowanie ciotce — wyszeptał jej do ucha Sorrel. — Nigdy tego nie mówi, ale znam ją wystarczająco dobrze. Jest z ciebie dumna. Czasami się trochę martwi, ale jest dumna. Bo jesteś, kim jesteś, a nie tylko jej osobistym dziełem sztuki. A czasami sprawiasz jej ból, lecz tego także ci nie wyrzuca. Kocha cię tak, jak nigdy nie pokocha mnie ani nikogo innego, jak sądzę. Chcę, żebyś to wiedziała, bo nie myślę, by sama kiedykolwiek ci to powiedziała. Doszła do wniosku, że nie chcesz tego usłyszeć.

Xia dumna z niej? Kochają? Margarita zamknęła oczy, mając zamęt w głowie, niepewna własnych odczuć.

Chrząknąwszy cicho, Sorrel puścił ją i płynnym ruchem odsunął się poza zasięg jej rąk.

— Rozetrzyj ramię. — Wskazał głową ślady pozostawione przez własne palce. — To pomoże załagodzić podrażnienie nerwu.

Margarita pocierała czerwone ślady tak długo, aż ból odpłynął z ramienia.

— Możemy teraz zajrzeć? — zapytała cierpko. — Możemy przekonać się, czy żyją?

Sorrel przez chwilę po prostu wpatrywał się w jej oczy z enigmatycznym wyrazem twarzy.

— Tonik może zerknąć do środka elektronicznie, prawda, Tonik?

— Pewnie. — Kobieta podniosła się zwinnie z fotela i przeciągnęła jak kotka. — Skończyliście już ze sobą wojować, hę?

W dłoni trzymała broń — i to nie ogłuszającą. Margarita przyjrzała się jej i skierowała spojrzenie na jej twarz, napotykając beztosnie lodowate spojrzenie.

— Skończyliśmy — powiedziała. „Kocha cię tak, jak nigdy nie pokocha nikogo innego”. Nie, pomyślała gorzko Margarita. Nie chciałam tego usłyszeć. — Możemy zobaczyć, co się tam dzieje, proszę? — Splotła ramiona na piersiach. — Jak najszybciej?

Zed zatrzymał się przy Kamieniu, nie dotykając go. Michael podszedł i stanął obok niego, pieśń Kamienia pulsowała mu w głowie milionem skrzydeł, tętniła w jego żyłach wraz z każdym uderzeniem serca. Ramię w ramię, zetknięci barkami wpatrywali się w Kamień. Zielonkawo-niebieskie i srebrne żyłki migotały na jego gładkiej, szarej powierzchni, wabiąc ich wzrok coraz głębiej, aż zdawało im się, że patrzą w serce, w samo jądro Kamienia.

Żywe. Michael powoli wypuścił powietrze z płuc, słysząc oddech Zeda niczym echo własnego. Pieśń wypełniła go: ciemność, o, tak, jak w pracowni Dannersa, ale i światło, światło tak nieznośnie jasne, że samo spojrzenie w jego stronę obróciłoby go w żużel, spopieliło w mgnieniu oka. Głos, o, tak, pieśń śpiewana w języku, którego nie rozumiał, który mógł jedynie czuć. I zrozumiał, że to piękno go zabije, że ciemność porwie go ze sobą, rozpuści kości

lepiej niż kwas, lecz to było bez znaczenia, nie liczyło się, bo wcześniej zdążyłby jej dotknąć.

Stałby się jej częścią.

Michael postąpił krok do przodu, podniecenie niczym pożądanie płonęło mu w lędźwiach, rozprzestrzeniając się ku górze, w piersiach i ramionach. Nieśmiertelność, pomyślał i zachciało mu się śmiać.

Poza śmiercią, poza potworną izolacją we wnętrzu własnego ciała. Tak... Wyciągnął rękę, rozwierając ramiona w powitalnym geście.

Światło eksplodowało w jego głowie i Michael zatoczył się w bok, chwiejąc się, wymachując rozpaczliwie ramionami. Wpadł z impetem na ścianę, nie zdążywszy osłonić się dłońmi, potem osunął się na kolana z głową wypełnioną szumem.

— Chyba mnie nie zrozumiałeś. — Słowa Zeda przebijały się z trudem przez pieśń Kamienia i dudniący w jego uszach przybój. — Nie mam twojego talentu, nigdy nie będę go miał. Robisz to, co ja pragnąłem robić, a czego nigdy robić nie będę, i tak właśnie to wygląda. Ale tym razem nie będziesz pierwszy. — W jego głosie brzmiała zaciętość. — Pójdę pierwszy, a ty możesz podążyć za mną, jeśli chcesz. Jeśli potrafisz żyć ze świadomością bycia drugim, Michaelu Tryon.

— Poczekaj. — Michael dźwignął się na kolana, w głowie mu szumiało, język stanął kołkiem w ustach. — Zed, poczekaj.

Zed ukląkł powoli, zielone płomienie tańczyły w jego oczach, długie włosy przykrywały ramiona. Wyciągnął rękę, trzymając dłońie parę cali od cętkowanej, bezdennej powierzchni Kamienia.

— Zed — wyszeptał Michael.

Z ekstatyczną miną, jak gdyby ujrzał Boga, Zed pełnym czci gestem położył dłonie na Kamieniu.

Przez ułamek sekundy stał nieruchomo z rozszerzonymi oczami, targany cierpieniem i ekstazą. Potem szarpnął głową w tył, wygiął plecy, wszystkie mięśnie w jego ciele zadrgały konwulsyjnie. Krzyknął, zatoczył się do przodu, a potem gwałtownym ruchem wygiął się ponownie do tyłu.

— Zed. — Michael z trudem podniósł się z podłogi.

Dłonie Zeda przylegały płasko do powierzchni Kamienia, podczas gdy jego ciałem miały konwulsje.

Michael przypadł do niego, głowę miał pełną niewidzialnych skrzydeł, trzepoczących, dygoczących, usiłujących wydostać się na wolność. Przez najkrótszą z chwil zawahał się, przerażenie i jaskrawa, potworna muzyka przyprawiły go o drżenie. Potem złapał Zeda za ramiona i oderwał od Kamienia.

Nie był martwy. Jego oczy otwały się, objął Michaela ramionami. Zielone oczy, zielone jak popękane szkło, okna prowadzące... dokądś... kiedyś... ku komuś...

Z krzykiem Michael przeleciał przez te popękane, wypełnione cierpieniem okna, wpadając w...

Wieczność.

Czas rozpoczął swój bieg, galaktyki uformowały się z niczego i wszystkiego zarazem, rozbiegając się ku nieskończoności kaskadą bezgłośnego blasku i wirującego pyłu. Gwiazdy zrodziły się do światła, wypaliły ku starości i zimnu, i skonały. Przestrzeń i czas zwinęły się z powrotem w jedność, spadając na niechlujne śmietniki wieczności gromadzące gwiazdy niczym kurz, stając się medytacją, namysłem, istnieniem...

Pamiętał to wszystko.

Był tam przedtem, był potem, miał być za milion lat, i to wszystko także pamiętał.

— Nie wiemy — wyszeptał Michael. — Nie rozumiemy.

Ludzkie słowa, tak krótkie, tak ograniczone, tak absolutnie wyzute ze znaczenia. Tak przepełnione naszą własną przerażającą ślepotą.

— Tak mi przykro. — Michael zamknął oczy i dał się pochłonąć wieczności.

— Pewnie, możemy tam zajrzeć. — W sterowni Tonik posłała Sorrelowi i Margaricie ostrożne, napięte spojrzenie, lecz nie odłożyła broni. — Dlaczego mieliby być martwi, cholera jasna? Co wy przed nami ukrywacie, he? — Broń poruszyła się odrobinę, wystar-

czająco, by stać się najważniejszym przedmiotem w pomieszczeniu. — To czysty Kamień. Twierdzicie, że coś tu śmierdzi? Wszystko jest w porządku. Jestem z nimi na co dzień. Juniper też — obserwując ich kątem oka, przysunęła się do konsoli i wcisnęła szybko kilka klawiszy. — Myślę, że sracie mi w bambosz. Wynocha stąd. Natychmiast.

Za jej plecami ekran zamigotał, ukazując wnętrze magazynu z perspektywy kamery nad drzwiami. Kamień spoczywał w swoim opakowaniu, zajmując centralne miejsce, obok niego na niskiej podstawie ustawione było przysadziste pudło spektrometru. Między drzwiami a Kamieniem leżeli Zed i Michael, spleceni ramionami. Nieruchomi.

Margarita obróciła się na pięcie i pognęła do drzwi. Sorrel spróbował ją przytrzymać, ale odtrąciła jego ramię — myśląc: „Nie ty jeden znasz tutaj zagrywki uliczne, kochanie” — i chwytając się framugi drzwi, okręciła się w stronę płyty zamka drzwi magazynu.

Tonik miała dosyć czasu, by je zablokować, ale nie, już się otwierały. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Margarita szalała z niecierpliwości, podczas gdy drzwi przesuwają się ociężale, potem precyzyjnie się przez powiększający się otwór, ocierając sobie skórę na żebrach.

Michael leżał na podłodze, obejmując Zeda, tak jak widziała to na ekranie, w pozycji tak intymnej, jak gdyby byli kochankami. Margarita opadła na kolana obok Michaela, myśląc przez ułamek sekundy, zanim go dotknęła, że może to coś zabijało właśnie przez dotyk.

Nie przejmowała się tym.

— Michael? — Wzięła jego głowę w dłonie. Jego ciało było wciąż ciepłe, lecz bezwładne. Cholera, cholera... Tętno? Jej rozdygotane palce zmacały je w końcu. Rytmiczne. Silne. — Michael, słyszysz mnie?

Arrowa też ona znalazła. Na pewno nie tak to sobie zaplanował. Po prostu przecenił siłę swego serca, to, jak długo będzie w stanie wytrzymać. Leżał przed holosceną z ramieniem pod głową, jak gdyby po prostu zasnął, może poczuł się odrobinę zmęczony i przysiadł

sobie na krótką drzemkę, tak jak to czasami robił, zamierzając zaraz wstać i dokończyć tę cholerną pracę.

Tylko że nigdy tego nie zrobił.

Margarita przełknęła ślinę, czując na języku smak kawy tamtego poranka, zmysłowy dotyk słońca na ramionach. Tak beztrąsko marszerowała ulicami Vancouver, pewna swego talentu, pewna swojej przyszłości. Jasne, Arrow był z czegoś niezadowolony, ale wspólnie mieli wkrótce znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Miała go zapytać.

W pracowni paliło się światło, ale czasami, półprzytomny po całonocnej pracy, zapominał je zgasić.

— Michael — wyszeptęła. — Nie. Cholera jasna, proszę cię. Drgnął, poruszył powiekami.

— Mar... garita? — Jego oczy spoczęły na jej twarzy, blade jak poranne niebo, czyste, bez śladu cienia. — Powstrzymaj ich. Kamienie. Powstrzymaj ich. — Jego usta zadrżały, zmarszczka bólu przecięła twarz. — Proszę? Koniec z Kamieniami... — Zmarszczka przerodziła się w spazmatyczne drżenie, które wykrzywiło twarz i usztywniło jego ciało pod jej dłońmi.

Przeżrana Margarita przycisnęła go do podłogi, gdy jego ciało wygięło się w łuk, a pięty zaczęły kopać brudną podłogę. Potem zwisł bezwładnie z rozluźnioną nagle twarzą. Margarita wzięła szybki oddech i raz jeszcze sprawdziła mu puls. Bez zmian. Dotknęła szyi Zeda, wiedząc, jeszcze zanim jej palce zaprzestały poszukiwania tętna, że jest martwy. Jakaś część jej umysłu zastanowiła się przelotnie, co dało jej tę pewność — subtelna różnica w napięciu mięśni lub zabarwieniu skóry? A może dlatego, że przyleciał tutaj, szukając śmierci?

— Co się stało? — Sorrel stanął obok niej, a wraz z nim Tonik, na jej twarzy malowała się czujność raczej niż niepokój.

Margarita spostrzegła, że Sorrel stanął wystarczająco daleko, by przypadkiem jej nie dotknąć; on też domyślił się, jak ważny jest tu dotyk.

— Jeszcze żyje. — Podniosła na niego wzrok. — To nie jest zaraźliwe. Umierasz w kilka sekund albo wcale. — Być może. Albo

sam odbierasz sobie życie, tak jak tamci rzeźbiarze? Zed był po prostu martwy, najego ciele nie było widać śladów żadnych obrażeń. Uwierz mi, Sorrel, poprosiła go w myślach Margarita. Gdyby uznał ją za zagrożenie dla siebie, porzuciłby ją bez chwili wahania. I nie miała cienia wątpliwości, jak zareagowałaby na to Tonik.

— Muszę przewieźć go z powrotem na platformę. — Postarała się, by zabrzmiało to zdecydowanie, gdyż teraz jedynie pewność siebie mogła wyrzucić jakieś wrażenie na Sorrelu. — Zed zostawił mi klucz do towaru, który sprzedamy Shenowi. Kiedy podłączę się do sieci, będę mogła znaleźć dowody, które są warte mnóstwo pieniędzy. W kapsule ich nie ma — jego nieprzeniknione, zamysłone spojrzenie przerażało ją jak jasna cholera. Gra toczyła się nie tylko o jej życie, ale i o życie Michaela. — Zed powiedział mi, jak to rozgryźć, ale nigdzie tego nie zapisał. — Miała nadzieję, że jej uwierzy.

— Nie zamierzam cię tu zostawić. — Sorrel pokiwał głową. — Co zabiło Zeda?

— Obcy — odpowiedziała naturalnie, i zabrzmiało to prawdziwie, choć może i dziwnie. — Nie wiem jak. Michael nam to wyjaśni, kiedy się ocknie. — „Kiedy”, nie „jeśli”. To już się raz zdarzyło, powtórzyła sobie w duchu. W pracowni Dannersa. Dojdzie do siebie.

Sorrel westchnął.

— Chyba nie mamy po co tu dłużej siedzieć — uśmiechnął się do Tonik, na której ponurej twarzy nadal malowała się podejrzli-

wość. — Pozwolimy naszemu rzeźbiarzowi zameldować o wszystkim szefowi, kiedy się ocknie.

— Nikt nie dotykał tego Kamienia. — Jej mina nie złagodniała ani o jotę. — Przejrzyjcie logi. Sami się przekonacie — odwróciła się na pięcie i powróciła do sterowni. — Pierdolcie się oboje.

— Górnicy — mruknął pod nosem Sorrel. Omiótł spojrzeniem Michaela i Zeda. — Ich także nawet nie dotknie — westchnął powoli. — Mam szczerą nadzieję, że masz rację, że to jakaś obca broń, a nie paskudna wada Kamienia — westchnął ponownie i przykucnął przy Zedzie. — Czego ludzie nie robią z miłości. — Złapał Zeda za rękę,

przerzucił sobie jego ciało przez ramię i dźwignął się ze stęknieniem, chwijając się odrobinę. — Spróbuj go ocucić, dobrze? — wskazał głową Michaela. — Nie mam ochoty nosić i jego.

— Sorrel? — Margarita oblizwała wargi, czując zapach własnego potu. — Dziękuję.

Stęknął ponownie i przecisnął się przez drzwi. Głowa i ramiona Zeda wisiały na plecach Sorrela, włosy przykrywały mu rękę, bezwładna głowa kołysała się w rytm jego kroków.

— Michael? — Pochyliła się nad nim i uderzyła go lekko w policzek. — Michael, obudź się.

Nadal oddychał miarowo. Uniosła mu powiekę, odsłaniając biel gałki ocznej. Żrenica wyglądała normalnie. Mocne uszczypnięcie płatka ucha wywołało jedynie śladową reakcję. Lęk zbudził się w jej wnętrzu i zaczął rosnać.

— Michael? Michael. — Kurde, a jeśli to było coś innego niż w pracowni Dannersa?

— Wciąż nieprzytomny, co? — Sorrel pojawił się z powrotem w drzwiach, oddychając odrobinę szybciej niż zwykle, lecz poza tym nie okazując zaniepokojenia. — Tonik zaczyna szemrać. Górnicy bywają odrobinę nieprzewidywalni.

— Nie mogę go ocucić. — Dławiąc strach, Margarita delikatnie położyła głowę Michaela na podłodze i wstała. — Pomogę ci go przenieść.

— Daj spokój. — Sorrel uśmiechnął się krzywo. — Jest teraz jak szmaciana lalka. Tak będzie łatwiej. Tylko pomóż go podnieść, dobrze? — Przykucnął przy Michaelu i chwycił go za rękę.

Margarita pomogła mu przerzucić Michaela przez ramię, podtrzymując go, gdy się prostował. Mimo niewielkiego przyciągania

panującego w tym miejscu na twarzy Sorrela odmalował się wysiłek; Michael ważył więcej od Zeda. Szybkim krokiem ruszyła przodem, lecz zatrzymała się, gdy Tonik zastąpiła jej drogę.

— Weź to. — Kobieta wyciągnęła w jej stronę zaciśniętą pięść z twarzą ściągniętą i złą. — Oddaj to waszemu szefowi. Powiedz mu, żeby to obejrzał, dobrze? Nie dotykaliśmy tego cholernego Kamienia. Wszystko jest w środku, opatrzone kodem bezpieczeństwa na

dowód, że nie grzebaliśmy przy zapisie. Jeśli macie problem, nie my jesteśmy jego przyczyną.

Ostre, szaleńcze błyski lśniły w oczach Tonik, w jej przygarbionych ramionach dawało się wyczuć olbrzymie napięcie. Margarita poczuła dreszcz przebiegający jej po karku. Kto by się dowiedział, gdyby zabiła ich oboje, a potem wyprawiła statek Sorrela kursem poza system? Gdyby ktoś usiłował się temu bliżej przyjrzeć, mogłaby udawać niewiniątko. Margarita gotowa była się założyć, że pokładowy zapis wideo zawierałby tylko tyle, ile górnicy byliby skłonni pokazać.

— Dzięki. — Margarita uśmiechnęła się, wyciągając rękę. — Dopilnuję, by osobiście to obejrzał. Prawdę powiedziawszy, podejrzewamy, że to skażenie jest naturalnego pochodzenia. Te wydarzenia tylko to potwierdzają.

— Taak. — Twarz Tonik nie złagodniała. — Jasne. — Zawahała się na moment, a później włożyła Margaricie w dłoń kapsułę. — Zrób tak.

— Możesz być tego pewna. — Margarita miała nadzieję, że w swych słowach zawarła należyłą dozę niedbałego zdecydowania. Nie chciała, by zabrzmiało to jak pogrożka, nie była głupia. Z wymuszoną nonszalancją odwróciła się plecami do Tonik i otworzyła Sorrelowi wejście do śluzy. Czy Tonik mogła coś zrobić, gdy będą w środku? Czując drzenie mięśni między łopatkami, weszła do ciasnego pomieszczenia. Ciało Zeda spoczywało w kącie, wykręcone i wyzute z godności. Niczym sterta wyrzuconych szmat.

— Wszystko w porządku? — Obejrzała się na Sorrela, mając wielką nadzieję, że jego myśli podążały tym samym torem.

Pokiwał głową i wcisnął się do środka obok niej.

— W porządku — wyszeptał, gdy drzwi osłoniły ich przed wrogim spojrzeniem Tonik. — Sprawdziłem zabezpieczenia. Nie powinna być w stanie zdehermetyzować śluzy.

„Nie powinna być w stanie” — to nie poprawiło jej nastroju. Westchnęła przeciągle, gdy Sorrel złożył Michaela na podłodze.

Kolana zaczęły jej drżeć.

— Jest szalona.

— Odrobinę. — Sorrel przeszedł na drabinę, skoro tylko w podłodze otworzyła się żrenica włazu. — Wszyscy górnicy są odrobinę szaleni, w przeciwnym razie nie byłoby ich tutaj. — Spojrzał na nią powątpiewająco. — Jeśli zejdziesz na dół, dasz radę go do mnie spuścić? Jest ciężki.

— Poradzę sobie.

Sorrel wzruszył ramionami i zniknął we wnętrzu statku.

— Dobra — zawołał z dołu. — Zobacz, co się da zrobić. Margarita zdążyła już przykucnąć obok włazu, i teraz mocowała

się z bezwładnym ciężarem Michaela. Przynajmniej ważył tu mniej niż na Ziemi. Przesuwanie ciała było przede wszystkim nieporęczne. Spuściła jego nogi do otworu. Jedna stopa zahaczyła o szczebel drabiny, więc z cichym przekleństwem spróbowała ją oswobodzić szybkim szarpnięciem.

— Poczekaj. — Sorrel wyciągnął ręce do góry, złapał go za kostkę i uwolnił zaklinowaną stopę. — Opuszczaj go powoli, dobra?

Zaciskając zęby, ostrożnie przepchnęła go przez krawędź włazu. Na moment rozluźniła uchwyt i już myślała, że go upuści.

— Mam go.

Gdy Sorrel przejął na siebie ciężar Michaela, zaskoczona niemalże sama wpadła do środka. Ostrożnie opuściła go w dół, rozplaszczając się na brzuchu, wpuszczając jego bezwładne ciało w ramiona Sorrela. Ten stęknął i powoli odsunął się spod włazu. Margarita się podniosła i chwyciła zwłoki Zeda za tunikę.

— Złóż na dół.

— Jeszcze Zed.

— Zapomnij o tym — warknął ostro Sorrel. — Jest martwy, ale my jeszcze żyjemy. Złóż tutaj, zanim Tonik skończy się zastawiać.

Brutalne, twarde słowa, ale zbyt prawdziwe i zalatujące śmiercią, by odważyła się zlekceważyć.

— Kurwa—powiedziała cicho. Tak łatwo było zginąć. Ludzkie ciało zasługiwało na odrobinę szacunku przed oddaniem we wład-

nie rozkładowi. Spróbowała zamknąć Zedowi oczy, lecz powieki uniosły się powoli z powrotem, zamrożone jego szklistym spojrze-

niem. — Wybacz, Zed. — Co jeszcze mogła powiedzieć. Spoczywaj w pokoju?

Pewnie. Margarita złapała za krawędź włazu, wskoczyła do środka i w dół. Nad jej głową właz zamknął się z sykiem znamionującym odłączenie służby.

— Kelly? — W głosie Sorrela brzmiała nerwowość. — Wynosimy się stąd.

Udało im się. A przynajmniej, jak na razie, Tonik nie zdecydowała się jeszcze pozbyć ich w bardziej radykalny sposób. A może i próbowała, tylko nie dała rady obejść zabezpieczeń. W porównaniu ze smrodem bazy górników powietrze na pokładzie pachniało niczym letnia łąka. Margarita odetchnęła głęboko z ulgą i otworzyła Sorrelowi drzwi do ładowni. Ten przecisnął się z Michaeliem przez wąskie przejście i złożył go na jednym z siedzeń. Żadnej zmiany. Ani śladu reakcji, gdy zapinała mu pasy. Sorrel zdążył już zniknąć w sterowni. Klękając obok Michaela, przyłożyła mu palce do tętnicy szyjnej. Jego serce biło, wciąż oddychał. Mógł odzyskać przytomność w każdej chwili.

Podłoga zadrżała delikatnie pod jej stopami. Zapewne odsuwali się już od statku górników. Jako że tym razem brakowało przyprawiającego o mdłości widoku otwartej przestrzeni, świadoma była ruchu statku odchodzącego spiralą w bok i wznawiającego własny ruch obrotowy.

Nagła zmiana kursu rzuciła nią o grodzie. Krzyknęła cicho, gdy uderzyła posiniaczonym łokciem w stal.

— Co się dzieje?

— Odrobina ciuciubabki. — Głos komputera robił wrażenie podkscytowanego. — Na wypadek gdyby Tonik postanowiła zabawić się swoim ciężkim sprzętem. Ma na pokładzie parę dużych armat.

Jej, wielkie dzięki. Margarita przycisnęła się do grodzi, gdy statek ponownie skoczył w bok.

— Dobrze się bawisz, nie?

Położyła głowę Michaela na swoich kolanach, starając się ochronić go przed kolejną gwałtowną zmianą kursu.

— Pewnie. Co może być złego w odrobinie rozrywki?

Pierdol się, gówniarzu. Będzie musiała kiedyś zapytać Sorrela, dlaczego wyposażył swój system w mentalność nastolatka. Zgarnęła kosmyki siwych włosów z twarzy Michaela i nagle przyłapała się na tym, że szuka w niej swoich genów. Nie był do niej podobny. Po Xii odziedziczyła sterczący indiański nos i wysokie kości policzkowe. Może co najwyżej łuki brwiowe mieli takie same.

Margarita utkwiała spojrzenie w gołej ścianie, zastanawiając się, co Tonik zrobi z ciałem Zeda. Pewnie wypchnie je w kosmos. Może będzie tu orbitował przez solidny kawałek wieczności wraz z Kamieniami, które go zabiły, dotrzymując im towarzystwa, do czasu aż Słońce zamieni się w końcu w supernową i spali ich wszystkich. Jaki spektakularny pochówek. Zapewne by mu się spodobał.

Zed przyleciał tu, by umrzeć. Poszukiwał śmierci jeszcze bardziej niż Michael. Zamknęła oczy, przytulając głowę do oparcia. A Michael? Czy ocknie się tak po prostu, za parę minut, godzin lub dni? Oczywiście, na pewno, tylko dlaczego odczuwała taką niepewność?

Bo poczuła to — obecność obcych. I śmiertelnie ją to przeraziło.

Statek przestał wreszcie tańczyć polkę. Zapewne byli już poza zasięgiem artylerii Tonik. Teraz pozostało jej jedynie siedzieć i czekać. I znaleźć sposób na ściągnięcie z sieci informacji Zeda. Może należało się zwrócić do Lizy?

— Podróż powrotna potrwa dłużej. — Kelly wyglądał na rozradowanego. — Kiedy startowaliśmy, Vildorn był ustawiony bardzo korzystnie w odniesieniu do platformy. Teraz już nie.

Tym razem Margarita nawet nie raczyła zareagować.

Rozdział siedemnasty

Zed siedział po drugiej stronie Michaela, lekko opierając dłoń na jego ramieniu. Na jego twarzy rysował się cień uśmiechu, jak gdyby coś go bawiło, a zarazem odrobinę smuciło.

— Jesteś martwy — powiedziała Margarita. — Zostawiliśmy cię, bo byłeś martwy. Tylko mi się śnisz. — Musiał jej się śnić,

bo rozmowa z martwym człowiekiem wstrząsnęłaby nią solidnie, a przecież w jej sercu panował spokój. Szybko wyciągnęła rękę ponad łóżkiem, by złapać Zeda za ramię.

Ciało — ciepłe, jędrne ciało. Zadrżała i cofnęła dłoń.

— Ja śnię, prawda?

— Nie wiem — uśmiechnął się do niej. — Pewnie możesz to nazwać snem. Sami to sobie wymyśliliście, wiesz: sen. Nie dopuszczacie do siebie świadomości tego, czym on jest naprawdę. Nie jestem pewien — zmarszczył czoło. — Może nie chcecie tego zrozumieć.

— Nie jesteś Zedem, prawda? — Spojrzała mu prosto w oczy. Okna z widokiem na kosmos. Na nieskończoność. Migotały tam odległe gwiazdy, nagle zakręciło jej się w głowie i zrozumiała z nieoczekiwaną pewnością, że gdyby tylko trochę się rozciągnęła, mogłaby przez nie przejść, zstąpić na planety obiegające te gwiazdy, obrócić się i ujrzeć Słońce lśniące w niebiosach. Jej mięśnie zadrgały, porażone lękiem przed upadkiem, i wyprostowała się gwałtownie, uderzając łopatkami o kadłub statku.

Zabolało.

— Naprawdę tu jesteś? — Potarła bark, a w jej głosie kryło się drżenie. — Kim jesteś? Czym jesteś?

— Zedem. I, owszem, jestem tutaj — uśmiechnął się swoim znajomym uśmiechem Zeda. — A jednocześnie orbituję Ziemię razem z Vildornem, bo, owszem, Tonik wypchnęła mnie przez służbę. Leżę też w łóżku z Gunnerem i przyglądam się tobie i Michaelowi komponującym na holoscenie w królestwie Dannersa. — Jego głos nabrał ciepłego, niskiego zabarwienia. — Zawsze ja, wszędzie i jednocześnie.

— Nie rozumiem — udało jej się wyszeptać.

— Może sen pozwala zajrzeć za zasłonę. Sami wznosicie te mury, wiesz. One was chronią. — Z pofałdowanym czołem zapatrzył się w jakiś niewidoczny obraz unoszący się w powietrzu. — To jest na razie dla was zbyt wielkie. Dlatego tamci musieli umrzeć. — Spojrzał na Michaela, westchnął i musnął palcami jego policzek. — Teraz to pojmuję i jestem zasmucony.

— Jesteś? — Nie potrafiła tego z siebie wydusić: „Jesteś głosem Kamienia? Obcym? Istotą żywą?”

— Jestem Zedem. — Wyglądał na zaintrygowanego, jak gdyby jednak powiedziała to na głos. — Wiesz, czas nie jest jak autostrada. — Uniósł brwi. — Nie zaczyna się pod twoimi stopami, biegnąc do przodu i do tyłu. Każda chwila istnieje jednocześnie, każda wyobrażalna chwila. To ty podróżujesz z jednego miejsca w drugie. To ty stwarzasz drogę.

— Jak tam Michael?

Głos Sorrela sprawił, że aż się poderwała z miejsca, a poziom

adrenaliny w jej krwi gwałtownie podskoczył.

— Hej, wszystko w porządku? — Przykucnął obok niej i położył dwa palce na szyi Michaela. — Jeszcze żyje. — Zerknął na nią kątem oka. — Przepraszam, nie chciałem cię obudzić.

— Ja nie... — Zed zniknął. — Spałam? — Oczywiście, odpowiedziała sobie w myślach. Śniąc, że nie śpię.

— Takie odniosłem wrażenie. — Wzruszył ramionami. — Kiedy zacumujemy, pošlę wiadomość Xii. Będzie na nas czekała z wózkiem.

A może... nie spała. Margarita przełknęła ślinę, szumiało jej w głowie. A jeśli natura czasu nie była linearna? W takim razie Zed siedział i nie siedział przy łóżku Michaela. Jednocześnie. A gdyby zapragnęła go ujrzeć, gdyby postanowiła...

Uśmiechnął się do niej ironicznie. Jak gdyby przebywał tam przez cały czas. I tak właśnie było. Spojrzała ukradkiem na Sorrela. Ten niczego nie widział. Mury, powiedział Zed. Sorrel zbudował sobie inne mury, i Zed nie istniał w ich obrębie. Ta linia rozumowania prowadziła do przerażających wniosków. Margarita odetchnęła wolno.

— Xia powinna czekać na nas z lekarzem. — Wypowiedziała te przyziemne słowa ze znacznym wysiłkiem. — Musimy jak najszybciej przewieźć Michaela do kliniki.

— No, nie wiem. — Sorrel zmarszczył czoło.

Margarita zdusiła cisnące się jej na usta zapalczywe słowa. Zachowanie Sorrela uległo subtelnej odmianie. Teraz dostrzegła w nim nową twardość, którą nosił niczym pancerz.

— Sorrel, on cierpi. Coś mu się stało. — Błagalna nuta we własnym głosie zdumiała ją.

— A może obudzi się cały i zdrowy za kilka godzin. — Sorrel był nieugięty. — Uważam, że wy dwoje stanowicie obecnie niewyobrażalne zagrożenie dla otoczenia. — Podniósł się, a jego wyraz twarzy nie zmienił się ani o jotę. — Powinienem wracać do sterowni. Kelly nieźle sobie radzi podczas lotu, ale wciąż jeszcze uczy się trudniejszych elementów pilotażu. Proszę. — Podał jej zawiniętą w folię paczuszkę. — Pomyślałem, że pewnie będziesz już głodna.

Margarita wzięła ją w rękę. Jedzenie. Sorrel należał do ludzi, którzy nie zapomnieliby cię nakarmić, nawet gdyby już zdecydowali porzucić cię na najbliższym skrzyżowaniu. Usta jej zadrżały, uniosła dłoń z posiłkiem w czymś na kształt salutu.

— Dzięki, Sorrel.

Zatrzymując się w progu, obejrzał się w jej kierunku z uniesionymi brwiami.

— Nie ma za co.

I już go nie było. Margarita przysiadła pod ścianą, nie spuszczając oczu z miarowo falującej piersi Michaela. Zastanawiało ją, co sobie myślał Sorrel, nadstawiając karku dla byłego kochanka Xii. Czy Xia naprawdę kiedyś kochała Michaela? Czy Sorrel potrafił dostrzec w niej to, że ktoś kiedyś znaczył dla niej aż tyle i aż tak, że on sam, mimo najszczęśliwszych chęci, być może nigdy tego nie doświadczy? A jednak pomógł Michaelowi. Za siedemdziesiąt pięć procent zysków z tych bezcennych danych?

Nie chciała, by okazało się, że pieniądze stanowiły jedyną motywację Sorrela.

Zed zniknął z pomieszczenia. Złudzenie? Duch? Obca istota w ludzkim ciele? Z westchnieniem rozpakowała jedzenie: kanapka, kartonik soku, tabliczka czegoś lepkiego koloru czekolady. Obróciła kanapkę w dłoni, nie wyciągając jej z opakowania. Jeśli Zed był prawdziwy, jeśli miał rację co do czasu i wieczności, w takim razie Arrow rzeźbił holotury w swojej mrocznej pracowni, opowiadając o życiu i kreatywności młodej dziewczynie z barrio. A Katrina

zatrzymała się przy ulicznej wystawie i zapytała: „Hej, kupić ci coś do picia?”

Te obrazy zawierały w sobie wiele smutku. I pociechy.

— Przepraszam. — Margarita odłożyła jedzenie na bok. — Naprawdę.

Kiedy liczyła powolne, rytmiczne uderzenia tętna Michaela, przyszło jej do głowy, że nie ma pojęcia, dla kogo przeznaczone były te słowa: Michaela? Arrowa? Katriny?

A może rozmawiała sama ze sobą?

Dokowanie przebiegło znacznie płyżej od startu. Sorrel zapewne tym razem nie wyręczył się Kellym. Skoro tylko ucichła delikatna wibracja silników, Margarita zdjęła z kolan głowę Michaela, podniosła się sztywno i przeciągnęła. Nie rozmawiała więcej z Zedem, ale wyczuwała jego obecność. Był częścią wszechświata, podobnie jak powietrze, planety i koty.

— Xia już jest w drodze. — Sorrel wetknął głowę przez drzwi.

— Zarezerwowałem dla ciebie i Michaela miejsca na najbliższym promie na Ziemię.

— Co takiego? — Spojrzała na niego nie rozumiejącym wzrokiem. Wyglądał na zmęczonego, lecz z jego twarzy odczytała nieustępliwość. — Michael potrzebuje lekarza. O czym ty, do cholery, mówisz?

— Jak dotąd nic mu się nie stało; myślę, że nie umrze podczas przelotu promem. — Nie zareagował na jej gniew. — W zamian będziesz mogła zatrzymać wszystko to, co wydusisz z tych danych, Margarita. Skoro opuścicie platformę, Liza nic nie będzie mogła wam zrobić, ale na twoim miejscu już bym tu nie wracał. — Nie uśmiechał się. — Liza nigdy nie zapomina uraz, a ja zamierzam uratować własny tyłek, wystawiając jej ciebie na odstrzał.

— A gdybym powiedziała ci, żebyś się odpierdolił? — zapytała, mrużąc oczy. — Co wtedy zrobisz?

— Zabiję cię. Oraz jego.

Margarita nauczyła się rozpoznawać szczerze wypowiedziane

groźby, zanim skończyła dwanaście lat. Powiedział to serio. Margarita zdławiła wściekłość, szykując się na użycie przemocy równie nieuchronne jak w barrio.

— Dlaczego? — zapytała, przesuwając spojrzeniem po jego twarzy.

— Nie rozumiem, co się wydarzyło na Vildorn. Nie rozumiem, dlaczego zginął tam człowiek, może dwóch, a ja nie lubię, kiedy czegoś nie rozumiem. Nie chcę, żeby Xia została w to wciągnięta.

— W jego oczach błysnął płomień. — A jeśli nie wyjedziesz, tak właśnie się stanie.

O, nie, Sorrel nie woził ich po całym systemie jedynie dla pieniędzy.

— To nie jest problem Xii. — Margarita zadarła głowę do góry.

— I ja także nie chcę, żeby została w to wciągnięta. — To prawda czy kłamstwo? Nagle odkryła, że sama tego nie wie, i jej czoło przecięły zmarszczki. — Posłuchaj, dobrze znam swoją matkę. Już ona się postara, żeby się zbytnio nie angażować.

— Naprawdę ją znasz? — Przez krótką chwilę jego twarde, nieprzeniknione spojrzenie przeszywało ją na wylot. — Taka jesteś pewna?

Margarita odwróciła głowę, bo ból czający się w głębi jego oczu był sprawą bardzo intymną.

— No to wsadź nas na ten cholerny prom.

Niczego więcej nie mogła powiedzieć. Dotknęła czubkami palców spoczywającą w kieszeni kapsułę. Jeśli uda im się dotrzeć na dół, na Ziemię, będzie jej łatwiej — i bezpieczniej — wygrzebać w sieci ukryte przez Zeda pliki. Tylko to jej pozostało — ten plik. Zbawienie Katriny i zguba zarazem, dwusieczna, ostra jak brzytwa klinga. Z kogo wytoczy krew? Margarita podskoczyła, gdy ładowni nagle się otworzył.

— To dlatego chciałeś, żebym przyprowadziła wózek. Co tu się dzieje, do jasnej cholery? — Ubrana w pastelowozieloną koszulę, która w porównaniu z neonowymi strojami większości mieszkańców platform wyglądała wręcz elegancko, Xia cofnęła się przed wysuwającą się płynnie rampą, nie odrywając wzroku od Michaela. — Co się stało?

i

Opanowany ton, spokojne zachowanie, lecz jej twarz zdrząła wystarczająco mocno, by dało się to zauważyć.

— Zapadł w śpiączkę. — Margarita stanęła przed matką, zastanawiając się, co dzieje się pod maską przykry wającą jej twarz. Może nic. Może źle zinterpretowała jej minę. — O ile wiemy, w nic się nie uderzył.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? — Xia zerknęła szybko na Sorrela. — Sprowadziłabym zespół reanimacyjny.

— Pojedzie na dół. — Sorrel splótł ręce na piersiach.

Przez długą chwilę Xia spoglądała mu prosto w oczy. Margarita potarła ramiona, walcząc z uporczywym swędzeniem, miała wrażenie, jak gdyby powietrze naładowane było elektrycznością. Jakaś jej część oczekiwała chwili, w której między Xią a Sorrelem przeskoczy błękitny łuk elektryczny, zamieniając oboje we frytki. Ale nic takiego się nie stało. Xia się odwróciła. W milczeniu odepchnęła Margaritę i pochyliła się nad Michaeliem, badając mu puls, podnosząc powieki, dotykając go tu i tam. Westchnęła cicho i wyprostowała się.

— Zabierzmy go stąd. — Teraz jej twarz była równie nieprzenikniona jak Sorrela. Wyciągnęła z kieszeni niewielkiego pilota i dotknęła paru przycisków.

Czyli tak. Nawet Xia nie zamierzała postawić się Sorrelowi. Margarita poczuła mrowienie na karku, ciesząc się nagle, że udało

jej się tu wrócić, że żyje. Niewielki wózek gramolił się po rampie ku ładowni. Przypominał szpitalne łóżko. Kiedy dojechał do nich, przenieśli na niego Michaela, przypinając go pasami. Jego tętno i oddech wciąż były mocne i regularne, jak gdyby był pogrążony we śnie.

Margarita odwróciła wzrok od jego obwisłej, postarzałej twarzy, wstrząśnięta nagłym wspomnieniem ciała Arrowa na wózku karetki. Tamtego poranka pielęgniarze właśnie kończyli zmianę. Zakładali się o wynik najbliższego meczu piłkarskiego, dyskutując o szansach poszczególnych drużyn i naciągniętym achillesie jednego z graczy. Delano. Pamiętała nazwisko tamtego zawodnika, zapamiętała je, ale nie potrafiła sobie przypomnieć tego, co powiedział do niej Arrow, kiedy wychodziła z pracowni tamtej ostatniej nocy. Palące łyzy zebrały się nagle pod jej powiekami, przeszywając ją strachem, że lada

moment wyrwą się spod kontroli i popłyną po policzkach, że Xia i Sorrel mogliby je zobaczyć.

Sorrel wyjął sterownik z dłoni Xii.

— Tylko to możemy zrobić — powiedział.

— Taak? — Xia na chwilę zawiesiła wzrok na jego twarzy, zerknęła na Michaela i zmarszczyła czoło. — Pewnie masz rację. — Posłała Margaricie szybkie spojrzenie. — Masz tam na dole jakieś przyzwoite dojście do sieci?

— Tak. — Andy Rodriguez zapewne był wystarczająco skuteczny, zakładając, że nie skończył już z nimi raz, a dobrze. Spojrzała na Xię. Jaka spokojna. Znowu zamierzała po prostu umyć ręce i zniknąć. — Nic się nie martw, Xia. — Nawet nie usiłowała ukryć goryczy brzmiącej w swoim głosie. — Dam sobie radę. Jak zawsze. — Czowała na sobie spojrzenie Sorrela, ale gównu ją to obchodziło.

Ludzie rozstępowali się przed wózkiem, zwracając nań tyle uwagi, jak gdyby był załadowany skrzynkami. Prywatność była tutaj rzeczą świętą. Margarita rozmyślnie pozostała nieco w tyle, zmrożona tym niesamowitym odosobnieniem. Nic dziwnego, że Sorrel mógł tu bezkarnie zamordować człowieka. Gdyby tamten gnój rzeczywiście spróbował ją wtedy zgwałcić na korytarzu, czy ktokolwiek spróbowałby go powstrzymać? Zapewne nie, zwłaszcza że oboje byli ziemniakami. Wcale nie różnicie się tak bardzo ode mnie, mówiła w duchu do barwnego, obojętnego tłumu przechodniów. Jedynie chcecie być odmienni. Może uda mi się pokazać wam, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy.

Tak, dajcie mi pokazać wasze i nasze lęki: naszą kruchość osłoniętą jedynie delikatną skorupką, nasz lęk przed obcością, zwłaszcza gdy kryje się w nas samych. Pokażę to wam barwami i kształtami, cieniami i stalowym światłem, zapachem platformy, dźwiękiem

fletów i nerwowym tętnem bębnow, jadowitymi słowami.

Zobaczycie je i być może wtedy mnie znienawidzicie.

Bo ujrzycie siebie i znajdziecie tam nas.

Była gotowa, by opuścić to miejsce. Margarita przyglądała się starannie nie widzącym twarzom, w jej głowie rodziła się wygrywana na flecie melodia, do której powoli dołączały się altówki. Ulica,

którą podążali, prowadziła do znajomego, holograficznego parku. Niematerialne dzieci przejeżdżały obok nich na rowerach, płasząc i wrzeszcząc, bawiąc się szaleńczo w tutejszą odmianę berka. Margaricie zakreśliło się nagle w głowie od myśli, że przyglądają się Michaelowi, obserwują go z zachłanną dziecięcą ciekawością, z entuzjastycznym pragnieniem przeżycia czegoś drastycznego.

Może bezimienny projektant parku posiadał talent daleko wykraczający poza wprawę w manipulowaniu zapachami.

Ten projektant mógłby docenić to, co zamierzała uczynić.

Przeszli przez wielkie drzwi do części portowej, w zgiełk i zamieszanie, które zrobiły na Margaricie równie wielkie wrażenie jak za pierwszym razem. Zorientowała się nagle, że Sorrel zachowuje wielką czujność, chociaż z wielką wprawą odgrywa rolę ignorującego otoczenie tubylca. Wypatruje niebezpieczeństwa? To nie Kamieni z kosmosu powinna się teraz wystrzeżać, tylko ludzi. Margarita zdusiła w sobie chęć obejrzenia się za siebie, z każdego kąta spoglądała na nią wizja nieruchomego ciała zaplątanego w korzenie bananowców.

Bardziej zaniepokojona niż kiedykolwiek, przyglądała się każdej mijanej osobie, ignorując niezliczone lodowate spojrzenia, jakimi jej się rewanżowano. Sorrel wprowadził wózek do jednej z zamkniętych poczekalni i zaczął rozmawiać z umundurowaną strażniczką. Przepuściła ich szybkim ruchem podbródka — tu na górze żyło się o wiele łatwiej, kiedy miało się znajomych wśród tubylców. Idąc za Xią, Sorrelem i wózkiem, Margarita posłała strażniczce zimne spojrzenie. Co sobie teraz myślisz?, chciała zapytać jasnowłosą kobietę o genetycznie regularnych aryjskich rysach twarzy. Że to chory przyjaciel? Umierający krewny powracający na rodzinną planetę? Obchodzi cię to w ogóle? Zapewne nie, bo najprawdopodobniej zgadła, że pochodzi z dołu, możliwe że po prostu to poczuła.

Prom nie przyjmował jeszcze na pokład pasażerów i Margarita zaczęła się rozglądać po sali. Sprawdzenie poczty na dole byłoby o niebo tańsze, a jakie znaczenie mogło mieć te kilka godzin różnicy? Wtedy dostrzegła publiczny terminal na przeciwległej ścianie poczekalni, niedaleko wózka. Pierdolić kosztą. Może Katrina zosta-

wiła dla niej wiadomość. Margarita przeszła przez salę i dotknęła ekranu. Urządzenie nie bardzo zasługiwało na miano terminalu, składało się jedynie z ekranu i półkolistej osłony zapewniającej minimum prywatności. Nie mów niczego, czego nie chciałybyś rozpowszechnić na całej platformie. Musnęła ekran w miejscu, gdzie pulsowało okno identyfikatora, potem wyrecytowała swój kod. Rejestratory zeskanowały ją, dokonały porównania obrazu z przechowywanym w sieci wzorem i wpuściły ją do systemu.

— Poczta. — Margarita skrzywiła się na widok kolejki czekającego na nią śmiecia; reklamy firm, których projektanci dali sobie radę z jej filtrami. Parę plakatów z galerii. Coś z Yamady w formalnym, urzędowym opakowaniu: zapewne informacja o przedterminowym zamknięciu jej wystawy. Nawet jej nie wywoływała na ekran. Nic od Katriny. Ani od Argenta. — Wyślij — powiedziała, zaciskając zęby. — Do Andy'ego Rodrigueza, Stany Zjednoczone, rejon zachodni. — Adres nie był zbyt precyzyjny, ale nie wiedziała, gdzie dokładnie mieszka. Ilu Andy'ch Rodriguezów mieszkało w zachodniej części Stanów Zjednoczonych?

— Znaleziono trzech adresatów odpowiadających podanym parametrom — odpowiedział terminal pogodnym głosem młodej dziewczyny. — Proszę o więcej szczegółów.

Czy to zamiłowanie do niedojrzałych interfejsów było jeszcze jednym dziwactwem mieszkańców platform?

— Wiek... eee... dwadzieścia parę lat. — Wytężyła umysł. Wszyscy trzej zapewne mieli ciemne włosy. — Sanitariusz. — Nie wiedziała niemal nic o tym facecie. Spróbować wszystkich trzech i czniać koszty?

— Wysyłanie wiadomości do Andy'ego Rodrigueza.

No, przynajmniej sieć sądziła, że wie, o kogo jej chodzi. Dobra. Margarita wzięła głęboki oddech.

— Andy? — Zmusiła się do uśmiechu na użytek kamery. — Tu Margarita Espinoza. Czy mógłbyś skontaktować się ze mną tak szybko, jak tylko będzie to możliwe? Musimy porozmawiać o czymś... obiecującym. — Obiecującym? Zdusiła gorzki chichot, z trudem panując nad mięśniami twarzy. Dwa trupy, jeden w śpiącz-

ce. O, tak, miała mu do zaproponowania bardzo obiecujący interes. Choć to, co spotkało Zeda i Michaela, nie miało bezpośredniego związku z kapsułą. — Będzie lepiej, jeśli pomówimy o tym przez bezpieczne łącze, dobrze? — Przez chwilę się zastanawiała, czy to skasować, ale uznała, że ryzyko jest tego warte. Przynajmniej przyciągnie jego uwagę.

I, ma się rozumieć, podziiała jak czerwona płachta na byka na ludzi, którzy mogliby ją podsłuchiwać. Oznaczało bowiem, że wie coś, co przedstawia określoną wartość, w przeciwnym razie nie prosiłaby o bezpieczne łącze. Ale było to lepsze od odpowiadania na niezręczne pytania Andy'ego, gdyby podsłuchiwała ich niewłaściwa osoba. Nie można mieć wszystkiego naraz. Margarita rozłączyła się i krótką chwilę wpatrywała w pusty ekran. Ani słowa od Katriny. Nie robiłaby tego, nie karałaby Margarity swoim milczeniem. Chyba że...

Odskoczyła od terminalu, niemalże wpadając na Sorrela. Wyglądał jak gliniarz na moment przed nałożeniem komuś bransoletek.

— Już idę — odetchnęła szybko. — Nie próbuję wystawić cię do wiatru.

— Nie myślałem, żebyś spróbowała to zrobić. — Nieufność w jego spojrzeniu zadawała kłam jego słowom. — Niedługo startujecie.

Pragnęła się na niego rozzłościć. Ale powodem jego zachowania była miłość. Jego miłość do Xii, i nieważne, że być może nigdy nie zostanie odwzajemniona. Margarita stłumiła westchnienie i pozwoliła mu odprowadzić się do wózka. Jak to możliwe, że nie masz jej tego za złe?, chciała go zapytać. Jak to możliwe, że jeszcze to cię obchodzi?

Nie powiedziała tego.

Pasażerowie niewielkimi grupkami przechodzili obramowaną zielonymi liniami ścieżką prowadzącą do promu. Większość z nich wyglądała, w oczach Margarity, na biznesmenów wracających do domu z narad z kierownikami swoich orbitalnych fabryk. Omiotła ich szybkim spojrzeniem, szukając znajomych twarzy mogących zwiastować kłopoty. Więcej kobiet niż mężczyzn, zdecydowana

większość odrobinę wymięta i nie w sosie. Powitanie nie było szczególnie gorące, co?, pomyślała Margarita. Tu na górze nas nie lubią. Gównu by ich obchodziło, gdybyśmy wyzdychali jak muchy, wiecie? Obejrzała się na Sorrela. Stał parę kroków od wózka z ramiionami splecionymi na piersi, a na jego twarzy rysowało się dziwne uczucie.

Utraty? Margarita zmrużyła oczy, gdy Xia pochyliła się i z wbudowanej w wózek szafki wyciągnęła torbę.

— Będę potrzebowała tego pilota, a w ogóle to czyje to jest? — Margarita dotknęła ręką wózka. — Co mam z tym zrobić po drugiej stronie?

— Należy do Ensminger Transport. — Twarz Xii przybrała dziwny, transcendentny wyraz. — Sami się nim zajmą na dole. — Przerzuciła sobie torbę przez ramię. — A sterownik jest w mojej kieszeni — powiedziała i ruszyła w stronę zielonej ścieżki dla odlatujących.

Margarita gapiała się na nią z otwartymi ustami, podczas gdy wózek ociężale potoczył się w ślad za nią. Nagle spostrzegła, że poczekalnia jest pusta; wymęczeni biznesmeni zabrali już swe podrażnione ega na pokład. Nagle wszystko rozumiejąc, poszukała wzrokiem Sorrela. Maszerował z powrotem w kierunku parku zamaszystym, złym krokiem, na tyle szybko, by ściągnąć na siebie kilka zirytowanych spojrzeń. Strażniczka obserwowała go ze starannie kontrolowanym, pogardliwym uśmiechem samozadowolenia. Nagle do Margarity dotarło, że zaraz spóźni się na prom. Sorrel zniknął. Margarita odwróciła się i pognała za Xią i wózkiem.

Dogoniła ją przy rurze windy łączącej prom z platformą. W przeciwieństwie do miejscowych jednostek, wielkie, skrzydlate promy przybijały do zewnętrznej powierzchni pancierza. Przy Xii kręciło się dwóch umundurowanych stewardów. Gdy Margarita się zbliżyła, odkleili się od niej, rozbiegając na boki niczym wystraszone zające. Ostry język Xii? Margarita uśmiechnęła się wbrew samej sobie.

— Już myślałam, że zmieniłaś zdanie. — Xia uniosła pytająco brwi.

— Co ty wyprawiasz? — Jeden ze stewardów obejrzał się przez ramię i Margarita zniżyła głos. — Nie możesz lecieć z nami.

— Ależ mogę. — Obdarowała Margaritę spokojnym uśmiechem. — Kiedy Sorrel poprosił mnie o zorganizowanie wózka, domyśliłam się, że coś się stało. Podejrzywałam, że będzie na ciebie naciskał, żebyś wróciła na dół, sprawdziłam więc listę rezerwacji — westchnęła, gdy winda zaczęła opadać. — Czasami z Sorrela wyłazi zbyt wiele platformy — powiedziała cicho. — Co, jak przypuszczam, nie jest niczym dziwnym, skoro jego rodzina mieszka tu od trzech pokoleń. Ale ja jestem inna.

— Ale dlaczego... — Margarita przerwała, gdy drzwi windy się otworzyły, ukazując wnętrze kabiny. Warunki były zdecydowanie

lepsze niż na frachtowcu, którym przylecieli na platformę. Spojrzenie Margarity powędrowało wąskim przejściem między fotelami. Gruba wykładzina na podłodze, ścianach i suficie tłumiła hałasy do minimum. Nie bardzo było gdzie rozprostować kości, ale same fotele były obszerne i wygodne, zaopatrzone w ekrany i telefony.

Olbrzymie holokna w kadłubie ukazywały panoramiczny krajobraz alpejskich górskich kwiatów i odległych stoków na tle bezchmurnego nieba. Imponująca scena, lecz wykonana tak kiepsko, że zatracąca gdzieś całe swoje potencjalne wrażenie. Margarita podążyła w ślad za Xią. Jeden ze stewardów przymocowywał starannie wózek Michaela za ostatnim rzędem foteli. Na jego twarzy malowała się profesjonalna kombinacja współczucia i obojętności.

Pasażerowie gapili się ukradkiem na Michaela, nie kryjąc się z ziemską ciekawością i domysłami. Margarita wsunęła się na jedno z siedzeń bezpośrednio przed wózkiem, podczas gdy Xia chowała swoją torbę do pojemnika pod swoim fotelem. Nie usiadła od razu, lecz przechyliła się przez oparcie, spoglądając na twarz Michaela.

Margarita się odwróciła, zakłopotana czułością emanującą z tej pozy. Przypomniała sobie Sorrela przepychającego się szybkim, miarowym krokiem przez tłum w porcie.

— Dlaczego z nami lecis? Sorrel cię kocha.

— Owszem, kocha, i żal mi go z tego powodu. Angażowanie się w głębsze związki nie jest w moim stylu, prawda, Rita? — Xia

usiadła w swoim fotelu, jej twarz otulił delikatny welon smutku. — Tak było zawsze, z nielicznymi wyjątkami. Miłość wymaga oddania jakiejś części duszy. Powtarzam to wszystkim, którzy chcą mnie kochać.

— Czy to właśnie oddałaś Michaelowi Tryonowi? — zapytała cicho Margarita.

— Część mojej duszy? Tak. — Pochyliła głowę. — Coś wraz z nim zaczęłam, i tego nie skończyłam. Kochanie go. — Spojrzała na kiczowaty holograficzny obraz za oknem i zmarszczyła czoło. — Nie można tak po prostu odejść, pozostawiając miłość nie dokończoną. Będzie cię już zawsze prześladować. Muszę więc to dokończyć.

Ja też tak zrobiłam, pomyślała Margarita i zadrżała. Porzuciłam nie dokończoną miłość. Sięgnęła po swój pas i zapięła go.

— Dokąd właściwie leci ten prom?

— Port Frisco. — Xia posłała jej skupione, zaferowane spojrzenie. — Prawdę powiedziawszy, nie było wielkiego wyboru. Coś

nie tak?

Z powrotem do San Francisco. Miała wrażenie, jakby wiele lat upłynęło, odkąd wyszła z galerii i pojechała hotelową windą do pokoju Andy'ego ze swoim genoskanem w kieszeni. Była wtedy przepełniona słusznym gniewem, tak dalece przekonana, że zna tego człowieka i wie, ile on dla niej znaczy. Gdzie się podziała ta pewność siebie, ten gniew? Dotykając palcami linii swego policzka, Margarita odwróciła się, by spojrzeć na niego. Jego twarz robiła wrażenie spokojnej, rozluźnionej. Jak gdyby spał. Czy był tam gdzieś, czy... odszedł?

— Margarita? — Xia popatrzyła na nią, potem na Michaela. — Muszę być z tobą szczerą.

Margarita, nie Rita? Odwróciła się do Xii, nagle przepełniona obawą.

— On nie jest moim ojcem. To chcesz mi powiedzieć?

— Myślę, że jest. — Xia zmarszczyła czoło, jej twarz zasnuła chmura wspomnień. — Jesteś bardzo podobna do niego. Ale była jedna taka noc. Z Estevanem, kiedy potrzebowałam pocieszenia i znalazłam je u niego. Musisz wiedzieć, że nie mam pewności.

— Ja... rozumiem. — Przesunęła palcem po łuku swojej brwi, kości policzkowej, nie odrywając spojrzenia od twarzy Michaela. Podobna do niego? Nie pod względem fizycznym. To by dopiero była ironia, gdyby jednak okazało się, że nie jest jego córką. — Podrzuciłaś mi ojca na wycieraczkę — powiedziała rozgoryczona. — A teraz go zabierasz.

— Nie, nie zabieram. — Xia splotła dłonie na kolanach. — Daję ci możliwość odrzucenia go, na wypadek gdybyś musiała tak postąpić.

— Gdybym musiała — powtórzyła cicho Margarita. — Oferujesz mi sposobność ucieczki. To właśnie zrobiłaś, prawda? Kiedy odeszłaś od Michaela?

— Musiałam uciec, owszem. — Xia obserwowała krajobrazy widoczne tylko jej oczom. — Z mojego punktu widzenia zachowałam się właściwie, choć niekoniecznie uczciwie. Źle czy dobrze, w życiu musisz dokonywać wyborów. — W końcu obróciła twarz do Margarity. — Jeśli musisz odejść, nie będziesz musiała zostawić ojca.

— Tak jak ty zostawiłaś córkę? — Margarita odwróciła się. Milcząca odpowiedź Xii dudniła jej w uszach.

Może ludzkie życie dało się zdefiniować za pomocą tego, co po nim pozostawało? Danners zostawił salę pełną Kamieni. Kto je odziedziczył? Komu przypadnie jego holosystem najnowszej generacji? Niczym impuls elektryczny ukuła ją nagła myśl, że kiedy razem z Michaelem improwizowali na scenie, opcja automatycznego zapisu mogła być włączona. Jeśli tak, to ich duet znajdował się teraz w jakiejś kapsule albo gdzieś na sieci. Czy ktoś odkryje go któregoś dnia i uzna, że to dzieło Dannersa?

Jeśli Michael się już nie obudzi, pozostanie to jej jedynym elektronicznym wspomnieniem po nim. Margarita przechyliła się przez oparcie fotela i dotknęła jego bezwładnej ręki. „Jesteś moim ojcem?” Miał jej genoskan. O ile porównał go ze swoim, mógłby jej odpowiedzieć na to pytanie.

Michael... Katrina... ojciec... kochanka... Margarita zacisnęła oczy. Miłość kosztowała tak wiele. Może ucieczka była najprost-

szym rozwiązaniem, tak jak zrobiła to Xia. Ja też uciekałam, pomyślała. Od miłości Katriny.

I Arrowa.

I może on to rozumiał. Może dlatego właśnie zostawiał jej tyle wolnej przestrzeni, odsuwał się, pozwalając, by po omacku znalazła swoją drogę. Bo szanował jej lęk.

Margarita wcisnęła dłoń do kieszeni, zaciskając w pięści kapsułę Zeda. Jeśli Katrinanie żyła, pozostały jej jedynie wspomnienia. „Nie rzeźbisz ludzi”, powiedziała Katrina, gdy Margarita niechętnie zaproponowała, że umieści ją w którymś ze swoich utworów. „Nie chcę, żebyś robiła to tylko ze względu na mnie”. I nie zrobiła tego, bo Katrina miała rację; nie rzeźbiła ludzi. Ale teraz miałaby przynajmniej tyle. Margarita zamknęła oczy. Pracowała wtedy nad alpejską scenerią, taką, do miana której pretendowało to gównem w kabinie promu. Była niezła. A Katrina, ze swoim zwinnym wdziękiem, słonecznymi włosami i bladą skórą, żądzą życia, pasowałyby idealnie.

Ale nie zrobiła tego, ponieważ nie rzeźbiła ludzi. Oraz ponieważ gdyby to zrobiła, oznaczałoby to... co?

Że Katrina jest dla niej kimś ważnym?

Czy Katrina przejrzała prawdziwy motyw tej odmowy? Czy sprawiło jej to przykrość? Mówiłam jej, że ją kocham. Margarita skryła twarz w dłoniach, oczy ją piekły, ból targający jej duszą ukrył się zbyt głęboko, by uciec ze łzami. Mówiła to słowami, owszem, ale nie pozwoliła, by rzeczywiście tak się stało, zbyt się bała, by

pozwoić temu uczuciu na nabranie materialnej formy. A teraz Xia oferowała jej kolejną szansę ucieczki przed miłością.

Podłoga zadrżała lekko pod jej stopami. Prom startował. Margarita poczuła na ramieniu palce Xii, lecz nie podniosła głowy. Może Andy zdołają odszukać, może Katrinie nic się nie stało, może zdołają uleczyć wszystko to, co wymagało uleczenia.

Tak wiele niewiadomych. Prześlizgiwały się jej przez palce niczym piasek.

— Pani Espinoza?

Uniosła głowę i ujrzała stojącego w przejściu umundurowanego stewarda, który skinął z uśmiechem głową.

— Jest do pani pilna wiadomość. Przyszła podczas startu, została więc automatycznie zapisana w pamięci stałej systemu. — Podał jej niewielki czytnik. — Jeśli będzie pani chciała wysłać odpowiedź, w przedziale dla personelu zainstalowany jest terminal. Proszę zwrócić się do dowolnego członka załogi. — Uśmiechnął się ponownie i pomaszzerował dalej między fotelami.

— Jeśli będziesz musiała odpowiedzieć przed lądowaniem, mam nadzieję, że podczas ostatniej wystawy zarobiłaś masę pieniędzy — wyszeptła Xia.

Margarita niezobowiązująco mruknęła pod nosem, uruchamiając czytnik z sercem walącym jak oszalałe. Wiadomość pochodziła od Andy'ego Rodrigueza. Rozczarowanie przeszło ją bólem, obręczą zaciskającą się na gardle. To tylko Rodriguez — w dodatku zaledwie parę linii tekstu: „Przyjdź do mnie, porozmawiamy”. I adres.

Oakland. Przynajmniej nie będą musieli odbywać kolejnej dalekiej podróży. Świetnie. Margarita poprawiła się w fotelu, unikając wzrokiem monotonnego widoku alpejskiej łąki. Wyglądało na to, że Andy był zainteresowany jej cennym drobiazgiem. Margarita wsunęła rękę do kieszeni i raz jeszcze dotknęła kapsuły. Zajmij się tym. Jeśli nawet nie będzie w stanie odnaleźć Katriny, to może przynajmniej zdoła się upewnić, że nie znajdzie jej nikt, kto chciałby wyrządzić jej krzywdę.

W sąsiednim fotelu Xia odwróciła się do niej bokiem. Przyglądała się Michaelowi i jej oczy kryły na swym dnie delikatne cienie, przywodzące na myśl pustynne wzgórza pieszczone wieczornym światłem. Kiedyś byłaś niezwykle piękna, pomyślała Margarita, zapominając o gniewie, zapominając nawet o rozżaleniu. Xia nadal była piękna, jej uroda przebijała przez starzejącą się skórę i flaczące mięśnie niczym blask przeświecający przez papierową latarnię czy wypolerowaną muszlę.

Nagle przyszło jej do głowy, że gdyby zechciała, mogłaby ją zobaczyć — młodą Xie, tancerkę. Ona istniała, wczoraj, dziś, jutro. Musiała tylko sięgnąć tam spojrzeniem.

— Zed ma rację — wyszeptwała.

— Zed? — Xia spojrzała na nią, unosząc brwi.

I oto była młoda, w wieku Margarity, tancerka, zakochana, pełna obaw, uciekająca.

— Powiedział mi, że dzień wczorajszy nigdy nie przemija. — Nagle zakreśliło jej się w głowie. Margarita wyciągnęła ramię i położyła dłoń na szczupłej, młodej ręce matki. — Ja też się boję — powiedziała. Może lęk stanowił nieodzowny element miłości.

— To nieodzowny element bycia człowiekiem — powiedział Zed. Margarita rozejrzała się, nigdzie go nie widząc.

— Kim jesteś?

— Zedem. Tobą. Xią. — Jego głos szeptał w powietrzu, w syku klimatyzacji. — Kim chcesz, żebym był?

I na mgnienie oka prom stał się częściowo niematerialny — był tu, a zarazem go nie było, znajdował się w milionie różnych miejsc pomiędzy platformą a Ziemią. I przypomniawszy sobie Gunnera obserwującego, jak Zed rzeźbi swoje Kamienie, przypomniawszy sobie dotyk ramion młodego Michaela w gorące letnie popołudnie, przypomniawszy sobie miłość i lęk i dotknięcia... nieskończoności.

— Nieodzowny element bycia człowiekiem — wyszeptwała.

— Z kim ty rozmawiasz?

Margarita zamknęła oczy, nie wypuszczając z uścisku dojrzałej, a zarazem młodej ręki Xii.

— Z wszystkimi — odpowiedziała. — Iz nikim.

Rozdział osiemnasty

Po wylądowaniu promu firma Ensminger Transport w postaci uprzejmego stewarda o nieustępliwym spojrzeniu nie wyraziła zgody na wyprowadzenie wózka poza salę przylotów.

— Mogę przywołać prywatną firmę ambulatoryjną. — Steward, trochę po dwudziestce i pewien siebie dzięki świadomości posiadanej władzy, splótł ramiona na piersi.

— Taksówka nam wystarczy. — Margarita zwalczyła chęć powtórzenia jego gestu, starając się zachowywać neutralnie i uprzejmie. To nie było łatwe.

— Bardzo mi przykro. — Uśmiech stewarda odstonił idealnie równe zęby. — Ten pan musi opuścić to pomieszczenie pod fachową opieką. To kwestia ubezpieczenia, rozumiecie panie. — Ledwie zauważalnie wzruszył ramionami. — Jako że ten pan znalazł się na pokładzie w obecnym stanie, nie mam podstaw, by wzywać karetkę. — W jego głosie zabrzmiała zawołowana nuta dezaprobaty. — Nie ryzykowałbym przewożenia nikogo bez monitorów i zabezpieczenia biomedycznego. Gdyby był w podobnym stanie, ma się rozumieć.

I chuj ci w dupę. Margarita zacisnęła zęby, by tego nie powiedzieć, po czym powiodła zabójczym spojrzeniem po jego zarozumiałej, skandynawskiej twarzy. Genetycznie zaprogramowany kutas. Jasne włosy musiały być cholernie modne te dwadzieścia parę lat temu. Założyłaby się o ostatni grosz, że przedstawicielstwo firmy na platformie ani odrobinę by się tym nie przejęło, choćby chciały przewieźć sztywnego trupa, tak długo jak był to trup ziemniaka. Ubezpieczenie, gówno prawda. Wezwanie prywatnej firmy medycznej będzie kosztowało fortunę. Wystarczyło spojrzeć na tego palanta, by wiedzieć, że gdyby spróbowały wyblagać przewiezienie Michaela u załogi karetki, uznałby za swój obywatelski obowiązek wtrącić się i dokładnie wszystkim wytłumaczyć, że to nie jest nagły przypadek. A grzywna niewątpliwie przewyższyłaby koszt prywatnego transportu.

Wrogość mieszkańców platform wobec ziemniaków nagle przestała być szczególnie niezrozumiała. Ani na moment nie tracąc panowania nad sobą, Margarita obnażyła zęby, choć zapewne nikt nie uznałby tego grymasu za uśmiech.

— Zajmiemy się tym. Proszę się nie martwić. Nie będziemy próbowały uciec z wózkiem. — Odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę terminalu, by sprawdzić ceny usług transportowych.

— Gdyby panie jednak spróbowały wyprowadzić nasz sprzęt z sali — zawołał za nią steward uprzejmym tonem — wbudowane zabezpieczenia uruchomiłyby system alarmowy.

Margarita przejrzała w myślach listę określeń, jakich nagle zapragnęła użyć wobec niego, lecz trzymała usta szczelnie zamknięte. Choć Michaela oczyszczono ostatecznie z zarzutu morderstwa, gli-

niarze niewątpliwie go szukali; kiedy się wkurwiło gliniarzy tak jak on, trzeba było za to zapłacić. Zapewne skoro tylko dotrą do kliniki, wylądują na powrót w samym środku tego zamieszania, ale nie było sensu zaczynać już na lotnisku, wdając się w kłótnię z tym kutasem.

Zatrzymała się przed ekranem publicznego terminalu, intensywnie się zastanawiając.

— Wybierz pierwszą nazwę z listy. — W głosie Xii pobrzmiwało zmęczenie. — Musimy w te pędy zawieźć go do kliniki.

— Może uda mi się wymyślić coś lepszego. — Margarita dotknęła ekranu i wybrała kod Andy'ego Rodrigueza. W końcu był sanitariuszem.

— Proszę, proszę. — Jego twarz wyłoniła się z niebytu i zaraz wypłynął na nią uśmiech. — Szybko przyleciałaś. A jako że to otwarte łącze, może dałabyś mi jakąś oględną wskazówkę dotyczącą tematu, na który chcesz ze mną porozmawiać. Albo wpadnij do mnie, skoro jesteś w okolicy — wyszczerzył się.

— Potrzebuję pomocy medycznej, transportu. — Niekiedy bezpośredniość była najlepszym rozwiązaniem. — Dla Michaela. Kogo mógłbyś polecić?

— Co się stało Michaelowi? — Jego uśmiech zniknął bez śladu.

— Zapadł... w śpiączkę. — Chrzanić względy bezpieczeństwa. — Tak jakby wykopano nas z platformy, a ja muszę zawieźć go do kliniki.

— To samo co w pracowni Dannersa? — Od Andy'ego powiało chłodem i czujnością.

— Tak mi się wydaje. — Taką miała nadzieję. — Możesz mi podać jakieś namiary?

— Sam po was przyjadę. — Jego uśmiech niezupełnie sięgnął oczu. — Teraz pracuję w tym rejonie. Mieszkałem tu kiedyś. Przed S'Wanną. — Powiedział to niedbałym tonem, lecz jego spojrzenie zdradzało jednoznacznie sztuczność tej pozy. — Ty i twój ojciec jesteście moimi dłużnikami. Za to, że zostałem na miejscu i zwoziłem gliniarzy. To nie było szczególnie zabawne.

— Zgadza się, mamy u ciebie dług. — Margarita coraz wyraźniej czuła, że powinna się spieszyć. — Przyjedź po nas, to o tym

pogadamy. Jesteśmy w porcie promowym, wyjście numer siedemdziesiąt.

— Zaraz jestem.—Ekran zgasł.

— Ufasz temu facetowi? — Xia zmarszczyła czoło, wspierając się biodrem o wózek, i ostrożnie położyła dłoń na ramieniu Michaela.

— Bardziej niż komukolwiek innemu. Przez jakiś czas jakby brał udział w tej wariackiej gonitwie. I naprawdę mamy u niego dług — Margarita spojrzała na dłoń XII: tyle wyrazu w pojedynczym wygięciu palców. — Naprawdę go kochałaś? — zapytała cicho. — Chciałabym wiedzieć.

— Tak. — Xia nie unikała jej wzroku, jej oczy były ciemne niczym cienie o północy. — Myślałam, że to będzie trwało wiecznie. Myślałam, że to coś niepowtarzalnego. — Uśmiechnęła się w końcu, jej ramiona uniosły się i opadły w rytm westchnięcia. — To uczucie było niepowtarzalne. Ale nie było wieczne, bo to nie jest w moim stylu — odwróciła głowę w bok. — Michael był pierwszy, i chyba na tym polegała cała różnica. Wszystko było takie nowe, nie wiedziałam wszystkiego tego, co wiem teraz. Nie wydaje mi się, żebym mogła jeszcze kiedyś poczuć coś podobnego. Nie wydaje mi się, żebym była w stanie. — Przechyliła głowę i uśmiechnęła się z odrobiną przekory. — Czy to chciałaś usłyszeć, Rita? Że twoje poczucie miało w sobie coś specjalnego?

— Moje prawdopodobne poczucie. — Margarita spojrzała jej prosto w oczy.

— Twoje prawdopodobne poczucie. Cóż, miało. — Xia ponownie spojrzała na Michaela i zamilkła na chwilę z enigmatycznym wyrazem twarzy. — Chyba nie zdawałam sobie z tego sprawy, do czasu aż Michael ponownie się zjawił. A ja myślałam, że nic już mnie nie zaskoczy — roześmiała się cicho. — Widzisz? Nawet ja potrafię ukrywać pewne sprawy przed samą sobą, Rita. Nawet ja mogę się mylić.

— Macie mnóstwo szczęścia, moje panie — przerwał im głos Andy'ego, rozbawiony, choć przyprawiony nutką irytacji. — Tak się złożyło, że akurat byłem w okolicy. Powóz zajechał.

Obejrzały się jednocześnie, dokładnie w tej samej sekundzie,

i Margarita o mało by się roześmiała, gdyż nie byłby w stanie zrobić tego płynniej, gdyby był komputerową symulacją.

Andy stał za nimi, w tyle czaił się automatyczny wózek. Uśmiechnął się, białe zęby błysnęły w jego ciemnej twarzy. O, tak, ten uśmiech maskował wściekłość. Biała tunika sprawiała, że jego skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza, na biodrze nosił głośzaka i komunikator.

— Za godzinę zaczynam dyżur. Kontrakt dla Sióstr Miłosierdzia. — Ruchem podbródka wskazał naszywkę na ramieniu. — Więc jedźmy już.

Ulga, jaką nagle ogarnęła, zaskoczyła Margaritę. Nie zdawała

sobie sprawy z tego, jak zagrożona czuła się od chwili zejścia z promu. Ze względu na Michaela. Uczucie zagrożenia nie przypadło jej do gustu.

— Dzięki, że się zjawileś — powiedziała otwarcie.

— Nie ma za co. — Andy zrobił lekko zdziwioną minę. — Gdybyś zadzwoniła do Sióstr Miłosierdzia, przysłałiby mnie tutaj, czy bym tego chciał, czy nie. Ale naprawdę chciałem wam pomóc — uśmiechnął się szeroko. — Widzisz? Nie jestem na ciebie aż tak wściekły. — Uśmiech wyparował bez śladu, gdy jego spojrzenie przeniosło się na Michaela. — Jaka jest diagnoza? Od jak dawna jest nieprzytomny tym razem?

— Nie ma żadnej diagnozy. — Margarita zacisnęła pięści, walcząc z lękiem. — Mówiłam ci, że wykopano nas z platformy. Wszystko wydarzyło się wczoraj.

— Psiakrew. — Andy posłał jej szybkie, palące spojrzenie i pochylił się nad Michaeliem.

Ignorując obie kobiety, uniósł mu powieki, zaświecił latarką w oczy, ścisnął mocno skórę między dwoma palcami i mruknął coś cicho pod nosem, gdy ręka Michaela drgnęła. Mijający ich ludzie spoglądali na niego z zaciekawieniem, zwalniając kroku, by przypadkiem czegoś nie przegapić. Czując się jak głupi dzieciak, totalnie zero wobec gniewnego profesjonalizmu Andy'ego, Margarita piorunowała ich wzrokiem. Ci, którzy przypadkiem spoglądali na nią, oddalali się w zauważalnie szybszym tempie.

Andy ściągał właśnie Michaelowi but. Przesunął kciukiem po nagim podbiciu stopy i pokiwał głową, gdy duży palec Michaela podgiął się odruchowo.

— A to po co? — Margarita pochyliła się nad jego ramieniem.

— Odruch Babińskiego. — Zerknął na nią, nie kryjąc irytacji.

— Gdyby górne neurony ruchowe zostały uszkodzone, jego stopa wygięłaby się w przeciwną stronę.

— Więc to dobry znak?

— Można tak powiedzieć. — Wcisnął jej but do ręki. — Załóż mu go.

— I co myślisz? — Usłyszała, że głos jej drży, i spróbowała wziąć się w garść.

— Nie jestem lekarzem. — Posłał jej enigmatyczne spojrzenie.

— A co mi tam, odpuszczę sobie wściekanie się na ciebie. Tym razem mogę się zmyć w dowolnej chwili, i pewnie tak właśnie powinienem postąpić. — Jego usta wykrzywiły się w grymas bardzo podobny do uśmiechu. — Co ci się stało tam na górze?

— Mi? — Margarita zamrugła zaskoczona. — O co ci chodzi?

— O nic. — Zerknął na nią kątem oka. — Tak czy owak, nie mam pojęcia, co mu jest. — Na jego twarzy odmalowało się zastanowienie. — Może to jakiś rodzaj katatonii. Układ nerwowy wydaje się w porządku, ale mogę się mylić. W karetce podłączę go do aparatury, zrobię po drodze EEG i parę innych teścików. Albo, jeśli chcesz, mogę go zawieźć do Sióstr. — Zerknął na zegarek i skrzywił się nieznacznie. — Tam będzie miał profesjonalną opiekę. O ile jest ubezpieczony. Z formalnego punktu widzenia naruszę mój kontrakt, jeśli go tam nie zawiozę — westchnął. — Trzymajcie kciuki, żebym nie dostał zlecenia podczas jazdy. — Pstryknięciem palców przywołał swój wózek. — Teraz możesz mi opowiedzieć o tym obiecującym przedsięwzięciu, o którym tak oględnie wspominałaś.

— Zrobię to. — Margarita skinęła głową, dotykając ramienia Michaela. — Najpierw badania, dobrze?

— Naprawdę się o niego martwisz, prawda? — Odwrócił się do Xii. — A tak przy okazji, jako że w tym zamieszaniu jakoś nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, jestem Andy Rodriguez.

— Xia Quejaches. — Skinęła lekko głową. — Matka Margarity. To prawda, martwi się o niego. — Robiła wrażenie zatroskanej.

— Wygląd odziedziczyłaś po niej. — Andy uniósł brwi. Jego wózek zdążył się już ustawić przy łóżku Michaela, Andy wsunął więc pod niego ręce, przenosząc go bez większego wysiłku. Unieruchomił go parcianymi pasami i ponownie pstryknął palcami. — Zaparkowałem bezpośrednio przed wyjściem.

Wózek pojechał za nim niczym wierny psiak, popiskując jednym kołem. Margarita poczuła nagłe rozdrażnienie — a może to perspektywa badań w karetce, tego, co Andy może jej powiedzieć, jeszcze zanim dotrą do szpitala, nie pozwalała jej uporządkować myśli.

Wóz Andy'ego był solidnie poobijany, przypominał karawany krążące po ulicach barrio, zbierające przegranych w nie kończącym się boju o terytorium. Czerwona oksydująca farba łuszczyła się plackami, wgniecenie na prawym boku było pozostałością po jakiejś kolizji. Margarita zajrzała powątpiewająco do środka, przyglądając się plataninie kabli, rurek i imponującej kolekcji elektroniki. Wyglądało na to, że Andy miał tutaj znacznie więcej niż tylko podstawowy sprzęt, niezbędny, by dowieźć pasażera do kliniki żywego. Nie była

pewna, czy coś z tego będzie w stanie pomóc Michaelowi. Ale przynajmniej utrzyma jego ciało przy życiu.

Wózek wgramolił się po łagodnym podjeździe i znieruchomiał w samym centrum tej technologicznej dżungli. Andy zaczął przymocowywać przyłącza do głowy, piersi i ramion Michaela.

— Gotowe. — Zapiął szeroki czarny kołnierz wokół jego szyi i podniósł się, rozprostowując rurki i przewody łączące go z szumiącym cicho monitorem. — Nie umrze nam w drodze, chyba że będzie się bardzo starał. Za parę minut będziemy wiedzieć znacznie więcej o tym, co się dzieje w jego wnętrzu. — Kącik ust zadrżał mu lekko. — Traktuję was z wszystkimi honorami. Usługi tego rodzaju zazwyczaj słono kosztują.

Drażnił się z nią — a zarazem i nie.

— Zapłacę ci — westchnęła. — Informacje, którymi dysponuję, są warte o wiele więcej.

— Nie przestajesz mnie zaskakiwać. — Tym razem w jego

uśmiechu dało się wyczuć autentyczne ciepło. Zatrzasnął tylne drzwi i zaprowadził je do pasażerskiej części pojazdu. — Zgodnie z moim kontraktem nie powinienem przewozić pasażerów, ale z reguły nigdy nie patrzę, co się dzieje na siedzeniach z tyłu. — Obszedł karetkę i otworzył drzwi od strony kierowcy.

Xia szybko spojrzała w stronę Margarity pytającym wzrokiem.

Margarita skinęła głową. Mogły mu zaufać. Bardziej niż komukolwiek innemu. Wcisnęła się na przyciasne siedzenie za plecami kierowcy. Xia poszła w jej ślady, zatraskując za sobą kanciaste drzwi. Zawiasy zgrzytnęły jeszcze gorzej niż kółka wózka. Ciekawa mieszanka starzyzny i nowoczesności. Margarita przycupnęła na jednym z dwóch rozkładanych siedzeń, szturchając kolanami Xię. W ścianie oddzielającej je od tylnej części pojazdu, gdzie leżał Michael, nie było żadnych okien, lecz część jej powierzchni zajmowały ekrany. Widniały na nich różnokolorowe liczby, domyśliła się więc, że muszą to być monitory. Metaliczny błysk przyciągnął jej wzrok. W przymocowanej do siedzenia kaburze tkwił pistolet — jeden z tych niewielkich przysadzistych automatów. Akurat ten model doskonale spisywał się w banio — nieprzyjemny i skuteczny, nawet ogniem ciągłym.

Andy wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik przy użyciu autentycznego kluczyka.

Taak, ten rupieć był naprawdę stary. Warkot silnika skutecznie zagłuszał myśli, w powietrzu unosił się zapach potu, piżmowego

płynę po goleniu, starej tapicerki i hamburgerów. Starając się nie oddychać zbyt głęboko, Margarita oparła głowę o ścianę, a przenikająca ją wibracja zaczęła działać odprężająco na mięśnie mimo targającego nią niepokoju. „Niepowtarzalna”, tak Xia określiła swoją miłość do Michaela. Margarita zamknęła oczy, przypominając sobie twarz Xii, gdy wypowiadała te słowa, i nagle zrobiło jej się boleśnie żal Sorrela.

Czy kiedykolwiek czułam coś podobnego do Katriny? Jasne, odpowiedziała w duchu, ale to było kłamstwo.

Nie rzeźbię ludzi, pomyślała Margarita i smutek tkwiący w jej wnętrzu jeszcze się spotęgował. Nie pozwoliła sobie rzeźbić ludzi.

Arrow coś kiedyś o tym wspominał. W nocy przed swoją śmiercią. Otworzyła oczy, marszcząc czoło, bo to właśnie wypadło jej z pamięci. Była wtedy na niego zła. No, cóż, wtedy wszystko ją złościło. Potrząsnęła głową z frustracją; im bardziej się starała sobie przypomnieć, tym trudniej jej to przychodziło. Może któregoś dnia w końcu jej się uda. A może to wcale nie było takie ważne. Pojazd przyspieszył niespodzianie i zakręcił ostro w prawo.

— Hej! — Margarita rozpaczliwie złapała się za oparcie fotela, niemalże lądując na kolanach Xii. — Co ty wyprawiasz?

— Trzymajcie się. — Pogwizdując bezgłośnie, Andy zmienił pas. Znajdowali się w starej części miasta, staroświeckie, wąskie ulice

zapchane były wolno poruszającymi się samochodami. Andy przyspieszył ponownie, zjechał na ostatnie kilka metrów lewego pasa i zahamował tak gwałtownie, że Margarita uderzyła barkiem o oparcie. Opony zaprotestowały z piskiem, gdy skręcili w lewo na żółtym świetle.

— Ciekawe. — Andy zerknął na ekrany deski rozdzielczej, kiwając głową. — A co tam u Michaela, wszystko w porządku? — Obejrzał się szybko przez ramię na Margaritę. — Skąd ten ogon? — zapytał twardym głosem. — Dlaczego tym razem mnie w to wciągnęłaś? Mów szybko.

— Mam przy sobie kapsułę pamięci. — Margarita zignorowała ostrzegawcze syknięcie Xii. — Są ludzie gotowi zabijać, by ją zdobyć.

Raz jeszcze skręcił w prawo, tym razem nieco wolniej, i roześmiał się gardłowo.

— Ten kowboj, który się za nami wlecze, nawet nie stara się być subtelny. Taki jest pewien siebie — wyszczerzył się. — Facet potrzebuje szybkiej lekcji pokory.

Xia warknęła coś półgłosem.

— To bierz się do niego. — Margarita pochyliła się ku niemu.

— Te informacje są wiele warte.

— Według Zeda — wyszeptała bardzo cicho Xia.

— Wiem. — I tak też było. Odrobinę nią wstrząsnęło to, jak wielu ludzi miało dostęp do wiedzy Zeda.

Andy nie powiedział, czyjej wierzy, tylko znów zaczął pogwizdywać. Teraz prowadził znacznie uważniej, wlokąc się w sznurze pojazdów.

— Pozwólmy mu wygodnie się usadowić za nami. Zaniepokoiłem go tymi zakrętami, a nie chcielibyśmy, żeby się niepokoił.

Margarita chwyciła za oparcie fotela, usztywniając plecy. Miała już dosyć tej jazdy. To Andy kontrolował sytuację, nie ona. To bardzo jej nie odpowiadało. Jakaś jej część wiła się jak na torturach, pragnąc powiedzieć mu, by się zatrzymał i dał jej wysiąść, że poradzi sobie z tym po swojemu.

„Potrafisz poradzić sobie ze wszystkim po swojemu, Margarita”, wyszeptał głos w jej głowie. „Znasz się na tym. Ale możesz pozwolić innym ci pomóc. Czasami tak właśnie trzeba postąpić”.

Głos Arrowa. Coś poruszyło się w jej pamięci — alpejska łąka skąpana w blasku zachodzącego słońca, coś o ludziach. Potem wszystko znów jej się wymknęło.

— Dobra. — Andy uśmiechnął się szeroko, hamując łagodnie.

— Jesteśmy na miejscu. Siostry Miłosierdzia wykupiły ten stary pasaż handlowy.

Karetka podskoczyła na niskim krawężniku i skierowała się do wjazdu do podziemnego garażu.

— Hej. — Margarita pochyliła się do przodu, gdy samochód pognął w dół pochylni. — Jesteś pewien? — Mrużąc oczy, próbowała przeniknąć wzrokiem otaczający ich półmrok. — Kto wie, na kogo możemy tu wpaść.

— Szpital opłaca ochroniarzy. Miejscowe bandziory. Powiedziałem ci, że jesteśmy w lepszej części miasta. — Mrugnął do niej z zawadiackim uśmiechem. — Znam tylne wejście, a kiedy ten facet w końcu się tu dowlecze... — Przerwał i używając obu rąk, przeprowadził karetkę ciasną spiralą rampy; ryk silnika w betonowej hali nie przyniósłby wstydu startującemu odrzutowcowi — .. .będziemy już

daleko stąd.

Możliwe. Kwadratowe betonowe słupy przesuwają się za oknami, pokryte warstwami graffiti niczym naskalnymi malowidłami, okopcone dymem. Po kątach śmieci gromadziły się w sterty na

podobieństwo suchych liści: plastik, poszarpane szczątki śpiworów, pleśniejące ubrania. Zanim miejscowe bandziory ich stąd przegnały, musieli tu nocować bezdomni. Wśród cieni zaparkowanych było kilkanaście samochodów: szczupła kobieta paliła skręta albo papierosa, miała na sobie biustonosz i dżinsy, pod pachą trzymała poobijanego uzi. Niezupełnie celowała w ich stronę, ale nie można też było powiedzieć, że tego nie robiła. Karetka, podskakując, wjechała na krótką, stromą pochylnię. Jaskrawy słoneczny blask oślepił ją, gdy wyjechali na wąską uliczkę, i Margarita zamrugła, przymykając powieki.

— A tamta kobieta na dole nie pokaże im przypadkiem, którzy mają jechać?

— Nie. — Andy zanurzył rękę pod siedzeniem i wyciągnął garść kolorowych żelków. — Angele mnie lubi. Więc w ogóle nas nie widziała. — Wsypał sobie wszystko do ust i zaczął żuć zamasyście. — Chcesz parę? — Pokazał jej plastikową torebkę.

— Dzięki, Andy. — Margarita potrząsnęła przecząco głową. — Za zgubienie tego ogona.

— To już drugi raz. — Andy zerknął na nią uważnie.

— Co drugi raz?

— Drugi raz powiedziałaś do mnie „dzięki”. — Przełknął cukierki i sięgnął ponownie do torebki. — Z tego, co widzę na ekranie, mogę wnioskować, że Michael zapadł w swego rodzaju katatonię. Podstawowe parametry wyglądają w porządku, odruchy w normie, źrenice reagują na światło, żadnych objawów odmóżdzenia. — Ruchem głowy wskazał na deskę rozdzielczą. — Do tego zadowalające EEG.

— Co to oznacza? — ścisnęła mocniej oparcie.

— Że Siostry zapewne nie będą w stanie wiele mu pomóc. — Xia zmrużyła oczy. — Oprócz podania mu kroplówki i oczekiwania, aż sam się ocknie.

— Raz w tygodniu będą pobudzać jego mięśnie elektrowstrząsami, żeby nie uległy atrofii. Mogliby zrobić więcej, ale jego ubezpieczenie jest co najwyżej średniej klasy. To też zdążyłem już sprawdzić. — Andy wzruszył ramionami, omijając guzdrzący się

przy krawężniku autobusu. — Niczego więcej nie zrobią. Nie jestem tylko zwykłym kierowcą karetki, wiesz. — Uśmiechnął się przez ramię do Margarity. — I nie wybrzydzą nad pakietem ubezpieczeniowym pacjenta tak bardzo jak federalne kliniki.

Był nielegalnym lekarzem. Wiedza płynąca z praktyki — bez dyplomu, bez licencji. To tłumaczyłoby sprzęt w jego karetce. Margarita pokiwała głową, jako że w barrio nie można było liczyć na wiele więcej. W zamian za swoje usługi przyjmował czarnorynkowe pieniądze i towary. Nic dziwnego, że woził ze sobą broń. Margarita przegnała sprzed oczu nieoczekiwany widok twarzy Michaela pracującego nad słowami do ich duetu na scenie Dannersa.

— Ktoś musi coś dla niego zrobić. — Usłyszała panikę w swoim głosie i spróbowała nad nią zapanować. — Zawieź nas do Sióstr.

— Nie. — Xia wyprostowała się gwałtownie. — Jeśli to zrobisz, podłączą go do swoich maszyn i już nigdy do nas nie wróci. Nie tędy droga, Rita.

Margarita spojrzała na nią zdumiona, nie spodziewając się po niej takiej pasji. Andy też im się przyglądał, obserwował je we wstecznym lusterku.

— Siostry nic tu nie poradzą, ale Michael wciąż tam jest — ciągnęła dalej Xia tym samym namiętym tonem. — Ja to wiem. Ukrywa się, a ja nie mam pojęcia dlaczego. Jeżeli mu pozwolimy, będzie się ukrywał bez końca. Nie. — Splotła ramiona na piersiach. — Żadnego szpitala. Ja się nim zaopiekuję. — Jej lśniąco oczy spoczęły na Andym. — Potrzebny mi będzie fotel reanimacyjny. Trzeba mu podłączyć kroplówkę i sondę do karmienia. Owszem — uśmiechnęła się szeroko do Andy'ego. — Też kiedyś pracowałam w tym fachu. Ty wszystko popodłączasz, a ja się zajmę pielęgnacją.

— Jak sobie życzysz — odpowiedział z szacunkiem w głosie Andy.

Miała rację. Margarita opadła ciężko na siedzenie. Ale bezbronność Michaela niepokoiła ją. Może dlatego, że w dzieciństwie sama była podobnie bezbronna. W pewnym sensie miłość też była stanem swego rodzaju bezbronności. Czy to dlatego nie dopuszczała do siebie miłości Katriny?

— Fotel reanimacyjny, jedna sztuka, zgodnie z zamówieniem — oznajmił wesoło Andy.

— Świetnie. — Xia wyprostowała się sztywno, przyciskając dłonie do kolan. Jej profil, ostry niczym wyrzeźbiony z agatu, mógł równie dobrze należeć do jakiejś starożytnej bogini.

Wypełnionej siłą, której ona sama, być może, nigdy w sobie nie znajdzie. Margarita westchnęła.

— Kiedy już zapewnimy Michaelowi właściwe warunki, będziemy potrzebowali wejścia do sieci — powiedziała. — Wtedy dam ci tę kapsułę.

Andy zabrał ich do swojego mieszkania. Jeszcze w karetce przeniósł Michaela na wynajęty przez Xię fotel reanimacyjny i zapiął mocowania. Michael, odrobinę odchylony do tyłu, przypominał czyjegoś chorego dziadka przed wyjściem na spacer w słoneczny dzień. Plastikowa torba, do której uchodził cewnik, ukryta była pod siedzeniem, a rurki przykrywało owinięte wokół nóg Michaela prześcieradło. Andy rozwarł tylne drzwi pojazdu i fotel powoli wypełził po pochylni na ulicę.

— Dziękuję — powiedziała do niego Xia. — Za wszystko. Przez krótką chwilę, gdy stała tak z podniesioną głową, emanując

spokojem i siłą, znów stała się młoda. Andy milczał przez parę sekund, potem się skłonił, schylił do jej dłoni i ucałował ją.

— Nie ma za co. — Odwrócił głowę, na jego twarzy malowało się coś, co mogło być żalem. — Nie liczcie tu na luksusy. — Skinął głową w stronę odrapanego budynku mieszkalnego pochylającego się nad chodnikiem. — Ale jest tanio, a w dodatku mogę parkować na ulicy. Za drobną opłatą na konto miejscowego gangu — uśmiechnął się szeroko i wprowadził swój kod osobisty na przestarzałym ekranie zamontowanym przy drzwiach pancernych.

Budynek był stary, o murach z kamienia później dostosowanych do wymogów współczesnego miejskiego życia. Co oznaczało brak okien na czterech pierwszych kondygnacjach, ze względów bezpieczeństwa. Mieszkańcy mieli do wyboru kolekcję holograficznych

krajobrazów. Ciekawe, na co decydowali się poszczególni lokatorzy, zastanowiła się nagle Margarita. Oto temat do badań etnodemograficznych: jeśli mieszkasz w takim miejscu, pracując za psie pieniądze od siódmej do piątej, co chciałbyś zobaczyć za oknem?

Szczęknął zamek, drzwi otworzyły się do wewnątrz. Xia i fotel podążyli za Andym do środka, lecz Margarita zawahała się na mgnienie oka, gładząc czubkami palców szare kamienne bloki. Drobniutkie płatki miki migotały w słońcu. Ile miały lat? Miliard? Coś podobnie starego wykazywałoby absolutny brak zainteresowania ludzkością. Dobrze było być kamieniem. W ślad za pozostałymi przekroczyła próg.

Otoczyła ją woń wilgotnej ziemi, rozkładających się liści i róż,

gęsta niczym stojąca woda. Margarita zatrzymała się zaskoczona. Wnętrze starego budynku zostało kompletnie przebudowane w próbie uczynienia z niego miniaturowej archologii. Pomysł był ciekawy, lecz zrealizowany bez konsekwencji. Zmrużyła oczy w wątpliwym oświetleniu. Na wysokim suficie płonęły potężne halogenowe reflektory — kosztowna imitacja dziennego światła, nawet przy wykorzystaniu do maksimum dopuszczanej przez prawo powierzchni baterii słonecznych. Wiele z nich się stopiło, a nikt najwyraźniej nie przejmował się ich wymianą. Wrzecionowate, wygłodzone brakiem światła rośliny owijały się wokół praktycznie bezlistnych drzew, ścieżki pomiędzy klombami o nieregularnych kształtach pokryte były dywanem martwych liści. Liście wypełniały też koryto przecinającego dziedziniec niewielkiego strumyka, zielone wodorosty pokrywały powierzchnię martwych sadzawek.

Od tej różanej woni Margaricie zakręciło się w nosie. Przystanąła przy niewielkiej betonowej fontannie zapchanej martwymi liśćmi, gdzie maleńka zielona żabka nie większa od jej paznokcia przycupnęła na wymiętej, zanurzonej w wodzie prezerwatywie.

— Andy, mam u ciebie dług za to, że zostałeś w pracowni Dannersa, i za dzisiaj. — Delikatnie szturchnęła żabkę i przyglądała się, jak ucieka zamasytymi susami. Powierzchnię wody zmaciły rozbiegające się ku krawędziom fontanny kręgi. — Zed powiedział mi, że ta kapsuła zawiera wskazówki umożliwiające ujawnienie

dużego przekreślenia w sieci. Archenwald-Shen macza w tym palce. Tak czy owak, jest teraz twoja.

— Zastanawiałem się, czy Zed bierze w tym udział. — Andy podszedł bliżej i zatrzymał się krok za nią. — Dlaczego sam z niej nie skorzysta? I skąd wiesz, że nie sporządził zapasowej kopii?

— Zed nie żyje. — Żabka zniknęła wśród cieni. Margarita podniosła głowę i zatrzymała spojrzenie na twarzy Andy'ego. — Odnalazł... głos, który usłyszał razem z Michael'em. To go zabiło. — A przynajmniej jego ciało. — Tak jak S'Wannę i pozostałych rzeźbiarzy. To rzeczywiście obca forma życia. A przynajmniej coś w tym rodzaju.

Twarz Andy'ego pozostała bez wyrazu.

— W to ostatnie nie musisz wierzyć. Zed uważał, że te dane są bardzo dużo warte. — Wsunęła dłoń do kieszeni i wyłowiła z niej kapsułę. — Uważał nawet, że dzięki niej będzie w stanie zaszkodzić Shenowi.

Andy dobrze wiedział, co to oznaczało. Bez trudu była w stanie wyczuć jego podniecenie, niemalże pożądanie, gdy wpatrywał się w kapsułę na jej dłoni. Xia też jej się przyglądała, ukrywając swe

myśli pod zasłaniającą twarz maską.

— Proszę tylko o dwie rzeczy. — Spojrzała Andy'emu prosto w oczy. — Odszukaj Katrinę Luomę. I... zaopiekuj się Michaeliem, do czasu gdy wrócę.

— Nie. — Oboje aż się wzdrgnęli na dźwięk słów Xii. — Ta kapsuła to sprawa między wami, Katriną i Archenwald-Shenem. Zabieram Michaela do Taos. — W jej oczach kłębiły się cienie. — Miał tam swój ogród. Swój kamienny ogród. Myślę, że nadal tam jest, choć sam Michael go porzucił. Wypełniony echem minionych dni. Może te echa zdołają ściągnąć go z powrotem.

Linie jej twarzy były nieskazitelnie symetryczne i eleganckie niczym wyrzeźbione z polerowanej kości słoniowej. Gdy Xia na nią spojrzała, Margarita poczuła, że słowa sprzeciwu grzęzną jej w gardle. Przeszłość istniała dalej, a w ogrodzie Michaela najłatwiej będzie ją odnaleźć. Poczuła coś pośredniego między smutkiem a zazdrością. W tej przeszłości nie było dla niej miejsca.

— Zgoda. — Zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową. — Przyjadę do Taos. Kiedy to się skończy.

— Skoro tak chcesz. — Xia wytrzymała jej wzrok przez długą chwilę, potem przeniosła spojrzenie na Michaela. — Wyjedziemy jutro. Zarezerwuję dla nas miejsca na nocny lot.

— Glinom pewnie bardzo zależy na spotkaniu z Michaeliem Tryonem — stwierdził Andy, nie odrywając spojrzenia od upstrzonego halogenami stropu. — Nie należy do ich ulubieńców.

— Mam swoje dojścia. — Xia pokiwała głową. — Damy sobie radę.

— Xia? — powiedziała Margarita i zaraz zamilkła, wiedząc, że Xia ma rację. A z dala od niej tak Michael jak i ona będą znacznie bezpieczniejsi.

— Mam nadzieję, że Michael usłyszy te echa. — Andy spojrzał Xii prosto w oczy. — Mam nadzieję, że się obudzi. Był... dobry.

Epitafium? Z takiego Michael na pewno by się ucieszył.

— Dlaczego to robisz, Xia? — wyszeptała miękko Margarita.

— Dlaczego teraz znów jest to dla ciebie takie ważne?

— Już ci powiedziałam. — Xia odwróciła się szybko w jej stronę, jej ciemne oczy rozświetlił taki ogień, że Margarita odruchowo się cofnęła. — Jeśli ktoś go nie przywoła, będzie się tak ukrywał do końca życia. — Uciekła wzrokiem w bok. — Jestem mu to winna.

Kogo ty kochasz, Margarita?

— Arrowa. — Odpowiedź wstrząsnęła nią, odruchowo zapragnęła ją odwołać, zaprzeczyć. Przecież kocham Katrinę, pomyślała, i to także było prawdą. I uciekła od obojga. Margarita odwróciła się od Xii. — Jeśli mamy to rozgryźć, bierzmy się do pracy.

— Windy są tutaj. — Andy skinął głową. — Mieszkam na dziesiątym.

Gdy wolno ruszyli zaśmieconą ścieżką, gęste, przesycone wilgocią powietrze otuliło Margaritę niczym koc. Bujna roślinność i wilgotne powietrze przywołały nieprzyjemne wspomnienie hydroponicznej farmy na platformie, i z niepokojem przesunęła wzrokiem po cieniach zalegających pod zapuszczonymi krzewami. Usytuowany centralnie szyb windy zbudowany był z gigantycznych stalowych

kolumn, ich lśniąca powierzchnię pokrywały zielone i brązowe plamy alg. Za nim różane krzewy, które od wieków nie zaznały sekatora, rozrastały się we wszystkich kierunkach kolczastą gęstwiną. Zawieszony nad nimi reflektor nadal funkcjonował, i na najwyższych gałązkach aż się roiło od niewielkich czerwonych kwiatków. Wilgotne powietrze przesycone było ich wonią, subtelną purpurową nicią w mrocznym kobiercu ziemistego rozkładu.

Oświetlenie nad ścieżką nie działało, i gęste cienie gromadziły się wśród splątanych, wygłodniałych światła roślin.

— To coś nowego — westchnął Andy, zadzierając głowę. — Niedługo będziemy tu potrzebowali latarek.

W poprzek ścieżki leżała gałąź, na tyle duża, by uniemożliwić fotelowi przejazd. Margarita się pochyliła, by ją podnieść.

— Nie rób żadnych gwałtownych ruchów — powiedział cicho Andy. — Mamy towarzystwo.

Ton jego głosu sprawił, że Margarita poczuła przebiegający po karku dreszcz. Wyprostowała się powoli. Od plątaniny liści i gałęzi przerośniętych krzewów oddzielił się niewysoki cień, wyszedł na oświetloną przestrzeń i przeistoczył się w niskiego żylastego mężczyznę o starannie ufryzowanych czarnych włosach i napiętej twarzy.

Wzrok Andy'ego spoczywał na trzymanej przez niego broni. Xia również nie odrywała od niej oczu. Pistolet kapsułkowy — zbyt wyrafinowany, by znaleźć zastosowanie w barrio. Stare spluwy były znacznie tańsze i łatwiejsze do zdobycia. Ta zabawka strzelała maleńkimi kapsułkami wypełnionymi łatwo rozpuszczalnym nośnikiem. I substancją chemiczną, której wybór zależał wyłącznie od kaprysu strzelającego.

— Proszę się nie ruszać — powiedział mężczyzna ze śladowym obcym akcentem i uśmiechnął się, obnażając idealne białe zęby. — To syntetyczna kurara. — Bardzo ostrożnie poruszył pistoletem. — Działa bardzo szybko. Nie zostawia mikrośladów.

Margarita spojrzała mu w oczy i zadrżała. Widywała im podobne w barrio: inteligentne, całkowicie panujące nad sytuacją, bezlitosne. Gdyby został zmuszony, by ich zabić, nie zawahałby się ani przez moment.

— Poproszę o kapsułę — powiedział. — Migiem, bo inaczej zabiję was wszystkich i sam ją zabiorę.

— Jesteś Thomas Ariades. — Strzelała na oślep, ale jego zaskoczona mina zdradziła go, choć zaraz na powrót zapanował nad mięśniami twarzy. — Pracowałeś dla Shena przed Zedem. To ty zabiłeś Ariego Yiassisa. — I Katrinę? Nie była w stanie tego powiedzieć, bo jego reakcja udzieliłaby ostatecznej odpowiedzi na jej wątpliwości. — Zed poradził sobie znacznie, lepiej od ciebie z zawartością tej kapsuły. — Musiała improwizować, powiedzieć coś, co wytrąciłoby go z równowagi i zarobiło dla nich trochę bezcennego czasu. — Przekazał mi wiadomość dla ciebie, na wypadek gdybyś dał radę mnie odszukać.

— Nie wrócił z wami z pasa asteroidów. — Jego twarz pozostała beznamiętna, lecz Margarita dostrzegła maleńki błysk w jego oczach. — Jest martwy.

— Ależ nie. — Margarita się uśmiechnęła, dając się ponieść instynktowi chwili. — Jest właśnie tutaj.

— Za moimi plecami, zgadza się? Błagam cię. Nie jestem głupi.

— Owszem, za twoimi plecami — uśmiechnęła się ponownie, gdyż to była prawda, i Ariades usłyszał ją w jej głosie.

Prawie się obejrzał i wtedy Xia skoczyła ku niemu, sięgając palcami oczu. Ariades okręcił się na pięcie, kierując na nią wylot swej broni, nie spiesząc się z oddaniem strzału.

Margarita cisnęła w niego kapsułą.

Uderzyła go w skroń i Ariades drgnął mimowolnie. Gdy rzuciła się w jego stronę, kątem oka dostrzegła jeszcze rozpędzonego Andy'ego. Za mało czasu, pomyślała i na ułamek sekundy poddała się rozpacz.

Lecz Ariades się zawahał, przez bezcenną sekundę jego oczy skierowane były na znikającą wśród roślinności kapsułę. Margarita

poderwała lewe ramię do góry i odbiła w bok jego uzbrojoną rękę. Ariades stęknął, gdy uderzyła go barkiem, usiłując odzyskać równowagę i zwrócić na nią broń. Zdzieliła go pięścią w brzuch, lecz trafiła za wysoko, objając sobie dłoń o jego żebra. Wtedy Andy złapał go i zawinął nim w bok. Pistolet poleciał w krzaki, a gdy

Ariades upadł, Andy ze wszystkich sił uderzył go splecionymi dłońmi w podbródek.

Uliczny zabijaka, pomyślała Margarita.

Głowa Ariadesa odskoczyła do tyłu, mężczyzna krzyknął miaukliwie. Wymachując bezładnie rękami, runął na wznak w krzaki, jęknął jeden raz i znieruchomiał.

Zadyszany Andy posłał jej zawadiacki uśmiech.

— Nie tak szybko — powiedziała cicho Xia. Potem wskazała w bok ponurym ruchem głowy.

Margarita odwróciła się, uczucie triumfu rozsypało się w suchy pył zmęczenia. Oczywiście, ten sukinsyn nie mógł być sam. Potem wytrzeszczyła w zdumieniu oczy.

Na ścieżce stał Archenwald-Shen.

— Bardzo ładnie — uśmiechnął się do Margarity. — Byłaby z ciebie dobra tancerka. Taka jak twoja matka. — Skinął niedbale głową w stronę Xii. — Pani Quejaches, zechce pani podnieść kapsułę i przynieść ją mnie.

O ile Margarita mogła to ocenić, nie był uzbrojony, ale nie była tak głupia, by zakładać, że się nie zabezpieczył bardzo, bardzo starannie. Andy musiał dojść do identycznych wniosków, gdyż stał w całkowitym, absolutnym bezruchu.

— Nie — powiedziała cicho Xia. — Odpierdol się, sieciograjku. Uniosła głowę,)cj oczy wypełniła ciemność. Owszem, patrzyła

na Shena, ale widziała coś więcej. Co takiego? Życie spędzone na ucieczce, od którego nareszcie mogła się wyzwolić? Samobójstwo, Xia? Tak, pomyślała Margarita. Wyczuwam to w tobie, tak jak wyczuwałam to w Zedzie. Miał rację, mówiąc, że wszystko jest na wyciągnięcie ręki — przeszłość, terażniejszość, przyszłość. Przez jedno oszałamiające mgnienie oka była w stanie ogarnąć wszystko: miłość Xii i Michaela sprzed tak wielu lat, ukryte cierpienie Zeda obserwującego z cienia Michaela i Margaritę tworzących tak, jak jemu nie było dane. Mogę się stać każdym, pomyślała Margarita. Dzięki Kamieniom, dzięki ich dotykowi. A może właściwie była każdym. Ta myśl przeraziła ją, jak gdyby obejrzała się przez ramię

i odkryła, że wisi nad bezdenną otchłanią. Rozpaczliwym wysiłkiem

skoncentrowała się na Zedzie, na wspomnieniu jego twarzy, tęsknoty, gniewu. Nie skłamała Ariadesowi, mówiąc, że Zed jest za nimi.

— Przestańcie! — powiedziała.

Xia i Shen wzdrygnęli się jednocześnie i odwrócili w jej stronę, nadal o krok od nieodwracalnego.

— Ja ją przyniosę. — Poruszając się bardzo ostrożnie, by nie spłoszyć niewidocznych ochroniarzy Shena, pochyliła się, macając wśród gnijących liści. Przez krótką chwilę myślała w panice, że jej nie znajdzie, lecz jej palce zaraz natrafiły na niewielką gładką kulkę. — Proszę. — Wyprostowała się i niedbale rzuciła ją Shenowi. — Jest twoja. — Spojrzała z uśmiechem w jego zimne oczy. — Możesz ją zniszczyć. To bez znaczenia.

Jego oczy odrobinę się zwężyły.

— Dlaczego? — Starannie przemyślane pytanie ociekające niewypowiedzianą groźbą.

— Bo zdążyłam wejść do danych Ariadesa. I skopiowałam je w kilka sympatycznych, dobrze zabezpieczonych miejsc. Wszystkich nigdy nie zdołasz odnaleźć — uśmiechnęła się do niego. — A jeśli mnie zabijesz, odpowiednie ich fragmenty trafią do właściwych ludzi. Uzyskają dowody na to, że masz dostęp do ich zasobów sieciowych, i twój dochodowy przekręt dobiegnie końca.

— Nie wierzę ci. — Nie odrywał od niej wzroku, zastanawiając się pospiesznie. — Obserwowałam was bardzo uważnie, pani Espinoza. Odkąd porzuciła cię kochanka, na sieci korzystałaś wyłącznie z poczty.

Wiedział tak cholernie dużo. A zarazem tak niewiele.

— Masz rację, ja nie rozesłałam tych danych — uśmiechnęła się do niego. — Ale jestem też Zedem. A Zed zdążył to zrobić. — Na statku Sorrela, pojedynczym, skompresowanym, starannie zabezpieczonym sygnałem. Ponieważ Zed zawsze miał w zanadrzu plan awaryjny. — Pamiętam cię, Gunner. — Podeszła do niego, stając się pamięcią Zeda. Rzeczywiście, wszystkie mury znikwały w chwili, gdy świadomie zaprzeczyło się ich istnieniu. Wspomnienia Zeda, jego przeszłość, były teraz równie wyraźne jak jej własne. — Pamiętam, gdy pierwszy raz dotknęłam Kamienia. W twojej obecności. Wtedy

zacząłeś mnie kochać i nienawidzić, zgadza się? — Musnęła jego policzek czubkami palców, gestem Zeda. — Bo potrafiłam to robić, a ty nie, choć bardzo tego chciałeś. Nie umiałeś dotrzeć do tego, co

Kamienie kryły w swym wnętrzu. Ale do mnie umiałeś dotrzeć. Miłość i nienawiść. To dwa oblicza tego samego uczucia, Gunner. Shen odskoczył jak oparzony przed jej dotykiem, na najkrótszą z chwil jego twarz zamieniła się w maskę najczystszej rozpacz.

— Nie wierzę ci — wykrztusił ochryple.

— Przejrzałam wszystkie dane. Malezyjska Free-Market Web, Arce Moreno Minera! Exploits, Tanaka-Pacific...

— Przestań. — Podrzucił kilkakrotnie kapsułę w dłoń, przypatrując się jej ze zmarszczonym czołem. Potem wrzucił ją do sadzawki. Wpadła do wody z cichym pluśnięciem i natychmiast zatoneła, pozostawiając po sobie kilka pęcherzyków powietrza. — A więc mamy sytuację patową. — Spojrzał na nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy. — Na twoim miejscu uważałbym, żeby nie przesadzić.

— Pragnę dwóch rzeczy. — Wytrzymała jego wzrok. — Końca handlu Kamieniami i bezpieczeństwa dla Katriny Luomy.

— Dlaczego końca handlu Kamieniami? — Nie zdołał ukryć zaskoczenia.

— Obiecałam to Michaelowi. Możesz to zrobić, bo jesteś jedynym faktycznym dostawcą.

Nie zaprzeczył temu.

— Dlaczego?

— Zabiły Zeda. — Spojrzała mu w oczy i przez krótką, okropną chwilę poczuła jego ból. Czasami jesteśmy tacy pokręceni, pomyślała ze smutkiem. Miłość, nienawiść, kiedy próbujemy je rozdzielić, wyrządzamy sobie największą krzywdę.

— A więc nie żyje. — Operator odwrócił wzrok. Co wspominał w tej chwili?

— Jego ciało znajduje się na tej samej orbicie co Vildorn albo na bardzo zbliżonej. I jest teraz mną, Gunner — powiedziała to głosem tak cichym jak szelest dotykających się palców. — Oraz tobą, jeśli pozwolisz sobie to zrozumieć.

Twarz Archenwald-Shena zadrżała, a potem zakrzepła w kamień. Nie, ten człowiek nigdy nie będzie potrafił zburzyć wzniesionych przez siebie murów.

— Kamienie znikną z rynku do chwili pierwszego przecieku informacji z tej kapsuły — powiedział lodowatym tonem. — Bez-

pieczeństwo jest pojęciem subiektywnym. Podobnie jak ty, nie jestem w stanie zagwarantować, że twoja kochanka będzie zawsze bezpieczna. — Ariades jęknął przeciągle; Shen zerknął na niego bez cienia emocji. — Ale to już nie przysporzy więcej kłopotów ani mnie, ani tobie. — Odwrócił się i odszedł.

Margarita westchnęła i usiadła na ścieżce, czując narastające drżenie kolan. Jeśli Katrina jeszcze żyła, nic już jej nie groziło. Mogłabym sprawdzić, czy żyje, pomyślała otepiąle. Gdybym sobie na to pozwoliła, mogłabym stać się nią.

Ale gdyby rzeczywiście to zrobiła — zburzyła wszystkie ograniczenia — sama być może rozplynęłaby się w morzu ludzkości. Czy to właśnie przydarzyło się Michaelowi? Westchnęła ciężko.

— Co to, kurwa, było? — Andy wypuścił powietrze z płuc z głośnym sapnięciem. — To ci dopiero przedstawienie. — Zerknął w stronę sadzawki. — A mi wciskałaś kit, że to jedyna kopia. Nazwałbym cię suką, ale chyba właśnie uratowałaś mi dupsko. Więc tego nie zrobię.

— To nie było przedstawienie, prawda? — zapytała cicho Xia, przyglądając się jej uważnie.

— Nie. — Margarita nie była pewna, czy aby zaraz nie zemdleje. Jesteśmy tacy zamknięci w sobie... Z wyboru, pomyślała ze smutkiem. Z konieczności. — Zed zdążył skopiować dane. Dopiero teraz się o tym dowiedziałam. — Świadomość Kamienia dotknęła ją, i w jakiś sposób otworzyło to przed nią dostęp do jego wspomnień, usunęło przynajmniej te ograniczenia. Ale na więcej nie była przygotowana. Nie teraz, być może nigdy. — Zed nigdy nie podejmował niepotrzebnego ryzyka — powiedziała.

Xia się pochyliła i zanurzyła rękę w mętnej sadzawce, próbując wyłowić kapsułę.

— Będziemy tego potrzebować?

— Nie. — Margarita spojrzała matce w oczy i znalazła w nich zrozumienie. — Spędziłaś wiele czasu w kamiennym ogrodzie Michaela. Czulaś je tam, prawda? Ich głosy?

— Ty naprawdę masz dostęp do wspomnień Zeda— stwierdziła cicho Xia.

— W pewnym sensie jestem Zedem. — Ponieważ z perspektywy Kamieni przeszłość pojedynczych ludzi stapiała się w jedną wspólną przeszłość. — A przynajmniej wiem, gdzie ukrył kopie tych danych.

— Cóż, słowa z tego nie rozumiem. O, kurwa. — Andy ostrym szarpnięciem głowy wskazał na drzwi wejściowe. — Powinienem się już nauczyć, że twoje towarzystwo nie jest dla mnie zdrowe, Espinoza.

Na dziedziniec wchodzili gliniarze. Trochę zamieszania na wypadek gdyby jednak postanowili pójść za Shenem?
Xia stanęła obok niej i westchnęła:

— Nienawidzę glin.

— Ja też — odparła Margarita i cicho się roześmiała. — Może to dziedziczne.

Rozdział dziewiętnasty

Margarita siedziała na twardej pryczy w swojej celi, wpatrując się w szarożółtą ścianę. Framugę drzwi gęsto pokrywały ślady brudnych palców, z rogów sufitu spoglądały na nią wścibskie kamery. W celi śmierdziało starym moczem, wymiocinami, kwaśnym, stęchłym zaduchem beznadziejności. Biurokratyczne bagno okazało się znacznie gorsze, niż oczekiwała, a oczekiwała naprawdę ciężkich chwil. Gliniarze nie byli szczególnie zachwyceni sposobem, w jaki ona, Michael i Zed opuścili po angielsku pracownię Dannersa. I bardzo zależało im na tym, by podała im obecne adresy Michaela i Zeda.

Miejsce pobytu Zeda wyjawiała im ze szczerą ochotą. A przynajmniej miejsce pobytu jego ciała. Tyle że jej nie uwierzyli. Znów

uaktywniły się w niej odruchy wyniesione z dzieciństwa, i zachowania rodem z barrio sprawiły, że nie obchodzono się z nią szczególnie uprzejmie. Ani delikatnie. Odruchowo potarła obolałe, posiniaczone miejsce nad lewym łokciem. Tani prawnik, którego wynajęła, nie wydawał się zbyt zaniepokojony, ale jego wynagrodzenie nie zależało od tego, czy Margarita wyląduje w więzieniu, czy też nie.

Ciekawe, czy wypuścili Xię. Ciekawe, co zrobili z Michaelem.

Nikt nie przejmował się tym, by cokolwiek jej powiedzieć.

Kamery wgapiały się w nią spod sufitu niczym nie mrugające, szklane oczy. Nie patrzyła w ich stronę, ale musiała bardzo się hamować, by nie pokazać niewidocznemu obserwatorowi środkowego palca. Tak łatwo było powrócić do zagrań z dzieciństwa, zapomnianych, wydawałoby się, zachowań, które jedynie pogarszały jej położenie. Arrow wpoił w nią odmienne podejście: nic nie szkodzi zastosować się do narzuconych przez kogoś innego zasad, byleby prowadziło to do osiągnięcia zamierzonego celu. I jeśli cena nie była zbyt wysoka.

Nigdy nie opowiadała Arrowowi zbyt wiele o swoim dzieciństwie i teraz przeszył ją nagły żal, że z własnej woli zdecydowała się wtedy na milczenie. On jeden mógłby ją zrozumieć. Ale uszanował jej milczenie, zawsze starannie omijał zakazane tematy. Teraz zapragnęła niespodzianie i mocno, by wtedy okazał się odrobinę mniej delikatny. Może jego wrodzona wnikliwość pozwoliłaby mu pomóc, otworzyłaby jej drogę do zagrzebanego głęboko cierpienia, które później oddzieliło ją od Katriny. Margarita podwinęła nogi pod siebie, zduszając nagłą potrzebę zerwania się z miejsca. Milczenie w kontaktach z Arrowem było błędem. Podobnie jak odmowa opowiedzenia Michaelowi o swojej przeszłości.

Jej wargi zadrżały, poruszyła się nerwowo na pryczy. Arrow ostatecznie zaakceptował jej bunt. Tak jak Katrina. I straciła ich oboje. Margarita spojrzała w szkliste oko kamery. Zapewne nikt jej nie obserwował. System nadzorowany był przez program komputerowy, który analizował zachowanie więźniów i porównywał z narzuconymi z góry parametrami, podnosząc alarm, gdy ktoś zachowywał się nietypowo. Cholerna automatyzacja, pomyślała z go-

ryczą. Wrzucasz ludzi do systemu z jednej strony, a po jakimś czasie są wypływani z drugiej. Nikt nie musi się przejmować tym, co dzieje się z nimi po drodze. Oprócz paru strażników w gumowych rękawicach gotowych zaryzykować zetknięcie się z najnowszym wirusem mnożącym się w brudnych zakamarkach miasta. Cała reszta — postawienie w stan oskarżenia, przesłuchanie w sprawie kaucji, proces — odbywała się na ekranie, bezboleśnie, bezpiecznie, sterylnie.

Mogłaby to również zawrzeć w jakimś holo, kiedy już skończy platformę — wymieszać elegancki montaż czystych, górskich obrazów z okruciami miejskiego rozkładu, jak gdyby ktoś szurający butami wśród pięknych jesiennych liści natrafił nagle na truchło zdechłego kreta z oczodołami pełnymi robaków. To byłoby coś nowego. Taak, jej proekologiczna widownia byłaby tym równie zachwycona jak mieszkańcy platform po obejrzeniu jej wizji ich orbitalnego środowiska. Uśmiechnęła się ironicznie. Gdyby udało jej się zharmonizować ciemność ze światłem, może sprawiłoby to, że publiczność spojrzałaby na świat z nieco odmiennej perspektywy.

Czy mogła sobie pozwolić na wywoływanie zakłopotania wśród widzów? Holotury nie można było uprawiać na chodniku.

Lecz podniecenie bulgotało w jej żyłach niczym bąbelki w szampanie, nie zamierzając przygasnąć. Zrób to. Zaryzykuj, bo to będzie dobre.

Zamek szczęknął metalicznie.

— Espinoza. — Strażnik w rękawicach nie miał na twarzy maski

i robił wrażenie znudzonego. — Idziemy.

— Dokąd? — Podniosła się, nie spodziewając się, by jej odpowiedział, obserwując go kątem oka, choć głuszak wisiał mu nieszkodliwie u pasa.

Ku jej zdumieniu uzyskała odpowiedź.

— Na wolność. Swoje rzeczy możesz odebrać w recepcji.

A więc prawnik należycie ich przycisnął, a może znudziło im się czekanie, aż zdecyduje się podać im te adresy. Ogarnęło ją uczucie ulgi, gdyż nigdy nie miała szczególnego zaufania do maszyny wymiaru sprawiedliwości. Pozwoliła, by strażnik przeprowadził ją ciemnym korytarzem, nie mogąc się doczekać opuszczenia tego miejsca.

Znudzona recepcjonistka podała jej zamkniętą plastikową torbę mieszczącą wszystkie przedmioty odebrane jej w chwili aresztowania. Nie było tego wiele. Margarita rozerwała ją i wysypała zawartość na biurko, zapracowując na pełne irytacji spojrzenie kobiety. Dało się zauważyć, że niedawno opłaciła sobie rekonstrukcję kosmetyczną w polinezyjskim stylu, z subtelną afrykańską domieszką — wysokie, grube kości policzkowe, sztywne, czarne, proste jak drut włosy, odrobinę za grube wargi. Taki wygląd był teraz w modzie, spotykało się go na każdym kroku. Margarita zastanowiła się przelotnie, jaką część jej zarobków pochłaniały zabiegi podtrzymujące.

Młody wygląd można było zachować praktycznie wiecznie — za odpowiednią cenę. Nagle zastanowiło ją, czy w życiu tej kobiety nadejdzie taka chwila, kiedy się odważy z nim rozstać, pozwolić, by dogoniły ją przeżyte lata. Może ta młodzieńcza twarz zdążyła już zastępnąć w kamienną maskę, więżąc ją na zawsze. Chowając do kieszeni kartę identyfikacyjną, poczuła nagłe ukłucie litości. Oraz nowy szacunek dla starzejącej się twarzy Xii. Kwestie wyglądu mogą zdominować życie człowieka, jeśli się do tego dopuści.

Złożona kartka papieru wypadła z torby razem z kartą identyfikacyjną i zwiłkiem banknotów. Wzięła ją do ręki i rozwinęła. Ujrzała odręczną notatkę sporządzoną zamaszystym, zdecydowanym charakterem pisma.

Rita,

jesteśmy z Michaeliem w Taos. Twój prawnik twierdzi, że zostaniesz zwolniona, a nie zrobił na mnie wrażenie szczególnie śliskiego, więc mu wierzę. Widziałam w wiadomościach, że niejaki Thomas Ariades zginął w nietypowym wypadku samochodowym. Twoja tancerka jest bezpieczna. Cieszy mnie to. Do zobaczenia, gdy nasze drogi znów się skrzyżują.

Xia

Margarita powoli zmięła papier. A więc Ariades nie żyje, a Katrina jest bezpieczna. Xia nie napisała, czy Michael się obudził. „Do

zobaczenia, gdy nasze drogi znów się skrzyżują”. Cała Xia — wiatr wnoszący co jakiś czas zamieszanie w życie Margarity, nie pozostawiający po sobie najmniejszych śladów.

Zamiast złości poczuła przenikliwy smutek. Xia nigdy nie udawała, że jest inna. I nigdy za to nie przepraszała.

Recepcjonistka wpatrywała się w Margaritę ze znudzoną wrogością. Jej spojrzenie, jak się zdawało, mówiło: ja siedzę po tej stronie, ty stoisz po drugiej. Margarita spojrzała na trzymany w dłoni papier, wrzuciła go do otworu na odpadki i uśmiechnęła się miękko.

— Bardzo ładnie pani wygląda. — Odwróciła się plecami do czujnego zaskoczenia, jakie odmalowało się na twarzy kobiety, i wyszła na ulicę.

Spaliny z prywatnych samochodów, których rejestracja kosztowała krocie, nadawały powietrzu szczególny zapach, zmieszany z wonią betonu i brudnym miejskim smrodem. Gdzieś w pobliżu zapachniało smażonym jedzeniem i zaburczało jej w brzuchu. Jakimś cudem za kratkami udało jej się przegapić kilka posiłków. Albo po prostu zapomniano ją nakarmić. Może jedzenie dostawali jedynie więźniowie z prawomocnym wyrokiem.

Pozwoliła, by nos zaprowadził ją do straganu na sąsiedniej ulicy, gdzie starsza kobieta smażyła falafel na obwoźnym palenisku, sprzedając go wraz z bladymi trójkątami cienkiego chleba. Margarita zamieniła jeden z odzyskanych z depozytu banknotów na kanapkę, poląła krusze kulki falafelu miętowo-jogurtowym sosem i odgryzła wielki kawałek. Falafel sparzył jej wargi, ale smakował wyśmienicie. Nie przerywając jedzenia, skierowała się do budki na rogu. Tym razem nadzieja objawiła się jedynie pod postacią maleńkiego płomyczka, gdy subtelnie brytyjski głos komputera oznajmił, że czeka na nią zaledwie jedna wiadomość.

A, racja, list z Yamady. Zdążyła już o nim zapomnieć. Margarita westchnęła, gdy ekranowy uśmiech i nosowy głos Delii wypełnił budkę. Czego mogła chcieć asystentka Anego? Odwołać resztę wystawy?

— Margarita, kochanie, nie mam pojęcia, gdzie się podziałaś, ale mam nadzieję, że pracujesz pilnie. Przejrzałam nasz program,

i, szczerze mówiąc, plany Ariego na przyszły rok zupełnie mnie nie

zachwyciły.

Tak, oto nadchodzi ta chwila. Sznurując wargi, Margarita miała już ochotę ją wyłączyć. Po co ma dalej słuchać? Może powinna po prostu wysłać Delii wiadomość z prośbą o przechowanie sceny w magazynie, do czasu aż się po nią zgłosi.

— Przejęłam jego obowiązki i chciałabym, żebyś nadal wystawiła u nas jako artystka sponsorowana przez galerię. Co najmniej przez najbliższe pół roku. Oczywiście masz coś, czym moglibyśmy zastąpić twoją obecną holoturę? Nie mogę się już doczekać, Margarita. Daj znać, czy ci to odpowiada. Przesyłam propozycję kontraktu.

— Twarz Delii zniknęła, zastąpiły ją białe litery na niebieskim tle.

— Obejrzyj ją sobie i daj mi znać, tak byśmy mogli złożyć nowy katalog.

Margarita gapiła się na tekst pełen prawniczych sformułowań, z którego nic jeszcze nie zdołało do niej dotrzeć. Następna wystawa? Artystka sponsorowana? Odruchowo zaczęła poszukiwać haczyka, starając się znaleźć w tej wiadomości wzmiankę o cenie podobnej do tej, jakiej zażądał Ari. Ta mogła wchodzić w skład tej transakcji, lecz już niejako najważniejszy jej element, gdyż w przeciwnym razie Delia nie odważyłaby się wysłać kontraktu. Teraz w razie nieuzasadnionego wycofania oferty groziłyby jej konsekwencje prawne.

A więc być może — zaledwie być może — jej oferta była szczerą. A przynajmniej ogólnie szczerą.

— Zamknij. — Wpatrując się w pusty ekran, Margarita potrząsnęła głową.

Artystka sponsorowana.

Teraz mogła sobie pozwolić na skomponowanie holotury o platformie. Powoli nabrała powietrza w płuca. Ostre słońce oślepiło ją, gdy raz jeszcze wyszła na ulicę. Ani słowa od Katriny, lecz Archenwald-Shen dostał swoją kapsułę, a Ariades był martwy. Xia miała rację — nic jej nie groziło. Margarita powoli rozwarła dłoń i utkwiała wzrok w brzdękających ją liniach. „Kurwa”. Brzmiało okropnie, a to właśnie słowo cisnęła Katrinie w twarz. Nie miała podstaw, by oczekiwać, że się do niej odezwie.

Margarita zacisnęła dłoń w pięść. W dole ulicy sprzedawczyni falafelu rozdawała jedzenie tłumowi zgłodniałych urzędników. Nagle rozległ się ostry krzyk i grupka klientów rozstała się, ludzie odsuwali się pospiesznie i nerwowo. Niewielka, jasnowłosa postać pomknęła chodnikiem, przebijając chudymi nogami. Dzieciak. Margarita zeszła na bok, gdy mijał ją z głośnym tupotem i spiętą

twarzą. W dłoni zaciskał kilka kromek chleba.

Na ułamek sekundy podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały, dzieciak był czujny i gotów w każdej chwili uskoczyć w bok. Lecz pod powierzchnią tej czujności dostrzegła przeblysłk światła — rozbawienie? Kradzież jedzenia mogła stanowić dla niego kwestię przetrwania, lecz, hej, była także grą, zabawą w berka, a poza tym to on był górą.

Potem zniknął w głębi bocznej alejki, odgłos jego kroków ucichł stopniowo w rozgrzanym powietrzu południa.

Właścicielka straganu zaprzestała pościgu po paru krokach i powróciła do swoich klientów. Obejrzała się jeszcze przez ramię i pogroziła Margaricie pięścią — zapewne za to, że nie spróbowała zatrzymać złodziejzka. Margarita wzruszyła ramionami i tylko zerknęła w bok, mijając alejkę, w którą skręcił dzieciak. Jego wychudzone, rozpedzone ciało emanowało rozpaczliwą energią, ale i rozbawieniem. Niespodziewanie przypomniała sobie chude, sparszywiałe kojoty żyjące na spalonych słońcem wzgórzach ponad barrio, zapuszczające się do s'mietników i na podwórka w poszukiwaniu odpadków i kotów. Spotkała kiedyś jednego z nich. Stracił w pułapce przednią łapę, lecz i tak wyszczerzył się na nią łobuzersko, kucając na trzech nogach, w jego żółtych ślepiach błyszczało rozbawienie wywołanie jej zaskoczeniem. A potem zniknął na zarośniętej krzewami działce.

Postanowiła włączyć tego dzieciaka-kojota do swojej miejskiej holotury. Tej, którą zamierzała stworzyć zaraz po wspomnieniach z platformy.

— Wiesz co, Arrow? — zaczęła cicho. — Chyba jednak potrafię rzeźbić ludzi. Chyba powinnam to robić. — Skręciła za róg i nagle uświadomiła sobie, że kieruje się na dworzec autobusowy. Że zmierzają do Taos.

Znajdzie czas, by posłuchać Kamieni w ogrodzie Michaela. Może porozmawia znów z Xią albo po prostu usiądzie na chwilę z Michaelem. Może porozmawia z nim o Zedzie, o czasie i przeszłości, o tym, że nic naprawdę się nie kończy. Może znajdzie tam Zeda zatopionego w pieśni Kamieni. Przyspieszyła kroku, w jej krwi rozbrzmiewało echo bylicy i suchego gorąca. Południowy Zachód był pełen zadbanych miejsc, gdzie natura nie zdążyła jeszcze wyschnąć i zniknąć rozwiana przez wiatr. Może wymyśli coś dla Delii. Tym razem skały. Pustynia. Jaszczurki. A może i nie, ale nie zaszkodzi się przekonać. Taos zwywało ją tak, jak księżyc przywołuje ocean.

Dworzec autobusowy zajmował większą część kwartału, droga do niego prowadziła przez wielki, opustoszały parking. Na rozgrzanym asfalcie czekały trzy autobusy. Miała przecucie, że jeden z nich

szukował się do drogi do Nowego Meksyku.

Zawsze to był jakiś kierunek, i nieważne, skąd brała się w niej ta nagła potrzeba. A poza tym będzie mogła odłożyć następne decyzje o dzień czy dwa. Margarita niemalże wbiegła do budynku, już szukając swojej karty identyfikacyjnej.

Nie znalazła żadnego bezpośredniego połączenia. Żyjące z turystów Albuquerque zdołało zmonopolizować linię komunikacyjną do Taos. Jeśli interesowały cię lokalne klimaty, mogłeś znaleźć ich bardziej wyrafinowaną wersję w Santa Fe. Jeśli chciałeś się dostać do Taos, musiałeś jechać przez Albuquerque. Margarita rozsiadła się wygodnie w drogim, klimatyzowanym autobusie, czekając niecierpliwie, by strażnicy w mundurach Federalnego Biura Ochrony Zabytków zakończyli poszukiwania urzędów nagrywających. Popijając mrożoną herbatę przyniesioną przez stewarda, zastanawiała się, kto mógł czerpać zyski z tego lokalnego monopolu, i jak wielka część jej pieniędzy trafi ostatecznie do jednej i tej samej kieszeni.

Ale to nie cena przejazdu ją martwiła, choć poniesiony wydatek był boleśnie rzeczywisty. Przygnębiało ją dławiące dech w piersi wrażenie obcowania ze złudzeniami. Albuquerque i Biuro zdecy-

dowały, co jest naprawdę ważne, i nie zamierzały dopuścić do jakichkolwiek sprzeciwów ze strony rzeczywistego świata. Zajazd, w którym nocowała, stanowił idealny przykład tej sytuacji. Zaprojektowany został na wzór wioski o murach z suszonej cegły, sztucznego taosańskiego puebla, aż do takich szczegółów jak drewniane drabiny wiodące na dach, przegrodzone łańcuchami i ostrzegawczymi tablicami. Margarita zawsze wykorzystywała złudzenia, by sięgnąć bliżej prawdy — tego, co sama przez to rozumiała. Za nieskazitelnie czystą szybą autobusu żółty pies podnosił nogę pod płotem. Biuro Ochrony Zabytków korzystało ze złudzeń, by podtrzymywać inne złudzenia — historię przekonstrowaną w zgodzie ze współczesnymi wyobrażeniami.

Rankiem przespacerowała się po zbyt pięknych budynkach zajazdu, zabijając czas w oczekiwaniu na odjazd autobusu, i zajednym z bloków spotkała pomarszczonego starca o stwardniałej, spalonej słońcem twarzy i mlecznobiałych kataraktach w obu oczach, zajętego usuwaniem chwastów motyką. A dokładniej niegdyś zajętego usuwaniem chwastów. Teraz wykopywał praktycznie samą ziemię, większość roślin pozostawiała nietkniętą. Początkowo była skłonna złożyć to na karb jego słabego wzroku. Lecz kiedy przyjrzała się uważniej, przekonała się, że omijał je jak najbardziej celowo. Po chwili zza budynku wyłonił się kolejny mężczyzna, którego pewne siebie zachowanie zdradzało kierownicze stanowisko, i zwymyślał starca, wskazując na chwasty. Kiedy wracał gniewnym krokiem do klimatyzowanego biura, starzec odwrócił się do Margarity i posłał jej szczerbaty, konspiracyjny uśmiech. Potem wrócił do przekopy-

wania ziemi.

Kiedy wcisnęła mu w dłoń dwa banknoty, wyprostował się urażony na całe swoje pięć stóp z hakiem wysokości.

— To prezent — wyjaśniła pospiesznie. — Też lubię chwasty.

— Zaczekaj — zawołał za nią i kiedy się zatrzymała, podkuśtykał, by wręczyć jej przykurzony bukiet świeżo wykopanych chwastów. — Na kaszel. — Zakaszał na jej użytek, sucho i urywanie. — Zaparz wrzątkiem. — Potem wrócił do swojej motyki, poruszając się dumnie, choć niezdarnie.

Prezent wymaga odwzajemnienia.

Tak, mogłaby polubić człowieka, który pozwalał chwastom rosnąć w spokoju i znał ich wartość. Prezent za prezent. Jeśli się tego nie zrobiło, oznaczało to przyjęcie na siebie długu, zobowiązania. Arrow podarował jej swój talent. Margarita spojrzała za okno, ledwie dostrzegając pokryte bylicą wzgórze rozciągające się za ogrodzeniem enklawy Taos. Michael podarował jej dar życia, nawet jeśli uczynił to nieświadomie. A Katrina podarowała jej... miłość.

Była dłużnikiem całej trójki. Margarita zadrzała w chłodnym, klimatyzowanym powietrzu, uginając się pod ciężarem tego długu. Może to przed tym ukrywała się za ścianami swego gniewu.

Może już było za późno na podarunki.

Funkcjonariusze Urzędu wynieśli skanery z autobusu, który ruszył w dalszą drogę, przejeżdżając wolno przez bramę, zagłębiając się w statycznej przeszłości, którą było Stare Taos. Suszona cegła ścian po obu stronach ulicy była autentyczna. Częściowo. Reszta wykonana była z betonu, choć na ty le starego, by otrzymać certyfikat Urzędu. Mieszkańcy Taos w dżinsach krążyli po ulicach, wielu z nich miało rysy twarzy nie mniej latynoskie niż ona sama. Nie wiedziała, czy mieszkają na miejscu, czy też tylko odgrywają swoje role, a na noc wracają do klimatyzowanych mieszkań, by pojeździć na nartach w holograficznych Alpach. Ich stroje były odrobinę zbyt jednolite, by mogły być prawdziwe.

Na ulicach najwięcej było turystów — mnóstwo turystów, chociaż Biuro sumiennie ograniczało liczbę gości, którzy mogli jednocześnie przebywać w mieście. Niewielkie galerie, sklepy z biżuterią i odzieżą oraz restauracje ciągnęły się po obu stronach głównej ulicy, bocznych alejek i placów. Autobus miał się zatrzymać przed hotelem „Taos”. Spojrzenie Margarity zatrzymało się na ciemnoskórej kobiecie w pasiastej chuście i kiczowatej kwiecistej sukni, wciągającej rozbrykanego dzieciaka na chodnik. Smarkacz nieoczekiwanie wyrwał się jej i wybiegł na ulicę wprost pod nadjeżdżający autobus.

Pasażerowie jęknęli, Margarita się przygarbiła, czekając na wstrząs uderzenia, krzyki matki i gapiów.

Lecz wtedy z krawężnika zeskoczyła niewysoka jasnowłosa

kobieta, chwyciła dziecko jednorącz w pasie i zręcznym ruchem postawiła z powrotem na chodnik. Margarita wciągnęła gwałtownie powietrze, coś ścisnęło jej gardło na widok tej jakże znajomej kombinacji siły i wdzięku.

— Katrina!

Autobus jechał dalej, miejsce niedoszedłego wypadku pozostało już pół przecznicy w tyle.

Margarita złapała torbę i pobiegła do przodu autobusu.

— Proszę mnie tu wysadzić. — Głowy zaczęły się odwracać w jej stronę, twarze zirytowane, zaciekawione albo najzwyczajniej w świecie znudzone. Steward przyglądał się jej z tylnej części pojazdu z miną pełną dezaprobaty. — Tu i teraz, proszę.

— Przykro mi. — Kierowca, młody i poważny, nie wyglądał, jakby mu było przykro. — Zatrzymuję się tylko raz, przed hotelem.

Zacisnęła zęby i wyciągnęła z kieszeni ostatni banknot.

— Szybko, zanim ten gość w mundurku tu przyjdzie. — Rzuciła iu banknot na kolana. — Powiedz mu, że mi odbiło i że groziłam i nożem.

Uśmiechnął się, w oczach zamigotało mu nieoczekiwanie łobuzerskie światełko. Hamując przed znakiem stopu na zakręcie, otworzył drzwi.

— Hej! — Steward zaczął pospiesznie się przeciskać między rzędami foteli.

Margarita pomachała kierowcy i wyskoczyła z autobusu, ściskając mocno paski torby.

Chodnik sparzył ją od stóp do głów. Autobus ruszył z miejsca ze stłumionym rykiem elektrycznego silnika. Było upalnie. Margarita sapnęła odruchowo, mając nadzieję, że nie narobiła kierowcy zbyt wiele kłopotu. Pot natychmiast pokrył jej twarz i ramiona, łaskocząc ją pod pachami. Osłoniła oczy dłonią, szukając Katriny na zatłoczonym chodniku. Ani śladu. Nagła potrzeba pośpiechu ścisnęła ją za gardło i zmusiła do przyspieszenia kroku. Matka z dzieckiem zniknęli. Turyści gromadzili się przed sklepowymi wystawami, oglądając wyroby ze srebra i skóry, paciorki i lokalne jedzenie, które

zapewne odsunęliby z obrzydzeniem, gdyby nie było teraz modne.

Cholera. Margarita przepychała się przez ciżbę, rozglądając się z wysiłkiem ponad lasem ramion i szpanerskich kowbojskich kapeluszy. Co sprowadziło Katrinę do Taos? Może to jednak nie była Katrina? Może to był ktoś zupełnie obcy, przypadkowy sobowtór.

Ale to musiała być Katrina. Jej wiedza wypływała ze swoistego komórkowego instynktu nie mającego nic wspólnego z logiką. Margarita omiotła spojrzeniem ciasną handlową alejkę, przygryzając z irytacją wargę. Katrina mogła teraz być w tym sklepie, tamtej tawernie, kupując bluzkę albo zamawiając piwo, nie poświęcając Margaricie nawet jednej myśli. Zajrzeć do środka? Sprawdzić następną przecnicę? Zawahała się, w żołądku ścisnęło ją nieprzyjemnie, bo jak można było odszukać kogoś w mieście pełnym turystów? Jeśli nie zdoła kogoś przekupić i przejrzeć prowadzonego przez Biuro rejestru gości, wypytywanie personelu hoteli, zajazdów i eleganckich domów wczasowych zajmie jej dobry tydzień. A jeśli Katrina jutro wyjedzie? Mogła przecież pojechać wszędzie.

Katrina żyła.

Margarita zerwała się do biegu, stukając butami po chodniku, ścigając na siebie niemalże tyle samo wystraszonych i wrogich spojrzeń co na platformie. Na powrót poczuła niepokój, który ogarzał ją w San Francisco, a teraz nie pozwalał jej się zatrzymywać i zaglądać do sklepów. Skręciła gwałtownie, niemalże przewracając starszą parę. Mężczyzna coś za nią zawołał głosem łamiącym się z wściekłości. Uliczka wychodziła na niewielki plac, na którym prawdziwa fontanna wypluwała wodę wprost w gorące powietrze.

A ona była tam, siedziała na kamiennej ławce na krawędzi fontanny, obejmując ramionami kolano i wpatrując się w wodę. Jej włosy, niemalże srebrne w jaskrawych promieniach słońca, wyslizgiwały się z grubego warkocza, osypując się na twarz. Idealne linie jej twarzy i włosów prawie zaparły Margaricie dech w piersi.

Dobry Boże, jaka ona była piękna.

— Katrina? — To imię ugrzęzło jej w gardle, zaczepiając się o coś kolczastego i wyrywając na zewnątrz szeptem. Ale Katrina usłyszała je, uniosła głowę, jej włosy spłynęły na ramię srebrzystą

rzeką. Na moment Margaritę ogarnęło bezgraniczne przerażenie, mięśnie jej zadrżały, przeniknięte palącą chęcią ucieczki.

Potem pobiegła po splekanych kamieniach placu, łapiąc Katrinę w ramiona, przyciągając ją do siebie tak mocno, tak zaborczo, że myślała już, że pękną jej żebra — nie, to Katrina ścisnęła ją równie

silnie.

— Tak się bałam — była w stanie wykrztusić z siebie jedynie parę słów naraz, szorstkich od łez. — Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Myślałam, że mogłaś zginąć, Trina. Przepraszam.

— Ja też. — Nigdy nie płacząca, zawsze opanowana Katrina, teraz płakała.

Przez długą chwilę nie było między nimi miejsca na słowa, wystarczało im ciepło i mocny uścisk ramion, żeber, zapach, dotyk, obecność. Ludzie gapili się na nie, odwracali spojrzenia w bok albo chichotali, ale Margarity zupełnie to nie obchodziło.

— Nie jestem w stanie cofnąć tego, co powiedziałam. — Margarita odsunęła się w końcu o krok, mrugając, oślepiona słońcem i oczami Katriny. — Nie wystarczy przeprosić, wykreślić tamtych słów.

— Wiem. — Katrina delikatnie musnęła jej twarz. — Kiedy wyjeżdżałam, byłam przekonana, że to koniec. Nie byłam dla ciebie odpowiednia ani ty dla mnie.

— Nie!

— Bałam się. — Odwróciła twarz, krzywizna jej policzka rysowała się wyraźnie na tle kamieni fontanny. — To, co robiłaś, sprawiało ci ból. A ja nie potrafiłam dogrzebać się do jego źródła, sprawić, by odszedł. Obawiałam się, że jeśli się nie uda, jeśli galerie nie zaczną cię zauważać, po prostu wyjedziesz. Uciekniesz od tego. I... tak czy owak cię stracę.

— Naprawdę uciekałam. — Margarita wtuliła twarz w ramię Katriny. — Od Arrowa, od ciebie, bo was kochałam. I od własnego talentu. Trina, Kocham cię — wyszeptwała te słowa w miękkość szyi Katriny. — I boję się.

— A ja Kocham cię, Mar. — Uścisk ramion Katriny przybrał na sile. — Próbowałam przestać, ale to niemożliwe.

Margarita roześmiała się cicho, w jej wnętrzu zaczęło się budzić uczucie lekkości; na razie było jeszcze kruche, ale z każdą minutą przybierało na sile i słodyczy.

— Co ty tu robisz? — Odsunęła Katrinę od siebie i chwyciła ją za ramiona. — Czy wiesz, co to za wariactwo tak po prostu wpaść tu na ciebie?

— Przyjechałam posłuchać Kamieni Michaela Tryona. — Katrina uśmiechnęła się niepewnie, jak gdyby spodziewała się, że

Margarita wybuchnie gniewem. — Pomyślałam, że jeśli się dowiem, kim jest, może lepiej cię zrozumieć, a przynajmniej to, co sprawia ci ból. Wiedziałam, że robię słusznie, jak gdybym już to zrobiła, przyjechała do Taos, by wysłuchać życia Michaela Tryona, jak gdybym wiedziała, że cię tu znajdę. Jak gdyby Kamienie mnie przyzywały — roześmiała się, choć słowa więzły jej w gardle. — Więc oto jestem.

— Może tak właśnie było. To znaczy, przyzywały cię. Ty nigdy nie byłaś powodem mojego bólu. — Margarita wsparła się czołem o ramię Katriny. — Wiesz, że ktoś próbował cię... znaleźć? — Objęła ją w talii. — Bardzo nieprzyjemni ludzie poszukiwali tego wisiorka.

— Co się stało? — Niepokój zmroził twarz Katriny. — Margarita, próbowali się dostać do ciebie?

— Ta kwestia już została rozwiązana — kosztem trzech istnień ludzkich. Nie, czterech, włączając w to Yiassisa. Zaś drobnomieszczański Archenwald-Shen dalej będzie się zajmował swoimi lewymi interesami. Powinna to wykorzystać. Margarita westchnęła przeciągle. O, tak, wszyscy ci zarozumiali, zadowoleni z siebie ludzie, żyjący w przytulnym świecie własnych złudzeń. Zamień to na obrazy, dźwięki i zapach, a efekt powinien otworzyć im oczy na parę spraw.

— Bałam się zmian, Trina. W mojej sztuce. W moim życiu. — Margarita uśmiechnęła się niespodzianie, lekkość wzbierała w niej niczym powiększający się balon. — Niezmiennność oznacza śmierć.

Katrina wzięła ją za rękę z ostrożnym wyrazem twarzy.

— Chodźmy. Postawię ci lunch albo chociaż piwo, i będziesz mogła wszystko mi opowiedzieć.

— Wszystko? — Margarita dała się jej prowadzić, rozpromieniona, tryskająca zwariowaną radością. — To naprawdę niezła opowieść, i usłyszysz ją z najdrobniejszymi szczegółami. Wiesz co, naprawdę lubię Xię. To niewiarygodna kobieta.

— Naprawdę się zmieniłaś. — Katrina roześmiała się, w jej głosie brzmiało szczęście, choć czujna nuta nie do końca z niego zniknęła. — Zobacz. — Wskazała głową. — W tej galerii wystawione są Kamienie Michaela. — Zerknęła ostrożnie na Margaritę kątem oka. — Zrobiły... na mnie wrażenie.

— On tu jest. Muszę go znaleźć. — Może Xia miała rację i wspomnienia przeszłości zdołają do niego dotrzeć. Uratować go. — Wejźmy do środka. Może będą coś wiedzieć. — Znów odczu-

wając ten niewytłumaczalny przymus, Margarita pociągnęła Katrinę w kierunku galerii. Zbudowana była, przynajmniej na pierwszy rzut oka, z prawdziwej suszonej cegły. W glinianej skorupie błyszcząły kawałki złocistej słomy. Pochodziły ze zwierzęcego łajna, wyjaśnił im po drodze przewodnik, a używano ich, by zwiększyć wytrzymałość budowli. Gdy otwarła wypaczone drewniane drzwi, zadźwięczały cichutkie dzwoneczki.

Spodziewała się przytłumionego oświetlenia, przepastnego pomieszczenia. Tymczasem przez okno wpadały promienie słońca, mieszając się ze światłem misternie rozstawionych reflektorów iluminujących obrazy i rzeźby. Kamienie Michaela zajmowały centralne miejsce na sali. Stały na wypolerowanych drewnianych postumentach, na tle żółtobiałych lnianych dekoracji: wysoki obelisk i trzy moreny.

O, tak, to były jego Kamienie. Łagodna symfonia letniego słońca i przyjemnego, rozmarzonego zmęczenia zaszemrała w zakamarkach jej umysłu niczym melodia rozbrzmiewająca na granicy słyszalności. Przed jej oczyma rozwinęły się przelotne obrazy: skaliste, zielone od bylicy zbocza, wyschnięte koryto strumienia, roześmiana brązowa twarz, ciemnooka kobieta.

Xia.

Gdy to sobie uświadomiła, rozmarzenie pierchło bezpowrotnie. Xia była częścią tego Kamienia. Młoda Xia. Kochanka Michaela. Jego dusza także była wyciosana w tym Kamieniu. To ten Michael Tryon spłodził ją z Xią pewnej nocy, poranka czy popołudnia.

Ten Kamień mógł go przywołać z powrotem. Jego głos będzie dla niego doskonale słyszalny, o, tak.

— Bardzo mi przykro — zirytowane słowa z zaplecza. Kobięcy głos. — Ten temat jest dla mnie zamknięty. Nie zamierzam dłużej

o tym z tobą rozmawiać.

Margarita zmrużyła oczy, koncentrując się na tym ostrym, odrobinę zbyt wysokim głosie. Po przeciwległej stronie sali stało biurko, częściowo ukryte za rozwidloną rzeźbą z polimerów. Przed nim stały dwie kobiety, nieświadome obecności Margarity, sztywne i spięte.

Jedną z nich była Xia, głowę odchylała do tyłu, wyzywająco zadzierając brodę. Druga była młoda — niewiele starsza od Margarity — sylwetką podobna do Xii, lecz jasnowłosa jak Katrina. I to ona miała tu władzę. Można było odczytać to z jej postawy, z lekkiego załamania ramion Xii.

— No i? — Katrina wsparła się delikatnie ramieniem o Marga-

rite, spoglądając na Xię i jasnowłosą kobietę. — Co sądzisz o Kamieniu Słońca? Naprawdę zrobił na mnie wrażenie.

Powiedziała to zbyt głośno jak na tak niewielkie pomieszczenie.

I uczyniła to rozmyślnie, bo Katrina nigdy nie podnosiła głosu, nawet w złości. Obie kobiety odwróciły się do nich.

— Przepraszam, nie słyszałam, gdy wchodziłyście. — Wyglądając czoło, blondynka pospieszyła w ich stronę. — Jestem Christine Neiman. — Podała im silną, kwadratową dłoń, uśmiechając się ciepło i profesjonalnie. — Tak, Kamień Słońca jest imponujący, prawda?

— Prawda. — Margarita lekko uściśniła rękę właścicielki galerii. — Jest wspaniały. — Spojrzała ponad jej ramieniem na Xię. — Co się dzieje?

— Wy się znacie? — Uśmiech Christine zbladł, gdy przyjrzała się uważniej twarzy Margarity. — Och, rozumiem. — Spojrzała na Xię, potem znów na Margaritę. — To ty do niego napisałaś. Do

Michaela. — Cofnęła się o krok, nieskrywana wrogość ścięła jej twarz. — Powiedziałaś mu, że jesteś jego córką.

— Jestem. — Być może.

— Dobrze byłoby mieć genoskan na poparcie tych słów — stwierdziła, nie odrywając od Margarity spojrzenia swych lodowato błękitnych oczu, nieprzeniknionych niczym okruchy stłuczonej porcelany.

— Dostał go ode mnie. — Nawet nie wiedziała, czy go obejrzał albo porównał ze swoim. Ale jej słowa zauważalnie wstrząsnęły właścicielką galerii.

Kobieta zmarszczyła twarz i uciekła spojrzeniem w bok, oblizując nerwowo wargi.

— Cóż, to nie moja sprawa. Zajmuję się tylko jego Kamieniami. Przez moment ta blada, chłodna kobieta przypominała Margari-

cie Sorrela w chwili, gdy mówił o Xii. Kochasz go?, zapytała bezgłośnie. Obwiniasz mnie za jego wyjazd?

— Gdzie on jest? — zapytała Xię, już bez złości, a jedynie z odrobiną niezrozumiałego nawet dla niej smutku.

— Ją zapytaj. — Na starannie neutralnej twarzy Xii nie malował się najmniejszy ślad uczucia. — Złożyła wniosek o wyłączną opiekę

i sąd przychylił się do niego. Nie wiem, gdzie go trzyma.

— Przebywa w prywatnej klinice, tu, w mieście. Pod najlepszą możliwą opieką. — „Lepszą niż twoja”, dopowiedziała mimika Christine. — Lekarz zasugerował tymczasowe ograniczenie odwiedzin. — Spojrzała wyzywająco na Margaritę. — Jakikolwiek roszczenia odnośnie do ewentualnego pokrewieństwa będą musiały oczywiście zostać poparte dowodami genetycznymi.

— Czego ja tu według ciebie szukam? — zapytała cicho Margarita. — Jego pieniędzy? A może myślisz, że zamierzam ci go odebrać?

Przez chwilę w oczach właścicielki galerii widniała jedynie rozpacz i pustka. Potem wzruszyła ramionami i szarpnęła wyzywająco głową.

— Cokolwiek knujesz, będziesz musiała przeprowadzić to drogą sądową. A teraz przepraszam, ale...

— Nie. — Margarita zastąpiła drogę, uniemożliwiając jej odejście. — Czy ty w ogóle wiesz, co mu się stało? Czy Xia ci powiedziała?

— Nic, w co skłonna byłabym uwierzyć. A teraz przepraszam, ale muszę się zająć rachunkami. — Zerknęła na terminal, przywdziewając profesjonalną pozę niczym płaszcz.

Stojąc na wyciągnięcie ręki od Kamienia, Margarita ujrzała zamgloną wizję młodej czarnowłosej Xii opartej o powykręcany pień drzewa, z wybieloną słońcem czaszką na kolanach. Uśmiechniętej. Z czułością na twarzy. Potem zniknęła w łagodnej powodzi słonecznego ciepła zalewającej skórę, szorstkości piasku pod stopami, zimnego dotyku wiatru na opalonym policzku... Odwróciła się do Kamienia i dotknęła go. Jego powierzchnia sprawiała dziwne wrażenie pod palcami: ani chłodna, ani ciepła, a może i jedno, i drugie naraz. Niezupełnie kamień, niezupełnie skamieniałe ciało. Obrazy i uczucia zalały ją powolnym przypiływem, porywając ją w miejsce wypełnione młodością, pylistym słońcem i miłością...

— Przepraszam. — Uścisk dłoni Christine na jej nadgarstku tylko przy maksimum dobrej woli można było nazwać delikatnym.

— Proszę nie dotykać Kamienia. Chyba że masz pewność, iż nie jesteś zmysłoczuła.

— Nie jestem. — Niemniej jednak cofnęła rękę, w głowie

kręciło jej się od doznań, które przelały się w jej duszę. — Nie potrafię budzić Kamieni. Nie odziedziczyłam tego po nim. — I nie tylko tego. A jeśli jednak była córką Estevana? Nie chcę tego, pomyślała, i nieoczekiwany ból kompletnie ją zaskoczył. — Chcę go zobaczyć.

— Czyżby? — Złość pokryła głos Christine chropawą warstwą.

— Był tu szczęśliwy. Robił to, co pragnął robić. Do momentu gdy ty się zjawiałaś. Dlaczego musiałaś posłać mu ten list? — Okręciła się w miejscu i zamaszystym krokiem wróciła do biurka, napinając, niemalże garbiąc plecy.

Miłość bywa olbrzymim ciężarem.

— Przykro mi — powiedziała cicho Margarita. — Naprawdę.

On cierpi, wiesz? Nie mam pewności, co zadało mu ten ból, ale stało się. Jeśli ktoś nie zdoła do niego dotrzeć i mu pomóc, być może nigdy nie wróci. Może już zawsze będzie się ukrywał.

— Skąd niby miałby wrócić? Jest w szoku. Tak mówi lekarz — Christine oparła się dłońmi o blat biurka, nie patrząc na nie. — Może więc powiecie mi, co się wydarzyło?

— Zetknął się z obcą inteligencją. Podobnie jak ja. Może także Katrina i Xia. — Margarita wzięła głęboki oddech. — Uważam, że sprowadziła nas tutaj ze względu na Michaela. Pomożesz mi spróbować do niego dotrzeć?

Zed przysiadł na biurku, podwijając jedną nogę pod siebie. Skinął głową w jej stronę, wykrzywiając usta w przekornym uśmiechu.

— Proszę. — Margarita spojrzała Christine w oczy i ujrzała pod ich powierzchnią łzy. — Przecież go kochasz — dodała cicho.

Christine odwróciła głowę w bok.

— Zrób to dla niego. — Xia dotknęła jej ramienia, jej głos był przepełniony smutkiem. — Nie stanowią dla ciebie konkurencji. Nigdy tak nie było.

Christine szarpnęła gniewnie głową w bok.

— Nie jestem pewna, czyjego przebudzenie w ogóle coś jeszcze da. Nie będzie mógł więcej rzeźbić. Jakaś kompania górnicza utrzymuje, że złoża Kamieni zostały ostatecznie wyeksploatowane. Michaelowi zależało tylko na tym, na jego Kamieniach. To go zniszczy.

Zed uśmiechnął się do Margarity z biurka, jego oczy pełne były odległych gwiazd i okrążających je planet.

— Koniec z Kamieniami — wyszeptała Margarita. A więc Shen wywiązał się z umowy; jej blef spełnił swoje zadanie. — Kamienie nie są już dla niego całym światem — powiedziała cicho. W twarzy Christine dostrzegła miłość, ale i cierpienie. — To prawda, Christine. Sprowadzisz tu Michaela? — Wyciągnęła rękę i przesunęła czubkami palców po powierzchni Kamienia Słońca, budząc echa odległych, słonecznych dni. — We wnętrzu tego Kamienia kryje się część jego duszy, której poszukuje. Może usłyszy jej głos.

Przez długą chwilę twarz Christine pozostawała niewzruszona.

Potem uciekła oczami w bok, cała wrogość uciekła z nich, pozostawiając bladość i smutek.

— Dobrze. — Ramiona jej opadły. — Przeniesiemy go tutaj. Zobaczymy, co to da.

Ty naprawdę go kochasz, pomyślała Margarita z przenikliwą jasnością. Na tyle, by zaryzykować, że go stracisz. W nagłym odruchu chwyciła obiema dłońmi rękę Christine.

— Dziękuję.

— Przestań. — Christine odwróciła głowę. — Zadzwońię do kliniki i wszystko przygotuję — roześmiała się niemalże histerycznie. — Pomyślą, że zwariowałam. Może będą mieli słuszność. — Uwolniła rękę z uścisku Margarity, odwróciła się do nich plecami i wycofała za biurko.

Michael nigdy nie wspominał o tej kobiecie. Przeróżliwy smutek wezbrał w sercu Margarity. Żal mi ciebie, pomyślała, zwieszając głowę. Pierwsze łzy popłynęły z jej oczu, gdy Katrina objęła ją ramionami i przytuliła do siebie.

Rozdział dwudziesty

Było lato — gorące i suche jak każde poprzednie. Michael siedział na brzegu Hondo, słońce przypiekało mu ramiona, w uszach brzęczały owady. Na drugim brzegu błotnistej wczesnoletniej strugi siedziała Xia, oparta plecami o martwy jałowiec, ścierając zaschniętą glinę ze znalezionej przez siebie koziej czaszki. Sterczały z niej zakrzywione rogi, puste oczodoły spoglądały z dziwną mądrością. Kiedy zginęła i co ją zabiło? Michael zadrzał pod jej milczącym spojrzeniem. Choroba? Kojot?

Jak długo spoczywała w glebie, najpierw przykryta, a potem odkryta deszczem i falą powodzi? Nie zmieniła się zanadto przez ten

czas.

„Masz rację”, puste oczodoły przyglądały mu się w zamyśleniu.
„Życie jest zmianą. Koniec zmian oznacza koniec życia. Powinieneś to wiedzieć”.

Kozia czaszka przemawiała głosem Zeda. Odzywała się głosem Kamieni. To nie moja wina, chciał powiedzieć Michael, ale słowa utknęły mu w gardle niczym wyschnięte rzeczne kamyki.

„Twoja tak samo jak wszystkich innych. Dobrowolne odosobnienie to kiepska wymówka. Jesteście bardzo młodzi jako rasa, ale macie szansę dorosnąć. Jeśli zechcecie. Narzucaliście nam swoje wspomnienia; niszczyliście naszą zdolność dzielenia się, podlegania zmianom. Zabijaliście nas”.

— To była sztuka. — Michael uciekł przed oskarżycielskim spojrzeniem czaszki. — Coś znaczyła. No i nie wiedzieliśmy.

Czaszka zmierzyła go milczącym wzrokiem.

Słusznie go oskarżała. Bo od pierwszego dotyku wiedział, że są żywe. Targnęły nim wyrzuty sumienia. Wiedziałem, a jednak właczałem w nie siebie, dławiłem ich duszę moimi człowieczymi wspomnieniami, moją przeszłością, moimi pragnieniami, lękami i potrzebami. „Osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza”. Ale Kamienie nie mogły już wtedy współuczestniczyć, zmieniać się... żyć.

Zabijał.

„Wszyscy popełnialiśmy błędy”, czaszka wyszczerzyła się krzywym uśmiechem Zeda. „Jesteście tacy delikatni”.

Michael ponownie poczuł wyrzuty sumienia, lecz tym razem nie należały do niego, a były tak głębokie, że niemal krzyknął z wywołanego nimi bólu: wyrzuty sumienia Kamieni.

„My również przerywaliśmy proces zmian. Życie. Nie istnieje coś takiego jak większe czy mniejsze zło. Zło zawsze pozostaje złem”.

Współczucie wypełniło Michaela, wypierając ból.

Oko za oko? Tak, a zarazem... nie. „Jesteście tacy delikatni”, powiedziała dusza Kamienia. Owszem, delikatni. Dla Kamieni czas nie istniał. Terazniejszość stanowiła jedną nieskończoną chwilę bez początku, środka ani końca. Nie potrafię tego pojąć, pomyślał Michael i zadrżał. S'Wanna także nie potrafiła. Ani Lustik, ani Danners. Zatracili siebie. Śmierć okazała się jedynym łącznikiem z ich człowieczeństwem.

Śmierć była tak ludzką rzeczą.

Po drugiej stronie Hondo Xia położyła sobie kocią czaszkę na kolanach. Michael skrył twarz w dłoniach. Zabijaliśmy. Niszczyliśmy dusze w imię tworzenia. Podniósł się wolno i odwrócił plecami do Hondo, do przepełnionej współczuciem twarzy Xii.

Współczuciem Kamieni? Dłatej okaleczonej, odizolowanej rasy.

Jesteśmy tacy samotni. Dobry Boże, jacy jesteśmy niedoskonali.

Krajobraz zafalował i Michael zrozumiał nagle, że nie jest prawdziwy; był jedynie tłem, cienką zasłoną złudzeń. Za moment pięknie i jego oczom ukaże się cała potworność jego grzechu. Tyle dusz tam przebywało — tak wiele piękna dzieliły między sobą. Bylica i piasek urywały się za jego plecami, stając się brzegiem nieskończonego morza ciemności. Ta ciemność była człowiecza, nie znająca poczucia wspólnoty, milcząca i próżna. Śmierć. Tam będzie bezpieczny. Na zawsze. Postąpił krok w stronę upragnionej ciemności, potem następny.

— Michael?

Xia, wołająca go? Obejrzał się z wahaniem. Stała na brzegu rzeki, wyciągając ku niemu rękę.

— Nie mogę — wyszeptał.

— Możesz. — Oczy Xii były łagodne, pełne miłości i łez. — To jeszcze nie koniec.

— Właśnie że tak. — Cierpienie szarpnęło nim i zrobił kolejny krok w ciemność. Jeszcze trochę i ból ustąpi.

Ale było coś, co kiedyś pragnął jej powiedzieć. Usiłował sobie to przypomnieć, gdy na horyzoncie gromadziły się burzowe chmury. Pierwszy podmuch wiatru uderzył go, szarpiąc ubranie, tnąc twarz piaskiem. Nagle znalazł się w swoim kamiennym ogrodzie, Xia siedziała pod Kamieniem Słońca, jej długie włosy powiewały na wietrze. Bezpieczna ciemność zniknęła. Rozejrzał się, poszukując jej w nagłym przypiływie paniki.

— Obudź się, Michael. — Xia rozłożyła ramiona. — Kocham cię. Zawsze cię kochałam i pragnę, żebyś powrócił. Obudź się — zaśpiewała głosem Kamienia.

Teraz przypomniał sobie, co musiał jej powiedzieć, coś ważnego, coś, co było ważne przez wszystkie minione lata.

— Kocham cię — wyszeptał.

Te słowa zahuczały niczym bezgłośny grzmot, krusząc bylicę i kurz, krusząc Kamień i sięgające ku niemu dłonie Xii. Światło oślepiło go i spróbował odwrócić od niego twarz. Głowa ciążyła mu, jak gdyby sam się zamieniał w Kamień. Poczł na sobie dotyk dłoni wywołujący ból.

— Przestań — wycharczał niewyraźnie.

— Michael? Michael, zbudź się!

Głos Xii, ale nie jej głos. Nie całkiem. Starszy, śnił o niej jako starszej kobiecie o siwych włosach — nie — to nie był sen. Pamięć z powrotem wsączała się w niego jaskrawymi kroplami obrazów niczym woda wyciekająca z pękniętego wazonu. Kobieta otwierająca drzwi, młoda i nieufna... nie Xia. Margarita — jego córka. Polecieli razem na platformę i tam znów spotkał Xię.

Kamień Słońca? Wspomnienia stanowiły cienką przezroczystą warstwę nałożoną na mroczną muzykę... wiecznego konania Kamienia.

Co ja uczyniłem?

— Michael! — Głos Xii, ostry jak koci pazur, szarpnął nim, wyrrywając go z ciemności w ostre, bolesne, chropawe światło. — Zostań tu z nami, Michael! Obudź się! Natychmiast!

Jego powieki zatrzepotały, wprawiając w ruch fotony, czuł każdy z nich, był świadom tłustych molekuł tlenu i azotu odbijających się od jego skóry niczym maleńkie gumowe kulki. Otworzył oczy, bo Xia miała rację. To nie był koniec. Ktoś zajęczał w oddali — jego głos. Szary baloniasty kształt zafalował mu przed oczami, powoli przybierając postać ludzkiej twarzy.

— Xia? — Światło przygasało, a może to jego oczy przyzwyczajały się do niego. To rzeczywiście była Xia. Xia zapamiętana z platformy, nie wizja z zatopionego w Kamieniu wczorajszego dnia.

Za jej plecami Kamień Słońca wyśpiewywał swą nieskończoną pieśń, szemrząc o Hondo, słońcu i koziej czaszce. Wiecznym umiarami. Ponownie jęknął, ponieważ on to uczynił, on, Michael Tryon.

— Michael. To my. Już dobrze. Jesteś w Taos. W galerii Christine.

Głos Margarity? Mojej córki, pomyślał i nagle zachciało mu się płakać. Moja córka. Czy ty także mnie osądzisz? Spróbował usiąść, zaskoczony swoją słabością, natychmiastowym drżeniem mięśni.

Poczuł czyjeś dłonie pod pachami, usłyszał głosy przypominające ptaki świergoczące w porannych krzewach za oknem. Nie, to zdarzyło się wcześniej, te ptasie głosy. W Taos, przed jego wyjazdem.

Pokój obracał się wolno wokół niego. Rozpoznał wnętrze galerii, rozpoznał twarz Christine — wyglądała na bardzo zaniepokojoną — i wiedział już, gdzie się znajduje. Inna jego część spoglądała na to wszystko oczami obcego człowieka. Znajdował się w dziwnym schizofrenicznym stanie ducha — był rdzennym mieszkańcem i zarazem przybyszem z daleka przebywającymi w jednej duszy. Cóż za przepiękna rzecz, dusza. Czy istniała zbrodnia większa od jej zniszczenia?

— Słyszysz mnie? — Margarita siedziała obok niego, podtrzymując go ramieniem, dając mu siłę, której otwarcie potrzebował. — Bardzo się martwiliśmy — głos jej zadrżał. — Ja... martwiłam się o ciebie. Co się stało, Michael? Na Vildorn?

Vildorn. Kamień — tamten Kamień. Ogarnęło go przerażenie.

— Przewieźli go na Ziemię? — wyszeptał z trudem, jak gdyby zapomniał, jak się mówi. — Sprzedali go? — Usiadł z wysiłkiem, w głowie mu się kręciło. — Muszę go odnaleźć.

— Ktoś wysłał go na niewłaściwą orbitę. Nie trafił do sprzedaży, Michael. — Jej napięty głos przebił się przez mgłę otulającą jego głowę. — Już nie wydobywa się Kamieni. — Poczuł jej policzek przy swoim, ciepło jej oddechu na swojej twarzy. — Już po wszystkim, dobrze? Koniec z Kamieniami.

Była bardzo wystraszona. Dlaczego? Zamrugał, wreszcie udało mu się skupić wzrok i dostrzegł łzy na jej twarzy. Dla niego?

— Z Katriną wszystko w porządku? — Otarł jej policzek.

— Jest bezpieczna. Jest tu z nami. — Margarita wzięła go za rękę i mocno ścisnęła. — Michael, bałam się.

— Jesteśmy tacy... samotni — wyszeptał, przytłoczony czystym ogromem tego, co sobie przypominał. — Jesteśmy tak bardzo odcięci od wszystkiego. Dookoła żyją miliardy istot... współistnie-

jących. Są miliardem umysłów, a zarazem... jednym. Jednocześnie. — Przełknął ślinę, rozpaczliwie poszukując odpowiednich słów. — To współistnienie... śpiewa wszechświat. Dosłownie wszystko. Może to właśnie jest wszechświat. — Tylko nie my. Zamknął oczy, pragnąc się zatopić w żalobie, lecz wiedząc, że w takim wypadku już nigdy nie powróci. — Jest rozproszone wśród galaktyk, a każdy jego element zna wszystkie pozostałe. I Kamienie są jego częścią. Tak wiele im narzucamy. — Życie, miłość, ból... przeszłość. — Zmu-

szamy je do samotności — zawsze wydawały się tak żywe pod jego dotykiem. — Nie mogą się zmieniać — wyszeptał. — Są martwe. Nie, to nie tak. Umierają. Nieskończenie. Zamknięte w ścianach naszej izolacji. — Gdybym nie wyrzeźbił Kamienia Słońca czy Srebrnego Kamienia, gdyby Estevan nie wyrzeźbił Kamienia Drzew, żyłyby nadal. Ewoluuowałyby dalej, stając się częścią olbrzymiej pieśni radości.

Och, Estevanie, cieszę się, że tego nie doczekałeś.

— Wiem o tym, Michael. Przynajmniej częściowo. Zed mi powiedział. — Margarita położyła dłonie na jego ramionach, podtrzymując go, gdy dźwignął się chwiejnie na nogi. — Nie miałeś o tym pojęcia. — Zwróciła twarz w jego stronę, w jej oczach czaił się ból.

Ona go rozumiała. Potrząsnął głową, niemalże przytłoczony głębią tego zrozumienia. „Zed mi powiedział...” Ale koniec końców nie miało znaczenia, czy miał, czy też nie miał o tym pojęcia. Wina nie podlegała dyskusji. Ignorancja nic tu nie znaczyła. Miał to na sumieniu.

Niszczył dusze. Zniekształcał je. Deformował.

Zatoczył się, gdy czarne plamy zatańczyły mu przed oczyma. Margarita podtrzymała go. Była silną kobietą, ta jego córka. Dotknął jej twarzy, potrzebując tego, by to wiedziała, by wiedziała, co czuje. Pragnąc, by wiedziała. Zrobił kolejny krok w stronę Kamienia Słońca, symfonia minionych dni uderzała w niego niczym popołudniowe słońce na jego twarzy. Miłość Xii, jego miłość, czułe, słodkie popołudnia na zacienionych brzegach Hondo...

Usiłował zmagazynować przeszłość niczym złoto. Ból szarpnął

jego ciałem, zmusił do wsparcia się na Margaricie. Próbował zatrzymać ją na zawsze. Chciał, by świat przestał się zmieniać.

Brak zmiany oznacza śmierć.

Rzucił się przed siebie, uderzając obiema dłońmi w chłodne, gładkie ciało Kamienia, dygocząc, gdy jego konająca, zamrożona dusza poczęła się wic pod jego dotykiem. Na ułamek sekundy przestał istnieć, stał się wrotami. „Osnowa splatana jest z duszy rzeźbiarza”. I spętała ten Kamień. Z jękiem przyjął to wszystko na siebie — zniszczenie, wspomnienia, odpowiedzialność. I poszarpał osnowę na tysiąc strzępów.

Nie rozległ się żaden dźwięk, istniał jedynie potworny ból. Odległy głos zakrzyknął przenikliwie, a potem mgła ustąpiła przed jego oczu. Stał, obejmując ramionami okruch skały — pięknej skały

przetykanej żyłkami srebra i złota.

Zwykłej skały.

— Co ty zrobisz? — przerażony głos Christine.

— Uwolniłem go — odparł cicho. Owo bezkresne, obce współ-
istnienie cierpiało, i ta straszliwa fala cierpienia zagnała go w objęcia
ciemności, sprawiła, że S'Wanna podniosła na siebie rękę, tak jak
Danners i Lustik. On sam zapewne też by zginął, gdyby Zed nie
dotknął Kamienia jako pierwszy. Kamienie zrozumiały Zeda.

Ponieważ był tym, kim był? Wypaczoną, genialną duszą.

— Muszę uwolnić je wszystkie — wyszeptał Michael.
Christine i Xia spoglądały na siebie zszokowane, całkowicie

zdezorientowane. Ale Margarita zrozumiała go. Wpatrywała się
w pusty Kamień, na jej twarzy malowało się przerażenie zmieszane
z litością.

— Będiesz wspaniałą holoturzystką — powiedział do niej. —
Jedną z najlepszych.

Potem zemdlął, zapadając się na powrót w ciemność rozbrzmie-
wającą przepastnym, nieludzkim współczuciem. Ludzie też potrafili
okazywać współczucie. Jesteśmy samotni, pomyślał Michael.

I zasnął.

Rozdział dwudziesty pierwszy

O tak późnej porze w galerii Yamada było już pusto. Margarita
stała przy drzwiach, wsłuchując się w ciche odgłosy drzemiącego
budynku. Tu i ówdzie reflektory rozcinały zalegające we wnętrzu
cienie, wyławiając z mroku zwisające luźno łańcuchy, gołą metalo-
wą siatkę wyższych pięter. Czy duch Ariego Yiassisa nawiedzał to
miejsce? Czy potrzasał łańcuchową windą, oplakując swe utracone
lata? Zasłuchała się na chwilę, lecz usłyszała jedynie postękiwanie
metal kurczącego się w nocnym chłodzie.

Na świecie było tyle śmierci — w barrio, podczas bezlitosnych
lokalnych wojen, które nie trafiały już nawet do wiadomości. Jak
wiele ignorujemy?, zapytała samą siebie z goryczą. Jak wiele, po-
nieważ płacz jednego człowieka gubi się w białym szumie niezliczo-
nych łez?

Kamienie zabiły Dannersa i innych rzeźbiarzy przypadkowo, tak
powiedział Michael. Bo Kamienie nie orientowały się w delikatności
ludzkiego mózgu. To Zed w końcu umożliwił im —jemu — zrozu-

mienie tego faktu. Stając się Zedem. A może to Zed stał się Kamieniami. Margarita ruszyła powoli przez zaciemnione pomieszczenie. Michael opłakiwał martwych rzeźbiarzy jak i zniszczoną przez siebie duszę Kamieni.

Arrow też by zapłakał, gdyby żył. On też się przejmował, być może nawet za bardzo. Margarita zatrzymała się przed świetlną rzeźbą popularnego ostatnimi czasy artysty — wyłączoną na noc, tak że w mroku majaczył jedynie przysadzisty piedestał. Nigdy dotąd nie chciała dostrzec tego w Arrowie: jak bardzo zatapiał się w innych ludziach, ich cierpieniu, łzach i radości. Zapełniał nimi swoje holoty, a nawet staromodne filmy. I to dało pożądaną efekt, nieważne że publiczność trafiał niekiedy szlag, a krytycy kręcili niechętnie nosami.

A to dlatego, ponieważ Arrow przejmował się ludźmi, i ta troska przebijała ze wszystkiego, czym się zajmował. Przejmował się także Margarita, ukrywając to pod swoją spokojną, postarzałą twarzą, tak by nie musiała o tym wiedzieć. Pozostawił jej wolną rękę, by we

własnym tempie dojrzała do tej troski. Albo do wyparcia się jej, jeśli tego właśnie potrzebowała. Margarita zamknęła oczy, przypominając sobie dumny odruch Zeda w kopule Dannersa i młode-stare twarze ludzi z gangu, wśród których dorastała. Przypominając sobie Arrowa.

Cicha seria puknięć w zaryglowane drzwi sprawiła, że serce podskoczyło jej do gardła. Sygnał Katriny. Pospieszenie przebiegła przez salę, musnęła dłonią zamek, a jaskrawa, przerażająca fala miłości — i strachu — natychmiast zbudziła w niej nieśmiałość. Drzwi zaszemrały, odsłaniając Katrinę mokrą od deszczu.

— Hej, Rosita, ta nowa tancerka, o której ci opowiadałam, skreśliła nogę. — Weszła do środka, wpuszczając do wnętrza podmuch mokrego wiatru i woń asfaltu zwilżonego deszczem. — Bogowie, jestem kompletnie przemoczona. — Roześmiała się i odrzuciła do tyłu swoje wilgotne, rozpuszczone włosy. — Mówiłam Argentowi, że Rosita nie da sobie rady z tą solówką, że za bardzo się stara. Kiedy się więc wywróciła, wściekł się — przewróciła oczami i westchnęła ciężko. — Posłał wszystkich do domów i oto jestem. Nie masz nic przeciwko temu? — Jej uśmiech zmarkotniał. — Żebyś popatrzyła, jak komponujesz?

Wciąż jeszcze zachowywały pewną ostrożność, starannie eksplorując nowe terytorium.

— Absolutnie nie. — Margarita ujęła ją za rękę, w jej piersi stłoczył się tysiąc niewypowiedzianych uczuć. — Możesz się przyglądać. Możesz oglądać wszystko, nad czym akurat pracuję. Kiedyś. .. — Głos jej zadrżał, zażenowany i skrępowany. Zatrzymała się

u podstawy łańcucha biegnącego na jej piętro i spojrzała w górę, w zacienioną przestrzeń. — Nie chciałam łączyć ciebie z tym, co robiłam, bo wtedy mogłam sobie powiedzieć, że nie jesteś dla mnie najważniejsza, że możesz zniknąć z mojego życia i nic się nie stanie. A ty mogłaś ode mnie odejść, dałam ci wystarczająco wiele powodów. Ale jesteś mi potrzebna. — Jeszcze nigdy nikomu tego nie powiedziała.

— Zastanawiałam się nad tym — wyszeptła Katrina zza jej pleców. Objęła Margaritę ramionami i pocałowała ją w szyję. —

Cała drzysz, Mar. Stwierdziłam, że nie chcę odchodzić. Wiesz, jesteś świetną holoturzystką.

— Jeszcze nie jestem świetna. — Margarita zatopiła się w jej objęciach, czując zbierające się pod powiekami łzy, choć przecież wcale nie była smutna. — Może kiedyś — powiedziała to cicho, bo była to obietnica składana sobie samej i jednocześnie Katrinie. — A jeśli tak, będziesz tego częścią. — Delikatnie wyslizgnęła się z uścisku Katriny i pochyliła, by zbudzić do życia łańcuch windy.

Jego szczęk poniósł się przez mrok zaskakująco głośnym echem. Margarita złapała go i wskoczyła lekko na stopień. Nie bała się. W ciągu ostatnich kilku tygodni śmiertelność nabrała dla niej nowego znaczenia. Nie, żeby życie znaczyło dla niej mniej; raczej więcej. To śmierć wydawała się teraz niespodziewanie trywialna.

— Wiesz, myślałam o tym, co Michael powiedział o Kamieniach. — Spojrzała na Katrinę, wznoszącą się przez ciemność pod jej stopami. — Jeśli czas rzeczywiście nie jest zjawiskiem linearnym, nadal jestem dzieckiem—na ty le małym, by uważać dżunglę placów budowy za krainę cudów, zanim jeszcze zaczęła się uczyć ulicy i rządzących nią praw. — A w przyszłości jestem martwa. Chciałabym dotknąć je obie — powiedziała cicho. Dzieciaka dostrzegającego cuda kryjące się nawet w zakamarkach barrio... i śmierć. — Chcę połączyć je w jedno, sprawić, by... się zetknęły. Tak naprawdę wcale nie są rozdzielone.

Katrina uniosła rękę i lekko dotknęła jej kostkę, jak gdyby odczytała ból Margarity. I może tak właśnie było.

Cena za sztukę miała tak wiele różnych twarzy; cena, jaką płaci się samemu, i cena, jaką zmuszeni są płacić ludzie, których kochasz, i którzy ciebie kochają. Jedna ukryta w drugiej niczym coraz mniejsze lakierowane pudełka. A we wnętrzu ostatniego co, klejnot?

„Nie chcę powiadamiać o tym mediów”, powiedział Michael, kiedy już opowiedział jej o Kamieniach i swoich planach uwolnienia ich umęczonej wspólnej duszy. „Nie wysłuchają mnie, a może i tak, a wtedy zrobi się z tego cyrk. Kto mi uwierzy?”

Tak więc zabrał się do tego osobiście. Seria doniesień w mediach — opowieści o milczących Kamieniach w muzeach i galeriach

całego świata — znaczyła jego drogę. Reagując na nie, muzea i prywatni kolekcjonerzy podejmowali coraz to drastyczniejsze środki ostrożności. Jak długo jeszcze potrwa, zanim Michael wyląduje w więzieniu albo szpitalu dla czubków? Wie, ile ryzykuje, powiedziała sobie Margarita. Nie. To nie było ryzyko, tylko nieunikniony koniec.

Każde uwolnienie przynosiło ból. Widziała na jego twarzy cierpienie, które starał się ukryć, opróżniając własne Kamienie.

Sztuka, ale jakim kosztem? Jaką cenę trzeba było zapłacić za wyrzucenie na śmietnik całego swojego twórczego życia niczym garści popiołu? Michael nie pozwolił jej ze sobą pojechać. „To moje zadanie”, powiedział. „A dwoje ludzi zwraca na siebie znacznie więcej uwagi”.

Ustała, bo miał rację i nie chciała, by widziała, jak cierpi. Ale jakaś jej część i tak cierpiała. Porzucona raz jeszcze. Skrzywiła się, zeskakując z rozkołysanego łańcucha na swój taras, i podała rękę Katrinie. Może już zawsze będzie oczekiwać, że zostanie porzucona, że ktoś znów postanowi stanąć z boku i uniknąć zbytniego zaangażowania. Nawet ludzie, których kochała.

Pochyliła się, by uruchomić holoscenę. Opalizujące światło zamigotało ponad nią, gdy generatory się rozgrzewały, poczuła zapach róż, świeżej trawy i gorącego metalu.

— Wiesz co, kiedy byliśmy na statku Sorrela, nienawidziłam głosu jego komputera. Co to był za zarozumiały gówniarz. Wiesz, co powiedziała mi Xia? — Margarita sięgnęła po klawiaturę i wywołała listę zarchiwizowanych plików. — Że ten głos należał do jej syna. Zginął w wypadku, a Sorrel zapłacił za odcisk mózgu. Zebrali dosyć, by mógł obsługiwać pokładowy komputer. Xia powiedziała, że wyznał jej kiedyś, iż Kelly zachował zdolność uczenia się i poczucie humoru, a to, jego zdaniem, oznaczało, że nadal żyje — przerwała na moment. — Dostałam dzisiaj od niej wiadomość.

— Nie mówiłaś. — Katrina przesunęła palcami po jej włosach.

— Dopiero co ją odebrałam. — Margarita przyjrzała się spisowi ze zmarszczonym czołem, przeglądając listę scenerii. — Była w drodze na platformę. Pewnie z powrotem do Sorrela. — Dotknęła

klawiatury i spojrzała na materializujące się nad sceną granitowe

i zielone odcienie alpejskiej łąki. — Może pozwoli mu siebie kochać. Może dojrzała do tego, by przestać dryfować. — A może nigdy nie zdoła przestać.

Małe kwiatki migotały wśród zielonych źdźbeł, pasożytując na zwietrzałych szarych kościach góry.

— Arrow powiedział kiedyś, że nauczę się umieszczać w swoich pracach prawdziwych ludzi dopiero wtedy, gdy zaakceptuję samą siebie. — Zerknęła z ukosa na Katrinę. — Chciałabym cię kiedyś sportretować. Będziesz idealnie pasować do mojego zimowego pejzażu miejskiego, który sobie teraz obmyślam.

— Miejskiego? — Katrina uniosła brwi. — To coś nowego.

— Owszem. W mieście też rosną kwiaty, wiesz. Nawet chwasty kwitną.

— Pewnie tak. — Gra cieni i światła złagodziła rysy twarzy Katriny, gdy skinęła głową w stronę sceny. — Chyba gdzieś już to widziałam. To coś starego?

— Nie — zaczęła Margarita, bo wyciągnęła tę scenerię z archiwum. Ale Katrina miała rację. — Tak — poprawiła się cichym głosem. — O, tak, to coś bardzo starego.

Jak to się tu znalazło? Musiała pomylić katalogi. A może to Arrow. Powoli weszła na scenę, taras zniknął, zastąpiony delikatną, czerwonawą poświatą. Lekki wiatr musnął nagląc jej policzek, tchnienie nadciągającej nocy poruszające czubkiem samotnej sosny. Wzięła głęboki oddech, walcząc z bolesną nostalgią. Kiedyś zmuszona była do szybkiego zapisania pracy, bo system groził zawieszeniem. Musiała upchnąć to w archiwum i zapomniała o tym.

Przez chwilę jej palce zawisły nad klawiaturą, gotowe odesłać łąkę w niebyt. Arrow nie był zadowolony z tego utworu, a ona nigdy nie była tak naprawdę pewna dlaczego. I nigdy go nie ukończyła, choć miała zainteresowanego kupca. Teraz wszystkie niedociągnięcia, które pozostawiła w niej śmierć Arrowa, rezonowały na scenie. Musnęła palcami konsolę. Ta kompozycja była naprawdę dobra. Lecz gnana głodem mistrzostwa pragnęła usłyszeć od niego, że jest świetna. A tak oczywiście nie było. Zezłościło ją to. Zabolało.

— Musiałam się zdecydować — powiedziała cicho. — Musiałam się nauczyć odróżniać dobrą sztukę od złej. To tego starałaś się mnie nauczyć, prawda? — pochyliła głowę, łzy piekły ją pod powiekami.

To coś zwane sztuką wymagało tak wiele ego — i cierpienia. Należało się otworzyć na jedno i drugie, przyjmując je w siebie — yin

i yang aktu stworzenia. Szelest trawy i odległy krzyk jastrzębia maskowały rozszepcany flet, wygrywający tęskną nutę rozrzedzoną jak górskie powietrze i przepełnioną żalem. Margarita cicho przeszła przez scenę osłoniętą przez świerk i sosnę. Kamień nad potokiem zapraszał ją, by na nim przysiadła. W ukończonym utworze w tym miejscu zakotwiczona zostanie armatura, materialny kształt z utwardzonej pianki ukryty pod złudzeniem zwietrzałego granitu. Teraz stanowił wyłącznie złudzenie. Przykucnęła przy nim i spojrzała ze zmarszczonym czołem w toń strumyka, bezwodnego tworu ze światła i chłodu. Iluzoryczna woda zmroziła jej palce, wiatr pochwycił kosmyk jej włosów, bawiąc się z nią, popychając lekko.

Taak, czegoś tu brakowało. Margarita odgarnęła włosy z twarzy, rozsmarowując łyżę na policzkach. Całość nie była świetna, ale na pewno dobra, i Arrow byłby z niej dumny, tyle że już od dawna nie żył.

Ale to niezupełnie była prawda. Nie według Zeda i Kamieni. Margarita położyła klawiaturę na kolanach, wywołała holograficzny szkic Zeda, zrobiony tak dawno temu, i umieściła go po drugiej stronie strumienia.

Nie rzeźbiła ludzi, i to było widać. Wyglądał gorzej niż manekin, martwy, bez śladu swojej charakterystycznej pozy. Wprowadziła kilka podstawowych poleceń: idź, stań, pochyl się, podnieś się, wzrusz ramionami. Czy Zed w ogóle wzruszał ramionami? Spróbowała sobie przypomnieć, lecz jego twarz, sylwetka, zawadiacki, czujny błysk w jego oczach — wszystko to jej się wymykało. Bledło. Z posępną miną wcisnęła klawisz kasowania.

Zed nie zniknął. Jego twarz rozbłysła odrobinę, uległa subtelnej przemianie, i nagle zaczęła go przypominać. A więc nie spisała się znów tak najgorzej, chociaż problemy z kasowaniem oznaczały

nieuchronną awarię procesora. Posykując cicho, spróbowała ponownie, pragnąc zapisać całość przed zawieszeniem się systemu.

— Daj sobie spokój. — Zed przeszedł w bród przez strumień, zwinnie, żyłasty, wszelka niepewność zamaskowana była jego zgrabnym, dumnym krokiem. — Przykro mi, paniusiu, ale nie dasz rady mnie wykasować.

Zed. Nie szkic holograficzny.

— Wiesz co, nigdy właściwie mi nie odpowiedziałeś. — Dziwiąc się swojemu spokojowi, Margarita zdjęła dłoń z konsoli. — Jesteś duchem? Czy Kamieniami w ludzkim ciele?

— Jestem sobą. — Przechylił głowę, starając się obejrzeć własny profil w tafli strumienia. — Jestem tutaj, a zarazem nie żyję. Tobą

też jestem — wyszczerzył do niej zęby. — Jak powinnaś była się domyśleć w przerośniętej dżungli Andy'ego, ale oczywiście tego nie zrobiłaś.

Skrzywiła się, a Zed wybuchnął śmiechem.

— Opuść sobie ten flet. — Skinął podbródkiem w stronę konsoli. — Pasuje tu jak wół do karety.

— Zapomnij o tym. — Spiorunowała go wzrokiem, bo zachowywał się tak bardzo... po swoim. Włącznie z pozą. — Nie mówisz jak obcy. Arrowowi podobała się ta melodia.

— Nie jestem obcym. — Przyjrzał się jej uważnie. — Kto to jest ten Arrow?

— Ja.

Margarita wolno się odwróciła, serce waliło jej w piersi, a przecież ta dodatkowa porcja adrenaliny wcale nie była konieczna. Arrow wielokrotnie się holografował.

Siwowłosa, wyglądający na swoje sto trzydzieści sześć lat, uśmiechnął się do niej, jego twarz nadal przypominała wyblakłą mapę minionych lat, zapamiętaną z nocy, gdy umarł. To nie był hologram, lecz wspomnienie obleczone... w rzeczywistość. Margarita westchnęła bezgłośnie, sięgając palcami swojej twarzy, jak gdyby chciała się o czymś upewnić. Czy to dlatego Danners popełnił samobójstwo? I Lustik, i wszyscy pozostali? Bo obrócili się nagle i ujrzeli wszystkich ludzi, których kochali i utracili?

— Nie, to niezupełnie tak — Zed uniósł brwi na jej użytek, a potem uśmiechnął się do Arrowa. — Jeszcze nie do końca to do niej dotarło. Ale być może przed śmiercią to niemożliwe.

Nie, nie była jeszcze gotowa, nie na Arrowa. Margarita zgięła się w pół, przyciskając konsolę do piersi, szukając oparcia w jej realnym, ostrym narożniku wbijającym się w jej brzuch, uderzając raz po raz w klawisz kasowania, walcząc ze łzami palącymi niczym kwas. Poczwała dotyk na ramieniu i jej ciało rozpoznało go: ciepła moc, delikatne, starcze palce. Odetchnęła, dygocząc, gdy kanciasta chropawość jego kości policzkowej spoczęła przy jej skroni.

— To nie było zamierzone — wyszeptał jej cicho do ucha. — Nie próbowałem się zabić. Nie chciałem tego. Tak wyszło.

Czuła go, czuła jego ciało. Ze zdławionym okrzykiem Margarita zerwała się na równe nogi i wskoczyła do holograficznego strumienia. Zimno. Fontanna wody obmywająca jej uda lodowatym dotykiem ... Wygramoliła się na brzeg, miała przemoczone spodnie, buty

pełne zimnej wody — wody, nie złudzenia. Zed był materialny na statku Sorrela, ale to było coś innego. Obejrzała się na Arrowa, drżąc nie tylko z zimna, wciąż ściskając bezużyteczną konsolę.

— Co się dzieje? — wyszeptała.

Arrow przekroczył strumień w bród, poruszając się ostrożnie, bo znów miał problemy ze stawami. Sięgnął po konsolę, nie odrywając od niej swych mgliście brązowych i zaskakująco przejrzystych oczu.

— Nie muszę tu być. Jeśli tego nie chcesz. — Uwolnił konsolę z uścisku jej zbiegających z wysiłku palców i dotknął przycisku obsługi głosem. — Zamknij.

— Nie! — Margarita złapała za konsolę i uderzyła w przycisk anulowania polecenia. — Arrow, nie odchódź. Proszę.

Czerwonawa poświata zmieniła tonację, gotowa ustąpić miejsca mroźnej szarości górskiego zmierzchu.

— Mam tylko krótką chwilę. — Arrow zerknął za siebie, na Zeda. — Ty także. Za życia nigdy tego nie słyszałeś, więc teraz chodź tu i posłuchaj. Gdzieś, kiedyś, to nadal może mieć jakieś znaczenie. — Przesiadł na powalonym pniu nieopodal niej i zaczął czekać na Zeda.

Margarita spojrzała na kłodę, wiedząc, że jest tylko złudzeniem,

a zarazem czując zimno płynące z przemoczonych spodni i zalanych wodą butów. Postąpiła pół kroku w jej stronę i się zawahała.

— Czy to oznacza, że ja nie żyję? — wyszeptała.

— Nie sądzę. — Oczy Arrowa zamigotały i Margarita nagle się roześmiała. Kurde, żywa czy martwa, zdrowa czy obłąkana, niech będzie. Może wszystko mogło się teraz zdarzyć, może wszystko było możliwe. Nie czuła się tak od wczesnego dzieciństwa, kiedy barrio wciąż jeszcze miało jej do zaoferowania wiele magicznych zakątków. I, jasne, gdyby obejrzała się przez ramię, ujrzałaby tamtą smarkulę, szeroko uśmiechniętą. Śmiejąc się cicho, usiadła na kłodzie — twarde drewno, krucha, ledwie tknięta rozkładem kora — czując na twarzy niemy uśmiech Arrowa niczym promień słońca. Zed przeszedł przez strumień i przycupnął obok nich.

— Twoje odejście zubożyło świat — powiedział Arrow, dotykając przelotnie ramienia Zeda.

— Wybacz, że cię rozczaruję, staruszkule, ale nie planowałem umrzeć, podobnie jak i ty.

— Och — westchnął Arrow. — Nie to miałem na myśli. —

Zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś. — Świat utracił cię na długo przedtem, zanim umarłeś. Może to właśnie dlatego umarłeś. Bo jakaś część ciebie już była stracona.

— I może to dlatego jestem tutaj. — Zed utkwił spojrzenie w kwiatach u swych stóp.

Margarita obserwowała go; Zeda, człowieka i coś więcej niż tylko człowieka, martwego, a zarazem więcej niż żywego. Rdzawe światło było niczym jego determinacja, krystalicznie czyste i wszechobecne. Chłodny wiatr niósł ze sobą jego nastrój, tak że stawał się tą sceną, ona zaś jego duszą. Gdyby tylko potrafiła tak to wykonać...

— A nie da się ukryć, że tu jestem. Nigdy nie czułem się bardziej żywy, a przecież zarazem nie żyję. Wytłumacz mi to, staruszku. — Zed spojrział w końcu na Arrowa. — Co stało między mną a Kamieniami? Powstrzymało mnie przed dotknięciem ich w pełni i sprawiło, że... stałem się tym, czym jestem. Częścią całości, a jednocześnie czymś zupełnie innym. Ale co to było?

Spojrzenie Arrowa skierowało się gdzieś między nich, w stronę gasnącego światła, i wtedy zaczął opowiadać.

Każdy z nas umiera w samotności. Kiedy się tego dowiedzieliśmy, zaczęliśmy umierać. Obawialiśmy się tej samotności bardziej niż śmierci.

Spojrział na Margaritę.

— Wybacz mi, nie posiadam twojego daru słowa. Przepraszam, jeśli to zabrzmia niezgrabnie.

Naprawdę ją przepraszal. Tym razem Margarita nie zdołała powstrzymać łez.

Dotknęliśmy życia, wyobraziliśmy sobie, że je pochwyciliśmy, że mogliśmy zrównoważyć nim śmierć, a także że zrozumieliśmy śmierć. Utkaliśmy koc, by przykryć nim truchło naszego lęku.

Niegdyś byliśmy młodzi.

Niegdyś widzieliśmy poranne słońce przebijające się przez zasłony, kładące się promieniami na kocach, które nasi rodzice rozkładali na naszych łóżkach; i nie dostrzegaliśmy lichoty tkaniny; nie obawialiśmy się słońca mogącego wykraść nam sen czy zabawę.

Każdy z nas utkał siebie z rzeczy nieśmiertelnych, słońca, wszystkiego dobrego, jakim nakarmiono nas w dzieciństwie. Tworzyliśmy do chwili, gdy my, tkacze, zrozumieliśmy, że tam nie ma nikogo.

Zed uciekł wzrokiem w bok i Margaricie wydało się, że dostrzega w jego zielonych oczach lśniące łzy. Żywy i martwy, teraz i na wieki, w ciele zamrożonym i niezmiennym do chwili, gdy niezmiennie słońce zmieni się w nową. Wszystkie żywe istoty muszą się zmieniać. Czy oznaczało to, że nieśmiertelność jest jednak śmiercią? Sama śmierć była zaledwie kolejną zmianą, nie końcem lecz kolejną formą życia? Dotknęła swojej twarzy, a palce ślizgały się we łzach pokrywających jej policzki. Kim jesteś?, pragnęła zapytać Zeda. Czym jesteś? Czy życie może trwać dalej wyłącznie poprzez śmierć?

A ja? Kim ja jestem? Rozwarła dłoń i spojrzała na lśniący szlak łez na swojej skórze. Fragment jej duszy wyrwał się na wolność. Powinna kurczowo się go trzymać czy pozwolić mu ulecieć? Jakiego wyboru dokonał Zed?

Zapada noc. Przestrzeń między skórą a chłodem: nazwij ją. Co wiedzieliśmy, kiedy byliśmy nowi? I kiedy pierwszy raz poczuliśmy zimno ?

Pamiętając, ponosimy klęskę. Zapominając także. Być może tak wygląda przyszły świat, niebo; odgrywanie każdej powracającej chwili, obracanie jej w zaciszu wyobraźni. Żyjąc, zapominamy albo pamiętamy, i niewiele sobie wyobrażamy, wspominając chłód.

Gęstniejący półmrok wypełniał się szeptem Arrowa, cichym, suchym niczym szelest źdźbeł trawy, głos wiatru.

Niegdyś byliśmy nowi, mierzyliśmy się jedynie odległością między słonecznym blaskiem a ciepłem, jakie ze sobą niósł. Sięgaliśmy nieba.

Zapada noc. Skąła wzywa, stygnąc w cieniu. Trawa gnije się na wietrze. Sięgaliśmy nieba. Przez chwilę nadal to potrafimy, zdejmując z horyzontu wieczorną gwiazdę, spijając ją z dłoni.

Koc, zasłona, kurtyna: jesteśmy zaślubieni wyobraźni. Nie ma śmierci. Nie ma piękna. Składamy dłonie tylko po to, by spijać wodę i noc.

Margarita otworzyła oczy, nie pamiętając, kiedy je zamknęła. „Zapada noc...” i rzeczywiście tak było, jak gdyby sprawiła to samym zamknięciem oczu. Rozejrzała się w ciemności spod zmrużonych powiek. Arrow zniknął. Zed siedział na kłodzie, zanosząc się płaczem. W milczeniu przysunęła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Nie stracił jej i siedzieli tak razem bez słów, gdy księżyc w pełni zakradł się na niebo nad płaskowyżem na wschodzie. Olbrzymi i żółty, odbijał dosyć światła, by rozjaśnić oczy Zeda, gdy ten w końcu podniósł głowę.

Było w nich tyle światła, i tyle mroku. Czarny chłód kosmosu pochwycił Margaritę, oferując zarazem schronienie. „Koc, zasłona, kurtyna...”, czy ona także była zaślubiona wyobraźni? Skazana — a może wybrana — by wraz z każdym fragmentem swej duszy pomknąć ku ciemności i ku światłu, gdyby tylko zdecydowała się pozwolić im odlecieć?

I czy były one żywymi istotami? A Kamienie, były żywymi istotami czy też wykraczały poza życie? Lśniące oczy Zeda stały się

samą nocą. Odszedł i teraz siedziała już samotnie na górskim stoku, za towarzyszy mając jedynie księżyc w pełni i chłód.

— Nie ma śmierci. — Z ciemności dobiegł niski głos będący jej częścią. — Nie ma piękna.

Głos Michaela. Margarita odwróciła się wolno, czując, że ogarnia ją strach. Stał na drugim brzegu strumienia. Martwy? Czy ktoś zabił go podczas uwalniania Kamienia? Czy to dlatego był tutaj?

— Błagam — wyszeptała.
Błagam.

Jedno słowo, a zarazem modlitwa. Dialog zawierający całe ludzkie życie w dwóch sylabach.

— Michael? — Nie wiedziała, jak zadała to pytanie. — Żyjesz?
— Zwłaszcza kiedy właściwie nie miała pojęcia, co to znaczy.

— Rozumiem, dlaczego Arrow jest dla ciebie taki ważny — Michael się pochylił i podniósł konsolę pozostawioną przez Arrowa nad strumieniem. — Rozumiem, dlaczego jesteś taka dobra. Szkoda, że nie miałem okazji go poznać. — Dotknął konsoli, jego twarz była równie pomarszczona i wiekowa jak Arrowa. — A to nie było niemożliwe. Cóż to za gorzka ironia, że ludzie mogą być tak blisko siebie fizycznie, a jednocześnie tak daleko. Ja... dotknąłem tego. Tego współistnienia. Na Vildorn — spojrział przez nią w przestrzeń zakrytą przed jej wzrokiem. — To było... — Potrząsnął głową. — Jesteśmy tacy samotni. Czym byśmy byli, gdyby było inaczej? Może już nie ludźmi? Margarita? — Wyciągnął rękę w jej stronę. — Zwątpienie musi stanowić część tego, co robimy. Wskutek naszej izolacji. Nawet jeśli sięgniemy ciemności, nie będziemy pewni. Ale musimy sięgać. Musimy się zmieniać, rozwijać.

— Tego właśnie usiłował mnie nauczyć Arrow — przeszła przez strumień, tym razem był jedynie iluzją, wygenerowanym chłodem i prądami powietrza stwarzającymi złudzenie wody tam, gdzie widziały ją oczy. — Jak wiele z naszych doświadczeń przypomina ten strumień? — Zawahała się zjedną stopą na brzegu. — Jaka

część tego świata jest jedynie złudzeniem, stworzonym, żebyśmy nie musieli oglądać rzeczywistości? Arrow był tutaj. Podobnie jak Zed. Byli rzeczywisci.

Nie pytała, bez względu na rzeczywistość, bez względu na naukę, bez względu na definicje.

— Oni tu byli. Mogę być Zedem, jeśli tego zechcę. — A Arrowem? To nadal ją przerażało, możliwość stania się Arrowem i poznania samej siebie, jego utalentowanej uczennicy.

Michael wziął ją w ramiona, jego serce, komórki i włóknamięśni, biło na wysokości jej ucha.

— Dlaczego? — Margarita przytuliła się do niego. — Czego chcą Kamienie?

— Czego chcą? — wzruszył ramionami. — Nie wiem. Podejrzewam, że pojęcia takie jak chęć, ciekawość czy zamiar są za bardzo ludzkie i ograniczone, by miały zastosowanie w tym przypadku — roześmiał się z cichym smutkiem. — Kto wie? Zed jest teraz częścią tego współistnienia Kamieni. Poczujesz to — uśmiechnął się do niej niepewnym ruchem warg, a jego oczy lśniły jak okna prowadzące w bezkresną przestrzeń. — Może to Zed połączył cię na powrót z Katriną.

— „Byliśmy ważni” — wyszeptała Margarita, powtarzając kompozycję Arrowa. — „Byliśmy szczególnie w czymś więcej niż tylko śmierci”. — Ty byłeś szczególny, Arrow. I kiedy nie mogłam wybaczyć ci, że umarłeś, odtrąciłam cię. Zakończyłam tę szczególną więź. Dla nas obojga.

Przepraszam.

Skryła twarz w piersi Michaela, wyczuwając pod policzkiem tkaninę, chwytając w nozdrza słabą woń potu, jego ciepłą fizyczność. Czując go, Michaela, duszę rozciągającą się w przeszłość i w przyszłość, rozpościerającą się we wszystkich kierunkach, obejmującą jaskrawe iskry innych, odległych słońc.

I wtedy zapłakała. Nad kuzynem, który zginął w barrio, mając dziewiętnaście lat, nad matką, która nigdy nie pozwoli nikomu zbliżyć się do siebie, nad bezimiennym mężczyzną, którego ciało widziała w porcie Los Angeles. Wszyscy oni byli tutaj, żywi i zarazem martwi, w tej zwiniętej wstędze Möbiusa ułamka wieczności. Szloch wypływał z jakiejś głębokiej studni w jej wnętrzu, wstrząsając ciałem na jej kościach, wyrywając się na zewnątrz, opróżniając

ją. Płakała nad swoimi holoturami — nad tym, czym były, czym nie były i czym będą. Płakała nad Katriną i nad miłością, która nigdy nie

będzie idealna, bez względu na wysiłek, jaki się w nią włoży.

Pierwszy raz w swym dorosłym życiu nie próbowała powstrzymać łez.

Po chwili — nie mogła stwierdzić, krótkiej czy długiej — zaczęła się wynurzać ze sztormu żałości i wspomnień, i na powrót poczuła ramiona Michaela zaciskające się wokół niej, jego wilgotną i zmiętą tunikę przy swojej twarzy, policzek przyciśnięty do jej włosów.

Wieczną duszę, dotkniętą przez Kamienie tak jak Zed, zapamiętaną przez nie.

Nieśmiertelną.

Odmienioną i zmienną jak Zed, poza ograniczeniami śmierci. Nigdy w ten sposób o tym nie myślała. Pierwsze mgliste cienie holotury poczęły się formować w jej umyśle. Niebotyczne miejsce, wieże, ostre i samotne, odosobnione... od tego zacnie. Margarita, drżąc, wzięła oddech i odsunęła twarz od piersi Michaela.

Ich oczy się spotkały, było w nich ciepło równie rozległe jak wszechświat.

— Myślę, że ty przynajmniej potrafisz pomóc nam tego dotknąć. Tego, czym są Kamienie. Myślę, że ty potrafisz najbardziej nas do tego zbliżyć. — Pocałował ją lekko w czoło. — Arrow byłby z ciebie dumny.

— Och, zawsze byłem. — Arrow pomachał do nich z drugiego brzegu strumienia, niewyraźny cień w mroku górskiej nocy. — Zawsze wiedziałem, że kiedyś będziesz lepsza ode mnie.

— A będę? — Margarita zmrużyła oczy, lecz górską ciemność przeistoczyła się w cienie galerii i słaby blask pustej holosceny. — Nie. — Pokręciła z uśmiechem głową. — Tak naprawdę nie proszę, żebyś mi odpowiedział. — Była lepsza od niego, i gorsza, a może nigdy nawet nie próbowała. Wszystko było możliwe, wszystko było rzeczywiste. Westchnęła, poczuła wilgoć pod nosem i wytarła rękawem moką, napuchniętą twarz. — Czasami zawsze będziemy wąt-

pić w siebie — odgarnęła włosy z twarzy. — To po prostu część tego procesu, prawda?

— Tak myślę — Michael pokiwał głową i wziął głęboki oddech.

Pamiętać bez żalu,
śnić bez wstydu

O miłości mądrzejszej od dawnych miłości,
lecz namiętniejszej wiedzą

Że wszystko zdarzyło się z pewnością
Że nawet wieczność trwa krótko:
zanim przestąpisz próg, zaczekaj

I zobacz jak księżyc (mniej doskonale jasny niż słońce)
ukazuje swój kształt w doskonałej zmianie.

Krocz jak on, lecz pozwól, by to powróciło
do ciebie i poznaj, co do ciebie czuję.

Michael westchnął i zamilkł na moment.

— Przyszło mi to do głowy, kiedy czekałem na wejście do galerii
Chelert w Paryżu. Przez ciebie zacząłem pisać teksty — uśmiechnął
się, wsunął rękę do kieszeni i podał jej złożoną kartkę papieru.

Wydruk jej genoskanu.

— Nie porównywałem go z moim. — Spojrzał jej w oczy. —
Mogę, jeśli chcesz.

— Być może nie... — Słowa ugrzęzły jej w gardle. — Być może
jestem córką Estevana.

— Możliwe. — Oczy Michaela były wypełnione łagodnym
blaskiem. — Byłby z ciebie bardzo dumny. A i tak nadal byłabyś
moja. Jako powód do dumy, nie własność — pocałował ją ponownie,
ciepło jego spojrzenia ogrzało jej twarz niczym popołudniowe słoń-
ce. — Miel ismy wiele wspólnego, Estevan i ja. — Spojrzał za siebie,
w stronę zaciemionego parteru galerii. — Katrina na nas czeka.
Zeszła na dół, żeby mnie wpuścić, nie pytaj, skąd wiedziała, że tam
jestem. Zatrzymałem się tylko po to, by zajrzeć przez drzwi i spraw-
dzić, czy może kogoś zastałem. Miałem szczęście, że do mnie zeszła.

— Jest bardzo spostrzegawcza — uśmiechnęła się Margarita.

— Myślę, że wiedziała, iż tam stoisz. — Może ona także nadal
czuła dotyk Kamieni; może naprawdę wiedziała, że tam stał. —
Michael? — zgasiła scenę i ponownie dotknęła jego dłoni. — Nie
ma innego sposobu na uwalnianie Kamieni? — Przyjrzała się jego
twarzy, poszukując w niej wahania. — W końcu wylądujesz w wię-
zieniu. — A ja dokończę twoją pracę. Uświadomiła to sobie nagle.
Dokończy. Nie tylko dla Michaela, ale dlatego, ponieważ zrozu-
miała.

— Nie sędzę, żebym trafił do więzienia — Michael wyciągnął
rękę, czubkami palców muskając szczękające łańcuchy. — Odnoszę

wrażenie, że ktoś mi pomaga — spojrzał na nią, uśmiechając się półgębkiem. — I to nie kto inny jak Gunner Archenwald-Shen. Wielokrotnie odnosiłem sukces tam, gdzie... nie powinienem. On ma rozległe wpływy.

— Shen? — Margarita zamruła zaskoczona. — Dlaczego? Co on z tego ma?

— Najprościej wytłumaczyć to tym, że skoro nie może już importować Kamieni, stara się podnieść wartość tych, które posiada. Może myśli, że zostawię je w spokoju, a może zamierza je sprzedać, zanim się do nich dobiore — Michael utkwiał spojrzenie w ciemności.

— Kamienie nic dla niego nie znaczą, ale Zed chyba był dla niego ważny. Może nie sam Zed, ale jego talent. Myślę sobie, że Gunner Archenwald-Shen sam obdarzony jest swoistym talentem. Wystarczającym, by zrozumieć, że Zed mógł się stać geniuszem. Sam nie wiem — pokręcił głową. — To zazdrość, podziw, i wypaczona miłość, tak mi się wydaje. Może po prostu postanowił, że skoro Zed nie może rzeźbić ani być torturowany własną decyzją rezygnacji z rzeźbienia, w takim razie nikt inny nie będzie tego robił. — Obejrzał się na Margaritę i uśmiechnął blade. — Bez względu na motywację, chroni mój tyłek przed więzieniem.

— Jestem mu za to wdzięczna — stwierdziła oschle Margarita. Cofnęła się, gdy Michael złapał łańcuch i wskoczył na zjeżdżający w dół stopień. Podążyła za nim, zanurzając się w mrok, kierując ku parterowi. Jej przelotne wizje — platformy, miasta — rozrastały się,

jednoczyły. Zabezpieczająca siatka uderzyła ją w stopy i pospiesznie odeszła w bok asekurowana przez Michaela.

— Pracujesz nad czymś? — zapytał niemalże przekornym tonem.

— Aha. — Przyjrzała się jego twarzy. — Co zamierzasz robić? Kiedy skończysz z Kamieniami?

— Nie wiem. — Odwrócił szybko wzrok, gdy razem ruszyli do wyjścia. — Pewnie pojeżdżę sobie trochę po świecie. Porozmyślam. Spędzę trochę czasu z Chris.

Może świat już nigdy nie będzie w jego oczach taki jak przedtem, odkąd ujrzał go z perspektywy Kamieni.

— „Śnić bez wstydu o miłości mądrzejszej od dawnych miłości”

— zacytowała cichym głosem. — „Lecz namiętniejszej wiedzą, że wszystko zdarzyło się z pewnością, że nawet wieczność trwa krótko”. — Wzięła głęboki oddech. — Twój tekst... pasuje do czegoś, co teraz szlifuję. Gdybyś chciał popracować ze mną, bardzo bym

tego chciała. — Musiał usłyszeć niezgrabność jej słów. Potrząsnęła głową, złoścąc się na siebie. — Mówię serio. Nie postrzegam świata tak jak ty, zapewne nigdy tego nie osiągnę. Dzięki temu ta holotura może odnieść zamierzony efekt.

Wtedy się zatrzymał, oglądając się na nią, wahając, na jego twarzy duma walczyła z pragnieniem.

— Byłbym szczęśliwy. Kiedy już będę miał czas. — Przymknął na moment oczy, potem otworzył je i uśmiechnął się do niej niepewnie.

— Moglibyśmy przynajmniej się przekonać, czy coś z tego wyjdzie.

— Moglibyśmy. — Margarita chciała tego, a zarazem nie chciała, i żadne z tych uczuć nie miało nic wspólnego z tu i teraz. Coś się zmieniło. Ona się zmieniła. — Byłabym bardzo szczęśliwa — powiedziała, i tym razem powiedziała to szczerze. — Nie mam pojęcia, czy wytrzymamy ze sobą.

— Ani ja — roześmiał się cicho. — To ci będzie przygoda.

I wtedy Katrina ruszyła w ich stronę, uśmiech rozjaśniał jej twarz; tak, była bardzo spostrzegawcza. Margarita otworzyła ramiona, ścisnęła ją w gardle, bo miłość nigdy nie była doskonała i nie stanowiła odpowiedzi na wszystkie pytania, ale była ważna. Jeśli jej się na to pozwoliło.

— Gotowa wracać do domu? — Katrina odgarnęła włosy na plecy. — Zaprosiłam Michaela na spóźnioną kolację.

— Gotowa. — Margarita splótła ramiona z Katriną. — Opowiem ci o mojej nowej holoturze, wizji platformy. — Dotknęła dłonią zamka, oddychając świeżym, spłukanym deszczem powietrzem, pachnącym mokrym asfaltem i nocą. — Będzie zupełnie inna. Prawie surrealistyczna jak katedra Gaudiego, tylko jeszcze bardziej. I miejscami odpychająca. A przez to... piękna.

— Chyba wrócę do mojego hotelu. — Michael musnął ramię Margarity, jego czułe spojrzenie spoczęło na jej twarzy. — Do zobaczenia.

— Do zobaczenia. — Margarita odwzajemniła jego dotyk, bo przecież miała wkrótce go zobaczyć. I przez jakiś czas popracują razem, by się przekonać, czy coś z tego wyniknie.

— Lubię go — powiedziała Katrina, gdy Michael ruszył ulicą w stronę hotelu. — Genoskan wszystko rozwiązał?

— To my wszystko rozwiązaliśmy. — Margarita obejrzała się na zamknięte, szklane drzwi galerii, dostrzegając wśród cieni niewy-

rażną sylwetkę. Arrow? Uniosła rękę w geście podziękowania, on zaś odpowiedział jej tym samym.

Z tobą też jeszcze się zobaczę, obiecała bezgłośnie. I tak będzie

— w każdej holoturze, jaką jeszcze stworzy.

— Mam kurczaka po indyjsku z tego małego straganu na rynku.

— Unosząc torbę, Katrina przechyliła głowę i uśmiechnęła się szeroko do Margarity. — Chcesz kupić po drodze butelkę wina? Ja stawiam.

Chyba teraz pora na moją kwestię, pomyślała Margarita. Tyle że teraz zrobimy to, jak należy.

— Jasne — odpowiedziała ze śmiechem. — Koniecznie musimy wpaść po wino.

n